

The background is a monochromatic teal-toned illustration. At the top, a large, textured moon hangs in the sky. Below it, a range of mountains is visible, with a body of water in the middle ground. In the foreground, there are several flowers, some in bloom and some as buds, on thin stems. The entire scene is overlaid with a faint grid pattern.

David Mitchell
WIDMOPIS

David Mitchell

Widmopis

powieść w dziewięciu częściach
przełożył Janusz Margański

I ja, choć sądzę, że wiem dużo więcej, nie jestem wcale pewny, czy nie opuściłem jakiejś najważniejszej sprężyny wszystkiego.

Niektórzy mówią, że nigdy nie będziemy wiedzieć, i że dla bogów jesteśmy jak muchy, które chłopcy zabijają w dzień letni, a inni mówią przeciwnie, że nawet najmniejszy wróbel nie zgubi jednego piórka bez woli Boga.

Thornton Wilder, *Most San Luis Rey*
(przeł. Adam Kaśka)

OKINAWA

Poczułem dmuchnięcie w kark - kto to?

Odwróciłem się. Drzwi z przyciemnianego szkła zamknęły się z sykiem. Jaskrawe światło. Sztuczne paprotki łagodnie kołysały się w pustym holu. Na nękanym przez słońce parkingu bezruch. Dalej rząd palm i przepastne niebo.

- Słucham pana?

Odwróciłem się. Recepcjonistka patrzyła wyczekująco, podając mi pióro z uśmiechem tak samo odprasowanym, jak jej garniturek. Spod makijażu przezierały pory, spod dźwięków głośnika cisza, a spod ciszy rwetes.

- Kobajaszi. Jakiś czas temu dzwoniłem z lotniska. Rezerwowałem pokój. -

Ukłucia w dłoniach. Jak małe ciernie.

- Ach, tak, pan Kobajaszi... - A jeśli mi nie uwierzy? Nieczyści zawsze meldują się w hotelach pod fałszywymi nazwiskami. Żeby cudzołożyć z obcymi. - Zechce pan może po-dać tutaj swój adres... i zawód?

Pokazałem zabandażowaną rękę. - Obawiam się, że będzie pani zmuszona wypełnić ten formularz za mnie.

- Ależ oczywiście... Jak to się stało?

- Drzwi mi przytrzasnęły.

Skrzywiła się współczująco i obróciła formularz. - Pański zawód?

- Inżynier programista. Opracowuję programy dla różnych firm, na zlecenie.

Recepcjonistka zmarszczyła brwi. Nie pasowałem do jej formularza. - Rozumiem, czyli nie ma konkretnej firmy...

- Wpiszmy nazwę firmy, z którą obecnie współpracuję. Proste. Wydział techniki Bractwa załatwi potwierdzenie.

- Świetnie, proszę pana. Witamy w Hotelu Ogrodowym na Okinawie.

- Dziękuję.

- Przyjechał pan na Okinawę w interesach czy turystycznie?

Czyżby jakieś niedowierzanie kryło się w jej uśmiechu? Jakaś podejrzliwość w twarzy?

- Trochę interesy, trochę turystyka. - Uruchomiłem potencjał alfa kontroli głosu.

- Mamy nadzieję, że przyjemnie spędzi pan czas. Proszę, pańskie klucze. Pokój 307.

Gdybyśmy w jakikolwiek sposób mogli służyć pomocą, proszę bez wahania pytać.

Wy? Mnie? Pomóc? - Dziękuję.

Nieczyści, nieczyści. Ta zgraja z Okinawy, ich krew nigdy nie była czysto japońska.

Przodków mieli innych, gorszych. Gdy odwróciłem się i ruszyłem w stronę windy, ośrodek postrzegania ponadzmysłowego podpowiedział mi, że recepcjonistka uśmiecha się pod nosem z wyższością. Nie uśmiechałaby się tak, gdyby wiedziała, z jaką umysłowością ma do czynienia. Ale przyjdzie pora i na nią, tak jak na wszystkich.

Nikt nie kręci się po ogromnym hotelu. Głuche korytarze ciągnące się w południe nieskończonymi odległościami, puste jak katakumby.

W pokoju brakuje powietrza. W Sanktuarium nie wolno używać klimatyzacji, bo zakłóca fale alfa. W dowód solidarności z moimi braćmi i siostrami wyłączyłem urządzenie i otworzyłem okna.

Zasunąłem kotary. Nigdy nie wiadomo, czyj teleobiektyw mógłby tu zajrzeć.

Wyjrzałem, wpatrując się w oko słońca. Naha to tandetne, brzydkie miasto. Ale na tle akwamarynowej wstęgi Pacyfiku mogłoby stanowić forpoczta Tokio. Typowy biało-czerwony przekaźnik telewizyjny nadający na podprogowych częstotliwościach rozkazy rządu.

Typowe domy towarowe wznoszące się niczym pozabawione okien świątynie wymuszające na nieczystych ślepe podporządkowanie. Miejskie dzielnice, fabryki wpompowujące toksyny do zasobów wody i powietrza. Lodówki porzucone na pustkowiach pokątnych wysypisk. Te miasta to istne dzieła organicznej brzydoty! Już widzę, jak Nowa Ziemia potężną miotłą wymiata to rozkładające się paskudztwo, przywracając krajobrazowi jego dziewiczość. I wtedy Bractwo stworzy coś, na co zasługujemy, co po wsze czasy będą pielęgowali ci, którzy przetrwają.

Wykonałem zabiegi oczyszczające i uważnie obejrzałem swoją twarz w łazienkowym lustrze. Należysz do tych, którzy mają przetrwać, Kwazarze. Stanowcze rysy podkreślające moje samurajskie korzenie. Ostro zarysowane brwi. Orli nos. Kwazarz-wiastun. Imię wybrał mi, kierując się proroczym zamysłem, Jego Serendipity. Moim zadaniem jest pilnowanie rubieży świata wiernych, samotnie, w ciemności. Mam być zwiadowcą. Heroldem.

Ruszyła dmuchawa. Spoza jej dźwięku dobiegał mnie głos łkającej dziewczynki. Ileż smutku na tym pokreconym świecie. Zacząłem się golić.

Obudziłem się wcześniej i przez pierwszych parę chwil nie pamiętałem, gdzie jestem.

Rozsypały się fragmenty układanki mojego snu. Tu pan Ikeda,

mój nauczyciel z ogólniaka i dwóch czy trzech zbirów spod ciemnej gwiazdy. Pojawił się też mój biologiczny ojciec.

Przypomniałem sobie dzień, kiedy te zbiry zmusiły wszystkich w klasie, żeby udawali, że nie żyję. Do południa rozniosło się na całą szkołę. Wszyscy udawali, że mnie nie widzą. Kiedy odzywałem się, udawali, że nie słyszą. Pan Ikeda dowiedział się o tym i co zrobił, chociaż był powołanym przez społeczeństwo opiekunem młodych dusz? Drań poprowadził mój pogrzeb podczas ostatniej godziny. Nawet kadzidło palił, intonował pieśni i w ogóle.

Zanim Jego Serendipity rozświetlił moje życie, byłem bezbronny. Płakałem i krzyczałem, żeby przestali, ale nikt mnie nie dostrzegał. Nie żyłem.

Po przebudzeniu stwierdziłem, że nęka mnie erekcja. Zbyt silna interferencja fal gamma. Medytowałem pod portretem Jego Serendipity, póki nie ustąpiło.

Jeżeli takich pogrzebów chcą nieczyści, to będą ich mieć w bród: podczas Białych Nocy, zanim Jego Serendipity powstanie i ogłosi swoje królestwo. Pogrzeby bez żałobników.

Szedłem Konkusai Dori, główną ulicą miasta, zawracając i klucząc - starając się zgubić ewentualny ogon. Niestety, mój potencjał alfa jest jeszcze zbyt wątki i nie wystarcza, by osiągnąć stan niewidzialności, tak więc ogon gubię raczej w tradycyjny sposób. Kiedy upewniłem się, że nikt mnie nie śledzi, dałem nura do salonu gier i zamówiłem rozmowę z kabiny telefonicznej. Publiczne kabiny rzadziej bywają na podsłuchu.

- Bracie, tu Kwazar. Połącz mnie, proszę, z Ministerstwem Obrony.

- Już, bracie. Minister cię oczekuje. Pozwól, że ci złożę gratulacje z okazji sukcesu naszej ostatniej misji.

Kilka minut oczekiwania. Minister obrony jest ulubieńcem Jego Serendipity. To absolwent Uniwersytetu Cesarskiego. Zanim usłyszał wezwanie Jego Serendipity, był sędzią.

To urodzony przywódca. - A, Kwazar. Doskonale. Cały i zdrów?

- Do usług Jego Serendipity, panie ministrze. Dobre zdrowie zawsze mi dopisuje.

Pozbyłem się moich alergii i od dziewięciu miesięcy nie dolega mi...

- Sprawiasz nam wielką radość. Twoja głęboka wiara wywarła wielkie wrażenie na Jego Serendipity. Teraz w swoim ustroniu rozmyśla nad twoją animą. Tylko i wyłącznie nad twoją - żeby ją umocnić i wzbogacić.

- Panie ministrze! Gorąco proszę o przekazanie moich najszczęśliwszych podziękowań.

- Z przyjemnością. Zasłużyłeś sobie. To wojna przeciwko rzeszom nieczystych i w tej wojnie akty odwagi nie mogą przejść nie zauważone i obyć się bez nagrody. Tak. Pewnie zastanawiasz się, jak długo będzie trwała twoja rozłąka z rodziną. Zdaniem rządu siedem dni wystarczy.

- Rozumiem, panie ministrze. - Złożyłem głęboki ukłon.

- Widziałeś doniesienia telewizyjne?

- Staram się unikać kłamstw propagowanych przez nieczystych, panie ministrze. Bo który wąż dobrowolnie wsłuchiwałby się w głos zaklinacza? Choć jestem tak daleko od Sanktuarium, to nauki Jego Serendipity mam zapisane w sercu. Wyobrażam sobie, że wsadziliśmy kij w mrowisko.

- W rzeczy samej. Mówią o terroryzmie, pokazują nieczystych z pianą na ustach.

Nieszczęsne zwierzaki, normalnie litość by brała, normalnie... I

tak jak Jego Serendipity przewidział, nawet nie raczą zauważyć, że to ich własne grzechy spadły im na głowy. Możesz być dumny, Kwazarze, to ty zostałeś wybrany jednym z pełnomocników sprawiedliwości! Jak głosi 39. Święte Objawienie: Duma towarzysząca gestowi samopoświęcenia nie jest przejawem grzechu, lecz szacunku do siebie samego. Niemniej jednak nie zwracaj na siebie uwagi. Wtop się w tło. Raczej nie baw się w zwiedzanie. Mam nadzieję, że to, co masz na wydatki, wystarczy?

- Skarbnik okazał mi nadzwyczajną hojność, a ja mam bardzo skromne potrzeby.

- Bardzo dobrze. Skontaktuj się z nami za siedem dni. Bractwo czeka niecierpliwie, by powitać swego ukochanego towarzysza.

Wróciłem do hotelu na południowe zabiegi oczyszczające i medytację. Zjadłem parę krakersów, smaków z morskich wodorostów, orzechów nerkowca i popiłem zieloną herbatą z automatu ustawionego na korytarzu. Kiedy po lunchu ponownie wyszedłem, nieczysta recepcjonistka dała mi mapę. Postanowiłem zwiedzić jakieś polecane turystom miejsce.

Kwatera główna japońskiej marynarki mieściła się na porośniętym krzakami wzgórzu wznoszącym się na północ od Naha. W czasie wojny była tak dobrze ukryta, że Amerykanie natknęli się na nią dopiero po trzech tygodniach inwazji na Okinawę. Nie jest to zbyt rozgarnięty naród. Nie zauważają tego, co oczywiste. Ich ambasada miała czelność dziesięć lat temu odmówić Jego Serendipity wizy pobytowej. Teraz oczywiście Jego Serendipity może bywać, gdzie mu się podoba, wykorzystując techniki przestrzennych konwersji. Bez przeszkód parę razy odwiedził Biały Dom.

Zapłaciłem za bilet i zszedłem po schodach. Ogarnął mnie

nieokreślony chłodek.

Gdzieś ciekło z jakiejś rury. Na amerykańskich najeźdźców czekała jeszcze jedna niespodzianka. Cały kontyngent czterech tysięcy ludzi odebrał sobie życie, wybierając honorową śmierć dwadzieścia dni wcześniej.

Honor. Co świat nieczystych, pusty, przeżarty bałwochwalstwem, może wiedzieć na temat honoru? Przemierzając tunele, przesuwalem koniuszkami palców po murach.

Wyczuwałem blizny pozostawione przez wybuchy granatów i kilofy, którymi żołnierze kopali swoją twierdzę, i poczułem łączące nas pokrewieństwo. Takie samo pokrewieństwo odczuwam w Sanktuarium. Dzięki wzmocnionemu ilorazowi alfa wychwytywałem to, co pozostawiła po sobie ich anima. Błądziłem po tunelach, aż zatraciłem poczucie czasu.

Kiedy opuszczałem ten pomnik szlachetności, przyjechał autokar z turystami.

Spojrzałem na nich - obładowani tymi swoimi kamerami i paczkami czipsów ziemniaczanych, z głupawymi wyrazami twarzy, nijakimi umysłowościami o potencjale alfa mniejszym niż u zwykłej muchy, i żałowałem, że nie została mi już żadna fiolka z płynem oczyszczającym, bo rzuciłbym ją za nimi ze schodów i zatrzasnął drzwi. Zostaliby oczyszczeni dokładnie tak samo, jak ci tokijczycy zaślepieni przez pieniądze. Ukoiłoby to dusze młodych żołnierzy, którzy dziesiątki lat temu oddali życie za swoje przekonania, tak jak ja sam gotów byłem to zrobić ledwie siedemdziesiąt dwie godziny temu. Zostali zdradzeni przez marionetkowe rządy, które po wojnie plądrowały nasz kraj. Gdyż wszyscy zostaliśmy zdradzeni przez społeczeństwo wsiąkające w rynki stworzone dla Disneyów i McDonaldów.

Tyle poświęcenia, i po co? Żeby zbudować niezatapialny lotniskowiec dla Stanów Zjednoczonych.

Ale nie została mi już żadna fiołka, więc musiałem ścierpieć obecność tych nieczystych, paplających, załatwiających się, mnożących się, roznoszących plugastwo kretynów. Dosłownie mnie od nich zatykało.

Zszedłem ze wzgórza pod palmy.

W dłoni lewej ręki znajduje się receptor alfa. Kiedy Jego Serendipity udzielał mi pierwszej audiencji, ujął moją dłoń i wskazującym palcem delikatnie naciskał punkt, w którym znajduje się ten receptor. Poczułem dziwne mrowienie, jakby przyjemny elektryczny wstrząs, ale dopiero później miałem stwierdzić, że czterokrotnie poprawiła mi się zdolność koncentracji.

Tego dnia, trzy i pół roku temu, jakże pamiętnego dnia, padało. Z góry Fudzi schodziły chmury, a wschodni wiatr przeczesywał falujące uprawy wokół Sanktuarium.

Dwanaście tygodni wcześniej zgłosiłem swój udział do Programu Wstępnego i tego ranka finalizowałem pewne sprawy z jednym z podsekretarzy w skarbie Bractwa. Podpisałem dokumenty, które wyzwoliły mnie z więzienia materializmu. Mój dom i wszystko, co się w nim znajdowało, moje oszczędności, fundusz emerytalny, członkostwo w klubie golfowym, samochód - wszystko to należało teraz do Bractwa. Poczułem się wolny i nigdy nie przypuszczałem, że taka wolność jest możliwa. Moja rodzina - moja nieczysta rodzina biologiczna, moja rodzina pozorna - jak można się było spodziewać, niczego nie zrozumiała. Od urodzenia mierzyli wszystko co do milimetra miarką sukcesu i niepowodzenia, a tymczasem ja tę miarkę połamałem na kolanie. W ostatnim liście, jaki otrzymałem od rodziny, matka informowała,

że ojciec mnie wydziedziczył. Ale przecież Jego Serendipity powiada w 71. Świętym Objawieniu, iż Złość potępieńców jest równie bezsilna jak poczynania szcurów podkopujących Świętą Górę.

Zresztą i tak nigdy mnie nie kochali. Gdyby nie telewizja, niczego o bożym świecie by nie wiedzieli.

Jego Serendipity zszedł ze schodów w towarzystwie ministra bezpieczeństwa. Światło stopniowo bladło, w miarę jak zbliżał się do biura. Najpierw ujrzałem jego stopy w sandałach i purpurowe szaty, potem ukazała się cała jego ukochana postać. Uśmiechnął się do mnie, rozpoznał mnie bowiem dzięki telepatii; dzięki niej też wiedział, czego dokonałem. - Jestem Guru - rzekł i gdy uklęknąłem, pozwolił mi pocałować swój święty rubinowy pierścień.

Niczym kompas magnetyczną północ, wyczuwałem fale alfa, którymi emanował.

- Mistrzu - odparłem. - Przybyłem do domu.

Słowa Jego Serendipity promieniały nieskazitelnością i pięknem, a płynęły wprost z jego oczu.

- Uwolniłeś się z gniazda nieczystych, braciszku. Dzisiaj wszedłeś do nowej rodziny.

Wyrwałeś się z dawnej pozornej rodziny i wszedłeś do nowej rodziny ducha. Od dzisiaj masz dziesiątki tysięcy braci i sióstr. A rodzina ta do końca świata rozrośnie się w miliony. I będzie rosła i potężniała, zapuszczając korzenie pośród wszystkich narodów. Żyzną glebę odnajdujemy w dalekich krajach. I będzie nasza rodzina rosła, aż świat zewnętrzny stanie się światem wewnętrznym. To nie proroctwo. To nieunikniona przyszła rzeczywistość. Jak się czujesz, najmłodsze dziecko naszego narodu wolnego od granic i cierpień?

- Jestem bardzo szczęśliwy, Wasza Serendipity. Jakże szczęśliwy, że mając dopiero dwadzieścia lat, mogę już pić z krynicy prawdy.

- Braciszku, obaj wiemy, że to nie szczęśliwy traf cię tu sprowadził. Sprowadziła cię do nas miłość. - I wtedy ucałował mnie, a ja ucałowałem usta otwierające drogę do wiecznego życia. - Kto wie - powiedział mój Mistrz - może powierzemy ci w przyszłości jakąś specjalną misję, jeżeli nadal będziesz tak szybko rozwijał swój potencjał alfa, jak donosi minister edukacji... - Serce zaczęło mi bić jeszcze żywiej. Rozmawiali o mnie! Jestem dopiero nowicjuszem, a już o mnie rozmawiali!

W kawiarniach, sklepach, biurach i szkołach, na ogromnych ekranach w pasażach handlowych, w każdym zapytanim mieszkaniu - wszędzie wiadomości z akcji czyszczenia.

Pokojówce, która przyszła posprzątać mój pokój, usta na ten temat się nie zamykały. A niech papla, pomyślałem. Zapytała mnie, co o tym sądzę. Odpowiedziałem, że jestem tylko inżynierem informatykiem z Nagoi i w ogóle nie znam się na takich sprawach. Ale obojętność jej nie wystarczała: obowiązkowo należało się oburzyć. Niezbędna okaże się mała gra gwoli odwrócenia podejrzeń. Pokojówka napomknęła o Bractwie. Wygląda na to, że parszywe paluchy obmierzłych krajowych mediów już się wyciągnęły, pomimo naszych wcześniejszych ostrzeżeń.

Wczesnym popołudniem wyszedłem, żeby kupić szampon i mydło. Recepcjonistka, tyłem do holu, nadal tkwiła przyklejona do telewizora. Telewizja to łgarstwo nieczystych, a do tego uszkadza korę alfa. Ale tych kilka minut chyba mi nie zaszkodzi, więc oglądałem razem z recepcjonistką. Dwudziestu jeden oczyszczonych całkowicie i kilkuset oczyszczonych częściowo. Jednoznaczne

ostrzeżenie dla państwa nieczystych.

- Aż wierzyć się nie chce, że to zdarzyło się w Japonii - powiedziała recepcjonistka. - W Ameryce - zgoda, ale tutaj?

Panel ekspertów debatuje nad „potwornością” tego, co się wydarzyło, ekspertów, w skład których wchodzi dziewiętnastoletnia gwiazda pop i profesor socjologii z Uniwersytetu Tokijskiego. Dlaczego Japończycy słuchają tylko gwiazd pop i profesorów? Bez końca puszczają ten sam materiał, scena z nieczyszczonymi, którzy wybiegają ze stacji metra z chusteczkami przyciśniętymi do ust, objawami nudności, trąc wściekle oczy. Bo jak powiada Jego Serendipity w 32. Świętym Objawieniu, Jeśli twe oko cię gorszy, wyrwij je. Obrazy oczyszczonych leżących nadal tam, gdzie czyściciele. Ci, którzy dokonali czyszczenia, przynieśli im wyzwolenie. Ich rozszlochane pozorne rodziny, pogrążone w niewiedzy. Ujęcie premiera, największego z nich głupka, który przysięga, że nie spocznie, dopóki „winni tej potworności nie staną przed obliczem sprawiedliwości”.

Czyż to nie jest rażąca hipokryzja? Czyż nie widzą, że prawdziwą potwornością jest dokonująca się we współczesnym świecie systematyczna rzeź ludzkiej istoty i jej animy? To, czego dokonało Bractwo, było jedynie kontratakiem wymierzonym w prawdziwą potworność naszej epoki. Pierwszą potyczką w długotrwałej wojnie, którą zrzędzeniem ewolucji pisane jest nam wygrać.

I dlaczego ludzie nie dostrzegają tej całej jałowości? Że to politykier, kolejny łapówkarz, specjalista od zdradzieckich ciosów w plecy, parszywy manipulator, który nie jest w stanie pojąć, w jakiej kloace się nurza; że też takie nikczemne nieczyste istoty w ogóle

liczą, że do czegokolwiek zmuszą Jego Serendipity? Boddhisatwę, który w każdej chwili może uczynić się niewidzialnym, lotnego jogina, boską istotę, która potrafi oddychać pod wodą. Doprowadzić Go i Jego sługi przed oblicze „sprawiedliwości”? A przecież to my jesteśmy lotnymi pełnomocnikami sprawiedliwości! Nie mam oczywiście jeszcze takiego ilorazu alfa, który pozwoliłby wykorzystać w celach obronnych telepatię bądź telekinezę, ale przecież od miejsca, w którym nastąpiło czyszczenie, dzielą mnie całe setki kilometrów. W ogóle nawet nie pomyślą, żeby mnie tu szukać.

Wymknąłem się z chłodnego holu.

Przez cały tydzień starałem się nie rzucać w oczy, ale taka niewidzialność też może zwracać uwagę. Wymyśliłem sobie spotkania służbowe i od poniedziałku do piątku punktualnie o 8.30 mijałem recepcjonistkę z lakonicznym „dzień dobry”. Czas włókł się niemiłosiernie. Naha to tylko jeszcze jedno małe miasteczko. Na głównych ulicach panoszą się Amerykanie z baz wojskowych, które obsiadły te wyspy jak zaraza, a wielu z nich z naszymi dziewczętami uwieszonymi u ramienia, prawie nagimi Japonkami pozasłanianymi jedynie niewielkimi paskami materiału. Mieszkańcy Okinawy małpują obcokrajowców.

Spacerowałem po sieci domów towarowych, obserwując nie kończące się kolejki spragnionych posiadania i kupujących. Chodziłem, póki nie rozbolały mnie nogi. Siadałem w zacienionych barach kawowych, gdzie półki uginają się od czasopism wypełnionych duchowym śmieciem. Podśluchiwałem biznesmenów kupujących i sprzedających nie swoją własność. I szedłem dalej. Ogłupieni codzienną pracą ludzie z rozdziawionymi gębami, wpatrzeni w grzechoczące pustką maszyny do gry w paczinko -

zupełnie jak ja sam kiedyś, zanim Jego Serendipity otworzył moje wewnętrzne oko. Turyści z głębi kraju zwiedzali sklepy z pamiątkami, wykupując całymi pudłami tandetę, której nikt naprawdę nie potrzebuje.

Typowi przybysze z zagranicy bez pozwolenia sprzedający na chodnikach zegarki i tanią biżuterię. Przemierzałem ukryte pod arkadami salony gier, w których po szkole zbierają się zaczadzone dzieci i godzinami wpatrują w ekrany, na których bitwy staczają cyborgi, fantomy i zombi będące uosobieniem zła. Sklepy dokładnie takie same jak wszędzie... Burger King, Benetton, Nike... Główne ulice wyglądają identycznie już chyba na całym świecie.

Przemierzałem więc zaułki, w których gospodynie domowe wietrzyły futony i po raz sześćdziesiąty przeżywały identyczny rok. Widziałem dziobatą twarz pochyloną nad kierownicą. Jej właściciel, człowiek umierający, który kaszlał, nawet nie wyjąwszy z ust papierosa, siedział na progu i naprawiał dziecinny trójkołowy rowerek. Bezzębna kobieta wystawiała wazon ze świeżymi kwiatami pod domowym sanktuarium. Któregoś popołudnia poszedłem do starego Pałacu Riukiu. Na dziedzińcu rzucały się w oczy automaty z napojami i sklep noszący nazwę „Święty Sermierz”, gdzie sprzedawano same pierścionki i filmy do aparatów fotograficznych. Na prastarych obwałowaniach mrowiły się dzieciaki z tokijskich ogólniaków. Chłopcy o wyglądzie dziewczyn - długowłosi, z poprzekłuwanymi uszami i wyskubanymi brwiami. Dziewczyny rozmawiające przez telefony komórkowe, roześmiane jak mały szerokonose. Nienawidzę ich, a świata nienawidzić musisz, Kwazarze.

Tak jest, Kwazarze. Znienawidźmy świat.

Jedynym spokojnym miejscem w Naha był port. Obserwowałem

łódki, mieszkańców wyspy, turystów i potężne statki handlowe. Zawsze lubiłem morze. Mój biologiczny wuj zabierał mnie do portu w Jokohamie. Braliśmy ze sobą atlas, żeby wyszukiwać w nim macierzyste porty statków i kraje, z których pochodzą.

Oczywiście wiele lat temu. Zanim wezwał mnie do siebie mój prawdziwy ojciec.

Któregoś dnia, gdy po południowym zabiegu oczyszczającym wyszedłem z transu alfa, zobaczyłem migoczący szprychami cień, który zastygł, zamieniając się w pająka. Już miałem splukać go w ubikacji, kiedy nagle ku memu zdziwieniu przekazał mi wiadomość alfa! To oczywiście Jego Serendipity posłużył się nim, by porozumieć się ze mną. Guru miał szelmowskie poczucie humoru.

- Odwagi, Kwazarze, mój wybrańcu. Odwagi i siły. To twoje przeznaczenie.

Padłem przed pająkiem na kolana. - Wiedziałem, że nie zapomnisz o mnie, panie! - odpowiedziałem i puściłem pająka, by pochodził sobie po moim ciele. Potem umieściłem go w małym słoiczku. Postanowiłem kupić lep na muchy, żeby móc tym sposobem dokarmiać mojego małego braciszka. Obaj przecież jesteśmy posłańcami Jego Serendipity.

Spekulacjom na temat kultu „dnia sądnego” nie ma końca. Ależ mnie to irytuje!

Bractwo opowiada się za życiem, a nie „sądnym dniem”. Wszelkie kulty oznaczają niewolę.

A Bractwo przecież wyzwala. Przywódcy kultów to dwulicowi kombinatorzy mający osobiste haremy pełne dziwek i ukrywający za sceną flotyllę rolls-royce'ów. Mnie dane było widzieć życie w wewnętrznym kręgu Guru - ani jednej dziewczyny w zasięgu wzroku! Jego Serendipity nie ima się lepka pajęczyna seksu. Żonę

Jego Serendipity wybrał sobie wyłącznie w tym celu, żeby rodziła mu dzieci. Zaspokajaniem skromnych domowych potrzeb Guru zajmują się młodszy synowie członków gabinetu i ulubieni uczniowie. Ci szczęściarze mają na sobie jedynie przepaski medytacyjne, tak więc w każdej chwili gotowi są przyjąć pozycję zazen alfa, ilekroć Mistrz raczy udzielić im swego błogosławieństwa. A w całym Sanktuarium są zaledwie trzy cadillaki - Jego Serendipity dobrze wie, kiedy poddawać egzorcyzmowi demony materializmu, które opętały nieczystych, a kiedy wyzyskiwać to opętanie w charakterze konia trojańskiego penetrującego bagnisko zewnętrznego świata.

Jego Serendipity, chcąc odsunąć wszelkie podejrzenia od Bractwa, wpuścił do Sanktuarium dziennikarzy, żeby sfilmowali braci i siostry w trakcie pomnażania potencjału alfa. Oglądali także nasze instalacje chemiczne. Minister nauki wyjaśnił, że produkujemy nawóz. Bractwo, jako zgromadzenie wegetarian, musi prowadzić - żartował - intensywną uprawę ogórków! Rozpoznałem moich braci i siostry. Za pośrednictwem ekranu telewizyjnego, na którym ukazywały się ich postacie, przekazali telepatyczne pokrzepienie dla swojego brata Kwazara. Wybuchnąłem śmiechem. Hieny nieczystych z wiadomości TV nawet się nie spostrzegły, że oskarżane przez nich Bractwo wykorzystało TV, by przekazać mi informacje. Wywiadu udzielił nawet sam minister bezpieczeństwa. Błyskotliwie odgrodził

Bractwo od jakichkolwiek związków z akcją czyszczenia. Bo, jak powiada Jego Serendipity w 13. Świętym Objawieniu, Demony można przechytrzyć tylko wtedy, gdy jest się tak przebiegłym jak pan piekiel.

Bardziej niepokojące były wywiady telewizyjne z zaślepionymi

nieczystymi.

Odszczepieńcami. Ludźmi, którzy zostali w miłości przyjęci do Bractwa, ale jednak tę miłość odrzucili i z powrotem pograżyli się w kloace zewnętrznego świata otaczającego Sanktuarium. Jego Serendipity pozwala w swym miłosierdziu żyć tym larwom, o ile w ogóle można to nazwać życiem, pod warunkiem że nie będą szkalować Bractwa. Jeżeli nie przestrzegają tej reguły i rozsiewają w prasie kłamstwa na temat Sanktuarium, minister bezpieczeństwa ma prawo do zorganizowania akcji wyczyszczenia ich i ich rodzin.

W telewizji twarze zaślepionych nieczystych zostały zamazane za pomocą techniki cyfrowej, ale nic z tego, nie dam się wyprowadzić w pole przez spreparowany obraz, nie przy moim ilorazie alfa. Jedną z nich była Majumi Aoi, która dołączyła do Bractwa, gdy ja przechodziłem Program Wstępny. Składała Jego Serendipity gołosłowne deklaracje, ale któregoś dnia, w ósmym tygodniu trwania Programu, obudziliśmy się rano i stwierdziliśmy, że jej nie ma. Wszyscy podejrzewaliśmy, że jest agentką policji. Kiedy usłyszałem jej kłamstwa na temat życia w Sanktuarium, wyłączyłem odbiornik i postanowiłem już nigdy nie oglądać telewizji.

W tydzień po mojej pierwszej rozmowie zadzwoniłem do Sanktuarium. Odezwał się nie znany mi głos.

- Dzień dobry. Tu Kwazar.

- A, Kwazar. Minister informacji jest dzisiaj zajęty. Jestem podsekretarzem w ministerstwie. Spodziewaliśmy się, że zadzwonisz. Widziałeś tę rosnącą histerię?

- Oczywiście, panie ministrze.

- No właśnie. Wygląda na to, że twoja akcja była aż z a bardzo

udana. Jego Serendipity kazał ci przekazać, żebyś się gdzieś zaszyl na jakieś parę tygodni.

- Zawsze posłusznie spełniam rozkazy Jego Serendipity. - Jeszcze jedno. Masz się przenieść w jakieś bardziej ustronne miejsce. Z czystej przestrogi. Nasi bracia w policji nieczystych poinformowali, że puszczono w obieg twoje zamiary. Musimy działać ostrożnie i przebiegle. Oficjalnie zaprzeczamy, jakobyś brał udział w ataku gazowym. Dzięki temu zyskamy na czasie, co pozwoli nam wzmocnić Bractwo nowymi braćmi i siostrami. Tę taktykę wypracowaliśmy w zeszłym roku, w trakcie naszego eksperymentalnego czyszczenia w Nagano. Tak łatwo wyprowadziliśmy w pole tych gnojników!

- Jeszcze jak, panie ministrze.

- W przypadku aresztowania przyjmujesz pełną odpowiedzialność za atak i utrzymujesz, że działałeś całkowicie samowolnie, po tym jak cię wydalono z Bractwa z powodu obłądzenia. Potem Jego Serendipity teleportuje cię z aresztu.

- Oczywiście, panie ministrze. Zawsze posłusznie spełniam rozkazy Jego Serendipity.

- Jesteś dla Bractwa bezcennym nabytkiem, Kwazarze. Jakies pytania?

- Ciekaw jestem, czy rozpoczęła się już druga faza naszego czyszczenia, panie ministrze? Czy nasi lotni jogini zostali wysłani do gmachu parlamentu z żądaniem włączenia nauk Jego Serendipity do narodowego programu? Gdybyśmy zanadto z tym zwlekali, wówczas nieczyści mogliby...

- Zapominasz się, Kwazarze! Od kiedy to w zakres twoich obowiązków wchodzi doradztwo w polityce zagranicznej Bractwa?

- Rozumiem swój błąd, panie ministrze. Proszę mi wybaczyć,

blagam pana.

- Już zostało ci wybaczone, drogi synu Jego Serendipity! Pewnie czujesz się samotny, tak daleko od rodziny?

- Tak, panie ministrze! Ale moi bracia i siostry przesłali mi na falach alfa wiadomości za pośrednictwem dzienników telewizyjnych. A Jego Serendipity przesyła mi w trakcie moich medytacji słowa pokrzepienia.

- Doskonale. Jeszcze jakieś dwa tygodnie i to powinno wystarczyć, Kwazarze. Jeżeli wyczerpią ci się fundusze, możesz skontaktować się z tajną służbą Bractwa przy pomocy zwykłego kodu. Poza tym obowiązuje cię cisza.

- Jeszcze jedno, panie ministrze. Ta apostatka, Majumi Aoi...

- Minister informacji już wie. Pieczęcie niechaj na wieki zamkną ujścia z kanałów nieczystych. Minister bezpieczeństwa podejmie działanie, kiedy przycichnie obecnie toczące się śledztwo. Może w przeszłości okazywaliśmy zbyt wiele litości. Teraz prowadzimy wojnę.

Wczesnym popołudniem, w porze palącego upału poszedłem do portu i wziąłem ze stojaka rozkład rejsów statków. Rozłożyłem mapę. Zawsze wolałem mapy od książek. Nie odgryzają się. Map się nie wyrzuca. Wyspy kusily cesarskimi szmaragdami na lazurowo niebieskim morzu. Zdecydowałem się na Kumedzimę, tak się nazywała. Pół dnia drogi na zachód, ale nie na tyle mała, by omijali ją turyści. Pływał tam za dnia tylko jeden statek, który wyruszał o 6.45. Kupiłem bilet na jutrzejszy rejs.

Resztę dnia przesiedziałem na kei. Powtarzałem wszystkie Święte Objawienia Jego Serendipity, nie zwracając uwagi na błakające się obok potępione dusze.

Wreszcie słońce, rozdygotane w szkarłatach, pograżyło się w

morzu. Nawet nie zauważyłem, jak się ściemniło. Ruszyłem z powrotem do hotelu, gdzie poinformowałem recepcjonistkę, że skończyłem swoje sprawy i nazajutrz rano odpływam do Osaki.

Pociąg tokijskiego metra był zatłoczony jak wagon bydłocy. Narządy poupychane w ciała pozawijane w ciuchy. Milczące i spocone. Trochę się bałem, że jakiś dureń przedwcześnie zbije te fiołki. Nasz minister nauki dokładnie wyjaśnił mi, na jakiej zasadzie to działa. Po zerwaniu pieczęci i równoczesnym naciśnięciu trzech guzików będę miał jeszcze trzy minuty na ucieczkę, zanim cewki skruszą fiołki i rozpocznie się wielkie czyszczenie świata.

Postawiłem paczkę na półce bagażowej i czekałem na odpowiedni moment.

Skoncentrowałem swój potencjał alfatelepatyczny i przesłałem wiadomości ze słowami otuchy do moich współbraci-czyścicieli rozsianych po różnych pociągach metra w całym Tokio.

Obserwowałem otaczających mnie ludzi. Nieczyści, których spotka zaszczyt doznania oczyszczenia w pierwszej kolejności. Milczący. Żałosni. Przeżarci duchową zgnilizną.

Zapętleni w nie kończącym się wirze kłamstw, cierpienia, niewiedzy. Zaledwie kilka centymetrów od siebie miałem dzieciaka w wełnianej czapeczce, przytroczonego do pleców matki. Spał, z ust ciekła mu ślina i zalatywał niemowlęcą wilgocią. Chyba dziewczynka, sądząc po różowej Minnie Mouse naszytej na czapeczce. Emeryci, których czekała już tylko zgrzybiała samotność i fotele na kółkach w „domach” spokojnej starości. Młodzi urzędnicy, przypuszczalnie przeżywający właśnie rozkwit kariery, chciwi i bezwzględni w swych dążeniach.

Los tych szumowin spoczywał w moich rękach, decydowałem o

ich życiu i śmierci!

Co mogliby powiedzieć? W jaki sposób próbowaliby odwieść mnie od mojego zamiaru? W jaki sposób usprawiedliwiłyby swoją egzystencję karaluchów? Od czego by zaczęli? Czy taka kijanka może w ogóle zwracać się do boga?

Wagon zakołysał się, zazgrzytał i światła na moment zbrązowiały.

Nie wszystko gra.

Przypomniałem sobie słowa wypowiedziane przez Jego Serendipity tego ranka. -

Widziałem kometę, daleko poza najodleglejszą orbitą ducha świata. Nadchodzi epoka Nowej Ziemi. Coraz bliżej sądu nad draństwem. Wystarczy niewielka pomoc z naszej strony, by wyciągnąć ich z nieszczęsnego położenia. Synowie, jesteście wybranymi pełnomocnikami Bóstwa.

W tych ostatnich chwilach, gdy pociąg wjeżdżał na stację, Jego Serendipity krzepił mnie wizją przyszłości. W ciągu trzech zaledwie lat Jego Serendipity zamierza wkroczyć do Jeruzalem. W tym samym roku pokłoni się Mekka, a papież i dalajlama zapragną nawrócenia.

Prezydenci Rosji i Stanów Zjednoczonych będą błagać Jego Serendipity o opiekę.

Dopiero w lipcu tego roku kometę wykryją obserwatoria na całym świecie. Ledwo minąwszy Neptuna, zbliża się do Ziemi i przysyłając Księżyc, nawet za dnia buchnie na niebie jaskrawym światłem ponad lotniskami, górami i miastami tego świata. Nieczyści wylęgają, witając tę najnowszą nowinę. I to ich zgubi! Ziemia skąpana w mikrofalach emitowanych przez kometę, przed którymi uchronić zdołają się tylko ci, którzy mają odpowiednio

wysoki iloraz alfa. Giną nieczyści, w konwulsjach, wydrapując sobie oczy, czując smród własnych ciał przepalonych do kości. Ci, co przeżyją, rozpoczną dzieło tworzenia Raju. Nastąpi objawienie Jego Serendipity w Jego Boskiej Postaci: z poczwarki Jego Ciała wyłoni się motyl.

Sięgam po omacku do perforowanej sportowej torby. Zrywam pieczęć. Muszę wcisnąć przełączniki i przytrzymać je przynajmniej na trzy sekundy, żeby zadziałał mechanizm zegarowy. Raz. Dwa. Trzy. Era Nowej Ziemi nadchodzi. Słyszę tykanie czasu Historii. Zamykam torbę na zamek błyskawiczny, upuszczam ją do stóp i ukradkiem wsuwam piętą pod siedzenie. Przedział jest tak zatłoczony, że żaden z zapełniających go zombi niczego nie zauważa.

Spełnia się wola Jego Serendipity.

Pociąg wjeżdża na stację i...

Słyszę hałasy dobiegające spod pokrywy wjazdu, ale nie śmiem wsłuchiwać się w niesione przez nie słowa.

Jeśli z hałasów w ogóle wyłonią się słowa, to nie teraz, jeszcze nie. Absolutnie nie.

Gdzie koniec tego wszystkiego?

Wsiąkłem w strumień pasażerów płynący w stronę ruchomych schodów i ulotniłem się.

Gdzieś ponad moim ramieniem pociąg przyśpieszał i znikał w oparach ciemności.

Znowu ukłucia w spoconych dłoniach. Po parapecie kroczyła mewa. Zajrzała do okna.

Miała okrutne oczy.

- Pańskie nazwisko? - Starsza pani, która prowadziła zajazd, rozciągnęła usta w uśmiechu świątynnego bożka. Dlaczego się

uśmiechała? Żeby mnie wyprowadzić z równowagi? Więcej miała ciemnych szczerb niż brązowych zębów.

- Nazywam się Tokunaga. Buntaro Tokunaga.

- Tokunaga... urocze nazwisko. Ma w sobie coś królewskiego.

- Nie zastanawiałem się nad tym.

- A czym się pan zajmuje?

Ciągle te pytania. Ci nieczyści naprawdę nie wiedzą, kiedy skończyć?

- Jestem zwykłym urzędnikiem. I nie pracuję dla żadnej słynnej firmy. Jestem szefem działu w małej firmie komputerowej na przedmieściach Tokio.

- Tokio? Ach tak? Nigdy nie byłam w głównej części kraju. Mamy mnóstwo wczasowiczów z Tokio. Ale nie poza sezonem, jak teraz. Sam się pan przekona, prawie wszystko świeci pustkami. Na główną wyspę jeżdżę raz do roku, żeby odwiedzić wnuki.

Mam czternaścioro wnucząt, wie pan. Oczywiście, kiedy mówię „główna wyspa”, mam na myśli Okinawę, a nie główną część Japonii. Nigdy nawet nie marzyłam, by tam pojechać!

- Doprawdy?

- Tokio podobno jest ogromne. Większe nawet od Naha. Szefem działu? No to matka z ojcem są pewnie z pana dumni! No, no, to wspaniale. Muszę jeszcze pana prosić o wypełnienie tych przeklętych formularzy, rozumie pan. Sama nie zawracałabym sobie tym głowy, ale córka mi każe. To wszystko ze względu na licencję i podatki. Istna mordęga. Niech tam. A jak długo zabawi pan u nas na Kumedzimie?

- Zamierzam posiedzieć parę tygodni.

- Doprawdy? No, to mam nadzieję, że znajdzie pan sobie jakieś zajęcie. Wie pan, to nie jest za duża wyspa. Może pan sobie połowić

ryby, posurfować albo ponurkować, nawet z akwalungiem... bo tak poza tym, żyje się tu bardzo spokojnie. Bez żadnego pośpiechu. Chyba nie tak jak w Tokio. A żona nie będzie tęsknić?

- Nie. - Przydałoby się już ją uciszyć. - Prawdę mówiąc, to przyjechałem na urlop okolicznościowy. Żona umarła miesiąc temu. Rak.

Mina starowinie zrzędła; zakryła usta dłonią. Ściszyła głos do szeptu. - Ojej.

Doprawdy? Ojej. To się znowu zagalopowałam. Ale wstyd przyniosłam córce. Zupełnie nie wiem, co powiedzieć... - Zaczęła sapać przepaszająco, co było w dwójnasób przykre, gdyż jej oddech cuchnął krewetkami.

- Proszę się nie martwić. Śmierć przyniosła jej ulgę od cierpienia. To prawda, że w okrutny sposób, ale jednak ulgę.

Proszę się nie przejmować. Tak czy inaczej, jestem trochę zmęczony. Zaprowadzi mnie pani do pokoju?

- Ależ oczywiście... Proszę, pańskie pantofle, już pokazuję panu łazienkę... To jadalnia. Proszę tędy... biedaku... Ach, przez co też pan nie przeszedł... Ale za to wybrał pan właściwą wyspę. Kumedzima cudownie uzdrawia. Zawsze tak uważałam...

Po wieczornych zabiegach oczyszczających poczułem znużenie, którego żadną miarą nie udało mi się rozproszyc poprzez ponowne skoncentrowanie potencjału alfa. Przeklinając własną słabość, poszedłem do łóżka i zapadłem w omal bezdenny sen.

Grunt znalazłem w tunelu. Zapomniany tunel metra zabudowany torami i rurami.

Miałem go patrolować i strzec od czyhającego tam na dole zła - na tym polegało moje zadanie. Podszedł do mnie starszy oficer. - Co tu robisz? - zapytał.

- Wykonuję rozkazy.

- To znaczy, jakie?

- Patrolowanie tunelu.

Gwizdnął przez zęby. - W Sanktuarium jak zwykle zamęt. Nowe zagrożenie się tu czai. Zło może cię dopaść tylko wtedy, gdy cię rozpozna. Jeżeli uda ci się zachować anonimowość, wszystko będzie w porządku. No więc nazwisko, żołnierzu.

- Kwazar.

- A nazwisko, jakie nosiłeś dawniej? Twoje prawdziwe nazwisko?

- Tanaka. Keisuke Tanaka.

- Jaki masz iloraz alfa, Keisuke?

- 16,9.

- Miejsce urodzenia?

Nagle uświadamiam sobie, że wpadłem w pułapkę! Zło to przecież ten oficer, który rozpracowuje mnie pytaniami, żeby mnie dopaść. Jedyne ratunek w tym, że nie dam po sobie poznać, że się połapałem. Nadal więc brnę, kiedy tunelem w naszą stronę nadchodzi jeszcze jedna postać. To kobieta. Niesie futerał na wiolonczelę i kwiaty - gdzieś już ją kiedyś widziałem. To ktoś z czasów, gdy byłem jeszcze nieoczyszczony. Zło przebrane za mojego zwierzchnika rusza w jej stronę i zaczyna zastawiać tę samą pułapkę. - Nie natknęłaś się na zło? Z czyjego upoważnienia tu jesteś? Nazwisko, adres, zawód - ale to już!

Muszę ją ratować. Nie mam żadnego planu, więc chwytam ją za rękę i biegniemy, szybciej niż podmuchy powietrza.

- Dlaczego biegniemy?

Nieznana kobieta na wzgórzu obserwująca zapadanie się drewnianego pala w ziemi.

- Przepraszam! Nie miałem czasu na wyjaśnienia! Ten oficer nie był prawdziwy. To tylko przebranie. To zło czające się w tych tunelach!

- Na pewno się pomyliłeś!

- Tak? A ty skąd wiesz?

W biegu trzymaliśmy się za ręce, mocno splatając palce, i dopiero teraz po raz pierwszy rzuciłem okiem na jej twarz. Dziewczyna zerka z ukosa, uśmiechając się, czekając, aż połapię się, w czym rzecz, że padłem ofiarą makabrycznego żartu. Mam przed sobą prawdziwe oblicze zła.

Następnego dnia zerwałem się wcześniej, żeby obejść wyspę. Morze było mlecznoturkusowe. Piasek biały, gorący, ustępował pod stopami. Ptaki, jakich jeszcze nigdy nie widziałem, łososioworóżowe motyle. Para zakochanych spacerująca z psem husky po plaży. Chłopak szeptał coś dziewczynie do ucha, ona wybuchała śmiechem. Pies czekał, aż któreś z nich rzuci mu kij, ale był za głupi i nie wiedział, że najpierw sam musiałby ten kij przynieść. Kiedy mnie mijali, nie zauważyłem, by któreś z nich nosiło obrączkę. Na lunch kupiłem sobie w popstrzonym przez muchy sklepiku trochę kulek ryżowych i mrożoną herbatę. Usiadłem na jakiejś mogile i zjadłem, usiłując sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni zdarzyło mi się przynależeć do czegoś. To znaczy, oprócz Sanktuarium. Minąłem prastare drzewo kamforowe i pole, na którym pasł się uwiązany kozioł. Z radiodbiorników ludzi pracujących w polu brzęczała tandetna muzyka. Płynęła drogą. Rolnicy omdlewali z upału pod plecionymi kapeluszami. Samochody rdzewiały zaparkowane w zatoczkach, rośliny strzelały spomiędzy chłodnic. Na samotnym cyplu stała latarnia morska. Podszedłem.

Była zamknięta na kłódkę.

Przy drodze zatrzymał się plantator trzciny cukrowej i zaproponował, że mnie podrzuci. Miałem obolałe nogi i skorzystałem. Mówił taką gwarą, że ledwie rozumiałem, co chce mi powiedzieć. Zaczął rozprawiać o pogodzie, na co reagowałem, wydając wszelkie stosowne dźwięki. Potem zabrał się do mnie. Wiedział, w którym zajeździe się zatrzymałem, na jak długo, znał fałszywe nazwisko, które podałem, zawód. Złożył mi nawet kondolencje z powodu śmierci żony. Ilekroć wypowiadał słowo „komputer”, zawsze opatrywał je cudzysłowem.

Gdy wróciłem do zajazdu, w rozplotkowanym kramiku interes już się kręcił. Na ladzie błyskał i migotał niemy telewizor. Na stoliku parowało pięć filiżanek z zieloną herbatą. Na ustawionych wokół krzeselkach siedziało kilka osób: mężczyzna, który, jak się domyślałem, był rybakiem, kobieta w kombinezonie siedząca po męsku, szczupłutka kobieta o cienkich wargach i mężczyzna z potężną brodawką zwisającą z brwi niczym kiść winogron.

Brylowała najwyraźniej stara kobieta prowadząca zajazd. - Do tej pory pamiętam to, co pokazali w telewizji tamtego dnia. Tych wszystkich biednych ludzi, którzy wychodzili, potykając się, z chusteczkami przyciśniętymi do ust... koszmar! Witamy po spacerze, panie Tokunaga. Był pan w Tokio podczas ataku?

- Nie, byłem służbowo w Jokohamie.

Wietrząc podstęp, przenikałem badawczo ich myśli. Bytem bezpieczny.

Rybak zapalił papierosa. - Jak to wyglądało następnego dnia?

- Oczywiście dla wielu ludzi było to zaskoczenie. Kobieta w kombinezonie kiwnęła głową i zaplotła ręce.

- Tak czy inaczej, wygląda na to, że już skończyli z tą bandą

wariatów.

- Co pani ma na myśli? - starałem się mówić spokojnym głosem.

Rybak spojrzał zaskoczony. - Nie słyszał pan? Policja zrobiła na nich nalot.

Najwyższy czas. Aktywa Bractwa zostały zamrożone. Ten ich tak zwany minister obrony został oskarżony o zamordowanie byłych członków sekty, a do tego aresztowano pięciu ludzi w związku z gazem. Dwóch z tych aresztowanych powiesiło się w celi. Listy pożegnalne, jakie zostawili, dostarczyły tyle dowodów, że będą kolejne aresztowania. Chciałby pan skorzystać z mojej gazety?

Wzdrygnąłem się na myśl, że miałbym przerzucać te płachty zadrukowane kłamstwami. - Nie, nie, w porządku. A co z ich Guru?
- I spłoną gałęzie w požodze lasu, ale z czystego serca nowe wyrosną pędy.

- Z kim? - właściciel brodawki wysiąkał gumowy nochal. Miałem ochotę sięść mu okrakiem na karku i ostrymi nożycami obciąć to jego paskudztwo.

- Przywódca Bractwa.

- A, ta larwa! Ukrywa się, jak jakiś tchórz! - Właściciel brodawki tłumił w głosie nienawiść! Jakąż menażerią stał się świat, skoro anioły ma w takiej pogardzie. - To istny diabeł, ot co. Diabeł z piekła rodem.

- Chodzące zło, ot co! Proszę, panie Tokunaga. - Staruszka podała mi filiżankę zielonej herbaty. Chciałem już wymknąć się do swojego pokoju i wszystko przemyśleć, ale łaknąłem świeżych wieści. - Grabi tych biednych głupków, którzy dołączają się do niego, a potem odgrywa ich ojca, każe odwalać za siebie brudną robotę, spełnia wszystkie te swoje niegodziwe wymysły i ucieka przed konsekwencjami.

Co za ignorancja, aż mnie zatyka! Już ja bym wytłumaczył tej hołocie!

- Przekracza ludzkie pojęcie - odezwała się kobieta w kombinezonie - jak coś takiego mogło się zdarzyć. Ale to chyba nie tylko on, co? Przecież w tym Bractwie byli inteligentni ludzie, po dobrych uniwersytetach, z dobrych rodzin. Policjanci, naukowcy, nauczyciele, prawnicy. Poważani ludzie. Jak mogli uwierzyć w ten alfa-nonsens tego całego Bractwa i przemienić się w morderców? Aż tyle zła jest na świecie?

- Pranie mózgu - powiedział właściciel brodawki, zwracając się do wszystkich. -

Pranie mózgu.

Szczupła kobieta przyglądała się smokowi wijącemu się wokół jej filiżanki. - To nie to, że oni postanowili zostać mordercami. Postanowili wyrzec się swego wewnętrznego ja. -

Nie podobała mi się. Wydawało się, że jej głos wydobywa się nie z niej samej, lecz z sąsiedniego pomieszczenia.

- Nie całkiem rozumiem, o czym mówisz - powiedziała kobieta w kombinezonie.

- Społeczeństwo to wyrzeczenie się ja zewnętrznego. - Z tego, w jaki sposób mówiła, wywnioskowałem, że jest nauczycielką. - Rezygnujemy z pewnych swobód, a w zamian zyskujemy cywilizację. Zyskujemy ochronę przed śmiercią głodową, bandytami i cholerą. To uczciwy układ. Podpisany w naszym imieniu w chwili narodzin przez system wychowawczy. Ale też wszyscy posiadamy ja wewnętrzne, które rozstrzyga o tym, w jakiej mierze respektujemy warunki tej umowy. Ja wewnętrzne to nasza odpowiedzialność za siebie. Obawiam się, że wielu młodych ludzi należących do Bractwa, mężczyzn i kobiet, przekazało tę swoją odpowiedzialność

w ręce Guru, żeby zrobił z nią, co mu się podoba. A zrobił z nią to - nauczycielka trzepnęła gazetą.

- Wygląda na to, że ma pani skryzalizowane poglądy - rzuciłem.

Szczupła kobieta spojrzała mi prosto w oczy. Z miejsca odpowiedziałem tym samym.

Nasze siostry w Sanktuarium uczymy pokory.

- Ale dlaczego? - Rybak zapalił fajkę, wciągnął policzki i wydał je. - Dlaczego ci jego wyznawcy tak rezygnują dla niego ze swojej woli?

Odezwała się szczupła kobieta. Mówiła, patrząc na mnie. - Trzeba by ich spytać.

Być może jest kilka odpowiedzi. Niektórym frajdę sprawia służalcze życie, w ponizeniu. Inni boją się samotności. Jeszcze inni pragną towarzystwa istot prześladowanych. Są tacy, którzy chcą zostać grubą rybą w małym stawie. Albo tacy, których pociąga magia. Jeszcze inni łakną zemsty na nauczycielach i rodzicach, którzy obiecywali im życiowe sukcesy. Potrzebują jaśniejszych mitów, takich, które nigdy się nie ziszczą i tym samym nie zostaną skalane.

Zrzeczenie się własnej woli to dla wyznawców niewielka cena. Nie będzie im ona potrzebna jako mieszkańcom Nowej Ziemi.

Nie mogłem dłużej tego słuchać. - Może pani to przeinterpretowuje. Może postępowali tak tylko dlatego, że go kochają. - Połknąłem herbatę jednym haustem.

Poparzyła mi język, a do tego była zbyt gorzka. - Mógłbym już prosić o klucz?

Staruszka leniwie podała mi klucz. - Pewnie jest pan wyczerpany po takim długim spacerze. Żona mojego siostrzeńca widziała pana koło latarni morskiej!

Tajemnic strzeże się tutaj przed przybyszami, ale nigdy przed mieszkańcami wyspy.

Leżałem na łóżku i płakałem.

Rzeź moich braci i sióstr! Który z moich współtowarzyszy w dziele oczyszczenia padł przy tej ostatniej przeszkodzie i dlaczego? Byliśmy bohaterami! Zaledwie kilka miesięcy przed końcem nieczystego świata! A byli już tak blisko raj! Tym bardziej zaskoczyło mnie to, że minister obrony dał się złapać. Przecież miał wystarczająco wysoki iloraz alfa, żeby spowodować przemieszczenie cząsteczek i przejść przez mury.

Pająk w słoju zdechł. Dlaczego? Dlaczego, dlaczego, dlaczego?

Po wieczornych zabiegach oczyszczających wybrałem się na obchód tej rybackiej wioski. Piszczące dzieciaki uganiały się w jakiejś niepojętej zabawie. Młodzież ubrana w swoje najmodniejsze ciuchy okupowała rogi ulic, ani chybi naśladując tokijskich nastolatków, podglądanych w kolorowych czasopismach. Matki wystawały przed supermarketem, plotkując na okrągło. Miałem ochotę do nich krzyknąć: - Już niedługo koniec świata, a wy wszyscy usmażycie się podczas Białych Nocy! Z baru dobiegało dudnienie okinawskiej muzyki, jeden jazgot i migotanie. Dopiero dochodząc do końca ulicy, dotarłem do gór, morza i nocy.

Szedłem kamienistą plażą. Plastikowe boje. Morskie kokosy połyskujące kształtem kobiecych pośladków. Dżonka wyrzucona na brzeg. Puszki, butelki, gumowe rękawice, pojemniki po detergentach. Spod łuszczącej się łodzi, która już nigdy nie uniesie się na fali, dobiegały pochrząkiwania i piski. W oddali jakiś cień rozpałał ognisko.

Jego Serendipity przemawia do mnie łomotaniem fal i odgłosem wody wsysanej między kamyki. Po co telefony, skoro jest telepatia?

Jego Serendipity powiedział mi, że jego zaufanemu czyścicielowi, Kwazarowi, przyszło odegrać najważniejszą rolę. Rozpoczął się Dzień Prześladowania, tak jak przepowiedziano w 143. Świętym Objawieniu. Mój Mistrz powiedział mi, że na czas Białych Nocy zostanę pasterzem wiernych. A gdy kometa już da początek Nowej Ziemi, znajdę się po prawicy Jego Serendipity i w Jego imieniu będę szafował sprawiedliwością i mądrością. Odparłem Jego Serendipity, że jestem gotów oddać za niego życie. Że miłuję go jak syn miłuje swego ojca i że jak ojciec swego syna będę go chronił. Jego Serendipity, setki mil stąd, uśmiechnął się. Do Bożego Narodzenia kometa tu będzie. Nowa Ziemia to już wcale nie taka odległa przyszłość. Bractwo Ludzi zgromadzi się na czyściejszej wyspie, a ci, którzy przetrwają, zwać mnie będą „Ojcem Kwazarem”. Nie będzie już żadnego znęcania się. Żadnego pastwienia się. Wszyscy egoiści, ludzie małoduszni, nieczyści, a do tego pozbawieni wiary usmażą się na tłuszczu swojej ignorancji.

Będziemy się żywili owocami papai, mango i orzechami nerkowca, nauczymy się wytwarzać tradycyjne narzędzia i poznamy piękną sztukę garncarstwa. Jego Serendipity będzie dobierał małżeństwa zgodnie z ilorazem alfa i nauczy nas zaawansowanych technik alfa, i będziemy odbywali podróże astralne, i odwiedzali inne gwiazdy.

Uklęknałem i podziękowałem memu Panu za słowa otuchy. Nad otwartą zatoką wschodził księżyc i jedna po drugiej zaczęły się ukazywać niezmiennie te same gwiazdy.

Dziewczynka w wełnianej czapeczce przytroczona do pleców matki otworzyła oczy.

To były moje oczy. Bez końca rozbrzmiewała chóralna pieśń uwolnionego od ciała głosu. A w tych moich oczach odbijała się jej

twarz. Dziewczynka wiedziała, co zamierzam zrobić. I prosiła, żeby nie. Ale przecież i tak, Kwazarze, pisana jej była śmierć, gdy kometa nadejdzie!

Skróćisz jej cierpienia w świecie nieczystych! A niewinni przecież odrodzą się, tworząc Bractwo Nowej Ziemi! Oczyszć się i utwierdź swoją wiarę - głęboko i szybko!

Na radiobudziku świeciła 1.33. Poprzez ściany dobiegała paskudna łomotanina karaoke. Całkowicie rozbudzony, leżałem spętany przepoconymi prześcieradłami niczym kaf-tanem bezpieczeństwa. Ból głowy wbijał mi się paluchami w skronie. Trzewia pulsowały od interferencji gamma: słaniając się, poszedłem do kibla. Srałem czarną oleistą papką nie strawionego pożywienia. Nie dawała mi spokoju myśl o szczupłej nauczycielce i o tym, co powinienem był powiedzieć, żeby ją usadzić. Błądziłem oczami po labiryncie zadeptanego linoleum. Wziąłem prysznic - tak gorący, że ciało ledwie to zniosło.

Po raz pierwszy od czasu mojej ceremonii inicjacyjnej w Bractwie kupiłem papierosy - w maszynie stojącej w opustoszałym holu. Wracając do pokoju, zapaliłem jednego. Na jakiś czas miało mi pomóc.

Moje ręce pokryły się plamami. Osiem czy dziewięć razy dziennie przeprowadzałem zabiegi oczyszczające, ale z moją skórą było coś nie tak. Zacząłem codziennie rano oglądać telewizję. Podjęto czynności zmierzające do rozwiązania i zdelegalizowania Bractwa.

Wymieniono moje nazwisko, pokazano zdjęcie wyciągnięte ze splądrowanych archiwów. Na szczęście miałem na nim ogoloną głowę, a do tego energetyzery alfa, więc podobieństwo nie było wyraźne. Jestem ostatnim z czyścicieli działających w Tokio, który

uniknął zatrzymania.

Widziałem moją pozorną rodzinę, ojca i matkę, osaczonych w samochodzie mojej siostry przez reporterów. Cała scena w świetle fleszy. Jego Serendipity pojmany i oskarżony o spisek mający na celu ludobójstwo, a także o oszustwo, uprowadzenia i posiadanie środków paraliżujących. W wiadomościach pokazywano ten sam urywek z Jego Serendipity, gdy przez agentów nieczystych zostaje wpakowany do samochodu i wieziony przez tłum domagający się jego krwi. Pokazywali to bez końca, dołączając ścieżkę z ponurym dźwiękiem, podpowiadając w ten sposób bezmyślnym ludziom, że Jego Serendipity jest nikczemnikiem, osobnikiem pokroju Dartha Vadera, wzbudzającym odrazę i strach. Pozostałych członków gabinetu także aresztowano. Prześcigali się we wzajemnym denuncjowaniu, w nadziei, że wyroki śmierci uda się zamienić na kary dożywotniego więzienia. Mnie samego zadenuncjował minister edukacji. Nawet żona Jego Serendipity wydała naszego Mistrza, twierdząc, że nic nie wiedziała o produkcji gazu. I to ona, a przecież tak się paliła do akcji czyszczenia! Któraś ze stacji telewizyjnych wypuściła swoich szakali do Los Angeles, żeby sfilmowali elitarną szkołę w Beverly Hills, w której uczyli się synowie Jego Serendipity.

Z portu zadzwoniłem do Sanktuarium.

- Podaj swoje nazwisko, zawód i miejsce, w którym obecnie przebywasz - usłyszałem zimny głos. Glina. Łatwo ich wyczuć na milę, nawet gdy się ma iloraz alfa muszki owocowej . Odłożyłem słuchawkę.

Ale to znaczy, że jest źle. W Japonii jestem skończony. Mój paszport leży w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, a więc nie mogę szukać pomocy u naszych rosyjskich czy koreańskich braci.

Kończą mi się pieniądze. Własnych pieniędzy oczywiście nie mam: po inicjacji wszystko do ostatniego jena przekazałem Bractwu.

Moja pozorna rodzina mnie wydziedziczyła i w razie czego doniesie na mnie. Tak samo moi pozorni przyjaciele z okresu życia w nieświadomości. To mnie smuci. Kiedy nastaną Białe Noce, zbiorą to, co sami zasiali. Moją prawdziwą rodziną jest Bractwo.

Była jeszcze jedna, ostatnia deska ratunku. Tajna służba Bractwa. W mediach nic nie było na temat ich aresztowania, więc może w porę się ukryli. Wybrałem tajny numer i podałem zakodowaną wiadomość Pora nakarmić psa.

Stałem ze słuchawką przy uchu i tak jak mnie uczono podczas sesji treningowych w Sanktuarium, nie odzywałem się. Funkcjonariusz tajnej służby po drugiej stronie odłożył słuchawkę, kiedy upłynął czas wystarczający na wyśledzenie miejsca, z którego dzwonię. A więc pomoc dotrze. Wyślę lewitatora z portfelem zawierającym plik banknotów po dziesięć tysięcy jenów. Lewitator zeskanuje mój alfapodpis i znajdzie mnie podczas jednej z wycieczek wokół wyspy, kiedy będę sam albo kiedy będę spał w palmowym zagajniku.

Obudzę się, a on pojawi się, gorejący niczym Budda albo archanioł Gabriel.

Kumedzima to mroczne, zaprzyiałe więzienie. I pomyśleć, że ten kawałek skały był

kiedyś głównym centrum handlu Cesarstwa Riukiu z Chinami. Łodzie wyładowane przyprawami, niewolnikami, koralem, kością słoniową, jedwabiem. Miecze, orzechy kokosowe, haszysz. Mężczyźni wypełniali okrzykami tętniący życiem port, stare kobiety siedziały w kucki na placu targowym, pilnując wagi, stert owoców i suszonych ryb. Dziewczęta z odsłoniętymi piersiami

wychylały się ponad kwietnikami z mroku okien, kusząc, pomrukując...

Teraz niczego już nie ma. Od dawna. Z Okinawy zostało obskurne zadośćuczynienie za lenno, o które kłócili się władcy zamieszkali daleko za krzywizną horyzontu. Nikt nie chce tego przyznać, ale dzisiaj wyspy umierają. Młodzi wynoszą się do głównej części kraju.

Rolnictwo by padło, gdyby nie subsydia i manipulowanie cenami. Kiedy amerykańscy gwałciciele wylecieli z wysp za sprawą działaczy pokojowych z głębi kraju, gospodarka zwolniła tempo, zaczęła! rzeźić i wyzionęła ducha. Ryby zniknęły, wyłowione przez trawlerzy przetwórnice. Tory prowadzące donikąd. Rozgrzebano budowy, ale skończyło się na połaciach betonu i stertach żwiru zarośniętych ostami. Było to idealne miejsce dla misji Jego Serendipity! Pragnąłem przebudzić ludzi, opowiedzieć im o Białych Nocach i Nowej Ziemi, ale bałem się zwracać na siebie uwagę. Przeciętność była moją ostatnią obroną. Kiedy i ta osłona się zużyje, chronił mnie już będzie tylko skromny potencjał alfa nowicjusza.

Zaczął mnie wczoraj zarośnięty miejscowy policjant. Mijałem go przed sklepem ze sprzętem do nurkowania, gdy] pochylony zawiązywał sznurowadła.

- Jak tam wakacje, panie Tokunaga?

- Jak najbardziej sprzyjają wypoczynkowi, proszę pana. Dziękuję.

- Z przykrością dowiedziałem się o pańskiej żonie. To musiało być bardzo bolesne przeżycie.

- Dziękuję za życzliwość. - Próbowałem zmusić go do odejścia, koncentrując potencjał alfa.

- A więc jutro pan wyjeżdża? Pani Mori z pensjonatu mówiła, że zatrzymał się pan na parę tygodni.

- Właściwie to myślę, że jeszcze przedłużę swój pobyt, tylko o kilka dni.

- Naprawdę? A firma nie będzie pana potrzebować?

- Właściwie to pracuję nad nowym systemem komputerowym. Mogę to robić równie dobrze tu, jak w Tokio. W rzeczy samej spokój i cisza bardziej sprzyjają natchnieniu.

Policjant kiwnął głową w zamyśleniu. - Tak się zastanawiam... Młodzież w ogólniaku założyła niedawno klub komputerowy. Moja bratowa jest tam dyrektorką. Nazywa się Oe. Zdaje się, że zdążył pan ją już poznać, u pani Mori. Zastanawiam się... pani Oe jest zbyt subtelna, żeby ośmielać się osobiście pana niepokoić, ale...

Czekałem.

- Byłoby wielkim zaszczytem dla naszej szkoły, gdyby zechciał pan kiedyś przyjść i opowiedzieć w klasie o życiu prawdziwej firmy komputerowej...

Wyczuwałem pułapkę. Ale bezpieczniej było spróbować wymknąć się później, niż od razu odmówić. - Nie ma sprawy.

- Byłoby nam bardzo miło. Wspomnę o tym szwagrowi przy najbliższej...

Na plaży spotkałem psa husky. Jego Serendipity postanowił tym razem zwrócić się do mnie za pośrednictwem jego szczęknięć

- Czegóż się spodziewałeś, Kwazarze? Myślałeś, że podniesienie kurtyny skrywającej epokę *homo serendipitusa* przyjdzie łatwo?

- Nie, panie. Ale kiedy lotni jogini zostaną wysłani do Białego Domu i do Parlamentu Europejskiego, żeby domagać się twego uwolnienia?

- Jedz jajka, mój oddany wyznawco.

- Jajka, panie?

- Jajka to symbol powtórnych narodzin, Kwazarze. Jedz także lody „Pomarańczowa Rakieta”.

- A one co symbolizują, Guru?

- Nic. Zawierają dużo witaminy C.

- Będzie, jak mówisz, panie. Ale lotni jogini, ojciec...

W odpowiedzi usłyszałem jedynie szczekanie psa, a zza sterty zardzewiałych beczek po oleju wyskoczyła nagle para zakochanych, obrzucając mnie zaintrygowanym spojrzeniem.

Wszyscy troje spojrzeliśmy po sobie zmieszani. Pies zadarł nogę i obsikał oponę stojącego opodal traktora. Ocean huczał obojętnie.

Dziewczynka w wełnianej czapeczce polubiła mnie. Jakim sposobem miałyby mnie polubić? To tylko pewnie powierzchowne wrażenie. Gaworzyła do mnie, uśmiechała się. Jej matka spojrzała, do kogo jej dziecko tak się uśmiecha, i sama się uśmiechnęła. Miała takie ciepłe oczy. Nie odwzajemniłem uśmiechu. Odwróciłem wzrok. Żałuję, że go nie odwzajemniłem. Ale nie żałuję, że uśmiechały się do mnie. Czy przeżyły? Czy gaz je dopadł?

Jeżeli nie zmieniły miejsca, to gaz wydostał się z paczki prosto do ich nozdrzy, oczu i płuc...

Mamo. Tato.

Myśmy się tylko bronili! To było któregoś dnia w czasie mojego przydziału do Ministerstwa Informacji. Pozorny krewny jednej z naszych siostr, jej nieczysty wuj, wniósł sprawę do sądu, żeby wstrzymać sprzedaż rodzinnego gospodarstwa. Był adwokatem specjalizującym się w prawie własności. Tajna służba zabrała jej rodzzonego brata na przesłuchanie. Jego Serendipity od razu wiedział, że był to szpieg nasłany przez nieczystych.

Wyglądało na to, że kroi się skrytobójczy spisek. Śmiechu warte!

Wszyscy w Sanktuarium wiedzieliśmy, jak przed trzydziestu laty, podróżując przez Tybet jako czysta świadomość nosząca imię Arupadhatu, przeistoczył się w Jego Serendipity i wyjawiał tajemnice wyzwolenia duszy z okowów ciała. To był początek drogi Jego Serendipity pod Świętą Górę. Gdyby nawet ciało Jego Serendipity doznało obrażeń, on sam mógłby je opuścić i przenieść się do innego, równie łatwo jak ja zmieniam hotele i wyspy. Mógłby się przenieść nawet do ciała swego zabójcy.

Tak czy inaczej, temu prawnikowi podano serum prawdy, i powiedział wszystko. Miał podłożyć bezwonną truciznę w kuchni, gdzie przygotowywano ryż, na tym polegała jego misja. Przesłuchiwała go osobiście żona Jego Serendipity, słyszałem.

I co! Przecież tylko się broniliśmy.

Zaczynają mi się ruszać paznokcie.

Popołudnie spędziłem na spacerze do latarni morskiej. Usiadłem na skale i patrzyłem na fale i ptaki. Wzdłuż wybrzeża chińskiego ciągnął tajfun, okrążał Tajwan i majaczył nad horyzontem Okinawy. Na zachodzie gromadziły się chmury, rozkręcały się wiatry. Mówiono o mnie i podjęto decyzje. Co poszło nie tak? Jeszcze kilka miesięcy i mój iloraz alfa wzrósłby do 25, sytuując mnie w czołowej dwusetce na Ziemi - Jego Serendipity zapewnił mnie o tym osobiście. Połknąłem kilka rzesz Jego Serendipity. Gdy udało mi się pozyskać kilku konwertytów do Programu Wstępnego, nagrodzono mnie próbną rurką do wsysania spermy naszego Guru. Sperma zwiększyła moją oporność gamma. Zdjęto mnie z listy sanitarnej i zostałem czyścicielem. Po raz pierwszy w życiu stawałem się kimś.

Dach z blachy falistej przykrywający opuszczoną szopę klekotał na wietrze.

Nic nie poszło źle. Nic nie poszło źle, Kwazarze. To twoja wiara zwróciła uwagę Jego Serendipity. To ona pozwoli ci przetrzymać Dni Prześladowania, przetrwać straszliwe czasy Białych Nocy, dojść do Nowej Ziemi. I właśnie ta twoja wiara teraz cię posili.

Wszystko wokół na tej zapomnianej przez boga i ludzi wyspie popada w ruinę.

Powinienem był pozostać w Naha. Powinienem był się ukryć w krainie śniegu albo na skutej mrozem Hokkaido, albo zgubić się w jakiejś odpowiadającej mi metropolii. Ciekawe, co się stało z panem Ikedą? Gdzie kończą ludzie, którzy i tak przebywają na marginesach własnego świata?

Zanosi się na tajfun.

Kotary zaciągnąłem. Rząd nieczystych - według doniesień, jakie otrzymało nasze Ministerstwo Obrony - opracował minikamery, wszczepiane następnie do czaszek mewom, które szkoli się w szpiegowaniu. Nie wspomnę już o amerykańskich tajnych satelitach przeszukujących cały glob, szpiegujących Bractwo na rozkaz polityków i Żydów, którzy dawno temu założyli lożę masońską i zapłacili Chińczykom za skażenie studni historii.

Siedziałem na samotnym cyplu oparty o latarnię morską. Zbliżały się poszukujące mnie reflektory. Szukałem kryjówki. Nie było. Obserwowała mnie mewa. Miała okrutne oczy. Podjechał niebiesko-biały samochód. Za późno zacząłem szukać kryjówki. Otworzyły się drzwi i mgliste światło rozjaśniło wnętrze.

Znaleźli mnie! Pozostała już tylko cela na wieki...

I nagle, jakie to dziwne, czuję ulgę, że już po wszystkim! Przynajmniej nie muszę już tak gonić.

Ręka już uprzątnęła rzeczy z przedniego siedzenia. Jej właściciel wychylił się. - Pan Tokunaga, prawda?

Przytaknąłem ponuro i ruszyłem w stronę tego, kto mnie pojmał.

- Poszukiwałem pana. Nazywam się Ota. Jestem kapitanem portu. Przed paroma dniami rozmawiał pan z moim bratem na temat wykładu w szkole mojej żony. Może podrzucić pana do miasta? Pewnie jest pan zmęczony po takim dalekim spacerze, do tego cały czas sam?

Zgodziłem się posłusznie i nadal dygocąc, wsiałem i zapiąłem pas.

- Szczęście, że przejeżdżałem... wie pan, było ostrzeżenie o tajfunie. Spostrzegłem jakąś postać, taka przygarbiona, jakby się zanosilo na koniec świata, i pomyślałem sobie, że to może pan Tokunaga. Ani trochę nie poprawił się panu dzisiaj nastrój?

- Nie.

- Może pan trochę przesadził. Powietrze wyspy dobrze robi na rozjaśnienie myśli, ale jak się wędruje w takim tempie jak pan... Strasznie mi przykro z powodu pana żony.

- Śmierć stanowi część życia.

- To rozsądna filozofia, ale też pewnie trudno panu utrzymać myśli w ryzach.

- Nietrudno. Z tym sobie radzę.

Przyhamował i parokrotnie zatrąbił na kozła stojącego na środku drogi. Zwierzę prychnęło na nas apodyktycznie i powędrowało w pole.

- Muszę powiedzieć pani Bessho, że Kaligula znowu uciekł. Człowiek sobie gada, a kozioł zajada! A więc powiada pan, że sobie z tym radzi. To świetnie, świetnie. Wie pan, byłoby zbrodnią nie popróbować nurkowania, skoro już pan tu jest. Mamy najpiękniejsze rafy na całym Pacyfiku na północ od równika. Przy

okazji, młodzież ogromnie cieszy się na myśl, że prawdziwy komputerowiec ma przyjść do nich na pogawędkę. Żadni z nich uczeni, ale mają zapał. Żona chciałaby, żeby wpadł pan do nas jutro na obiad, jeżeli znajdzie pan czas.

Cóż, niechże powie mi pan coś o sobie...

Droga wiła się pętlą wokół portu, zresztą jak wszystkie drogi na tej wyspie.

Chmury jedna po drugiej zaczęły wylewać się na gwiazdy.

TOKIO

Wiosna spóźniła się tego dżdżystego ranka. Spóźniłem się i ja. Pasażerowie płynęli strumieniem do pracy z postawionymi kołnierzami i parasolami. Drzewa wiśniowe rosnące wzdłuż cichych uliczek nadal nosiły zimową szatę - pomarszczone, dziobate, ociekające deszczem. Poszukałem kluczy, zaklekotały żaluzje i sklep otwarty.

Wstawiłem wodę i przejrzałem pocztę. Kilka zamówień - dobrze. Do tego same rachunki - fatalnie. Parę pytań od klienta z Nagano na temat rzadkich płyt, o których nigdy nie słyszałem. Papiery. Najzwyklejszy poranek. Czas na herbatę ulung. Nastawiam bardzo rzadkie nagranie Milesa Davisa. Takeshi odkrył je w pudełku z różnościami płytowymi, na które trafił w zeszłym miesiącu na aukcji w Szinagaua.

Prawdziwa perełka. *You Neuer Entered My Mind* sprawiało rozkosz, a zarazem wtrącało w rozpacz. Bezbłędne przytłumienia, brzmienie trąbki przesączające się w poje-dynczy promyk dźwięku. Mosiężna tarcza słońca przepadła za chmurami.

Pierwszym klientem w tym tygodniu okazał się cudzoziemiec - Amerykanin, Europejczyk albo Australijczyk, nigdy do końca nie wiadomo, bo oni wszyscy wyglądają tak samo. Pyszczaty cudzoziemski chudzielec. Był najprawdziwszym kolekcjonerem, a nie zwykłym szperaczem. W oczach błysk szaleństwa i palce wyćwiczone w wertowaniu całych metrów płyt w zawrotnym tempie, jak u kasjera liczącego banknoty. Kupił dziewiczy egzemplarz *Stormy Sunday* Kenny'ego Burrella i *Flight to Denmark* Duke'a Jordana, nagrane w 1973 roku. Do tego miał super T-shirta: wokół drapacza chmur latał nietoperz,

pozostawiając za sobą gwiazdny ślad. Zapytałem, skąd pochodzi. Odpowiedział, że bardzo dziękuje. Ci faceci z Zachodu za nic nie mogą nauczyć się japońskiego.

Chwilę później zadzwonił Takeszi.

- Satoru! Jak dzionek po wczorajszej labie?

- Dość spokojnie. Lekcja saksofonu po południu. Potem trochę połąziłem z Kodzi.

Pomogłem Taro przy dostawie z browaru.

- A może poczta przyniosła mi jakiś duży czek?

- Żeby zaraz duży, przykro mi, nic z tych rzeczy. Same rachunczki. A jak twój weekend?

Tylko czekał na to. - Jeszcze się pytasz! Spotkałem tę ślicznotkę z zeszłego piątku w klubie w Roppondzi. - Omal słyszałem, jak się ślini. - Masz, dwudziestka piątka - dla Takesziego to wiek idealny, bo tylko dziesięć lat mniej od niego. - Zaręczona - to tylko podnieca Takesziego dreszczem cudzołóstwa oddalając jakąkolwiek odpowiedzialność. -

Tylko te, które się rzną, bo mają więcej do stracenia niż ty - tak brzmiała jego dewiza. -

Waliłem do czwartej rano. Obudziłem się w sobotę po południu, ciuchy tył na przód, w jakimś hotelu w okręgu Czijoda. Nie mam pojęcia, jak się tam dostałem. A tamta wyszła spod prysznic, nagusienka, brązowiutka i ociekająca wodą, i niech mnie diabli, jeżeli jeszcze raz nie chciała!

- Musiało wam być jak w niebie. Spotykasz się z nią jeszcze?

- Jasne, spotykamy się codziennie. To miłość od pierwszego wejrzenia! Dzisiaj rano umówiliśmy się na kolację we francuskiej restauracji w Iczigaja - odparł, co miało oznaczać, że spotykają się w Iczigaja w pokoju na godziny. - Powaga, żebyś ty widział jej

dupcie!

Dwie przejrzałe nektarynki ściśnięte w torebce. Jedno ukłucie i eksplodują! Sok tryska wszędzie!

To było już chyba więcej, niż potrzebowałem wiedzieć. - Mówisz, że jest zaręczona?

- Tak. Z pracownikiem wydziału badawczo - rozwojowego pojemników na tusz do kopiarek w Fujitsu - znał pośrednika, który z kolei znał szefa wydziału jej ojca.

- Niektórzy to mają szczęście.

- I jest w porządku. Czego oczy nie widzą, no nie? Jestem pewien, że będzie z niej dobra żoneczka. Chce sobie przez parę nocy poswawolić i pogrześcić, zanim na zawsze ugrzęźnie w domu jako gospodyni.

Zdaje się, że to niezła zdzira. Takeszi jakby zapomniał, że ledwie dwa tygodnie temu próbował pogodzić się z żoną, która od niego odeszła.

Deszcz nieprzerwanie padał, odstraszał klientów. Najpierw delikatnie, potem mocniej i znowu delikatnie. W telefonach syczące zakłócenia. W *Blue in Green* Jimmy Cobb na perkusji.

Takeszi nadal wisiał przy słuchawce. Wyglądało na to, że teraz ja miałem z kolei się odezwać.

- Jaka ona jest? To znaczy, jaką ma osobowość?

- O, świetna - odpowiedział Takeszi, zupełnie jakbym pytał o nowy model maszynki do łuskania ryżu. - No dobra, muszę iść i doprowadzić do porządku swoje ukochane biuro pośrednika handlu nieruchomościami. Do tego coś kiepski ruch w interesie.

Sprzedaj mnóstwo płyt i przynieś mi mnóstwo pieniędzy. Jak będziesz czegoś potrzebował, zadzwoń na komórkę... - Jeszcze czego. Odłożył słuchawkę.

W Tokio mieszka i pracuje dwadzieścia milionów ludzi. Tokio jest tak rozległe, że nikt tak naprawdę nie wie, gdzie się kończy. Już dawno zajęło dolinę i teraz pełźnie na zachód pod górę, a na wschodzie wydziera morzu ziemię w zatoce. Miejskim przeróbkom nie ma końca. Mapa miasta jest nieaktualna już w chwili jej opublikowania. Tokio pnie się wzwyż i schodzi w głąb, jak również rozprzestrzenia się na boki. Zawsze coś się tu pod człowiekiem przemieszcza albo przemyka mu nad głową. Cała ta ludzka masa, te wiadukty, samochody, przejścia, tunele metra, biura, wieżowce, linie energetyczne, rury, mieszkania - wszystko to sumuje się i potężnieje. I trzeba działać, by nie dać się pogrążyć, chyba że godzimy się na los rozbitka bądź mrówki przemierzającej tunele. W mniejszych miastach ludzie mają szansę na zaaranżowanie otaczającej ich przestrzeni i odizolowanie się - dzięki temu nie zapominają, kim są. Ale nie w Tokio. Tu takiej przestrzeni zwyczajnie nie ma, chyba że jest się prezesem wielkiej firmy, gangsterem, politykiem albo cesarzem. W pociągach ciała napierają na ciała, po kilka dłoni trzyma się każdego uchwytu w wagonach metra. Z okien mieszkań widać już tylko okna innych mieszkań.

Nie, w Tokio miejsce dla siebie trzeba sobie wyrobić we własnej głowie.

Istnieją różne metody. Dla jednych jest to pot, ćwiczenie i wysiłek. Widuje się takich w salach gimnastycznych, na świetnie zorganizowanych basenach. Widuje się ich, jak biegają po małych, zdeptanych parkach. Inną metodą na wyrobienie sobie swojego miejsca jest telewizja. Jaskrawe, krzykliwe miejsce, zawsze dobrze oświetlone, wypełnione zabawą i dowcipami, w trakcie których podpowiada ci się, kiedy masz się śmiać, więc na pewno ich nie przegapisz. Wiadomości ze świata starannie przygotowywane z

myślą o tym, aby zanadto nie niepokoić, ale też niepokoić na tyle, byś był zadowolony, że nie mieszkasz w innym kraju.

Wiadomości okraszone muzyką, żebyś wiedział, kogo masz nienawidzić, komu współczuć, a z kogo się śmiać.

Miejsce Takesziego to nocne życie. Kluby, bary i zaludniające je kobiety.

Jest wiele innych miejsc. Istnieje całe zbudowane z nich niewidzialne Tokio, żyjące w naszych umysłach, jego obywateli. Internet, mangi, Hollywood, sekty głoszące koniec świata- wszystko to tworzy miejsca, do których możesz się udać i w których liczysz się jako jednostka. Są tacy, którzy chętnie ci opowiedzą o swoich miejscach i gęby przez całą noc nie zamkną. Inni strzegą swych miejsc pilnie, niczym ogrodu pośród górskiego lasu.

Ludzie nie posiadający żadnego miejsca to ci, którzy kończą, rzucając się na tory.

Moje miejsce ożywa za sprawą jazzu. Jazz tworzy piękne miejsce. Barwy i uczucia tryskają tu nie z oczu, lecz z dźwięków. Tak, jakby będąc niewidomym, widziało się więcej, co nie oznacza, że umiem to wszystko wyrazić w słowach. Dlatego właśnie pracuję w tym sklepie u Takesziego.

Zadzwoił telefon. Mama-san.

- Sato-kun, Akiko i Tomomi złapały tę paskudną grypę, co to teraz krąży, a Ajaka nadal czuje się kiepskawo. - Ajaka miała w zeszłym tygodniu skrobankę. - Więc będę musiała otworzyć bar i wcześniej zacząć. Są widoki na to, żebyś sam się dzisiaj uporał z obiadem?

- Skończyłem przecież osiemnaście lat! Oczywiście, że sam mogę się dzisiaj uporać z obiadem! - Roześmiała się chrapliwie, po swojemu. - Dobry z ciebie chłopak. -

Odłożyła słuchawkę.

Wpadłem w nastrój Billie Holiday. *Lady in Satin*, kawałek nagrany nocą po heroinie i butelce dżinu, na rok przed śmiercią. Beznadziejny, zalatujący jesienią głos oboju.

Rozmyślałem o mojej prawdziwej matce. Nie żebym tęsknił. I tak nie miałyby to sensu. Mama-san powiedziała, że matka została po tym wszystkim deportowana z powrotem na Filipiny i że nigdy nie będzie jej wolno wrócić do Japonii. Nic nie mogę na to poradzić, ale zastanawiam się - tylko czasami - kim jest teraz, co robi i czy w ogóle kiedykolwiek o mnie myśli.

Mama-san powiedziała mi, że mój ojciec miał osiemnaście lat, kiedy się urodziłem.

To znaczy, że mam tyle lat, że mógłbym być ojcem samego siebie. Ojciec oczywiście został przedstawiony jako ofiara. Niewiniątko zgwałcone przez uwodzicielkę z obcego kraju, która zatopiła w jego ciele swoje kły, żeby zdobyć wizę. Nigdy pewnie nie dowiem się prawdy, chyba że wzbogacę się na tyle, by wynająć prywatnego detektywa. Domyślam się, że w jego rodzinie pieniędzy nie brakowało, skoro mając zaledwie tyle lat co ja, był stałym klientem barów z dziewczynami i zapłacił za gruntowne wyczyszczenie smrodu po takim skandalu.

Chciałbym go spytać, co oboje z matką czuli do siebie, o ile w ogóle cokolwiek czuli.

Pewnego razu byłem przekonany, że się zjawił. Gość na luzie pod czterdziestkę. Miał na sobie ciemnobezową kurtkę z zamszu, na nogach piaskowe buty. Jedno ucho przekłute. Wiedziałem, że skądś go znam, ale doszedłem do wniosku że jest muzykiem. Rozejrzał się po sklepie, poprosił o nagranie Chicka Corei, które przypadkiem mieliśmy. Kupił, zapakowałem je i wyszedł. Dopiero

potem uprzytomniłem sobie, że przypominał mi mnie samego.

Wtedy próbowałem obliczyć, jakie szansę na przypadkowe spotkanie daje miasto wielkości Tokio, ale w kalkulatorze zabrakło miejsc po przecinku. Pomyślałem więc, że może odwiedził mnie incognito, bo był mnie ciekaw tak samo, jak ja byłem ciekaw jego. My, sieroty, spędzamy tyle czasu na nauce trzeźwego myślenia, że ilekroć mamy czas i miejsce, by sobie poidealizować, to - ho, ho - idealizujemy. Nie, żebym był prawdziwym sierotą.

Przecież zawsze zajmowała się mną Mama-san.

Wyszedłem na chwilę, by poczuć na skórze krople deszczu . Wrażenie takie, jakby się było częścią wielkiego wydechu. Dostawczy furgon zahamował ostro i zatrąbił na starszą panią z wózkiem, która odpowiedziała gniewnym spojrzeniem i wykonała w powietrzu taki gest, jakby rzucała urok. Furgon znowu zatrąbił jak wkurzony muppet. Minęła mnie dostojnym krokiem długonoga kobieta w norkach, najwyraźniej uważająca się za istotę nadzwyczaj atrakcyjną: miała oczywiście bogatego męża i prowadziła na smyczy rozlazłego psa z wywieszonym jęzorem dyndającym spomiędzy białych kłów. Nasze spojrzenia na chwilę się zetknęły - ujrzała absolwenta ogólniaka, który marnował lata swojej młodości, zaszyty w ciasnym sklepiku, w którym nikt by nie wysiedział, i poszła dalej.

To było moje miejsce. Kolejna płyta Billie Holiday. Śpiewała *Some Other Spring*, publiczność klaskała, aż słabnąc, wtopiła się w upalną, dawno minioną chicagowską letnią noc.

Telefon.

- Cześć, Satoru. To tylko ja, Kodzi.
- Ledwo cię słyszę! Co to za harmider w tle?
- Dzwonię z uczelnianej stołówki.

- Jak egzamin z inżynierii?

- No, naprawdę ciężko sobie na to zapracowałem... - Poszło mu.

- Gratulacje! To znaczy opłaciła się wizyta w świątyni? Kiedy wyniki?

- Za trzy czy cztery tygodnie. Cieszę się, że już po wszystkim. Za wcześnie na gratulacje, chociaż... Ejże, mama urządza wieczorem przyjęcie z sukijaki. Tata w tym tygodniu wraca do Tokio. Przyszło im do głowy, że może miałbyś ochotę pomóc nam w jedzeniu. Możesz? Jakby się zrobiło za późno, mógłbyś przekimać w pokoju mojej siostry.

Pojechała na szkolną wycieczkę na Okinawę.

Westchnąłem w duchu. Rodzice Kodziego to bardzo mili, bezpośredni ludzie, ale uważają, że ich obowiązkiem jest układanie mi życia. Nie mogą uwierzyć, że wystarczy mi już to, gdzie jestem, moje płyty, saksofon i moje miejsce. Pod tą ich troską wyczuwam litość, a ja kicham na to, że nie mam rodziców, i litości nie potrzebuję.

Ale Kodzi jest moim przyjacielem, chyba jedynym. Chętnie przyjdę. Co mam zabrać?

- Nic, tylko siebie. - Aha, kwiaty dla jego mamy i gorzała dla taty.

- No to wpadnę po pracy.

- Dobra. Na razie. - Na razie.

Przyszła pora, kiedy puszczam Mała Waldrona. Po przerwie krótko jest otwarte.

Właściciel warzywniaka po drugiej stronie ulicy wnosił skrzynki z białymi rzodkiewkami, marchewkami i korzeniami lotosu. Spuścił żaluzje i widząc mnie poważnie skinął głową.

Nigdy się nie uśmiecha. Przejechała z dygotem ciężarówka,

płosząc gołębie. Każda nuta z *Left Alone* spadała kroplą ołowiu do głębokiej studni. Saksofon Jackiego McLeana krążył w przestworzach, tak smutny, że ledwie mógł oderwać się od ziemi.

Otworzyły się drzwi i poczułem zlane deszczem powietrze. Weszły cztery dziewczyny z ogólniaka - jedna z nich była zupełnie, ale to zupełnie inna. Pulsowała w niewidzialny sposób niczym kwazar. Wiem, że to brzmi głupio, ale tak było.

Trzy ptasie główki podskoczyły do lady. Dziewczyny były dość miłe, ale wyglądały jak klony z jednego jaja. Tej samej długości włosy, szminka w tym samym kolorze, identycznie wyginające się ciała pod takimi samymi mundurka mi. Najważniejsza z nich poprosiła rozkapryszonym i pretensjonalnym głosem o najnowszy przebój dla nastolatków w stylu dwoob.

Nawet nie zwracałem sobie głowy, żeby ich słuchać. Nic umiem opisywać kobiet, jak choćby Takeshi czy Kodzi. Ale jeżeli znacie *After the Rain* Duke'a Pearsona, to właśnie ta czwarta była tak piękna i czysta.

Stała przy oknie i wyglądała. Co tam widziała? Była skrepowana zachowaniem koleżanek. Bo i powinna być! Była taka prawdziwa, podczas gdy stojące obok niej dziewczyny przypominały ledwie tekturowe wycinanki. I prawdziwe pewnie było to, co jej się przydarzało, skoro była taka, jaka była, a ja chciałem to wszystko poznać, czytać niczym książkę. Przedziwne to było uczucie. Nieustannie rozmyślałem, choć nie jestem pewien, o czym. Nie jestem pewien, czy w ogóle o czymkolwiek myślałem.

Słuchała muzyki! Bala się, że jeśli się poruszy, to muzykę spłoszy.

- No to masz to nagranie, czy nie? - zaskrzeczała jedna z tekturowych dziewczyn.

Trzeba chyba długo trenować, żeby się dorobić takiego drażniącego głosiku.

Druga zachichotała.

W torebce prowodyrki zaćwierkała komórka; wyjęła ją.

Byłem na nie wściekły, że odrywają mnie od tamtej.

- To sklep dla kolekcjonerów płyt. W pasażu handlowym obok stacji metra jest sklep z zabawkami, który sprzedaje to, czego szukasz.

Francuskie pieski z Szibuja karmione ptasim mleczkiem. A dziewczyny u Mamy-san muszą się uczyć, jak przetrwać. Muszą utrzymywać opiekunów, dbać o wygląd, zachowywać uczciwość, a zarabiają blizny. Ale dbają o swoją godność i dają to odczuć. Szanują się też nawzajem. I ja je szanuję, są autentyczne.

Natomiast w tych dziewczynach nie ma nic prawdziwego: wyuczony na czasopismach wyraz twarzy, podchwycona z czasopism gadka i podpatrzone w czasopismach modne akcesoria. Z własnej woli to wybrały. I nawet nie wiem, czy je potępiać. Blizny to nic przyjemnego! Ale żeby wszystkie tak samo płytkie, pełne blichtru, jedna w drugą identyczne i błahe jak w czasopismach?

- Coś chyba spięty jesteś? Dziewczyna cię rzuciła? - Prowodyrka przechyliła się przez ladę i kołysała się zaledwie kilka cali od mojej twarzy. Pomyślałem sobie, że obnosi tę swoją twarz po barach, samochodach i hotelach z pokojami na godziny.

Jej koleżanka pisnęła śmiechem i odciągnęła ją, zanim zdążyłem obmyślić ciętą replikę. Cofnęły się gromadą ku drzwiom.

- Mówiłam ci! - odezwała się jedna. Trzecia nadal rozmawiała przez komórkę. - Nie wiem, gdzie jesteśmy. Jakaś zasrana kanciapa na jakimś zadupiu. A ty gdzie jesteś?

- Idziesz? - rzuciła prowodyrka do dziewczyny, która słuchając

Mała, zapatrzyła się w przestrzeń.

Nie, myślałem z natężeniem, powiedz, że nie, i zostań ze mną w mojej przestrzeni.

- Pytałam, czy idziesz? - powtórzyła prowadyrka. Może jest głucha?

- Chyba tak - odpowiedziała głosem tchnącym autentyzmem. Pięknym, prawdziwym głosem.

Spójrz na mnie, prosiłem usilnie. Spójrz na mnie. Proszę. Tylko raz, prosto w oczy.

Wychodząc, rzuciła mi spojrzenie przez ramię - serce j mi podskoczyło - i wyszła za tamtymi na ulicę.

Wiśniowe drzewa pączkowały. Rdzawoczerwone pędy pęczniały pod lakierem kory.

Gołębie straszyły pióra i pusząc się, chodziły - szkoda, że nie wiem więcej o gołębiach.

Kroczyły tak dumnie, bo odbywały gody, czy może dlatego, że taka jest ich natura?

Przydałaby się taka wiedza w programach szkolnych. A nie takie bzdury jak choćby to, co jest stolicą Mongolii. Na dworze było cieplej i powietrze zrobiło się wilgotne. Zupełnie jak w namiocie. W jednym z wejść w sąsiedztwie łomotała wiertarka udarowa. Takeshi mówił że otwierają kolejny sklep z nartami i sprzętem surfingowym. Ilu surferów jest w Tokio, ilu narciarzy?

Nastawiam płytę z antologii Charliego Parkera i mocno podkreślam, żeby zagłuszyć dzwonięcie metalu. Charlie Parker rozplywający się i pełen raptownych skrętów dobrze wie, co to okrucieństwo. *Relaxing at Camarillo, How Deep is the Ocean?, All the Things You Are, Out of Nowhere, A Night in Tunisia.*

Ubrałem dziewczynę w sukienkę z bawełnianej surówki, a ona

wymknęła się, jakby wychodziła z afrykańskiego szałas.

W tym świecie bycie kimś tak odmiennym jak ja jest karalne.

Byłem kiedyś z Kodzi w Roppondzi, jemu zachciało się podrywać i zagadnął kilka dziewczyn ze Szkocji. Ja poprostu założyłem, że to nauczycielki angielskiego w jakiejś zapyziałej szkole, ale okazało się, że są „egzotycznymi tancerkami”. Kodzi naprawdę jest dobry z angielskiego - w szkole zawsze był w czołówce. Angielski to była specjalność dziewczyn, a ja nigdy za wiele nie uczyłem się tego języka, ale kiedy odkryłem jazz, zacząłem się uczyć w domu, bo chciałem czytać wywiady z wielkimi muzykami, a wszyscy to Amerykanie.

Czytanie, owszem, swoją drogą, ale mówienie to już zupełnie inna sprawa. Tak więc Kodzi przeważnie tłumaczył. Tak czy inaczej, te dziewczyny mówiły, że wszędzie, gdzie były, każdy chce być inny. Farbują włosy na taki kolor, jakiego nikt inny nie ma, kupują ciuchy, jakich nikt inny nie nosi, łapią się za muzykę, której nikt inny nie zna. Niesamowite. I zapytały, dlaczego wszystkie tutejsze dziewczyny chcą wyglądać identycznie. Bo, oczywiście, są dziewczynami! A dlaczego wszyscy gliniarze wyglądają tak samo? Bo są gliniarzami. - Wtedy jedna z nich zapytała, dlaczego japońskie dzieci próbują małpować dzieciaki amerykańskie. Ciuchy, muzyka rap, skateboard, włosy. Chciałem odpowiedzieć, że to nie w tym rzecz, że małpują Amerykanów, ale że odrzucają japońskość swoich rodziców.

A ponieważ nie ma rodzimej kontrkultury, więc chwytają tę, którą mają pod ręką, a która przypadkiem jest amerykańska. Ale to nie kultura amerykańska nas wyzyskuje. To my ją wyzyskujemy.

Kodzi pogubił się, usiłując przetłumaczyć ostatni kawałek.

Próbowałem podpytać je o ich duchowe miejsca, o wnętrza, bo wydawało mi się, że to ważne. Ale w odpowiedzi tylko usłyszałem, że tutaj są takie małe mieszkania i że w Brytanii wszyscy mają centralne ogrzewanie. Potem pojawili się ich chłopcy, te wielkie cholerne goryle z US Navy. Spojrzeli na nas z góry bez specjalnego zainteresowania, a ja i Kodzi uznaliśmy, że czas na kolejnego drinka w barze.

Ależ tak, z pewnością jest tu inaczej. Przez cały ogólniak ludzie truli mi na temat moich rodziców. Znalezienie pracy na część etatu też nie było łatwe: było tak samo trudne jak posiadanie rodziców Koreańczyków. Ludzie rozpoznają. Byłoby mi łatwiej, gdybym powiedział, że zginęli w wypadku, ale nie zamierzałem przez tych kutafonów kłamać. Poza tym mówiąc, że ktoś nie żyje, tylko kusi się los i można sprowadzić na niego przedwczesną śmierć. W Tokio plotka działa telepatycznie. Miasto jest ogromne, ale zawsze znajdzie się ktoś, kto zna kogoś, kto kogoś zna. Anonimowość nie wyklucza zbiegu okoliczności: sprawia tylko, że zbiegi okoliczności uderzają swoją dziwnością. Dlatego właśnie nadal jestem przekonany, że mój ojciec mógł wówczas przybłąkać się do sklepu.

Tak więc od szkoły podstawowej zawsze wdawałem się w jakieś bójki. Często przegrywałem, ale to nie ma znaczenia. Taro, ochroniarz Mamy-san, zawsze powtarzał mi, że lepiej walczyć i przegrać, niż cierpieć, ponieważ nawet jeśli walcząc się przegra, to duch i tak wyjdzie z tego bez szwanku. Taro uczył mnie, że duch budzi szacunek wśród ludzi a tchórze nie szanują nawet sami tchórze. Uczył mnie także, jak wyższych przeciwników powalić uderzeniem z głowy, jak przykopać kolanem w jaja i jak wykręcić gościowi rękę więc do ogólniaka nikt mi już nie podskoczył. Któregoś razu przed szkołą czekał na mnie młodzieżowy gang

jakuzy - bo jednemu z ich braciszków puściłem krew z nosa. Do tej pory nie wiem, kto dał cynk Mamie-san - najpewniej Kodzi - ale tym razem Mama-san posłała Taro, żeby mnie zabrał. Odczekał, aż okrążą mnie na ulicy, wtedy wkroczył i tak ich nastraszył, że robili w portki. Teraz sobie myślę, że Taro bardziej niż ktokolwiek inny był mi ojcem.

Wszedł skórzasty facet w krwistoczerwonej kurtce, nie zwracając na mnie uwagi.

Znalazł dział z płytami Charlesa Mingusa i wykupił dwie trzecie zapasu, w tym rzeczy dla kolekcjonerów, wyszarpując banknoty po dziesięć tysięcy jenów niczym papier toaletowy.

Wydawało się, że gałki oczne pulsują mu w rytm basu. Wszedł, niosąc zakupy w tekturowym pudle, które sam sobie złożył na ladzie. Nie poprosił o rabat, chociaż chętnie bym mu dał, i tym sposobem zostałem z plikiem banknotów w garści. Zadzwoiłem do Takesziego, żeby przekazać mu dobre wieści i że może najlepiej byłoby, żeby jeszcze wieczorem wpadł i zabrał pieniądze. Wiedziałem, że ma problemy z przepływem gotówki.

- Ach, kochanie! - sapnął Takeszi. - To o to chodzi. To naprawdę bardzo dobrze.

W tle słyhać było halucynogenną muzykę, która dźwięczała bólem głowy, i głos kobiety torturowanej łaskotkami.

Czując, że zadzwoniłem nie w porę, pożegnałem się i odłożyłem słuchawkę.

A przecież była dopiero 11 rano.

Kodzi był w ogólniaku klasowym mądrąłą, co ponadto spychało go na pozycje outsidera. Powinien był wybrać o wiele lepszy ogólniak, ale zanim skończył piętnaście lat, je-go ojca nieustannie przenoszono z miejsca na miejsce, więc niełatwo mu było nadażać.

Jeżeli chodzi o sport, Kodziemmu fatalnie nie szło. W ciągu trzech lat nie widziałem, żeby mu się udało trafić kijem w piłkę do bejsbolu, słowo daję. Raz tylko pamiętam, że wziął potężny zamach, ale kij wyleciał mu z rąk i pomknął w powietrzu jak pocisk prosto w pana Ikedę, naszego wuefistę, który ubóstwiał Jukio Miszimę, choć wątpię, czy w całym swoim życiu przeczytał jakąś książkę do końca.

Pokładałem się ze śmiechu, ale nie połapałem się, że tylko ja. Kosztowało mnie to cały semestr szorowania szkolnych kibli, do spółki z Kodzim. I wtedy dowiedziałem się, że Kodzi uwielbia grać na pianinie. Ja gram na saksofonie tenorowym. W taki właśnie sposób poznałem Kodziego. Zdyszany wuefista i najbardziej cuchnące kible w całym tokijskim systemie oświatowym.

W porze lunchu wpadł pan Fudżimoto, jeden z naszych stałych klientów. Dzwonek zadzwonił i podmuch powietrza porozrzucił po sklepie papiery. Jak zwykle roześmiał się.

Śmiał się, ponieważ ucieszył się na mój widok. Na ladzie postawił małą paczkę książek dla mnie. Zawsze usiłuję za nie zapłacić, ale on nigdy mi nie pozwala. Twierdzi, że to opłata za konsultację w dziedzinie płyt jazzowych.

- Dzień dobry panu! Jak praca dzisiaj?

- Okropnie! - pan Fudżimoto mówi tylko jednym tonem, i to bardzo donośnym.

Zupełnie jakby najbardziej obawiał się tego, że nie zostanie usłyszany. A kiedy naprawdę się roześmieje, to hałas omalże człowieka odrzuca.

Sklep znajduje się dokładnie jak strzelił pomiędzy dzielnicą biznesu Otemaczi i dzielnicą wydawniczą wokół Oczanomizu, tak więc nasi klienci-inteligenci zazwyczaj pracują tu albo tam. Zawsze można ich odróżnić. Wielkie pieniądze zostawiają pewne piętno na

wyglądzie tego, kto zawodowo się nimi zajmuje. Pewną czujność i głód. Trudno to wprost wskazać palcem, ale jest coś takiego. Nawiasem mówiąc, pieniądze to także jedno z tych wewnętrznych miejsc. zwalają znaleźć własną miarę.

Pracownicy wydawnictw jednakże często przeżywają okresy maniakalnej wesołości.

Najlepszym przykładem jest pan Fudzimoto. Regularnie i zawzięcie układa kalambury. Na przykład:

- Dzień dobry, Satoru-kun! Czy nie mógłbyś namówić Takesiego, żeby położył tu świeżą warstwę farby? Ta wygląda na cokolwiek zużyta.

- Tak pan uważa? - Wyczuwam nieuchronnie mając nastąpić zagranie.

- Stanowczo! Zdecydowanie płytka. Hm?

- Płytko! Oczywiście CD!

Krzywię się w wyrazie autentycznego cierpienia, a pan Fudzimoto rechocze z wdzięcznością. Im gorzej, tym lepiej.

Tym razem pan Fudzimoto szukał w porze lunchu czegoś w stylu Lee Morgana.

Poleciłem mu *A Caddy for Daddy* Hanka Mobleya, co z miejsca kupił. Znam jego upodobania. Wszystko po stronie zwariowanego funky. Kiedy wydawałem mu resztę, raptem spoważniał. Przystawił się na bardziej oficjalną wymowę, zdjął swoje toporne okulary i zaczął

przecierać szkła.

- Zastanawiałem się, czy nie zapisałbyś się może w przyszłym roku na uczelnię?

- Naprawdę, nie...

- Więc może pomyślałbyś nad wyborem konkretnego zawodu?

Z góry sobie wszystko ukartował. Domyślałem się, co będzie dalej.

- Naprawdę niczego jeszcze w tej chwili nie planuję. Chyba jeszcze poczekam i zobaczę.

- Ależ oczywiście, Satoru, to nie moja sprawa i wybaczone, że w ogóle wtrącam się w twoje plany, ale pytam tylko dlatego, że jest w moim biurze kilka stanowisk, które właśnie się zwolniły... Bardzo skromnych. Właściwie to tylko zwykli asystenci redakcyjni, ale gdybyś był zainteresowany, to byłbym szczęśliwy, mogąc cię polecić na jedno z tych stanowisk.

Mógłbym ci załatwić rozmowę kwalifikacyjną. A to byłby już punkt zaczepienia. Sam w ten sposób zaczynałem, wiesz. każdy od czasu do czasu potrzebuje poparcia.

Rozejrzałem się po sklepie.

- To bardzo wspaniałomyślna propozycja, proszę pana, i nie za bardzo wiem, co mam odpowiedzieć.

- Przemyśl to, Satoru. Na kilka dni wyjeżdżam służbowo do Kioto. Przed moim powrotem nie rozpoczniemy rozmów kwalifikacyjnych. Byłbym szczęśliwy, gdybym w twoim imieniu mógł zamienić kilka słów z twoim obecnym pracodawcą, jeżeli to właśnie cię martwi... Wiem, że Takeshi ma dla ciebie wiele szacunku, więc na pewno nie będzie miał nic przeciwko.

- Nie, to naprawdę nie to. Dziękuję. Poważnie nad tym pomyślę. Dziękuję panu... Ile się należy za książki?

- Nic. To twoje honorarium za konsultacje. To tylko kilka egzemplarzy okazowych, rozdajemy je za darmo ludziom z branży. Te kieszonkowe wydania klasyki znikają z półek.

Pamiętam, że podobał ci się *Wielki Gatsby* - właśnie wydaliśmy nowele Fitzgeralda w nowym przekładzie Murakamiego, jest

Władca much i nowy Garcia Marquez.

- Jakże miło z pana strony.

- Daj spokój! Chciałem tylko, żebyś miał wyobrażenie, jak poważne rzeczy wydajemy.

Są gorsze sposoby zarabiania na życie.

O tej dziewczynie zacząłem myśleć dzień w dzień. Dwadzieścia albo trzydzieści razy dziennie. Przyłapywałem się na tym, że myślę o niej i już nie chcę przestać, zupełnie jakbym w zimowy poranek nie chciał wyjść spod gorącego prysznica. Przeczesałem palcami włosy i przyglądałem się swojej twarzy, wykorzystując CD z Fatsem Navarro w charakterze podręcznego lusterka. A czy ona to samo czuje? Nie potrafiłem sobie nawet przypomnieć, jak dokładnie wygląda. Gładka skóra, wystające kości policzkowe, ostro zarysowane brwi. Jak chińska cesarzowa. Rozmyślając o niej, nie myślałem nawet specjalnie o jej twarzy. Po prostu była, jak nie nazwana jeszcze barwa. Jej idea.

Zezłościłem się na siebie. Jakże mam ją jeszcze kiedykolwiek zobaczyć? Przecież jesteśmy w Tokio. A zresztą, nawet gdybym znowu ją spotkał, dlaczego miałyby w ogóle się mną zainteresować? Zawsze tylko jedna myśl się mnie trzyma. Ale równie dobrze to ona może się okazać warta zachodu.

Przypomniałem sobie o propozycji pana Fudzimoto. Czym ja się tutaj zajmuję? Kodzi jakoś sobie radzi w życiu. Wszyscy koledzy z klasy studiują albo pracują w firmach. O ich postępach niezawodnie informowała mnie mama Kodziego. A ja czym się zajmuję?

Za witryną przemknął chłopak w fotelu na kółkach.

Ejże, ejże, to moje miejsce, pamiętaj. Pora na jazz.

Undercurrent Jima Halla i Billa Evansa. Album tryskający

wodą, raz wzburzenia i muskające podmuchy wiatru, kiedy indziej znowu cisza i spoczynek pod drzewami. W innych utworach akordy iskrzące się na okolonych wyspami morzach.

Dziewczyny też tam nie brakło, naga płynęła stylem grzbietowym, unoszona prądami.

Zrobiłem sobie zielonej herbaty i obserwowałem, jak para wsiąka w pęknięte popołudnie. Do okna zapukał Kodzi, szczerząc głupkowato zęby i przyciskając twarz do szyby, przez co wyglądał jak jadowity karzeł.

Musiałem odwzajemnić ten uśmiech. Wszedł, nierównym, zamaszystym krokiem.

- Kawał drogi do ciebie. Przechodziłem koło Mister Donuts. Może waniliowy *AngelDonuts*, co?

- Dzięki. Pozwól, że ci zrobię herbaty. Ta płyta Keitha Jarreta, wspaniała, przyszła wczoraj, musisz jej posłuchać. Nie do wiary, jakie on rzeczy wyczynia na poczekaniu.

- Znak geniuszu. Wyskoczylibyśmy potem na drinka?

- Dokąd?

- Bo ja wiem, tam gdzie jakieś zdatne dziewczyny czatują na młodych samców.

Może do baru związku studentów? Ale jeżeli jesteś zajęty porządkowaniem sensu egzystencji, to możemy wyskoczyć innym razem. Palisz?

- Jasne. Przynies krzesło.

Kodzi rozkoszuje się myślą, że bezwzględny z niego kobieciarz, tak jak Takeszi, choć naprawdę jego emocjonalna bezwzględność zalatuje wanilią pączków *Angel Donuts*. Między innymi z tego powodu go lubię.

Zapaliliśmy. - Kodzi, czy wierzysz w miłość od pierwszego

wejrzenia?

Przechylił się na krześle do tyłu i błysnął wilczym uśmiechem. Bez końca puszczał z dymu kółka. - Wierzę w pożądanie od pierwszego wejrzenia. Trzeba się w sobie zebrać, bo inaczej człowiek robi się ckliwy, a ckliwość nikogo nie pociąga. I cokolwiek zrobisz, nie dopuść, żeby dowiedziała się, co czujesz. Inaczej przepadłeś. - Kodzi przyjął styl Hum-phreya Bogarta. - Bądź zagadkowy. Twardy. Słyszałeś?

- Jasne, jak na przykład ty. Sam byłeś twardy jak Bambi, gdy ostatnio się zakochałeś.

Ale poważnie?

Następne kółko. - Ale poważnie... podstawą miłości musi być poznanie, tak? Musisz kogoś blisko poznać, aby go pokochać. A więc miłość od pierwszego wejrzenia to we-wnętrzna sprzeczność. Chyba że w tym pierwszym wejrzeniu następuje jakieś mistyczne przesłanie gigabajtów informacji z jednego umysłu do drugiego. Nie brzmi to zbyt prawdopodobnie, co?

Hmm. Bo ja wiem.

Nalałem przyjacielowi herbaty.

I nagle pojawiło się wiśniowe kwiecie. Czarowne, pieniące się i kipiące, tuż nad naszymi głowami, wypełniając powietrze barwą zbyt subtelną jak na słowa „róż” czy „biel”.

Jakim sposobem tak ponure drzewa powołały do życia w zacisznej uliczce coś tak niezmiernie, a nie mającego uznanej nazwy? Doroczny cud nie do pojęcia.

Ranek należał do Elli Fitzgerald. Mimo wszystko są jeszcze rzeczy piękne na świecie.

Godność, subtelność, ciepło i humor - i to tam, gdzie nie spodziewałbyś się ich znaleźć.

Ella, nawet jako stara kobieta, po amputacji siedząca w fotelu na kółkach, nadal śpiewała jak dziewczyna z ogólniaka, która zakochała się po raz pierwszy.

Zadzwoił telefon. - Tu Takeszi.

- Cześć, szefie. Dobrze dzisiaj leci?

- Nie, niedobrze. Leci mi dzisiaj fatalnie.

- Przykro mi.

- Ależ głupek ze mnie. Cholerny głupek. Cholerny, cholerny głupek. Po co faceci to robią? - Był pijany, a ja nadal na swojej porannej herbatce. - Skąd biorą się te podniety, Satoru? Powiedz mi! - Pytał, jakbym ja wiedział, tylko nie chciał go oświecić. - Lepkie zapasy w nie wiadomo czyim łóżku, kilka ukąszeń miłosnych, około trzysekundowy orgazm, jeżeli masz szczęście, i przyjemna trzydziestosekundowa drzemka, aż w końcu sobie uświadomiasz, że stałeś się rozpustną, lubieżną kanalią, która w kiblu spuszcza kilka milionów swoich plemników wraz z sześcioma latami swojego małżeństwa. Dlaczego tak nas zaprogramowano? Dlaczego?

Nie udało mi się obmyślić odpowiedzi, która byłaby uczciwa, a zarazem niosła pocieszenie. Postawiłem więc na uczciwość. - Nie mam pojęcia.

Takeszi trzy razy opowiedział jedną historię, wracając do początku. - Wpadła moja żona, żeby zabrać mnie na lunch. Mieliśmy wyjść, omówić wszystko, może uporządkować...

Kupiłem jej kwiaty, ona kupiła mi nową marynarkę w paski, którą gdzieś wypatrzyła.

Oczywiście beznadziejnie drętwa, ale za to pamiętała mój rozmiar. To była fajka pokoju.

Mieliśmy już wychodzić, kiedy weszła do łazienki i co znalazła?

„Trupa pielęgniarki”, omal mi się wyrwało, ale na szczęście tylko tak pomyślałem. - Co?

- Jej torebkę. I szlafrok. Pielęgniarki. I wiadomość, jaką napisała mi szminką. Na lustrze.

- Jaką wiadomość?

Słyszałem pękające kostki lodu, gdy Takeszi nalewał sobie kolejnego drinka. - Nie twój interes. Ale kiedy moja żona to przeczytała, weszła spokojnie do pokoju, oblała marynarkę wódką, podpaliła i wyszła. Marynarka pomarszczyła się i stopiła.

- Potęga słowa pisanego.

- Do cholery, Satoru, chciałbym mieć znowu tyle lat, co ty. Wszystko było wtedy takie cholernie proste! I co ja narobiłem? Skąd się wziął ten mit?

- Jaki mit?

- Ten, który nie daje spokoju wszystkim mężczyznom. Ten, który podpowiada, że życie pozbawione mroków, seksu i tajemniczości tylko w połowie jest życiem. Dlaczego?

Przecież trudno powiedzieć, żebym dmuchał ucieleśnienie niebiańskiego piękna. To była zwykła pielęgniarska zdzira... Dlaczego?

Mam dopiero dziewiętnaście lat. W zeszłym roku skończyłem ogólniak. Nie wiem.

Słuchało się tego z niemałym wzruszeniem. Na szczęście w tym momencie weszła Mama-san z Taro, więc postawione przez Takeszkiego pytania, na które nie ma odpowiedzi, bez odpowiedzi mogłem pozostawić.

Gdyby Mama-san była ptakiem, byłaby czymś w rodzaju wrony, białej wrony.

Taro nie mógłby zostać ptakiem. Byłby czołgiem. Przez całe

dziesięciolecia, na długo zanim pojawiłem się na scenie, wszędzie eskortował Mamę-san. Ich związek miał głębie, których z pewnością nigdy nie przejrzę. Widziałem ich stare zdjęcia z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Tworzyli na swój sposób piękną parę. Teraz przywodzą mi na myśl kiepską kochanicę z wiernym buldogiem. Taro, jak głosi plotka, wykonywał za młodu różne dziwne prace dla jakuzi. Ściąganie długów i tym podobne. Nadal posiada w tym świecie paru obrotnych przyjaciół, co okazuje się bardzo pożyteczne, ilekroć przychodzi płacić pieniądze za ochronę Dzikiej Orchidei. Mama-san ma sześćdziesiąt procent rabatu.

Innemu z tych przyjaciół, posiadającemu koneksje we władzach miasta, udało się załatwić dla mnie pełne japońskie obywatelstwo.

Mama-san przyniosła mi śniadanie w pojemniku. - Wiem, że rano zaspaleś - zaskrzeczała - z powodu tego cholernego harmideru.

- Przepraszam. O której wyszedł ostatni gość?

- Facet z Mitsubishi: około 3.30... Jeden z nich nosi się z poważnymi zamiarami wobec Jumi-czan. Nalegał na randkę w następną sobotę.

- A co na to Jumi-czan?

- Facet z Mitsubishi płaci na czas. Mają w firmie specjalny budżet na walenie, który co miesiąc muszą wykorzystać. Obiecałam jej nowe wyposażenie z jakiegoś pluszu i się zgodziła. Poza tym, facet żonaty, więc komplikacji nie będzie.

- Wychodziłeś w nocy z Kodzim? - Taro zwinął skręta z miną ochroniarza rozglądającego się za ewentualną drogą ucieczki.

- Tak. Trochę za dużo wypilem. To dlatego zaspalem. Taro zarechotał. - Dobrze chłopaczysko z tego Kodziego.

- Sam sobie radzi. Spotkaliście jakieś laseczki?

- Tylko takie, co chciały wiedzieć, czy twój sportowy, wóz ma przyciemniane szyby.

Taro odchrząknął dystyngowanie. - Rozum u kobiety nie jest najważniejszy. Dopiero co rano Ajaka mówiła, że chłopak w twoim wieku powinien bardziej palić się do pokera, to niezdrowo tak...

- Taro, daj spokój Satoru - Mama-san uśmiechnęła się, patrząc na mnie z zadowoleniem.

- Te kwitnące wiśnie na dworze - jak z obrazka, prawda? Taro zabiera mnie na zakupy i zamierzamy obejrzeć kwiaty w parku Ueno. Dziewczęta pana Nakamoriego zaprosiły nasze dziewczęta na popołudnie na przyjęcie Kwitnącej Wiśni, więc się wybierzemy, przypilnować, żeby za bardzo nie napsociły. Ach tak, przypomniało mi się. Pani Nakamori pytała, czy ty i Kodzi moglibyście zagrać u nich w cocktailbarze w przyszłą niedzielę. Ich puzonista ze stałego zespołu miał jakiś wypadek, w którym brały udział zwierzęta z zoo, i w efekcie pogiął mu się instrument. Pomyślałam, że najlepiej w to nie wchodzić. Biedaczysko do czerwca nie zdoła wyprostować ręki, więc zespół musiał wykreślić ustalone terminy.

Powiedziałam pani Nakamori, że nie wiem, czy Kodzi już zaczął na uczelni. Może dryndnąłbyś do niej dzisiaj czy jutro? Chodź, Taro. Musimy już iść.

Taro wziął książkę, którą czytałem. - Co to? *Pani Bova-ry*? To francuskie dziadostwo? Dałabyś wiarę, Mama-san? Przez sześć lat jego edukacji nie mogliśmy go zmusić do nauki, a teraz czyta sobie w pracy. - Przeczytał podkreślony przeze mnie kawałek: „Nie należy tykać bóstw: pozłota zostaje na rękach” *- podumał przez chwilę. -

Zabawna rzecz, książki. No, Mama-san. Lepiej już chodźmy.

- Dzięki za przyniesienie śniadania.

Mama-san kiwnęła głową. – A jaka przygotowała. To pieczony węgorz. Wie, jak bardzo to lubisz. Pamiętaj, żeby jej później podziękować. To do widzenia.

Niebo się rozjaśniało. Jadłem śniadanie z pojemnika, żałując, że nie jestem w parku Ueno. Dziewczęta Mamy-san są zabawne. Traktują mnie jak braciszka. Rozkładają pod drzewem duży koc i śpiewają stare melodie, układając do nich zmyślony tekst. W Szibuja i gdzie indziej widziałem upitych obcokrajowców - zmieniają się w zwierzęta. Japończycy nigdy - mężczyźni pozwalają sobie na więcej, ale nigdy nie są agresywni. Z Japończyków alkohol wypuszcza parę. U obcokrajowców alkohol jakby ją wytwarza. Do tego całują się publicznie!

Sam widziałem, jak pakują dziewczynom języki do ust i obmacują je po piersiach. W barze, na oczach wszystkich! Nigdy nie mogę się nadziwić. Mama-san zawsze każe Taro mówić im, że mamy komplet, a jeżeli nie, to naciąga ich na taką opłatę za wstęp, że więcej się nie pokazują.

Płyta skończyła się. Zjadłem ostatni kęs pieczonego węgorza z ryżem i piklami. Ajaka wie, jak ma wyglądać dobre śniadanie w pojemniku.

*W przekładzie Anieli Micińskiej.

Ból w plecach. Jestem za młody na to, żeby bolały mnie plecy. To krzesło zrobiło się ostatnio niewygodne, nie mogę spokojnie usiedzieć. Kiedy Takeszi przezwycięży obecny kryzys finansowy, poproszę, żeby wytrzasnął nowe. Ale wygląda na to, że będę musiał sobie poczekać. Zastanawiałem się, co teraz puścić. Przekopałem się przez pudło wypełnione nie poukładanymi płytami, które Takeszi zostawił na podłodze za ladą, ale nie było tam nic, czego bym już nie znał. Na pewno mógłbym coś znaleźć. Mamy na

składzie dwanaście tysięcy płyt. Uprzytomniłem sobie, że boję się, że nagle mogę nie potrzebować muzyki.

Okazało się, że po południu jest całkiem spory ruch. Wielu takich, co przeglądają, ale i kupujących niemało. Siódma nadeszła szybko. Podliczyłem utarg, wpływy włożyłem do sejfów w małym biurze, włączyłem alarm i zamknąłem drzwi do biura. Do torby wrzuciłem pojemnik śniadaniowy i *Panią Bovary*, do tego CD z Bennym Goodmanem, który zamierzałem pożyczyć na noc - jedna z zalet tej pracy - pstryknąłem światła i zamknąłem drzwi na klucz.

Byłem już przed sklepem i opuszczałem żaluzje, gdy usłyszałem ze środka dzwonek telefonu. Cholera! W pierwszym odruchu chciałem udać, że nie usłyszałem, ale zaraz uprzytomniłem sobie, że cały wieczór będę się zastanawiał, kto próbował się dodzwonić. I pewnie zacząłbym obdzwaniać ludzi, by sprawdzić, czy telefonowali do mnie, a jeżeli bym tak zrobił, musiałbym wyjaśniać, dlaczego od razu nie odebrałem... cholera. Łatwiej już z powrotem otworzyć sklep i po prostu odebrać.

Od tamtej pory zdążyłem to już sobie parę razy przemyśleć: gdyby telefon nie zadzwonił w tamtej właśnie chwili i gdybym nie postanowił, że wracam i odbieram, wówczas nie zdarzyłoby się nic z tego, co zdarzyło się potem.

Nieznany głos. Cichy, zatroskany. - Pora nakarmić psa!

Słucham? Odczekałem, aż ponownie się odezwie. Zakłócenia syczały jak rozbijające się fale, a może to był hałas ma szyny do gry w paczinko? Nic nie odpowiedziałem - lepiej nie zachęcać wydzwanających maniaków. I już nic nie było u pełnie jakby czekał na coś.

Więc odczekałem jeszcze trochę, a potem, zaintrygowany, odłożyłem słuchawkę. No dobra.

Stałem tyłem do drzwi, kiedy te otworzyły się. Zadzwoił dzwonek i pomyślałem: o nie, dajcie mi stąd wyjść! Odwróciłem się i kiedy podniosłem wzrok, omal nie padłem na pudełko z limitowanym wydaniem Lestera Younga. Podłoga w Dziupli Jazzowej Takeszkiego zafalowała.

To ty! Przyszłaś zajrzeć w półmroki mojego miejsca.

Odezwała się. To naprawdę ona. Przyszła sama. Tyle razy wyobrażałem sobie tę scenę, ale za każdym razem to JA wszystko zaczynałem. Prawie nie rozumiałem tego, co mówi. Naprawdę wróciła!

- Czy jeszcze otwarte? -...tak!

- Chyba nie za bardzo otwarte. Światła już pogaszone.

- ...tak! Yyy, właśnie się zbierałem do zamknięcia, ale dopóki nie zamknę, jest jak najbardziej otwarte. Proszę! - Ponownie zapaliłem światła. - Tutaj. - Żałowałem, że nie powiedziałem tego na większym luzie. Pewnie wyglądam jak sztubak.

- Nie chcę cię zatrzymywać, skoro już wychodzisz.

- Nie, skąd, nie zatrzymujesz. Yyy, nie ma pośpiechu. Proszę. Wejdz.

- Dziękuję. - Mieszkająca w niej istota spojrzała poprzez jej oczy, poprzez moje oczy na istotę mieszkającą we mnie.

- Ja... - zacząłem.

- To... - zaczęła ona.

- Proszę, mów - odezwaliliśmy się jednocześnie.

- Nie - powiedziałem. - Ty pierwsza. Jesteś kobietą.

- Pewnie pomyślisz, że jestem wariatką, ale byłam tu jakieś dziesięć dni temu i - bezwiednie kołysała się na piętach - i puszczałeś wtedy taki utwór... Nie mogę o nim zapomnieć. Fortepian z saksofonem. To znaczy, nie ma powodu, dla którego

miałbyś go pamiętać albo mnie, czy w ogóle... - Zamilkła. Coś dziwnego uderzyło mnie w jej mowie.

Mówiła jakimś rozkołysanym akcentem. Z przyjemnością tego słuchałem.

- To było dwa tygodnie temu. Dokładnie. I jeszcze parę godzin do tego.

Ucieszyła się. - Pamiętasz mnie?

Nie poznałem własnego śmiechu. - Pewnie, że tak.

- Byłam z moją okropną kuzynką i jej koleżankami. Traktują mnie jak jakąś debilkę, bo w połowie jestem Chinką. Mieszkam w Hongkongu. - Ani śladu przeproszającego tonu w jej głosie. Nie jestem czystej krwi Japonką jeśli ci się nie podoba, to możesz sobie wsadzić.

Pomyślałem o perkusji Tony'ego Williama w *In a Silent Way*. Skąd, nie pomyślałem o niej. Poczułem ją gdzieś w sobie.

- Ejże, to nic! Ja jestem pół-Filipińczykiem. Ten utwór to był *Left Alone* Mala Waldrona. Chciałabyś jeszcze raz posłuchać?

- A nie miałbyś nic przeciwko temu?

- Pewnie, że nie miałbym... Mal Waldron to jeden z moich bogów. Klękam przed nim, ilekroć jestem w świątyni. Jaki jest Hongkong w porównaniu z Tokio?

- Obcokrajowcy mówią, że jest brudny, hałaśliwy i ciasny, ale tak naprawdę nic takiego tam nie ma. I nigdzie tak nie jest jak tam. A kiedy półwysep Kowloon za bardzo daje się we znaki, można wymknąć się na wyspy. Na wyspie Lantau jest Wielki Budda siedzący na wzgórzu...

Przez chwilę odnosiłem dziwne wrażenie, że tkwię w napisanej przez kogoś opowieści, ale niebawem i samo to wrażenie zostało pochłonięte.

Wiśniowe kwiecie pojawiło się i już prawie znikło. Świeże zielone liście, jeszcze jedwabiste i miękkie, schły na drzewach rosnących wzdłuż cichej uliczki. Żyjące światłości mandolin i cytr. Płynął strumień ludzi dojeżdżających do pracy. Płaszcz nie uświadczysz.

Niektórzy wyszli nawet bez marynarek. Nie da się zaprzeczyć, wiosna przyniosła prastarą wieść.

Zadzwoił telefon. Kodzi, dzwonił z uczelnianej stołówki. - No, i kim ona jest?

- Kto?

- Daj spokój! Doskonale wiesz, kto! Ta dziewczyna, która wczorajszego wieczoru u pani Nakamori omdlewała na dźwięk każdej zagranej przez ciebie nuty! Zaraz... jej imię zaczynało się na „Tomo”, a kończyło na „jo”. Ciekawe, jak się nazywała? Ach tak, przecież Tomojo.

- Ależ ona...

- No tylko nie wciskaj mi! Widziałem, jak oboje robiliście do siebie oczy.

- Wydawało ci się.

- Robiliście do siebie oczy! Wszyscy w barze widzieli. Ślepy by zauważył. A jej ojciec to na pewno. Taro widział. Przyszedł do mnie potem i pytał, co to za dziewczyna. Miałem nadzieję, że to on mi powie. Kazał, żebym cię przemaglował. A co Taro każe, to ma, więc cię magluję.

- Nie ma za bardzo o czym mówić. Przyszła do sklepu cztery tygodnie temu. Potem, w zeszłym tygodniu, znowu wpadła. Zaczęliśmy rozmawiać, tak o muzyce, i w zeszłym tygodniu raz czy dwa się umówiliśmy. To wszystko.

- Albo siedem razy, chciałeś powiedzieć.

- No wiesz, jak to jest.

- Nie, żebym chciał wściubiać nos, czy w ogóle, ale wczorajszego wieczoru nawet nie miałem okazji, żeby ją podpytać. No a ty, wiesz, porozwijałyś już te jej wstążeczki i rozpieczętowałeś ją?

- To nie pierwsza lepsza!

- Aha, ale każda panienka z dobrego domu jest też kobietą.

- Nie, do niczego nie doszło.

- Nigdy nie paliłeś się do roboty, Satoru. Dlaczego nie?

- Bo... - Pamiętam, jak szliśmy pod jednym parasolem, ona owinięta w moją kurtkę. Pamiętam, jak przez cały film trzymałem ją za rękę. Pamiętam, jak śmiejąc się, mrużyła oczy, gdy patrzyliśmy na ulicznego mima, który stał na podwyższeniu bez ruchu, dopóki nie wrzuciło mu się monety, i wtedy zmieniał wyraz twarzy i pozę, aż wpadła kolejna moneta. Pamiętam, jak powstrzymywała śmiech, gdy mi nie wychodziło w kręgielni.

Pamiętam, jak leżeliśmy na kocu w parku Ueno, a płatki wiśniowego kwiecia opadały nam na twarze. Pamiętam ją w tym pokoju, na tym krześle, gdy słuchałem mojej ulubionej muzyki, a ona odrabiała lekcje. Pamiętam jej skupioną twarz i kosmyk włosów, który opadał,omalże dotykając notatnika. Pamiętam, jak pocałowałem ją w kark, w windzie między piętrami, i jak odskoczyliśmy od siebie, kiedy nagle otworzyły się drzwi. Pamiętam, jak opowiadała mi o swojej złotej rybce, o matce i o życiu w Hongkongu. Pamiętam, jak zasnęła na moim ramieniu w nocnym autobusie. Pamiętam, jak patrzyłem na nią, siedząc po drugiej stronie stołu. Pamiętam, jak opowiadała mi o starożytnym ludzie Dżomon, który swoich królów chował w kopcach, na równinie tokijskiej. Pamiętam jej twarz u pani Nakamori, kiedy graliśmy z Kodzim *Round Midnight* - graliśmy lepiej niż

kiedykolwiek. Pamiętam... - Bo ja wiem, Kodzi. Może nie zrobiliśmy tego, bo nie mogliśmy tego zrobić

- Czy rzeczywiście? Tak łatwo przecież było po prostu skoczyć do hotelu z pokojami na godziny. Moje ciało oczywiście chciało. Ale... ale co? - Naprawdę nie umiem powiedzieć Nie dlatego, żebym był nieskory. Nie wiem.

Kodzi wydobył z siebie mądre bąknięcie, jak zawsze gdy czegoś nie rozumie. - To kiedy ją znowu zobaczę?

Przełknąłem ślinę. - Prawdopodobnie nigdy. Wraca do międzynarodowej szkoły w Hongkongu. Do Tokio przyjeżdża raz na parę lat, na kilka tygodni, żeby odwiedzić krewnych.

Musimy na to spojrzeć realnie.

Kodzi wydawał się bardziej tym przygnębiony niż ja.

- To straszne! A kiedy odjeżdża?

Spojrzałem na zegarek. - Za jakieś trzydzieści minut.

- Satoru! Zatrzymaj ją!

- Naprawdę myślę... to znaczy, myślę, że...

- Nie myśl! Zrób coś!

- Co proponujesz? Mam ją porwać? Ma życie, które musi sobie ułożyć. Zamierza studiować archeologię na uniwersytecie w Hongkongu. Spotkaliśmy się, radość nam sprawiało przebywanie ze sobą, ogromną, a teraz się rozstaliśmy Tak to już bywa. Możemy korespondować. W każdym razie nie zakochaliśmy się w sobie bez pamięci ani nic takiego...

- Pip, pip, pip.

- Co to niby miało znaczyć?

- O, przepraszam, to mój alarm się odzywa.

Wygrzebałem jakąś starą płytę z big bandem Duke'a Ellingtona. Przywodzi mi na myśl nakręcane gramofony, śmieszne wąsy i

przedwojenne hollywoodzkie musicale. Zazwyczaj poprawia mi humor. *Take the „A” Train* dźwięczy beztroskim optymizmem.

Spojrzałem posępnie w ponure jezioro na dnie mojej filizanki i po raz pięćdziesiąty tego dnia pomyślałem o Tomojo.

Zadzwonił telefon. Wiedziałem, że to będzie Tomojo. To była Tomojo. W tle słyszałem samoloty i zapowiedzi.

- Witaj - usłyszałem. -Witaj.

- Dzwonię z lotniska.

- Słyszę w tle startujące samoloty.

- Przykro mi, że nie mogłam odpowiednio pożegnać się z tobą zeszłej nocy.

Chciałam cię pocałować.

- Ja też, ale tak przy wszystkich i w ogóle...

- Dzięki, że wczoraj zaprosiłeś mnie i tatę do pani Nakamori. Tata też dziękuje. Całe wieki nie widziałam go tak rozgadanego jak wtedy, gdy rozmawiał z twoją Mamą-san i z Taro.

- Ja też całe wieki nie widziałem ich tak rozgadanych. O czym rozmawiali?

- Chyba o interesach. Wiesz, ojciec ma niewielkie udziały w nocnym klubie. Obojgu bardzo nam się podobał występ.

- Jaki tam występ! To tylko ja i Kodzi.

- Obaj jesteście naprawdę dobrymi muzykami. Tata bez końca o tobie mówił.

- Nieee... Kodzi jest dobry, dzięki niemu brzmieć znośnie. Dzwonił jakieś dwadzieścia minut temu. Mam nadzieję, że wczoraj w barze nie byliśmy zbyt ckliwi. Kodzi uważa, że zachowywaliśmy się trochę za bardzo ostentacyjnie.

- Nie przejmuj się tym. A, jeszcze! Tata nawet dał do zrozumienia, po swojemu, w zawołowany sposób, że mógłbyś nas

odwiedzić podczas wakacji. Jakbyś chciał, mógłby się zakręcić i znaleźć ci jakiś bar, w którym grałbyś na sakcie.

- On wie? O nas?

- Nie wiem.

- Takeshi nie daje mi urlopów... Przynajmniej nigdy go o to nie prosiłem.

- O... - zmieniła temat. - Ile czasu się uczyłeś, że jesteś taki dobry?

- Nie jestem dobry. Dobry to jest John Coltrane! Poczekaj chwilkę... - chwyciłem płytę Johna Coltrane'a i Duke'a Ellingtona i puściłem *In a Sentimental Mood*. Przydymiony kawałek, grany z namaszczeniem. Przez chwilę słuchaliśmy. Tyle rzeczy mam jej do powiedzenia.

Słysząc serię alarmujących dźwięków. - Kończą mi pieniądze - jest coś - o, cholera, pa! -Pa!

- Kiedy wrócę... Głuchy szum.

W porze lunchu przyszedł pan Fudzimoto i na mój widok roześmiał się. - Dzień dobry, Satoru-kun! - powiedział uradowany. - Cud miód, przekonasz się! Powiedz mi, co myślisz o tym pudełku - na ladzie postawił niewielką paczkę z książkami i podnosząc do góry brwi, z udaną dumą poprzą wiał swoją muchę.

Groteskowa, zjadliwie zielona mucha w kropki. - Absolutnie jedyna w swoim rodzaju.

Cały się trząsł z uciechy. - Urządziliśmy w biurze zawody na najbrzydszą muchę.

Chyba im dołożyłem.

- Jak było w Kioto?

- A, Kioto jak Kioto. Świątynie i sanktuaria, spotkania z drukarzami. Zadzierający nosa sklepikarze, którym się w daje, że

mają monopol na dobre maniery. Przyjemnie jest wrócić. Jak się jest tokijczykiem, to się już nim zostanie.

Zacząłem swoją przećwiczoną mowę. - Proszę pana kiedy powiedziałem Mamie-san, że uprzejmie zaproponowałem mi pan pomoc w rozmowie kwalifikacyjnej na stanowisko w pana biurze, poprosiła, żeby to panu przekazać. Pomyślała, że pan i pańscy współpracownicy pewnie się z tego ucieszą na Święcie Kwitnącej Wiśni.

Dźwignąłem ogromną butlę ryżowego wina i postawiłem na ladzie.

- Sake! Słowo daję, to ci chłopak! To potrwa tylko chwilkę, nawet w biurze pełnym wydawców! Cóż za uprzejmość.

- Nie, to pan jest uprzejmy. Przykro mi, że jestem zbyt niedouczony, by przyjąć pańską wspaniałomyślną propozycję.

- Ależ skąd, ależ skąd. Żadnej urazy, w najmniejszym stopniu... to tylko tak mimochodem... - Pan Fudzimoto szukał odpowiedniego słowa, usilnie mrugając oczyma, aż wreszcie dał za wygraną i roześmiał się. - Bynajmniej nie mam ci tego za złe. Nie chciałbyś skończyć tak jak ja, co? - Wydało mu się to o wiele zabawniejsze niż mnie.

- Nie mnie to mówić, ale nie miałbym nic przeciwko, żeby skończyć tak jak pan. Ma pan dobrą pracę. Niezapomnianą muchę. I ma pan wspaniały gust, jeżeli chodzi o świat najpiękniejszych płyt jazzowych.

Tym razem przestał się uśmiechać i spojrzał przez okno. Ostatnie płatki kwiatu wiśni.

Na drzewie stają się jeszcze doskonalsze. A kiedy osiągną doskonałość, spadają. A potem już, gdy zetkną się z ziemią, zamieniają się w papkę. Absolutną więc doskonałość osiągną w

tym krótkim mgnieniu, gdy spadając, płyną w powietrzu... chyba tylko my, Japończycy, możemy to naprawdę zrozumieć, nie sądzisz?

Przejechała furgonetka Głosuj na Szimizu, jedyne kandydata, który ma odwagę walczyć z korupcją. Ryczała jak pijana. Szimizu nigdy nie zdradzi, Szimizu nigdy nie zdradzi, Szimizu nigdy nie zdradzi.

Pan Fudżimoto przeciągnął palcami w powietrzu. - Dlaczego to wszystko dzieje się w taki sposób? Od ataku gazowego w metrze patrzę na te obrazki w telewizji, obserwuję śledztwo prowadzone przez policję jak przez elitarny oddział ślepych żółwi i usiłuję zrozumieć... Dlaczego to wszystko w ogóle się dzieje? Co sprawia, że świat po prostu... nic staje w miejscu?

Nigdy nie wiem, kiedy pytania pana Fudżimoto naprawdę są pytaniami. - Pan wie?

Wzruszył ramionami. - Nie, nie znam odpowiedzi. Czasami myślę, że to jest właśnie to jedyne pytanie i że wszystkie pozostałe tylko je zasilają i wpływają do niego. - Przeciągnął palcami po rzednących włosach. - Może „miłość”, może tak brzmi odpowiedź?

Próbowałem się zastanowić, ale nieustannie miałem przed oczyma obrazy. Widziałem mojego ojca - człowieka który, jak sobie wyobrażałem, był moim ojcem - w tylnym oknie jakiegoś samochodu. Myślałem o scyzorykach i o sytuacji sprzed trzech czy czterech lat, gdy wychodziłem z McDonalda, a z dziewiątego piętra tego budynku wypadł na chodnik jakiś biznesmen. Leżał trzy metry od miejsca w którym stałem. Zdumiony otworzył usta. Sączył się z nich strumień i płynął po chodniku między okruchami połamanych zębów i okularów.

Myślałem o brwiach Tomojo, jej nosie, jej żartach, jej akcencie. Tomojo w samolocie do Hongkongu. - Zdecydowanie wolę być zbyt

młody na taką mądrość.

Pan Fudzimoto rozjaśnił twarz w uśmiechu, który ukrył jego oczy. - To mądrze z twojej strony. - Skończył, kupując starą płytę Johnny'ego Hartmana z piękną wersją *I Let a Song Go Out of My Heart*.

Nagle zabłąkał mi się do ucha moskit i rozjazgotał jak elektryczny mikser.

Potrząsnąłem głową i pacnąłem gnojka Pora moskitów. Zeskrobywałem jego kadłub na skrawek papieru, gdy weszła porzucona żona Takesziego, przesuwając okulary przeciwsłoneczne na swoją obfitą fryzurę. Towarzyszył jej elegancko ubrany mężczyzna, w którym z miejsca wyczułem adwokata - mają swój wygląd. Kiedy Takeszi proponował mi tę pracę, spędziłem cały wieczór w ich mieszkaniu w Czijoda, ale tym razem, nie licząc oschłego kiwnięcia głową, żona Takesziego zignorowała mnie. Adwokat nie zwrócił uwagi na moje istnienie.

- On - żona Takesziego wypowiedziała ów zaimek z jedyną w swoim rodzaju goryczą eksmałzonki - tylko dzierżawi tę nieruchomość, ale towar jest sporo wart.

Przynajmniej on zawsze się chwalił, że tak jest. Prawdziwe pieniądze są jednak w salonach fryzjerskich. Tutaj to tylko hobby. Jedno z jego licznych hobby. Adwokat miał wątpliwości.

Zbierali się do wyjścia. Mijając próg, żona Takesziego spojrzała na mnie. - Możesz wyciągnąć z tego naukę, Satoru. Ważnych decyzji, mających wpływ na kształt twojego życia, nigdy nie podejmuj, kierując się tym, z kim jesteś związany! Równie dobrze mógłbyś wziąć kredyt hipoteczny pod dom zbudowany z biskoptów. Pamiętaj o tym. - I wyszła.

Zastanawiałem się nad tym, co powiedziała, nastawiając płytę

Cheta Bakera. Trąbka ponagląca donikąd i cały dzień, by się tam dostać. I ten jego głos, szmery zen w łagodnej próżni. *My funny valentine, You don't know what love is, I get along without you very well.*

Zadzwoił telefon. Rozhisteryzowany Takeszi. Znowu pijany.

- Nie wpuszczaj ich! Nie wpuszczaj tej szalonej krowy! - Kogo? - Jej! Jej i tej krwiożerczej, zdradzieckiej szumowiny, jej adwokata, który miał reprezentować mnie!

Ganiają z tasakiem, żeby mnie do końca wykastrować! Nie pozwól, żeby oglądali towar - nie pozwól im oglądać rachunków - to wbrew prawu - i schowaj oryginał limitowanej edycji Louisa Armstronga. I jeszcze złotą płytę *Maiden Voyage*. Wsadź sobie do spodenek czy gdzie tam... i...

- Takeszi!

- Co?

- Obawiam się, że trochę za późno. -Co?

- Już byli. Tylko na parę chwil, żeby się rozejrzeć i żeby adwokat zobaczył miejsce.

Nie sprawdzali rachunków, niczego nie wyceniali.

- O, świetnie. Po prostu świetnie. Co za beznadziejny chamski bałagan. Ta baba to istna choroba szalonych krów na dwóch nogach... A te nogi... - Odłożył słuchawkę.

Słońce zaszumiało i cichło. Cienie pędów i gałęzi kołysały się leciuteńko z tyłu na ścianie. Przypomniałem sobie, jak wiele lat temu dwie czy trzy dziewczyny Mamy-san zabrały mnie łódką na jezioro. Jedno z moich najwcześniejszych wspomnień.

Twoje miejsce trzyma cię przy zdrowych zmysłach, ale też ono może cię wpędzić w samotność.

Co miałem robić? Podwinąłem rękaw koszuli i spojrzałem na

przedramię. Był na nim smok narysowany przez Tomojo niebieskim piórem wczorajszego popołudnia. Zapytałem, dlaczego akurat wąż? A ona roześmiała się, jakby zrobiła mi żart, którego ja nie rozumiałem.

Dwie myśli powędrowały na moje miejsce.

Pierwsza mówiła, że nie przespaliśmy się ze sobą, bo set zamknąłby wejście za nami i przed nami otworzył wyjście.

Druga dość wyraźnie podpowiadała mi, co robić.

Może żona Takesziego miała rację - może faktycznie podejmując ważne decyzje, nie powinniśmy uwzględniać uczuć, jakie żywimy do jakiejś osoby, bo to niebezpieczne. Coś podobnego dość często powtarza Takeszi. Każdy numerek nazajutrz rano okazuje się czterokrotnie droższy. Ale kimże są Takeszi czy jego żona, żeby komukolwiek prawić kazania? Jeśli nie miłość, to co?

Rzuciłem okiem na zegarek. Trzecia. Oddaliła się już o tyle tysięcy kilometrów i o jedną strefę czasową. Mogłem zostawić trochę pieniędzy, żeby pokryć koszty rozmowy.

- Dobra synchronizacja - odpowiedziała Tomojo, gdy zadzwoniłem z aparatu koło automatu z papierosami na rogu. - Rozpakowuję się.

- Tęsknisz za mną?

- Może troszeczkę.

- Kłamczucha! Nie wygląda na to, żebyś była zaskoczona, słysząc mnie.

Usłyszałem uśmiech w jej głosie. - Nie jestem. Kiedy przyjedziesz?

I tak rozmawialiśmy sobie o tym, który lot mógłbym złapać, dokąd moglibyśmy pójść, w jaki sposób ona załatwiłaby wszystko z ojcem, co mógłbym zrobić, żeby moje mizerne oszczędności zbyt

szybko nie stopniały. Jeszcze nigdy nie czułem się tak blisko raju.

HONGKONG

Księżyc, księżyc, w po...

W moim budziku znajduje się urządzenie sprzężone z przełącznikiem w mojej głowie, który wysyła wiadomość do ramienia - ramię wysuwa się i nakazuje kciukowi, by trzasnął guzik WYŁĄCZ, zanim toto mnie obudzi. Co rano, bezbłędnie, bez względu na to, ile w nocy wypilem whisky i o której położyłem się spać. Zapomniałem.

Kurwa. Co za sen, potworny, no potworny. Nie przypomniałem sobie wszystkich szczegółów i chyba nawet nie chciałbym. Najazd na biuro. Huw Llewellyn wpadł jak burza z chińską policją i moim dawnym drużynowym ze skautów, któremu kiedyś nasrałem na volvo, wszyscy na łyżworolkach, a ja, pośpiesznie próbując skasować nadspodziewanie liczne pliki związane ze Sprawozdaniem 1390931, usiłowałem wklepać hasło, za każdym razem błędne.

K-A-T-Y-F-R-B, nie, K-T-Y, nie K-A-T-.Y-F-O-R-B-W, nie, znowu musiałem zaczynać od początku. Przekopują się od samej góry, piętro po piętrze, a ich ślad znaczą plamy porozlewanej kawy wokół filiżanek, elektryczny wiatrak, który kołysze za nimi swoim okiem, fruujące w powietrzu nie zapłacone rachunki telefoniczne, nietoperze czające się w mroku...

Otwarte okno, no i czterdzieści dni i nocy poszło na marne. Myszka na moim stanowisku komputerowym struchlała i nie chce wykonać podwójnego kliknięcia. Czy to w ogóle się zdarzyło? Czy cokolwiek z tego miało miejsce? Zapomniałem.

Ile razy śniły mi się komputery? Chętnie prowadziłbym dziennik snów, ale przecież nawet taki dziennik mógłby ktoś

wykorzystać, gdyby chciał mnie przydybać. Już widzę, jak dziennikarze puszczają do druku co bardziej zwariowane kawałki, a więzienni psychoanalitycy omawiają pornograficzne fragmenty między stoiskami w supermarketach, Ciekawe, kto pierwszy miał komputerowy sen, gdzie i kiedy? Ciekawe, czy komputerom śnią się ludzie?

Llewellyn w rogowych oprawkach. Ledwie wczoraj go poznałem, a ten piździelec już wpycha się do mojej podświadomości.

Kurwa. Duża wskazówka znowu rusza. Sekundnik sunie dookoła, skręcając moje życie jak linkę latawca, a tu trzeba iść do domu. Kurwa mać. Już nadwerżam mój poranny czasowy margines bezpieczeństwa. Kolejny poranek rozbity tak samo, jak poprzedzająca go noc. Moja spękana twarz, która lada chwila rozpadnie się jak skorupki wielkanocnego jajka A na domiar wszystkiego, jak nic dopadnie mnie kolejny atak grypy. Pieprzony Hongkong. I pomyśleć, że przez pół życia błąkałem się bez celu i puchłem jak kluska na parze Chyba Wielkanoc się zbliża. No już, Neal, prysznic i będzie po wszystkim. Gorący prysznic zdziała cuda. Bzdury. Cudownie podziałałby mały speed, ale wszystko wyniuchane.

Zwlokłem się z łóżka, pakując nogę w tost leżący na zimnym talerzu. O, kurwa!

Chyba dzisiaj ma przyjść, to pewnie uprzątnie. Przynajmniej jak wrócę, będzie coś do zjedzenia Pewnie jakaś chińszczyzna, ale na szczęście nie kolejny tost Teraz do pokoju. Na automatycznej sekretarce była dla mnie wiadomość. Na szczęście nie zapomniałem przed zaśnięciem jej przełączyć, bo inaczej nawet tyle bym nie pospał.

Zgarnąłem cały bajzel z kanapy na podłogę, wcisnąłem przycisk

„odtworzenie” i wyciągnąłem się...

- Wstawaj, Neal, i do roboty! Tu Avril. Dzięki, że w nocy się ulotniłeś. Pamiętaj, że o 9.30 masz spotkanie z adwokata mi pana Wae i że Theo oczekuje wcześniejszego pełnego instruktazu, więc dobrze by było, żebyś się tu zjawił dokładnie o 8.45. Łyknij, kawy, dobrze ci zrobi. Do zobaczenia.

Avril. Ładne imię, a głupia zdzira.

No, tylko nie wyciągaj mi się tu za bardzo, Neal! Raz dwa, trzy i hop! Powiedziałem „hop”! Teraz do kuchni, wywalić stary filtr do przepelnionego kubła, kurwa, rozsypuje się, jakże mi przykro panienko, świeży filtr, świeża kawa. większa porcja, niż się zaleca, wielkie dzięki i jeszcze pstryknąć „wł”. No, siknij najgęściejszym soczkiem, na jaki cię stać, dla wujka Neala, dziecino, o tak. Zapomniałem. Otworzyć lodówkę. Połówka cytryny, trzy butelki dzinu, karton mleka, które straciło ważność ponad miesiąc temu, wysuszona fasolka i... tosty. Jest jeszcze Bóg na niebie, zostało trochę tostów. Kromkę w toster i z powrotem do sypialni, Neal. W szafie masz białą koszulkę, którą ona co sobotę tam wiesza, skóry *guai lo* co do jednej, wyskubane i zmięte. Wkurwię się, jeżeli znowu pozrywała je z wieszaków...

Zrobi wszystko, żeby zwrócić na siebie uwagę.

Nie, w porządku. Wiszą równym rzędem. Slipy, spodnie przewieszane przez krzesło, tam gdzie je rzuciłeś w nocy. Tanie krzesło z rurek. Brakuje mi tego w stylu królowej Anny.

Było jedyną rzeczą w tym mieszkaniu starszą ode mnie. Ubyła kolejna rzecz po Katy. Teraz kamizelka, koszula, twoja marynarka, jeszcze coś - pasek. Gdzie jest mój pasek.

- No dobra. Bardzo, kurwa, śmieszne. Gdzie jest pasek? Z pokoju odezwało się buczenie klimatyzatora.

- Idę teraz do pokoju. Jeżeli na oparciu kanapy nie znajdę paska, to mnie, kurwa, rozerwie.

Wszedłem do pokoju. Na oparciu kanapy znalazłem pasek.

- Tak, kurwa, ma być.

Przypomniałem sobie, że ubrałem się, a nie wziąłem prysznic. Śmierdziało ode mnie, a rano miałem spotkanie z tym, jak mu tam, z tajwańskiego konsorcjum.

- Neal, ty pacanie - nikt nie zaprzeczył. Mówisz o sobie pacan, a nikt nie zaprzecza. Ten prysznic zajmie mi resztę marginesu bezpieczeństwa. Gdyby poranne czynności nie ułożyły się jak w zegarku, zgodnie z harmonogramem - „harmonogramem” - i nie złapałbym tego najważniejszego promu, to musiałbym zacząć obmyślać jakieś przekonujące wytłumaczenie.

Pstryknąłem wyłącznik klimatyzatora. - Przecież, kurwa, dopiero maj, chcesz mnie zamrozić na amen? Kto by cię wtedy doprowadzał do szafu, no?

W łazience stwierdziłem, że jak zwykle coś pokombinowała z pojemnikiem na mydło.

Katy zawsze kupowała te pojemniki z mydłem działające za pociśnięciem, i tak samo była pokojówka, i wszystko było w porządku, dopóki nie odkryła, że walenie z góry w pompkę to całkiem niezła zabawa. Mydło było na ścianach, w muszli klozetowej, ni podłodze kabiny prysznic i chyba nawet - a jakże - ta: gdzie właśnie położyłem moją koszulę. Wszędzie rozpaćkane ślady, jak po wytrysku.

- Bardzo, kurwa, dowcipne. Zamierzasz uprzątnąć ten syf?

Zabawne, nigdy nie tknęła przyborów toaletowych, jakie zostały po Katy. To była zawsze wyłącznie moja działka. Dlaczego po prostu nie wywaliłem tych babskich klamotów?

W toalecie nadal leży opakowanie podpasek. Dwa opakowania - zależnie od potrzeb.

Pokojówka nigdy podpasek ni tknęła - nie rozumiałem, dlaczego. Może to chińska specyfika, jak choćby to, że niemowlęta nie noszą pieluszek i prostu srają tam, gdzie chcą i kiedy chcą. Aczkolwiek, gdy przekopywała się przez zasypki, nawilżacze skóry i szyszki kąpielowe, mdłości nie miała. Dlaczego miałyby nagle je odczuwać, skoro nic innego ich nie wywoływało?

Woda z prysznicza zalewała mi głowę. Żel. szampon, myjka, masowanie, płukanie, odżywka, rozsmarowanie wyciśniętego palcem mydła w płynie, piana, płukanie. Dałem sobie dwie pełne minuty. Teraz kąpiel, rachunek później.

Wycieram się ręcznikiem do sucha, ssie mnie w żołądku, ale w tych dniach i tak nie ma to znaczenia. Neal, kiedy toto zaczęło w tobie rosnać? Z wagi spadłeś pewnie z powodu stresu. Nie ulega wątpliwości, ale zyski, jakie przyniosła dieta w dziewięćdziesięciu procentach składająca się z tostów, pastylek owocowych i whisky, na pewno były wyższe od wydatków wynikających ze stresu. Wyglądasz, jakbyś był w ciąży. - Ojej! - aż się wzdrygnąłem. Gdyby Katy zaszła w ciążę... to czy cokolwiek by to zmieniło? Czy w razie przeziębienia trzymałbyś się z daleka albo byłby to dla ciebie większy powód do zmartwienia? Czy można się martwić bardziej niż ja i nie... nie umierać z tego powodu? Nie wiem.

Coś się paliło! Kurwa, żelazko!

Nie, żelazka przecież nie włączałem. To swąd palonego tosta. Ja pierdołę. I po śniadanku. Nie ma co się śpieszyć.

Neal, ten tost jest już nie do uratowania. O jeden tost za daleko. Kiedy tost przestaje być tostem? Kiedy się, kurwa, staje kawałkiem węgla, wtedy. Chyba już słodziłem kawę.

Śniadanko w płynie. Teraz do pokoju. Spod drzwi wypływała czarna struga i pomyślałem, że to pewnie krew. Czyja niby? lej krew? W tym mieszkaniu nic już nie jest w stanie mnie zaskoczyć. Wtedy zauważyłem, że struga jest ciemnobrązowa. O ja pierdołę. Zamiast jednego filtra włożyłem dwa, a przecież wiemy, co dzieje się wtedy, gdy się włoży dwa filtry, nieprawdaż, Neal?

Do kuchni. Won z ekspresem, won z tosterem, won z nim. To chyba już tylko szklaneczka wody na śniadanko, co, Neal? Nie dziękuj, Neal. Nie ma czystych szklanek. Dobra, miseczka wody. Świetnie. - Bon appetit, Neal. - Obrzuciłem okiem moje kuchenne imperium. Sprawiało wrażenie, jakby przez miesiąc gościem domu był Keith Moon. Zresztą nie. Keith Moon zostawiłby kuchnię w lepszym stanie, byłaby czystsza. Wybacz, pokojóweczko. Wynagrodzę ci to później. - Jeszcze się, kurwa, przekonasz, że wynagrodzę, a nie?

Załóż krawat i zabieraj się do roboty, Neal. Te groszorozy o przymrużonych oczkach nie powinny czekać dłużej, niż ty byś czekał. Co za dzień, nawet nie wyjrzałem przez okno, żeby zobaczyć, jaka pogoda. Rzuciłem okiem na pejdzę: sucho i pochmurnie. A zatem bez parasola. Azjatycka nie-pogoda. Zapomniałem. Znałem już ten widoczek: nagie wzgórza przydymione przez mgiełkę, do tego ospałe morze.

Wyłączyłem klimatyzator. Zaraz. Zostawiłem dla niej włączony radiobudzik, zupełnie jak moja mama dla swojego psa. Z sypialni dochodziły dźwięki bizneswiadomości po kantońsku. Nie wiem, czy jej to odpowiada. Czasami wyłącza, czasami nie, innym razem przestawia.

- Tylko zachowuj się - powiedziałem, wciskając nogi w zasznurowane buty, chwytając aktówkę i zabierając pęk kluczy.

Katy zawsze odpowiadała: - Wedle rozkazu, mój ty łowco.

Ta w ogóle nie odpowiada.

Do biegu, gotowi, start.

Winda zjeżdżała na dół. Dzięki Bogu. W przeciwnym razie nie złapałbym autobusu na prom. Drzwi otwarte. Wcisnąłem się w wypełnioną wyłącznie przez mężczyzn przestrzeń, na połę żółtą, na połę różowoszarą, ale w każdym punkcie reprezentującą ten sam Plemienny Obszar Finansowy. W innym wypadku nie moglibyśmy pozwolić sobie na mieszkanie w tym miejscu. Przestrzeń wypełniały zapachy garniturów, wody po goleniu, skóry i pianki do włosów i czegoś zastarzałego. Może źle kanalizowanego testosteronu. Nikt nie odzywał się ani słowem. Nikt nie oddychał. Odwróciłem się, ażeby mój fiut nie stał twarzą w twarz z fiutem innego groszoroza i ujrzałem drzwi do mojego mieszkania: 144.

- Niedobrze - odezwała się pani Feng. - „Cztery” oznacza po chińsku „śmierć”.

- Nie da się przejść przez życie, unikając czwórki - za oponowała Katy.

- To prawda - przytaknęła pani Feng, przymykając smutne oczy.

- Ale jest jeszcze jeden problem.

- To znaczy? - zapytała Katy, uśmiechając się do mnie półgębkiem.

- Winda - odpowiedziała pani Feng, otwierając przenikliwe oczy.

- Jesteśmy na czternastym piętrze - powiedziałem. Niech pani nie opowiada, że nie możemy skorzystać z windy

- Ależ znajduje się dokładnie naprzeciwko drzwi państwa mieszkania!

- Więc co? - Katy przestała się uśmiechać.

- Drzwi od windy to szczęki! Pożerają szczęście. Tu go nie

znajdziecie.

Spojrzałem do góry i zobaczyłem, że spoglądam przez przyciemnione szkło, spomiędzy zwielokrotnionych odbić czubka mojej głowy. Zupełnie jakbym odbywał spacer poza ciałem.

- Poza tym przebywacie na wyspie Lantau - dodała po namyśle.

Brzdęk, zadzwonił dzwonek.

- A co jest nie tak z wyspą Lantau? To jedyne miejsc w Hongkongu, gdzie można udawać, że świat był niegdyś piękny.

- Nie lubimy prądów morskich. Za bardzo na północ, za daleko na wschód.

Brzdęk, zadzwonił dzwonek, brzdęk, brzdęk, brzdęk. Pierwsze piętro. Parter.

Wszystko jedno. Autobus czekał. Przebiegliśmy przez ulicę i wsiedliśmy, w głowie dudniła mi muzyka a la James Bond. Przyszli mi na myśl bawiący się w wojnę mali chłopcy, którzy wskakują do niby-transportera.

W autobusie same stojące miejsca, ale to mi nie przeszkadza. Przypomniało mi się, jak jechałem starą kochaną linią Circle, ściśnięty, jeszcze w starym kochanym kraju. Zaraz się zacznie sezon krykieta. Dlatego właśnie lubię ten autobus. Od chwili, gdy do niego wsiadam, do chwili, gdy wchodzę do biura, wszystko jest poza mną. O niczym nie muszę decydować Jestem żywym trupem.

To znaczy, dopóki sygnał telefonu komórkowego jakiegoś popaprańca nie zaczyna mi się przewiercać przez bębenki. Ależ to wkurza! Odbierz. Odbierzże! Głuchy czy jak, odbierz, kurwa, ten telefon! No i co się tak gapisz na mnie?

Jasne, to mój telefon. A takie to było super, kiedy się pierwszy raz pojawiło. I dopiero kiedy już było za późno, ludzie zrozumieli, że to jest tak samo super, jak elektroniczna metka u aresztantów

zwolnionych za kaucją.

Odbieram, pozwalając swobodnym elektronom zakończyć wędrówkę przez przewody, skierować je w przestrzeń i do mojego ucha.

- Tak? Tu Brose.

No i teraz najgłupszy osioł w tym autobusie wie, że nazywam się Brose.

- Neal, tu Avril.

- Avril. - A któż by inny? Pewnie spała w biurze. Kiedy ubiegłej nocy wychodziłem, ona wciąż ciężko pracowała nad Portfelem Tajwańskim. Jardine-Pearl ma sporą grupę prawników, która się tym zajmuje. Cavendish miał mnie, Avril i Minga, który nie umiał sobie poradzić z wynajmem naszego - to znaczy mojego - mieszkania i spieprzył sprani; tak, że musiałem zapłacić bajoński depozyt. Chińczycy są dość paskudni, pośrednicy nieruchomości jeszcze gorsi, ale chińscy pośrednicy nieruchomości to już funkcjonariusze służb specjalnych szatana. Powinni być prawnikami, ale prawdopodobnie robią większą kasę, zajmując się tym, czym się zajmują. Ja pieprzę Tajwański Portfel! A do tego jeszcze, jakbym miał mało zmartwień, ta plątanina szczegółików, druczków i pułapek. Pewnie dobrze, że Avril zajmowała się tą sprawą, ale czasami, kurwa, działała mi na nerwy.

- Wyspałeś się? -Nie.

Avril, zdaje się, chciała, żebym ją przeprosił za to, że w nocy tak wcześnie się urwałem. To znaczy już dzisiaj. Przecież była pierwsza. Wcześnie, jasne. Mogłaby sobie, kurwa, darować.

- Dzwonię w sprawie akt Mickeya Kuana.

- A co z nimi?

- Nie mogę znaleźć.

- Więc gdzie są? Miałeś je w nocy. Przed pójściem do domu.

Spierdalaj, Avril. - Miałem wczoraj wieczorem. Sześć godzin przed pójściem do domu.

- A teraz nie ma ich na twoim biurku. Ani nigdzie w biurze Guilana. Więc muszą być gdzieś w twoim biurze, bo nie tknęłam ich od wczorajszego popołudnia. Może położyłeś je nie tam, gdzie trzeba? Może leżą pod czymś? W jaki szufladzie?

- Jestem w autobusie na wyspie Lantau, Avril. I biura stąd nie widzę.

Wydawało mi się, że zza ściany garniturów, krawat i udających, że nie słyszą, twarzy, dobiega do moich uszu czyjeś rzenie. Że ktoś rzy jak szalooooony. Zresztą, może było kichnięcie.

Avril to żywy okaz braku poczucia humoru. Powinienem ją przezwąć „doktor Spock”.

- Czasami cię nie rozumiem. Owszem, wiem, że nie widzisz stamtąd swojego biura, Neal.

Bardzo dobrze wiem. Ale w razie gdybyś zapomniał, Horace Czeung i Theo chcą mieć w ciągu 52, nie -51 minut, sprawozdanie z postępów nad Folio Wae. Nie ma cię tutaj, ponieważ nadal znajdujesz się w autobusie na wyspie Lantau. Nie dotrzesz tu wcześniej, jak za kolejne 38, 41 minut jeżeli nie zjadłeś śniadania i będziesz musiał wpaść na pączka. Pan Czeung zawsze przychodzi dziesięć minut wcześniej. To oznacza, iż rzeczony sprawozdanie muszę skompletować, zanim zjawisz się łaskawie w tych drzwiach. A żeby to zrobić, potrzebuję akt Mickeya Kuana, potrzebuję ich teraz.

Westchnąłem i próbowałem obmyślić miażdżącą odpowiedź, ale niczego odpowiedniego nie znalazłem. Chyba dopada mnie ta grasująca grypa. - To wszystko prawda, co powiedziałaś, Avril. Ale

naprawdę uczciwie, szczerze, kompletnie nie wiem, gdzie się podziały te akta.

Autobus szarpał to w jedną, to w drugą. Za oknem mignęły korty tenisowe, międzynarodowa szkoła, łuk zatoki i łowiąca ryby dżonka w chłodnej azjatyckiej bieli.

- Na twardym dysku masz kopie, tak? Raptem całkiem się obudziłem. - Tak, ale...

- Załaduję plik z twojego dysku i ściągnę kopię na mojej drukarce. To tylko jakieś dwadzieścia stron, prawda? To podaj mi tylko hasło.

- Obawiam się, że nie mogę, Avril.

Pauza, podczas której Avril zbierała myśli. - Obawiam się, że możesz, Neal.

Przypomniał mi się obdzierany ze skóry królik, którego gdzieś widziałem, ale gdzie i kiedy, nie mogłem sobie przypomnieć. Wyglądało to tak, jakby nóż działał jak suwak zamka błyskawicznego. Jeden moment i pan Króliczek kima, a zaraz potem długie krwawiące rozcięcie, od ząbków po króliczego siurka.

- Ale...

- Gdybyś przypadkiem ściągnął z Internetu jakieś szwedzkie sado-maso hard porno z udziałem dominującej kobiety, to obiecuję, że nie pisnę ani słowa.

Choćbym się starał mówić jak najciszej, to i tak usłyszałyby mnie co najmniej dziesięciu ludzi. - Nie mogę ci, ot tak, podać mojego hasła, bo byłoby to naruszenie tajemnicy służbowej.

- Neal, pewnie nie pamiętasz, zresztą wiem, że nie, bo w nocy nie poszedłbyś sobie do domu, ale to konto lada moment nam się wymknie. Folio Wae jest warte osiemdziesiąt dwa miliony dolarów. Dutch Barings i City Bank co noc śpiewają pod ich balkonem, a ich

śpiew jest o wiele słodszy od naszego. Jeżeli nie będziemy mieli zysków z Mickeya Kuana do zrównoważenia niepowodzeń w Bangkoku i w Tokio, to nas nie ma. A wydział kontroli będzie dokładnie wiedział, dlaczego - bo ja nie zamierzam zbierać za to cięgow. Ciebie może by urządziło spędzenie reszty życia na sprzątanii McDonalda w Birmingham, ale ja od życia oczekuję nieco więcej. Teraz podaj mi hasło! Możesz je zmienić, jak już dotrzesz do pracy. Twoje „naruszenie tajemnicy służbowej” potrwa 49 minut. No już! Komu możesz zaufać, jeżeli nie mnie?

Absolutnie, kurwa, nikomu nie mogę zaufać. Naciągnąłem marynarkę na głowę i wcisnąłem telefon pod pachę Quasimodo Brose. - K-A-T-Y-F-O-R-B-E-S. - Nie mów jej, żeby nie myszkowała. To by ją dopiero zachęciło. - Masz. Zadowolona?

Należy jej przyznać, że jaj sobie nie robiła. Już wołali bym, żeby robiła. Czyżbym był już na takim etapie, kiedy się ludziom współczuje?

- Udało się. Do zobaczenia w biurze Thea. Nikomu innemu nie pozwolę tknąć twojego komputera.

Autobus wjechał do portu w Zatoce Odkrycia. Napędzany turbinami prom jak zwykle już czekał. Nie ma pośpiechu - słyhać dopiero pierwszy dzwonek. Drugi zadzwoni minutę.

Trzeci - za dwie minuty. Statek odpłynie dopiero za trzy minuty, a dojazd do promu zajmie autobusowi mniej niż sześćdziesiąt sekund, o ile ma się przygotowaną przepustkę a przygotowane mamy wszyscy. Mając taki margines czasu toyota landcruiser zdąży podjechać.

Drzwi autobusu otworzyły się z sykiem i pasażerowie, grupami, jeden po drugim zaczęli wyskakiwać, wprawiając autobus w kołyszący ruch.

Czyżby była tu między nami? Trzymała mnie za rękę Dlaczego zawsze zakładałem, że przez cały dzień siedzi w mieszkaniu? Bardziej logiczne, że szwenda się z kąta w kąt. Lubi, jak się zwraca na nią uwagę.

Daj sobie spokój, Neal. To twoje mieszkanie. Twoje „domowe” życie. Idziesz tam, ponieważ innego mieszkania nie masz. Nie zabieraj jej na wyspę Hongkong. Przez wodę prawdopodobnie nie może przejść. Tak jakoś chyba w Chinach się mówi. Że nie mogą skakać - dlatego w świętych miejscach są schody - i nie mogą przechodzić przez wodę. Nie?

Dwadzieścia kroków do barierki z biletami. No, poranny kryzys chyba już mija. W trzewiach mojego twardego dysku siedzi naprawdę obciążający materiał, ale Avril nie ma czasu, żeby bawić się w przeszukiwanie. Zresztą nie ma powodu. A do tego jest za głupia. W miarę jak operacje na koncie 1390931 się gmatwały, moje pomysły na zabezpieczenie stawały się coraz bardziej zawile, a kłamstwa coraz mniej wiarygodne, gdyż jedno przestawało pasować do drugiego.

Co prawda, poplecznicy Denholme'a Cavendisha nie chcą uznać, że nawet ludziom po Eton do tej pory nie udało się niczego wywęszyć. Nie ma się czym martwić, Neal. Avril zajmie się drukowaniem bezcennych akt Mickeya Kuana. Guilan przygotowaniem dzbanka z kawą, tak gęstą, że można by nią wypełniać dziury w asfalcie. Theowi wcisnę jakieś bzdety na temat nadgorliwych audytorów, a on, tak jak większość zwierzchników, nie zniży się do tego, by spytać mnie o najprostsze rzeczy. Theo wciśnie Komisji Zgodności jakieś bzdury na temat kapitału zamrożonego w podwójnie asekurowanych japońskich bankach. Oni z kolei wcisną Jimowi Herschowi bzdury, jakoby dom nie został

powiadomiony o żadnych konkretnych warunkach, które wymagałyby uporządkowania w następnym kwartale finansowym, a on wykpi się przed szefem Llewellyna, przysięgając, że jest najzupełniej i całkowicie przekonany, że Cavendish Holdings jest absolutnie czysty, jeżeli chodzi o te wszystkie plotki - i tutaj, mój stary, muszę być z tobą do końca szczery - plotki rozsiewane przez Chińczyków, bo nie trzeba być aż dyplomowanym detektywem, by wiedzieć, kto dzisiaj pociąga za sznurki Policji Ludowej Hongkongu, nieprawdaż, towarzyszu? I już migiem wszyscy dostajemy sześciocyfrowe premie, z których pięć cyfr już poszło, a reszta w ciągu następnych osiemnastu miesięcy wsiąknie w samochody, sektor nieruchomości i rozrywki.

Znowu ci się udało, Neal. Wracasz znad przepaści. Dziewięć żyć? Raczej chyba dziewięćdziesiąt, kurwa, dziewięć.

Wszystko gra, to drugi dzwonek, Neal. Daje ci to jeszcze sześćdziesiąt sekund.

- Neal? Dlaczego nie wsiadasz na prom?

Ach, to uczucie, kiedy wszystko nieodwołalnie podchodzi ci do gardła i zastanawiasz się, co ci zaszkodziło.

Ale żołądek pusty i nie za bardzo mam czym wymiotować.

Co jest? Czyżby chciała mnie zmusić, żebym został? Szarpiąc mnie za ramię?

Nie. To nie ma nic wspólnego z nią. Wiem, kiedy tu jest, a teraz jej nie ma. I nic nie może mi zrobić. Ja decyduję. Ja rządę. To jedna z reguł.

Zresztą było jeszcze coś bardziej godnego uwagi niż ona.

Wczorajszej nocy przygotowaliśmy z Avril informacje dla pana Wae, potentata okrętowego. Komputer napierdalał mi po oczach. Nie miałem nic w ustach od lunchu, gdy zjadłem kanapkę z

bekonem, sałatą i sosem pomidorowym, i w miarę jak obkurczał mi się żołądek, parę razy odczuwałem ataki głodu i odrętwienia. Około północy zaczęło mi się kręcić w głowie. Zszedłem do tego baru kawowego naprzeciw wieżowca Cavendisha, po drugiej stronie ulicy i zamówiłem największego srajburgera, jakiego dają, nawet dwa, a do kawy wrzuciłem dziesięć kostek cukru. Wypiłem, sącząc, a gdy wchłonałem cukier, moja krew zaśpiewała jak Archanioł Gabriel. To nie może być naturalne, Neal. A w dupę z tym, Obserwowałem samochody, ludzi i opowieści sunąc w górę i w dół ulicy. W oddali wielka pompka do roweru ciągnęła do góry i z sykiem opadała na dół. Patrzyłem, wyskakują neonowe znaki, inicjując, bez końca, przesłanie na które się składają. Leciała piosenka, przebój Lionela Ritchie sprzed lat, ten o niewidomej dziewczynie. Najprawdziwszy wyciskacz łez. Przy tej piosence straciłem dziewictwo pod górą płaszczy na prywatce u przyjaciela w Telford . Chuj wie, co wyrabiałem w tym Telford. Chuj wie, co się tam w ogóle wyrabia.

Wszedł ten chłopak z tą swoją dziewczyną. Zamówił burgera i colę. Ona - waniliowego szejka. Zabrał tacę, rozglądał się za miejscem i zauważył, że patrzę na niego.

Podszedł i angielszczyzną, w której słyhać było tremę, zapytał, czy mogą się przysiąść do mojego stolika. Nie była to chińska angielszczyzna. Żółtki normalnie woleliby dać się zabić niż usiąść obok kogoś z nas. Albo zbiorą się tacy w kupę i nawet nie zauważają twojego istnienia. Kiwnąłem więc głową, strzepując popiół z papierosa. Podziękował z powagą, po angielsku. - Senkju weri moczi - powiedział.

Ona była Chinką, tyle mogłem powiedzieć, ale rozmawiali po japońsku On miał saksofon w futerale i mały plecak z

przyczepionymi jeszcze nalepkami linii lotniczych. Oboje mogli być dopiero po ogólniaku. On potrzebował się porządnie wyspać. Nie obejmowali się ani nie mizdrzyli do siebie, jak to mają dziś w zwyczaju chińskie dzieciaki. Ręce trzymali zwyczajnie na stole. Oczywiście, ani słowa nie rozumiałem, ale domyślałem się, że omawiają możliwości. Byli tacy szczęśliwi. W powietrzu między nimi aż iskrzyło od seksu, więc doszedłem do wniosku, że jeszcze tego nie zrobili. Nie było w tym nic z rozleniwienia związanego z poczuciem posiadania, które pojawia się po kilku pierwszych razach.

Gdyby w tej właśnie chwili z oblepionej butelki z keczupem wyskoczył Mefistofeles i powiedział, Neal, jeśli pozwoli; ci być tym chłopakiem, zastawisz swoją duszę na wieki u Pana Piekieł? Odpowiedziałbym wtedy, a jak, kurwa, pewnie, że zastawię. Nieważne, że Japoniec.

Spojrzałem na mojego roleksa: kwadrans po północy. Co za życie?

Myliłem się co do nieba. Nie jest posępnie białe... jak się przyjrzeć, widać kość słoniową. Tam, ponad górą, gdzie słońce je szlifuje, jest perłowoprzezroczyste.

I morze nie jest puste, tam, na samym skraju, są wyspy.

Delikatne pociągnięcia pędzla na świeżym zwoju wiszącym w pokoju pani Feng, cztery piętra nad nami.

Hmmm. Pozwolisz, Neal, że ci przypomnę, że masz rachunki z karty kredytowej, które Billa Gatesa przyprawiłyby o nerwowy tik? Że twoja ugoda rozwodowa wyszła z ciebie większość pieniędzy, które już zdążyłeś uznać za swoje? Że prawnicy, którzy wścibiają nos we wszystkie twoje sprawy, nie spóźniają się na spotkania z panem Wae? Ci tajwańscy potentaci okrętowi spożywają śniadanka

z wpływowymi politykami, którzy mogą decydować o pojawianiu się bądź znikaniu drapaczy chmur. Dziesięć sekund do trzeciego dzwonka i barierki chowają się! Zastanów się nad swoimi egzystencjalnymi dylematami w trakcie przerwy na lunch -zaraz, kiedy ostatni raz miałem przerwę na lunch? - zresztą, kiedy chcesz - ale teraz już, kurwa, wsiadaj na ten cały statek! Nie będę ci już przypominać.

Od strony sklepów, chodnikiem, zbiega pędem jakiś mężczyzna. Andy Ktoś, znam tę twarz z widzenia z czasów klubu polo na Lantau. Co nie oznacza, że na tej całej pieprzonej wyspie można, kurwa, znaleźć choćby jednego konia. Jego krawat a la Ralph Lauren, powiewając, wygina się jak istny wąż, nie zawiązane sznurowadła, no, no, Andy Ktoś powinien uważać. Jeszcze się przewróci i korona spadnie mu z głowy, a wtedy jak nie przypnie, to się rypnie.

- Zatrzymać ten statek! Zaczekać! - No, no, Andy Ktoś to sam Laurence Olivier.

Czy ona w taki właśnie sposób mnie obserwuje? Z taką zaprawioną drwiną obojętnością?

Chiński strażnik przy barierce, najprawdopodobniej siódma woda po kisielu szwagra brata kierowcy autobusu, pstryka przełącznikiem i kołowrót od wejścia zostaje zamknięty.

Andy Ktoś kończy swój lot w powietrzu mocnym chwytem za słupki i stłumionym skowytem obłąkanego więźnia: - Proszę!

Chiński strażnik przy barierce wykonuje ledwie zauważalny ruch głową w stronę rozkładu rejsów.

- Niech mnie pan przepuści!

Strażnik gwałtownie potrząsa głową i wraca do swojej budki na kawę.

Andy Ktoś skomle, szpera, szukając telefonu komórkowego, aż udaje mu się go wyciągnąć. Odchodzi, rozmawiając przez telefon z Larrym, wymyślając wymówki i udając śmiech.

Prom z napędem turbo odbija od nabrzeża i z warkotem odpływa w siną dal.

Doprawdy, czasami cię nie rozumiem.

Katy upierała się, żebym nie odprowadzał jej na lotnisko. Lot miała po południu, a był szalony piątek. Moje biurko w pracy przeobraziło się w dno kanionu, którego ściany tworzyły niestabilne formacje umów. Tego więc dnia, gdy wyjeżdżała, wsiedliśmy w autobus wcześniejszy niż ten, którym zwykle jeżdżę, w kawiarni na molo wypiliśmy filiżankę kawy.

Tej kawiarni, właśnie tam. Na wolnym miejscu przy witrynie Andy Ktoś wyciąga swojego laptopa i zaczyna tłuć w klawiaturę, jakby chciał zażegnać niebezpieczeństwo wojny termojądrowej. Wykończy sobie plecy przez to siedzenie w przygarbionej pozycji. Andy oczywiście o tym nie wie, ale siedzi przy tym samym stoliku, przy którym Katy i ja odstawialiśmy nasze Wielkie Pożegnanie.

Nie było to Wielkie Pożegnanie Noela Cowarda. Neal Brose i Katy Forbes urządzili ci nieporównanie brzydsze przedstawienie. Ani ona, ani ja nie mieliśmy nic do powiedzenia, a raczej powiedzieliśmy sobie już wszystko, a po tych wszystkich nocach, gdy nie zamieniliśmy ani słowa, nareszcie stwierdziliśmy, że tracimy czas. Rozmawialiśmy chyba o wystroju lotniska, podlewaniu kwiatów, co Katy czeka, kiedy już wróci do Londynu...

Zupełnie jakbyśmy spotkali się ubiegłej nocy, pieprzyli w hotelu Kowloon i właśnie się obudzili. A przecież seksu nie uprawialiśmy od pięciu miesięcy, gdy wszystko się wydało.

Kurwa, to było straszne, straszne. Ona odchodziła ode mnie.

Najlepiej pamiętam to, czego nie powiedzieliśmy. Nie wspominaliśmy ani o pani Feng, ani o niej. Nie mówiliśmy o tym, czyja to „wina” - kurwa mać, czy te wszystkie trwające tysiące lat nieszczęścia nastąpiłyby, gdyby wymyślono jakieś lepsze słowo niż „wina”? Katy zawsze była skora do litości. Nigdy nie rozmawialiśmy o terapii, szpitalu, adopcji, procedurach, wszystkich tych „zastępczych” sposobach, ponieważ nam obojgu nie chciało się zarówno kiedyś, jak i teraz. Tak się domyślam. Skoro nie dało się, kurwa, zmusić natury, żeby nas połączyła, to chyba jasne, do cholery, że razem nie będziemy. Słowo „rozwód” w ogóle między nami nie padło, ponieważ było tak realne i bliskie, jak widniejąca opodal góra. Słowo „miłość” też nie padło. Za bardzo by raniło. Czekałem, aż pierwsza to powie. Ona może czekała na mnie. A może było tak, że te dni i noce pozostawiliśmy dla patrzących roziskrzonym wzrokiem muppeciątek, urodzonych siedem czy osiem lat po nas.

Tych dzieciaków, które zeszłej nocy widziałem w barze kawowym. Dla takich właśnie jest miłość. Nie dla nas, starych pierdołów po trzydziestce. Nie ma o czym mówić.

Zadzwoił dzwonek na prom. W tym miejscu, dokładnie tutaj, na tych różowawych płytach chodnikowych, na których właśnie stoję. Dobrze wiem, bo chodzę po nich cc dziennie... Tutaj właśnie pomyślałem, że powinienem ją objąć i może pocałować na do widzenia.

- Lepiej już może wsiąść na prom - powiedziała. Dobra, jeżeli chcesz, żeby tak to wyszło.

- Do widzenia - powiedziałem. - Miło się było twoim mężem.

Z miejsca zacząłem żałować, że to powiedziałem, i nadal żałuję. Zabrzmiało to jak strzemienny. Odwróciła się i odeszła, a ja

niekiedy zastanawiam się, czy gdybym się cofnął odnaleźlibyśmy się w zupełnie innym świecie, czy też dorobiłbym się jedynie złamanego nosa? Nie dowiedziałem się tego nigdy. Zastosowałem się do wezwania dzwonka na promie.

Zawstydzony, nie szukałem jej oczyma na brzegu, gdy prom odbijał, więc nawet nie wiem, czy machała. Znając Katy, wątpię. I tak wystarczyło 45 minut, bym o niej zapomniał. Na piątej stronie „Południowochińskich Wiadomości Gospodarczych” moją uwagę przykuł dziesięciolinijkowy tekst. Nowa chińsko-amerykańsko-brytyjska instytucja śledcza, Inspektorat Transferu Kapitału, właśnie przeprowadziła nalot na biura przedsiębiorstwa handlowego o nazwie Grupa Jedwabnego Szlaku. Nie była ona zbyt dobrze znana opinii publicznej, ale za to mnie - owszem - bardzo dobrze. To ja osobiście, tydzień temu, w piątek, wydałem - zgodnie z otrzymanymi instrukcjami - polecenie przelania 115 milionów dolarów z konta nr 1390931 na konto Grupy Jedwabnego Szlaku.

O... kurwa.

Nikogo prócz mnie nie było.

Droga z molo i wioski portowej prowadziła do klubu polo. Smętnie wiszące dzisiaj flagi. Za klubem polo ulica przechodziła w drogę. A ta prowadziła na plażę. Na plaży droga przechodziła w ścieżkę wijącą się wzdłuż brzegu. Jakiś rybak spojrzał na mnie z dołu znad sieci, którą spletał sękatymi palcami, i przez chwilę patrzyliśmy na siebie. Już zapomniałem, że poza moim światkiem Krótkoterminowej Cholernej Dzierżawy ludzie właściwie całe swoje życie przebywają na wyspie Lantau.

W weekendy ojciec zwykle zabierał mnie na ryby. Nad ponury zbiornik, zagubiony gdzieś w Snowdonii. Ojciec był elektrykiem. To była praca, uczciwa praca. Instaluje się tablice rozdzielcze,

podłącza oświetlenie, poprawia spartaczone, wykonywane chałupniczą metodą instalacje, ażeby nie popaliły ludziom domów. Ojciec jak z rękawa sypał lokalnymi powiedzonkami: - Dasz człowiekowi rybę, Neal, wystarczy mu na dzień. Nauczysz go łowić, a wystarczy mu na całe życie - Byliśmy nad zbiornikiem, kiedy powiedziałem mu, że zamierzam studiować biznes na politechnice. Tylko kiwnął głową i powiedział: - To powinno dać ci dobrą pracę w banku. - I zamilkł. Czy tam były początki drogi, którą nadal podążam? Po raz ostatni byliśmy na rybach, gdy powiedziałem mu, że dostałem pracę w Cavendish Hongkong, z płacą trzykrotnie większą od zarobków mojego byłego kierownika.

- To wspaniale, Neal - odpowiedział. - Twoja matka będzie dumna jak paw. -

Oczekiwałem, że jakoś bardziej zareaguje, ale wtedy był już na emeryturze.

Po prawdzie łowienie mnie nudziło. Wolałbym już zbijać bąki. Ale mama nalegała, żebym z nim chodził, więc chodziłem i teraz się cieszę, że tak było. Jeszcze dzisiaj słowo

"Walia" niesie z sobą smak kanapek z tuńczykiem i jajkiem, i słabej herbaty z mlekiem, i wspomnienie ojca rozglądającego się po mrocznym jeziorze otoczonym ścianami zimnych gór.

Znakiem jej pojawienia się było buczenie lodówki. Dźwięk, do którego człowiek się przyzwyczaja, jeszcze zanim go usłyszy. Nie wiem, jak długo szafki były pootwierane, Klimatyzator włączony, zasłony rozsunięte, zanim uświadomiłem sobie, że ona jest. Żyjąc z Katy, tylko to odraczałem. Katy myślała, że robię to, co ona, ja myślałem, że Katy robi to, co robi. Jej wejście nie było dramatyczne, jak w filmach Nic nie fruwało po pokoju, żadnych upiórów w maszynie, żadnych idiotycznych wiadomości

wystukiwanych na moim komputerze czy ułożonych na drzwiach lodówki z magnetycznych liter. Nic w stylu *Poltergeista* czy *Egzorcysty*. Raczej coś w rodzaju stanu klinicznego, który - jeśli jest stanem terminalnym - rozwija się poprzez drobne zmiany, tak że poddaje się diagnozie dopiero wtedy, gdy jest już za późno. Drobiazgi: ukryte przedmioty, miód pozostawiony na szafce, książki odnajdywane w zmywarce do naczyń. Tego rodzaju rzeczy. Klucze. Miała upodobanie do kluczy. Nie, nigdy nie była jawnym gościem domu. Żartowaliśmy sobie z niej z Katy, jeszcze zanim w nią uwierzyliśmy: a, to znowu ten duch.

W końcu jednak chyba poruszyła naszą trójkę głębiej niż cały stos rozbitych wazonów.

Pamiętam ten dzień, kiedy buczenie przerodziło się w hałas. Było to niedzielne popołudnie, ubiegłej jesieni. Przynajmniej raz byłem w domu. Katy poszła na zakupy do supermarketu w osadzie. Leżałem wyciągnięty na kanapie, jednym okiem czytając gazetę, a drugim oglądając *Die Hard3* z kantońskim dubbingiem. Nagle zdałem sobie sprawę, że przed sobą na dywanie mam małą dziewczynkę, leżała na brzuchu, bawiąc się w pływanie.

Wiedziałem, że tam jest, i wiedziałem, że tego dzieci w ogóle nie ma.

Wniosek nasuwał się sam.

Na karku poczułem tchnienie strachu.

Pół budynku wyleciało w powietrze. - Przydałoby nam się więcej agentów FBI - powiedział głupawy deputowany, który nie ufał Bruce'owi Willisowi.

Do dzieła wkroczył rozum, wywijając nakazem. Poleciał, żebym zachowywał się tak, jakby nic niezwykłego się nie działo. Co miałem robić? Uciec z wrzaskiem z mieszkania - niby dokąd? W

którymś momencie i tak musiałbym wrócić. Do tego trzeba było pomyśleć o Katy. Miałem jej powiedzieć, że duch obserwował nas rano, w południe i wieczorem?

Ciekawe, co jeszcze by się pojawiło, gdybym i tę zaporę otworzył? Przemogłem się i udawałem, że kończę artykuł - mógł być nawet po mongolska Strach został zakuty w kajdanki, ale przecież mógł jeszcze krzyknąć na całe gardło.

Ducha, kurwa, macie w mieszkaniu! Ducha, słyszysz, kurwa?

Nadal tam była, pływała. Teraz stylem grzbietowym, na plecach.

Musiałem opuścić gazetę. Czyżby to znaczyło, że jeśli ona tu jest, to ja oszalałem, czy też przeciwnie: oszalałem, jeśli jej nie ma?

Co ja o niej wiedziałem?

Tylko tyle, że nie była groźna.

Złożyłem gazetę i spojrzałem tam, gdzie powinna być ona.

Nikogo i niczego. Widział? Zapytał Rozum zadowolony z siebie.

Neal, powiedział Neal, ty fiksujesz.

Stanowczym krokiem ruszyłem do kuchni.

Z tyłu usłyszałem jej chichot.

Spierdalaj, powiedział Strach do Rozumu.

Usłyszałem chrobot zamka i odgłos kluczy Katy na klatce schodowej. Upuściła je.

Podszedłem i otworzyłem jej. Schylała się, więc nie mogła widzieć wyrazu mojej twarzy, te-go, jak bardzo się cieszę.

- Uf! - powiedziała z uśmiechem, prostując się.

- Witaj w domu - odparłem. - To szampan?

- Szampan, homar i jagnię, mój łowco - zbieraczu.

- Spałeś, co? Jesteś taki półprzytomny.

- Yyyy... Tak. Nie mów, że znowu przegapiłem twoje urodziny?

- Nie.

- To co?

- Chcę cię podkarmić, żebyś naprodukował mnóstwo nasienia i rozochocił się.

Postanowiłam, że będę miała dziecko. Co ty na to?

Jak to, Katy.

Znalazłem się na rozpadającym się podwórku otoczonym sypiącymi się rybackimi domkami. Ścieżki rozwidlające się. i z rozwidleń przechodzące w nowe rozwidlenia. Czarny pies zoczył mnie jednym ślepiem, sprawdzał, kim jestem.

Szkoda, że był na łańcuchu. Jakie są szansę na wściekliznę u takich psów? Bo całkiem spore, jeżeli chodzi o panów. Zza kapusty wielkości małej stodoły podniosła się kobieta. -

Idzie pan do Wielkiego Buddy, tak?

Już widziałem, jak wyglądam, zabłąkany na jej podwórku. Cholerny, ubłocony po kostki, obcokrajowiec - buty z Pensylwanii, jedwabny krawat rodem z Mediolanu, aktówka wypełniona japońsko-amerykańskimi gadżetami wartającymi więcej forsy, niż ona widzi przez trzy lata. Co sobie myśli?

- Tak - odpowiedziałem.

Pękatym warzywem wskazała jedną ze ścieżek.

- Dziękuję.

Początkowo ścieżka była wyraźnie widoczna, ale w miarę jak wchodziłem w las, stawała się coraz mniej pewna. Liście, łodygi, pędy, narośle na korzeniach, ciernie, zarośla.

Pospolity szarawy ptak śpiewający pośród szmaragdów i opali. Sucha trawa. Ziemia, kamienie, oderwane skały, robaki ryjące pod ziemią.

Nie myślę o tym. Dzień się zaczynał i dopiero miało się ocieplić.

Usłyszałem helikopter i oczyma wyobraźni ujrzałem Avril i Guilana w słuchawkach, jak wychylają się z lornetka mi przy oczach. Avril mówiąca do kamery niczym reporter radiowy komentująca sytuację na drogach. Zachichotałem. Coś skoczyło w podszyciu, głucho załomotało. Zamarłem, ale już nic nie usłyszałem. Kiełkuje myśl. Czy na wyspie Lantau są węże?

Trzydzieści jeden dni ma wrzesień, Trzydzieści kwiecień, czerwiec, listopad. A resztę pieprzyć...

Wokół głowy bzycały spragnione mojego potu

Pora na pokojówkę.

Po prawdzie, to od samego początku to był pomysł Katy. Mnie to nigdy nie było potrzebne, nie ja ją wybierałem i przez pierwsze sześć miesięcy - do ostatniej zimy - nawet jej nie widziałem. Pokojówkę spotkałem dopiero wtedy, gdy Katy wróciła do Brytanii.

U

Cavendisha pracowała grupa mężczyzn, którzy wynajmowali pokojówki chętne do świadczenia jeszcze innych usług niż samo wietrzenie poduszek, odprowadzanie dzieci do szkoły i ich przyprowadzanie. W większości angażowali Filipinki, ponieważ nie mają prawu stałego pobytu i tym samym muszą być bardziej uległe. Do tego wiedzą, że im bardziej te dziewczyny się przystosowują, tym łatwiej je później polecić dalej, gdy ich panowie wyjeżdżają z Hongkongu.

Może Katy nasłuchiwała się takich opowieści w Klubie Żon. Może dlatego wybrała chińską pokojówkę. Byłem zaskoczony, gdy powiedziała mi, że chce taką zatrudnić. Katy pochodziła z zamieszkałej w Cambridge rodziny należącej do wyższej klasy średniej, lecz o dochodzie niższej klasy średniej, gdzie wykorzystywało się rodowe nazwisko i zaciskało pasa, by posłać

dzieciaki do dobrych szkół. Poznaliśmy się, chuj wie dlaczego, w Londynie, w firmie prawniczej, a nie w Izbie Lordów.

Ale wylądowaliśmy tutaj, w koloniach. No, byłych koloniach. Byłem zawiedziony, że znalazła się w orbicie Klubu Żon. Ale, jak wytknęła mi Katy, nie byłem jedynym, który musi sprzątać po sobie. A po tym, jak zauważyła, że po zajściu w ciążę będzie musiała przestać się tym przejmować, zabrakło mi argumentów. Podejrzywałem, że Katy ma bzika na punkcie przerzucania pomostów między kulturami i że w ramach hobby postanowiła przeniknąć chińską duszę.

Jeśli moje podejrzenie było słuszne, to owo hobby fatalnie się dla Katy skończyło.

Przyniosło jej same zmartwienia, którymi następnie mnie zaraziła, gdy tylko przestąpiłem próg. Katy dała jej upominki, a ona wzięła je bez słowa. Katy twierdziła, że była opryskliwa, niedostępna i nieustannie robiła grube aluzje na temat tego, jak to jej rodzinie głodującej w głębi kraju potrzeba coraz więcej pieniędzy. Katy podejrzewała, że chcąc zarobić więcej pieniędzy, pracowała w nocnych barach z dziewczynami. Pewności mieć nie mogła, ale była przekonana, że zginęły jej złote kolczyki. Gdy tak sobie przypominam, przychodzi mi na myśl, czy nie była to aby robota naszej gosposi - córeczki?

- Jeżeli nie jesteś z niej zadowolona, to ją wywal.
- A co z jej głodującą rodziną?
- To nie twój problem! Nie bądź taka hojna.
- Mówisz jak prawdziwy prawnik.
- To ty od rana do nocy biadolisz nad nią.
- Chcę, żebyś z nią porozmawiał, Neal.
- Dlaczego ja?

- Próbowałam, ale w tej kulturze kobieta poważa tylko mężczyzn. W tej kulturze poważa się mężczyzn. Po prostu bądź stanowczy. Na tę sobotę dam jej wolne i poproszę, że-by przyszła w niedzielę. Upewnij się, że będziesz w domu.

- Ale to o twoje kolczyki chodzi. Powiedziałem to, czego nie powinienem. Kiedy udało mi się Katy uspokoić, zapytałem ją, co mam powiedzieć pokojówce.

- Powiedz jej, że istnieją pewne standardy i że oczekujemy, że im sprostą. Powiedz, że może nie postawiliśmy sprawy dość jasno od razu, kiedy ją angażowaliśmy.

- A może to jest po prostu leniwe babsko. Dlaczego myślisz, że w ogóle jakoś na nią wpłynę?

- Chińska dusza: jeżeli powiesz im, kto jest panem, wówczas są posłuszni. Na mnie to ona patrzy jak na psie łajno. Opowiadała mi żona Thea, miała taki sam problem. Nie ma nawet znaczenia, czy wszystko zrozumie. Dla nich wystarczy ton twojego głosu.

I w następną niedzielę poznałem pokojówkę. Tak więc jak widzicie, to Katy nas zetknęła ze sobą.

Spodziewałem się, że zobaczę sprzątaczkę. Ale co pokojówka, to pokojówka.

Domyślałem się, że ma jakieś dwadzieścia osiem, dwadzieścia dziewięć lat. Była w czarno - białym komplecie i czarnych rajstopach. Pewnie pociła się w tym materiale. Słuchała niefrasobliwie, podczas gdy ja trajkotałem swoje, na ogół unikając jej spojrzenia. Włosy miała bujne, śniadą skórę. Po trzydziestu sekundach wspólnego przebywania w jednym pomieszczeniu wiedziałem już, że skończy się na dupczeniu i że ona też o tym wie.

I od tej pory, nawet wtedy, gdy chcąc zapłodnić Katy uprawiałem z nią seks po trzy razy w ciągu nocy, ilekroć

przymknąłem oczy, widziałem pod sobą pokojówkę.

Za klasztorem trapistów ścieżka pięła się ostro w górę, i tak aż do różowości poranka.

Niebawem linia drzew została daleko w dole. Nigdy nie przypuszczałem, że tyle tu nieba!

Zdjąłem marynarkę i przewiesiłem ją przez ramię. Aktówkę nadal niosłem ze sobą.

Dotarłem do wykrotu i usiadłem. Serce mi wibrowało podwójną basową struną. Mam zażyć którąś z tych tabletek?

Lekarz opiekujący się ludźmi od Cavendisha, chiński konował, powiedział tylko: -

Zażywaj trzy razy dziennie, a wrócisz do normy. - Zapytałem. - Co mi dajesz? - A on na to - buteleczkę różowych, buteleczkę zielonych i buteleczkę niebieskich. - Na zdrowie, doktoru. A może odpuśćcie sobie te lekarstwa.

Chmury zmieniały się alchemicznie. Słońce polerowało ołowianą szarżyznę na srebro.

Srebro zaś pokrywało się mgiełką błękitu. Mimo wszystko zapowiadał się piękny dzień.

Stojąca w pobliżu puszysta skała uniosła głowę i zamrugła oczyma. Spojrzała na mnie smutno i zamuczała. Tak blisko krowy nie stałem od... kto wie? Chyba od czasu, gdy wyjechałem z Walii. W oddali za mgiełką lśnił Hongkong. Drapacze chmur, konstrukcje bezwzględnie pnące się ku górze jak drzewa w dżungli.

Zadzwoił mój telefon komórkowy, z miejsca powodując nawrót.

Kurwa, i co ja zrobiłem! Błagam, obudź mnie, Boże!

Błagam! Krowy smętnie muczały. Kurwa. Kurwa. Dwa razy kurwa, do potęgi kurwa.

Jestem prawnikiem żyjącym w świecie, w którym „trzyście”

oznacza wyłącznie „trzyście milionów dolców”, a zwiewam na wagary jak ucniak, który urywa się z podwójnej matmy! Tajwanka! Pomyślmy!

Jaka wymówka jest wystarczająco poważna, wystarczająco prawdopodobna, a jednak nieprawdopodobna jako kłamstwo? Porwanie? Nie, atak serca? Avril wie, że jestem na lekarstwach. Zatrzymanie? Pomyślmy! Poważne, gwałtowne, obezwładniające wymioty, gdyby przydarzyły mi się na statku, musiałbym zapłacić lekarzowi, potrzebowałbym recepty i wiarygodnego świadka...

Odpowiedz mi! Odpowiedz!

Kliknąłem „odpowiedz” i powiedziałem, yyy...

Neal, czy nie czas już, abyś sam rozstrzygnął, skąd się wziął kryzys?

Yyyy... Nic. Wsłuchiwałem się w serce Neala. Dudniło jak odgłosy granatu w pobliskiej dolinie.

- Neal? Neal? - faktycznie Avril. - Neal, gdzie jesteś? Wielka mucha wylądowała na moim kolanie. Jak gotycki trójkołowiec. Koniec nawrotu.

- Neal? Słyszysz mnie? Jest tutaj Czeung Jun. Jest bardzo uprzejmy, ale zastanawia się, co mogło się okazać aż tak ważne, że się spóźniasz na spotkanie. Ja też. Tak samo zastanowi to Jima Herscha. A jeżeli Czeung Jun nie jest wystarczająco ważny, byś zarezerwował dla niego swój bezcenny czas, to dzwonił do ciebie pan Gregorski z St. Petersburga, i to dwukrotnie, a jeszcze nie ma dziewiątej.

Spojrzałem na mojego roleksa. No, no, ile czasu upłynęło. Krowa nastroszyła się.

Poczułem w pobliżu smród gówna.

- Wiem, że tam jesteś, Neal. Słyszę, jak oddychasz. Dobrze by

było. Byłoby świetnie. Ponieważ tym razem chyba tylko wywrócony do góry dnem prom mógłby cię uratować Neal, słyszysz mnie? Dobra, słuchaj, Neal, jeżeli nie możesz mówić, to klepnij teraz dwa razy w telefon, dobra?

Aha! Do jej pogardy zakradły się wątpliwości. Stłumiłem chichot. Avril przechodzi samą siebie.

- Neal! To nie jest zabawne! Po królewsku oddaliśmy jeden z największych kontraktów, jakie kiedykolwiek widzieliśmy! Jeden z największych, jakie w ogóle widziano!

Będę zmuszona poinformować wydział kontroli. Nie może ode mnie oczekiwać, że będę zbierała za to cięgi!

A zamknij się już, kurwa. Wyłączyłem urządzenie i położyłem na ciepłej skale.

Krażył myszołów, nadpłynęła chmura w kształcie kowadła.

Nigdy nie widziałeś, jak przychodzą. Czają się w nie zauważanych i wolnych od kurzu miejscach. Rozrastają się do ogromnych rozmiarów i nawet ci się nie śnią, na pewno nie *w* swojej prawdziwej postaci. Aż wreszcie któregoś dnia następuje przypadkowe spotkanie, choć nawet przez myśl ci nie przeszło, że go pragnąłeś, i rygiel puszcza...

Avril próbowała jeszcze na pejdzer. Jezu, w urządzenia telekomunikacyjne byłem uzbrojony po zęby. I odpiąłem je, niczym John Wayne, gdy wyciągał broń z kabury po ciężkim dniu spędzonym na wyrzynaniu latynoskich bandytów. Otworzyłem zatraski aktówki. Były w niej akta Mickeya Kuma - oo - i wizytówka Huwa Llewellyna. Włożyłem mój pejdzer i telefon komórkowy. Wstałem, wziąłem potężny zamach i cisnąłem w otchłań.

Aktówka zatoczyła elegancką parabolę, i jeszcze słyszałem mój

pejdzier, pomiaukujący jak kosztowny kociak. Uderzyła o zbocze i korkociągiem, w saltach agonii spadła na dół... zataczając piękne koło, wystarczająco szybko, by uderzeniem zabić, jak Mama Lwica, jak akrobatka, jak lemming, jak Prosiaczek we *Władcy much*.

Moja aktówka na chwilę osiągnęła stan nieważkości i zawisła w porannym słońcu.

A potem jak głuptak runęła do morza.

Wyglądało na to, że Katy zapomniała o odwołaniu pokojówki.

W tydzień po wyjeździe Katy wróciłem którejś nocy i co zastałem? Zrobione pranie, umyte i schludnie poukładane naczynia, posprzątaną ubikację i łazienkę, okna pomyte. Poprasowała mi nawet koszule, ach te cierpkie śliwki jej drobnych chińskich sutków.

Nie zamierzałem oczywiście tego anulować. W dni powszednie musiałem w moim organizerze planować nawet wyjścia do kibla. Poważnie.

Pokojówka nie potrzebowała dużo czasu, żeby się zorientować, że Katy wyjechała.

Przyszła którejś niedzieli rano. Leżałem na kanapie i oglądałem *Ulicę Sezamkową*.

Usłyszałem dźwięk kluczy - weszła jak do siebie. Nie miała na sobie fartucha.

Zamknęła za sobą drzwi, podeszła do mnie w taki sposób, jakbym był martwy, uklękła na mnie i jedną ręką zaczęła masować mi pałę. Wielki Ptak, Erni i Bert śpiewali piosenkę o magicznym E, które skłania A do podania swego imienia. Próbowałem ją pocałować, lecz ona odepchnęła moją twarz, przytrzymała i coraz silniej zaciskała swoją dłoń. Zdjęła mi koszulkę i stopą ściągnęła spodnie. Akrobatka. Palcami chwyciła mi skórę między jajami,

zaciśnęła jak kółko w nozdrzach wołu. Poprowadziła do sypialni i położyła na stronie Katy.

Wyslizgnęła się z majtek i uklękła mi na klatce piersiowej. Zacząłem rozpinać jej guziki, ale ona powiedziała tylko ciiii, klepnęła mnie i wbiła mi paznokiec w mosznę, aż skapitulowałem. I wtedy odezwała się, pierwszy i właściwie ostatni raz.

- Powiedz: chcę ciebie, nie chcę tej suki Katy.

- Tak, chcę. - Powiedz!

- Chcę ciebie, nie jej.

- Powiedz. Ta suka Katy jest śmieciem, ja jestem prawdziwą kobietą.

Nie mogę tego powiedzieć.

Nadal trzymając moje jądra jak zakładnika, jedną ręką ściągnęła z siebie górę i odpięła biustonosz. Jej chichot dobiegał mnie z drugiego pokoju. Jej sutki podniosły się i pociemniały - wszystko zupełnie jak w baśni.

- Jest suką. Śmieciem. Ty jesteś prawdziwą kobietą.

- Dasz mi pieniądze. Dasz mi jej rzeczy. Wszystkie w prezencie.

- Dużo zabrała ze sobą.

- Wiele zostawiła. Są teraz moje. Powiedz to. - Przesunęła rękę wyżej na pałę i coraz mocniej ścisnęła.

- Są teraz twoje. Położyła moją rękę na swoich piersiach. - Powiedz: jesteś silniejsza ode mnie.

- Jesteś silniejsza ode mnie. Formalności, korowody i podpisanie umowy, napierała na mnie. Przez ułamek sekundy pomyślałem o antykoncepcji, ale ciepło, wilgoć i rytm popychały mnie coraz dalej.

Kiedy spróbowałem wziąć ją pod siebie, ugryzła mnie dźgnęła łokciem i z powrotem się obróciła.

Potem wiatrak z szumem dmuchał powietrze na nasze ciała.

Pozostał tylko zapach odpływu. Czułem... nie wiem, co czułem. Może nic nie czułem. Skończył się temat muzyczny z *Ul icy Sezamkowej*.

Wstała i usiadła przy toaletce Katy. Otworzyła szufladę, wyjęła naszyjnik z koralami i założyła na szyję. Smuklejszą niż szyja Katy.

Znowu jej zapragnąłem. To kosztowało mnie więcej niż pieniądze, więc z powodzeniem mogłem iść na całego i machnąć na wszystko. Wstałem i wyruchałem ją od tyłu na toaletce. Stłukliśmy lustro.

Seks z pokojówką stał się narkotykiem. Po jednym strzale uzależniłem się. Myślałem o niej w pracy. Kiedy wieczorem wracałem do domu, erekcji dostawałem już w chwili włożenia klucza do zamka. Jeżeli w holu wejściowym czułem perfumy Kary, znaczyło to, że czeka. Jeżeli nie, musiałam zadowolić się whisky. W biurze Hugo Hamish i Theo parokrotnie próbowali namówić mnie na picie w „Szalonych Psach”, myśląc, że nie mogę się pozbierać po wyjeździe Katy, ale prawda była taka, że za często o niej nie myślałem. Mieszkała w innej przegródce, a ja, o ile nie szedłem specjalnie jej szukać, nie musiałem się z nią spotykać. Z pokojówką było inaczej: to ona mnie szukała.

Kiedy któregoś wieczoru wróciłem do domu i u wejścia zobaczyłem buty pani Feng, zrozumiałem, że w odwiedziny przyszły kłopoty. Pani Feng i Katy siedziały przy stole w jadalni. Wbiły we mnie złowrogie spojrzenia. Nieodwołalny wyrok na Neala Brose'a został już wydany.

- Neal - odezwała się Katy tonem dyrektorki szkoły, jak zawsze, kiedy była wkurwiona, ale chciała sprawić wrażenie, zapanuje nad sobą. - Pani Feng opowiadała mi o naszym gościu. Usiądź.

Miałem ochotę na piwo, na prysznic, na stek z frytkami, na

mecz Manchester United-Liverpool w telewizji satelitarnej.

- Posłuchaj pani Feng! Zanim cokolwiek zrobisz.

Im szybciej miało się to skończyć, tym szybciej wieczór mogłem spędzić tak, jak chciałem.

Pani Feng czekała, aż usiądę i przestanę się wiercić. Patrzyła na mnie w taki sposób, że poczułem się jak podejrzany podczas konfrontacji. - Nie mieszka pan sam w tym mieszkaniu.

- Wiem.

- Teraz się ukrywa. To mała dziewczynka i mnie się boi. Właśnie widziałem, dlaczego. Oczy pani Feng patrzyły przyciemnionym szkłem. Kiedy mrugała, mogę przysiąc, że słyszałem syk otwieranych drzwi.

- Są trzy możliwości. Od wieków na Lantau nocą zostawiano niechciane dzieci, na łaskę i niełaskę zimowych nocy i dzikich zwierząt. Można by ją zaliczyć do jednego z tych znanych od dawna przypadków. Ale te rzadko się zdarzają w nowoczesnych budynkach.

Istnieje także druga możliwość, że należy do elementu niepożądanego, zgarnianego przez Japończyków, kiedy podczas wojny okupowali Hongkong. Zabierano ich nad Zatokę Odkrycia, kazano im kopać dla siebie samych groby, powyżej miejsca, gdzie w latach siedemdziesiątych zbudowano Fazę 1, a potem strzelano do nich, tak że spadali prosto do otworów w ziemi. Może ukradła jakąś błyskotkę. Istnieje jeszcze trzecia możliwość, że jest to... nie znam angielskiego słowa. Że jest ona dzieckiem *gualo*, pana i pokojówki. Pan odszedł, a pokojówka wyrzuciła dziecko z jednego z tych domów.

- Matczyna opieka we współczesnym wydaniu.

- Zamknij się, Neal!

- Chłopiec przyniósłby tylko wstyd, ale dziewczynka to coś znacznie gorszego. To często się zdarza, nawet kiedy rodzice są małżeństwem i oboje są Chińczykami, jeśli nie są bogaci. Taki posag może sparaliżować życie małżeńskie. Sądzę, że to jeden z tych przypadków.

Dlaczego obie tak patrzyły na mnie? Czy to moja wina?

- Jest coś jeszcze - powiedziała Kary. - Pani Feng powiada, że ją ciągnie do ludzi. Do ciebie.

- Czy wiesz, jak brzmi to, co mówisz?

- Pani Feng mówi, że ona widzi we mnie rywalkę i że dopóki będziemy tu mieszkali, dopóty nie będę mogła mieć dziecka. Musimy wyjechać z Lantau. Przez wodę za tobą nie pójdzie.

- Doktor Czan wysunęła nieco bardziej prawdopodobny powód tego, że nie pojawił się jeszcze mały Brose-Forbes, nie sądzisz? - O kurwa, kiepsko to wypadło.

- A więc twierdzisz, że to wszystko jest wytworem mojej wyobraźni.

- Nie. Od czasu do czasu i duchy się tu pojawiają. Jednak stratosferyczne czynsze za wynajem w Central i Victoria Peak to cokolwiek konkretniejsza rzeczywistość. Chińczycy pierwsi gotowi są zapomnieć o swoim świętym, kurwa, feng shui, gdy tylko zaproponuje się im pieniądze. Daj spokój, Katy. Nie możemy sobie pozwolić na przeprowadzkę. A zamieszkać możemy tylko z Triadami, motłochem i imigrantami w Kaulun. Jeśli tam urodzisz dziecko, to je posiekają, zasuszą i przerobią na lekarstwo.

Pani Feng obserwowała nas. Przysięgłbym, że cała ta sytuacja ją bawiła.

- Proszę pani - zwróciłem się do niej. - Wie pani wszystko, co można na ten temat wiedzieć. Co powinniśmy zrobić? Wezwać

egzorcystę?

Mój sarkazm przyszedł w samą porę. Pani Feng nieznacznie skinęła głową. - Istnieje pewna grupa wyspecjalizowanych geomancerów i w zwykłych okolicznościach, owszem, polecałabym ich. Ale to mieszkanie jest tak niefortunne, że boję się, że nie uda się go uratować. Musicie się przeprowadzić.

- Nie przeprowadzimy się. Nie możemy.

Pani Feng wstała. - Wobec tego zechcą państwo wybaczyć.

Katy wstała i jeszcze próbowała, pytając, czy *nie* zostanie chociaż na herbatę, ale pani Feng była już w drzwiach. - Proszę wystrzegać się tego, co jest za drzwiami.

Kiedy usiłowałem rozgryźć, co to niby, kurwa, miało znaczyć, Katy wstała i poszła do drugiej sypialni. Usłyszałem, że się zamyka.

Obłąd, no, kurwa, obłąd. Wziąłem sobie piwo i wyciągnąłem się na kanapie, zbyt zmęczony, by sobie przygotować coś do zjedzenia. Dzięki, Katy. Miałaś, kurwa, cały dzień, żeby coś zrobić. A jeśli ten jebany duch istnieje?

Nigdy nie sądziłem, że w tym miejscu jest aż tyle, kurwa, zamków.

Chłopak i dziewczyna w tej knajpie zeszłej nocy, cały czas ich widzę.

Katy i ja. Co się stało z Miłością?

No cóż, poszła do *łóżka*. Dawała dupy na okrągło i kutasowi zaczęło się przykrzyć, nie ma co owijać. Potem rozejrzała się, co by tu jeszcze i zobaczyła, że wszystkie jej ukochane przyjaciółki mają dzieci. Więc postanowiła, że też chce, ale okazało się, że niezmiennie ma okres, jak zawsze, bez względu na to, ile razy dawała się zapładniać. Poszła więc do kliniki leczącej bezpłodność i

dowiedziała się prawdy. O ile wiem, truposz Miłości pozostaje tam po dziś dzień. I tak się kończy, drodzy dziewczęta i chłopcy, „Opowieść o tym, co się stało z Miłością”.

Mam ochotę wrócić do tego baru kawowego i opowiedzieć im. - Słuchajcie mnie, oboje, jesteście chorzy. Nie widzicie rzeczy takimi, jakimi są.

Kto ci każe, Neal, komuś mówić, że jest chory?

Wieczorem dzwoniła Katy. Pokojówka wyszła dwie minuty wcześniej. Wchodziłem właśnie pod prysznic, jeszcze cały lepki. Jakim sposobem kobietom zawsze udaje się tak wkroczyć w odpowiednim momencie? Nagrała się na sekretarkę. Była pijana. Pozwoliłem tak jej gadać, a sam słuchałem, stojąc w pokoju, kompletnie nagi, śmierdzący po tych wszystkich stosunkach odbytych z pokojówką, której Katy nienawidziła.

- Neal, wiem, że tam jesteś. Wiem. Tutaj jest piąta po południu, nie wiem dokładnie, która jest tam, ale chyba jedenasta. - Tak samo nie wiedziałem, która godzina. - Oglądałam, jak Brytyjcy dostawali w tyłek na Wimbledonie... Chciałam ci, zdaje się, powiedzieć cześć, ale tak naprawdę nie wiem, dlaczego dzwonię, u mnie dobrze, dzięki, a u ciebie? U mnie dobrze. Szukam mieszkania. Za tydzień o tej porze będę już w małym mieszkanku w Islington, na tym się pewnie skończy. Rury hałasują, ale przynajmniej nie ma żadnych duchów. Przepraszam, ale to wcale nie jest zabawne. Uganiem się jako asystentka dla Cecile's Tem Agency, tylko tak, żeby nie tracić kontaktu. Vernwood odszedł na Wall Street. Biurko po nim dostało się jakiemuś mądrali, świeżo po London School of Economics. Zastanawiałam się, czy zebrałaś się, żeby odesłać to krzesło w stylu królowej Anny, jest warte parę groszy, wiesz. W zeszłym tygodniu rozmawiałam z twoją siostrą,

wpadłam na nią dziwnym trafem przez przypadek u Harveya Nica... Mówiła, że właśnie przedłużyła umowę na kolejne półtora roku... Wrócisz na Boże Narodzenie? Może miło byłoby się spotkać, tak tylko pomyślałam, wiesz, ale wtedy pewnie znowu miałbyś mnóstwo innych spotkań i w ogóle... A w twoim mieszkaniu zostało jeszcze coś z mojej biżuterii. Chyba nie chcielibyśmy, żeby ta Chinka położyła na tym łapę i uciekła z tym do Chin, hm? Nie sądzę, żebym kiedykolwiek odzyskała od niej te klucze. Lepiej pozmieniam zamki. U mnie w porządku, ale potrzebuję wypoczynku. Jakies czterdzieści lat powinno mi wystarczyć. Dobra, jeżeli po przyjeździe nie będziesz za bardzo zmęczony, to zadzwoń do mnie, przez parę godzin będę jeszcze oglądała finały debła... Aa, twoja siostra mówiła, żebyś zadzwonił do matki... Oderwała się znowu, jak jej tam, trzustka twojego ojca... no to pa... W ogóle nawet nie próbowałem oddzwonić. Co niby miałbym powiedzieć?

Grób. Tyłem do gór, twarzą do morza. Słońce wysoko; jest nieznośne. Zdjąłem krawat i powiesiłem na ciernistym drzewie. Nawet nie będę próbował odczytywać nazwiska jego mieszkańca. Tysiące tutaj tych chińskich hieroglifów składających się na najbardziej nieporęczny system piśmienny świata. Ja znałem tylko pięć: alkohol, góra, rzeka, miłość, wyjście. Czasami myślę, że te hieroglify są naprawdę chińskie, zapominane ze stulecia na stulecie, skrywające swoje znaczenia w podobieństwach, wyprowadzających w pole obcokrajowca, w zasadzie nie do podrobienia. Sam Mao nie zdecydował się na unowocześnienie swojego języka.

Ruszyłem ścieżką prowadzącą z ostatniego szczytu. Słonawy strumień, krzew okupowany przez ptaki, motyl o skrzydłach jak talerzyki paskowanych w zebnę. Raz czy dwa zgubiłem ścieżkę,

która raz i drugi mnie odnalazła. To przypomniało mi Brecon Beacons. Dojrzałem, kiedy uświadomiłem sobie, że wszystko wszędzie jest w zasadzie takie samo i takie same są wszędzie kobiety.

Tym razem droga się urywała. Mylny trop. Musiałem wrócić po śladach, poprzez labirynt ciernistych krzewów i perzu. Usiadłem i podziwiałem widok. Na terenach rekul-tywowanych budowano kolejne skrzydło nowego portu lotniczego. Małeńkie buldożery ruszały się jak zabawki na lśniących, pokrytych mułem równinach. Pot spływał mi po nadgarstkach, po piersi, wgłębieniem między pośladkami. Spodnie przywierały do ud. Mniej więcej teraz powinienem zażyć swoje lekarstwo, ale wszystko spoczywało już w aktówce, gdzieś na dnie zatoki.

Zastanawiałem się, czy wysłać kogoś, żeby mnie znalazł Pewnie Minga. Avril bez wątpienia coraz głębiej wgryzała się w mój twardy dysk, z The'em Fraserem zerkającym zza ramienia. Do czego mogli w ten sposób dojść? Te wszystkie emaile z Petersburga, te wszystkie nie-widział-nie-słyszał siedmio- i ośmiocyfrowe transfery funduszy dokonywane do miejsc nikomu nie znanych?

Gdybyś nie mieszkał z duchem, nie poznałbyś się na tym... Wydaje ci się, że tego dnia, od rana do nocy, krążysz owładnięty obsesją i strachem, czekając, aż egzorcysta zadzwoni... A to naprawdę nie tak. To raczej przypomina mieszkanie z bardzo osobliwym kotem.

Przez ostatnie trzy miesiące mieszkałem z trzema kobietami. Jedna była duchem, który teraz jest kobietą. Druga była kobietą, która teraz jest duchem. Trzecia jest duchem i zawsze nim pozostanie. Ale nie jest to opowieść o duchach: duch pozostaje na drugim planie, tam, gdzie powinna figurować ona. Gdyby ona

znalazła się na pierwszym planie, byłaby osobą.

Wróciliśmy z Katy z głupawego przyjęcia u Cavendisha. Weszliśmy do holu.

Odłożyłem aktówkę i sprawdziłem skrzynkę na listy. Była korespondencja. Weszliśmy do windy, rozcinając koperty. W połowie drogi uprzytomniłem sobie, że w holu obok skrzynki na listy zostawiłem aktówkę. Dotarliśmy do czternastego piętra, Katy wysiadła, a ja zjechałem z powrotem na dół po aktówkę, a potem wróciłem na nasze piętro. Gdy drzwi windy otworzyły się i zobaczyłem Katy stojącą nadal przed naszym mieszkaniem, wiedziałem, że stało się coś bardzo złego.

Była blada i rozdygotana. - Zamknięte. Zaryglowane. Od środka.

Włamywacze. Na czternastym piętrze? Na pewno tam jeszcze są.

To nie włamywacze, i oboje o tym wiedzieliśmy.

To ona wróciła.

Nie mam pojęcia, skąd wiedziałem, co robić, ale wyjąłem swoje klucze i parokrotnie nimi potrząsnąłem. Potem spróbowałem z drzwiami.

Otworzyły się, wpuszczając nas w ciemność.

Katy nie odzywała się do mnie, mimo iż wiedziałem, że przez większą część nocy nie spała. Z perspektywy czasu wiem, że to był początek końca.

Więc wracałem.

Przejechał autobus pełen wścibskich pasażerów, napakowany jak zwykle. Kurwa mać, jak ci Chińczycy się na człowieka gapią! Co za chamstwo! Nigdy nie widzieli opalającego się obcokrajowca w garniturze, który wybrał się na spacer w samo południe?

Słońce! Trzepnięcie boksyerską rękawicą. Zaszło mi w gardle. Wrócił helikopter.

Zbocza doliny buczały i świszczwały. Powinienem był tu przyjść parę miesięcy temu. To wszystko czekało na mnie, a ja tymczasem zaliczałem swoją drogę w tę i z powrotem na tym promie z napędem turbo przez rzekę Styks.

Co to za miejsce, w którym mieszkała pokojówka? W Koulun czy gdzieś na nowych terenach? Wsiadła do autobusu bądź tramwaju i wysiadła gdzieś daleko, gdzie nie ma już przyzwoitych sklepów. Przypuszczam, że w takim samym miejscu mieszka Ming. Uboga ulica o ścianach aż do piętnastego piętra zapchanych przez szyldy zakładów pracy najemnej, klubów ze striptizem, kantorów, restauracji i Bóg wie czego. I jeszcze tylko krokiew błotnistej nieba. No i hałas, który oczywiście nigdy nie cichnie. Chińczycy mają pewnie mózg wyposażony w urządzenie odfiltrowujące hałas które pozwala im słuchać tej akurat kapeli, którą chcą słyszeć. Taksówki, tandetne, typowe dla getta dźwięki, monotonne śpiewy ze świątyń, talerze telewizji satelitarnej, szybujące w górze reklamy towarów dobiegające z megafonów. W uliczkach zaleci człowieka smród brudu, uryny i *dim sumów*. W drzwiach handlarze narkotyków, którzy dawno nie widzieli maszynki do golenia i czystej koszuli.

Schodami w górę - gdzie windy z rodzaju tych, co nigdy nie działają -i do małego mieszkania, w którym siedmioosobowa rodzina kłóci się, ogląda telewizję i pije. I pomyśleć, że pracuję w tym samym mieście. I pomyśleć, że na Szczycie Wiktorii są te wszystkie małe pałacyki. To pewnie tam ten chłopak z Japonii dochodzi do siebie po dżetlagu. Jego dziewczyna podaje mu pewnie na srebrnej tacy herbatę z cytryną. Albo, co bardziej

prawdopodobne, jej pokojówka podaje im tę herbatę. Ciekawe, jak się poznali. Ciekawe.

W każdym mieście jest tyle odrębnych miast.

Kiedy przyjechałem do Hongkongu po raz pierwszy, jeszcze zanim dołączyła do mnie Katy, dostałem jeden dzień na przyście do siebie po dżetlagu. Czułem się świetnie, więc postanowiłem ten czas wykorzystać na zwiedzenie miasta. Przemieszczałem się tramwajami, doznając szoku z powodu oglądanej biedy, i chodziłem napowietrznymi chodnikami odnajdując poczucie bezpieczeństwa w otoczeniu należących do biznesmenów garniturów i aktówek. Kolejką linową pojechałem na Szczyt Wiktorii, gdzie trochę się powalęsałem.

Widziałem spacerujące grupkami bogate żony, dzieciaki z bonami, pary objętych nastolatków rozglądające się za innymi parami nastolatków. Stało tam parę straganów na kołach, przypominających wózek nazywany przez mojego ojca targowymi taczkami. Sprzedawali mapy, niełuskane orzechy i te wszystkie mdłe, słonawe przekąski, za którymi tak przepadają Chińczycy i Hindusi. Jeden z nich miał mapy po angielsku i pocztówki, więc kupiłem kilka.

Nagle sterta puszek stojąca obok straganu poruszyła się i warknęła coś po chińsku. Spojrzała na mnie wysmarowana tłuszczem i pokryta zmarszczkami lat twarz. Omal nie wyskoczyłem ze skóry.

Straganiarz uśmiechnął się i powiedział: - Niech się pan nie boi. Jest nieszkodliwy.

Śmieciarz warknął i powtórzył w moją stronę te same słowa głośniej.

- Co on mówi?

- Prosi o jałmużnę.
- Ile chce? - Głupie pytanie.
- On nie chce pieniędzy.
- To o co prosi?
- Prosi o czas.
- Dlaczego to robi?
- Myśli, że pan trwoni swój czas, więc pewnie czasu ma pan w nadmiarze.

Miałem spieczony język. Nie piłem od kilku godzin... od tej filiżanki wody na śniadanie. Zazwyczaj piję tylko kawę i whisky. Jakiś stary farmer palił coś, co strzelało jak petardy. Bambus? Ziarnisty, fioletoworóżowy dym unosił się nad drogą. Oczy zaczęły mi łzawić. Wylądowałem pod rozłożystym drzewem, które rozkładało się szerokim wachlarzem nad ulicą i pochłaniało dym, tak jak słowa bez reszty pochłaniają to, co się za nimi kryje.

Ceglany mur, dziko porośnięty czerwonymi różami, z powrotem rozsypujący się w piasek. Kiedy przechodziłem, jakiś pies uwiązany na lince wpadł w szał. Kłębowisko kłów i szczekanie. Pewnie pomyślał, że jestem duchem. Wietrzące się futony. Chińska piosenka pop. Okropna brzękliwa tandeta. Dwoje starszych ludzi siedzących w ogołoconym z mebli pokoju nad filiżankami dymiącej herbaty. Bez ruchu i bez wyrazu. Jakby na coś czekali.

Szkoda, że nie mogłem wejść do ich domu, żeby się przysiąc. Dałbym im za to mojego roleksa. Chciałbym, żeby się uśmiechnęli i nalali mi filiżankę jaśminowej herbaty. Szkoda, że na świecie tak nie jest.

Obserwowałem samochody, ludzi i opowieści sunące w górę i w dół ulicy. W oddali wielka pompka do roweru ciągnęła do góry i z sykiem opadała na dół. Patrzyłem, jak wyskakują neonowe znaki,

inicjując, bez końca, przesłanie, na które się składają. Japończyk ze swoją dziewczyną chuj wie gdzie zniknął, a Lionel Ritchie rozpuścił się w swojej cikliwej kąpieli. Mój drugi burger wystygł i zrobił się tłustawy - nie mogłem go dokończyć. Ktoś puścił jakąś wersję *Rapsodii cygańskiej*, śpiewanej, no niesamowite, po kantońsku.

Powinienem już wracać do instruktazy pana Wae, bo inaczej Avril spełni akt świętej męczeńskiej śmierci. Jeszcze jedna piosenka; jeszcze jedna kawa z gigant cukrem i dopiero wtedy wrócę jak grzeczny chłopiec. To *Blackbird* Beatlesów. Jakoś nigdy nie wsłuchałem się w ten kawałek. Jest piękny.

- Neal Brose? Walijski ton, nieznaną a bliski. Słowem, facio w stylu pana Kreta w rogowych okularach.

- Tak?

- Nazywam się Huw Llewellyn. Poznaliśmy się u Thea i Penny Fraserów na noworocznym party.

- A, tak, Huw... jasne, oczywiście... - zupełnie go nie poznałem.

- Pozwolisz, że dostawię sobie krzeselko? - Jasne... O ile da się to zrobić z tłoczonymi w plastiki siedzeniami przyśrubowanymi do żelaznych odlewanych stelaży. Ach, ta moja sterana pamięć, będziesz mi musiał wybaczyć. U kogo pracujesz?

- Pracowałem u Jardine-Pearl. Teraz jestem w Inspektoracie Transferu Kapitału.

Kurwa mać. Już sobie przypominam. Rozmawialiśmy o rugby, potem o biznesie.

Zwolniłem go jako kandydata z wrodzoną skłonnością do kompromisu. - Kłusownik został leśniczym, co?

Huw Llewellyn uśmiechnął się, opróżniając tacę i wyswobodził się ze sztruksowej marynarki ze skórzanymi łatami na łokciach. Więc, kurwa, Walijszyk. Wegetariański burger, styropianowy

kubek z wrzątkiem i herbata wyciekająca z saszetki. - Mówi się, że na złodzieja trzeba złodzieja.

Mój tata tak mawiał. - Czytałem o twoich nalotach na co to było? Grupę Jedwabnego Szlaku?

- Tak. Mógłbyś mi podać saszetkę z keczupem?

- Doszły mnie ciekawe plotki, że piorą pieniądze dla największego eksportera narkotyków z Kabulu. To prawda

No gadaj, nie pisnę ani słowa.

Huw wbił zęby w swojego wegetariańskiego burgera, pogryzł, pogryzł, uśmiechnął się i przełknął. - Doszły mnie ciekawe plotki na temat konta numer 1390931. O kurwa. Z miejsca o mało nie rzygnąłem moim srajburgerem. Uśmiechnąłem się nieznacznie. - Nie wiem, o czym mówisz.

No kurwa, przecież tak właśnie odpowiadają kłamcy. Huw wycisnął saszetkę z herbatą za pomocą plastikowego widelca. - No, gadaj, nie powiem ani słowa. - Czy to szyfr zamka do roweru?

- Nie, to konto Holdingu Cavendisha, do którego klucze masz tylko ty.

Podbijał stawkę. - Czy to wyprawa po złotą rybkę, czy też masz na mnie nakaz aresztowania? - Wolę to uznać za przyjacielską pogawędkę. - Panie Llewellyn, pan nie wie, z kim pan ma do czynienia.

- Panie Brose, o Andrieju Gregorskim wiem znacznie . Więcej niż pan. Niech mi pan wierzy. Jest pan wrobiony. Obserwowałem, jak to robił przedtem. Jak pan sądzi, dlaczego ani jego nazwisko - ani nazwisko Denholme'a Cavendisha - nie pojawia się w żadnym dokumencie, nie figuruje w żadnym komputerowym pliku? Dlatego, że pana lubią? Ufa im pan? Jest pan kamizelką kuloodporną.

Ile wie? - To tylko poufny fundusz zabezpieczający...

- Proszę pana, wolę nie patrzeć, jak sam się pan wikła. Wiem, że pana życie osobiste się rozpada. Ale jeżeli nie zacznie pan ze mną współpracować, to za tydzień sprawy przybiorą znacznie gorszy obrót. Jestem pana ostatnią deską ratunku.

- Nie potrzebuję deski ratunku.

Wzruszył ramionami i przełknął ostatni kęs. Spałaszował go, nie zwracając już na mnie uwagi. - No, to nasza przyjacielska pogawędka dobiegła końca. To moja wizytówka.

Usilnie namawiam, żeby zmienił pan zdanie, do jutra w południe. Dobrej nocy.

Drzwi rozsunęły się. Wyszedłem, patrząc na szczątki mojego srajburgera.

Szedłem z powrotem do wieżowca Cavendisha, ale w holu zmieniłem zdanie.

Poprosiłem nocnego portiera, żeby parę minut poczekał, potem powiedziałem Avril, że idę do domu. W porcie czekałem dwadzieścia minut na następny prom, patrząc zza wody na lśniące drapacze chmur. Gdy znalazłem się już na wyspie Lantau, wybrałem z bankomatu - gwoli przezorności - trzy czwarte pieniędzy znajdujących się na koncie, na wypadek, gdyby zastrzeżli moje karty. Przez trzydzieści minut żaden autobus nie nadjechał, więc wszedłem w chłodną noc i ruszyłem z powrotem do Fazy 1.

Czekała w mieszkaniu. Klimatyzacja nastawiona na cały regulator tłoczyła lodowate powietrze.

- O w kurwę, przepraszam! Miałem mnóstwo roboty! Pełne urazy milczenie.

- Głowa mi pęka od tych myśli! Słyszysz? Idę spać.

Pieniądze schowałem w pudełku na buty, na samym dole toaletki Katy. Przed przyjściem pokojówki pomyślę o lepszym

schowku. Może i była narkotykiem, bez którego niej można się obejść, ale niezmiennie pozostała zaprawioną w kradzieżach dziwką.

Podszedłem do świątyni zwabiony dźwiękiem płynącej wody. Była tam fontanna strzeżona przez dwa smoki. Chuj z higieną, byłem spragniony. Piłem, dopóki nie usłyszałem chlupotu wody w żołądku. Przynajmniej nie umrę z odwodnienia. Chciałem zanurzyć ramiona i twarz w tej zimnej, czystej wodzie, odpiąłem więc swojego roleksa, położyłem na nosie smoka, ściągnąłem koszulę i zanurzyłem tors w fontannie, jak tylko mogłem najgłębiej. Pod wodą otworzyłem oczy i ujrzałem falki od spodu prześwietlone przez słońce.

Którędy teraz? Były dwie drogi: łagodna i stroma. Wybrałem łagodną i po dwudziestu metrach dotarłem do szamba. Wróciłem do smoków i zacząłem ostrą wspinaczkę w górę.

Czułem się o wiele, wiele lepiej. Jak gdyby moje ciało przestało walczyć z gripą i poddało się mojej woli.

Ścieżka pięła się w górę. Niekiedy, żeby wdrapać się wyżej, musiałem pomagać sobie rękami. Drzewa porastały coraz gęściej, były coraz wilgotniejsze i złuszczone, punkciki światła, które docierały do ścieżki, cięły i oślepiały jak lasery. Zdjąłem marynarkę i ofiarowałem ją krzakowi jeżyn. Była już rozdarta. Może jakimś przechodzącemu mnichowi albo uciekinierowi przypadnie do gustu. W powietrzu roiło się od niemych, wpatrujących się ptaków. Czas mnie gubił.

Rzuciłem okiem na mojego roleksa, ale przypomniałem sobie, że zostawiłem go na nosie smoka.

Chwyciłem korzeń, żeby się podciągnąć, ale urwał mi się w ręce i zwałem się kilka metrów w dół. Usłyszałem trzask, na szczęście

wytrzymałem. Poczułem się fantastycznie, Byłem nieśmiertelny. Nieco wyżej wyłoniła się skała wielka jak budynek, ale zaatakowałem ją jak nastolatek i niebawem oglądałem ze szczytu swoje włości. Wolno sunący 747 dostojnie obniżał lot, obdzierając ze skóry popołudnie wyszczerbionym ostrzem hałasu. Pomachałem do ludzi. Słońce iskrzy na ogonie Ona jest ze mną, także macha. Przyjemna rzecz, wprawić kogoś w dobry nastrój, nawet jeżeli ten ktoś, ściśle rzecz biorąc, nie istnieje.

- Ona mnie lubi.

Pokojówka stała przed lustrem, naga, przymierzała do ciała letnią sukienkę Katy. Jeśli jej się spodoba, założy ją. Jeśli będzie pasowała, włoży do należącej do Katy torby firmowej Louis Vuitton. Jeśli nie, trafi na stertę odrzuconych ciuchów.

Unosiłem się, do łóżka przykuwał mnie jedynie balast krocza. - Kto cię lubi?

- Mała dziewczynka. - Jaka mała dziewczynka?

- Twoja mała dziewczynka. Ta, która tu mieszkała. Polubiła mnie. Chciała mieć siostrę, żeby się mieć z kim bawić.

Wiatr delikatnie poruszał zasłonami. Te Chinki są pojebane. Kiedy Katy dzwoniła ostatni raz, była pijana. Uznałem, że to zły znak.

- Witaj, automatyczna sekretarko Neala. Tu Katy Forbes, jego żona, z którą jest w separacji. Jak się masz? Pewnie nie czujesz już nóg, zważywszy, że Neal zapomniał, jak się podnosi słuchawkę i wybiera numer. Chcę, żebyś przekazała Nealowi, że jestem dumną posiadaczką okazałej rezydencji w północno-wschodniej części Londynu, że tego roku mamy bardzo deszczowe lato, jakiego już dawno nie było, i że nici z krykieta z powodu deszczu.

Powiedz mu, że dwa razy w tygodniu mam sesje z doktorem

Clunem i że działają cudownie.

Powiedz mu, że Archie Goode będzie moim adwokatem i że dokumenty rozwodowe powinny do niego dotrzeć pod koniec tygodnia. Powiedz mu, że nie mam zamiaru go punktować, a tylko chcę tego, co mi się słusznie należy. I wreszcie powiedz mu, że gdyby zechciał podnieść swoją leniwą dupę i dostarczyć mi do domu moje krzesło w stylu królowej Anny, to moglibyśmy porozmawiać o polubownym załatwieniu sprawy. On wie, że to jest jedyna pamiątka, której nie mam gdzieś. Dobranoc.

Kluczem do zrozumienia Neala Brose'a jest to, iż pozostaje on człowiekiem rozczłonkowanym między wydziały, przegródki i mieszkania. Pokojówka znajduje się w jednym Katy w innym, w jeszcze innym mój mały gość; Cavendish w innym, Hongkong w innym, w innym konto numer 1390931. W każdym z nich mieszka jakiś Neal Brose, który działa zupełnie niezależnie od sąsiadującego z nim innego Neala Brose'a. Tak właśnie to widzę. Moja przyszłość jest w jednej przegródce, ale do tej akurat nie zaglądam. Chyba raczej nie spodobałoby mi się to, co bym ujrzał.

Dziwna rzecz, pokojówka miała rację. Kiedy wracałem i ona była, w mieszkaniu wyczuwało się wyraźnie inną atmosferę. Raczej stonowany Sibelius niż grzmiący Wagner.

Już widzę, jak siedziałyby pod stołem i trajkotała do swoich lalek, gdyby była istotą realną.

Mielibyśmy spokój, a zasłony wisiałyby tak jak je zostawiłem. Może usłyszałbym całuski jej bosych stóp biegnących po marmurowej podłodze w pokoju.

Gdy pokojówki nie było, wsączała się ta atmosfera wyrzutów i zaniedbania. Tak samo jak wtedy, gdy miałem służbowy wyjazd - raz wyjechałem do Kantonu, zresztą zasranego zadupia - a kiedy

wróciłem, była na mnie tak wkurwiona, że musiałem znieść kajanie się przed pustym powietrzem.

Kończyła się wspinaczka, ścieżka wychodziła na grań. Ponad drzewami kamforowymi ujrzałem głowę Buddy, omal na wyciągnięcie ręki. To był ten Wielki Budda. Platynowy, obracany na ciemnoniebieskim kole. Drzewa stały się drzewami snu. Kot wychodzący z cienia - cieniem kota.

Skóra zaczęła skwierczeć. Nieśmiertelność opuszczała mnie. W boczek ani chybi człowiek się zmieni na tym słońcu. Chyba złamałem paznokiec u nogi, coś ciepłego i mokrego czułem w bucie. Czułem, jak moje pozgniatane narządy napierają na siebie, jeszcze funkcjonują, ale coraz słabiej, jak zmęczeni pływacy.

Skąd ten księżyc, dlaczego nad twoją głową, o Buddo? Biały, siny, oszałamiający w niemym palenisku słońca. Księżyc, księżyc po południu.

Wkroczyłem w jeszcze terażniejsze, a już przyszłe stulecie. Ludzie, autobus sunie w podróż, parking, stoiska z pamiątkami, billboardy z reklamami, ludzie tłoczący się wokół budek z biletami - tylko Brytyjczycy i Słowianie wiedzą, co to kolejki - motocykle... Tutaj, a zarazem nie tutaj. Znaleźli się po niewłaściwej stronie połyskującej cieczy. Gwar języków dobiegający z pokoju za sąsiednimi drzwiami.

Wargi miał Budda pełne i dumne. Zawsze bliskie wypowiedzenia słowa, a jednak nigdy go nie wypowiadające. Przykryte powiekami oczy skrywające tajemnicę, której cały świat łaknie.

Księżyc kaprysił i był w nastroju do żartów. Nowy, stary, nowy, stary. Gdybym spotkał teraz starego śmieciarza, posiedziałbym, przykro mi, ale nie dysponuję nadmiarem czasu i nie mogę ci go

ofiarować. Ani minuty. Ani, kurwa, dziewięciu sekund.

Ciekaw byłem, czy ten chłopak, Japończyk, gra na saksofonie w jakimś barze, gdzieś w Śródmieściu albo w Koulun. Chciałbym posłuchać. Chciałbym popatrzeć, jak ta dziewczyna patrzy na niego. Bardzo bym chciał. Nie sądzę już, by to miało nastąpić.

Chciałbym porozmawiać z nimi i dowiedzieć się, jak się poznali. Chciałbym pogadać z nim o jazzie, zapytać, dlaczego John Coltrane zyskał taką sławę. Tyle rzeczy można się dowiedzieć.

Chciałbym go zapytać, dlaczego ożeniłem się z Katy i czy słusznie zrobię, podpisując i odsyłając dokumenty rozwodowe. Czy Katy teraz wreszcie była szczęśliwa? Czy spotka kogoś, kto ją pokocha, ktoś o przyzwoitej liczbie plemników? Czy będzie czułą, mądrą matką, czy też okaże się przepitą dupą pod czterdziestkę? Czy Huw Llewellyn zdemaskuje Andrieja Gregorskiego, czy też Andriej Gregorski nakryje Huwa Llewellyna? Czy pan Wae, magnat okrętowy, przeniesie się gdzie indziej ze swoimi interesami? Czy Manchester United zdobędzie mistrzostwo ekstraklasy? Czy Ciasteczkowemu Potworowi wypadną zęby? Czy świat dotrwa do Bożego Narodzenia?

Otarła się tuż - tuż i dmuchnęła mi w kark, i miliony liści zawirowały z wiatrem.

Skórę miałem tak gorącą, iż wydawało się, że już nie do mnie należy. Nowy Neal, siedząc w środku dawnego, otworzył oczy. Na słońcu platyna, w cieniu błękit. Czekał, aż złuszczy mu się moja dawna skóra, ażeby mógł się wydostać. Wątroba zwijała się niecierpliwie. Serce wyczerpywało swe możliwości. Co to za narząd przerabia cukier?

Co mnie tu przywiodło?

Mój tata scharakteryzowałby Denholme'a Cavendisha - sir

Denholme'a Cavendisha - jako człowieka wykształconej go ponad miarę możliwości swego umysłu. - Otóż to, Nile -

D.C. sznurował usta jak stary generał, za którego się uważał. Ruch w okolicach Barbicane, dwadzieścia pięter pod nami, podkreślał dramatyczne pauzy, jakie wstawiał ten stary chuj. -

Najważniejsze pytanie pozwalające zrozumieć rolę jaką planujemy dla ciebie w Hongkongu, brzmi następująco: czym jest Holding Cavendish?

Nie, D.C, najważniejsze pytanie brzmi: jaką odpowiedź chcesz usłyszeć?

Rozegraj to bezpiecznie, Neal. Niech poczuje, że góruje intelektualnie. I nie mów mu, że jest, kurwa, za głupi, żeby właściwie wymówić moje imię. - Jest to najwyższej rangi korporacja prawnoinwestycyjna, sir Denholme.

Dobrze. Zaczęło mu się rozjaśniać. - Jesteśmy korporacją. Najwyższej rangi korporacją. Ale nie tylko tym jesteśmy, wcale, o nie. Jesteśmy rodziną! Czyż nie tak, Jim?

Jim Hersch uśmiechnął się, jakby chciał powiedzieć: trafiłeś w samo sedno!.

- Oczywiście, zdarzają nam się sprzeczki rodzinne. Z Jimem swego czasu darliśmy ze sobą koty, co nie, Jim?

Ten sam uśmiech. - Jasne, że tak, sir D. - Hersch, ty uliczny amerykański bucu.

- Widzisz, Nile? Nie ma zmiłowania dla potakiwaczy u Cavendisha! Ale w końcu przetrzymamy, Nile, i pozwól sobie powiedzieć, jak! Ponieważ doceniamy znaczenie koope-racji. Wzajemnej zależności. Wzajemnego zaufania. Wzajemnej pomocy. - Zapalił cygaro a la Winston Churchill i rzucił spojrzenie swojemu dziadkowi widniejącemu na portrecie, spojrzenie odwzajemnione.

Aż mi się chciało chichotać. Ten facet był chodzącą kalką. Jak to możliwe, że taki pojebaniec prowadził firmę prawniczą z przedstawicielstwami na pięciu kontynentach? Odpowiedź była oczywista: on tylko myślał, że ją prowadzi. - Gra na azjatyckich rynkach wymaga pewnego... jak to kiedyś wyłożyłem Graingerowi, Jim?

- Powiedział pan, zdaje się, „talentu i energii na etapie przygotowania strategii”.

- Talentu! I energii! Otóż to, rozumiesz, talentu! I energii! Na etapie przygotowania strategii! Otóż w Londynie, Nowym Jorku, każdy wie, co jest co. Boisko jest równe, a bramki ustawione. Ale Azja to ostatnia dzika granica, nie? Te chińskie wzgórza zamieszkują bandyci żyjący z korupcji i urządzają błyskawiczne naloty! Nadzorcy?

Nie ma co mówić! Przeplącani. Co do jednego. Nie, jeżeli mamy zafunkcjonować w Azji, to musimy grać według ich reguł, ale grać lepiej! Mówię o pomysłowości w manipulowaniu kapitałem! O przeinterpretowywaniu tych reguł! Musisz wiedzieć, gdzie stoją prawdziwe, choć niewidzialne bramki. I sięgnij po wszelkie środki, jakie masz do dyspozycji, żeby zrobić wynik. Jesteś ze mną, Nile?

- Na sto procent, sir Denholme. O co chodziło staremu kutasowi?

- Do twojego portfolio w Hongkongu chcę dorzucić specjalne konto. Dla mojego sojusznika. Gościa z Rosji, ma siedzibę w Petersburgu, kiedyś go poznasz. Niedługo będziesz miał wieści od niego. Świetny facet. Gość nazywa się Andriej Gregorski. Prawdziwy człowiek czynu. W przeszłości oddał nam kilka przysług. - Wychylił się nad biurko zgasił cygaro w misternej popielniczce inkrustowanej nefrytem i bursztynem, z

wygrawerowanymi kwiatami lotos i orchidei.

- Poprosił mnie, żebym założył konto dla jego operacje z naszym oddziałem w Hongkongu. Chcę ci to powierzyć.

- Co mam robić?

- Wszystko, co ci każe. Bez względu na ilość, czas i miejsce. Dziecinna igraszka dla wyjadacza z twoim doświadczeniem.

Doszliśmy do decydującego momentu.

- Sądzę, że sobie z tym poradzę, proszę pana.

- Zachowaj to w największej tajemnicy. Wszystko między tobą, mną, Jimem i tym tutaj dziadkiem, co?

Łapię. Stary kutas namawia mnie do naginania prawa.

- Liczy się jedno i tylko jedno. - Zawsze byłem przekonany, że to jego skórzane krzesło tak skrzypi, ale teraz zastanawiałem się, czy to aby nie on sam. Każde słowo punktował wyciągniętym w moją stronę cygarem. - Czy-ty-jesteś-facet-z -jajami? - Wągry na czubku jego nosa wymagały niezwłocznego wyciśnięcia. - No? No?

Jestem specjalistą w zakresie prawa finansowego. Prawo naginam codziennie.

- Kiedy ostatnio ich używałem, były na swoim miejscu, sir Denholme.

D.C. wahał się, czy moja odpowiedź mu się spodobała, czy nie. Potem wybuchnął śmiechem, ekspedując w moją stronę pocisk ze śliny, który trafił mnie między brwi. Jim Hersch także się uśmiechnął, niczym menedżer do fotografii w lokalnej gazecie.

Jeszcze mam się cofać?

A co z tym? Hongkong został zawłaszczony przez brytyjskich dilerów narkotykowych w roku 1840. Potrzebowaliśmy chińskiego jedwabiu, porcelany i przypraw. Chińczycy nie chcieli naszej odzieży, narzędzi i solonych śledzi, i to nie ich wina. Nie mieli na to

popytu.

Nasze rozwiązanie polegało na stworzeniu popytu poprzez powiększanie sektorów populacji uzależnionych od opium, narkotyku wyjątego przez chiński rząd spod prawa. Kiedy Chińczycy z zupełnie zrozumiałych względów sprzeciwili się temu planowi, zostali przez nas wypierdoleni, a my zainstalowaliśmy w Pekinie marionetkowy rząd, który po parkach porozwieszał napisy „Psom i Chińczykom wstęp wzbroniony” i ten zakątek kraju zajął pod naszą bazę importową. Straszne kurewstwo, jak się o tym pomyśli. A my ich oskarżamy o ksenofobię. To zupełnie tak, jakby Kolumbijczycy najechali Waszyngton na początku dwudziestego pierwszego wieku i zmusili Biały Dom do zalegalizowania heroiny, mówiąc:

„Ależ nie musicie nas odprowadzać, tylko jeszcze weźmiemy Florydę, skoro już przy tym jesteśmy, dobra? Serdeczne dzięki”. - Hongkong stał się centrum handlowym największego, najbardziej zaludnionego kontynentu na świecie. To zrodziło nieposkromiony apetyt na nieuczciwych specjalistów od prawa finansowego.

Czy nie chodzi tu o uczciwość, a nie o przyczyny i skutki?

Jestem tą osobą i ową, jestem tamtą osobą i owamą.

Nic dziwnego, że jest ten cały kurewski bałagan. Podzieliłem siebie na możliwe przyszłości, umieściłem je na odrębnych kontach, które są już puste.

Gigantyczne przemyślenia jak na biednego nieuczciwego prawnika.

Czołem pocałowałem asfalt, delikatnie jak śniącą córkę. Przewróciłem się i leżałem w pozycji płodowej. Fala kołyszających głosów zalepiła mi słuch. Co się dzieje, do kurwy nędzy?

Już rozumiem, o co chodziło tego pojebanego dnia!

Komiczne!

Kurwa, ja umieram!

Na pewno o to. I teraz znowu się to dzieje, wszystko do mnie powraca.

Trzydzieści jeden lat i, kurwa, umieram!

Avril wypierdolą razem ze mną. A kiedy D.C. dowie się to chyba, cóż, pożegnam się czule z moją sześciocyfrową premią. Jak Katy to przyjmie? To dopiero strzał. A tata?

Przekomiczne...

* * *

Przeciska się przez ścianę nóg i tułowi. Patrzy na mnie i uśmiecha się. Ma moje oczy i ciało pokojówki, w miniaturze. Podaje mi rękę i torujemy sobie drogę przez tłum gapiów, wstrząśniętych, podekscytowanych, żujących gumę. Cóż takiego mogło się stać dzisiejszego popołudnia, że aż tak się rozochocili?

Trzymając się za ręce, idziemy schodami do Wielkiego Jasnego Buddy, coraz bardziej jaśniejącego, wchodzimy w zamieć milczącego światła.

ŚWIĘTA GÓRA

Pod górę, pod górę, jeszcze, i na dół, chyba.

Święta Góra nie zna innych kierunków. Lewa i prawa, północ, południe, zachód, wschód - wszystko to zostaje Osadzie. Na nic się już nie przyda. Żeby dojść na szczyt, trzeba pokonać dziesięć tysięcy stopni.

Jest już droga. Widziałam. Autobusy i ciężarówki suną pod górę i w dół. Otyli ludzie z Czengdu jadą dalej pod górę swoimi samochodami. Obserwowałam ich. Kłęby dymu, trąbienie, hałas, olej. Albo podjeżdżają taksówkami, usadowieni z tyłu. Ale dostają to, na co zasłużyli, bo kierowcy zdzierają z nich skórę. Pielgrzymki

z napędem mechanicznym? Za takie pielgrzymki nawet Budda nie da szufelki ptasiego łąjna. Skąd wiem? Bo sam mi to powiedział.

Na Świętej Górze wszystkie wczoraj i wszystkie jutro prędeż czy później znowu wejdą w kołowrót. Świat już dawno zapomniał, lecz mieszkańcy góry nadal żyją zgodnie z taktem modlitewnych młynków czasu.

Jestem dziewczyną. Wieszalałam pranie na lince, którą rozpięłam między parapetem okiennym pokoju na górze a Drzewem. Wysokość naszej herbaciarni wznoszącej się nad drogą zabezpieczała przed złodziejami, a Drzewo małpom zakazuje kraść nasze rzeczy.

Podśpiewywałam sobie. Była wiosna i opadła ciepła, gęsta mgła. Z bieli wyłoniła się dziwna, zmierzająca pod górę procesja.

Procesję tworzyło dziesięciu ludzi. Pierwszy niósł chorągiew, drugi coś w rodzaju lutni, jakiej jeszcze nie widziałam, trzeci strzelbę. Czwarty szedł lokaj. Piąty odziany był w jedwabne szaty w kolorze zachodzącego słońca. Jako szósty szedł starszy człowiek w mundurze koloru khaki. Miejsca od siódmego do dziesiątego zajmowali tragarze.

Pobiegłam po ojca, który za naszym domem sadił bataty. Kurczaki podniosły rwetes, jak moje stare ciotki z Osady. Kiedy ojciec pojawił się przed budynkiem, przybysze do-chodzili do naszej herbaciarni.

Ojciec wytrzeszczył oczy. Rzucił się na ziemię i mnie też ściągnął na klepisko. - Ty mała, głupia cholero - syknął. -To syn wojskowego gubernatora. Na kolana! - Uklękaliśmy, przyciskając czoła do ziemi, aż jeden z ludzi klasnął w dłonie.

Podnieśliśmy głowy. Który z nich był synem gubernatora?

Człowiek w jedwabiu patrzył na mnie, uśmiechając się

półgębkiem.

Odezwał się lokaj. - Panie, czy masz życzenie chwilę odpocząć?

Syn gubernatora skinął głową, nie odrywając ode mnie oczu.

Lokaj warknął na mojego ojca. - Herbaty! Najlepszej, jaką masz w tej swojej norze, albo wrony jeszcze dzisiaj na kolację zjedzą twoje oko!

Ojciec zerwał się na nogi i pociągnął mnie z sobą za stół. Kazał mi wypolerować najlepsze filiżanki do herbaty, podczas gdy sam zaczął załadowywać węgiel drzewny do mosiężniaka. Jeszcze nigdy nie widziałam syna gubernatora. - Ale który to? - zapytałam.

Ojciec pacnął mnie grzbietem dłoni. - To nie twoja sprawa. - Zerknął nerwowo przez ramię na śmiejących się ze mnie ludzi. Zaczęło mi pulsować w uchu. - Ten przystojny panicz w pięknych szatach - powiedział półgłosem ojciec, wystarczająco głośno, żeby zostać usłyszanym.

Syn gubernatora - domyślałam się, że ma jakieś dwadzieścia lat- zdjął kapelusz i przygładził włosy. Lokaj omiótł spojrzeniem nasze najlepsze filiżanki i aż oczy wywrócił. -

Jak coś takiego w ogóle mogło ci przyjść do głowy? - Tragarz wypakował kilka srebrnych filiżanek ozdobionych złotymi smokami o szmaragdowych łuskach i rubinowych oczach.

Drugi służący rozłożył stół. Trzeci rozpostarł nieskazitelnie biały obrus. Wydawało mi się, że śnię.

- Dziewczyna może podać herbatę - oznajmił syn gubernatora.

Gdy nalewałam herbatę, czułam, że obmacuje mnie wzrokiem. Nikt się nie odzywał.

Nie uroniłam ani kropli.

Spojrzałam na ojca, oczekując pochwały, a przynajmniej słowa otuchy. Był jednak zbyt zajęty martwieniem się o własną skórę.

Nie rozumiałam.

Mężczyzna przemówił w dialekcie mandaryńskim, czystym, nienagannym. Padały słowa o kimś, kto nazywał się

Jun Jat-sen, o kimś, kogo nazywano Rosją, i jeszcze o kimś, kto nosił imię Europa.

Siła ognia, podatki, spotkania. Z jakiego świata przybyli ci ludzie?

Ojciec zdjął mi chustę i kazał związać włosy i umyć twarz. Powiedział, żebym znowu podała herbatę. Dłubał w zębach rozłupaną pałeczką, uważnie z cienia obserwując mężczyzn.

Powietrze tężało od ciszy. Mgła gęstniała. Stok góry mroczył bielą. Popołudnie zrobiło się tak niemrawe, że aż całkiem utknęło.

Syn gubernatora rozprostował nogi i wygiął w łuk plecy. Zaczął dłubać w zębach wysadzaną drogimi kamieniami wykałaczką. - Po wypiciu takiej gorzkiej herbaty mam ochotę na sorbet. Ej ty, szcurze, co się ukrywasz w cieniu, możesz mi podać filiżankę cytrynowego sorbetu.

Ojciec padł na kolana i odezwał się z oczami utkwionymi w ziemię. - Nie mamy sorbetu, panie.

Syn gubernatora rozejrzał się po swoich ludziach. - No, nie do zniesienia! To będzie musiał wystarczyć mandarynkowy.

- W ogóle nie mamy sorbetu, panie. Bardzo przepraszam.

- Przepraszam? Twoim „przepraszam” się nie najem. Zepsułeś mi podniebienie tym swoim wywarem z pokrzyw i lisiego łajna: myślisz, że jaki niby mam żołądek? Krowi?

Świta gruchnęła śmiechem, do czego zachęcała mina ich pana.

- No dobra. Widzę, że nic z tego. Będę musiał schrupać twoją córkę na deser.

Zatruty cierń wśliznął się, zgiał i utkwiał. Ojciec podniósł wzrok.

Człowiek w mundurze koloni khaki zakasłał.

- Co niby ten kaszel ma znaczyć? Ojciec kazał mi iść na tę przeklętą pielgrzymkę.

Nie mówił, że nie będę mógł się zabawić.

Lokaj spojrział na ojca badawczo, jak na łajno przyklejone do buta. - Przygotuj pokój na górze dla jaśnie pana.

Ojciec wydobył z siebie bulgot. - Proszę... panie. Ja... ja chciałem...

Syn gubernatora zabzyczał jak końska mucha. - Ach, te zapchajdziury! Czy uwierzysz? Daj mu jedną z filiżanek. Dostałem je w prezencie ślubnym od mojego szwagra - ogra, nigdy mi się nie podobały. Daj jako posag. To i tak aż nadto za wypsikanie wieśniaczej pizdy. Są z Syjamu. To dobre rzemiosło i lepiej, żeby się okazało, że jest dziewczicą!

- Jest, panie. Nietknięta. Zapewniam. Ale miałem kilki poważnych propozycji małżeństwa dla niej, od dobrze sytuowanych konkurentów...

Lokaj wyjął z pochwy szpadę i spojrział na swego pana. Syn gubernatora namyślał się przez chwilę. - Dobrze sytuowani konkurenci? Ciesielskie siurki. Bardzo dobrze, daj mu dwie filiżanki. Ale żadnego już targowania, panie zapchajdziuro. Wystarczająco dużo szczęścia popróbowaleś jak na jeden poranek.

- Jakże słusznie mówi się o hojności mojego pana! Nic dziwnego, że wszyscy, którzy słyszą o łasce mojego pana, płaczą z miłości na samą wzmiankę...

- A zamknijże się.

Ojciec rozejrzał się za mną. - Słyszałaś jaśnie pana, dziewczyno! Przygotuj się!

Czułam zapach ich potu. Miało nastąpić coś nieopisanego.

Wiedziałam, skąd się biorą dzieci. Moje ciotki na dole w Osadzie mówiły mi, dlaczego co miesiąc wycieka ze mnie zła krew. Ale...

Pan Budda patrzył na mnie z kapliczki obok Drzewa Prosiłam go, żeby aż tak nie bolało.

- Na górę! - Lokaj machnął szpadą w stronę schodów , - Na górę! Ciszę, jaka zapadła po jego ostatnim sapnięciu, całkowicie zagłuszał śpiew kosa.

Leżałam tam i nie byłam w stanie zamknąć oczu. On nie był w stanie ich otworzyć.

Wyliczałam obolałe miejsca, tyle ich było. Czułam, jakbym miała porozdzierane łądzwie. W środku coś rozerwało się. Miałam na ciele siedem miejsc, gdzie zatopił swoje kły w moją skórę gryzł. Wbił mi w kark swoje pazury, przekręcił głowę na bok i przytrzymał mi twarz.

Nie wydusiłam z siebie ani dźwięku. To on jęczał za nas oboje. Bolało go? . Wreszcie poczułam, że się we mnie kurczy. Na koniec poruszył się, żeby podłubać w nosie. Wysunął się ze mnie, po paru chwilach coś ze mnie wyslizgnęło się i poleciało po udach. Spojrzałam.

Lepka krew i coś białego rozlało się plamą na naszym jedynym prześcieradle. Wycierał się w moją sukienkę, obrzucając mnie krytycznym spojrzeniem. - No proszę - odezwał się - to nie jesteśmy boginią piękności, nie?

Ubierał się. Wbił wielki paluch od nogi w mój pępek i przyglądał mi się z półmroku.

Grudka śliny bryznęła mi na grzbiet nosa. - Króliczek obdarty ze skóry. Pająk splatał pajęczynę półmroku między krokwiemi. - Panie zapchajdziuro - usłyszałam, jak mówi, schodząc po skrzypiących schodach. - Powinien mi pan zapłacić. Za okiełznanie

klaczki.

Wybuch śmiechu. Gdybym była mężczyzną, rzuciłabym się za nim po schodach i wbiła mu sztylet w plecy. Tego popołudnia ojciec, nie odezwawszy się do mnie ani słowem, poszedł sprzedać filizanki.

W mglistym mroku pojawiła się stara kobieta. Z trudem wchodziła powoli schodami na górę, gdzie leżałam, zastanawiając się, jak mogłabym się obronić, jeżeli syn gubernatora jeszcze raz zawoła mnie, gdy będzie schodził. - Nie martw się - powiedziała. - Drzewo cię ochroni. Drzewo powie ci, kiedy uciekać, a kiedy się ukryć. - Wiedziałam, że jest duchem, bo jej słowa słyszałam dopiero wtedy, gdy jej wargi przestawały się poruszać, bo prześwietlał ją blask lampy i nie miała stóp. Wiedziałam, że jest duchem dobrym, bo, usiadła na kufrze przy łóżku i zaśpiewała kołysankę o łódce, kocie i rzece toczącej swe wody.

Po dziesięciu czy dwudziestu dniach wrócił mój ojciec bez grosza. Zapytałam go o pieniądze, a on zagroził mi laniem. W zimie, którą spędzałam razem z moimi kuzynami dowiedziałam się wszystkiego: poszedł do Leszan i połowę mojego posagu wydał na opium i burdele. Pozostałą część wydał na parchatego konia, który zdechł, zanim ojciec zdążył wrócić do Osady.

Zdejmowałam pościel, która wietrzyła się na parapecie w pokoju na górze, kiedy usłyszałam ich głosy. Chłopak i dziewczyna, przeszli, nie zauważywszy mnie - słuch zaczyna mnie zawodzić. Przez parę chwil obserwowałam ich przez dziurę w deskach. Twarz umalowana, jakby dziewczyna była córką kupca albo nawet dziwką. Miała bujne piersi, a on taką minę jak mężczyźni, kiedy czegoś chcą. A tu żadnej przyzwoitki na horyzoncie! Oparła się rękami o korę mojego Drzewa, od niewidocznej strony, gdzie dziupla dawała idealną osłonę dla dziewczęcego ciała. Nad nią pęk

fiołków, który rozkwitał każdej wiosny, ale ona i tak go nie widziała.

Chłopak przetyka ślinę. - Przysięgam, zawsze będę cię kochał. Naprawdę.

Kładzie ręce na jej biodrach, ale ona je odtrąca. - Przyniosłeś mi radio? - miała głos osoby nawykłej do stawiania na swoim.

- Przyniosłem ci swoje życie.

- A radio przyniosłeś? To małe srebrne, co łapie Hongkong?

Utykając, zbiegłam na dół. Skrzypiały i schody, i moja kostki. Oboje byli tak pochłonięci zdobyciem tego, czego każcie z nich chciało, że zauważyli mnie dopiero wtedy, gdy byłam już przy kojcu z kurczakami. - Herbaty?

Odskoczyli od siebie. Ale wstyd. Podziękuje mi za uratowanie jej czci? Nie. Patrzy na mnie z założonymi rękami bynajmniej nie speszona, choć nogi rozstawiła tak szeroko jak mężczyzna. - Tak. Herbaty.

Zachodzą do herbaciarni. Ona siada, zakłada nogę na nogę i z torebki wyjmuje szminkę i lusterko. On siada naprzeciw niej i tylko patrzy się jak pies na księżyc. - Radio - rzuca dziewczyna rozkazująco. On wyciąga z torby małe błyszczące pudełeczko i wysuwa długi drut. Dziewczyna bierze, dotyka z boku i nagle na drodze słyszą kobiecy głos, śpiewa o miłości, południowej bryzie i wierzbach z baziami.

- Skąd ona jest?

Dziewczyna łaskawie zwraca na mnie uwagę. -To ostatni przebój z Makao. - Obrzuca spojrzeniem chłopaka. - Nie słyszałeś tego?

- Jasne, że słyszałem - odpowiada szorstko.

Są rzeczy, których nigdy nie zdołam pojąć.

Ojciec wrzasnął na mnie, że aż kurczaki się rozgdakały. Ty mała zdziro! Ty mała idiotko! Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem, po wszystkich moich poświęceniach tak mi się odwdzięczasz! Gdyby to był chłopiec, syn gubernatora obsypałby nas prezentami!

Moglibyśmy żyć jak w pałacu! Zostałbym mianowany dygnitarzem i miałbym służbę! Zamorskie owoce! A kto uzna coś takiego!

Dźgnął moje dziecko paznokciem w pupę. Zapłakało. Miało zaledwie pięć minut, a już się uczyło. - Sprzedałaś swoją szansę na przyzwoite małżeństwo za nocnik pełen sraczk!

Jedna z moich ciotek wyprowadziła go.

Drzewo zajrzało, uśmiechając się. - Czyż nie jest piękna? - zapytałam.

Na twarzy mojego dziecka igrały cienie zielonych liści.

Po paru dniach uzgodniono, że moja córka będzie się wychowywała u krewnych mieszkających o trzy dni drogi w dół strumienia. Duże gospodarstwo z ziemią, więc jedną córkę więcej bez większego kłopotu da się wcisnąć. Wujek powiedział mi, że odległość pozwoli ukryć hańbę, jaką okryłam honor rodziny. O mojej niewinności nie było, rzecz jasna, już co mówić. Może za kilka lat uda się namówić jakiegoś owdowiałego hodowcę świń, żeby mnie wziął na kochankę i pielęgniarkę do opieki na stare lata. Jeśli będę miała szczęście.

I wtedy postanowiłam, że szczęśliwa nie będę.

Ci sami wujowie zgodni byli co do tego, że Japończycy nigdy nie dotrą tak daleko nad Jangcy ani nie zapuszczą się wysoko w góry. A jeśli nawet? Wszyscy wiedzą, że japońscy żołnierze potrzebują o wiele więcej tlenu niż ludzie, więc nawet nie będą w stanie wejść

pod Świętą Górę. Wojna nas nie dotyczyła. Wielu wiejskich synów zostało zwerbowanych przez gubernatora wojskowego i wysłanych do walki po stronie jakiegoś przymierza, ale to działo się daleko poza Doliną, w której świat był nieco mniej rzeczywisty. W miejscach zwanych Mandzurią, Mongolią i tym podobnych.

Moi wujowie nigdy nie odróżniali prawdy od bredni. Mnie nawiedzał we śnie stojący w piwnicy gliniany dzban pełen ryżu. Kiedy spytałam mnicha, co to oznacza, odpowiedział, że to była wskazówka od Pana Buddy.

Kiedy na Świętej Górze jest wietrznie, podmuchy przynoszą w okolicę odległe dźwięki, a te miejscowe niesie gdzieś w dal. Herbaciarnia skrzypi - mojemu leniwemu ojcu nie zdarzyło się w życiu podnieść młotka - skrzypi też Drzewo. Dlatego właśnie usłyszeliśmy je dopiero wtedy, gdy nam powybijali okna.

Ojciec wszedł na szafę. Nadśluchiwałam, podenerwowana, ale już byłam pogodzona, bez względu na to, jaki los za planował dla mnie Pan Budda. Owinęłam się chustą. Nie mówili takim językiem, jakiego się używa w dolinie. Nawet nie dialektem kantońskim czy mandaryńskim. Wydawali z siebie zwierzęce dźwięki. Obserwowałam przez szpary w deskach. Trudno było coś dostrzec w świetle lampy, ale wyglądali prawie jak ludzie. Moi kuzyni z Osady opowiadali mi, że obcokrajowcy mają trąby jak słonie i włosy jak zdychające małpy, ale ci tutaj wyglądali mniej więcej jak my. Na mundurach mieli naszyte insygnia, które nasuwały myśl o bólu głowy - czerwona kropka z rozchodzącymi się czerwonymi paskami bólu.

W twarze błysnęły nam światła i brutalne ręce ściągnęły nas na dół. Pokój, pełen ludzi i poprzewracanych garnków i rondli, tonął w promieniach światła rzucanych przez latarki.

Znaleźli i roztrzaskali nasze pudełko z pieniędzmi. Ci z insygniami bólu głowy. Coś skrzydlatego zakołysało się górze. Smród mężczyzn, mężczyźni, wiecznie oni. Zaprowadzono nas przed oblicze mężczyzny w okularach, z wąsami jak z wosku.

To ja byłam żywicielką rodziny, ale wbiłam wzrok podłogę.

Może filiżaneczkę herbatki, proszę pana? - zapytał ojciec, przewyciężając jąkanie.

Jeden umiał po naszymu. Zabrzmiał kantoński, obco, jak, przepuszczony przez wyżymaczkę. - Jesteśmy waszymi wyzwolicielami. Rekwirujemy ten przydrożny zajazd w imieniu jego cesarskiej mości imperatora Japonii. Święta Góra należy od tej chwili do Azjatyckiej Strefy Wspólnego Dobrobytu. Przybyliśmy tutaj po to, by wybawić naszą chorą chińską matkę od zła europejskich imperialistów. Nie licząc Niemców, plemienia pełnego honoru i czystego rasowo.

- O - odezwał się ojciec. - Jak to dobrze. Jestem za honorem. Ja, chory ojciec.

Otworzyły się z hukiem drzwi - myślałam, że to wystrzał i wszedł żołnierz obwieszony galerią medali. Woskowy Wąs zasalutował Medalowemu Człowiekowi i wydobył z siebie zwierzęcy wrzask. Medalowy spojrzał badawczo na ojca, potem na mnie.

Uśmiechnął się półgębkiem. Następnie zwrócił się do żołnierzy, wydając z siebie ciche zwierzęce dźwięki.

Woskowy Wąs warknął na ojca: - Ukrywałeś w swoim zajeździe uciekinierów!

- Nie, panie, nienawidzimy tego nikczemnika, gubernatora! Jego syn zgwałcił mi córkę!

Woskowy Wąs przetłumaczył to Medalowemu Człowiekowi na zwierzęce dźwięki.

Medalowy podniósł brwi zdziwiony i odchrząknął.

- Moim ludziom miło słyszeć, że twoja córka dogadza przejezdnym. Ale z przykrością słyszeć twoje oszczerstwa na temat naszego sprzymierzeńca, gubernatora.

Współpracujemy ze sobą, oczyszczając Dolinę z komunizmu.

- Oczywiście, kiedy powiedziałem...

- Milczeć!

Medalowy wpakował ojcu do ust lufę. - Ugryź - powiedział.

Medalowy spojrzał ojcu w oczy. - Mocniej.

Medalowy uderzył hakiem ojca w podbródek. Ojciec wypluł kawałki zębów.

Medalowy zarechotał. Krew ojca kapiała na podłogę, rozpryskując się w kwieciste wzorki.

Schyliłam się i ruszyłam biegiem do drzwi. Pan Budda wsunął mi do ręki mosiężną pałeczkę i otworzył przede mną drzwi, gdy ledwie tknęłam je końcami palców, i zaraz za mną je zamknął. Przed domem stało trzech mężczyzn - jeden miał mocny chwyt, ale mosiężną pałeczką przebiłam mu policzek i puścił mnie. Japońscy żołnierze ruszyli za mną w górę drogą, ale była bezksiężycowa noc, a ja znałam każdą skałę, zagłębienie, niedźwiedzią ścieżkę i lisi trop. Zsunęłam się z drogi i usłyszałam, jak znikają w oddali.

Gdy dotarłam do jaskini, moje serce zdążyło się już uspokoić. Podo mną opadała w dół Święta Góra, a rozkołysany przez wiatr las falował jak ocean w moich snach. Zawinęłam się w chustę i patrzyłam, jak światło nieba przebija się przez otwór nocy, aż zasnęłam.

Ojciec był czarny od siniaków, ale na chodzie i kuśtykał po szczątkach herbaciarni.

Jego usta wyglądały jak gnijący ziemniak. - To przez ciebie -

rzucił z grymasem na powitanie - ty mi to załatwiłaś. Jadę do brata. Wrócę za dwa lub trzy dni. - Ojciec odszedł, kuśtykając. Po powrocie był już tylko starym człowiekiem oczekującym śmierci. Nastąpiło to wiele tygodni później.

Moja córka wyrastała na miejscową piękność, opowiadała mi ciotka. Jej opiekun odrzucił już dwie propozycje małżeństwa, a ona miała dopiero dwanaście lat. Opiekun mierzył wysoko: jeśli siły Kuomintangu szybko zdobędą Dolinę, to będzie mógł prawdopodobnie zaaranżować związek z przedstawicielem administracji nacjonalistów.

Mógłby nawet wyjednać dla siebie zyskowną posesję w trakcie przedmałżeńskich negocjacji.

Opłacono fotografa, żeby zrobił jej zdjęcia, które puszczone w obieg między potencjalnych konkurentów na wysokich stanowiskach. W zimie, którą spędziłam w Dolinie, ciotka przyniosła jedną z tych fotografii. Córka miała we włosach lilię, na jej twarzy malował się czysty, nieuchwytny uśmiech.

Ojciec mojej córki, syn gubernatora wojskowego, w ogóle tego nie doczekał. Ale to mnie nie smuci. Został zaszlachtowany przez gubernatora z sąsiedztwa, który sprzymierzył się z Kuomintangiem. Jego, ojca i całą resztę klanu pojmano, powiązano sznurami, rzucono na stos na skrzyżowaniu w Dolinie, oblano ropą i żywcem spalono. Wrony i psy walczyły o ich spieczone mięso.

Pan Budda obiecał ochronić moją córkę przed demonami, a moje Drzewo obiecało mi, że jeszcze ją ujrę.

Hen, hen w dole świątynny dzwon dzwoni, marszczy się gładz brzasku, a turkawki wzbijają się od strony lasu i wzbijają. Zawsze hen, do góry.

Z mgły wyłonił się rządowy funkcjonariusz. Domyślałam się, że

na szczyt go podwieźli. Rozpoznałam go po twarzy był podobny do dziadka. A ten jego dziadek z trudem zarabiał na życie, zgarniając po drogach i targowiskach w Dolinie nawóz i sprzedając go miejscowym rolnikom. Uczciwy, choć pośledni sposób radzenia sobie w życiu.

Jego wnuk zasiadł przy moim stole, na który rzucił skórzaną torbę. Z torby wydobył notes, księgę rachunkową, metalową kasetę i bambusowy stempel. Zaczął pisać w notesie, rzucając od czasu do czasu okiem na herbaciarnię, jak gdyby zastanawiał się, czy jej nie kupić.

- Herbata - odezwał się po chwili - i kluski. Zabrałam się do przygotowania tego, co zamówił.

- To - odezwał się znowu, pokazując mi kartę ze swoim zdjęciem i nazwiskiem - jest moja legitymacja partyjna. Mój dowód tożsamości. Jest nierozzerwalnie związany z moją osobą.

- Dlaczego musisz tak wszędzie obnosić się ze swoim zdjęciem? Ludzie przecież widzą, jak wyglądasz. Mają cię przed sobą.

- Tam stoi, że jestem lokalnym kierownikiem kadr partii.

- Śmiem twierdzić, że ludzie i tak to wiedzą...

- Ta góra została włączona do Państwowego Rejonu Planowania Turystyki.

- A co to znaczy tak po chińsku?

- Przy drogach dojazdowych ustawi się roгатki, żeby ściągać opłaty od tych, którzy chcą się wspinać.

- Ale Święta Góra stoi tu od początku świata!

- Teraz należy do skarbu państwa. Musi zarobić na swoje utrzymanie. Od ludzi za wspinaczkę ściągniemy po jednym juanie, a od drani z zagranicy po trzydzieści. Ludzie zarabiający na majątku skarbu państwa muszą posiadać licencję. Ciebie także to

dotyczy.

Kluski wsypałam do jego czarki, a liście herbaty zalałam wrzątkiem.

- No to daj mi jedną z tych licencji.

- Z przyjemnością. Proszę, to będzie kosztować dwieście juanów.

- Co? Moja herbaciarnia stoi tu od tysiący lat! Przekartkował księgę rachunkową. -

Powinienem wobec tego zastanowić się nad obciążeniem cię zaległymi opłatami.

Schyliłam się za ladą i naplułam mu do klusek, poruszałam pałeczką, ażeby moja flegma była dobrze wymieszana. Podniosłam się, posiekałam szczypiorku i posypałam. Postawiłam przed nim kluski.

- Jeszcze nie słyszałam takiej bzdury.

- Kobiecino, to nie ja ustalam reguły. To nakaz z samego Pekinu. Turystyka jest najważniejszą ideą socjalistycznej modernizacji. Na turystyce zarabiamy dolary. Wiem, że ty nawet nie masz pojęcia, co to jest dolar, i nawet nie próbuj zrozumieć ekonomii, bo nie jesteś w stanie. Ale to jedno masz zrozumieć: partia rozkazuje ci zapłacić.

- Już nasłuchiwałam się o partii od moich kuzynów z Doliny! O waszych kąpielach w pianie, szybkich samochodach wpychaniu się do kolejek, głupich konferencjach i...

- Zamknij ciemna babo gębę, jeżeli chcesz żyć z Ludowej Góry! Partia popchnęła rozwój naszej ojczyzny o pół wieku albo i więcej! Wszyscy inni płacili! Płaciły nawet klasz-tory! Kimże ty jesteś, albo ci twoi zasrani kuzyni ze wsi, że ośmielasz się twierdzić, że wiesz najlepiej? Dwieście juanów, i to zaraz, albo rano wrócę z funkcjonariuszami partyjnej milicji, żeby zamknęli ci ten interes i

wsadzili do więzienia za niepłacenie! Spętamy cię jak prosiaka i sprowadzimy na dół! Pomyśl, jaki wstyd! Chyba że zapłacisz, co jesteś winna. No?

Naciskam!

- No to sobie poczekasz! Nie mam dwustu juanów! Przez cały sezon zarabiam tylko pięćdziesiąt! Z czego niby mam żyć?

Urzędnik siorbał swoje kluski. - To będziesz musiała zamknąć interes i prosić swoich kuzynów ze wsi, żeby ci pozwolili w jakimś kącie iskać ich świnie z pcheł. A gdyby te twoje kluski nie były takie słone, to mogłabyś sprzedawać więcej.

Gdybym była mężczyzną, wrzuciłabym go do szamba, bez względu na to, czy jest funkcjonariuszem partii, czy nim ale jest. Ale to on był w tym momencie górą i dobrze o tym Wiedział.

Z kieszeni fartucha wysupłałam dziesięciojenny banknot. - To chyba niełatwa robota takie kontrolowanie tych wszystkich herbaciarni na Górze, kto ile zapłacił...

Drzyznał ze świstem strumieniem zielonej herbaty i rozpryskał ją na oknie. -

Przekupstwo? Korupcja? Ten rak toczący łono naszej ojczyzny! Jeśli ci się wydaje, że zgodzę się na opóźnienie zwycięstwa socjalizmu, na kalandrię świetlanej przyszłości, jaka jest przeznaczeniem naszego narodu...

Wysupłałam kolejne dwadzieścia juanów. - To wszystko, co mam.

Zgarnął pieniądze. - Ugotuj mi jajek i zapakuj razem z tymi pomidorami.

Musiałam zrobić, co kazał. Zbieracz łajna zawsze pozornie zbieraczem łajna.

Z mgły wyłonili się biegnący pod górę dwaj mnisi, zdyszani.

Biegących mnichów spotyka się równie rzadko, jak uczciwych urzędników. -

Odpoznijcie - powiedziałam, rozkładając dla nich świeży obrus - odpoznijcie.

Kiwnęli z wdzięcznością głowami i usiedli. Sługom Pana

Buddy zawsze podają najlepszą herbatę, za darmo. Młodszy mnichów otarł pot z oczu. - Kuomintang nadciąga! Całe dwa tysiące. Kiedy wyruszaliśmy, w Osadzie już nikogo nie było. Twój ojciec zabrał się na furę swoich kuzynów - udawali się w stronę wzgórz.

- Już to wszystko widziałam. Japończycy zrujnowali moją herbaciarnię.

- Przy Kuomintangu Japończycy to istoty cywilizowane - powiedział starszy z mnichów. - Ci są jak wilki. Rabują wszystko, co mogą zabrać, jedzenie i majątek, a czego nie mogą, to palą bądź trują. W Osadzie, w Dolinie obcięli chłopakowi głowę tylko po to, żeby zatruć studnię!

- Dlaczego?

- Komuniści w całych Chinach nabierają rozpędu, pomimo amerykańskich bomb.

Kuomintang nie ma nic do stracenia. Słyszałem, że udają się na Tajwan, żeby dołączyć do Czang Kaj-szeka, i dostali rozkaz, żeby zabierać, co się da. Ze świątyni Buddy w Leszanie zdrapali złocenia.

- To prawda! - Młodszy mnich wytrząsał z sandała pył.

- Nie pozwól, żeby cię dopadli! Masz jakieś pięć godzin. Ukryj wszystko w głębi lasu, a kiedy już wrócisz, bądź ostrożna. Mogą pojawić się maruderzy. Prosimy! Nie znieśliśmy, gdyby cokolwiek ci się stało!

Dałam mnichom jeszcze parę groszy, żeby zapalili kadzidło za bezpieczeństwo mojej córki, i ruszyli dalej przez mgłę. Najlepsze naczynia kuchenne ukryłam wysoko na moim Drzewie, a Pana Budę, błagając o przebaczenie, ukryłam nad miejscem, z którego wyrastały fiołki.

Mgła pierzchła i raptem nastąpiła jesień. Kiedy zawiął wiatr, liście strumieniami sunęły w górę, niczym szczury przed czarnoksiężnikiem.

Drzewa wyrosły tak wysoko, jak sama Święta Góra. Baldachimy ich koron tworzyły trawnik niebios. Pójdź, mówiły oczy jednoroźca. Połóż mi rękę na ramieniu, Korytarze wyłożone korą i ciemnością prowadziły do kolejnych takich korytarzy. Mój przewodnik miał kopytkę z kości słoniowej. Zgubiłam się i byłam szczęśliwa, że się zgubiłam, Weszliśmy do ogrodu okalającego studnię światła i ciszy, Nad misternym mostem inkrustowanym nefrytem i bursztynem leciutko kołysały się kwiaty lotosu i orchidei. Wokół mojej głowy pływał brązowo - srebrny karp, unosiły się mroczne sowy. To spokojne miejsce, pomyślałam, zwracając się do jednoroźca. Zostaniesz chwilę?

Mamo, pomyślał jednorożec, a w jej człowieczym oku zbierała się łza. Mamo, nie poznajesz mnie?

Obudziłam się z uczuciem dojmującego smutku.

Gdy tak ukrywałam się w piwnicy, gdy patrzyłam na deszcz, żałowałam, że nie mogę zmienić się w ptaka, w kamyk, w paproć albo w jelenia, tak jak kochankowie w dawnych opowieściach. Trzeciego dnia niebo przejaśniło się. W Osadzie przestało dymić. Ostrożnie wróciłam do mojej herbaciarni. Znowu zrujnowana. Płacą zawsze biedacy. A najbardziej zawsze płacą kobiety biedaków. Zabrałam się do uprzątnięcia tego bałaganu. Był jakiś

wybór?

Komuniści nadeszli wczesnym latem. Było ich tylko czterech - dwóch mężczyzn i dwie kobiety. Byli młodzi, ubrani w schludne mundury, mieli pistolety. Że nadchodzą, powiedziało mi moje Drzewo. Ostrzegłam ojca, który jak zwykle spał w swoim hamaku. Otworzył jedno oko: - Chuj z nimi, jedni w drugich tacy sami. Tylko odznaki i medale się zmieniają.

- Ojciec umierał tak, jak żył. Możliwie najmniejszym wysiłkiem.

Komuniści spytali, czy mogliby usiąść w mojej herbaciarni i ze mną porozmawiać. Do siebie mówili „towarzyszu”, a do mnie zwracali się z szacunkiem i łagodnie. Jeden z mężczyzn był kochankiem jednej z kobiet - od razu to zauważyłam. Chciałam im zaufać, ale kiedy opowiadałam, uśmiech nie schodził im z twarzy. A krzywda mnie spotykała zawsze ze strony takich z uśmiechem.

Komuniści słuchali moich skarg. Wyglądało na to, że oprócz zielonej herbaty niczego nie chcą. Chcieli po prostu dawać. Dawać takie rzeczy, jak na przykład wykształcenie, i to nawet dziewczynom. Opiekę zdrowotną, ażeby przezwyciężyć starą chińską plagę. Chcieli położyć kres wyzyskowi w fabrykach i na roli. Także kres głodowi. Macierzyństwu chcieli przywrócić godność. Chiny, twierdzili, nie są już starym i chorym człowiekiem Azji. Nowe Chiny wyłaniały się z czegoś, co gdzieś nazywano feudalizmem, i właśnie Nowe Chiny miały doprowadzić do Nowej Ziemi. I to nastąpi tutaj, w ciągu pięciu lat, bo międzynarodowa rewolucja proletariacka była historyczną, nieuchronną koniecznością. W przyszłości każdy będzie miał swój samochód, tak mówili. Nasze dzieci będą latały do pracy latającymi urządzeniami. A że każdy będzie miał tyle, by wystarczyć dla jego potrzeb, przeto naturalną drogą zniknie i zbrodnia.

- Wasi przywódcy muszą się znać na potężnej magii.

- Tak - odpowiada jedna z kobiet. - Ta magia to Marks, Stalin i Lenin oraz dialektyka walki klas.

Jak na magię, nie brzmiało to dla mnie za bardzo przekonująco.

Ojciec wypadł z hamaka. - Herbaty - powiedział do mnie. - Cieszymy się, że mamy okazję poznać komunistów i że wprowadzą oni trochę porządku w naszej Dolinie i na naszej Górze - powiedział, dłubiąc paznokciem kciuka w zębach. - Nacjoniści zgwałcili ją. - Rzucił głową w moją stronę. - Ani chybi rozpacz dla niej.

Czułam, jak ogarnia mnie fala palącego wstydu. Czy on naprawdę zapomniał, że to był syn gubernatora? Dziewczyna, ta zakochana, podeszła i chwyciła mnie za rękę. Tak; młodą dłonią, tak czystą, że aż się jej przestraszyłam.

- Dawne reżimy masowo gwałciły kobiety. Tak funkcjonowały. W Korei armia japońska gromadziła wszystkie dziewczęta w gettach, nadawała im japońskie nazwiska, a one potem całą wojnę spędzały na leżąc. Ale te czasy już minęły.

- Tak - powiedział jeden z mężczyzn. - Chiny od wieków były gwałcone przez kapitalistów i imperialistów. Feudalizm zdegradował kobiety do poziomu bydła. Kapitalizm tak jak bydło je kupował i sprzedawał.

Chciałam mu powiedzieć, że kompletnie nie wie, co to znaczy zostać zgwałconą, ale ta kobieta była dla mnie tak miła, że ledwie mogłam mówić. Prócz mojego Drzewa i Pana Buddy jeszcze nikt nigdy nie okazał mi takiej dobroci. Obiecała, że jeżeli będę potrzebowała jakieś lekarstwa, to mi je przyniesie. Promienieli dobrocią, optymizmem i odwagą. Do mojego ojca zwracali się per „panie” i nawet za herbatę zapłacili.

- Wybieracie się na pielgrzymkę na Świętą Górę?

Chłopcy uśmiechnęli się. - Partia wyzwoli lud chiński kajdanów religii. Niedługo nie będzie pielgrzymów.

Nie będzie pielgrzymów? To znaczy, że Święta Góra nie będzie święta?

„Święta” nie - przytaknęli. - Ale, jak na górę, nadal bardzo imponująca. - I słusznie wtedy wyczułam, że chociaż intencje mieli szczerze, to ich słowa były gównem warte.

W zimie, którą tego roku spędzałam w Osadzie, dotarły do mnie przygnębiające wieści z Leszan. Moja córka, jej opiekun i jego żona uciekli do Hongkongu. Szajka zagranicznych bandytów zwanych Brytyjczykami rozpowszechnia kłamstwa, że Hongkong to raj, tymczasem każdego, kto tam przyjeżdża, zakuwają dożywotnio w kajdany i zmuszają do pracy w fabrykach trującego gazu i w kopalniach diamentów. Tego wieczoru Drzewo obiecało mi, że jeszcze zobaczę moją córkę. Nie rozumiałam. Ale wiedziałam, że moje Drzewo zawsze mówi prawdy, które nabierają znaczenia dopiero rano, w świetle dnia.

Gruba dziewczyna miała na sobie ubranie w paski, które jeszcze bardziej ją pogrubiało. Spojrzała na kluski, parujące i apetyczne, potem na mnie. Siorbiąc, wciągnęła kęs, potrzymała w ustach, potrząsnęła głową i wypluła na stół.

- Ohydne.

Jej jędzowata przyjaciółka zaciągnęła się głęboko papierosem. - Aż tak źle?

- Świniom bym tego nie dała.

- Kobicino, nie masz jakiejś czekolady?

Z moimi kluskami wszystko było w porządku. - Czego?

Grubasina westchnęła, schyliła się, zgarnęła trochę ziemi i

posypała kluski. - Może to poprawi smak. Nie zapłacę ani juana. Miało być jedzenie. Nie pomyje.

Jędzowata zarżała i rzuciła okiem na swoją torbę. - Miałam gdzieś ciastka...

Nic po złości na Świętej Górze. I rzadko ją odczuwam. Ale gdy widzę, jak bez sensu marnuje się jedzenie, to taka wściekłość we mnie wzbiera, że nie mogę się opanować., Kluski - z ziemią - spływały po twarzy Grubasiny. Skóra błyszczała tłuszczem.

Mokra koszula przywarła jej do karku. Usta ułożyły się w wyrażające wstrząs „O”. Łapała powietrze, jak wypływający na powierzchnię pływak, zatrzepotała rękami i upadła na plecy.

Jędzowata zerwała się i cofnęła machając skrzydełkami.

Grubasina podniosła się, była czerwona i ją roznosiło. Już ruszała na mnie, ale kiedy spostrzegła, że mam garnek z wrzątkiem, którym mogę ją oblać, zmieniła zdanie. Wycofała się na bezpieczną odległość i wrzasnęła: - Złożę na ciebie doniesienie, ty, ty, ty DZIWKO!

Poczekaj no! Tylko poczekaj! Mój szwagier zna podsekretarza w komitecie partii i każe ZMIEŚĆ Z POWIERZCHNI ZIEMI tę twoją zapchlona herbaciarnię! Razem z tobą!

Nawet kiedy już zniknęły z pola widzenia za zakrętem ich wyzwiska spływały na dół poprzez korony drzew. Dziwka! Żeby osły ruchały twoje córki! Żeby twoi synowie byli bezpłodni! Dziwka!

- Nie znoszę złych manier - powiedziało moje Drzewo - Dlatego opuściłem Osadę.

- Nie chciałam się zezłościć, ale ona nie powinna marnować jedzenia!

- Mam namówić mały, żeby urządziły na nie zasadzkę i powyrywały im włosy?

- Kiepska by to była zemsta.

- No to się zastanów.

Najgorzej było wtedy, gdy do Doliny zajrzał głód.

Wszystkie gospodarstwa w Dolinie komuniści zorganizowali w komunę. Nikt nie posiadał ziemi na własność. Nie było już ziemian. Właściciele wpędzono do wykopanych przez nich samych grobów, ich ziemię oddano rewolucyjnej ludowi, bądź wraz z rodzinami pozamykano ich w zbudowanych przez kapitalistów więzieniach.

Wszyscy wieśniacy jedli w stołówce komuny. Jedzenie za darmo! Po raz pierwszy w dziejach każdy wieśniak w Do linie wiedział, że pod koniec dnia jego żołądek dostanie miskę strawy. To były Nowe Chiny, Nowa Ziemia.

Nikt nie posiadał ziemi na własność, więc nikomu nie zależało, żeby o nią dbać.

Zaniechano składania ofiar duchom pól ryżowych, w żniwa dochodziło do tego, że ryżgnił na pniu. I wyglądało na to, że im mniej wieśniacy pracowali, tym więcej kłamstw opowiadali o swojej ciężkiej pracy. Wtedy pielgrzymi - wieśniacy z innych komun w Dolinie siadali w mojej herbaciarni i dyskutowali o rolnictwie, widziałam, jak wszystko w ich opowieściach rośnie. Ogórki osiągały rozmiary świni, świni dorównywały rozmiarami krowom, a krowy były już takie jak moja herbaciarnia. Do tego całe lasy kapusty! Takie, że można by zabłądzić! Myśl Mao Tse-tunga najwyraźniej zrewolucjonizowała metody produkcji i rozprzestrzeniła się na lasy. Szef planowania komuny znalazł na południowych stokach grzyba wielkości parasola. Najbardziej niepokoiło to, że sami wierzyli w te swoje bzdety i atakowali każdego, kto ośmielił się użyć słowa „przesada”. Ja zdążyłam się już zestarzeć na Świętej Górze, ale jeszcze nie doczekałam się większej rzodkiewki.

Tej zimy w Osadzie było jeszcze smętniej, więcej było błota i idiotyzmu niż kiedykolwiek.

Mieszkałam z rodziną kuzynki. Rolników od pokoleń uprawiających ryż. Zapytałam męża kuzynki, dlaczego wszyscy zrobili się tacy leniwi? Mężczyźni wieczorami na ogół upijali się i nie wstawali z łóżek aż do południa następnego dnia. Kończyło się oczywiście tak, że większość rzeczy robiły kobiety, bo mężczyźni mieli takiego kaca, że się nie dało.

Wszystko było nie tak. Złe duchy gnieździły się z wronami na szczytach dachów i wysiadywały niechęć. Na ulicach, w alejach i na targowiskach ani żywego ducha. Dni mijały bez dobrego słowa. Główny klasztor w Osadzie zamknięto. Czasami błąkałam się tam, przechodziłam przez księżycowe Kramy, obok stawów zduszonych przez rzęsę wodną. Przypominało mi to jakieś inne miejsce. Osadę nawiedziła zaraza, której nikt nawet nie zauważył.

Chodziłam porozmawiać z wiejskimi starzykami. - Co będziecie jeść następnej zimy?

- Owoce Matki Chin!

- Przecież nic wam nie rośnie.

- Nie rozumiesz. Nie dostrzegasz zmian. - Przecież widzę. Jakoś się nie bilansuje...

- Chiny utrzymują swoich synów. Mao Tse-tung da!

- Kiedy się nie bilansuje, płacą chłopci! Myśli Mao, choćby i najmądrzejsze, brzuchów nie napelnią.

- Kobieto, jak komuniści usłyszą, co mówisz, to cię odeślą na reedukację. Wracaj na tę swoją Górę, jak ci się tu nie podoba. Gramy w mahdzonga.

Tej samej zimy Mao ogłosił swój Wielki Marsz. Chiny stanęły w obliczu nowego kryzysu: niedobór stali. Stali na mosty, stali na

lemieszce, stali na pociski, żeby udaremnić rosyjską inwazję od strony Mongolii. I tak w każdej komunii postawiono piec i wyznaczono kontyngenty.

Nikt w Osadzie nie wiedział, jak się obsługuje piec - kowala powieszono na dachu jego własnego domu jako kapitalistę - ale za to każdy wiedział, co się z nim stanie, jeśli na jego dyżurze piec zgaśnie. Moje kuzynki, siostrzenice i bratankowie musieli pracować przy zdobywaniu drewna. Szkoły zamknięto, a nauczycieli i uczniów zmobilizowano w zbierające drewno na opał drużyny, które miały dbać o podtrzymywanie ognia w paleniskach. Że moi kuzynowie dorastali, a mieli pusto w głowie? A kto niby miał ich nauczyć pisać? Kiedy zużył się zapas biurek i desek, powycinano dziewicze lasy rosnące u podnóża Świętej Góry. Zdrowe drzewa! Do Doliny, gdzie drzew było mniej, dotarła wieść, że komuniści organizują loterię między nie należącymi do partii mieszkańcami wsi. „Zwycięzcom” kazali rozbierać swoje domy i palić, żeby podtrzymać ogień w paleniskach.

Stal okazała się bezwartościowa. Czarne, łamliwe sztabki przyjęło się nazywać „balaskami”, z tym że balaski można przynajmniej do czegoś wykorzystać. Kobiety co tydzień załadowywały je na ciężarówkę z miasta, zastanawiając się, dlaczego partia nie wysyłała do Osady żołnierzy, żeby wymierzili karę.

Odpowiedź poznaliśmy pod koniec jesieni, kiedy po Dolinie zaczęły kursować plotki o brakach żywności.

Pierwsza reakcja ludzi była typowa. Nie chcieli uwierzyć, że to prawda, więc nie wierzyli.

Zacząli wierzyć, kiedy opustoszał gminny skład ryżu. Spokojnie, Mao przyśle ciężarówkę. Może nawet osobiście poprowadzi konwój.

Funkcjonariusze partyjni powiedzieli, że konwój został porwany w Dolinie przez szpiegów wysługujących się kontrrewolucji i że wnet i tak będzie więcej ryżu. Tymczasem mieliśmy zacisnąć pasa. Zaczęli pojawiać się chłopci z okolicy, którzy przychodzili do Doliny na zebry. Byli wychudzeni na kość, jak kurze łapki. Znikały kozy, potem psy, potem ludzie zaczęli ryglować bramy - od zmierzchu do świtu. Zanim przyszły roztopy, zjedzono całe ziarno pod przyszłoroczne zasiewy. Nowe ziarno miało wnet przyjść, obiecywali partyjni funkcjonariusze.

- Wnet - nadal nie nadchodziło, kiedy z powrotem wyruszałam w górę do mojej herbaciarni - cztery miesiące wcześniej niż zwykle. Nocą panowało jeszcze przejmujące zimno, ale wiedziałam, że Pan Budda i Drzewo zatroszczą się o mnie. Były ptasie jaja, korzenie, orzechy. Mogłam stawiać sidła na ptaki i króliki. Dało się przetrwać.

Raz czy dwa pomyślałam o ojcu. Nie miał szans na przetrwanie kolejnego roku, nawet na dole, w zaciszu Doliny, oboje wiedzieliśmy o tym. - Do widzenia - rzuciłam przez pokój kuzynki. W ogóle nie ruszał się z łóżka., tylko żeby się wysrać i wyszczać.

Jego skóra miała w sobie mniej życia niż łupina wplątana w pajęczynę. Czasami przymykał powieki, a jego papieros dopalał się. Było coś pod tymi powiekami? Wyrzuty sumienia, uraza, choćby obojętność? Czy też nie było nic? Takie nic często udaje u ludzi mądrość.

Lato przyszło późno, zima kapiała kroplami z gałązek i pąków, ale żaden pielgrzym nie wyłaniał się z mgły. Na gałęzi mojego Drzewa z lubością wyciągała się puma i strzegła drogi.

Jaskółki budowały gniazdo pod moimi okapami: dobry znak. Od czasu do czasu przeszedł jakiś mnich. Ciesząc się z towarzystwa,

zapraszałam ich do mojej herbaciarni. Mówili, że moje potrawy z mięsa gołębi duszonego z korzeniami to najlepsze rzeczy, jakie jedli od tygodni.

- Ludzie teraz umierają całymi rodzinami. Jedzą siano, skórę, kawałki ubrania.

Cokolwiek, byle zapełnić brzuch Kiedy umierają, nawet nie ma nikogo, by ich pochować czy odprawić ceremoniał pogrzebowy, więc nie mają szans na raj ani nawet na ponowne narodziny.

Kiedy któregoś ranka otworzyłam okiennice, las jaśniał i tchnął kwieciami. Święta Góra nic sobie nie robi z głupiego świata ludzi. Tego dnia zajrzał jakiś mnich. Napięta skóra na wygłodniałej twarzy. - Zgodnie z ostatnim dekretem Mao nowymi wrogami proletariatu są wróble, ponieważ pożerają Chinom ziarno. Wszystkie dzieci, ze szczękającym przedmiotami w ręku, muszą ścigać wróble, póki te z wyczerpania nie spadną. Kłopot w tym, że nie ma komu zjadać owadów, więc Osadę opanowały świerszcze, gąsienice i muchy plujki.

W Seczuanie pojawiły się chmary szarańczy. Tak się dzieje, kiedy ludzie bawią się w bogów i pozbywają się wróbli.

Dni były coraz dłuższe, rok zatańczył na przepastnym niebie wokół rozpalonego słońca. Obok jaskini znalazłam zapas dzikiego miodu.

- Twoja rodzina trzyma się - powiedział mi mnich z Osady- ale tylko dzięki pieniądzom przysyłanym przez ludzi twojej córki z Hongkongu. Po Nowym Roku twoja córka będzie miała męża. Pracuje w restauracji niedaleko portu I dziecko już w drodze. Zostaniesz babcią.

Serce mi mocniej zabiło. Od chwili narodzin mojej córki rodzina niczego, prócz kupy wstydu, nie przyniosła, a teraz ona ratowała im

skórę.

Jesień tchnęła konające barwy w spłowiełe zielenie. Gromadziłam opał, orzechy, suszyłam bataty, jagody i owoce, robiłam zapasy dzikiego ryżu w słojach, wzmacniałam moją herbaciarnię przed zadymkami i zszywałam z króliczych skórek ubrania. Kiedy wyruszałam na poszukiwania jedzenia i drewna, zabierałam ze sobą dzwonek, żeby odstraszać niedźwiedzie. W lecie postanowiłam, że zimę spędzę na Górze. Powiadomiłam moich kuzynów. Nie próbowali mnie przekonywać. Kiedy spadł pierwszy śnieg, byłam gotowa.

Herbaciarnia skrzypiała pod ciężarem sopli lodu.

Rodzina jeleni przeniosła się na pobliską polanę.

Nie byłam już młodą kobietą. Bolało mnie w kościach, oddech zamarzał. A kiedy w środku zimy przychodziły głębokie śniegi, na całe dni byłam uwięziona w mojej herbaciarni i tylko Pana Budę miałam do towarzystwa. Ale zamierzałam przetrwać tę zimę, żeby zobaczyć topniejące sople lodu żeby ucałować moją córkę.

Kiedy po raz pierwszy ujrzałam cudzoziemca, nie wiedziałam, jak się znaleźć!

Wyłonił się taki - bo domyślałam się, że to był on - wielki jak ogr, a do tego miał żółte włosy. Żółte jak zdrowa szczyna! Miał chińskiego przewodnika i po chwili dotarło do mnie, że mówi najprawdziwszym językiem! Moi bratankowie i siostrzenice uczyli się o cudzoziemcach w nowej wiejskiej szkole. Cudzoziemcy przez setki lat ciemnieżyli nas, dopiero komuniści pod wodzą Mao Tse-tung nas wyzwolili. Ciemną także swoich i zawsze nawzajem zwalczają. Według nich zło jest dobrem. Zjadają swoje dzieci i uwielbiają smak gówna, a myją się co dwa miesiące.

Ich język brzmi jak pierdzenie świni. Parzą się ze sobą

odruchowo, jak psy i suki na wiosnę, nawet na ulicy.

Pomimo to znalazł się tu prawdziwy, żywy cudzoziemski diabeł, który rozmawiał najprawdziwszą chińszczyzną najprawdziwszym Chińczykiem. Nawet pochwalił moją soloną herbatę, że świeża. Tak mnie to zdumiało, że nie odpowiedziałam. Po kilku minutach ciekawość przewyciężyła naturalną odrazę. - Czy pan jest z tego świata? Mój bratanek mówił mi, że poza Chinami jest jeszcze wiele innych miejsc.

Uśmiechnął się i rozłożył piękny obrazek. - To - powiedział - jest mapa świata.

- Nigdy czegoś takiego nie widziałam.

Na środku szukałam Świętej Góry. - Gdzie ona jest? - pytałam.

- Tutaj. Tutaj właśnie się znajdujemy. Góra jest w tym miejscu.

- Nie widzę.

- Jest za mała.

- Nie może być!

Wzruszył ramionami, dokładnie tak jak prawdziwi ludzie. Dobrze mu szło to naśladowanie. - To są Chiny, widzi pani tu, tak?

- Tak - odpowiedziałam, powątpiewając - ale nie wyglądają akuratnie. Chyba ktoś panu sprzedał porwaną mapę.

Jego przewodnik roześmiał się, ale przecież jak coś jest porozrywane, to nie ma się z czego śmiać. - A tu jest kraj, z którego pochodzę. Miejsce nazywane „Włochy”.

Włochy. Próbowałam wymówić nazwę tego miejsca, ale nie potrafiłam ułożyć ust do takich nonsensownych dźwięków i dałam spokój. - Pana kraj wygląda jak but. Kiwnął głową przytakująco. Powiedział, że pochodzi z obcasa. Dziwne to wszystko było. Przewodnik poprosił mnie, że bym przygotowała coś do zjedzenia.

Kiedy gotowałam, cudzoziemski diabeł i jego przewodnik nadal

prowadzili rozmowę.

I tutaj kolejny wstrząs - wyglądało na to, że są przyjaciółmi! Jak się dzielili jedzeniem i herbatą... Jak prawdziwy człowiek może się przyjaźnić z cudzoziemskim diabłem? Ale wyglądało na to, że tak. Może liczył, że uda mu się obrabować diabła, kiedy ten zaśnie. To miałyby sens.

- Jak to jest, że w ogóle nie rozmawiacie o rewolucji kulturalnej?
- pytał diabeł. -

Boicie się represji policji? A może nastąpił zwrot i zgodnie z oficjalną rewizją historii rewolucji kulturalnej nigdy nie było?

- Ani jedno, ani drugie - powiedział przewodnik. - Nie rozmawiam o tym, bo za dużo było w tym zła.

Moje Drzewo od tygodni było rozdrażnione, ale nie wiedziałam dlaczego. Na północnym wschodzie widniała kometa, a mnie śniły się wieprze ryjące dach mojej herbaciarni. Mgła spowiła Świętą Górę i utrzymywała się przez kilka dni. Nocne sowy pohukiwały za dnia. I wtedy pojawiła się Czerwona Gwardia.

Było ich trzydziestu lub czterdziestu. Trzy czwarte z nich to chłopcy, kilku spośród nich dopiero zaczynało się golić. Na ramieniu nosili czerwone opaski i maszerowali pod górę z pałkami w rękach i bronią własnego wyrobu. Nie potrzebowałam aż Pana Buddy, żeby wiedzieć, że przynieśli kłopoty. Przechodząc, monotonnie śpiewali.

- Co można rozwalić... - śpiewała jedna połowa...

- Rozwalić należy! - odpowiadała druga. I tak na przemian.

Rozpoznałam przywódcę - to było zimą przed wielkim głodem. W szkole był matolkiem i z rzadka imał się pracy, chyba że dorywczo murarki. Teraz wkraczał butnie pod moją herbaciarnię, niczym Pan Stworzenia. - Jesteśmy Czerwoną Gwardią!

Przybywamy tu w imieniu Komitetu Rewolucyjnego! - Wrzeszczał, jakby liczył, że mnie powali siłą głosu.

- Przecież dobrze wiem, kim jesteś, Mózg. - Mózg, takie miał w Osadzie przezwisko, bo właśnie mózgu mu brakowało. - Kiedy byłeś mały, twoja matka przyprowadzała cię do domu mojej kuzynki. Jakaś się obsrał, to obcierałam ci dupę.

Przyszło mi na myśl, że te dzieciaki są jak niedźwiedzie: gdy okażesz strach, atakują.

A gdy zachowasz się tak, jakby ich naprawdę nie było, pójdą dalej przed siebie.

Mózg uderzył mnie w twarz!

Zapieкло, do oczu napłynęły mi łzy. Czułam, że mam złamany nos, ale to nie ból wywołał we mnie wstrząs, lecz myśl, że starsza osoba dostała w twarz od wyrostka! To było wbrew prawom natury!

- Więcej mnie tak nie nazywaj - powiedział beztrąsko. Naprawdę tego nie lubię. -

Odwrócił się. - Towarzysze oficerowie! Znajdźcie zapasy, które ta kapitalistka wyssała ciała mas! Zaczniacie szukać w pokoju na górze. Tylko przeszukajcie gruntownie! To stara chytra pijawka!

- Co? - Dotknęłam nosa i spojrzałam na zakrwawione palce.

Na schodach załomotały buty. Łomot, odgłosy rozrywania, śmiech, trzaski.

- Częstujcie się - powiedział Mózg do pozostałych czerwonogwardzistów, wskazując na moją kuchnię. - Ta stara szmata nic innego nie robiła, tylko was okradała, pamiętajcie. Tak czy inaczej, najpierw zniszczcie tę relikwię. Roztrzaskajcie to na kawałki!

- Tego nie zrobisz..

Spadł na mnie kolejny cios i Mózg postawił mi nogę na twarzy,

wciskając głowę w błoto. Nadepnął na tchawicę. Myślałam, że mnie zabije. Poczułem na twarzy protektor jego buta. - Czekał no, niech tylko powiem o tym mamie i ojcu. - Ledwie rozpoznałam swój głos, taki był zduszony i słaby.

Mózg szarpnął głową. - Zamierzasz donieść na mnie do mamusi i tatusia? Na myśl o tym szczam w pory ze strachu? Wiesz, co Mao mówi o rodzicach, powiem ci: „Ojciec cię kocha, kocha cię matka, lecz najbardziej kocha przewodniczący Mao!”

Słyszałam, jak roztrzaskują Pana Buddę.

- Będziesz mieć kłopoty, kiedy prawdziwi komuniści się o tym dowiedzą!

- Ci rewizjoniści są właśnie likwidowani. Okazało się, że na Wiejskiej Partii Kobiet ciąży wina, bo puszczała się z odłamową grupą trockistowską. - Wbił wielki paluch od nogi w mój pępek i przyglądał mi się z półmroku. Grudka śliny bryznęła mi na grzbiet nosa. -

Puszczanie się, temat ci nieobcy, słyszałem coś o tym.

Byłam jeszcze wystarczająco silna, by zdobyć się na gniew. - Co masz na myśli?

- Rozkładanie nóg przed tym feudalistą! Przed synem gubernatora wojskowego!

Poszło po rodzinie, wiadomo .Wszyscy wiemy o tej twojej skundlonej suce, co obciąga kabla imperialistom w Hongkongu! Spiskuje, żeby obalić naszą wielką rewolucję! No nie patrz taka oburzona! Wieśniacy prześcigali się w donoszeniu na zdrajców klasowych! Nie opowiadaj mi, że już zapomniałaś, jak to dobrze mieć faceta na sobie! - Nachylił się i szepnął mi do ucha: - Może trzeba ci trochę przypomnieć? - Miętosił mi piersi. - Ta twoja włochata kieszonka między nogami jeszcze chyba puszcza soki, co?

Może...

- Znaleźliśmy jej pieniądze, towarzyszu generale!

I prawdopodobnie to mnie uratowało. Na pewno nie czerwonogwardzista. Wstał i otworzył moją kasetkę. W tle dokonywało się dzieło zniszczenia mojej herbaciarni. Młodzi jak szarańcza ogołócili ją z jedzenia.

- Przejmuję skradzione przez ciebie dobra w imieniu Chińskiej Republiki Ludowej.

Czy chcesz wnieść odwołanie w Ludowym Trybunale Rewolucyjnym? Uklęknął mi na obojczykach i badawczo wpatrywał mi się w twarz - nadal byłam przyciśnięta bokiem do ziemi, ale wbiłam w niego uparte spojrzenie.

- Rozumiem, że „nie”. A to co? Mów, do diabła! Twój chucherkowaty osesek, o ile się nie mylę. - Mózg bawił się zdjęciem mojej córki. Otworzył z trzaskiem zapalniczkę i obserwował moją reakcję, przytykając róg zdjęcia do płomienia. Tylko nie moją córkę! Lilia we włosach. Targał mnie w środku żal, ale cierpiałam w milczeniu. Nie zamierzałam sprawić Mózgowi przyjemności swoimi łzami. Pstryknął mój zwęglony skarb, nim zdążył sobie poparzyć palce. - Tu już skończyliśmy, towarzyszu generale - powiedziała dziewczyna.

Dziewczyna!

Mózg wreszcie uwolnił moją tchawicę. - Tak. Powinniśmy pociągnąć dalej. Wyżej w górach są wrogowie rewolucji groźniejsi od tej paskudy.

Oparłam się o Drzewo i patrzyłam na szczątki herbaciarni.

- Świat oszalał - powiedziałam. - Znowu oszalał. - Jeszcze się naprawi - powiedziało moje Drzewo.

- Znowu się naprawi. Nie rozpaczaj za bardzo. To tylko fotografia.

Zobaczysz się z córką przed śmiercią.

Coś w zgłiszczach połuźniło się i dach z łomotem runął.

- Żyję sobie tutaj spokojnie, zajmując się swoimi sprawami. Nikomu nie przeszkadzam. Dlaczego wiecznie przychodzą tu na Górę ludzie i niszczą moją herbaciarnię?

Dlaczego zdarzenia tak właśnie się układają?

- To bardzo dobre pytanie - odpowiedziało moje Drzewo.

Ale i tak miałam szczęście. Następnego dnia zeszłam drogą do Osady, żeby pożyczyć zapasów. Klasztor był splądrowany i zdemolowany, a wielu mnichów zastrzelono, gdy klęczeli w sali medytacji. Na dziedzińcu księżycowej bramy ujrzałam setkę mnichów klęczących wokół ogniska. Palili zwoje z biblioteki, gromadzone od czasów, gdy Budda z uczniami przemierzał Dolinę. Odchylone do tyłu głowy ściągał sznur przywiązany do kostek.

Krzyczeli: - Niech żyje myśl Mao Tse-tunga! Niech żyje myśl Mao Tse-tunga! - i tak bez końca. Oddziały Czerwonej Gwardii chodziły między rzędami i kamienowały każdego mnicha, który opadał z sił. Przed szkołą stali nauczyciele przywiązani do drzewa kam-forowego. Do szyi mieli przytroczone napisy: „Im więcej książek przeczytasz, tym głupszy będziesz”.

Wszędzie wisiały plakaty Mao. Doliczyłam się pięćdziesięciu, zanim dałam sobie spokój.

Kuzynka była w kuchni. Błada jak ściana.

- Co się stało z twoimi gobelinami?

- Gobeliny są niebezpieczne i burżuazyjne. Musiałam je spalić na dziedzińcu, zanim sąsiedzi na mnie donieśli.

- Dlaczego wszyscy noszą przy sobie czerwone książeczki? Czy mają strzec od złego?

- To czerwona książeczka Mao. Każdy musi ją mieć. Takie jest

prawo.

- Jak to możliwe, żeby jeden łysy spasieniec tak rządził całym Chinami? To...

- Jeszcze kto usłyszy, co mówisz! Ukamienują cię! Usiądź, kuzynko. Czerwona Gwardia pewnie wpadła do ciebie, jak szła, żeby spalić świątynię na szczycie? Powinnaś się napić wina ryżowego. Proszę. Jedna filiżanka. Wypij do dna, już. Mam niedobre wieści.

Reszta twoich krewnych z Leszan wyjechała.

- Dokąd? Do Hongkongu?

- Do obozów poprawczych. Prezenty od twojej córki wzbudziły zawiść sąsiadów.

Zadenuncjowano cały dom, jako zdrajców klasowych.

- Co to za obozy poprawcze? Czy ktoś z tego wychodzi? Kuzynka westchnęła i rozłożyła ręce. - Nikt nie wie... I ani słowa więcej.

Trzy ostre stuknięcia do drzwi i kuzynka skuliła się, jakby w jej trzewiach zamknął się zatrzask.

- To tylko ja, matko!

Kuzynka odemknęła zasuwkę i wszedł mój bratanek, kiwając głową na powitanie. -

Wracam z rynku, z zebrania poświęconego samokrytyce. Hodowca krów został zadenuncjowany przez rzeźnika. - Za co?

- A czy to ważne? Byle gie wystarczy! Prawdą jest, iż rzeźnik był mu winien pieniądze. To wygodny sposób na oczyszczenie sobie hipoteki. Ale to i tak nic. Trzy wioski dalej, w Dolinie, druciarzowi obcięli kutasa tylko dlatego, że jego dziadek walczył w Kuomintangu z Japończykami.

- Myślałam, że Kuomintang walczył przeciw Japończykom razem z komunistami?

- To prawda. Ale dziadek druciarza wybrał niewłaściwy mundur. I ciach! Za Leszan jest wioska, gdzie dwa dni temu upieczono pieczeń wieprzową. - I co? - spytała kuzynka.

Bratanek przełknął ślinę. - Świń tam nie trzymali od czasu wielkiego głodu. - I co? - zachrypiałam.

- Trzy dni temu komitet gminny został rozstrzelany za zdefraudowanie ludowej śmietany. Zgadnij co - zgadnij kogo - kładli do garnka... Obecność przy pieczeniu była obowiązkowa pod karą egzekucji, więc każdy ma swój udział w winie. Rondel albo strzał.

- To musi minąć, do licha - powiedziałam, głośno myśląc. - Na Świętą Górę przyłazą wszystkie demony. Myślicie, że to przez kometę? To przez nią świat nurza się w złu?

Bratanek wlepił wzrok w butelkę wina. Zawsze popierał komunistów. - To wszystko sprawka żony towarzysza Mao! Była przecież aktorką, a teraz cała ta władza uderzyła jej do głowy! Nie można ufać ludziom, którzy żyją z oszukiwania.

- Wracam do mojej herbaciarni - powiedziałam. - I już nigdy nie zejdem ze Świętej Góry. Odwiedz mnie czasem, kuzynko, kiedy kostki ci wydobrzeją i będziesz mogła się wspinać. Będziesz wiedziała, gdzie mnie znaleźć.

Oko widniało wysoko na niebie. Przemieniało się w spadającą gwiazdę, ale mnie nie zwiodło, bo jaka spadająca gwiazda przemieszcza się w linii prostej i wcale się nie spala? Nie była to bezduszna soczewka, nie: to było ludzkie oko spoglądające na mnie z zasnutego pajęczynami półmroku. Kim byli i czego ode mnie chcieli?

Słyszę śmiech w głosie mojego Drzewa. - Nadzwyczajne! Jak się dostosowujesz do tego wszystkiego?

- Co masz na myśli?

- Przecież nawet jeszcze go nie wystrzelono!

Jeszcze raz odbudowałam moją herbaciarnię. Lepką żywicą posklejałam z powrotem do kupy Pana Buddę. Świat się nie skończył tego roku, ale piekło wypróżniło się na Chiny, a świat tonął w złości. Droga, od czasu do czasu, nadciągały opowieści sprowadzane przez uciekinierów mających krewnych na szczycie. Opowieści o dzieciach denuncjujących własnych rodziców i zażywających krótkotrwałej sławy w narodzie. Ciężarówki załadowane lekarzami, prawnikami i nauczycielami, ażeby chłopcy ich reedukowali w obozach poprawczych. Chłopcy nie wiedzieli, czego mieli tamtych nauczać. Obozy poprawcze nigdy nie były gotowe na przyjęcie wrogów klasowych i Czerwona Gwardia do pilnowania przysyłała desperatów mających trudności z dojrzeniem, którzy niebawem uświadamiali sobie, że zesłano ich na wygnanie, wraz z ich podopiecznymi. Czerwoną Gwardią tworzyły wychowane w miejskiej wygodzie dzieci z Pekinu i Szanghaju. Mózg został zadenuncjowany jako holenderski szpieg - zesłano go do tajnego więzienia w Mongolii. Denuncjowano nawet związanych z Mao architektów rewolucji kulturalnej, ich nazwiska piętnowano w następnej fali wieści dochodzących z Pekinu. Jakimż miejscem była stolica, w której rozpuszczano takie rzeczy? Przy tym szaleńcu najbardziej okrutni starożytni cesarze to niewinne kocięta.

Mnich się nie modlił, świątynny dzwon nie zadzwonił przez wiele lat. I jak przewodnik powiedział cudzoziemskiemu diabłu, zła było za dużo.

Lata, jesień, zima i wiosna tańczyły wkoło. Nigdy już nie zesłałam do Osady. Zimy, a jakże, srożyły się, za to lata były

łaskawe. Chmury czerwonych motyli odwiedzały mnie ra-no w pokoju na górze, kiedy rozwieszałam pranie. Puma miała małe. Były na pół oswojone.

Na szczyt Świętej Góry wróciła garstka mnichów, a władze partii jakby ich nie zauważały. Któregoś ranka obudziłam się i znalazłam list wsunięty pod drzwi herbaciarni.

Był od mojej córki - list i zdjęcie, kolorowe! Musiałam poczekać, aż zajrzy jakiś mnich, bo nie umiałam czytać. A oto, co było w nim napisane:

Kochana Matko, Dowiedziałam się, że przepuszczają teraz krótkie listy, więc próbuję, może się poszczęści. Jak widzisz na fotografii, jestem już kobietą prawie w średnim wieku.

Ta młoda kobieta po mojej lewej, to Twoja wnuczka, a widzisz niemowlę, które trzyma? To twoja prawnuczka! Nie jesteśmy zamożni, a po śmierci mojego męża straciliśmy prawo dzierżawienia po nim restauracji, ale moja córka sprzęta mieszkania cudzoziemców i dość dobrze sobie radzimy. Mam nadzieję, że kiedyś spotkamy się na Świętej Górze. Kto wie?

Świat się zmienia. A jeśli nie, to i tak spotkamy się w niebie. Mój ojczym, jeszcze jak żył, opowiadał mi o Twojej górze. Byłaś kiedyś na szczycie? Może uda Ci się dostrzec stamtąd Hongkong! Dbaj, proszę, o siebie. Będę się za Ciebie modlić. Módl się, proszę, za mnie.

Strużka pielgrzymów powoli rozrastała się w stateczny strumień. Mogłam sobie pozwolić na zakup kurczaków i miedzianego rondla, i worka ryżu, żeby przetrzymać zimę.

Na drodze pojawiała się coraz więcej cudzoziemców: zarośnięci, pstrokaci, że aż mdli, czarni, różowo - szarzy. Czy aby nie za dużo ich wpuszczali? Ale przecież cudzoziemcy to pieniądze. A tyle ich

mają. Za butelkę wody żądasz dwadzieścia juanów, a często zdarza się, że płacą, nie racząc się nawet z nami targować! Jawna niegrzeczność!

Latem wynajmuję pokój na górze na nocleg. Sobie zamontowałam w kuchni na dole hamak ojca i tam spałam.

Nie lubię, ale musiałam oszczędzać pieniądze na swój pogrzeb albo na wypadek, jakby miał wrócić głód. W ten sposób mogę wyciągnąć z cudzoziemców więcej pieniędzy, niż przez cały tydzień sprzedając kluski i herbatę prawdziwym ludziom. No więc któregoś dnia, nie tak dawno, na noc został cudzoziemiec i prawdziwy człowiek z Kunming, z żoną i synem. Cudzoziemiec nie umiał mówić. Porozumiewał się na migi, zupełnie jak małpa.

Nadeszła noc. Pozamykałam herbaciarnię i położyłam się w hamaku, czekając na sen. Syn moich gości nie mógł zasnąć, więc matka zaczęła mu opowiadać. Bardzo ładną historię o trzech zwierzętach, którym leżał na sercu los świata.

Nagle odezwał się cudzoziemiec! Prawdziwym językiem! - Przepraszam, gdzie po raz pierwszy usłyszała pani tę opowieść? Proszę sobie przypomnieć!

Matka była zaskoczona, tak samo jak ja. - Matka mi ją opowiedziała, gdy byłam dzieckiem. A ona usłyszała ją od swojej matki. Urodziła się w Mongolii.

- Gdzie w Mongolii?

- Wiem tylko tyle, że urodziła się w Mongolii. Nie wiem gdzie.

- Rozumiem. Przepraszam, że panią niepokoiłem. Cudzoziemiec krząta się hałaśliwie. Schodzi na dół i prosi, żebym go wypuściła.

- Nie dam panu zwrotu, wie pan - ostrzegłam go.

- To nie ma znaczenia. Do widzenia. Życzę pani powodzenia.

Dziwnie powiedziane! Ale się uparł, żeby wyjść, więc od

rygłowałam drzwi i otworzyłam. Gwieździsta noc, bezksiężycowa. -
Dokąd pan idzie? - wyrwało mi się.

Góra, las i ciemność zamykają za nim drzwi.

- I co z nim? - zapytałam moje Drzewo.

Drzewo też nie odpowiedziało.

- Mao nie żyje!

Drzewo powiedziało mi pierwsze któregoś roziskrzonego poranka. Później zmierzający pod górę mnich wpadł do mojej herbaciarni, z jego twarzy biła radość, potwierdził wiadomość.

- Chciałem kupić ryżowe wino dla uczczenia, ale nie tylko mnie to przyszło do głowy i nigdzie nie można było dostać ani kropli. Niektórzy przepłakali całą noc. Inni opowiadali po nocy, że powinniśmy się przygotowywać na inwazję Związku Radzieckiego.

Partyjniacy noc spędzili za zamkniętymi okiennicami. Ale większość mieszkańców wsi bawiła się, puszczała sztuczne ognie.

Weszłam do pokoju na górze, gdzie była dziewczyna, która nie mogła zasnąć ze strachu. Wiedziałam, że jest duchem, ponieważ promienie księżyca przechodziły przez nią i niedokładnie mnie słyszała. - Nie martw się - mówiłam jej. - Drzewo cię ochroni. Drzewo powie ci, kiedy uciekać, a kiedy się ukryć. - Spojrzała na mnie. Usiadłam na kufrze przy łóżku i zaśpiewałam jej kołysankę, jedyną jaką znałam, kołysankę o łódce, kocie i rzece toczącej swe wody.

Dobry to był rok. Jedną po drugiej, odbudowywano świątynie i ponownie zawieszano w nich dzwony, więc i słońce, i księżyc można było godnie witać i czcić urodziny Pana Buddy. Mnisi znowu stali się pospolitymi gośćmi, a napływ pielgrzymów zwiększył się do kilkudziesięciu dziennie. Otyłych wnosili na noszach drużyny, dwu- lub trzyosobowe.

Pielgrzymka na noszach? Tak samo bezsensowna jak pielgrzymka samochodem! Kurze mózdzki, które wciąż wierzyły w polityków, rozprawiały podnieconymi głosami o Czterech Modernizacjach, o procesie Bandy Czworga i o dobrym duchu, który ostatecznie ocalił

Chiny - Deng Xiao-pingu. Może sobie robić tyle modernizacji, ile chce, byle tylko zostawił w spokoju moją herbaciarnię. Hasłem Deng Xiao-pinga było: „Bogacenie się jest godne pochwały!”

Oko Pana Buddy otworzyło się na szczycie Świętej Góry z kilku okazji, a mnisi, którzy mieli dość szczęścia i byli świadkami tego cudu, skakali w przepaść poprzez podwójną tęczę i lądowali w raju. Inny cud zdarzył się nad moją głową. Moje Drzewo zdecydowało się na dzieci. Któregoś jesiennego poranka stwierdziłam, że wyrosły na nim migdały. Wyżej - orzechy laskowe. Nie chciałam wierzyć, ale widziałam na własne oczy! Jeszcze wyżej coś zaszeleściło w gałęziach i do moich stóp spadł owoc kaki. Po tygodniu znalazłam strącone przez wiatr owoce pigwy i wreszcie pomarszczone cierpkie jabłuszka. Gdy spałam, Drzewo skrzypiało, a muzyka cymbałów rozświetlała ścieżkę snów.

Śnił mi się ojciec w mrocznym miejscu, gdzie się cierpi. Zaglądam do stawu, z którego sączy się woda, opodal jaskini, a tu ojciec patrzy na mnie rozpaczliwie, ręce ma związane za głowę. Czasami, kiedy przygotowywałam herbatę dla gości, słyszałam go w pokoju na górze, jak szwendał się i pokasłując, szukał papierosów. Pan Budda wyjaśnił, że dręczyły go wyrzuty sumienia i że jego dusza została zamknięta w celi spraw nie dokończonych, w ciemnościach. Będzie tam przebywał, dopóki ja sama nie udam się na pielgrzymkę na szczyt.

Nie mylę się, myśląc, że mój ojciec był Cesarzem Kurzego Łajna.

Trudniej było znaleźć w nim zaletę niż igłę w Jangcy. Nigdy nie odezwał się do mnie życzliwym słowem, nigdy nie podziękował, i jeszcze sprzedał moje dziewictwo za dwie filiżanki do herbaty. Ale był moim ojcem, a za dusze przodków odpowiedzialni są potomkowie. Prócz tego chciałam spokojnie spać, bez żalów skomlących u wejścia do moich snów. I wreszcie byłoby niegrzecznością z mojej strony, gdybym utrzymując się w tym życiu ze Świętej Góry, nie od-była choćby jednej pielgrzymki na szczyt. Byłam już w wieku, gdy kobiety budzą się i stwierdzają, że ostatnim dniem ich krzątania był zgodnie z ich życzeniem dzień poprzedni.

O czym nawet nie wiedziały.

Był piękny poranek przed porą deszczową. Wstałam razem ze słońcem. Drzewo dało mi trochę pożywienia. Otworzyłam herbaciarnię, ukryłam kasetkę w głębi jaskini pod stertą kamieni i wyruszyłam pod górę. Przed pięćdziesięciu laty nie zdołałabym dojść na szczyt do zmroku. W moim wieku nie dotarłabym nawet do południa następnego dnia.

Schody, rowy, schody, potężne drzewa, schody, ścieżki kurczowo uczepione krawędzi świata.

Schody na słońcu, kroki w cieniu.

Kiedy zapadł wieczór, rozpaliłam ognisko w przedsionku zrujnowanego klasztoru.

Zasnęłam przykryta zimową chustą. Pan Budda przysiadł na skraju mojego łoża w chmurze dymu i czuwał nade mną, jak czuwa nad wszystkimi pielgrzymami. Kiedy się obudziłam, znalazłam czarękę ryżu i czarękę herbaty ulung, jeszcze parowały.

Wkroczyłam w przyszłe życie. Były tam hotele, pięć i sześciopiętrowe! Sklepy sprzedające błyskotki, których nikt nigdy

nie będzie w stanie włożyć, nawet nie będzie ich potrzebował i nie zechce ich mieć. Restauracje z jedzeniem wydzielającym zapachy, jakich nigdy nie czułam. Rzędy ogromnych autobusów o kolorowych szybach, autobusów, w których, co do jednego, siedziały same cudzoziemskie diabły!

Stłoczone samochody porykujące klaksonami niczym stado świń. W powietrzu latały pudełka z ludźmi, ale nikogo to nie dziwiło. Dmuchały powietrzem jak wiatr w jaskini.

Minęłam zatłoczone wejście i zajrzałam do środka. Na scenie stał mężczyzna i całował srebrny grzyb. Za nim ekran z obrazami, na nich kochankowie i słowa. Gdzieś jakiemuś potwornemu wieprzowi obcinano jaja. I wtedy dotarło do mnie, że ten człowiek śpiewa!

Śpiewa o miłości, południowej bryzie i wierzbie z baziami.

Omam nie przewrócił mnie człowiek niosący na noszach kobietę, która miała na nosie okulary przeciwsłoneczne, chociaż słońca nie było.

- Uważaj, gdzie stoisz - wyrzucił z siebie.

- Którędy droga na szczyt Świętej Góry? - spytałam.

- Stoisz na nim!

- Tutaj? -Tutaj!

- A gdzie świątynia? Widzisz, muszę zmówić modlitwy za spoczynek...

- Tam! - wskazał kiwnięciem głowy.

Świątynię pokrywało bambusowe rusztowanie. Na platformach uwijali się robotnicy wchodzący i schodzący po drabinach. Część z nich grała na frontowym dziedzińcu w piłkę, wykorzystując posągi starożytnych mnichów w charakterze bramek. Podeszłam bliżej do bramkarza, żeby się upewnić, że wzrok mnie znowu nie myli.

- No, no, toż to generał Mózg z Czerwonej Gwardii!

- Kimżeż, kurwa, jesteś, starowino?

- Pamiętam, że ostatnim razem, jak się spotkaliśmy, trzymałeś mi nogę na gardle i w dodatku się podniecałeś. Zdemolowałeś mi herbaciarnię i ukradłeś pieniądze.

Rozpoznał mnie, choć udawał, że nie, i odwrócił się, mamrocząc coś ponuro pod nosem. W tym momencie przemknęła obok niego piłka i we mgle rozległ się zwycięski okrzyk.

- Co za miły zbieg okoliczności, prawda, generale Mózg? Spryciarz z ciebie, przyznaję ci. Najpierw stoisz na czele drużyny rozwalającej świątynie w drobnym mak. A teraz jesteś brygadziwą drużyny wysłanej do ich restaurowania! To jest ta socjalistyczna modernizacja?

- Skąd wiesz, że jestem brygadziwą?

- Bo obijasz się nawet wtedy, gdy przydzielasz sobie najłatwiejszą robotę.

Mózg najwyraźniej nie wiedział, jak się zachować. Niektórzy robotnicy usłyszeli, co mówiłam i spoglądali nieufnie na swojego brygadziwę. Zostawiłam ich i ruszyłam w swoją stronę wśród odgłosów pił i młotków rozbrzmiewających w świątynnej bramie. Urazy są jak demony wyzerające człowiekowi szpik z kości. Czas zdążył już wykonać dobrą robotę. Pan Budda często powtarzał mi, jak wielkie znaczenie dla życia ma przebaczenie. Zgadzam się.

Nie ze względu na dobre samopoczucie tych, którym się przebacza, lecz samopoczucie tego, który przebacza.

Przeszłam przez ogromne drzwi i zatrzymałam się w dzwonnicy, zastanawiając się, co dalej. Zagadnął mnie mnich w podeszłym wieku, ze zniekształconym nosem. - Jesteś tą kobietą, która ma herbaciarnię, prawda?

- Owszem.

- Więć będziesz moim gościem! Wstąp proszę do kaplicy na czarzkę herbaty.

Zawahałam się.

- Proszę. Nie lękaj się. Bardzo serdecznie zapraszam.

Mnich nowicjusz w szafranowej szacie delikatnie przecierał złocenie na brwi Pana Buddy. Spojrzał na mnie i uśmiechnął się. Odwzajemniłam uśmiech. Gdzieś młot pneumatyczny ubijał chodnik, a wiertarka elektryczna świdrowała na wsze strony.

Szłam za mnichem przez labirynt dzwonnicy, w zapachu kadzidła i cementowego kurzu. Dotarliśmy do spokojnego miejsca. Było tam kilka posągów Pana Buddy i zwisających zwojów. W pustym pomieszczeniu czekała na nas herbata. - O czym te zwoje mówią?

Mnich uśmiechnął się skromnie. - To kaligrafia. Moje hobby w czasie wolnym. Na tym po lewej: W świetle słońca piszę przy biurku Bardzo długi list. A po prawej: Góry, których już nigdy nie ujrzę. Nikną w oddali.

- Proszę wybaczyć kiepskiemu wyrobnikowi. Jestem amatorem. Pozwolisz, że naleję herbaty.

- Dziękuję. Pewnie się cieszycie. Tylu pielgrzymów odwiedza świątynię.

Mnich westchnął. - Bardzo nieliczni z nich to pielgrzymi. Większość nawet sobie nie zawraca głowy wchodzeniem do świątyni.

- To dlaczego tak przyjeżdżają na Świętą Górę?

- Bo nie mają dokąd pojechać swoimi samochodami. Bo przyjeżdża tu mnóstwo innych ludzi. Bo rząd mianował nas skarbem narodowym.

- Przynajmniej partia przestała was prześladować.

- Tylko dlatego, że bardziej im się opłaca obłożyć nas podatkami.

Jakiś przechodzień pogwizdywał piosenkę, która była zarazem pogodna i smutna.

Słyszałam odgłos zamiatania.

- Przyszłam tutaj w sprawie ojca - zaczęłam.

Mnich słuchał z powagą, kiwając od czasu do czasu głową, gdy ja opowiadałam swoją historię. - Dobrze zrobiłaś, przychodząc tu. Dusza twojego ojca jest jeszcze za bardzo obciążona, żeby opuścić ten świat. Chodź ze mną do świątyni. Jest takie miejsce z zacisznym ołtarzem, osłoniętym od fleszy turystów. Wspólnie zapalimy tam kadzidło, a ja odprawię niezbędne rytuały. Potem zajmę się znalezieniem dla ciebie łóżka na noc. Nasza gościnność jest skromna, ale szczerą. Tak jak twoja.

Nazajutrz rano mnich odprowadził mnie z powrotem do wrót.

- Ile się należy? - Pod chustką odszukałam sakiewkę.

- Nic - dotknął z szacunkiem mojego ramienia. - Przez całe życia napełniałaś żołądki wędrownych mnichów, kiedy jedyną strawą były kamienie. Kiedy przyjdzie czas, dopilnuję, żeby zajęto się twoimi obrzędami pogrzebowymi.

Życzliwość zawsze wzrusza mnie do łez. Nie wiem dlaczego. - Ale nawet mnisi muszą jeść.

Wskazał na tętniącą zgiełkiem mgłę. Światła migotały i gasły. Autobusy warkotały w mroku. - Niech nas żywią.

Złożyłam głęboki ukłon i kiedy ponownie podniosłam wzrok, mnicha już nie było.

Tylko jego uśmiech pozostał. Odchodząc ścieżką w dół, zauważyłam Mózga, jak po drabinie taszczył wiadro żwiru. Twarz miał posiniaczoną i pokaleczoną. Nie, nie, ludzie. Przez plac

przeszła grupa rozkrzyczanych i roześmianych dziewcząt. O mało co na mnie nie wpadły.

Mnich miał rację: nie pozostało tu już nic świętego. Święte miejsca musiały skryć się głębiej i wyżej.

Przyszedł odwiedzić mnie człowiek w mojej herbaciarni. Powiedział, że jest z gazety partyjnej i że chce o mnie napisać. Zapytałam, jak zatytułuje swoją opowieść.

- „Siedemdziesiąt lat socjalistycznej przedsiębiorczości”.

- To język młodych. Młodych poproś.

- Nie, proszę pani - ciągnął dalej. Cofnął się o kilka metrów i wycelował swój aparat w moją herbaciarnię. Błysk. - Dobrze się przygotowałem. Pani była pionierką, naprawdę. Na Świętej Górze można zrobić pieniądze, ale pani była pierwszą osobą, która dostrzegła tę możliwość, i pani wciąż tu jest. Naprawdę niezwykle. Jest pani babcią, co znosi złote jajka. To będzie świetny podtytuł!

Podczas miesięcy letnich na ścieżce było, co prawda tłoczno od piechurów. Co kilka kroków wyrastały herbaciarnie, stragany z kluskami albo stoiska z hamburgerami - po smakowałam kiedyś jednego - zagraniczne łajno! Nie minęła nawet godzina i znowu byłam głodna. Wokół były kapliczki stłoczona masa stolików z plastikowymi torebkami i butelkami, które później zaśmiecały drogę.

- Nie jestem pionierką - powiedziałam z naciskiem. - Mieszkałam tutaj, ponieważ nie miałam wyboru. A co do robienia pieniędzy, to partia przysyłała ludzi, żeby mi rozwalili moją herbaciarnię właśnie dlatego, że robiłam pieniądze.

- Ależ skąd. Jest pani w podeszłym wieku i całkowicie się pani myli. Partia zawsze popierała uczciwy handel. Ale wiem, że zna pani opowieści, które zaciekałyby moich czytelników.

- Moja robota nie polega na zaciekawianiu pańskich czytelników! Moja robota polega na podawaniu klusek i herbaty! Jeżeli chce pan napisać coś naprawdę ciekawego, niech pan napisze o moim Drzewie! To pięć drzew w jednym, rozumie pan. Migdałowiec, leszczyna, drzewo kaki, pigwowiec i jabłoń. „Drzewo obfitości”. To chyba lepszy tytuł do pana opowieści, nie?

- Pięć drzew w jednym - powtórzył dziennikarz.

- Przyznaję, że jabłka ma cierpkie. Ale to nic. To Drzewo mówi!

- Doprawdy?

Zaraz potem wyszedł. Ale i tak napisał głupawą historię, zmyślając wszystko co do słowa. Mnich mi to przeczytał. Wynikało z tego, że najwyraźniej byłam zwolenniczką oświeconego przywództwa Deng Xiao-pinga. Nigdy nie słyszałam o placu Tiananmen, ale najwyraźniej byłam przekonana, że władze zareagowały w jedyny możliwy sposób.

Do mojej listy ludzi, którym nie należy ufać, dołączam pisarzy. Wszystko zmyślają.

- Wiesz, kim jestem? Otwieram oczy.

Cienie liści rzucane przez moje Drzewo kładą się cętkami na jej pięknej twarzy.

- Z liśćmi we włosach, kochanie, było ci do twarzy. Dziękuję za list. Przyszedł tu kiedyś. Mnich mi przeczytał.

Uśmiechała się po swojemu, jak na fotografii.

- To twoja prawnuczka - podpowiada mi moja siostrzenica, jakbym nie wiedziała.

To moja siostrzenica nie wie, ale jestem za bardzo zmęczona na tłumaczenie sensu dni minionych.

- Czy na dobre wróciłaś do Chin, kochanie?

- Tak. Hongkong to i tak już Chiny. Ale tak.

W głosie mojej siostrzenicy słysząc dumę. - Twoja prawnuczka bardzo dobrze się urządziła, ciociu. Kupiła hotel i restaurację w Osadzie. Na dachu ma reflektor, który obraca się przez całą noc. Wszyscy bogaci ludzie z miasta się tam zjeżdżają. W zeszłym tygodniu mieszkała tam gwiazda filmowa. Twoja prawnuczka ma mnóstwo korzystnych propozycji małżeństwa - nawet miejscowy szef partii chce ją poślubić. Robi mi się ciepło na sercu, wyciągam się jak oswojona puma na słońcu. Córka odda mi cześć jako przodkowi i pogrzebie mnie na Świętej Górze, od strony morza. - Nigdy nie widziałam morza, ale mówią, że Hongkong jest wybrukowany złotem.

Śmieje się, ślicznie się śmieje. Ja także się śmieję, żeby widzieć jej uśmiech, mimo że od tego coraz bardziej bolą mnie zębra.

- Na ulicach Hongkongu można znaleźć dużo rzeczy ale złota niewiele. Mój pracodawca umarł. Cudzoziemiec prawnik posiadający wielką firmę, nadzwyczaj bogaty. W testamencie okazał się dla mnie bardzo hojny.

Intuicja starej, umierającej kobiety podpowiada mi, że nie mówi całej prawdy.

Pewność starej, umierającej kobiety podpowiada, że nie prawda liczy się najbardziej.

Słyszę córkę i siostrzenicę, które na dole przygotowują herbatę. Przymykam oczy i słyszę odgłos kopytek z kości słoniowej.

Wstęga dymu rozwija się i znika - wysoko, coraz wyżej.

MONGOLIA

Trawiaste równiny pojawiały się, a potem ginęły za pociągiem, rok za rokiem, całymi latami. Niekiedy pociąg mijał osiedla okrągłych namiotów, które przewodnik Caspara nazywał jurkami. Konie pasły się, starcy siedzieli w kucki i palili fajki. Zajadłe psiska obszczekiwały pociąg, a dzieciaki patrzyły, jak przejeżdżamy. Nigdy nie odpowiadały na machanie Caspara, po prostu patrzyły, tak samo jak ich dziadkowie. Wzdłuż toru ciągnęły się linie słupów telegraficznych - rozwidlały się i znikwały za niespokojnym horyzontem.

Ogromniaste niebo przywodziło Casparowi na myśl kraj, w którym się urodził, w którym dorósł, zwany tu i ówdzie Zelandią. Caspar czuł się samotny i tęsknił za domem. Mnie nie uwierało wychylenie w przyszłość, doznawałem jedynie uczucia bezkresu.

Wielki Mur od wielu godzin był już za nami. Szeroko rozpostarta kraina bezdroży, w której człowiek sam siebie szuka.

Przedział dzieliliśmy z dwójką ogromniastych bekaczy z Austrii, którzy pili wódkę szklankami i opowiadali sobie wzdęte dowcipy - po niemiecku, a więc w języku, którego nauczyłem się od Caspara zaledwie dwa tygodnie temu. Stawiali całe pliki mongolskiej waluty - tugrików - w karcianej grze zwanej cribbagem, której jeden z nich nauczył się od jakiegoś Walińczyka w Szanghaju. Do tego koncertowo klęli. Na górnej kuszecie siedziała Australijka o imieniu Sherry, zatopiona w *Wojnie i pokoju*. Caspar, który zanim porzucił uniwersytet, studiował rolnictwo, nigdy Tołstoja nie czytał. Stwierdziłem, że żałuje, iż nie czytał, aczkolwiek z powodów, które z literaturą nie miały nic wspólnego. Szwed z następnego przedziału wpraszał się od czasu do czasu, żeby raczyć Caspara

opowieściami o tym, jak go w Chinach obrobili. Nudził nas obu i nawet Caspar swoje sympatie lokował po stronie Chińczyków. W przedziale Szweda była jeszcze kobieta - Irlandka w średnim wieku, która albo wyglądała przez okno, albo robiła wyliczenia w czarnym notesie. W sąsiednich przedziałach jechała grupka Izraelczyków - dwie dziewczyny ze swoimi chłopakami. Prócz tego, że pogawędzili grzecznościowo z Casparem na temat cen akademików w Xian i Pekinie oraz na temat nowych wybuchów przemocy w Palestynie, trzymali się na uboczu.

Noc ponownie zawłaszczyła ziemię, rozpuszczając ją w cienistych niebieskościach.

Co dziesięć, dwadzieścia mil pojawiały się języki ognisk liżące ciemność.

Psychiczny zegar Caspara od paru godzin nie działał, jego właściciel postanowił więc się położyć. Mogłem pomóc mu go wyregulować, ale uznałem, że powinien się przespać.

Poszedł do toalety, ochlapał twarz wodą, wyczyścił zęby wodą, którą zdezynfekował jodyną.

Kiedy wrócił, Sherry stała na zewnątrz przedziału, przyciskając twarz do szyby. Ależ ona piękna, pomyślał Caspar. - Hej - powiedział.

- Hej - Sherry odwróciła się i spojrzała na mojego gospodarza.

- I jak *Wojna i pokój*? Muszę przyznać, że nigdy nie czytałem żadnego Rosjanina.

- Gruba.

- A o czym?

- Dlaczego wszystko dzieje się tak, jak się dzieje.

- No i dlaczego wszystko się dzieje tak, jak się dzieje? - Jeszcze nie wiem. To bardzo gruba powieść. - Obserwowała mgłę, jaką na

szybie zostawiał jej oddech. - Spójrz.

Taka przestrzeń, a prawie nie ma ludzi. Aż przypomina mi się dom.

Caspar stanął obok niej przy oknie. Po jakiejś mili rzucił: - Dlaczego się tu znalazłaś?

Pomyślała chwilę. - To ostatnie miejsce, wiesz? Zagubione w środku Azji, ani na wschodzie, ani na zachodzie. Zagubiona jak Mongolia, niezłe powiedzonko. A ty?

Jęknęło na korytarzu od śmiechu jakichś pijanych Rosjan.

- Tak naprawdę to nie wiem. Jechałem właśnie do Laosu, kiedy nagle to mnie naszło. Przekonywałem się, że tutaj nic nie ma, ale nie mogłem się oprzeć. Mongolia! Nigdy nawet nie pomyślałem o tym miejscu. Może nad jeziorem Dal wypaliłem za dużo trawki.

Korytarzem przebiegł na wprost rozebrany chiński berbec, pofukując *zun-zun*, jak helikopter, a może jak koń.

- Od jak dawna podróżujesz? - zapytał Caspar, chcąc podtrzymać rozmowę.

- Od dziesięciu miesięcy. A ty?

- W maju minęło trzy lata.

- Trzy lata! O ja cię, to ty jesteś przypadek kliniczny! - potężne ziewnięcie rozciągnęło jej twarz. - Przepraszam! Jestem skonana. Tak siedzieć beczynn timer w zamknięciu to strasznie wyczerpujące zajęcie. Czy myślisz, że nasi austriaccy przyjaciele już zamknęli na noc swoje kasyno?

- Mam tylko nadzieję, że już zamknęli fabrykę dowcipasów. Nawet nie wiesz, jakie masz szczęście, że nie mówisz po niemiecku.

Gdy wróciliśmy do przedziału, Austriacy już chrapali stereo. Sherry zaryglowała drzwi. Delikatne kołysanie pociągu usypiało Caspara. Rozmyślał o Sherry.

Sherry wyjrzała z kuszetki wiszącej nad jego głową. -

Znasz jakąś dobrą bajkę na dobranoc?

Caspar nie był urodzonym opowiadaczem, więc ja wkroczyłem do akcji. - Znam jedną. To mongolska historia.

Zresztą, może nie tyle historia, co pewna legenda.

- Bardzo chętnie posłucham - Sherry uśmiechnęła się, a Casparowi aż serce zamarło.

Są trzy stworzenia, które troszczą się o losy świata. Po pierwsze, żuraw. Widzisz, jak lekko stąpa, szukając drogi między rzeczynymi kamieniami? Jak odrzuca i odchyła głowę?

Żuraw jest przekonany, że wystarczy, by choć raz ciężko stąpnął, a góra zawali się, ziemia zadrży i przewrócą się stojące od tysięcy lat drzewa.

Po drugie, szarańcza. Przez cały dzień szarańcza siedzi na kamieniu, przekonana, że kiedyś nastąpi potop i zaleje świat, a wszystkie żywe stworzenia zginą we wzburzonych, spienionych czarnych falach. Dlatego właśnie szarańcza czujnym okiem spogląda po wysokich szczytach, wypatrując deszczowych chmur, które mogą się wokół nich zbierać.

Po trzecie, nietoperz. Nietoperz uważa, iż niebo może runąć i roztrzaskać się, a wszystko, co żyje - zginąć. Dlatego nietoperz zawisa wysoko, wzbija się z trzepotem w niebo, opada ku ziemi i znowu się wzbija, sprawdzając, czy wszystko jest w porządku.

Taka to była opowieść, dawno temu, na samym początku.

Sherry zasnęła, a Caspar jeszcze zastanawiał się, skąd ta opowieść pochodzi.

Wyłączyłem mu świadomość i popchnąłem w sen. Przez chwilę obserwowałem nawiedzające go sny. Był sen o obronie gotyckiego zamku zbudowanego na piaszczystych nizinach za pomocą kijów

bilardowych oraz sen o siostrze i siostrzenicy. Pojawił się we śnie jego ojciec: korytarzem transsyberyjskiego ekspresu pchał motocykl z przyczepą wyładowaną pieniędzmi, które nieustannie rozwiewało. Jak zawsze pijany i pełen pretensji, spytał Caspara, co u diabła zamierza, i upierał się, że Caspar ma jeszcze jakieś bardzo ważne nagrania wideo. Caspar przemienił się w na wpół nagiego chłopczyka, który nic o tych nagraniach nie wiedział.

Dzieciństwo spędziłem u podnóża Świętej Góry. Panował tam mrok, który, jak się później dowiedziałem, utrzymywał się przez wiele lat. Długo u mnie trwała nauka zapamiętywania. Widzę pisklę, które wszystko zaczyna od „ja”. Powoli do pisklaka dociera, że chodzi o rzecz będącą czymś innym od tego „czegoś”, czym jest jego skorupka. Pisklak czuje jej zawartość, a gdy narządy postrzegania zmysłowego zaczynają funkcjonować, rozróżnia światłość i ciemność, ciepło i zimno. Gdy zmysły wyostrzają się, usiłuje się przebić. Wreszcie któregoś dnia zaczyna zmagać się z kleistą galaretą, z kruchą ścianką, i nie może przestać, dopóki nie znajdzie się na zewnątrz, w przyprawiającym o zawrót głowy świecie, który zadziwia, przeraża, mieni się kolorami i mnóstwem nieznanych rzeczy.

Ale już wtedy zastanawiałem się, dlaczego jestem samotny?

Caspara obudziło słońce. W oczach miał śpiochy, a w ustach czuł smak paska od zegarka. Strasznie żałował, że nie ma świeżych owoców na ząb. Do tego Austriacy wyprzedzili go w kolejce do łazienki. Wyślizgnął się z łóżka i stwierdził, że Sherry rozmyśla.

Wciągnął na siebie dzinsy i starał się wymknąć z przedziału tak, żeby jej nie niepokoić.

- Dzień dobry, witaj w słonecznej Mongolii - wymamrotała Sherry. - Dotrzemy tam za trzy godziny.

- Przepraszam, że ci przeszkodziłem - odpowiedział Caspar. - Nie, skąd. Jeśli zajrzysz do plastikowej torby wiszącej na wieszaku, to powinieneś znaleźć tam gruszki. Weź na śniadanie.

- A więc Dworzec Główny w Ułan Bator - powiedziała po czterech godzinach Sherry.

- Dziwne - odezwał się Caspar, który nagle zapragnął mówić po duńsku.

Wapno jaśniało w nieskazitelnym słońcu południa. Nigdy nie milknący wiatr, wiejący przez równiny w stronę znikającego punktu, w którym zbiegają się tory. Napisy w cyrylicy, której nie znał ani Caspar, ani żaden z moich poprzednich gospodarzy. Chińscy handlarze gramolili się z pociągu, dźwigając torby z towarami na sprzedaż, pokrzykując do siebie w znajomo brzmiącym mandaryńskim dialekcie. Dwójka ospałych młodych Mongołów odbywających służbę wojskową sięgnęła po swoje karabiny, z czułością myśląc o tym, gdzie w tej chwili woleliby przebywać. Grupa starych kobiet w ubraniach stalowego koloru oczekiwała na wejście do pociągu odjeżdżającego do Irkucka. Odprowadzały je rodziny.

Dwie postaci, w czarnych strojach i przeciwsłonecznych okularach, niesione na skrzydłach.

Chłopcy siedzący na murze, oglądający się za dziewczynami.

- Czuję się tak, jakbym wyszła z mrocznego pudła i trafiła na karnawał przybyszów z kosmosu - powiedziała Sherry

- Wiem, że jako młoda panienska powinnaś ostrożnie traktować znajomości zawierane w trakcie podróży, ale ciekaw jestem...

- Przestań kłapać jak Angol. Tak, jasne. Nie rzucę się na ciebie, jeżeli ty nie rzucisz się na mnie. No. W twojej *Samotnej Planecie* stoi, że w dzielnicy Sansar jest tu w miarę przyzwoity hotel, po

wschodniej stronie ulicy Sambuu... Chodź ze mną...

Pozwoliłem Sherry zaopiekować się moim gospodarzem. Przynajmniej mam o jedno zmartwienie mniej. Austriacy pożegnali się i odeszli, już bez śmiechów, w stroni; Holiday Inn Kublai Khan. Izraelska grupka kiwnęła na pożegnanie i poszła w swoją stronę. Caspar zdążył już zapomnieć o Szwedzie.. .

Plecaki, dziwna rzecz. Wiele mam z nimi wspólnego. Nigdzie nie mieszkamy i wszędzie jesteśmy obcy. Często ni z tego, ni z owego wyruszamy na wędrowkę, szukając czegoś, czego się szuka. Jesteśmy do tego pasożytami: mieszkam sobie w umyśle mojego gospodarza i przesiewam jej czy jego wspomnienia, żeby zrozumieć świat. Ludzie pokroju Caspara zamieszkują macierzysty kraj, który nigdy do nich nie należał, i wykorzystują jego kulturę i krajobraz - ucząc się bądź oddalając nudę. Dla świata jako całości jesteśmy tyleż niematerialni, co niewidzialni. Przeżywamy wydzieliny samotności. Moi nieufni chińscy gospodarze na pierwszych turystów podróżujących z plecakami, jakich udało im się ujrzeć, patrzyli jak na istoty z zupełnie innej planety. I tak właśnie patrzyliby na mnie ludzie.

- Każdy umysł pulsuje w niepowtarzalny sposób, podobnie jak każda latarnia morska na świecie ma swój niepowtarzalny podpis. Rytm niektórych jest stały, innych - nieregularny. Jedne są letnie, inne gorące. Niektóre rozbłyskują, inne zachowują się tak, jakby ich prawie nie było. Niektóre sytuują się na obrzeżach, niczym kwazary. Według mnie pokój pełen zwierząt i ludzi przypomina pomieszczenie wypełnione słońcami - różniącymi się wielkością, barwą i siłą ciężenia.

Caspar też zaczął postrzegać ludzi jako pulsujące punkty na radarze. Caspar jest tak samo samotny jak ja.

- Czyżbym przeoczyła? - spytała Sherry. - Gdzie miasto? Pekin był miastem, Szanghaj był miastem. A tutaj miasto widmo.

- Zupełnie jak Niemcy Wschodnie w czasach żelaznej kurtyny. Rzędy pozbawionych wyrazu bloków mieszkalnych, o popękanych ścianach i zabitych deskami oknach.

Wielki rurociąg osadzony na betonowych palach. Podziurawione drogi z nielicznymi, zdezelowanymi samochodami toczącymi się tam i z powrotem. Kozy wyjadające chwasty na miejskich placach. Nieczynne fabryki. Posągi koni i małych jak zabawki czołgów.

Pomiędzy połamanymi płytami chodnikowymi, porozbijanymi butelkami i zataczającymi się pijakami ostrożnie przemieszcza się kobieta z koszykiem jajek. Latarnie uliczne gotowe runąć w każdej chwili. Potężna ongi elektrownia, wypluwająca nad miasto chmurę czarnego dymu.

Po drugiej stronie miasta widniało olbrzymie diabelskie koło - obaj z Casparem wątpiliśmy, by kiedykolwiek miało ponownie się obrócić. Trzej przybysze z Zachodu przechodzący w czarnych garniturach. Caspar odniósł wrażenie, że znaleźli się w niewłaściwym czasie i miejscu.

Ułan Bator było znacznie większe od wioski położonej u podnóża Świętej Góry, lecz ludzie, których tutaj spotykaliśmy, nie mieli poczucia celu. Wydawało się, że po prostu czekają. Czekają, aż coś zostanie otwarte, aż dzień dobiegnie końca, a w mieście włączą światło, albo po prostu na to, że dostaną jeść.

Caspar poprawił paski przy plecaku. - Moja *Tajemnicza historia Czyngis-chana* nie przygotowała mnie na coś takiego.

Tego wieczoru Caspar z rozkoszą wbił zęby w potrawkę z baraniny i cebuli. Oboje z Sherry byli jedynymi gośćmi spożywającymi kolację w hotelu, który w rzeczywistości był sześcio-

czy siedmiopiętrowym sypiącym się blokiem mieszkalnym.

Kobieta, która przyniosła jedzenie z kuchni, spojrzała na gości obojętnie. Caspar wskazał na potrawę, potem wykonał porozumiewawczy gest dłonią, zadzierając do góry kciuk, uśmiechnął się i chrząknął z aprobatą.

Kobieta spojrzała na Caspara jak na wariata i wyszła.

Sherry parsknęła. - Jest uprzejma mniej więcej jak celniczka na granicy.

- Lata wędrówki nauczyły mnie jednego, że im bardziej bezsilny kraj, tym groźniejsi celnicy.

- Kiedy zaprowadziła nas do pokoju, spojrzała na mnie tak, jakbym rozjechała jej dzieciaka buldożerem.

Caspar wyjął jakiś kłaczek z klopsika. - Komunistyczny sektor usług. Niezła tradycja. Ona jest przykuta do tego miejsca, pamiętaj. My możemy sobie wyjść, kiedy tylko nam się podoba.

Miał ekspresową cytrynową herbatę z Pekinu. W kredensie była flaszka gorącej wody, więc przygotował po filiżance dla siebie i Sherry, a potem patrzyli, jak woskowoblady księżyc wschodził nad przedmieściami jurt i płonących ognisk. - To poopowiadaj mi jeszcze - zaczął Caspar - o tym pubie w Hongkongu, w którym pracowałaś. Jak się nazywał? „Szalone Psy”?

- Wolałabym raczej posłuchać o dziwakach, których spotykałeś, kiedy zajmowałeś się handlem biżuterią na Okinawie. No już, wikingu, twoja kolej.

Ileż to razy w życiu moi gospodarze czują, że oto rozpoczyna się przyjaźń. Ja mogę sobie tylko popatrzeć.

W miarę dorastania uświadamiałem sobie, że w moim ciele istnieje jeszcze jedna osobowość. Włókna mglistych barw i doznań skondensowanych w kroplach rozumienia.

Widziałem i z wolna rozpoznawałem ogrody, ścieżki, szczekające psy, pola ryżowe, pranie wywieszane na słońcu, suszące się w podmuchach ciepłego miejskiego wiatru. Nie miałem pojęcia, dlaczego te obrazy pojawiały się i to właśnie w tym a nie innym momencie. Zupełnie jakby się było podłączonym do pozbawionego fabuły filmu. Powoli przemierzałem ścieżki, po których stąpały wszelkie istoty ludzkie, od tych mitycznych po najbardziej przyziemne.

Ale przeciwnie niż ludzie, ja drogę pamiętam.

Do tego wszystkiego coś się stało po mojej stronie ekranu percepcji. Tak jakby powoli podkręcać radio, tak powoli, że w pierwszej chwili trudno zauważyć, że to się robi.

Stopniowo zaczynałem odczuwać istotę, która wytwarzała doznania należące nie do mnie, a które dopiero po czasie mogłem określić jako lojalność, miłość, złość, urazę.

Widziałem, jak ten drugi krystalizuje się i nabiera wyrazistości. Zacząłem się bać. Uznałem, że to on jest intruzem! Że umysł mojego pierwszego gospodarza jest kukułczym jajem, które po wysiedzeniu w końcu mnie wyruguje. Dlatego którejś nocy, gdy mój gospodarz spał, spróbowałem spenetrować tę drugą osobowość.

Mój gospodarz próbował krzyczeć, lecz nie dopuściłem, by się obudził. Jego umysł instynktownie usztywniał się i napinał. Wytyczałem swój szlak niezdarnie, bo nie zdawałem sobie sprawy, jak silny się stałem, przedzierając się przez wspomnienia i neutralne ośrodki kontroli, wyrywając wielkie połacie. Strach, że mogę walkę przegrać, sprawiał, że byłem bardziej brutalny, niż zamierzałem. Chciałem poskramiać, a nie pustoszyć.

Kiedy z rana pojawił się lekarz, orzekł, że mój pierwszy gospodarz nie reaguje na żadne bodźce. Nie mógł, rzecz jasna,

znaleźć żadnych zranień na ciele pacjenta, ale kiedy go zobaczył, stwierdził śpiączkę. W południowo - wschodnich Chinach nie było w latach pięćdziesiątych żadnych ośrodków dla ludzi chorych na śpiączkę. Po paru tygodniach mój gospodarz zmarł i mogło się okazać, że wskazówki dotyczące mojego pochodzenia zostaną wraz z nim pogrzebane w jego pamięci. Piekielne to były tygodnie. Zrozumiałem swoją pomyłkę.

To ja byłem intruzem. Chciałem w jakiś sposób naprawić pewne szkody i z powrotem poskładać niektóre istotne funkcje oraz wspomnienia, ale o wiele łatwiej zniszczyć, niż odbudować - i w ten sposób znowu niczego nie wiedziałem. Zorientowałem się, że moja ofiara w złych czasach trudniła się zbójctwem, a w dobrych służyła jako żołnierz w północnych Chinach. Odnalazłem fragmenty mowy, w których później rozpoznałem mongolski i koreański, niemniej gospodarz był analfabetą. I to wszystko. Nie mogłem ustalić, jak długo znajdowałem się w stadium embrionalnym.

Zakładałem, że gdyby mój gospodarz miał umrzeć, to musiałbym umrzeć wraz z nim.

Wszystkie swoje siły spożytkowałem na to, by dowiedzieć się, w jaki sposób przeprowadzić to, co obecnie nazywam transmigracją. Dwa dni przed jego śmiercią udało mi się. Moim drugim gospodarzem był lekarz pierwszego. Spojrzałem jeszcze na żołnierza. Mężczyzna w średnim wieku leżał na poplamionym łóżku, skóra naciągnięta na rusztowanie kości. Czułem się winny, ale doznałem też ulgi i zyskałem poczucie siły.

W ciele lekarza przebywałem przez dwa lata, wiele dowiadując się o ludziach i o tym, co człowieczeństwem nic jest. Nauczyłem się na przykład odczytywać wspomnienia moich gospodarzy, wymazywać je i wymieniać. Nauczyłem się sterować moimi

gospodarzami.

Człowieczeństwo stale się moją zabawką. Ale przezorności także się nauczyłem. Któregoś dnia oznajmiłem mojemu gospodarzowi, że w jego umyśle od dwóch lat żyje pozbawiona ciała istota i czy może chciałby mnie o coś spytać.

Biedaczysko kompletnie zwariował i znowu musiałem transmigrować. Ależ delikatniutki ten ludzki umysł. Licha z niego zabawka!

Trzy dni później, wieczorem, kelnerka postawiła z trzaskiem przed Casparem miseczkę z baraniną. Odwróciła się i poszła, zanim zdążył jęknąć.

- Barani tłuszcz na kolację - Sherry promieniała. - A to ci niespodzianka.

Kelnerka uprzątała inne stoliki. Caspar usiłował eksperymentalnie wykorzystać siłę umysłu, chcąc sprawić, by jego baranina nabrała smaku mięsa indyczego. Oparłem się pokusie i nie pomogłem mu. Sherry czytała. - Oto przykład sowieckiej dwulicowości. Rzecz z lat czterdziestych, z czasów przywództwa Czołybałsana. Tak piszą: „W ostatecznym rozrachunku życie potwierdziło praktyczność rosyjskiego alfabetu”. Ale autor wie, że oznacza to, iż za używanie mongolskiego groziła śmierć. Rany, jak ci ludzie mogli żyć pod panowaniem takiej rasy, i dlaczego...

W następnej chwili wszystkie światła w budynku zgasły, Niewyraźny blask rzucały jedynie gwiazdy przez zasnute dymem okno i jarzący się napis w cyrylicy, widniejący za pustkowiem. Ciekawi byliśmy, co znaczy ten napis, ale znowu nie wiedzieliśmy. Sherry zachichotała i zapaliła papierosa. W jej oczach bijały się małe płomyki. - Pewnie dałeś elektrowni dziesięć dolarów za zorganizowanie tego zaciemnienia, żebyś mógł zostać ze mną sam

na sam po ciemku, w pokoju zalatującym jakże męskim zapaszkiem baraniny.

Caspar uśmiechnął się w ciemności i stwierdziłem, że to miłość. Tworzy się jak pogoda. - Sherry, wynajmijmy od jutra dżipa. Widzieliśmy już świątynię, widzieliśmy stary pałac. Czuję się jak markotny turysta. A nie lubię się tak czuć. Fraulein w niemieckiej ambasadzie spodziewa się, że rano będzie dostawa gazu.

- Skąd pośpiech?

- To miejsce cofa się w czasie. Czuję, że w tych górach czai się koniec świata, gdzieś... Powinniśmy wyjechać, zanim znowu zapanuje dziewiętnasty wiek.

- Na tym między innymi polega urok U.B. To, że tchnie takim rozpadem.

- Nie rozumiem, co to znaczy, że tchnie rozpadem, ale to miejsce i tak nie ma dla mnie żadnego uroku. Ułan Bator jest dowodem na to, że Mongołowie nie potrafią budować miast. Można by nakręcić film na temat piekielnej kolonii zarodków wojny, jakie tu przetrwały. Wyjedźmy. Nawet nie wiem, dlaczego tu jestem. Nie sądzę także, by wiedzieli to ludzie, którzy tutaj mieszkają.

Weszła kelnerka i postawiła na naszym stoliku świecę. Caspar podziękował po mongolsku. Wyszła. A niechby i rewolucja, kochanie... - pomyślał Caspar.

Sherry zaczęła tasować talię kart. - To uważasz, że przeznaczeniem Mongołów jest pełne trudu życie sprowadzające się do wypasania stad, rodzenia dzieci, cierpienia wskutek odmrożeń, analfabetyzmu, lambliozy i mieszkania w jurtach?

- Nie chcę się sprzeczać. Chcę pojechać w Góry Khangai, powspinać się, pojeździć konno, popływać nago w jeziorze i dowiedzieć się, co robię na ziemi.

- Dobra, wikingu, jutro wyruszamy. Zagrajmy w cribbage'a. Zakład, że wygram trzydzieści siedem do dziewięciu

Ja także musiałbym niebawem ruszyć. W ciele Mongoła moje poszukiwanie w tym kraju było czymś strasznym. W ciele cudzoziemca moje poszukiwanie było w sposób oczywisty bezcelowe.

Znalazłem się tu po to, by odnaleźć źródło zastanej tu opowieści. Jej początek brzmiał tak: Są trzy istoty, które troszczą się o losy świata...

Raz czy dwa próbowałem opisać transmigrację do ciał gospodarzy obdarzonych większą wyobraźnią. Nie da się. Znam jedenaście języków, ale istnieją takie brzmienia, których język nie jest w stanie wypowiedzieć.

Transmigrować mogę wtedy, kiedy z moim gospodarzem styka się jakaś inna ludzka istota. Swoboda przejścia zależy od umysłu osoby, do której transmigruję, oraz od tego, czy nie powstrzymują mnie negatywne emocje. To, że dotyk jest niezbędny, wskazuje, iż jakoś istnieję w płaszczyźnie fizycznej, choćby podkomórkowej czy bioelektrycznej. Istnieją ograniczenia. Nie mogę na przykład transmigrować w ciała zwierząt, nawet gdy są to ssaki naczelne: gdybym spróbował, zwierzę by umarło. Mniej więcej tak, jak dorosły nie jest w stanie włożyć na siebie ubrania dziecka. W wieloryba też nigdy nie próbowałem.

Ale jak się transmigrację odczuwa, w jaki sposób to opisać! Jak cyrkowy akrobata podczas ewolucji na trapezie, gdy zawieszony jest w pustce. Jest jak kula bilardowa tocząca się po stole. Albo jak przyjazd do obcego miasta po podróży przez mgłę.

Niekiedy język nie odczytuje nawet melodii sensu.

Rano wiał zimny wiatr od gór. Gunga pochyliła się w wejściu do

jurty, a chłodne poranne powietrze owiewało jej szyję i twarz. Stok zastawiony jurtami z wolna budził się do życia. W mieście to wzmagął się, to cichł dźwięk syreny karetki. Rzeka Tuul jaśniała ołowianą szarością. Zgasł wielki czerwony neon: Niech nasze miasto stanie się wielką socjalistyczną wspólnotą.

Cholera, pomyślała Gunga, kiedy oni to zdemontują? Gunga zastanawiała się, dokąd też jej córka polazła. Swoje podejrzenia miała.

Sąsiad kiwnął głową na powitanie, życząc dobrego dnia. Gunga odwzajemniła się.

Oczy miała coraz słabsze, reumatyzm zaczął dręczyć jej stawy biodrowe i odezwał się ból w źle zestawionej kości udowej, złamanej trzy zimy temu. Pies Gungi łąsił się, żeby go podrapać za uchem. Ale coś jeszcze, coś było nie tak tego rana.

Szybko z powrotem czmychnęła w ciepło jurty. - Zamknij te cholerne drzwi! - ryknął mąż.

Dobrze, że transmigrowałem z umysłu przesiąkniętego wszystkim, co zachodnie.

Chociaż wiele nauczyłem się od takich rozpędzonych duchów jak Caspar, to jednak zacząłem odczuwać zamęt. W jednej chwili kurs euro, w następnej film o złodziejach sztuki w Petersburgu, który kiedyś tam oglądał, potem wspomnienie z połowu ryb z wujem pomiędzy wysepkami i jakaś piosenka pop albo strona internetowa któregoś z przyjaciół. I tak bez końca.

Umysł Gungi patroluje bliższe okolice. Cały czas myśli o zdobyciu odpowiedniej ilości jedzenia i pieniędzy. Martwi się o córkę i niedomagających krewnych. I tak przez prawie całe życie - większość dni wygląda podobnie. Gwarantowana monotonia w czasach sowieckich i walka o przetrwanie od czasu uzyskania

niepodległości. Jednak o wiele trudniej ukryć mi się w umyśle Gungi niż Caspara. Zupełnie jakby uciekając z rozwlekłej aglomeracji, zapragnęło się niewidzialności we wścibskiej wiosce. Niektórzy gospodarze bardziej niż inni są wrażliwi na przemieszczenia w swoim pejzażu mentalnym, a Gunga faktycznie była wrażliwa. Kiedy spała, przyswajałem sobie jej język, ale jej sny nieustannie groziły mi demaskacją.

Gunga zabrała się do palenia w piecu. - Coś jest nie tak powiedziała do siebie, rozglądając się po jurcie, w poczuciu, że coś jej umyka. Łóżka, stół, szafka, zastawa stołowa, dywaniki, srebrny czajnik, którego nie zgodziła się sprzedać nawet w najcięższych czasach.

- Czy to znowu twój tajemniczy szósty zmysł? - Bujant poruszył się pod stertą koców. Katarakty i mrok jurty utrudniały Gundze widzenie. Bujant zaniósł się kaszlem palacza. - Co tym razem? Przesłanie od pęcherza moczowego, że dostaniemy w spadku wielbłąda? Woskowina w uszach podpowiada ci, że przyjdzie wielki pasożyt i będzie wykorzystywał twoją naiwność?

- Wielki pasożyt zrobił to wiele lat temu. Nazywał się Bujant.

- Bardzo śmieszne. Co na śniadanie?

Z powodzeniem mogę zacząć od czegokolwiek. - Mężu, czy wiesz coś o trzech stworzeniach, które troszczą się o losy świata?

Minęła długa pauza i myślałem, że mnie nie usłyszał. O czym ty, do cholery, mówisz?

W tym momencie weszła Ojuun, córka Gungi. Policzki zarumienione, zdyszana. -

Do sklepu rzucili chleb! Znalazłam też trochę cebuli.

- Zuch dziewczyna! - Gunga objęła ją. - Wcześniej wyszłaś. Nie obudziłaś mnie.

- Zamknij drzwi, do cholery! - ryknął Bujant.

- Wiedziałam, że musisz iść jeszcze do pracy w hotelu, więc nie chciałam cię budzić.

- Gunga podejrzewała, że Ojuun nie mówi wszystkiego. - W hotelu był w nocy ruch, mamó? - Ojuun umiejętnie zmieniła temat.

- Nie. Tylko dwójka jasnowłosych.

- W szkole znalazłam w atlasie Australię. Ale nie mogłam znaleźć - jak to się nazywało? Dania czy jakoś tak?

- A kogo to obchodzi? - Bujant wytoczył się z łóżka, okryty kocem jak szalem.

Musiał być kiedyś przystojny, choć sam uważał, że nadal jest. - Jakbyś kiedykolwiek miała tam pojechać.

Gunga ugryzła się w język, a Ojuun opuściła wzrok.

- Jasnowłosi wymeldowują się dzisiaj i będę szczęśliwa, widząc, że wyjeżdżają. Nie mogę tylko zrozumieć, że matka pozwala tak swojej córce się włóczyć. Jestem pewna, że nie mają ślubu, a śpią w jednym łóżku! Żadnych obrączek, kompletnie nic. A on to też jakiś dziwny. - Gunga spojrzała na Ojuun, lecz Ojuun odwróciła się.

- Jasne, że dziwny, przecież to cudzoziemcy. - Bujant beknął i siorbnął herbaty.

- Co chcesz przez to powiedzieć, mamó? - Ojuun zaczęła siekać cebulę.

- No, po pierwsze, że śmierdzi jogurtem. Ale jest coś jeszcze... w tych jego oczach... zupełnie jakby nie były jego.

- Na pewno nie są tacy dziwni jak ci węgierscy związkowcy, co tu przyjeżdżali. Tamci to latali do Wietnamu po orchidee.

Gunga wiedziała, jak zapomnieć o obecności męża. - Ten Duńczyk coraz to daje napiwki i bez przerwy się uśmiecha, zupełnie jakby dostał w głowę. A wczoraj w nocy dotknął mnie w

rękę.

Bujant splunął. - Jak jeszcze raz cię dotknie, ukręcę mu łeb i wcisnę mu w dupę. Przekaż mu to ode mnie.

Gunga potrząsnęła głową. - Nie, nie, to było tak jak w zabawie w berka. Po prostu dotknął moją rękę kciukiem i już go nie było w kuchni. Albo tak, jakby rzucał urok. I proszę, żebyś nie pluł w domu.

Bujant oderwał kawałek chleba. - Urok, no tak, nic innego! Pewnie chciał cię zczarować. Wiesz co, kobieto, czasami wydaje mi się, że ożeniłem się nie z tobą, a z twoją babką!

Gunga zamilkła i dalej przygotowywała posiłek.

Bujant podrapał się pod pachą. - Jeżeli już o małżeństwie, to najstarszy chłopak starego Gombo przyszedł wczoraj wieczorem prosić o Ojuun.

Ojuun nieruchomo wpatrywała się w kluski, które mieszała. - Ooo?

- Tak. Przyniósł mi butelkę wódki. Dobra rzecz. Stary Gombo pajacuje na koniu i nie może powstrzymać się od picia, ale jego szwagier ma dobrą państwową robotę, a z młodszego syna rośnie, jak mówią, całkiem dobry zapaśnik. W szkole dwa lata z rzędu był mistrzem. Nie ma co kręcić nosem.

Gunga siekała cebulę, że aż piekło w nozdrzach. Ojuun nie odzywała się.

- Jest myśl, co? Na starszym synu Ojuun zrobiła oczywiście spore wrażenie... a jeśli nosi w brzuchu wnuka starego Gombo, to będzie świadczyło, że może się wywiązać i wymusić na starym Gombo... przychodziły mi do głowy gorsze partie.

- A mnie przychodzą lepsze - powiedziała Gunga wrzucając kilka klusek do zupy na baraninie. W tym momencie przypomniało

jej się, jak Bujant przyszedł ją odwiedzić do jurty jej rodziców - przez klapę w dachu, zaledwie kilka stóp od miejsca, w którym spali rodzice. - Na przykład ktoś, kogo ona kocha. Ale i tak już to uzgodniliśmy. Ojuun skończy szkołę i jak los będzie sprzyjał, pójdzie na studiu Chcemy, żeby sobie dobrze radziła w życiu.

Może będzie miała samochód. A przynajmniej motor, chiński.

- Nie rozumiem, o czym mowa. Nie ma tak, że potem czeka praca, zwłaszcza na dziewczynę. Całą robotę zabrali ze sobą Rosjanie, jak się stąd wynosili. A to, co zostało, prze chwycili Chińczycy. I tak nas, Mongołów, obrabiają cudzoziemcy.

- Gówno! Całą robotę zabrała nam wóda. To wóda ogołaca nas ze wszystkiego.

Bujant rzucił gniewne spojrzenie. - Kobiety nie znają się na polityce.

Gunga odwzajemniła spojrzenie. - A mężczyźni to niby tak? Gospodarka zdechłaby od zwykłego przeziębienia, gdyby jeszcze w ogóle była w stanie się przeziębzać.

- Powiem ci, to Rosjanie...

- Nic się u nas nie polepszy, dopóki nie przestaniemy obwiniać Rosjan i nie zaczniemy winić samych siebie! Chińczycy potrafią robić tu pieniądze. Dlaczego my nie możemy? - W rondlu zaskwierczał tłuszcz. Gunga na mgnienie oka ujrzała w kubku z mlekiem odbicie swojej twarzy i zmarszczyła brwi. Jej dłoń lekko drgnęła i obraz zniknął w drobnych talkach. - Dzisiaj wszystko idzie nie tak. Idę do szamana.

Bujant walnął pięścią w stół. - Ja ci nie każę wyrzucać naszych pieniędzy na...

- Moje tugriki będę wyrzucać na to, na co mi się podoba, moczymordo! - odwarknęła Gunga.

Bujant dał za wygraną, tego starcia nie mógł wygrać. Nie chciał, żeby sąsiedzi coś usłyszeli, a potem mówili, że nie radzi sobie ze swoją kobietą.

Dlaczego jestem, jaki jestem? Nie posiadam genetycznego odcisku palca . Nie miałem rodziców, którzy nauczyliby mnie odróżniać dobro od zła. Nauczycieli też nie miałem. Żadnej pożywki, natury też nie posiadałem. Ale jestem dyskretny i sumienny, nie człowiek, a głęboko ludzki. I nie zawsze taki byłem. Po tym, jak lekarz zwariował, transmigrowałem po umysłach różnych wieśniaków, stając się ich panem. Znałem ich tajemnice, wszystkie zakręty miejscowych strumieni i imiona psów. Znałem ich rzadkie przyjemności, które wypalały się tak szybko, jak nagle rozbłyskiwały, oraz wspomnienia, dzięki którym nie kostnieli. Badałem skrajności. Gospodarza doprowadzałem omal do samozniszczenia w poszukiwaniu przyjemności, którymi musowały ich neurony. Zadawałam ból tym wszystkim, którzy mieli nieszczęście spotkać mnie na swojej drodze, tylko po to, żeby ból zrozumieć.

Bawiłem się, przeszczepiając wspomnienia jednego gospodarza drugiemu albo nieustannie im podśpiewując. Zmuszałem mnichów do kradzieży, oddanych kochanków do niewierności, skąpców do rozrzutności. Na swoją obronę mogę powiedzieć jedynie to, że po moim pierwszym gospodarzu już nigdy nikogo nie zabiłem. Nic mogę powiedzieć, że to z miłości do człowieczeństwa. Boję się bowiem tylko jednego: że znajdę się w jakimś człowieku w chwili jego śmierci. A wciąż nie wiem, co mogłoby się wtedy stać.

Nie mam w zanadrzu żadnej opowieści na temat olśniewającego nawrócenia na humanizm. Bo to po prostu nie było tak. W czasie rewolucji kulturalnej, i kiedy transmigrowałem po gospodarzach w

Tybecie, Wietnamie, Korei i Salwadorze, moim udziałem stały się doświadczenia ludzi prowadzących walkę, zazwyczaj z bezpiecznych sztabowych gabinetów.

Na Falklandach obserwowałem, jak walczą o skały. - Dwóch łyśnych bijących się o grzebień - jak to skomentował jeden z eksogospodarzy. W Rio widziałem turystę zabitego dla zegarka.

Ludzie żyją w otchłani oszustwa, wyzysku, krzywdy, więzienia. Za każdym razem gatunek traci jakąś część tego, czym mógłby być. I jest to strata, która rodzi zatrucie. Dlatego właśnie nie krzywdzę już moich gospodarzy. Za wiele już tej toksyny.

Gunga spędziła popołudnie w hotelu, zamiatając, gotując wodę na przepierkę pościeli.

Ponowne widzenie Capara i Sherry z zewnątrz było jak wizyta nowych lokatorów w starym domu. Zapłacili i czekali, aż pojawi się wynajęty dżip. Gdy Caspar zrzucił z siebie plecak, powiedziałem do niego po duńsku „do widzenia”, ale on po prostu przyjął, że powiedziałem coś po mongolsku.

Kiedy Gunga ścieliła łóżko, wyobrażała sobie, że leża na nim Caspar i Sherry, a potem pomyślała o Ojuun i najmłodszym synu Gombo. Słyszała pogłoski o dziecięcej prostytutce szerzącej się w mieście i o tym, że policja jest opłacana w obcej walucie. Pani Enkbat była w dobrym humorze - Caspar zapłacił dolarami, a pani Enkbat musiała składać na posag Kiedy Gunga gotowała wodę na pranie, usiadły i razem popijały słonawą herbatę.

- No więc słuchaj, Gunga, wiesz, że nie przepadam za plotkami - zaczęła pani Enkbat, mała kobietka układająca usta jak przemądrzała jaszczurka - ale nasz Sondzudi widział, jak twoja Ojuun wczoraj wieczorem wychodziła z najmłodszym chłopakiem starego Gombo. Ludzie zaczną strzępić języki. Widziano ich razem

na święcie Naadam. Sondzudi mówił do tego, że durzy się w niej najstarszy chłopaki Gombo.

Gunga postanowiła kontratakować. - Czy to prawda, że Sondzudi przeszedł na chrześcijaństwo?

Pani Enkbat na chłodno obmyślała odpowiedź. - Raz czy dwa widziano go, jak szedł do mieszkania amerykańskich misjonarzy.

- A cóż na to mówi jego babka?

- Tylko tyle, że to świadczy o tym, jacy frajerzy z tych Amerykanów. Myślą, że zyskują wyznawców swojej dziwacznej wiary, a tymczasem zyskują zwolenników mleka w proszku - a coś się dzieje, Gunga?

Nagle w moim gospodarzu wezbrały wątpliwości. Gunga wiedziała, że jestem.

Szybko próbowałem ją uspokoić. - Nie. Coś jest nie tak. Idę do szamana.

Autobus był zatłoczony i utknął na pierwszym biegu. Pod koniec linii znajdowała się zrujnowana fabryka z sowieckich czasów. Gunga nawet już nie pamiętała, co w niej kiedyś produkowano. Musiałem zajrzeć w jej podświadomość: pociski. Polne kwiaty zbijały kapitał na krótkim lecie, a dzikie psy dobierały się do czyichś zwłok. Popołudnie było mizerne i blade. Ludzie z autobusu wlekli się, mijając miejsce, od którego droga odbijała w stronę opanowanego przez jurty wzgórza. Gunga szła z nimi. Opodal na palach biegła olbrzymia rura. Stanowiła część powszechnego systemu centralnego ogrzewania, ale kotły wymagały rosyjskiego węgla. Węgiel mongolski spalał się w zbyt niskich temperaturach, żeby system mógł działać. Powszechnie wrócono do upalania łajnem.

Kuzynka Gungi poszła do tego szamana, kiedy nie mogła zająć

w ciąży. Po dziewięciu miesiącach urodziła bliźniaki - przyszły na świat w czepkach - to znak wielkiego szczęścia.

Szaman był doradcą prezydenta i cieszył się opinią lekarza koni. Mówiono, że przez dwadzieścia lat prowadził żywot pustelnika na stokach Tawanbogdy w położonej daleko na zachodzie prowincji Bajan Ołdzi. Podczas sowieckiej okupacji miejscowe władze próbowały aresztować go za włóczęgostwo, ale każdy, kto wyruszał, żeby go pojmać, wracał z pustymi rękami i pustką w głowie. Szaman miał dwieście lat. Nie mogłem się doczekać spotkania z szamanem.

Miałem swoje przymioty: najwyraźniej byłem odporny na starzenie się i zapomnianie.

Cieszyłem się wolnością wykraczającą poza właściwe człowiekowi rozumienie świata. Ale swoją klatkę też mam. Tkwię w pułapce nieustannego czuwania świadomości. Nie udało mi się znaleźć sposobu na sen i sny. A wiedza, której najbardziej pragnę, wymyka mi się: nie udało mi się znaleźć źródła opowieści, z którą się narodziłem, i nie udało mi się stwierdzić, czy istnieje ktoś podobny do mnie.

Kiedy wreszcie opuściłem wioskę u podnóża Świętej Góry, przewędrowałem całą południowo - wschodnią Azję, przetrząsając strychy i piwnice umysłów starych ludzi w poszukiwaniu innych umysłów nie przypisanych do własnego ciała. Natknąłem się na legendę o istotach, które mogłyby być moimi krewnymi, lecz konkretnych wiadomości - nie znalazłem ani śladu... W latach sześćdziesiątych przemierzyłem Pacyfik. Jeżeli chodzi o wspomnienia po moim obłąkanym lekarzu, to na ogół dotrzymałem ślubu milczenia. Nie miałem ochoty ciągnąć za sobą ogona mistyków, obłąkańców i pisarzy. Z drugiej strony, gdy

napotykałem mistyka, obłąkańca czy pisarza, to czasem nawet z takim pogadałem. Pewien pisarz z Buenos Aires podsunął nawet nazwę dla takiej istoty jak ja: *noncorpum* oraz *noncorpa* - gdyby się okazało, że któregoś dnia liczbę pojedynczą trzeba zamienić na mnogą.

Spędziłem z nim kilka miesięcy, dyskutując o metafizyce i napisaliśmy wspólnie kilka opowiadań. Ale „ja” nigdy nie przerodziło się w „my”. W latach siedemdziesiątych zamieściłem ogłoszenie w „National Enquirer”. W USA jest więcej wariactwa niż gdziekolwiek indziej. Przeczytałem każdą z dziewiętnastu odpowiedzi, jakie otrzymałem od mistyków, obłąkańców, pisarzy, co do słowa. Śladów szukałem nawet w Pentagonie. Znalazłem mnóstwo rzeczy, które nawet mnie zaskoczyły, ale nic nie wiązało się z *noncorpa*. W Europie w ogóle nie byłem. Wydawało mi się, że to martwe miejsce, ziejące chłodem w cieniu pocisków nuklearnych.

Powróciłem na moją Świętą Górę, posiadłszy wiedzę od ponad stu gospodarzy, ale nadal nic nie wiedziałem na temat własnego pochodzenia. Włóczęga znużyła mnie. Jedynym miejscem na ziemi, do którego czułem się jakoś przywiązany, była Święta Góra. Przez dziesięć lat nawiedzałem mnichów mieszkających na jej stokach. Prowadziłem dość spokojne życie. Znalazłem towarzystwo w osobie starej kobiety, która mieszkała w herbaciarni i wierzyła, że jestem mówiącym drzewem. To był ostatni raz, kiedy rozmawiałem z człowiekiem.

- Wejdz, córko - ze środka jurty dobiegł głos szamana. Nad drzwiami wisiały zbielełe na słońcu kości szczęki, Gunga raptem przestraszyła się i spojrzała przez ramię.

Chłopiec bawiący się czerwoną piłką. Podrzucał ją wysoko w zapalony błękit, obserwował i kiedy spadała, łapał. Opodał widniał

święty stos kamieni i kości zwany Owu. Gunga poprosiła go o błogosławieństwo i weszła w zadymiony mrok. - Wejdz, córko. - Szaman medytował na macie. Z krokwi zwisała lampa. Łojowa świeca skwierczała w miedzianym talerzu. Tylną ścianę jurty tworzyły rozwieszane skóry zwierząt. Powietrze było gęste od kadzidła. Przy wejściu znajdowało się rzeźbione pudełko. Gunga otworzyła je i włożyła większość tugrików, które Caspar dał jej w ramach napiwku poprzedniego dnia. Ściągnęła buty uklękła przed szamanem, po prawej stronie jurty, w żeńskiej części. Pomarszczona twarz, z której nie sposób odgadnąć wieku. Siwe, zmierzwione włosy i przymknięte oczy, które nagle szeroko otworzyły się. Szaman wskazał na popękany czajnik stojący na niskim stoliczku.

Gunga nalała ciemnej, bezwonnej cieczy do kościanego kubka.

- Wypij, Gungo - powiedział szaman.

Mój gospodarz wypił i zaczął mówić - szaman powstrzymał ją gestem dłoni.

- Przyszłaś, ponieważ zamieszkał w tobie duch.

- Tak - odpowiedzieliśmy oboje, Gunga i ja. Gunga znowu wyczuła moją obecność i upuściła kubek. Plama nie wypitej cieczy rozlała się na dywanik.

- Musimy wobec tego dowiedzieć się, czego chce - powiedział szaman.

Serce Gungi tłukło się jak uwięziony nietoperz. Delikatnie wyłączyłem jej świadomość.

Szaman dostrzegł zmianę. Wziął pióro i narysował w powietrzu symbol.

- Z kim rozmawiam? - zapytał szaman. - Z przodkiem tej kobiety?

- Nie wiem, kim jestem. - Moje słowa i głos Gungi, suchy i chrapliwy. - Chcę się dowiedzieć, kim jestem. - Dziwne, tak wypowiedzieć ponownie słowo „ja”.

Szaman zachowywał spokój. - Jak się nazywasz, duchu?

- Nigdy nie potrzebowałem nazwiska.

- Czy jesteś przodkiem tej kobiety?

- Już pytałeś o to. O ile wiem, to nie. Szaman uderzał kością o kość, mamrocząc słowa w nieznanym mi języku. Zerwał się na równe nogi i naprężył palce jak szpony.

- W imię sztuki Khukdei Mergen Khan, porzuć odtąd ciało tej kobiety!

Ludzie płci męskiej. - A potem co proponujesz?

Szaman krzyknął: - Odejdź! W imię Erhii Mergen, który oddzielił noc od dnia, nakazuję ci! - Szaman potrząsał nad Gungą grzechoczącym woreczkiem. Dmuchnął na mojego gospodarza dymem z kadzidła, a jego twarz spryskał wodą.

Szaman wpatrywał się w mojego gospodarza, oczekując na reakcję. - Szamanie, liczyłem na coś inteligentniejszego. To moja pierwsza rozmowa we właściwym sensie tego słowa od bardzo długiego czasu. I bardziej przysłużyłbyś się Gundze, gdybyś tą wodą ją umył. Ona uważa, że ciało Mongoła nie wydziela potu, więc się nie myje i ma wszy.

Szaman zmarszczył brwi i zajrzał Gundze w oczy, szukając tego, co Gungą nie było.

- Twoje słowa, duchu, wprowadzają w osłupienie, a twoja magia posiada moc. Czy chcesz, żeby ta kobieta wpadła w chorobę? Jesteś złym duchem? ID

- No cóż, mam to i owo za sobą, ale nie nazwałbym się złym duchem. A ty?

- Czego chcesz od tej kobiety? Co ci dolega?

- Jedno wspomnienie. I brak wszelkich innych. Szaman z powrotem usiadł i podjął początkowy, spokojny ton.

- Do jakiego narodu należałeś, gdy żyłeś w cielesnej postaci?

- Dlaczego sądzisz, że kiedyś byłem człowiekiem?

- A kim innym mógłbyś być?

- To jest pytanie.

Szaman zmarszczył brwi. - Jesteś dziwny, nawet jak na kogoś takiego. Mówisz jak dziecko, ale nie takie, które oczekuje pobłażania.

- Co masz na myśli, mówiąc „nawet jak na kogoś takiego”?

- Jestem szamanem. Moim powołaniem jest porozumiewanie się z duchami. Tak samo jak mojego mistrza, a przed nim jego mistrza.

- Pozwól, że przeniknę twój umysł. Muszę zobaczyć to, co ty widziałeś.

- Duchy nie obcuja ze sobą?

- Ze mną nie. Proszę, pozwól. Wpuść mnie. Bezpieczniej będzie, jeżeli nie będziesz się opierał.

-Jeśli pozwolę ci się opętać na krótką chwilę, zostawisz tę kobietę?

- Umowa stoi, szamanie. Jeśli dotkniesz Gungi, w tej chwili ją opuszczę.

W swoich wspomnieniach błąkam się jak w sieci tuneli. Jedne utrzymane i jasno oświetlone, inne przypominają katakumby. Jedne strzeżone, ale inne zamurowane. Tunele prowadzące do innych tuneli, coraz głębiej. Tak samo ze wspomnieniami.

Dostęp do wspomnień nie gwarantuje dostępu do prawdy. Wiele umysłów przestawia wspomnienia według przekomponowanych map. W tunelach pamięci szamana natknąłem się na coś, co mogło

być duchami zmarłych, urojeniami szamana bądź jego klientów, albo jednym i drugim.

Albo były to *noncorpa*! Może było tam wiele śladów, a może i nie. A może znajdował się tam jakiś dowód, ale nie zdołałem rozpoznać jego formy. Pogłębiłem swoje poszukiwania.

I znalazłem tę opowieść, opowiedzianą przed dwudziestu laty, nocą, na pustyni rozświetlonej blaskiem ogniska.

Przed wieloma laty kraj prześladowała czerwona zaraza. Ludzie umierali tysiącami.

Ci, którzy byli zdrowi, pierzchali przed nią, zostawiali zarażonych, uznając, że sam los oddzieli żywych od zmarłych. Wśród tych, którzy zostali porzuceni w krainie ptaków, znalazł się Tarvaa, piętnastoletni chłopak. tego duch opuścił ciało i zmierzał na południe, pomiędzy wydmami usianymi ciałami zmarłych.

Chan Piekieł zdumiał się, kiedy chłopiec pojawił się w jego jurcie. - Dlaczego porzuciłeś swoje ciało, skoro jeszcze oddychało?

- Panie, żywi uznali, że moje ciało zmarło. Niezwłocznie przybyłem tutaj, żeby złożyć przysięgę wierności.

Na Chanie Piekieł posłuszeństwo okazane przez Tarwę zrobiło wielkie wrażenie. -

Stwierdzam, że twój czas jeszcze nie nadszedł. Weź moje najszybsze konie i wróć do swego pana w krainie ptaków. Ale zanim odejdiesz, wybierz sobie jedną rzecz z mojej jurty.

Spójrz! Możesz tu znaleźć bogactwo, pomyślność, urodę, uniesienie, smutek z niedolą, mądrość, rozkosz i zaspokojenie... no, co wybierzesz?

- Panie - odpowiedział Tarvaa - wybieram opowieści. Tarvaa włożył opowieści do skórzanej sakwy, wsiadł na najbardziej ręczego konia Chana Piekieł i wrócił na południe do krainy ptaków. Kiedy

tam dotarł, kruk właśnie wydziobywał oczy z ciała Tarvy. Ale Tarvaa nie ośmielił się wracać na wydmy zmarłych, obawiając się, że tym samym okazałby Chanowi niewdzięczność. Wszedł więc Tarvaa w swoje ciało, podniósł się i chociaż był ślepy, przeżył sto lat, przemierzając Mongolię na koniu Chana Piekieł - od gór Ałtaju na dalekim zachodzie do pustyni Gobi na południu, po rzeki Hentil Nuruu - snując opowieści i przepowiadając przyszłość, opowiadając plemionom legendy o stworzeniu ich krainy. I od tego czasu Mongołowie przekazują sobie opowieści.

Postanowiłem udać się na południe, jak Tarvaa. Gdyby śladów brakło w rzeczywistości, znajdę je w legendach.

Dzargał Czinzoreg jest silny jak wielbłąd. Ufa tylko rodzinie i swojej ciężarówce.

Jako chłopiec Dzargał bardzo chciał zostać pilotem w Mongolskich Siłach Powietrznych, a że rodzina nie miała pieniędzy na łapówkę, żeby posłać go do partyjnej szkoły w stolicy, więc został kierowcą ciężarówki. Na szczęście, jak się okazało na dłuższą metę: nikt nie wiedział, co by się stało, gdyby garstka rdzewiejących samolotów tworzących Mongolskie Siły Powietrzne ponownie wystartowała. W parlamencie mówiono o tym, żeby całkiem skasować Siły Powietrzne, zważywszy na oczywistą niezdolność Mongolii do samoobrony przed atakiem któregoś z sąsiadów, nawet słabego Kazachstanu. Od czasu ekonomicznej zapaści Dzargał pracował dla każdego, kto miał jakikolwiek dostęp do paliwa: dla handlarzy na czarnym rynku, teoretycznie sprywatyzowanych fabryk żelaza, firm drzewnych, handlarzy mięsem. Dzargał robi wszystko dla uśmiechu swojej żony, nawet skarpetki założy na nos i będzie ją gonił dookoła jurty, wydając z siebie dźwięki rogatego jaka.

Droga, którą jedziemy z Ułan Bator do Dałan-dzadagadu należy do nie najgorszych w kraju. Zazwyczaj jest przejezdna, nawet w czasie deszczu. Liczy 293 kilometry i Dżargał zna każdy wybój, rów i rogatkę, a także stojących tam strażników. Wie, która stacja benzynowa kiedy będzie miała prawdopodobnie paliwo, ile jeszcze posłuży każda z części trzydziestoletniej rosyjskiej ciężarówki, a także na czym ewentualnie można zaoszczędzić.

Horyzont ogromnieje, góry przewracają się z boku na bok, a potem ścielą się nisko, przechodząc w łąki. Samotne drzewo. Drogowskaz. Pokryta pyłem kawiarnia, nie otwierana od 1990 roku. Baraki, w których kiedyś stacjonowała sowiecka armia podczas manewrów, teraz opustoszałe, z wybebeszonymi instalacjami sanitarnymi i elektrycznymi.

Słońce błyska z innej strony. Chmura w kształcie świstaka. Dżargał ociera pot z oczu i zapala chińskiego papierosa. Wspomina marlboro, które zeszłego roku dał mu autostopowicz z Kanady.

Na wzniesieniu stoi koń, kasztan, spogląda na drogę. Między tymi skałami znajduje się osada. Wielki chmurzasty świstak przepoczwarzył się w zawór cylindra. Siedemdziesiąt kilometrów za Dałan-dzadagadem skała w kształcie głowy olbrzyma. Wiele lat temu jakiś zapaśnik podniósł ją, żeby zmiażdżyć głowę potwornego węża. Nadciąga wieczorny chłód i niebo mieni się nieskazitelnym nefrytem. Dżargał zapala kolejnego papierosa. Pięć lat temu, mniej więcej tutaj - dokładnie z tej pochyłości - stoczyła się ciężarówka z ładunkiem propanu. Do tej pory podobno widuje się płonącego kierowcę, który biegnie w stronę drogi, wołając pomocy, która już zawsze będzie przybywać za późno. Dżargał go znał. Razem popijali w hotelach dla kierowców ciężarówek. W oddali widać światła miasta i Dżargał myśli o swojej Łonie, o dniu, gdy urodził się ich

pierwszy syn. Myśli o kozie-zabawce, którą jego ciotka, pani Enkbat, zrobiła dla jego córeczki ze sznurka i skrawków starych ubrań.

Jeszcze jest mała i na razie nie mówi, ale już jeździ konno, jakby się urodziła w siodle.

Duma, nigdy czegoś takiego nie odczuwałem.

- Stare opowieści nigdy przedtem cię nie interesowały - Pomarszczony mężczyzna w wojskowej kurtce nastroszył się. - Za czasów Rosjan były zabronione. Mieliśmy tylko gówniane historie o bohaterach rewolucji. Byłem wtedy nauczycielem. Opowiadałem ci kiedyś o tym, jak Horlojn Czojbałsan przyjechał do naszej szkoły? Sam prezydent?

- Jakieś piętnaście minut temu, stara pierdoło - mruknął usmarowany słuchacz. W barze radio nadawało popowe piosenki po japońsku i angielsku. Trzech czy czterech ludzi grało w szachy, ale byli zbyt pijani, żeby pamiętać o regułach.

- Gdybym opowiedział w klasie którąś ze starych opowieści - ciągnął starzec -

zostałbym kandydatem do „reedukacji”. Rosjanie mówili, że nawet Czyngis-chan był feudalnym typem. A teraz w byle wiosce opowiada się, że Czyngis urodził się nad tym zakolem rzeki, nad którym właśnie oni mieszkają...

- To bardzo ciekawe - wtrąciłem. Dzargał nudził się. Niełatwo mi było przytrzymać go tutaj po dobroci. - Znasz tę o trzech zwierzętach, które troszczą się o los świata?

- Ale mógłbym ci opowiedzieć parę moich własnych. Opowiadałem ci już, jak Horlojn Czojbałsan przyjechał do mojej szkoły? Wielkim czarnym samochodem. Czarnym ziłem. Jeszcze jednego pieroga chcę. A swoją drogą, co ty tak nagle

zainteresowałeś się starymi opowieściami?

- Postawię ci jeszcze jednego pieroga. Zobacz, jaki wielgachny... ile smalcu. Chodzi o mojego syna. Narzeka, że opowiadam mu to samo po dwa razy. Wiesz, jakie są dzieciaki, zawsze domagają się nowego... Z dzieciństwa pamiętam taką o trojgu zwierzętach, które troszczą się o los świata...

Pomarszczony człowiek beknął. - W opowieściach nie ma przyszłości... Należą do przeszłości, to są rzeczy do muzeów. Na opowieści nie ma miejsca w dobie demokracji i rynku.

Nagle wybuchła pyskówka. Obok śmignęli szachiści. Trzasnęło okno. – Przyjechał wielkim czarnym samochodem. Byli goryle, doradcy i ludzie z KGB. Szkoleni w Moskwie.

- Jakiś pijaczyna stał na stole i wrzeszczał w napadzie wściekłości. Właściciel znamienia przypominającego maskę rozwalił szachownicę na głowie przeciwnika. Dałem za wygraną i pozwoliłem, żeby Dżargał wyprowadził nas stamtąd.

Kustosz spojrział zdumiony na Dżargała i na mnie. - Opowieści?

- Tak - zacząłem.

Roześmiał się i aż musiałem powstrzymać Dżargała, który już zamierzył się na niego.

- Dlaczego ktoś niby miał się zajmować opowieściami o Mongolii?

- Ponieważ to nasza kultura - napomknąłem. - Nie chcę, żeby mi pan opowiadał.

Potrzebuję informacji o pochodzeniu opowieści.

Milczenie. Zauważyłem, że zegar ścienny zatrzymał się.

- Dżargale Czinzoregu - powiedział kustosz - za dużo czasu spędzasz w swojej ciężarówce albo ze swoją rodziną. Zawsze byłeś dziwakiem, ale teraz mówisz jak staruszek, któremu się

pomieszało, albo jak turysta...

Z biura wymaszerował człowiek w najelegantszym garniturze w całej Mongolii. Śmiał się jak człowiek, którego właściwie nie ma. Garnitur niosący aktówkę, garnitur żujący gumę.

- Mamy nasze wypchane ptaszki - ciągnął kustosz - wystawę poświęconą wiecznej przyjaźni rosyjsko - mongolskiej. Mamy kości dinozaurów, zwoje, naczynia brązowe z Zanabazar, które udało nam się ukryć przed wyjeżdżającymi Rosjanami. Ale jeśli chcesz informacji, to nie masz tu czego szukać!

Garnitur dogonił nas. Mimo że tego dnia było pochmurno, już założył okulary przeciwsłoneczne. - Wiecie - powiedział znienacka, zwracając się do nas - ten, jak mu tam, w Dałan-dzadagadzie składa antologię mongolskich opowieści ludowych. To oryginalny pomysł. Ma nadzieję, że uda się przetłumaczyć je na angielski i opchnąć turystom. W ubiegłym roku złożył propozycję państwowym zakładom drukarskim. Odrzucono ją - nie było papieru. Ale teraz organizuje jakiś lobbing i przy następnym spotkaniu może uda mu się to załatwić.

Garnitur poszedł. Podziękowałem mu.

- A teraz, Dzargale Czinzoregu - odezwał się kustosz zechcesz uprzejmie stąd spłynąć? Przerwa na obiad.

Dyrektor z głośnym westchnieniem ulgi zamykał drzwi do biura. Dzargał rzucił okiem na zegarek kustosza. - Ale jest przecież dopiero dziesiąta trzydzieści.

- Otóż to. Ponownie otworzymy około trzeciej.

Na porannym niebie widniał zasnuty pajęczyną globus księżyca.

- Proszę pana! - Dzargał przebiegł przez pustą ulicę przed muzeum. Garnitur wsiadał do japońskiego wozu z napędem na cztery koła. Dzargał był podenerwowany: właściciel takiego

samochodu musi być potężnym człowiekiem. -Proszę pana!

Garnitur odwrócił się, szarpiąc nerwowo ręką w rękawie. - Co?

- Przepraszam, że pana niepokoję, ale czy przypomina pan sobie może nazwisko tego pana, o którym dopiero co pan wspomniał? Tego folklorysty. To może się okazać bardzo ważne dla mnie.

Podszedł ochroniarz garnituru. Posłużyłem się niewłaściwym, jak na kierowcę ciężarówki, sposobem mówienia. Garnitur przytknął rękę do czoła i upuścił klucze. Dzargał podniósł je i podał mu. Upewniłem się, że się stykają i dokonałem transmigracji. Podobnie jak w przypadku Gungi, trudno było przeniknąć ten umysł. Niezwykle lepki. To było jak przeskakiwanie ściany zimnego masła.

Niewiele czasu mi zabrało przeszukiwanie umysłu mojego nowego gospodarza. -

Nazywa się Bodu.

Niektórzy przechodnie zaczęli się przyglądać stojącemu nieruchomo urzędnikowi państwowemu. Mój nowy gospodarz odzyskiwał panowanie nad sobą. - Tak, proszę mi wybaczyć, mam ważną sprawę, która nie może czekać.

Ależ poczeka. Oto wizerunek. Bodu jest niskim, łysiejącym facetem w okularach, z bokobrodami i kępą wąsów.

Spotkamy się, Bodu, ty i ja. Poprowadzisz mnie do miejsca, w którym się urodziłem.

Patrzyłem na Dzargała. Odchodził jak człowiek, który się obudził z dziwnego snu.

Moim nowym gospodarzem był Punsalmaadżyn Suhbataar, starszy agent mongolskiego KGB, który z pogardą odnosił się do wszystkiego, co bezbronne i słabe.

Pędziliśmy na południe jego wozem z napędem na cztery koła,

wzniecając kłęby kurzu. Żuł gumę. Trawa robiła się coraz mizerniejsza, wielbłądy chuderlawe, a powietrze coraz bardziej suche. Droga do Dałan-dzadagadu nie była oznakowana, ale też nie było żadnej innej drogi.

Strażnicy na rogatkach oddawali mali honory.

Źle się czułem, tak egoistycznie wykorzystując mojego gospodarza, ale gdy odcyfrowałem przeszłość Suhbataara, poczułem się rozgrzeszony. W czasie kariery zdarzyło mu się ponad dwadzieścia razy zabić oraz kierować okaleczeniem bądź torturami dziesięciokrotnie większej liczby więźniów. W sejfie w Genewie zgromadził średniej wielkości majątek kosztem swoich suwerenów - dawnych z Moskwy i nowych z Petersburga. Zajrzałem nawet do dziury, w której powinno znajdować się jego sumienie.

Otaczał ją chłodny, wyrachowany i okrutny umysł.

Kiedy zapadła noc, pozwoliłem Suhbataarowi zatrzymać się, żeby rozprostował nogi i napił się kawy. Jak dobrze widzieć ponownie gwiazdy, całe bezdenne ich jezioro. Za sprawą ludzi niebo zagęszcza się nad miastami jak rosół. Ale Suhbataar nie należy do tych, którzy oddają się kontemplowaniu gwiazd. Po raz piąty zastanawiał się, co tam robi, a ja znowu musiałem zdławić tę myśl. Noc spędziliśmy w domu noclegowym dla kierowców ciężarówek, nawet specjalnie nie zwracając sobie głowy rozmową z właścicielem, któremu Suhbataar nie zamierzał zapłacić. Dowiadywałem się o Bodu, folklorystę, kustosza muzeum w Dałan-dzadagadzie, ale nikt go nie znał. Kiedy mój gospodarz zasnął, doskonaliłem rosyjski, którego nauczyłem się od Gungi.

Następnego dnia góry spłaszczyły się, przechodząc w piaszczystą równinę, i zaczęła się pustynia Gobi. Byłem już tym wszystkim znużony. Kolejnego dnia konie, chmury i wzniesienia,

których nazwy nikt nie zna. Suhbataar w niczym nie pomógł. Ludzie na ogół przecież coś sobie w głowie piszą, redagują rozmowy, montują obrazy, opowiadają dowcipy albo odtwarzają muzykę. Ale nie Suhbataar. Równie dobrze mógłbym transmigrować do cyborga.

Suhbataar przejechał zwłoki psa i wjechał do przysypanej pyłem stolicy regionu, Dałan-dzadagadu, bezbarwnego miejsca, które spłynęło znikąd i stało się ofiarą spisku diabłów wywołujących burze piaskowe. Potępięncze połacie pozbawionego darni parku, w którym kobieta opatulona w chustki sprzedaje jajka i suszoną żywność. Nieliczne trzy-lub czteropiętrowe budynki i przedmieścia rozlane po krańcach. Ziemny pas startowy, sfatygowany szpital, poczta w stanie rozkładu i zrujnowany dom towarowy. Oprócz opowieści o jajach dinozaurów, za które na czarnym rynku można dostać nawet pięćset dolarów, i skórach śnieżnej pantery z gór Ałtaju chodzących po dwadzieścia tysięcy dolarów, Suhbataar wiedział jeszcze mniej o wysuniętych najbardziej na południe prowincjach Mongolii, niżby chciał wiedzieć.

Był posterunek policji, w którym a nuż jeszcze bym kogoś wystraszył, więc zaprowadziłem Suhbataara prosto do muzeum na poszukiwania Bodu. Drzwi zastaliśmy zamknięte na klucz, ale Suhbataar był w stanie otworzyć każde drzwi w Mongolii. Wnętrze przypominające poprzednie muzeum dudniło ciszą. Suhbataar stwierdził, że w biurze kustosa jest pusto. Z sufitu zwisał wielki wypchany myszołów opatrzony etykietką z błędną nazwą „kondor”. Jedno z jego szklanych oczu wypadło i gdzieś się potoczyło.

W pustej księgarni siedziała kobieta w średnim wieku. Robiła na drutach. Raczej nie zdziwiło jej, że w pozamykanym muzeum ktoś się zjawia. Wątpię, by od lat cokolwiek ją dziwiło.

- Szukam Bodu - oznajmił Suhbataar.

Nawet nie raczyła spojrzeć. - Nie przyszedł wczoraj. Nie przyszedł dzisiaj. Nie wiem, czy przyjdzie jutro.

Suhbataar zniżył głos do szeptu. - A czy mogę wiedzieć, gdzie szanowny pan kustosz wypoczywa? - A może pan, tylko nie wiem, czy sobie przypomnę. Suhbataar, po raz pierwszy odkąd się w nim znalazłem po transmigracji, odczuł przyjemność. Wyciągnął pistolet na ladę i odbezpieczył. Wycelował w hak, na którym wisiał myszołów.

BANG!

Wszystko runęło na podłogę, rozpadając się na kawałki w chmurze zaprawy, pyłu i piór. Odgłos wystrzału gonił własny ogon po pustych pomieszczeniach.

Kobiecina odrzuciła robótkę wysoko w górę. Zamarła z otwartymi ustami i miałem okazję zobaczyć, w jak paskudnym stanie ma zęby.

Suhbataar rzucił szeptem: - Słuchaj no, zżerana przez tasiemca, zasrana wiejska dziwko z popsutymi zębami, tak ma przebiegać nasz krótki wywiad: ja zadaję pytania, a ty na nie odpowiadasz. Jak tylko wyczuję, że choć trochę kręcisz, to następne dziesięć lat spędzisz w obsranym więzieniu w jakiejś odległej części naszej wspaniałej ojczyzny. Czy zrozumiałaś?

Kobieta zbladła i z trudem przełknęła ślinę.

Suhbataar uwielbiał swój pistolet. - Zdaje się, nie usłyszałem.

Kobieta zakwiliła swoje „tak”.

- W porządku. Gdzie jest Bodu?

- Słyszał, że przyjeżdża ktoś z KGB. Dał nogę. Przysięgam, nie mówił dokąd. Proszę pana, ja nie wiedziałam, że pan jest z KGB. Przysięgam, nie wiedziałam.

- A w której części waszego pięknego miasta Bodu mieszka?

Kobieta zawahała się.

Suhbataar westchnął i z marynarki wyciągnął złotą zapalniczkę. Przystawił płomień do leżącej na ladzie kartki „palenie wzbronione”. Rozdygotana kobieta, Suhbataar i ja patrzyliśmy, jak kartka marszczy się i płonie, przekształcając się w łopoczący czarny strzępek. - Może naprawdę chcesz, żeby cię zamknęli w więzieniu i okaleczyli? A może chcesz, żebym wykastrował twojego męża? Albo żeby twoje dzieci oddano pod opiekę prowadzonego przez muzułmanów sierocińca w Bajan Oldzii, który ma paskudną opinię z powodu molestowania dzieci?

Na jej umalowanych rzęsach pojawiły się paciorki łez. Suhbataar już zastanawiał się, czy nie przecisnąć jej głowy przez szklaną ladę, ale w porę interweniowałem. Na marginesie gazety naskrobała adres i podała Suhbataarowi. - Mieszka tam ze swoją córką, proszę pana.

- Dziękuję - Suhbataar wyrwał kabel telefonu. - Miłego dnia.

Suhbataar krążył wokół domu. Wybudowana z prefabrykatów mała posesja na skraju miasta miała tylko jedno wejście. Opodał beczka na deszczówkę, a dobrze, jeśli pada dziesięć razy w roku, i przychylnie usposabiający ogród zielny. Wiatr dmuchał głośno kurzem. Mój gospodarz wyciągnął pistolet i przykleknął. Niezauważalnie dla Suhbataara zabezpieczyłem broń.

Drzwi otworzyła córka Bodu. Dobiegająca dwudziestu lat dziewczyna o chłopięcej urodzie. Dało się zauważyć, że mojego gospodarza już się spodziewano. Suhbataar domyślał się, że dziewczyna jest sama.

- Przeprowadźmy to bezboleśnie - powiedział Suhbataar. - Wiesz, kim jestem i czego chcę. Gdzie jest ojciec?

Dziewczyna miała charakter. - Chyba nie oczekuje pan, że wydam własnego ojca?

Nie znamy nawet zarzutów.

Suhbataar uśmiechnął się. Coś zaszumiało w czarnej dziurze. Wzrokiem obmacał ciało dziewczyny, wyobrażając sobie, że już ją tnie. Zrobił krok, chwytając jej przedramię.

Ale przynajmniej raz Suhbataar nie miał dostać, czego chciał.

W umysł Suhbataara zaszczepiłem nieodparte pragnienie pojechania do Kopenhagi przez Bagdad i zmusiłem go do tego, by do stóp córki Bodu rzucił swój portfel zawierający kilkaset dolarów. Transmigrowałem za pośrednictwem przedramienia młodej kobiety. Trudne to było - bariery ochronne były silne i dziewczyna omal nie krzyknęła.

Byłem w środku. Zdusiłem jej krzyk. Patrzyliśmy, jak groźny agent KGB rzuca pieniądze do jej stóp, wskakuje do swojej toyoty i pędzi na zachód na złamanie karku. Mój rozkaz może i nie zaprowadzi Suhbataara aż do rabatek Caspara, ale z powodzeniem powinien doprowadzić go do Dałan-dzadagadu i jakiegoś antypatycznego patrolu granicznego w jakimś niespokojnym kraju, gdzie nikt nie mówi ani po rosyjsku, ani po mongolsku.

Mój nowy gospodarz patrzył, jak oddala się samochód Suhbataara. Opony z piskiem wzbijały w pustynnym wietrze wstęgi kurzu.

Sprawdziłem, jak ma na imię - Bałdzin. Matka nie żyje. Jest! Trzy stworzenia, które troszczą się o los ś w i a t a. Inna wersja, ale opowieść ta sama. Jej matka w drugim końcu pokoju wykańcza przy świetle ognia tkaninę. Bałdzin jest ciepło i czuje się bezpiecznie.

Słysząc stukot krosna. I teraz musiałem jeszcze tylko

dowiedzieć się, skąd ta opowieść pochodzi. Nie myśląc już o strapieniu Bałdzin, skierowałem nas do gabinetu ojca, który był zarazem sypialnią i jadalnią. Bałdzin była także sekretarką ojca i towarzyszyła mu w pracach terenowych. Notatki do jego książki spoczywały w szufladzie. Niedobrze! Bodu, uciekając, zabrał je ze sobą.

Położyłem Bałdzin na łóżku i na chwilę wyłączyłem jej świadomość, by poszperać w jej pamięci w poszukiwaniu informacji o pochodzeniu opowieści. Gdzie ludzie jeszcze ją znają, gdzie opowiadają? Poszukiwanie zajęło mi połowę popołudnia, poszukiwałem nawet w nieczynnych pokładach pamięci. Ale Bałdzin na pewno wiedziała tylko to, że jej ojciec wie.

No więc, gdzie był Bodu? Wczoraj wyjechał do swojego brata, dwie godziny drogi na zachód od Dałan-dzadagadu. Gdyby do południa nie otrzymał od Bałdzin wiadomości o odwołaniu alarmu, miał wyruszyć do Bajanhongur, pięćset kilometrów na północny wschód przez pustynię. Obudziłem Bałdzin i spojrzałem na jej zegarek. Upewniłem ją, że niebezpieczeństwo minęło, że KGB nie chce przesłuchiwać jej ojca w żadnej sprawie i że bezpiecznie może się z nim skontaktować, żeby wrócił do domu. Czekałem, aż Bałdzin zadecyduje się na kolejne logiczne posunięcie.

Musieliśmy pożyczyć konia, chyba że byłby motor.

Dwie godziny później znajdowaliśmy się trzydzieści kilometrów na zachód od Dałan-dzadagadu, w niewyraźnej wiosce znanej jedynie w miejscowym dialekcie pod nazwą

„Zakole rzeki”. Bałdzin znalazła wujka, brata Bodu, który naprawiał swojego dzipa.

Rozmawiałem się z Bodu o pięć godzin. Wyjechał przed południem, przekonany, że KGB znowu założyło mu teczkę za

udział w demonstracjach na rzecz demokracji. Bałdzin opowiedziała wujowi historię z portfelem, który wylądował u jej stóp. Wymazałem jej z pamięci agresję Suhbataara. Brat Bodu, mocarny pasterz, który w dziesięć sekund powalał barana na ziemię i podcinał mu gardło, roześmiał się. Przestał się śmiać, kiedy Bałdzin dała mu połowę pieniędzy. Za to przez rok wyżywi rodzinę.

Na poszukiwanie Bodu mogliśmy ruszyć dżipem jego brata, gdyby udało się nam maszynę uruchomić. Dokonałem transmigracji i dzięki wiedzy Dżargała Czinzorega o samochodach zacząłem z powrotem składać silnik.

Zanim zdołałem uruchomić, nadszedł wieczór. Mój gospodarz uznał, że wyjazd po zmierzchu jest niebezpieczny, więc postanowiliśmy przeczekać do świtu dnia następnego.

Bałdzin przyniosła wujowi kubek kumysu. Zimne wody rzeki. Pływający chłopcy. Kobiety piorące odzież. Rzeka wypływała ze źródeł u stóp Ałtaju, tworzących się z zimowego śniegu.

Zachód słońca przyniósł zapach jedzenia. Bratanica Bałdzin grała na szudradze, lutni o długim gryfie. Starzec nawoływał kozy. Jakże zazdroszczę tym ludziom poczucia przynależności.

Z miasta przybyli ludzie na koniach, spragnieni wieści. Dwa dni temu dowiedzieli się o wizycie Suhbataara od kierowców ciężarówek wożących winorośl. Rozsiedli się wokół ognia, a Bałdzin ponownie opowiedziała całą historię, i tak zaczęło się nieplanowane przyjęcie. Młodszy mężczyźni popisywali się kunsztem jeździeckim przed Bałdzin.

Dziewczyna uchodziła za jedną z najświetniejszych łuczniczek w całym Dałan-dzadagadzie, zarówno wśród mężczyzn, jak i kobiet, przy tym była córką człowieka na państwowej posiadzie, a jeszcze

nie miała narzeczonego. Ciotka Bałdżin przygotowała świeżego kumysu, mieszając świeże mleko klaczy ze sfermentowanym. Klacze karmiono trawą taana zebraną ubiegłej jesieni, która zapewnia kumys najlepszej jakości.

Gdy się ściemniło, rozpalono ogniska.

- Opowiedz nam coś, ciociu Bałdżin - prosi moją gospodynię ośmiolatek. -

Znasz najlepsze opowieści.

- A skąd? - pyta zasmarkany brzdąc.

- Z książki dziadka Bodu, głupi. Moja ciocia Bałdżin pomagała mu ją napisać, prawda, ciociu Bałdżin?

- Jaką książkę? - pyta Zasmarkaniec.

- Książkę z opowieściami, głupi.

- Jakimi opowieściami?

- Jesteście takie oblatane! - Dziewczyna pokazuje najnowszy nabytek. - Ciociu Bałdżin, opowiedz nam *Wielbłąda i jelenia*.

Bałdżin uśmiecha się. Ma cudowny uśmiech.

Dawno, dawno temu wielbłąd nosił poroże. Piękne pomoże o dwunastu odnogach.

Ale nie tylko poroże! Miał również długi, gruby ogon, lśniący jak twoje włosy, kochanie.

- Co to jest „śliniący”? - spytał Zasmarkaniec. - Cicho, głupi, bo ciocia Bałdżin przestanie, prawda, ciociu Bałdżin?

W owym czasie jeleni poroża nie nosił. Był łysy i - po prawdzie - raczej brzydki.

Koń zaś także nie miał swego cudownego ogona. Tylko takie krótkie niezgrabne nic.

Pewnego razu wielbłąd poszedł do jeziora ugasić pragnienie. Był oczarowany pięknem własnego odbicia. - Wspaniałe! - pomyślał

wielbłąd. - Jakże zachwycającym jestem stworzeniem!

I któż inny jak nie jelen miałby akurat wtedy wyjść z lasu? Jeleń chodził i wzdychał.

- Cóż ci dolega? - spytał wielbłąd. - Minę masz taką, jak przemoknięte słońce.

- Zostałem zaproszony na święto zwierząt, jako gość honorowy.

- Możesz za darmo się nawcinać - powiedział wielbłąd. - Jak można iść, mając takie gołe i brzydkie czoło jak moje? Będzie tygrysica w pięknym płaszczu. Będzie orlica w eleganckich piórach. Pożycz mi, proszę, wielbłądzie, swoje poroże, tylko na dwie lub trzy godziny. Obiecuję, że ci je zwrócę. Jutro, z samego rana.

- No cóż - odparł wielbłąd wielkodusznie - wyglądasz dość okropnie, nie ma co.

Żal mi cię. Masz. - I wielbłąd zdjął swoje poroże, i dał jeleniowi, który aż podskoczył. - I pamiętaj, tylko nie poplam ich sokiem z jagód albo jakimś innym napitkiem, którym leśne zwierzęta będą się raczyły na przyjęciu.

Jeleń spotkał konia.

- Cześć - powiedział koń - niezłe poroże.

- A owszem, prawda, że niezłe? - odparł jelen. - Dostałem od wielbłąda.

- Hmm - podumał koń. - Może i mnie wielbłąd by co dał, gdybym ładnie poprosił.

Wielbłąd nadal stał nad jeziorem, popijał i spoglądał na pustynny księżyc.

- Dobry wieczór, drogi wielbłądzie. Zastanawiałem się, czy może na dzisiejszy wieczór zamieniłbyś się ze mną na ogony? Wybieram się na spotkanie z tą ślicznie zbudowaną klaczką, a ona od dawna jest wielbicieleką twojego ogona. Jestem pewien, że by się wprost

rozpłynęła, gdybym na jej wybiegu pojawił się z twoim ogonem.

Wielbłądowi to pochlebiło. - Naprawdę? Wielbicielką? Bardzo dobrze, zamieńmy się na ogony. Ale przynieś mi na pewno jutro z samego rana. I żebyś mi go nie poplamił, żadnym, yyy, mniejsza o to, po prostu uważaj na niego, dobrze? Przecież to najpiękniejszy ogon na całym świecie.

Od tamtej pory minęło wiele dni i lat, ale jeleni wciąż nie zwrócił wielbłądowi poroża, a sami możecie się przekonać, że koń wciąż galopuje po równinach z ogonem wielbłąda rozwianym na wietrze. A ludzie powiadają, że kiedy wielbłąd przychodzi teraz nad jezioro, żeby ugasić pragnienie i widzi swoje ogołoczone z poroża, brzydkie odbicie, prycha i zapomina, że mu się chce pić. A zauważyliście, że wielbłąd wyciąga szyję i wpatruje się w dal, w odległe wydmy bądź majaczące w oddali szczyty? Wtedy myśli sobie: Kiedy ten koń zamierza mi zwrócić mój ogon? - I dlatego zawsze jest taki smutny.

Niesione wiatrem piaskowe wiry odskakiwały od maski dżipa jak kangury. Od rana nic, tylko skorpiony i mirażę ukazujące się wśród skał.

Brat Bodu zatrzymał się przy stojącej samotnie jurcie. Na zewnątrz stał uwiązany wielbłąd, ale w pobliżu nie było nikogo. Tak jak przewiduje ceremoniał Gobi, mój gospodarz wszedł do jurty, przygotował jedzenie i napił się wody. Wielbłąd właściciela prychał jak człowiek. Z podświadomości mojego gospodarza dotarł błysk ostrzeżenia, ale zniknął, zanim zdołałem ustalić źródło. Wiatr wiał mocno, ale na świecie było cicho. Nie miał czego atakować, gdzie wpadać, czego przenikać.

Wróciliśmy do dżipa. Gazele śmigły w oddali, całymi stadami zawracając niczym płocie w rzece. Brat Bodu wjechał w Dolinę Sępiego Dzioba. Zatrzymaliśmy się przy sklepie, by kupić żywność i

benzynę, żeby starczyło do Bajanhonguru. Bodu przejeżdżał tędy wcześniej rano. Doganialiśmy go.

Wysoko krążyły jastrzębie. Jeden z ostatnich na Gobi niedźwiedzi włókł się skrajem lasu. Zostało już mniej niż sto. Brat Bodu spał w dziupie przykryty kilkoma kocami. W nocy oziębia się, nawet latem. Przyszły sny, o kościach i dziurkowanych kamieniach.

Następnego dnia wydmy, najdłuższy etap - osiemdziesiąt mil, wzbierające i przetaczające się, ziarno po ziarnku. Brat Bodu śpiewał piosenki, które ciągnęły się całymi milami, bez końca i początku. Wydmy zmarłych. Usłane kośćmi i dziurkowanymi kamieniami.

W oddali, poprzez rozedrgane powietrze widniał unieruchomiony dżip. Brat Bodu podjechał do niego i wyłączył silnik w swoim samochodzie. Z tyłu, pod prowizorycznym baldachimem spała jakaś postać.

- Wszystko w porządku? Nie potrzebujesz pomocy? Wody?

- Owszem - odpowiedziała postać, raptem siadając i ukazując żującą gumę twarz.

- Potrzebuję waszego dżipa.

Mój chyba wysiadł. - Punsalmaadżyn Suhbataar wypalił dwukrotnie z bliskiej odległości, po jednej kuli w każde z oczu mojego gospodarza.

Żadnego odzewu. Bezbarwny płomień. Na zewnątrz musi być noc, o ile w ogóle istnieje jakieś „na zewnątrz”. Jestem nagi, nie mam gospodarza. Wszystkie twarze zwrócone w jedną stronę, wszystkie w jednym wieku. Jedna z nich kaszle. To brat Bodu, rany jego oczu już zaleczone. Próbuję transmigrować w jego ciało, ale przecież nie mogę zamieszkiwać cienia. Nigdy nie zaznałem tak

głębokiej ciszy. Będąc tym, kim jestem, żyłem w przeświadczeniu, iż rozumiem prawie wszystko. A nie rozumiem prawie nic.

Podnosi się postać i opuszcza jurkę przez zasłonę. Tak zwyczajnie? Idę za tą postacią.

- Przepraszam, obawiam się, że nie możesz tędy przejść - odzywa się dziewczyna, której nie zauważyłem, co najwyżej ośmioletnia, delikatna i maleńka jak dawne kobiety w starożytności.

- Zatrzymasz mnie?

- Nie. Jeżeli uważasz, że tu są jakieś drzwi, to możesz sobie przejść.

Zatrzepotał strzyżyk.

Dotykam ściany. Żadnych drzwi. - Gdzie są?

Wzrusza ramionami, przygryzając wargę.

- To co mam zrobić? Pojawia się łabędź i bada teren. Dziewczyna wzrusza ramionami.

Łojowa świeca pryska i skwierczy. Tych kilkoro gości to całe rzesze. Aniołowie tysiącami pływają w naporstku. Od czasu do czasu któryś z gości podnosi się, przechodzi przez wyjście, którego nie ma. Ściana jurty ustępuje i z powrotem się za nim zamyka jak ściana wody. Próbuję wyjść razem z nim, ale przede mną nawet się nie ugina.

Mnich w szafranowej szacie wzdycha. Na głowie ma żółty kapelusz z przodu wygięty w łuk. - Mam problemy z zębami.

- Przykro mi - odpowiadam. Dziewczyna przemawia do swojego podenerwowanego świstaka.

Konie przemknęły galopem, a może to grzmot? Łabędź rozpościera skrzydła i wzbija się przez dach. Brat Bodu wyszedł drzwiami.

- Ale dlaczego ja nie mogę przejść? Inni przeszli.

Dziewczynka, marszcząc brwi, bawi się długim sznurkiem w kocią kołyskę. - Bo tak postanowiłeś!

- Ja niczego nie postanowiłem.

- Całe twoje plemię opuszcza swoje ciało, kiedy jeszcze oddycha.

- Co masz na myśli, mówiąc: moje plemię?

Jest tu i mnich w żółtym kapeluszu, mamrocze coś spękanyimi ustami. Szeptem mówi jej coś na ucho, ona patrzy na mnie nieufnie. - Bardzo dobrze - przyznaje. - Okoliczności są nietypowe. Ale co ja mogę zrobić?

Mnich zwraca się do mnie. - Przepraszam - mój ząb. - Skinienie proroka. - Czas przetoczył się, nastały lata chłodu i oddalenia... dotrzymałem obietnicy. - I on także przechodzi przez ścianę jurty.

Została już tylko dziewczyna ze świstakiem na rękach. Współczuje mi, a ja nie chcę, żeby poszła. Jestem zupełnie sam.

Znowu znalazłem gospodarza, który był człowiekiem, a ściany jurty żyły, pulsując trzewiami, niepokojem i pobliskimi głosami. Przeszukałem pomieszczenia na górze, ale niczego nie znalazłem! Żadnych wspomnień, żadnych przeżyć. Nawet nazwiska. Ledwie jakieś „ja”. Skąd dochodziły te głosy? Zajrzałem głębiej. Szepty i nagły przypływ dobrego samopoczucia. Próbowałem rozejrzeć się oczami mojego gospodarza, żeby się dowiedzieć, gdzie jestem, ale oczy nie chciały się otworzyć. Sprawdziłem, czy ma oczy - owszem, ale mój gospodarz w ogóle nie nauczył się ich otwierać, więc nie mógł zareagować.

Znajdowałem się w miejscu zupełnie niepodobnym do innych, ale mój gospodarz i tak nie wiedział, w jakim. Czy też raczej żadne inne miejsce nie było mu znane. Czyżby niewidomy i niemy? Umysł czysty. Tak czysty, że aż wzbudziło to mój lęk.

Dobre samopoczucie raptownie zakolało strachem. Zostałem wykryty? Ciasno zaciśnięty węzeł bólu. Paniczny strach, taki jakiego nie zaznałem od chwili, gdy zmasakrowałem umysł mojego pierwszego gospodarza. Zasłona zostaje zerwana i mój gospodarz wychodzi na świat spomiędzy nóg swojej matki, krzyczy, jest oburzona tym brutalnym wstrząsem. Gwałtowny napływ zimnego powietrza! Światło, prawda zza przymkniętych powiek, sprawia, że w kruchym mózgu mojego gospodarza wszystko się rozdzwania.

Poprzez pępowinę przeniknąłem do matki mojego gospodarza, a towarzyszące temu dojmujące uczucia przyprawiły mnie o istny zawrót głowy. Zapomniałem się odizolować i ogarnęła mnie radość, ulga, poczucie, że coś straciłem i zyskałem, wrażenie pustki i spełnienia, wspomnienie unoszenia się na wodzie i przepojonej miłością szarpaniny oraz przekonanie, że już nigdy nie będzie chciała przechodzić tych męczarni.

Ale ja mam zadanie do wykonania.

Kolejna jurta. Blask ogniska, ciepło, cienie poroży. Staralem się rozeznać w naszym położeniu. No. Dobre wieści, a zarazem złe. Mój nowy gospodarz był Mongołem i mieszkał w Mongolii. Ale znalazłem się daleko na północ od miejsca, do którego ostatnio zmierzał

Bodu, nieopodal granicy z Rosją. Znajdowałem się w prowincji Renczinhumbe, opodal jeziora Tsagaan Nuur i miasta Zulon. Był już wrzesień i niebawem miały nadejść śniegi.

Babką niemowlaka, którego właśnie opuściłem, była akuszerka. Uśmiechała się do leżącej córki, znieczulając pępowinę grudką lodu. Włosy zmierzwiłone, twarz okrągła jak księżyc. Z tyłu krzątała się ciotka z rondlami ciepłej wody, ubraniem i futrem złożonymi w kostkę.

Śpiewała monotonnym głosem. I tylko ta jej bezbarwna pieśń dźwięczała.

Wczesne poranne godziny. Poród był długi i ciężki. Uśmierzyłem ból matki, wprowadziłem ją w stan głębokiego snu i postarałem się, żeby porozrywana tkanka sama się zagoiła. Gdy mój gospodarz spał, miałem czas na rozmyślanie o tym, gdzie się podziewałem od czasu, gdy Suhbataar zastrzelił mojego poprzedniego gospodarza. Czyżby mi się przywidziała ta dziwna jurta? Ale niby jakim sposobem? Przecież ja i mój umysł to jedno - czyżbym tak jak ludzie posiadał w swoim umyśle jakiś umysł, o którym nie wiem? I jakim sposobem ponownie zostałem urodzony w Mongolii? Dlaczego i przez kogo? Kim był mnich w żółtym kapeluszu?

Skąd mam wiedzieć, że nie mieszkają we mnie żadne *noncorpa* i nie sprawują kontroli nad moimi działaniami? Jak wirusy w bakteriach? Na pewno bym wiedział. Ale przecież w taki właśnie sposób myślą ludzie.

Drzwi otworzyły się i jesienny wschód słońca wtargnął do środka z ojcem dziecka, dziadkami, kuzynami, przyjaciółmi, ciotkami i wujami. Przespali się w sąsiedniej jurcie i teraz tłoczyli się w domu, przejęci i pragnący jak najszybciej powitać nowego krewniaka.

Kiedy zaczęli mówić, miałem ogromne trudności z ich rozumieniem - kolejny mongolski dialekt, którego musiałem się nauczyć. Zmęczona matka promienieje szczęściem. Niemowlę ryczy, a starsi patrzą.

Zostawiłem matkę i przeniosłem się do jej męża, gdy ją całował. Jego plemię znane było Bałdzin jako lud reniferów. Bo renifery to dla nich pożywienie, waluta i odzienie. Są półnomadami. Parę razy w roku kilku ludzi udaje się do Zulon, żeby mięso i skóry wymienić

na zapasy oraz żeby sprzedać sproszkowane poroża reniferów chińskim kupcom, którzy w swoim kraju handlują tym jako afrodyzjakiem. Poza tym niewielki mają kontakt z resztą świata. Kiedy w tym pozbawionym przemysłu kraju Rosjanie byli zajęci organizowaniem proletariatu, żeby uzasadnić rewolucję społeczną, okazało się, że wśród ludu reniferów nie sposób przeprowadzić spisu ludności. Jakoś przetrwali po zlikwidowaniu miejscowego duchowieństwa buddyjskiego.

Mój gospodarz ma dopiero dwadzieścia lat i jego serce przepełnia duma. Rzadko zazdrozczę czegoś ludziom, ale tym razem tak. Jestem i zawsze pozostanę bezpłodny. Nie mam żadnych genów, które mógłbym przekazać. Dla mojego nowego gospodarza narodziny potomka to ostatni pomost prowadzący do prawdziwego męstwa; podniesie jego pozycję zarówno wśród rówieśników, jak i w oczach przodków. Najlepiej by było, gdyby się urodził syn, ale przecież jeszcze pojawi się dalsze potomstwo.

Już wiem, jak ma na imię: Bibi. Zapala papierosa i wychodzi z jurty. Zazdrozczę mu tej prostoty jego nadziei. Umie ujeżdżać renifery, umie też zdejmować z nich skórę, wie, które z ich narządów spożywane na surowo wspomagają funkcjonowanie ludzkiego organizmu. Bibi zna wiele legend, ale nie tę o trzech stworzeniach zastanawiających się nad losem świata.

Noc ustępowała, brzask przesączał się kroplami w rozlewisko światła, a cienie w otaczających osadę sosnach szemrały szarością. Na ciężkim mrozie zaskrzypiały odgłosy kroków jakiegoś rannego ptaszka. Głowę miał okrytą kapturem, błysnął zębami. Niebo przecięła spadająca gwiazda.

No i co teraz?

Jeżeli chodzi o moje poszukiwanie, nie zmieniło się nic. Bodu

nadal pozostawał jedynym moim atutem. Musiałem wrócić na południe, dość łatwo powinienem go wytropić.

Od czasu, gdy umknął przed Suhbataarem, minęły trzy miesiące. To cofnięcie będzie mnie kosztowało sporo czasu, ale przecież nieśmiertelnym go nie brakuje.

Powiedziałem babce Bibiego, akuszerce, że Bibi ma jakąś sprawę tego dnia w mieście.

Niechętnie odrywałem młodego ojca od jego córeczki, ale babka z radością nas przegoniła.

Mężczyźni tylko przeszkadzają.

Bibi i jego starszy brat jechali przez lasy, wśród ciosanych gór, brzegami wąskich jezior. Łodzie rybackie, wierzby i dzikie gęsi lecące rano w tę i z powrotem. Kozioł stojący na grzbiecie wzgórza. Od Bibiego wiele dowiedziałem się o łosiu, rysiu, o dzikiej owcy wilkach i o zakładaniu pułapek na młode dziki. Widzieliśmy niedźwiedzia łowiącego w rzece, z której wyskakiwały łososie. Jaskrawe tęcze, przymglone słońce. Żadnych dróg i tylko chłód związał błoto, dzięki czemu łatwo się jedzie.

Bibi rozmawia z bratem o noworodku i o tym, jak dziewczynka ma mieć na imię.

Zastanawiam się nad tym, czym jest pokrewieństwo. Dla wszystkich moich mongolskich gospodarzy rodzina to po prostu jurta, która daje schronienie, w której wraca się do zdrowia, w której przychodzi się na świat, w której się kocha i w której się umiera.

Mogłem tego wszystkiego zaznać pośrednio, jako pasożyt, ale nigdy nie mogłem do tego przynależeć.

Chyba że, przypadkiem... Ta nadzieja mnie podtrzymywała.

Zulon było kolejnym rozpadającym się miastem drewnianych

budynków, betonowych bloków i unieruchomionych ciężarówek rdzewiejących w płytkich kałużach, służących psom za wodopój. Elektrownia wałęsa dymem w nieskazitelne niebo. Kolejna fabryka - widmo z drzewkami wyrastającymi z komina. Kilka przysadzistych bloków mieszkalnych. Tłum zgromadzony wokół szopki z falistej blachy, która pełniła funkcję jedynej w mieście restauracji. Bibi zazwyczaj popijał tam po spotkaniu z właścicielem garbarni.

- Jacyś cudzoziemcy przyjechali do miasta - odezwał się do Bibiego brodaty myśliwy. - Nieskośnoocy. - Rosjanie znad granicy? Nowy handelek? - Nie. Jacyś inni.

Bibi wszedł do restauracji i zobaczyłem Caspara, który siedział nad talerzem i nabijał coś na widelec, i Sherry z kompasem ślęczącą nad mapą.

- Jak to dobrze cię widzieć! - odzywam się, zanim zdążyłem pomyśleć.

Zgromadzeni w restauracji mieszkańcy miasta patrzą zdumieni. Nikt nie miał pojęcia, że ten wędrowny pasterz mówi jakimkolwiek językiem, oprócz jakiegoś reniferowatego dialektu mongolskiego.

- Dzień dobry - odpowiada Sherry, podnosząc wzrok. Caspar patrzy z większą rezerwą.

- Jak wam się podoba ich kraj? - Tu już bardzo sobie pofolgowałem. Musiałem osłabić, a następnie wymazać efekty wstrząsu, jakiego doznał Bibi, usłyszawszy samego siebie mówiącego językiem, którego nigdy nawet nie słyszał.

- Jest piękny - Caspar i Sherry odpowiedzieli dokładnie w tej samej chwili.

- Pełen niespodzianek. No, dobra. To dalej bawcie się dobrze. Ale radziłbym wam pojechać gdzieś, gdzie jest cieplej, zanim

nastanie zima... gdzieś bliżej oceanu. W listopadzie pięknie może być w Wietnamie, górzysty kraj, a przynajmniej tak było...

Bibi usiadł i oczekując na brata, zamówił talerz jedzenia. Jego plemię dostaje u właściciela restauracji kredyt za mięso z reniferów. Wziąłem starą gazetę sprzed trzech tygodni, wydawaną w Ułan Bator. Bibi był analfabeta: jego dialekt nie posiadał formy pisanej, a jego plemię nie miało szkół. Wiadomości było niewiele, sporo mydlenia oczu i spóźniony reportaż ze święta narodowego. Niewiele to wszystko znaczyło dla Bibiego, który rzadko opuszczał swoje plemię, nigdy nie wyjechał poza prowincję i wyjeżdżać nie chciał.

Odwróciłem stronę z nekrologami, kiedy mój wzrok przykuł tytuł artykułu: *Podwójna tragedia dla mongolskiej kultury*.

Bodu nie żyje.

Rzadko odczuwam rozpacz, zapomniałem, jak potrafi drażnić.

Obaj bracia w tym samym tygodniu zmarli na atak serca, co, jak się dowiedziałem od Suhbataara, było jednym z ulubionych sposobów mongolskiego KGB na regulowanie politycznych zależności.

-Jest to tragedia tym bardziej dojmująca, że niebawem ma się ukazać dzieło życia zmarłego profesora, obszerna antologia mongolskich opowieści ludowych. Pragnąc uczcić pamięć tego giganta antropologii, zamieszczamy jedną z opowieści przytoczonych przez zmarłego profesora.

Powinienem wywalić tego Suhbataara w cholereę. Diabli z nim. I ze mną też.

Na ramieniu Bibiego wylądowała czyjaś dłoń. Szybko sięgnął do rękojeści myśliwskiego noża. Obok chwiał się pijany mężczyzna. Miał taki oddech, że Bibi aż się wzdrygnął. - Po co udajesz, że

czytasz gazetę, Człowieku Reniferów? I co to niby za gadanie w jakimś zasranym obcym języku? Gdzie to się było, kiedy ja walczyłem o demokrację?

Chciałbym wiedzieć - miał rozszerzone źrenice i czerwone powieki. - Nie umiesz czytać w cyrylicy. Nie umiesz czytać po mongolsku. A to na pewno nie było napisane po reniferzemu.

Gdzie to się było, kiedy walczyłem o komunizm? Chciałbym wiedzieć. No, dawaj, poczytaj mi rogalu. - I wtedy ryknął: - Aj! Dajcie mi jakiej gorzały! Czas na opowieść...

Cofnąłem się do początku. Byłem tak podenerwowany, że gotów byłem transmigrować nawet w tego pijaczka i wyrzucić go przez ścianę, ale co by z tego wyszło?

Przeczytałem opowieść. Winien to byłem Bodu.

W niepamiętnych początkach narodu Buriatów młody myśliwy Khori Tumed wędrował po najdalej wysuniętym na południe wybrzeżu Bajkału. Zima tajała i kapała z gałązek srebrzystej brzozy, kropla po kropli, a Khori Tumed patrzył na turkusowe góry widniejące za jeziorem.

Kiedy myśliwy odpoczywał, ujrzał dziewięć łabędzi lecących z północnego wschodu, nisko nad wodą. Khori Tumed zaniepokoił się - latały w kółko, bezgłośnie. Obawiając się czarów, ukrył się w dziupli sękatej wierzby. I słusznie, gdyż łabędzie wylądowały na plaży, a każdy z nich przeobraził się w piękną dziewczynę o bladej cerze, smukłych kończynach i kruczoczarnych włosach, a jedna bardziej olśniewająca od drugiej. Łabędzie - dziewczęta rozebrały się i powiesiły swoje odzienie na tej właśnie wierzbie, w której schował się Khori Tumed. Ociężałość ogarnęła członki myśliwego - nie ze strachu, lecz z pożądania i miłości.

Kiedy dziewczęta pływały w niewielkiej odległości od brzegu,

ostrożnie podkradł jednej z nich ubranie.

Łabędzie - dziewczęta wróciły z kąpieli pod wierzbę. Jedna po drugiej włożyły na siebie ubranie, przemieniły się w łabędzie i wzbiły się w powietrze, krążąc w tę i z powrotem nad Bajkałem. Dziewiąta dziewczyna - najpiękniejsza - gorączkowo szukała zaginionego ubrania, wzywała też swoje siostry, ale łabędzie już znikwały, odlatując na północny wschód.

Khori Tumed z głuchym łoskotem zeskoczył z drzewa, trzymając w garści suknię dziewczyny.

- Oddaj mi moją sukienkę! Proszę! Muszę dogonić siostry!

- Wyjdź za mnie - powiedział Khori Tumed. - Kiedy nadejdzie lato, ubiorę cię w szmaragdowe jedwabie, a gdy spadną śniegi, futro z czarnych niedźwiedzi nie pozwoli, byś zmarzła.

- Możemy o tym porozmawiać, ale proszę, żebyś natychmiast oddał mi moją suknię.

Myśliwy uśmiechnął się łagodnie. - To mi nie wystarczy.

Dziewczyna - łabędź patrzyła, jak jej siostry znikają za horyzontem. Wiedziała, że nie ma wyboru - albo odda rękę obcemu, albo jeszcze tej nocy zamarznie na śmierć. -

Muszę wobec tego udać się z tobą, śmiertelna istoto, ale zapamiętaj - kiedy urodzą się twoi synowie, nie nadam im imion. A bez imion nigdy nie uda im się przekroczyć progu człowieczeństwa.

I tak dziewczyna - łabędź poszła z Khori Tumedem do jego jurty i została kobietą z jego plemienia. Z czasem nawet pokochała nad wiek rozwiniętego młodego myśliwego i tak szczęśliwie spędzali swe dni. Urodziło im się jedenastu dorodnych synów, ale dziewczynę - łabędzia wiązały słowa złożonej obietnicy i synowie Khori Tumeda nigdy nie zostali obdarzeni imionami. A wieczorami dziewczyna spoglądała tęsknie na północny wschód i Khori

wiedział, że z początkiem zimy jej myśli uciekają ku domowi.

Przychodziły kolejne lata spięte ostrogą, umykały.

Któregoś dnia u schyłku jesieni, kiedy lasy zamierały w tanecznym pląsie, Khori Tumed opraciał owieczkę, a jego żona siedziała i wyszywała narzutę. Ich jedenastu synów nie było w domu, wyruszyli na polowanie.

- Mężu, czy nadal masz moją łabędzią szatę?

- Wiesz, że tak - odpowiedział Khori Tumed, rozcinając brzuch owcy.

- Chciałabym sprawdzić, czy jeszcze się w nią wbiję. Uśmiechnął się. - Za kogo mnie masz? Myślisz, że mam rozumek świstaka?

- Kochanie, gdybym chciała cię teraz opuścić, to przecież mogłabym skorzystać z drzwi. - Dziewczyna - łabędź wstała i pocałowała go w kark. - Pozwól.

Khori Tumed zmiękł. - Dobrze, ale zarygluję drzwi. - Umył ręce, odemknął kutą, żelazną skrzynię i podał swojej żonie suknię. Usiadł na łóżku, patrząc, jak żona rozbiera się i przywdziewa magiczne odzienie...

Nagle jurta wypełnia się odgłosem gwałtownych uderzeń skrzydeł i łabędź wzbija się przez szczelinę w dachu, klapą komina, którą Khori Tumed zapomniał zamknąć!

Zrozpaczony Khori Tumed rzucił w łabędzia chochlą i rękojeścią zahaczył tylko jego nogę.

- Proszę! Moja żono! Nie zostawiaj mnie samego!

- Mój czas dobiegi tutaj końca, śmiertelna istoto. Zawsze będę cię kochać, ale już przyzywają mnie moje siostry i tego wezwania muszę posłuchać!

- Więc powiedz mi przynajmniej imiona naszych synów, ażeby mogli stać się członkami plemienia!

I dziewczyna - łabędź, unosząc się nad namiotem, nadała imiona swoim synom: Karagana, Bodoguud, Szaraid, Tsagaan, Guszid, Khudai, Batnai, Khalbin, Galzut, Khowduud.

A potem trzy razy okrążyła obozowisko, żeby udzielić błogosławieństwa wszystkim, którzy w nim mieszkali. I ponoć istniało plemię Khori Tumed, a jedenastu synów zostało jedenastoma ojcami.

Pijak zamknął oczy i klapnął głową w talerz z ciepławymi pulpetami. Zapanowało milczenie. Do stołu przysiadła się z drugiej strony trójka dzieciaków, urzeczonych opowieścią. Bibi przypomniał sobie o dopiero co narodzonej córce. Spojrzałem na podobiznę Bodu w gazecie i zacząłem się zastanawiać, kim naprawdę był ten człowiek, którego znałem jedynie ze wspomnień innych.

Restauracja pustoszała i rozmowy powróciły do ostatnich walk zapaśniczych. Widok dwojga nieskośnookich, którzy jedli od pewnego czasu, wart był już tylko plotki. Zobaczyłem, jak Sherry szepnęła coś do Caspara i jak uśmiech rozjaśnił jego twarz, i wiedziałem, że są kochankami.

Daremne to było przedsięwzięcie. Szukanie źródła opowieści jest jak szukanie igły w stogu siana. Powinienem transmigrować do Sherry albo Caspara i w innych krajach podjąć poszukiwania *noncorpa*.

Wszedł brodaty myśliwy ze strzelbą. Błysnęło wspomnienie zastrzelonego, ale myśliwy oparł broń o ścianę i usiadł obok Bibiego. Zaczął rozkładać swoją strzelbę, czyszcząc po kolei części nasączoną olejem szmatą.

- Bibi, co nie? Z Plemienia Reniferów znad jeziora Tsagaan Nuur?

- Tak.

- Córka ci się urodziła?

- Dzisiaj w nocy.

- Lepiej wracaj do swojego plemienia - powiedział myśliwy. - Właśnie spotkałem twoją siostrę na targu. Szuka cię, razem z bratem. Twoja żona wpadła w histerię, a twoja córka umiera.

Bibi sklął siebie za to, że przyjechał do miasta. Chciałem błagać go o przebaczenie.

Już się zastanawiałem, czy nie transmigrować do myśliwego, a z niego z powrotem do Caspara lub Sherry, ale poczucie winy zmusiło mnie do pozostania. Może mógłbym jakoś pomóc przy dziecku, o ile zdążymy wrócić na czas.

Często myślałem o tamtej chwili. Gdybym wówczas transmigrował, wszystko byłoby inaczej. Ale zostałem i Bibi pobiegł na targ.

Zmrok nużył już chłodem, gdy dotarliśmy do obozowiska Bibiego. Oddechy jaków zawisały bielą w zmierzchu. Hen, z wysoka dobiegało nas wycie wiatru. Dla mnie brzmiało jak wilki, lecz lud reniferów zna różnicę.

Jurtę Bibiego wypełniały ciemne kształty, lampy, para i zmartwienie. Na srebrnej tacy płonął gorzki olej. Babka przygotowywała rytuały. Żona Bibiego leżała w łóżku, blada, kołysząc dziecko - oboje z nieruchomo utkwionymi oczami. Spojrzała na Bibiego. - Nasze dziecko milczy.

- Z twojej córki uciekła dusza. Była nie umocowana, nie związana przy urodzeniu i uleciała. Jeżeli do północy nie uda mi się jej wezwać z powrotem, to dziecko umrze.

- W szpitalu w Zulon jest lekarz, jeszcze dawniej wyuczony w zachodnich Niemczech...

- Nie bądź głupi, Bibi! Zbyt często widziałam, jak to przebiega. Ty i ta medyczna abrakadabra. To nie sprawa medycyny! Miała nie uwiązaną duszę. To sprawa magii!

Spojrzał na bezwładnie leżącą córkę i ogarnęła go rozpacz. - Co zamierzasz zrobić?

- Odprawię rytuały. Trzymaj tę tacę. Potrzebna mi twoja krew.

Babka wyciągnęła zakrzywiony nóż myśliwski. Bibi nie bał się ani noży, ani krwi.

Gdy babka przemywała mu rękę, transmigrowałem do starej kobiety z zamiarem przejścia do dziecka, by samemu zbadać problem.

I dalej nie ruszyłem.

Znalazłem coś, czego jeszcze nie widziałem w żadnym ludzkim umyśle: kanion cudzych wspomnień, przecinający jej umysł. Dostrzegłem go od razu, jak przelatującego satelitę. Wszedłem weń, wnikając zarazem we własną przeszłość.

Są trzy stworzenia, mówi mnich w żółtym kapeluszu, które zastanawiają się nad losem świata.

Jestem ośmioletnim chłopcem. I mam swoje ciało! Jesteśmy w więziennej celi, mniejszej od szafy, oświetlonej przez światło dochodzące z kąta zza kratki wielkości dłoni.

Mimo , że nie mam jeszcze czterech stóp wzrostu, to i tak nie mogę się wyprostować. Jestem tutaj tydzień, nie jadłem od dwóch dni. Zacząłem śmierdzieć własnymi odchodami.

Mężczyzna w sąsiednim pudle postradał zmysły i wyje wydając nieartykułowane dźwięki.

Przez kratkę widzę jedynie drugą kratkę w sąsiedniej trumnie.

Jest rok 1937. Strategie inżynierii społecznej towarzysza Czojbałsana, będące wierną kopią strategii Józefa Stalina z

dalekiej Moskwy, działają na całego. W Ulan Bator co tydzień urządza się procesy pokazowe. Wykonano setki egzekucji na agentach Japończyków zapowiadających inwazję z Mandżurii. Nikt nie jest bezpieczny. Ministra transportu skazano na śmierć za knucie spisków, których celem było powodowanie wypadków drogowych. Trwa akcja skutecznego wyburzania klasztorów. Najpierw wprowadzono niebotyczne podatki, a potem rozpoczęto „reedukację”. Mój mistrz okazał się winny feudalnej indoktrynacji.

Dowiedzieliśmy się tego wczoraj od ręki, która podawała nam wodę. To chyba było wczoraj.

Wieka sąsiednich trumien - cel podważono, a ich bezsilnych mieszkańców wywleczono.

- Boję się, mistrzu - mówię. - To opowiem ci historię - odpowiada mnich. - Zastrzelą nas?

- Tak - mówienie sprawia mojemu mistrzowi ból. Z jego powybijanych karabinem zębów pozostały ostre szczątki.

- Nie chcę umierać. - Myślę o matce i ojcu. Nie widzę ich twarzy. Matka i ojciec.

Biedni pasterze urabiający sobie ręce po łokcie, żeby wkręcić swojego syna do klasztoru: po pięciu latach ich ambicja przyniosła mu wyrok śmierci.

- Nie umrzesz. Obiecałem twojemu ojcu i nie umrzesz.

- Ale tamtych pozabijali.

- Ciebie nie zabiją. Posłuchaj! Są trzy stworzenia, które zastanawiają się nad losem świata...

Na niebie gęsto od wron. Ogłuchnąć można od ich krakania. Pękają kamienie. Mnie, mojego mistrza i około czterdziestu innych mnichów i nowicjuszy przewieziono na pole usłane nagimi zwłokami. Ziemia zbroczona zbrodnią. Ci, którzy iść nie mogą, są

wleczeni.

Opodal młodego zagajnika czeka pluton egzekucyjny. Żołnierze to sponiewierana zgraja, a nie regularny oddział Armii Czerwonej. Wielu z nich to zbóje znad chińskiej granicy, którzy zostają żołnierzami, gdy nie mają w co wbić zębów. Jest kilkoro dzieciaków, zgarniętych do kopania masowych grobów, a oglądanie egzekucji takich jak my kontrrewolucjonistów stanowi część ich socjalistycznej edukacji. Moich braci i siostry już dawno rozrzuciło po całej Mongolii.

Ze skalnego rumowiska spoglądają dzikie psy.

Czekamy. Sowiecki oficer podchodzi do najemników, którzy będą zabijać. Omawiają przebieg egzekucji tak, jakby rozmawiali o sadzeniu roślin na polu. I jeszcze się śmieją.

Mistrz intonuje mantrę. Chciałbym, żeby przestał. Drętwieję ze strachu.

U wejścia do jurty stoi dziewczyna, przygotowuje herbatę. Zacisze domowe, tu i teraz, zupełnie jak ze snu. Waha się, ale podchodzi. Nikt nie patrzy. Oczy duże i okrągła twarz.

Mistrz dotyka mnie lewą ręką, jej dotyka prawą i czuję, jak moje wspomnienia odpływają z prądem.

Mistrz wiedział, w jaki sposób przeprowadzić moją transmigrację! Mój umysł odłącza się i zaczyna podążać za wspomnieniami - ale w tym momencie żołnierz rozdziela ręce mistrza i dziewczyny, połączenie zostaje przerwane, dziewczyna przegoniona.

Wspomnienia dziewczyny zespalają ostatnią chwilę mojego życia. Widzimy chłopca - to ja - widzimy mistrza, który śpiewa. Jeszcze gdy lufy karabinów zostają wycelowane...

Jak powoli wszystko się przesuwa. Dziewczyna nie widzi, ale ja

wiem, jak patrzeć. Ciało chłopca leży w błocie, ma roztrzaskaną czaszkę, ale mózg nietknięty. Widzę! Zostawiony własnemu losowi, pulsujący. Jeden z najemników podchodzi do stosu, unosi czubkiem buta ciała leżące na górze, aby się upewnić, iż ci, co leżą pod spodem, nie żyją. Dotyka chłopca i w tej chwili moja dusza przeskakuje do swojego nowego domu.

Wiele lat, zanim była w stanie się poruszyć, niezdolna do samoidentyfikacji długo po tym, jak najemnik wrócił do swego ojczystego zakątka Chin, u stóp Świętej Góry. I tak to się kończy.

Teraźniejszość. Babka leży bez ruchu. Chciałbym odczytać jej życie, jak została zesłana w odległy zakątek kraju, jak dzięki małżeństwu weszła do plemienia obcych. Ale nie czas na to.

- Jestem tutaj.

- No cóż, nie myślałam, że to Leonid Breżniew tam myszkuje - mówi babka. - Już czas! Widziałam kometa.

- Wiesz o mnie?

- Oczywiście, że o tobie wiem! Przez te wszystkie dziesiątki lat nosiłam ze sobą te twoje wspomnienia z dzieciństwa! Pogłoski o sekcie Żółtego Kapelusza szybko rozeszły się po moim pleminiu. Gdy twój mistrz połączył nas tego dnia, kiedy odbyła się egzekucja, wiedziałam, co robi... Czekałam.

- To była długa podróż. Jedyne ślady przechowały się w moich wspomnieniach, ale te z kolei żyły w tobie.

- Moje ciało powinno było rozsypać się do końca już wiele zim temu. Parę razy próbowałam już umrzeć, ale nigdy nie było mi dane z powodu...

Spojrzałam na niemowlę. - Czy ona umrze?

- To zależy od ciebie.

- Nie rozumiem.

- Ciało mojej wnuczki jest twoim ciałem. Urodziła się z tobą jako swoją duszą i umysłem. Ona jest tylko łupiną. Jej ciało umrze w ciągu trzech godzin, jeżeli do niego nie wrócisz. Jeżeli chcesz, żeby przeżyła, musisz dać się ponownie zakuć w kajdany ciała.

Zastanawiałem się nad swoją przyszłością jako *noncorpum*. Nic na świecie nie byłoby przede mną zamknięte. Mógłbym nadal poszukiwać innych *noncorpa*, towarzystwa istot nieśmiertelnych. Mógłbym transmigrować w ciała prezydentów, astronautów, mesjaszy.

Mógłbym uprawiać ogród na stokach góry pod drzewami kamforowymi. W ogóle bym się nie starzał, nie chorowałbym, nie doznawał strachu i nie umierał.

Spojrzałem na leżące przede mną słabiutki, mające zaledwie dzień ciało, którego czynności życiowe z minuty na minutę zamierały. Średnia długość życia w środkowej Azji wynosi czterdzieści trzy lata i stale się zmniejsza.

- Dotknij jej.

Nade mną wysoko dyndają nietoperze, trzepocząc, wzbijają się w niebo, spadają ku ziemi i z powrotem wzbijają się w niebo, sprawdzając, czy wszystko jest w porządku. W jurcie słyhać moje zawodzenie wypełniające przestrzeń, dobywające się z czeluści moich liczących zaledwie osiemnaście godzin płuc.

PETERSBURG

Przez cały dzień parszywie lało. Deszcz, deszcz, deszcz, sika z rozprutego nieba.

Dobry Boże, chociaż papierosa.

Któregoś dnia Jerome tłumaczył, wierzyć mu czy nie, że szkło to w rzeczywistości ciecz, która z biegiem lat nabiera przy dnie gęstości. Szkło to gęsty syrop. Ale z JerOMEM nigdy nic nie wiadomo. Rudi powiedział, że ja też z biegiem lat gęstnieję przy dnie, i przez minutę się zaśmiewał.

Ziewam, ziewam tak, że aż mnie dreszcz przechodzi. Nikt nie widzi. Nawet mnie nikt nie zauważa. Jeżeli moja obecność w ogóle im przeszkadza w pasieniu się, to i tak pewnie przyjmują, że jestem owieczką, która przez łóżko załatwiła sobie tę mizerną synekurkę na plastikowym krzeselku w pomniejszej galerii wielkiego Ermitażu. Nie mam nic przeciwko.

Tak naprawdę to coś takiego mi odpowiada. Na właściwy moment mogę poczekać. My, Rosjanie, mamy dużo czasu.

A więc, panie i panowie, rozpocznijmy nasze safari na pospólstwo wałęsające się po galerii. Pozwolą państwo, że jako pierwszy przedstawię snujów. Nie umknie państwa uwagi, jak to plemię zbija się w gromadkę i każdemu obrazowi poświęca tyle samo czasu.

Tuż obok przechodzą myśliwi wielkiego formatu, których tylko Cezanny, Picassy i Monety zadowolą. Zwróćcie uwagę na ich flesze i drapieżne ruchy! Możecie ich ukarać grzywną w wysokości pięciu dolarów - w twardej walucie - a kto się dowie? Łaziki nie są tak systematyczne. Zwykle polują samotnie, szwendając się zygzakiem po salach, i gdy tylko coś przykuje ich wzrok, zatrzymują się na

dłuższą chwilę. O tam! Widzicie go? Tomcio podglądacz! Tam! Czai się za postumentami. Bądźcie czujne, panie! Zadaniem naszych przyjaciółek reprezentujących płęć słabszą nie jest obserwowanie dam w pozłacanych ramach, lecz tych, które chodzą tu w ażurach. Kilka co bezczelniejszych taksowało mnie ukradkowymi spojrzeniami. Zmusiłam je do odwrócenia wzroku. Margarita Łatuńska nie ma powodu, by się którejkolwiek z nich bać. Na czym to stanęliśmy? Aha, owce. Można usłyszeć ich pobekiwanie w tle oraz pasterzującego im przewodnika, który tłumaczy, co i dlaczego należy podziwiać. A ten człowiek, zapytacie, który donośnym głosem peroruje, co naprawdę chciał przed pięcioma wiekami we Florencji powiedzieć Angelo Bronzino, niby kim jest? To wykładowca popisujący się swoją erudycją niczym ekshibicjonista w parku Smolnym. Nieraz i mnie tacy zaczepiali przy stawie z kaczkami. - Trochę mały, co nie? -Ale wobec braku zainteresowania pierzchali. Wróćmy do galerii. Parę razy w tygodniu mieliśmy wizytę Pana Boga Wszchemogącego: jednego z dyrektorów, który wkraczał tak, jakby to miejsce do niego należało, co, jak podejrzewam, poniekąd jest prawdą. Albo tak im się wydaje. Od czasu do czasu przychodzi Jerome z notesem, żeby przestudiować kolejny obraz, ale udajemy, że się nie zauważamy. Jesteśmy zawodowcami. I wreszcie inne bywalczyńie galerii, tlenione, z prostymi włosami, a każda gdzieś sadza swój gruby tyłek. Ja, nawiasem mówiąc, tyłka grubego nie mam i zmusiłam Rudiego, żeby przyznał, że tylko żartował. Oprócz tego przychodzą jeszcze zdziiry i ladacznice, jedna w drugą. Łażą po wszystkich zakamarkach. O, jak patrzą na mnie ze złością i plotkują na temat zrozumienia, jakie znajduję u dyrektora pozyskiwania zbiorów, głównego kustosza Rogorszewa. To nie jakaś zwykła zazdrość istoty

porzuconej wzbudza w nich nienawiść do mojej osoby. I powiedziałam im, co. To zazdrość, jaką odczuwa pularda z menopauzą wobec prawdziwej kobiety.

Co tam oni. Nikt się z nich nie liczy. Wznioślejsze rzeczy mam na względzie.

Tak, chłodne i deszczowe panowało lato w naszym dżdżystym mieście. Jerome twierdził, że Piotrowi udało się skłonić ludzi do zamieszkania na tych błotnistych, przemarzniętych moczarach tylko dlatego, że ogłosił, iż w żadnym innym miejscu na obszarze całego imperium, od Bałtyku po Pacyfik, budowniczowie nie mogą legalnie pracować. W to gotowam uwierzyć.

W mojej galerii nikogo w tej chwili nie ma - marmurowy posąg Posejdona i te pięć obrazów nie przyciągają aż takiego tłumu, pomimo tego, że znajduje się wśród nich jeden Delacroix - wstaję więc i podchodzę do okna, żeby rozprostować nogi. No, chyba nie sądzicie, że Margarita Łatuńska będzie siedzieć kamieniem przez siedem godzin, co? Przy-stawiam koniuszek nosa do zimnej szyby. Ściany deszczu przesuwają się Nową od Bałtyku.

Mijają nową rafinerię zbudowaną za dojczmarki, doki, rdzewiejącą bazę marynarki, Twierdzę Pietropawłowską, przesuwają się nad Wyspą Zajęczą, gdzie po raz pierwszy spotkałam Rudiego, nad mostem lejtnanta Szmidta, gdzie wiele lat temu zajeżdżałam z członkiem politbiura, spijając cocktaile na tylnym siedzeniu jego wielkiej czarnej czajki z proporczykarni zamocowanymi nad reflektorami. O, zdziwieni - nie ma co udawać. Nie zapominajcie, kim jestem! Nikomu się nie działa krzywda, jego żona przecież i tak leżała sobie szczęśliwa na plaży nad Morzem Czarnym ze swoimi czystymi jak łąza dzieciakami. A i tak pewnie masażyści - Kozacy - ustawiali się w kolejce, żeby ją masować

poniżej łopatek.

Wypinam się na to wszystko, obracam się na pięcie i wywijam mazura na śliskiej drewnianej podłodze. Ciekawe, czy tak to robili, kiedy rej wodziła tu caryca Katarzyna? Już widzę, jak - może nawet w tej sali - wykonuje taneczne pas z młodym Napoleonem albo jak sobie hasa z dziarskim kompozytorem Tołstojem czy jak rozpala Czyngis-chana, odsłaniając na mgnienie oka królewską łydkę. Bliska jest mi każda kobieta, która rzuca sobie do stóp tych wszystkich obdarzonych władzą gwałtowników. Caryca Katarzyna także zaczynała jako osoba z zewnątrz, nisko urodzona, Jerome opowiadał mi. Wiruję, robię piruety i przypominają mi się owacje, jakie zwykle dostawałam w Teatrze Puszkina.

Wpatruję się w kolejny obiekt mojego podboju, naszego podboju, powinnam powiedzieć. *Ewa i wąż* Delacroix.

Łup przywieziony z Berlina w 1945. Główny kustosz Rogoszew opowiadał, że Germanicy chcą teraz, żeby im to wszystko zwrócić! Co za tupet! Pozbycie się tych wrednych nazistów kosztowało nas czterdzieści milionów ludzkich istnień, a wszystko, co z tego mamy, to tych kilka obrazów olejnych Zawsze miałam do niego słabość. To ja zaproponowałam, żeby następny skok zrobić na Ewę. Rudi chciał, żeby iść na coś większego, choćby na jakiegoś el Greca albo któregoś z van Goghów, ale Jerome uważał, że nie powinniśmy być zachłanni.

- Śmiało, kochanie - nalega wąż. - Weź jedno. Słyszysz je? Sięgnij po mnie, tak mówi. To wielkie, błyszczące, czerwone. Sięgnij po mnie, sięgnij zaraz i zerwij. Przecież chcesz.

- Ale Bóg - przytacza Jego słowa Ewa, bystra dziewczyna, wyczuwając prowokację - kategorycznie zabronił nam spożywania owoców z Drzewa Wiadomości.

- Ach Bóg... owsszszszszem, ale czyż Bóg nie dał nam życia? I czyż Bóg nie dał nam pragnień? I czyż Bóg nie dał nam zmysłu smaku? Czymże więc innym jest życie, jeśli nic ssssmakowaniem owoców, których pragniemy?

Ewa zaplata ramiona i przyjmuje pozę prymuski. - Bóg kategorycznie tego zabronił.

Adam mi mówił.

Waż jadowicie się uśmiechnął, wietrząc komedianctwo Ewy. - Bóg to na swój sposób miły facet. Powiedziałbym nawet, że chce dobrze. Ale tak między nami a Drzewem Wiadomości, to on jest strasznie niepewny.

- Niepewny? Przecież stworzył ten cholerny wszechświat! Jest wszechmocny.

- Otóż to! Toż to istny obłęd, nie? Całe to uwielbienie, rano, w południe i wieczór.

Całe to „Chwała niech będzie Panu, chwała niech będzie Panu, chwała niech będzie Panu Wiekuistemu”. To nie wszechmoc, nie tak bym to nazwał, to emocjonalizm. Najbardziej niezależne autorytety są zgodne co do tego, że Bóg nigdy nie doceniał roli cząstek wirtualnych w stworzeniu wszechświata. Wychowuje ciebie i Adama na pożywcę mitów, podczas gdy naprawdę ciekawe informacje tkwią zamknięte w tych soczystych jabłkach, Siedem dni?

Dajcie mi odpocząć.

- Rozumiem, o co ci chodzi. Ale Adam się wkurzy.

- No przeciezzzz... twój pozbawiony owłosienia, nagi męzulek. Dopiero co rano widziałem, jak baraszkował na łące z puchatą owieczką. Wyglądał na zadowolonego. No a ty, Ewo? Chcesz spędzić całą wieczność w otoczeniu rodziny potulnych zwierząt Istoty

Najwyższej, która chcąc zapewnić sobie wasze towarzystwo, upiera się, żeby zwracać się do niej imieniem "Jahwe"? Chyba nie. Adam może i na chwilę się wkurwi, ale zmieni zdanie, kiedy mu pokażę strzały o brązowych grotach, torby z krokodylej skóry i hełmy pozwalające wejść w wirtualną rzeczywistość. Wydaje mi się Ewo, że twoim przeznaczeniem są wyższe rzeczy.

Ewa spogląda na jabłko, duże winne jabłko kołyszące się na gałęzi w migoczące złote popołudnie. Przełyka ślinę. - Wyższych rzeczy? Masz na myśli Wiedzę Zakazaną?

Waż trzepocze językiem. - Nie, moja droga Ewo. To tylko zasłona dymna. Tak naprawdę chodzi o Pragnienie. Może sobie zapalisz, zastanawiając się nad moją propozycją?

Odgłos kroków na schodach. Siadam, przyjmując postawę wartowniczkę. Za tego papierosa dałabym się zabić.

Wchodzi główny kustosz Rogorszew z szefem ochrony, trollem o twarzy, która niezmiennie sprawia takie wrażenie, jakby miała pęknąć i obryzgać szczątkami czaszki jakiegoś przypadkowego człowieka.

- Pomyślałem, że do Wielkiej Sali moglibyśmy przejść obok Delacroix. To taki nie doceniany mały skarb! - główny kustosz Rogorszew odwraca się w moją stronę, wypycha językiem wargi.

Wdzięczę się jak dziewczyna, tak jak lubi.

- Będę musiał to całe wyposażenie przeniuchać pod kątem materiałów wybuchowych. - Szef ochrony wciąga powietrze, kicha i rękawem wyciera nos.

- Co się da. Już ja wiem, jak ambasador Francji uwielbia wszystko wytykać tą swoją laską. - Idą dalej. Przy drzwiach główny kustosz odwraca się, przesyła mi całusa, pokazuje na zegarek i bezgłośnie poruszając ustami, mówi „o szóstej”. Totem napina palec

wskazujący, że niby ten jego ty-ci-tyci mu stoi.

Błysnęłam w odpowiedzi spojrzeniem, co miało oznaczać Jeszcze jak, jeszcze jak!

Przestań, bo eksploduję!".

Biegnie truchtem za szefem ochrony, myśląc, ach wy Rogorszew, główny kustosz, szczywany z was lajdak, jesteście mistrzem uwodzenia, oto kolejna przedstawicielka niewieściego gatunku wpadła w waszą sieć. Prawdą jest, że główny kustosz Rogorszew był mistrzem, ale tylko pod jednym względem: tym, że lubił się ludzić. No bo spójrzcie! Choćby ta lśniaca czarna czupryna. Przykleja ją sobie co poniedziałek. Przyjdzie czas, niezadługo, kiedy się przekona, kto w czyją sieć wpadł. Podobnie Wydział do Spraw Ciężkie Przystępstw.

Niebawem moje urodziny. Kolejne. To wyjaśnia, dlaczego Rudi był ostatnio zbyt zajęty, żeby się ze mną spotyka. Wie, że uwielbiam niespodzianki.

Ta dęciara Pietrowicz przychodzi mnie zmienić, kiedy ja idę na herbatkę. Już raz kiedyś spuścili mnie z grafiku i posadzili na cały dzień w galerii. Kazałam Rogorszewowi wyłąć prowodyra. Nikt z nich od tamtej pory ze mną nie rozmawia, ale za to nie zapominają już o mojej przerwie na herbatę.

W stołówce dla personelu pusto. Pracownicy gastronomii zdążyli już pójść do domu, gdy wypadła moja przerwa, jestem więc sama w rozbrzmiewającej echem sali. Ekipa dęciary uznała ten ostracyzm za zwycięstwo, ale mnie to odpowiada. Przyrzędzam sobie filiżankę mojej własnej amerykańskiej kawy i palę ulubione francuskie papierosy. Delikatny płomień zapala suchy jak pieprz koniuszek i zaciągani się. - Ach! Cudownie, jakby człowieka trafiło!

Dobrze wiem, że moi drodzy współpracownicy delectowaliby się

najmniejszym obłoczkiem dymu z tych papierosów, więc może wychodząc, poperfumuję salę.

Widzę stąd plac Pałacowy. Wirówka na mokrej kostce brukowej. Przejście zajmuje dwie minuty. Karzeł biegnący za parasolką - jemu zajmie to jedną.

Że też te krowy śmiały tak obłudnie się ze mną obejść?

Bo faktem jest, że kipią z zazdrości, bo to ja, a nie one, posiadam te kobiece umiejętności, które pozwalają mi łapać facetów. One łapać mogą, ale siebie za włosy.

Przyznaję, że małe porozumienie między mną a głównym kustoszem Rogorszewem daje mi pewne przywileje, zupełnie niezależnie od znaczenia tego porozumienia w szerszym planie, ale gdyby się dało, to te zaplute wiedźmy oddałyby za te przywileje życie, jeszcze zanim ktokolwiek zdążyłby powiedzieć „ściągnij majty”. - Tak jest, nawet ta dęciara Pietrowicz, z tą swoją nową fryzurą w stylu druciak na piance i tłustymi udami.

Gdyby Petersburg był jeszcze Leningradem, mogłabym to dziadostwo wysłać choćby w pizdu! A nawet dalej! Można by je wysłać hurtowo, żeby pilnowały muzeum na pustyni Gobi i mieszkały w jurtach!

Byłam konkubina dwóch ludzi władzy, rozumiecie. Najpierw polityka. Nie podam wam jego nazwiska, siedział w politbiurze tak wysoko, jak tylko możecie sobie wyobrazić, tak że nie musiał się obawiać, że zostanie wykopany jako potencjalny konkurent. W każdym razie na tyle wysoko, że znał kody głowic nuklearnych. Gdyby mu się chciało, to praktycznie mógłby urządzić koniec świata. Pociągnął dla mnie za ten i ów sznurek w komitecie partii i załatwił mi śliczne mieszkanie wychodzące na plac Aleksandra Newskiego. A jak już nagle zmarł na zawał serca, to na kochanka

wybrałam sobie admirała Floty Pacyfiku. Dostałam, oczywiście, nowe mieszkanie - na wieczystą dzierżawę - które licowało z admirałskim stanowiskiem. I nadal tam mieszkam, opodal mostu Aniczковского, na Nabrzeżu Fontanki.

Bardzo był czuły ten mój admirał. I myślę, ale to tylko między nami, że trochę za bardzo się starał. Za bardzo chciał przebić prezenty, jakie politycy mi kupowali. Był strasznie zaborczy.

Moi mężczyźni zawsze tacy są.

Mój Boże, były czasy.

- Łymko - mówię na przykład - trochę mi zimno, kiedy lak wychodzimy wieczorami na balet... - I już następnego dnia rano ląduje futro z norek. - Łymko, mało blasku w tym moim życiu... - No i pokazałabym wam diamentową broszę, ale musiałam ją sprzedać, żeby ustawić przedsięwzięcie Rudiego w biznesie, jeszcze jak zaczynaliśmy, rozumiecie. A tej dęciarze Pietrowicz szczena tak by opadła, że przez tydzień nie mogłaby zamknąć gęby. - Łymko, taki to a taki w partyjnym domu towarowym zachował się w zeszłym tygodniu okropnie. Zupełnie nie na miejscu. Nie chciałabym nikogo wpędzać w kłopoty, ale o twojej zawodowej uczciwości opowiadał rzeczy, które mnie do żywego dotknęły... - I już nazajutrz rano taki to a taki stwierdzał, że został mianowany młodszym sprzątaczem w publicznych sraczach na Zabajkalu. Wszyscy wiedzieli o mnie, ale też wszyscy dla świętego spokoju godzili się. Nawet jego żona nie mieszała się i siedziała w bazie we Władywostoku z przychówkiem admirałskich bachorów.

Jeszcze papierosa. Popielniczka już prawie pełna. Karzeł i tak nigdy nie złapie swojej parasolki.

I z powrotem na plastikowym krzeselku. Zaraz zacznę wyc z nudów. I tak dzień w dzień muszę odgrywać cierpliwość, zdychając

z braku zainteresowania. Wreszcie, słaniając się, nadchodzi koniec popołudnia. Jestem głodna i napiła bym się wódki. Rogorszew ma swoją ukrytą butelczynę. Liczę sekundy. Czterdzieści minut razy sześćdziesiąt sekund, to jest jeszcze dwa tysiące czterysta sekund. Nie ma co wyglądać na zewnątrz dla zabicia nudy, bo widok już znam. Nabrzeże Pałacowe, Newa. Brzeg Piotrogradzki. Namówiłabym głównego kustosza Rogorszewa, żeby zmienił mi galerię, ale Rudi mówi, że nie, nie teraz, kiedy tak blisko jesteśmy wielkiej nocy. Jerome zgodził się z nim, przynajmniej raz, więc tak tu tkwię.

Aż dziw pomyśleć, że my, Rosjanie, tak się kiedyś liczyliśmy w świecie. A teraz musimy zabiegać o jałmużnę. Nie interesuję się polityką- zajmowanie się nią też było niebezpieczne jak cholera, kiedy dorastałam. Zresztą, czym tak naprawdę był ten Związek Socjalistycznych Republik Sowieckich? Żeby była republika, muszą być prawdziwe wybory, a ja nigdy takowych nie widziałam, a i żadnych Sowietów też do cholery nie widziałam - nawet nie wiem dokładnie co to takiego. Socjalizm znaczy kraj, który jest własnością zwykłych ludzi, a moja matka niczego poza pasożytami jelić się nie dorobiła. A Związek to niby gdzie był? Żebyśmy my, Rosjanie, wyrzucali ruble na te wszystkie rozsiane po całej Azji niepotrzebne państewka nabite węzójadami i ich bachorami, tylko po to, żeby Kitajce czy Arabcy nie położyły na nich łapy? To dla mnie żaden związek. Toż to po prostu wykupywanie sąsiadów. Imperium mimo woli. Ale wtedy mogliśmy każdemu nakopać! Jerome opowiadał mi, że są w Europie uczniaki, które w ogóle nawet nie słyszały o ZSRR! Posłuchajcie meine Kinder, tak bym im powiedziała, o kraju, o którym nigdy nie słyszeliście, a który posiadał wystarczająco dużo bomb atomowych, żeby cały mur

berliński po waszej stronie jarzył się na buraczkowo przez najbliższe dziesięć tysięcy lat. Więc trochę wdzięczności. Mało co, a byście się urodzili z kropeczkami na rękach jak u muchomorów i z workami ropy zamiast głowy, o ile w ogóle byście się urodzili. Przemyślcie to sobie.

Czasami jednak zastanawiam się, czy tak wiele się zmieniło od czasów tej kanalii Gorbaczowa. Jasne, jeżeli chodzi o zwykłych ludzi, to stropy im w domach pogniły, a oni sami walili się na dół. Znaczący, na tych podłogach. Ci sami ludzie, którzy podarli na strzępy swoje legitymacje partyjne, teraz wytaczają furę z bzdurnymi sloganami demokracji: „talent i energia na strategicznych etapach”, „oryginalność w operowaniu kapitałem”, „usprawnianie i restrukturyzacja”. Pełno tego w listach, które wystukuję dla głównego kustosa Rogorszewa.

Ale czy jest naprawdę jakaś różnica? Jest to, co zawsze było. Rozpoznawanie rzeczywistych, acz niewidzialnych bramek i wykorzystywanie wszelkich możliwych środków, jakie się ma do dyspozycji, żeby zrobić wynik. A mogą być zgromadzone w sejfie genewskiego banku, na twardym dysku w Hongkongu, zamknięte w twojej czaszce albo w miseczkach twojego biustonosza. Nie, nic się nie zmieniło.

Opłacałeś się miejscowym zbirom z partii, a teraz opłacasz się zbirom z miejscowej mafii. Kiedyś partia kłamała, kłamała i jeszcze raz kłamała. A teraz kłamie, kłamie i jeszcze raz kłamie nasz demokratycznie wybrany rząd. Ludzie kiedyś pragnęli dóbr i słyszeli: pracuj i poczekaj ze dwadzieścia lat, a może przyjdzie na ciebie kolej. Teraz ludzie nadal pragną dóbr i słyszą: pracuj, oszczędzaj przez dwadzieścia lat, a może przyjdzie twoja kolej. Gdzie różnica?

Powiem wam coś w tajemnicy. Bo wszystko sprowadza się do pragnienia. Wszystko.

Wszystko dzieje się z powodu ludzkich pragnień... Przyjrzyjcie się uważnie, a zobaczycie co mam na myśli.

Ale jak już mówiłam, polityką się nie interesuję. Takie to rzeczy przychodzą do głowy, jak się tu siedzi.

Rozpoznałam kroki głównego kustosa Rogorszewa, który przemierzał zewnętrzny korytarz - towarzyszyły im kroki kobiety. Słyszałam, jak opowiadał jej te same dowcipy, które opowiadał mnie na parę miesięcy przed tym, zanim go uwiodłam, i jak się śmiała perlistym śmiechem, tak samo jak ja. To już taki szczególny talent facetów, że choć mają oczy, to i tak są ślepi.

- A tutaj - powiedział główny kustosz Rogorszew, wprowadzając do mojej galerii wysoką, długonogą kobietę - zapewne rozpoznajesz *Ewę i węża* Eugene'a Delacroix. -

Mrugnął do mnie niezdarnie, zupełnie jakbym nie widziała, co się dzieje.

Główny kustosz działał na nią odpychająco - ewidentny znak dobrego smaku - ale dobrze to skrywała. Zachodni ubiór, francuskie botki, włoska torebka. Ciemna, w kształcie oczu coś arabskiego. Trzydzieści, trzydzieści jeden, ale człowiekowi pokroju Rogorszewa mogła wydawać się młodsza, Żadnych cieni na powiekach, różu czy podkładu, tylko świetnie dobrana szminka koloru morwy. Interesująca. Miałam rywalkę... I dobrze.

- Pani Łatuńska, przedstawiam Tatianę Makuch. Tatiana pozostanie z nami przez najbliższe sześć tygodni, na czas depozytu z Muzeum Sztuki Stanisławowskiej w Warszawie.

Ogromnie się cieszymy z jej obecności.

Tatiana podeszła do mnie, jej buty nieznacznie skrzypiały.

Wstałam. Byłyśmy tego samego wzrostu. Zajrzałyśmy sobie w oczy - niebieskie - i powoli podałyśmy sobie ręce.

- Miło mi - powiedziałam. - Niezmiernie.

- Ogromnie mi miło - odpowiedziała. Jakież pełny głos. Rosyjski z nutką polskiego.

Istne delicje.

- Proszę pana - zwróciłam się do głównego kustosza Rogorszewa, nawet na niego nie spojrzawszy - czy dziś wieczorem także mam przyjść do pańskiego biura o zwykłej porze? Czy też panna Makuch przejmuję od tej chwili notowanie pańskich osobistych uwag?

Tatiana odezwała się pierwsza, z tym swoim szarpniętym w prawo półuśmiechem. -

Pani Makuch. I obawiam się, że moje talenty nie obejmują kompetencji sekretarki. Była świetna. Naprawdę świetna.

- Wszystko bez zmian, proszę pani - główny kustosz Rogorszew zwracał się do mnie tak, jakby cokolwiek w ogóle powiedział już w tej materii - proszę przyjść o zwykłej porze. Mam parę ważnych depesz do przygotowania - Boże, tu już przesadził - a wiem, że tylko pani spisze się tak, że będę zadowolony. - Swoje kwestie najwyraźniej wyrwał z jakiegoś czytadła. - Chodźmy już, proszę - odezwał się do Tatiany Makuch - musimy zakończyć naszą błyskawiczną podróż, zanim wybije szósta i zmienię się w wilkołaka!

- Będziemy jeszcze miały okazję się zobaczyć - powiedziała Tatiana.

- Owszem, będziemy.

Za kwadrans szósta. Przeganialiśmy maruderów. Deszcz nie chciał przestać padać, a czas płynąć. Główny kustosz Rogorszew będzie się teraz robił na bóstwo w swojej prywatnej toalecie.

Niewielu facetów doprasza się o manikiur dla swoich własnych zwłok. Jeszcze tylko papierosek. Jezu Chryste, im szybciej opuścimy z Rudim to cholerne miejsce, tym lepiej. To mówię do niego: - Słuchaj no! Upchnijmy w jedną noc z dziesięć dużych okazów! Kilka Picassów, parę Cezanne'ów i kilka el Greców, a za pieniądze, które już mamy, w siedemdziesiąt dwie godziny moglibyśmy kupić sobie domki letniskowe w Szwajcarii, a potem rok po roku wyprzedawać złote jaja znoszone przez naszą kurę. - Jeziora, jachty, narty wodne w lecie. Buduar już sobie zaprojektowałam. Kupię sobie płaszcz z geparda, taki do kostek. W lokalach będą mnie nazywali Białą Rosyjską Damą, a wszystkie kobiety będą mi zazdrościć i ostrzegać przede mną swoich mężów zbijających kasę na serach. Ale nie mają się co martwić. Ze mną będzie Rudi. Przecież rozwinie skrzydła, gdy znajdzie się z dala od tych wszystkich rozrywek tutejszych szumowin. W lecie będzie uczył nasze dzieci pływać, a w zimie wszyscy wybierzemy się na narty. Jak rodzina.

- Tak zrobmy! Gregorski może przygotować wizy - mówię do Rudiego. - To takie proste!

- To wcale nie jest takie proste! - odpowiada. - Zapomnij na chwilę, że jesteś kobietą, i rusz głową! To wszystko do tej pory działało tylko dlatego, że nie byliśmy zachłanni. Jeśli obrazy zaczniemy ściągać w tempie szybszym, niż Jerome jest w stanie je podstawiać, to ludzie zauważą ich znikanie! A w przypadku każdego zaginionego obrazka pomnóż przez dziesięć liczbę gliniarzy, którym Interpol przydziela sprawę! Przez dwadzieścia pomnóż łapówki, które muszą rozdać! Przez trzydzieści pomnóż trudności ze znalezieniem nabywców! A przez pięćdziesiąt pomnóż lata, które spędzimy w ciupie!

- Wielkie dzięki za wykład z matematyki, ale to nie ciebie ten łyśy tucznik co tydzień nadziewa na swój rożen!

I wtedy dopiero Rudi zaczyna na mnie wrzeszczeć, a jak jest napity, to i nawet trochę mnie trzepnie, ale tylko trochę, ostatecznie to przez picie, w końcu wypada, jedzie się przejechać i nie widzę go, bywa, przez parę dni. Jest pod ogromną presją.

- Kocham cię! - wykrzykuje główny kustosz Rogorszew, walcząc zawzięcie z ramiączkiem mojego biustonosza, który owinął mu się wokół tchawicy. - Królik nadchodzi!

Aaa, połącz się ze mną, moje ciasteczko. Wchłaniam cię, pozeram! Króliczek nadchodzi!

Zniszcz mnie, dziwko moja, moja pani, kocham cię!

Wiem, że bierze mnie za Tatianę. W porządku. Jakoś to znoszę, wyobrażając sobie, że on to Rudi. Mam nadzieję, że szybko skończy i będę mogła sobie zapalić. Podwędzę mu kilka jego kubańskich cygar dla Rudiego, żeby robił wrażenie w biznesie. Może obejmę tego hipopotama w pasie, żeby szybciej skończył. Jęczy jak chłopak, który stracił panowanie nad gokartem pędzącym po stromiźnie, ale za chwilę miłosiernie następuje ostatnie sapnięcie wisielca i osiemnastowieczny szezlong, na którym główny kustosz Rogorszew oparł nogi, przestaje skrzypieć.

- Boże, mój Boże, kocham cię. - Całuje mnie między piersi w mostek. Przez chwilę zastanawiam się, czy zrządzeniem jakiejś alchemii pożądanie może przerodzić się w miłość.

- Nie jesteś chyba zazdrosna o Tatianę, co? Przecież wiesz, że nie mogłaby zająć twojego miejsca, Margot, moja miłości...

Puszczam kółko z dymu i patrzę, jak wirując, płynie w kąt jego biura, gdzie wieczór zaczyna już gęstnieć. Oczyma wyobraźni widzę krąg dzikich łabędzi i poklepuję Rogorszewa po łysinie, której

tymczasem nie przykrywa żaden tupecik. A on w czasie tych spotkań nawet nie zadaje sobie trudu, żeby zdjąć skarpetki. Jego portret - farsownie pochlebny - gapi się zza biurka. Wypisz, wymaluj mąż opatrzościowy.

Ci wszyscy alchemicy to zgraja oszustów i kłamców, ale i tak nieważne. Na Rudiego działałam. Jeszcze tego nie wie, ale Boże Narodzenie spędzimy w Zurychu.

Główny kustosz Rogorszew zawsze wychodzi pierwszy. Bierze prysznic w prywatnej łazience, żeby jego żona mogła udawać, że nic się nie dzieje, i żebym dla zachowania pozorów mogła wykonać jakąś papierkową robótkę. Słyszę, jak śpiewa i zmywa mnie z szamponem przez odpływ. Wkłada świeżą koszulę, całuje mnie, żeby pokazać, jak mu zależy, i wychodzi. Mogłabym pofakturować dla firmy sprzątającej Rudiego, wystawić nowy paszport dla Jerome'a albo całkiem darmowe bilety dla klientów Rudiego. Mogłabym też popatrzeć przez okno na kopuły soboru św. Andrzeja. Wychodzę zazwyczaj około siódmej trzydzieści. Jerome chce, żeby ochrona przyzwyczaiała się do mojego widoku po godzinach.

- Nic dzisiaj wieczorem nie zgłaszamy? - Szef ochrony przy wyjściu szczerzy przymilnie zęby. Chciałabym widzieć, jak się będzie ślinił, gdy wszystko pieprznie. Wie o moim romansie z Rogorszewem, a sam też jest na mnie napalony. To oczywiście część planu, żeby wszyscy wiedzieli. Robi mi kontrolę osobistą! Mnie, Margot Łatuńskiej! On, symulant, co urwał się z wojska i sobie myśli, że świecące dystynkcje i walkie-talkie zrobią z niego Rambo. Czuję, że łapy trzyma dłużej, niż powinien. Zastanawiam się, w jaki sposób mogłabym go obciążyć, będąc już w Zurychu.

- Nie, szefie - opieram się nieufnie, jak mały bezdomny pies - żadnych arcydzieł dzisiaj nie wynoszę.

- Grzeczna dziewczynka. Froterki należy...

- Nie wcześniej, jak za trzy tygodnie. Trzy tygodnie od dzisiaj. O dziewiątej trzydzieści wieczorem.

- Trzy tygodnie od dzisiaj. - Odhacza na podkładce do pisania i macha nią na pożegnanie. Odchodzę i czuję, jak miętoli wzrokiem moje ciało, jest odpychający, ale przecież nie mogę go winić. Zawsze wywierałam to mistyczne wrażenie na mężczyznach.

Zimą jeżdżę metrem. Poza tym wolę chodzić na piechotę. Kiedy jest ładnie, dochodzę do mostu Troickiego, a potem przecinam Pole Marsowe, gdzie wyczekują kobiety. A kiedy pada, idę Newskim Prospektem, ulicą duchów, o ile jakiś w ogóle na niej zagościł. Jerome twierdzi, że każde miasto ma swoją ulicę duchów. Mijam pałac Stroganowów i sobór Kazański. Mijam biura Aeroflotu i niepozorną kawiarnię „Armeńską”. Niedaleko mieszkania, gdzie kochałam się z członkiem politbiura. Teraz przekształcono je w biuro American Express. Wszystkie te nowe sklepy, Benetton, Haagen. -Dazs, Nike, Burger King, sklep, w którym sprzedaje się tylko aparaty fotograficzne i kółka do kluczy, albo taki z samym: roleksami i swatchami. Główne ulice wyglądają identycznie już chyba na całym świecie. A w podziemiach metra regularne rzędy żebraków i ulicznych artystów. W kiosku kupuję paczkę papierosów i małą butelkę wódki. Nie ma co, w żadnym innym mieście na ziemi nie ma takich ulicznych artystów jak u nas. Saksofonista, kwartet smyczkowy, chudzina grająca na tubie aborygeńskiej i ukraiński chór rywalizują o dodatkowe ruble. Czasami daję pieniądze księżom, nawet nie wiem dlaczego, sama nigdy od nich niczego nie dostałam. Żebracy, często z tabliczkami, na których mają wypisane swoje rozdzierające historie, bywa że w tłumaczeniach na obce języki. Czytaniem ich zwracają sobie głowę

tylko przyjezdni. Cały Petersburg jest zbudowany na rozdzierających historiach wbitych w błoto za pomocą kafara.

Przechodzę przez most Aniczkowski i skręcam w lewo. Do mnie pod czwórkę. Dalej przez ciężkie żelazne drzwi, obok dyżurki, w której przysypia portier - rzut oka do mojej skrzynki, gdzie ze zdumieniem znajduję list od mojej drogiej, niedomagającej siostry - przez zarośnięte chwastami podwórko i trzy pięterka schodami. Kiedy Rudi jest w domu, telewizor chodzi na cały regulator. Rudi nie znosi ciszy. Dzisiejszego wieczoru jest cichuteńko.

Wczoraj mieliśmy małą sprzeczkę na temat daty naszego wyjazdu, więc pewnie postanowił poświęcić się nieco biznesowi. I dobrze. Gotuję rybę, którą kupiłam nam na obiad, i zostawiam mu połowę w rondlu, gdyby przypadkiem miał wrócić później. Nigdy go nie ma dłużej niż noc albo dwie. Zazwyczaj.

Pora białych nocy. Niebieskawa północ ściemnia się około drugiej w indygo.

Niedługo potem wszędzie słońce, bez specjalnej pompy. Zostaję w salonie. Dumam nad przeszłością, myślę o Szwajcarii. To tutaj kochałam się z moim admirałem. Dokładnie pod tym oknem. Snuł opowieści o oceanie, o Sachalinie i Białym Morzu, o podwodnych okrętach pod lodem. Obserwowaliśmy pojawiające się gwiazdy. Pakuje brudne naczynia do zlewu i zapalam świeczkę przeciw komarom. Kubańskie cygara wsuwam do kieszeni płaszcza Rudiego - żeby miał na później i pomyślał o mnie. Słysząc skądś jazz. Kiedyś poszłabym, znalazła i tańczyła, podziwiana, pożądana. Rozpromienione twarze mężczyzn. Rywalizowali o kolejny taniec.

Zapalam następnego papierosa i nalewam sobie brandy. Tylko taka mała i wcale nie najlepsza buteleczka. Rudi musi mieć, kiedy jego kontrahenci przychodzą na spotkania. Podpalam list od

siostry, nie otwierając go, i kładę na popielniczce. To ją nauczy. Popijam brandy i patrzę, jak słowa tej suki płomień zmienia we wstęgę dymu, który unosi się spiralnym ruchem i znika, hen, hen, wysoko.

Jazz zamilkł. Rudiego nadal nie ma w domu. Mała Nemia, syta i szczęśliwa, przychodzi, zwija mi się w kłębek na kolanach i zasypia, gdy ja opowiadam jej o swoich kłopotach.

Jerome parzy herbatę. Porusza się z precyzją mechanizmu zegarowego, jak kamerdyner. Rudi znowu się spóźnia. Spóźnia się zwykle trzy kwadransy na godzinę. Pora lunchu i piękny letni dzień, a ulice i parki Wyspy Wasilewskiej załamują się w rozedrganym od gorąca powietrzu, jakby były pod wodą.

- Co nadaje herbacie taki zapach?

Jerome zastanawia się przez chwilę. - Nie wiem, jak to jest po rosyjsku. Po angielsku nazywa się to „bergamot”. To skórka pewnego owocu cytrusowego.

- Rozumiem - kwituję jego słowa. - Dobra herbata. Jerome podaje mi filiżankę na spodku i siada. Po rosyjsku mówi biegle, ale ja nigdy nie wiem, co mam mówić - miękka porcelana to już ostatni zbytek, jak pozostał - mówi - prawdziwy Wedgwood. Powinna być warta majątek, ale że cywilizacja twojego kraju zeszmaciła się do poziomu piwnicy, to pewnie nie dostałbym za to nawet na puszkę tuńczyka. Nie upuść.

- Jeszcze mi się nie zdarzyło rozbić żadnej pięknej rzeczy - odpowiadam.

- Jestem pewien, że jest tak, jak mówisz. Swoją drogą - Jerome z powrotem podnosi się - skoro nasz *nouvean riche* Robert De Niro ma lepsze rzeczy do roboty, to pozwól, że ci osobiście zaprezentuję moje rękodzieło. - Idzie do sąsiedniego pokoju, swojego atelier, i

słyszę, że coś przetacza się po podłodze. W małym parku przylegającym do soboru św.

Andrzeja drzewo kamforowe kąpie się w promieniach słońca. Nad mostem Lejtnanta Szmidta na Nabrzeżu Angielskim wznoszą nowy Holiday Inn. Dzisiaj jest Dzień Bohaterów, więc na rusztowaniach nikogo nie ma. Słyszę ryk podkręconego silnika sportowego wozu i nagły pisk hamulców.

- Aaa - wola z drugiego pomieszczenia Jerome. - To| pewnie Rudi.

Mieszkanie Jerome'a znajduje się w niebrzydkiej, mało uczęszczanej części miasta.

Ale nie ma oczywiście takiej dobrej lokalizacji jak moje. W duszne dni, kiedy wiatr wieje od północy, czuje się zapachy z zakładów chemicznych, ale poza tym jest całkiem nieźle.

Większe niż moje, jeżeli wliczyć atelier - chociaż nigdy nikogo do niego nie wpuszcza. W salonie dominuje największy barek, o jakim kiedykolwiek słyszałam. Wygląda tam niczym katedralny ołtarz w wiejskiej kaplicy. Najwyraźniej prezent od Leonida Breżniewa. Jerome dba o porządek bardziej niż kobieta. Z tym że kobiety u Jerome'a, ani tutaj, ani gdzie indziej, nigdy chyba nie było. Ciekawe, czy wszyscy Anglicy są tacy uporządkowani, albo może tylko angielskie pedały. Jerome był szpiegiem w czasach zimnej wojny. Wykładał historię sztuki na Uniwersytecie Cambridge. Moskwa już od pięciu czy sześciu lat nie płaci mu renty wojskowej, a w Anglii ścigają go za zdradę, więc jest załatwiony. Zawsze mówi, że sprzeda swoje pamiątniki, ale byli szpiedzy usiłujący opchnąć swoje opowieści chodzą w dzisiejszych czasach po parę rubli. Jedyną jego rynkową umiejętnością jest talent do malowania kopii arcydzieł malarstwa. Dlatego właśnie należy do naszego kręgu.

Widzę rdzawobrazową obszerną kurtkę, która prawdopodobnie nie jest własnością wysokiego, chudego jak patyk Jerome'a. Chce mi się palić, więc zapalam papierosa. Nie ma z czego zrobić popielniczki, no to strzepuję na spodek. Z sąsiedniego pokoju słyszę dźwięki pianina.

Wraca Jerome. Prezentuje obraz i cmoka z niezadowoleniem, wskazując na mój papieros. *Ewa i wąż* nie Eugene'a Delacroix, lecz Jerome'a... nawet nie wiem, jakie nosi nazwisko. Pewnie Smith albo Churchill. Nigdy za bardzo nie lubiłam Jerome'a, ale jego kunsztu nie mogę nie podziwiać. - Chyba nikt nie zdoła ich rozróżnić. Nawet złocenie na ramie jest u dołu starte.

- Nie całkiem udały mi się pęknięcia w laserunku, nie całkiem. A jeżeli chodzi o niebieski pigment, to są tajemnice, które przepadły w dziewiętnastym wieku i nawet za pieniądze Gregorskiego nie można ich zdobyć. Nie, doskonale to nie jest. Ale się nada.

Różnic szuka się dopiero wtedy, kiedy jest już za późno.

- W porównaniu z poprzednim poświęciłeś mu dwa razy więcej czasu.

- No cóż, moja droga, dla ciebie to tyle samo co rosyjski konstruktywizm!

Kandinsky to pestka z punktu widzenia kopisty. Wystarczy zmierzyć proporcje pasów, dobrać odpowiednią tonację, chlapanąć farbę i bingo! Nie, Delacroix zasługuje na coś więcej... miłosny trud, tak można by to określić. Chciałem jeszcze dwóch tygodni, żeby tylko pomajstrować, ale Gregorski aż się pali do następnego numeru jeszcze w tym miesiącu.

Dałbym się zabić, żeby tylko dopaść oryginału, nawet jeżeli miałbym go oglądać tylko w nocy. A poza tym Delacroix jest wart

tyle, że wystarczy mi na podniesienie „Titanica” i wykupienie Bermudów.

- Czwartej części Bermudów - przypomniałam. - Dzielimy na cztery części.

- Czy wiesz, że Delacroix był przyjacielem Mikołaja I? Car zatrudniał go latem przez kilka sezonów z rzędu, żeby pomógł w przygotowaniu wystroju cerkwi Zbawiciela.

Przedstawiciel Zachodu na usługach państwa rosyjskiego. Może w ten sposób da się wytłumaczyć to, że tak się wczuwam w sytuację tego człowieka.

Umówione pukanie do drzwi. Przewracając oczami tę pantomimę, czekam, aż się skończy sekwencja. Szyfr zgadza, ale Jerome i tak przywołuje mnie gestem do kuchni trzymając palec na ustach. - Otwórz! - odzywa się Rudi, dokładnie tak jak zwykle. - Ale przeciąg. - Jerome odpręża się. Słowo „przeciąg” wskazuje, że Rudi jest sam i nie ma pistoletu przystawionego do kręgosłupa. „Zimno” znaczy „uciekać”. Ale to, w jaki sposób wydostać się z posiadającego jedno wejście i żadnej drogi pożarowej mieszkania na szesnastym piętrze, to już inna sprawa. Mężczyźni są jak dzieci.

- Mała - wita mnie Rudi, wchodząc beztróska i wręczając Jerome'owi pizzę, którą zabrał z jednej ze swoich restauracji. Ma na sobie nową zamszową kurtkę w kolorze soku z czarnej porzeczki. Lubi na mnie mówić „mała”, chociaż jest młodszy ode mnie o osiem czy dziewięć lat. Uśmiecha się Dobry znak. Zdejmuje panoramiczne okulary przeciwsłoneczne i pieje z zachwytu na widok obrazu. - Jerome, przeszedłeś samego siebie!

Jerome składa błazeński ukłon. - Jak to dobrze, że wpadłeś! - Rudi w ogóle nie zwraca uwagi na ironię Jerome'a mnie zostawiając to, czy mam się czuć w jego imieniu obrażona. - Tak,

dziękuję ci. Jestem dość zadowolony ze swoje go dzieła. Jak poszło spotkanie z naszym przyjacielem strażnikiem w urzędzie miejskim?

- Gregorski jest cool. Przyśle tu kogoś pojutrze, żeby zabrał Delacroix.

I zaraz potem coś się psuje. - Dlaczego tym razem nie spotykasz się bezpośrednio z nabywcami?

Rudi podnosi dłoń niczym papież. - Do Helsinek daleka droga, mała... Dlaczego oni nie mieliby tu przyjechać? To znak, że nasze akcje rosną. Ale też i to, że nie mam zamiaru nadstawiać karku na granicy... O, kiciu, jak ja w nocy tęskniłem za tobą... - Rudi miał jakiś głupkowaty uśmiech. Głupkowatość pokokainowa. Niedobry znak. Próbował chwycić mnie za biust, ale nie dałam się i Rudi, śmiejąc się, padł na kanapę. - Powiedz jej, Jerome!

- Co mam jej powiedzieć? - Wszedł Jerome z talerzami i nożami do pizzy.

- Gregorski jest równiacha.

Jerome zmarszczył brwi. - Gdyby nie był i chciał nas sprzedać do więzienia, zostalibyśmy po królewsku wyruchani jak stąd do Windsoru.

Uśmiech Rudiego skurczył się jak płonąca kartka papieru. - Jezu Chryste, co się z wami dzisiaj dzieje? Słońce świeci, za dwa tygodnie - i czterdzieści osiem godzin - będziemy bogatsi o dwieście tysięcy dolarów, a wy dwoje wyglądacie tak, jakby wam kto kazał matkę sprzedać handlarzowi ludzkich organów! Rzecz w tym, żeby to pan wiel-kurwa-możny Gregorski został wyruchany, gdyby przypadkiem się miało okazać, że nie jesteśmy równi. On już się nie zajmuje drobnicą. W tym mieście mam siłę przebicia. Poza miastem też mam siłę przebicia. Mam siłę przebicia.

- Och, święty Ciaranie na wysokościach, nikt tego nie kwestionuje - niebacznie zaczął Jerome męczącym tonem.

Rudi błysnął oczami. - Nikt, kurwa, do cholery, tego nie kwestionuje! Kirsch nie kwestionuje! Shirliker i jego wspólnicy nie kwestionują! Arturo Jebany Kopect nie kwestionuje! Czy wiecie, kim jest Arturo Kopect? Największym, kurwa, dilerem cracka na wschód od Berlina i na zachód od Uralu! Więc dlaczego moi wspólnicy kwestionują pogląd, że ja mam większą siłę przebicia niż Borys jebany Frankenstein?

Sowie spojrzenie Jerome'a. - Nikt tego nie kwestionuje prawda, Margarito?

Mój biedny, kochany, mały. To ta paskudna kokaina. Nie, Rudi. Nikt nie próbuje kwestionować.

Rudi jakby nagle zapomniał, o czym rozmawialiśmy. Może sosu tabasco, Jerome? Ta durna gruzińska dziwka zapomniała dodać. Duże cycki, dobrze ciągnie druta, ale szajbnięta jak chuj. Przypomnij mi, żebym ją wylał, zanim zaczniesz za bardzo zalegać z czynszem.

- Przyniosę tabasco - powiedziała, śmiejąc się z żarciku Rudiego - i mogę ci przyrządzić dobrej, mocnej

Nie wrzasnął „nie”, więc *znaczyło*, że tak.

Jedliśmy w milczeniu, dopóki nie zniknęło pół pizzy. - Jest tylko jeszcze jeden mały szczegół - powiedział Rudi - który postanowiłem wprowadzić do następnej roboty.

- No, mów - wtrącił Jerome.

- Margarita, zamiast czekać na mnie w galerii, spotyka się z nami i z pozostałymi sprzątaczkami u wejścia dla personelu.

- Nie rozumiem dlaczego - powiedziała.

- A dlatego, że to ja jestem mózgiem tej operacji. Ty nigdy nie

rozumiesz dlaczego, a ja zawsze. Słuchajcie. Wychodźcie nam na spotkanie. Dziewczyny idą do przydzielonych galerii oddzielnie. My idziemy do galerii Delacroix. Jak robimy podmianę, woskujemy podłogi, zabieramy z powrotem do wejścia dla personelu i dalej przez ochronę. I na czym dokładnie polega różnica?

Jerome wydlubywał kawałki krewetek z zastygającego sera. - Cały czas towarzyszył ci personel Pałacu Zimowego. Kryją się tam jeszcze w środku jakieś anchois?

- A tym samym jeszcze bardziej niż zwykle jestem poza wszelkim podejrzeniem! -

Rudi zamieszał wino, zostawiając je na ściankach kieliszka. - Te drobiażdżki to sznyt Rudiego. Dlatego właśnie moja firma tak kwitnie. Dlatego też Gregorski wybrał mnie do tego kontraktu na sprzątanie, dlatego chciał, żebym ja wziął udział w tej operacji: nie Kirsch, nie Czechów, nie Koenigows, ale ja. Tak. Jakies pytania?

Jerome nonszalancko kręcił głową. Swoją rolę już odegrał. Przyjemne chyba życie sobie pędzi, zabawiając się tak przez cały dzień farbami olejnymi, czekając, aż na koncie pojawią się pieniądze. Na jego własnym koncie.

- Rudi, kochanie... - zaczęłam.

- Czego chcesz?

- Zastanawiałam się, kiedyśmy tak myśleli o...

- ...o czym?

- Wiesz, jak wtedy omawialiśmy...

Emocje Rudiego widać jak na dłoni. Nawet nie próbuje niczego przede mną ukrywać..

I za to go kocham. Trzasnęła w swój talerz i pizza zsunęła się.

- O rany, Jezu! Nie zaczynaj! Nie postarzaj mnie znowu, Margarita! Nie pozwolę, żebyś mi tu znowu starzała się, dziwaczała

i pokazywała te swoje zmarszczki. Kurwa mać, czasami przez ciebie czuję się tak, jakbym rznął własną babcię!

Kocham Rudiego, ale też go nienawidzę, kiedy oczy tak mu się świecą. To ta paskudna kokaina. - Po co nam ta cała forsa, jeżeli nigdy nie będziemy mogli z niej skorzystać?

- Samochodu chcesz? Płaszcz ci potrzeba? Znowu jesteś komuś coś winna?

Powiedz, kto pożyczył ci pieniądze! Kto? KTO?

- Nie, nikt, nikt! Ja... - spojrzałam na Jerome'a, który westchnął, zabrał swoją kawę i wycofał się do swojego atelier.

- ...ciebie chcę, kochany. Naszego wspólnego życia w Szwajcarii chcę.

- Margarita, mamy tutaj kurę, co siedzi na naszym kominie i sra nam złotymi jajami!

Nie zabijaj jej! Złote jaja zbieraj!

- Ale to ja muszę co tydzień się pieprzyć za te złote jaja.

- Wszyscy musimy się poświęcać.

- Nie wiem, jak długo jeszcze wytrzymam te swoje poświęcenia. Przecież mamy już dosyć pieniędzy na koncie, żebyśmy jeszcze musieli...

- Nie mamy. Ostatnim razem na celników musiałem wydać cały majątek. Do tego jeszcze muszę, oczywiście, dać Gregorskiemu jego działkę, gigantyczną. Pamiętaj, że to on ustawił całą sprawę.

- Jakoś nigdy nie udaje mi się zapomnieć Gregorskiego w jego opancerzonym mercedesie. Proszę, kochanie. Po prostu powiedz mi. Ile mamy pieniędzy?

- To przez to, że masz okres, tak? No, powiedz. Przez okres. Jezu. Krwawią przez siedem dni, a nie umierają.

- Ile?

- Całkiem sporo. Ale za mało.

- Całkiem sporo, to znaczy ile?. Po prostu powiedz!

- Margarita, jeżeli nie uspokoisz się i nie zaczniesz rozmawiać jak rozgarnięta dorosła osoba, to będę musiał zakończyć to przesłuchanie.

- Jestem spokojna. Zadaję proste pytanie. Rudi? Ile mamy pieniędzy z naszych pięciu bezcennych dzieł sztuki, jakie do tej pory sprzedaliśmy? Powiedz, proszę?

- W dolarach amerykańskich? Sześciocyfrówka.

- Powiedz mi!

Rudi zmienił taktykę. - To ja zajmuję się finansami! Ty masz nas wprowadzić i kryć, to twoje zadanie! Myślisz, że moją robotę potrafisz wykonać lepiej ode mnie, co? TAK?

To kokaina, no i napięcie. Nie dałam się wyprowadzić z równowagi, natomiast zaczęłam się dąsać. Margarita Łatuńska gra na mężczyznach jak wirtuoz. Kiedy chcę czegoś od kobiety, wściekam się. Kiedy chcę od mężczyzny, dąsam się. - Nie, kochanie, chodzi tylko o to, że główny kustosz obłapuje mnie tydzień w tydzień, ja nie widzę, kiedy to się skończy, a tak bardzo cię kocham... - udałam, że oczy mam | pełne łez.

Rudi warknął, rozejrzał się, jakby szukał, w czym zatopić kły. - Chcesz się wycofać?

Chcesz po prostu sobie podejść do takiego faceta jak Gregorski i powiedzieć: „a przy okazji, nie mam ochoty na kontynuowanie tego rodzaju roboty, dzięki za wpływy ze wszystkich skradzionych dzieł sztuki, ale tymczasem wyjeżdżam, przyślę ci pocztówkę”. Bądź realistka, kobieto! Wpierdoli cię na śniadanko.

Myślałam, że mnie uderzy. - Myślałam, że właśnie dlatego wybieramy Szwajcarię, ponieważ bylibyśmy bezpieczni...

- To nie takie proste. Gregorski jest bardzo wpływowym facetem.

- Znam się na wpływowych facetach...

Rudi przedrzeźnia mnie. - Znam się na wpływowych facetach. Mówisz o koleświatym gryzipiórku z partii, który cię kiedyś rznął? Czy o twoim podstarzałym chłopcu okrętowym, co powłóczy nogą?

- Był kapitanem.

- Ho, ho! - wyrzucił z siebie Rudi. - Co ty wiesz o ukrywaniu pieniędzy? O praniu? Mogę ci dać twoją działkę, kiedy chcesz, mała, ale jak myślisz, długo będziesz potem czekać, gdy gliny w Szwajcarii zaczną cię wypytywać, w jaki sposób weszłaś w posiadanie tej ciężarówki pieniędzy, które wwozisz do ich kraju? Stanowimy zespół! Nie możesz się tak po prostu z niego wycofać, kiedy ci się podoba.

- Kiedy możemy wyjechać?

- W swoim czasie! W swoim czasie! Kurwa mać! Nie ma co, kurwa, próbować cię przekonywać, kiedy jesteś w takim nastroju. Jadę się przejechać!

Wyszedł i trzasnął drzwiami.

Pojawił się Jerome. - Chyba nie uszkodził Wedgwooda, co?

- Jest podenerwowany - tłumaczę. - To całkiem naturalne, że teraz, kiedy tak blisko jesteśmy tego, żeby się wyrwać, on zaczyna się trząść...

Jerome odpowiedział coś po angielsku.

Dzisiaj mam urodziny.

Nogi nie powinny mnie aż tak boleć, przecież nie w moim wieku.

Kiedy wracałam do siebie i byłam już na schodach, usłyszałam sygnał telefonu z mieszkania. Wyszperałam klucze i poślizgnęłam się w korytarzu. Widzicie? Rozumiem go i dl-czego mu wybaczam. I

nie jestem taka jak inne kobiety, które go wykorzystują.

- Już jestem. - Brakowało mi tchu...

- Halo? Panna Łatuńska? Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu, że telefonuję do pani do domu. Tu Tatiana Makuch, z galerii. Czyżbym zadzwoniła nie w porę?

Staralam się za wszelką cenę zapanować nad zadyszka i nad tonem rozczarowania, który zakradł się do mojego głosu. - Nie, nie, właśnie wróciłam. Biegłam.

- Oo... jogging w parku?

- To znaczy biegłam do telefonu. Żeby odebrać telefon. - Czy jest pani zajęta po południu?

- Tak. Nie. Może. A czemu?

- Jestem tu sama. Tak sobie pomyślałam, czy nie mogłybyśmy się spotkać i czy nie mogłabym postawić pani kawy, chyba że miałyby pani ochotę odwiedzić mnie w mojej dziupli i może przyrządziłabym pani najprawdziwsze flaczki po warszawsku.

Tatiana? Usłyszałam swój głos mówiący „tak”. O której miałam spotkać się z Rudim?

Ale, z drugiej strony, nie powinien przecież, gdy wróci, widzieć, jak tu siedzę kamieniem i czekam na niego? Może dobrze mu zrobi, kiedy właśnie udam, że aż tak bardzo znowu go nie potrzebuję. Trzeba mu dać małą nauczkę.

- Świetnie. Zna pani kawiarnię za Teatrem Puszkina?

- Tak...

- Doskonale. Spotkamy się tam za godzinę.

I o to chodziło. Bezszelestnie weszła Nemia i wskoczyła mi na kolana po należną porcję uwielbienia. Opowiedziałam jej o napadzie wściekłości Rudiego i o tym, jak będzie w Szwajcarii, i zastanawiałam się też nad tym, dlaczego resztę dnia zgodziłam się

poświęcić wyniosłej rywalce z Polski.

W pustej kawiarni pachniało ciemnym drewnem i kawą. Gdy pchnęłam drzwi, w smugach słonecznego światła skłębiły się drobinki kurzu. Zabrzęczał dzwonek; w pomieszczeniu na zapleczu grało radio. Tatiana jeszcze się nie zjawiała, mimo że było późno.

- Cześć, Margarito.

Tatiana nieznacznie się przesunęła, wchodząc w krąg światła. Jej włosy mieniły się złotem. Miała na sobie czarny, elegancki, zamszowy kostium. Była opięta i smukła. Nie dało się ukryć, była atrakcyjna. Zwłaszcza dla kogoś takiego jak Rogorszew.

- Nie zauważyłam cię.

- No i jestem. To co, nie usiądziemy? Dziękuję, że przyszłaś. Czego się napijesz?

Doskonała jest mieszanka kolumbijska.

Usiłowała zrobić na mnie wrażenie? - W takim razie zamówię mieszankę kolumbijską, jak tylko kelnerka się ocknie.

Z zaplecza wyszedł mężczyzna. - Kolumbijkę? - Silny ukraiński akcent.

- Tak.

Zassał policzek i ponownie zniknął.

Tatiana uśmiechała się. - Byłaś zaskoczona, kiedy zadzwoniłam? - Ton psychoterapeutki.

- Tak sobie. A powinnam?

Poczęstowała mnie papierosem. Ja podsunęłam jej paczkę benson and hedges.

Skorzystała, ale papieros nie smakował jej, choć smakowałby każdemu Rosjaninowi. Pewnie w Polsce benson and hedges to nic wielkiego. Podała mi ogień.

- Od jak dawna pracujesz w Ermitażu, Margarito?

- Już około roku.

- To pewnie masz tam znajomości. - Mimo wszystko podobał mi się jej uśmiech.

Była wścibska, ale tylko dlatego, że chciała okazać się towarzyska.

Takie dziewczyny, jak Tatiana, Margarita Łatuńska jest w stanie zaakceptować mocą oczywistości. - Masz na myśli głównego kustosa? O, czyżby dęciara znowu roznosiła ploty?

- Odnoszę wrażenie, że plotkują o wszystkim i niczym.

- Mój związek z głównym kustoszem to tajemnica poliszynela. Ale zaczęło się już po moim przyjeździe. Pracę dostałam dzięki znajomościom - mam takie w urzędzie miejskim.

Nie ma w tym nic złego. Ja jestem wolna, a jego małżeństwo to nie mój problem.

- I masz rację. Mamy wiele wspólnego, jeżeli chodzi o nastawienie.

- Przedstawiłaś się jako mężatka?

Tatiana zamieszała kawę, śmietanka zawirowała. - Potrafisz dochować tajemnicy?

- Oczywiście, że potrafię...

- Tylko takim ludziom jak Rogorszew, żeby po prostu trzymali się ode mnie z daleka. Ale sytuacja jest trochę bardziej skomplikowana... - Czekałam na dalszy ciąg, ale Tatiana urwała. - No to opowiedz mi o sobie, Margarito. Chcę wiedzieć wszystko.

Po ośmiu godzinach byłyśmy już mocno pijane, a przynajmniej ja, o ile wiem, siedziałyśmy pochylone nad stolikiem w tyle pubu „Koniczynka” przy ulicy Dekabrystów, Kubańskie trio grało snujący się wolno jazz, i gdzie nie spojrzeć, widniały wysokie rośliny o gumowych liściach. Miejsce oświetlały świece, co

pozwalalo w sposob graniczacy ze skapstwem zaoszczedzic na energii, a zarazem zadac szyki i stac sie znanym w branzy rozrywki, i cos mi sie wydawalo ze ilekroć spotykalam sie z Tatiana, to swiatlo bylo kiepskie Tatiana znala sie na jazzie i na winach, w związku z czym nabralam przekonania, ze staly za nia wieksze pieniadze, niz chciala powiedziec. A do tego upierala sie, ze za wszystko bedzie placic. Trzy razy odmawialam, ale kiedy Tatiana nalegala po raz czwarty, co poniekad odebralam z ulga, zgodzilam sie. Nie znosze prosic Rudiego o pieniadze.

W ogole na wielu rzeczach sie znala. Na scenie Murzyn Grał na trąbce z tłumikiem.

Tatiana promieniala, byla piekna Domyślalam sie jakiejś głębokiej tragedii w jej przeszłości Wiedzialam z własnego zycia, jaki handicap moze dac prawdziwa uroda. - Bardziej davisowaty niz sam Miles Davis -powiedziala pod nosem.

- To przypadkiem nie ten, co pierwszy przelecial przez Atlantyk?

Nie uslyszala mnie. - Mosięzna tarcza słońca przepadla za chmurami.

Zwracalysmy na siebie uwage mezczyzn. I trudno sie dziwic. Tatiana byla niewatpliwie rzadkim okazem w tej strefie klimatycznej, a jezeli chodzi o mnie, to coz, sami wiecie, jakiego kalibru mezczyzn przyciaga Margarita Łatuńska. Nawet trębacz zerkal na mnie zza lśniacego instrumentu, slowo. Ciekawe, jak by to bylo z Murzynem. Mialam juz, owszem, flirty z Arabami, ludzmi ze Wschodu czy z Amerykanami, ale z Murzynem - nigdy.

Weszly trzy pary i zajely miejsca z przodu. Najwyrazniej mieli jeszcze te swoje nacie lat. Chłopcy w pozyczanych garniturach pozujacy na bywalcow, dziewczeta usilujace wygladac swobodnie.

W sumie sprawiali wrażenie skrepowanych.

I Tatiana kiwnęła głową, wskazując siedzącą szóstkę. - Młodzieńcza miłość. – W jej głosie zabrzmiało coś drapieżnego.

- Chciałabyś się zamienić z nimi miejscami, gdybyś mogła?

- Dlaczego, u licha, miałabym chcieć?

- Wyglądają tak pięknie i młodo, tacy w siebie wtuleni. W tym wieku miłość jest taka świeża i czysta. Nie sądzisz?

- Margarito! Zaskakujesz mnie! Obie dobrze wiemy, że niczego takiego jak miłość nie ma.

- To jak to nazywasz?

Tatiana zgasiła papierosa. Ten chytry uśmiech. - Mutacjami pragnień.

- Nie mówisz poważnie.

- Jak najpoważniej. Przypatrz się tym dzieciakom. Chłopcy chcą zaciągnąć dziewczyny do łóżka, ażeby się odkorkować i sobie drzyznąć. A przecież kiedy facet wydmuchuje nos, nie mówisz, że to miłość. Dlaczego wszystkim oczy zachodzą mgłą, kiedy facet smarka innym swoim organem? Co do dziewczyn, to one też zgadzają się na jazdę, tylko dlatego mogą dostać od chłopaków to, czego chcą, chyba ,że tak bardzo lubią łóżko. Chociaż wątpię. Jeszcze nie poznałam osiemnastolatka, który przy pierwszej przeszkodzie nie upuściłby jajka z łyżeczki.

- Ale to pożądanie! Mówisz o pożądanium, nie o miłości.

- Pożądanie to nachalna sprzedaż. Margines zysku jest dokładnie taki sam.

- Ale miłość to przeciwieństwo korzyści własnej. Miłość, prawdziwa i czuła, jest czysta i wyzbyta egoizmu.

- Nie. Prawdziwa, czuła miłość jest silnie nasycona korzyścią własną i tylko wydaje się, że nie ma w niej egoizmu.

- Zaznałam miłości - wiem, co to miłość - i jest daniem, a nie braniem. Nie jesteśmy przecież zwierzętami. - Jesteśmy wyłącznie zwierzętami. Cóż takiego daje ci główny kustosz?

- O nim nie mówię.

- Wszystko jedno. Tylko się zastanów. Czy rzeczywiście myślisz, że facet w ogóle cię kocha? Jeżeli jesteś wobec siebie uczciwa, Margarito, odpowiedź będzie taka, że zawsze poniekąd chodzi mu o korzyść. No powiedz. Dlaczego kocha i dlaczego ty odwzajemniasz to uczucie?

Potrząsnęłam głową. - Mówimy o miłości. Nie ma żadnego „dlaczego”. W tym rzecz.

- Jakieś „dlaczego” zawsze się pojawia, bo zawsze jest coś, czego ukochany chce.

Może dlatego, że daje ci poczucie bezpieczeństwa. Może dlatego, że pozwala ci się poczuć kimś wyjątkowym. Może dlatego, że jest ucieczką, otwiera drogę do świetlanej przyszłości, z dala od codziennej monotonii. Może dlatego, że jest ojcem twoich nie narodzonych dzieci.

Albo może dlatego, że oferuje ci prestiż. Miłość to wielki splot rozmaitych dlaczego.

- No i co w tym nie tak?

- Nie twierdzę, że coś jest nie tak. Historię tworzą ludzkie pragnienia. Ale właśnie dlatego uśmiecham się, kiedy inne cizie sentymentalnie traktują tę mistyczną siłę czystej „miłości”, którą, jak im się wydaje, potrafią sterować. „Kochanie kogoś” oznacza „pragnienie czegoś”. Miłość przemienia ludzi w samolubne, głupawe, okrutne i nieludzkie stworzenia.

Pytałaś, czy chciałabym się zamienić z tymi dzieciakami. Pewnie, przyjemnie byłoby, gdyby udało się ich okraść z ich

dwudziestu lat, albo gdybym mogła wejść w nich, zachowując moją obecną wiedzę, skoro jednak nie, to wolałabym zamienić się na miejsca z psem, którego zamknęli w zoo. Być zakochanym, to tyle, co zdawać się na laskę pragnień kochanka. I wolna byłabyś tylko wtedy, gdyby ktoś wpakował twojemu kochankowi kulę.

I już widziałam oczyma wyobraźni straszliwą scenę, jak z Rudiego chlusta krew, jakby mu kto z piersi wyrwał korek, - Gdyby ktoś wpakował mojemu kochankowi kulę, to bym zabiła.

Pub już tak się rozochocił, że oczy prawie wyskakują mi z orbit od łomotu muzyki. -

Wyjdźmy - mówi Tatiana, i nagle jesteśmy na zewnątrz, coś zmiata mnie jak wodospad i pogrążam się w światłach późnej nocy. Na ulicach tłoczno od cieni, blasków, odgłosów kroków, cukierkowych kolorów, torów tramwajowych i jaskółek. Jakoś do tej pory nie zauważyłam tych okien nad salą koncertową Glinki, ileż w nich elegancji. Jak takie coś się nazywa? Jerome by wiedział. Łuki odporowe? Gwiazdy dziś w nocy jakby nie na miejscu.

Pomiędzy nimi sunie światło. Kometa albo anioł, a może to ostatnia rozpadająca się sowiecka stacja kosmiczna spada na Ziemię? Niektórzy przechodnie spoglądają na mnie krzywo, więc prostuję się, żeby im pokazać, że potrafię iść prosto, a latarnia uliczna skłania się na dół jak żyrafia szyja. Świeci się jedno ze światel w biurze. To główny kustosz kogoś zapragnął, ale nie mnie tym razem ani Tatiany. Mijamy ciemny samochód. - Oo, kochanieńkie, ile za obie?

- Spluwam na szybę i przywołuję najpaskudniejsze przekleństwa, ale Tatiana zgarnia mnie i popycha przed siebie.

- Daj spokój - mówi Tatiana - pójdziemy do mnie na jakąś kawę. Mogę przygotować parówki. Jak będziesz grzeczna, dodam ci

jeszcze słodkiej musztardy. -

Wszystko, na co się spojrzy, można umieścić w kadrze ramy, uzyskując tym samym obraz.

Ale nie taki, jakie maluje Jerome. Prawdziwy, prawdziwszy od tych, które kradniemy. Bo nawet one są Kopiami. A obrazy Jerome'a są kopiami kopii. Głowa tamtego chłopca. Studnia życzeń. Te dziewczęta z zielonym cieniem na oczach i morelowym różem na policzkach, prowadzone do milicyjnego furgonu, zgarniane na posterunek i zwalniane po uiszczeniu piętnastu dolarów grzywny. Będą musiały ciężko pracować przez resztę nocy, żeby nadrobić stracony czas. To tutaj wysadzono w powietrze cara, dawno temu opowiadała mi matka, a teraz ja opowiadam to Tatianie, lecz Tatiana mnie nie słyszy, bo pozapominały się moje słowa. Petardy strzelają w jakiejś odległej dzielnicy, a może to strzały z pistoletu? To byłby dopiero obraz. Samochód stojący na ceglach, a nie na kołach. Zarys fabrycznego dachu, przy nim komin, osmalone sadzą cegły. Koń kłusujący aleją, jakim cudem zszedł z postumentu?

Chłopak z czubem włosów sterczących jak grzebień dinozaura zakołysał się obok na rolkach.

Włóczęga na ławce, pod głową torba z gazetami zamiast poduszki. Turyści w jaskrawych koszulkach z napisem „pstryknij mnie”, kanały, kopuły, krzyże, sierpy i, ach... nawet błoto nad rzeką...

Oddycham, bo nie oddychać nie mogę. Rudiego kocham, bo nie kochać nie mogę.

- Tatiana - mówię, przechylając się przez barierkę i patrząc w wodę. - Mylisz się.

- Niedaleko - słyszę jej głos. - Chcesz tam zejść? Rzeką sunie łódź milicyjna.

Piękne są te jej czerwono-niebieskie światła.

Z mieszkania Tatiany pamiętam tylko stateczny zegar, który spuszczał uderzenia jak kamienie w głąb przepastnego szybu. Wszystko lśniło, kołysało się. Tatiana było blisko, mówiła, że czegoś chce, że jest jej ciepło, a mnie nie chciało się odchodzić ani na chwilę. W pewnym momencie przypomniałam sobie, że dzisiaj mam urodziny, i próbowałam to powiedzieć Tatianie, ale zdążyłam zapomnieć, co chciałam jej powiedzieć. Pamiętam, jak Tatiana ładuje mnie do taksówki, podaje kierowcy adres i płaci.

Kiedy wróciłam, Rudi siedział w domu. Była gdzieś trzecia rano. Zanim weszłam, przez chwilę wahałam się. Będzie chciał wiedzieć, gdzie byłam. Bez obaw mogę mu powiedzieć o Tatianie. Nie powinien mieć nic przeciwko. Może nawet sobie u niej sprawdzać, jak chce, ale przecież bezgranicznie mi ufa.

Przekręciłam klucz, otworzyłam drzwi i przeżyłam szok jak nigdy w życiu, gdy w korytarzu zastałam Rudiego, stał w spodenkach i skarpetkach, i mierzył do mnie z pistoletu.

Strzyknięcie adrenaliny i zamroczenie przeszło. Z tyłu pałace się światło w łazience i szum puszczonej wody. Cmokną niezadowolony i opuścił broń.

- Jesteś nieposłuszną kicią, Margarita. Zapomniałaś o kodzie. Zawiodłem się na tobie.

Przez przedpokój skoczyła zwawo Nemia, wygięła się w pałąk, ocierając się o moją nogę i popychając w stronę kuchni. - Kochanie, nie posłużyłam się kodem, bo tu mieszkam.

- Skąd miałem wiedzieć, że to nie milicja?

Nie miałam na to odpowiedzi. Przy Rudim nigdy nie mam. Ale i tak usposobiony był spokojnie: jeszcze nawet nie krzyknął na mnie.

- Przepraszam.

- Dobra, w porządku. Większość z nas od czasu do czasu się myli. Ale, kiciu, nie rób tak więcej, bo mogłabyś spowodować wypadek. No wchodź, wchodź. Późno coś, nie? Już się zacząłem martwić... - Sporo się włóczy paskudnych psów, które mogłyby chapnąć małą kicię.

- Wyszłam z koleżanką z pracy - ma na imię Tatiana i... zaczęłam tłumaczyć, ale Rudi nie wyglądał na zainteresowanego. W salonie stał wielki bukiet róż, czerwonych, żółtych i różowych.

- Rudi! To dla mnie?

Rudi uśmiechnął się, ja rozanielona. Pamiętał o moich urodzinach! Po raz pierwszy w ciągu trzech naszych lat! - Oczywiście, że tak, kiciu. Komu innemu kupowałbym teraz kwiaty, ha? - Podszedł i pocałował mnie w czoło. Przymknęłam oczy i otworzyłam usta, żeby pocałować go naprawdę, w usta, ale on zdążył już się odwrócić. Rudi zapomniał na-pełnić wazon wodą, więc kwiaty zaniiosłam do kuchni. Pachniały pięknie. Jak zapomniany ogród.

- Mam małą prośbę - zawołał Rudi - wiem, że nie będziesz miała nic przeciwko.

-Aha?

- Do miasta przyjeżdża na krótko taki jeden mój kontrahent. Właściwie to przyjaciel Gregorskiego. Ma bardzo wysoką pozycję w międzynarodowych kręgach. Pochodzi z Mongolii. A właściwie to tam rządzi. Musi się gdzieś zatrzymać.

-I?

- Pomyślałem, że wolny pokój by mu odpowiadał.

Patrzyłam, jak woda przelewa się przez krawędź wazonu. - Skoro rządzi Mongolią, to czy Gregorski nie może go umieścić w jakimś luksusowym apartamencie? - Nie zwracałam uwagi na

Nemię, która przypomniała mi, że posiada pazury.

- Bo wtedy milicja miałaby go na oku. Mongolią rządzi nieoficjalnie. Nawet Mongołowie udają, że organizują wybory - po to, żeby zaciągać pożyczki.

- Więc chcesz, żebym tu zносиła kryminalistę? Myślałam, że tamte czasy mamy już za sobą.

- Oczywiście, że mamy, kiciu, pewnie! Po prostu wyświadczam przysługę przyjacielowi!

- Dlaczego nie iść na całość i nie otworzyć noclegowni dla nawiedzonych piromanów?

- Na Chrystusa, nie przesadzaj. W wolnym pokoju trzymam pudła z towarem, byłaby jakaś różnica? A on nie jest kryminalistą. Jest urzędnikiem i ma takie znajomości, że na granicy dalej niż za Irkuckiem nie będą go szukali. A, przy okazji, Helsinki nieaktualne.

Gregorski znalazł kupca w Pekinie. Nasz przyjaciel zabierze Delacroix, jak będzie wracał. Im mniej śladów pozostawi po sobie, tym lepiej.

- Dlaczego Gregorski po prostu nie przekupi milicji jak zwykle?

- Bo Gregorski ma wejścia tylko na granicach fińskiej i łotewskiej. Na wschodzie pewne ma tylko kanały do Syberii. Może zaufać tylko mnie, nam. Kiciu... - czułam, jak ręka Rudiego wsuwa się w okolice mojego brzucha- nie kłóćmy się, tu chodzi o naszą przyszłość... - kciukiem wślizgnął się w mój pępek. - Tam właśnie któregoś dnia znajdzie się nasza mała. - przycisnął twarz do mojego karku, a ja próbowałam stanąć okoniem. -

Mała, kiciu, kiciuniu... Wiem, że jest tyle pytań, ale jesteśmy teraz tak blisko. Myślałem o tym, o czym mówiłaś wcześniej, u Jerome'a. O Austrii. Masz w zupełności rację, wiesz.

Powinniśmy się wycofać, póki dobrze idzie. Przepraszam, że ci zepsułem humor. Zawsze potem siebie nienawidzę. Przecież wiesz. To stres. Wiem, że rozumiesz. Czasami napadam na to, co dla mnie najcenniejsze. Bywa, że nienawidzę siebie samego. - Rudi zniżył głos do szeptu. - Spójrz na mnie. Spójrz. Zobacz, jak ten głupi facet cię uwielbia...

Odwróciłam się i spojrzałam w te jego piękne, młode oczy. I zobaczyłam.

- Zgadnij, kiciu, gdzie dzisiaj chodziłem. Po biurach podróży, żeby sprawdzić ceny biletów do Zurychu.

- Naprawdę?

- Tak. Były pozamykane z powodu urlopów. Ale próbowałem. I nie pozwolę więcej temu obleśnemu kustoszowi obrażać mojej kici. Gdy tylko wyjedziemy, jego życie oddam w twoje ręce. Tylko jedno twoje słówko, a z miejsca każę, żeby go ktoś skasował. Przysięgam na Dziewicę Maryję.

I co? Tatiana nie miała racji. Rudi pragnie, żebym była szczęśliwa. Dla nas rzuci wszystko. Jakże mogłam choć przez chwilę w niego wątpić? Pocałowaliśmy się, długo i namiętnie. - Rudi, jesteś najlepszym prezentem, jaki kiedykolwiek dostałam na urodziny...

- szepnęłam.

- Tak? - mruknął Rudi. - To chyba już niedługo, co? - W końcu odsunął się, zakrywając mi dłońmi usta. - Więc co, będzie w porządku, że pośrednik naszego kupca przyczai się tutaj, nie? To potrwa tylko do wymiany. Tej nocy, kiedy wyczyścimy muzeum.

Tylko dwa tygodnie.

- Nie wiem, Rudi. Miałam nadzieję, że spędzimy wspólnie trochę czasu przed wyjazdem z Petersburga. Musimy zaplanować

mnóstwo rzeczy. Kiedy on ma przyjechać?

Rudi odwrócił się. Otworzył puszkę z jedzeniem dla kota. - Przyjechał dzisiaj.

Przyleciał i naprawdę musiał się wykąpać, więc musiałem mu zorganizować. Już tu jest.

- Że co?

- Już jest, yyy, u nas.

- Rudi! Jak mogłeś? Przecież to nasze miejsce, twoje, moje i Nemii!

Otworzyłam drzwi do kuchni i poczułam się, jakbym wchodziła do teatru. Przy oknie, tyłem do mnie, stał niski, ciemny, gibki mężczyzna. Miał na sobie szlafrok Rudiego, ten, który uszyłam mu ze szkarłatnej flaneli, sprawdzał pistolet Rudiego. - Ooo? - usłyszałam swój głos.

Zanim się odwrócił, minęły całe chwile. - Dobry wieczór, panno Łatuńska. Dziękuję za gościnę. Dobra rzecz ponownie znaleźć się w tym pani majestatycznym mieście. -

Doskonały rosyjski z lekkim, środkowoazjatyckim nalotem. Za mną miauczała Nemia, domagając się kolacji. - Pani kolek i ja już zawarliśmy znajomość. Kicia uznała mnie za swojego osobistego wujka Suhbataara. Mam nadzieję, że pani również mnie uzna za wujka.

Moja galeria już opustoszała, więc podchodzę do okna, żeby rozprostować nogi.

Nadchodzi burza i powietrze jest napięte jak skóra na bębnie. W taki dzień do pracy, a miasto jak w ukropie. Newa parna i wezbrana jak plama oleju. W przyszłym tygodniu wybory i po mieście krążą furgony z blaszanymi megafonami, które gadają o reformie, uczciwości i zaufaniu.

W uchu bzyczy mi komar. Pacnęłam go. Plama ludzkiej krwi wycieka z jego tułowia.

Szukam czegoś, żeby ją zetrzeć i wybieram zasłonę. Nadchodzi przewodnik, więc prędko z powrotem siadam. Przewodnik, mówiący po japońsku, skręcił w róg sali. Wychwyciłam słowo „Delacroix”. Za osiem dni ten sam przewodnik będzie mówił to samo, wymachując tym samym wskaźnikiem, ale przy zupełnie innym obrazie, i tylko sześcioro ludzi na świecie

- Rudi, ja sama, Jerome, Gregorski, ten cały Suhbataar i kupiec w Pekinie - będą w ogóle wiedzieć. Jerome mówi, że zbrodnia doskonała to ta, o której popełnieniu nikt nie wie. Owca przytakuje. Ja, w duchu, rżę. Dzisiaj zdążyli już sfotografować kilka podróbek. I za ten przywilej zapłacili w walutach wymiennalnych.

Podchodzi do mnie dziewczynka i częstuje cukierkiem. Mówi coś po japońsku i potrząsa torebką. Wygląda na jakieś osiem lat i jest najwyraźniej znudzona naszymi renesansowymi cudami. Skórę ma koloru kawy ze śmietanką. Włosy ma upięte, a na sobie najlepszą sukienkę - koloru truskawkowego, z białą koronką. Dostrzega ją siostra, duża dziewczyna, i chichocze, na co odwracają się niektórzy dorośli. Biorę cukierka i błyska lampą jednego z japońskich aparatów. To drażni mnie u Azjatów. Fotografują co się da. Ale jak ślicznie uśmiecha się ta dziewczynka! Przez chwilę mam ochotę zabrać ją ze sobą. Małe dziewczynki są jak stare koty. Jeżeli cię nie lubią, to i tak za nic w świecie nie będą udawały.

Mój kremłowski kochanek nalegał, żebym zrobiła skrobankę. Nie chciałam. Bałam się operacji. Księża i stare kobiety zawsze powtarzali, że w piekle jest gułag dla kobiet, które zabiły swoje dzieci. Ale jeszcze bardziej bałam się, że mój kochanek mnie rzuci,

a ja skończę w rynsztoku, więc ustąpiłam. Nie chciałam narażać się na krytykę w mediach: nieślubne dziecko byłoby dowodem, że mamy romans, i chociaż wszyscy wiedzieli, że Związek Sowiecki stoi korupcją i skandalem, to jednak pozory, dla plebsu, należało zachować. Bo tak, to czym się martwić? Wiedziałam, że jak to zrobię, to molu matka ze wstydu przewróci się w grobie, i ta myśl mnie pocieszała.

Większość kobiet miała w życiu jedną czy dwie skrobanki. Żadna sprawa. Ja skrobankę kazałam sobie zrobić w starym partyjnym szpitalu przy Moskiewskim Prospekcie, więc i opiekę powinnam mieć lepszą niż pierwsza lepsza kobieta Nic miałam. Nie wiem, co poszło nie tak. Przez kilka dni po wszystkim krwawiłam, a kiedy poszłam do lekarza, nie przyjął mnie, a recepcjonista wezwał ochronę, żeby mnie wyprowadziła. Zostawili mnie więc tak na schodach i wrzeszczałam, aż złość się wyczerpała i pozostał tylko płacz. Pamiętam przystrzyżone wiązy prowadzące do nabrzeża, ociekające deszczem. Usiłowałam zmusić mojego kochanka, żeby wykorzystał swoje znajomości, ale w tym momencie chyba już stracił zainteresowanie moją osobą. Doglądał mnie z poczucia odpowiedzialności. Po dwóch tygodniach rzucił - w herbaciarni przy partyjnym domu handlowym. Jego żona jakimś cudem dowiedziała się o mojej ciąży. Powiedział, że jeżeli nie zamknę gęby na kłódkę i nie będę siedzieć cicho, to każe mnie przekwaterować. Stałam się towarem nadwerężonym.

Nadwerężałam jego sumienie.

Trzymałam gębę na kłódkę. Kiedy w końcu udało mi się spotkać z ginekologiem, ten tylko spojrział i powiedział, że ma nadzieję, iż nigdy nie planowałam dzieci. Ale to był jakiś nie ogolony, śmierdzący wódką facet, więc mu nie uwierzyłam. Była tam jeszcze

jakaś krowiasta psycholog, która stwierdziła, że to stary burżuazyjny pogląd, jakoby jedyną rolą kobiety w życiu było dawać się wyzyskiwać kapitaliście, ale odpowiedziałam jej, że o rady to ja nie prosiłam, i poszłam sobie. Rok później przeczytałam w „Prawdzie”, że mój kochanek dostał ataku serca.

Powiedziałam Rudiemu, że zażywam pigułki, bo jego dość wcześnie uświadomiono, że kondomy nadają się tylko dla zwierząt. Kto wie, co może nastąpić w Szwajcarii? Powietrze mają tam nieskażone, a wodę czystą. Może szwajcarscy ginekolodzy umieją robić to, czego rosyjscy nie potrafią.

Dziewczynka bawiąca się wśród polnych kwiatów, pół mnie, pół Rudiego. Ależ będzie piękna. I jeszcze szykuje się jej młodszy braciszek, i Rudi nauczy go polować w górach, a ja nauczę naszą małą Kicię gotować. Nauczymy się przyrządzać zupę z ptasich gniazd, którą, jak twierdzi Jerome, jada się w Chinach.

Główny kustosz Rogorszew jakby unikał mnie dzisiaj, aczkolwiek dzisiaj przypada noc naszych regularnych kontaktów. Nie mam nic przeciwko. Delacroix będzie naszym ostatnim obrazem - Rudi obiecał. Rudi mówi, że zaczyna wszystko dopinać. Mówi, że nie może tego zrobić od razu, co ja, oczywiście, rozumiem. Wyjaśnił sytuację Gregorskiemu, i to bez żadnych „jeżeli” i „ale”, więc Gregorskiemu nic nie pozostało, jak tylko ustąpić. Jakby zaszła potrzeba, tak powiedział Rudi, to mogę sobie pojechać do Szwajcarii i zatrzymać się na parę tygodni w najlepszym hotelu, dopóki on do mnie nie dołączy. Przyjemnie by było.

Mogłabym mu zrobić niespodziankę i od razu kupić domek alpejski, i przygotować, kiedy on wreszcie sprzeda swoje aktywa za możliwie najlepszą cenę. Także swoją pizzerię - no i, oczywiście, agencję modelek, w której pracuję, kiedy nie jestem zajęta w

Ermitażu - prowadzi kompanię taksówkową, firmę budowlaną, interesy importowo-eksportowe, ma udział w klubie fitness i jest cichym wspólnikiem w sieci nocnych klubów, gdzie zajmuje się ochroną, ubezpieczeniami i takimi rzeczami. Rudi jest przyjacielem prezydenta. Prezydent powiedział, że Rudi należy do Rosjan nowego typu, którzy przeprowadzą Nową Rosję przez wzburzone wody nowego stulecia.

W mojej galerii znowu pusto. Powoli podchodzę do okna. Ogromne mewy zmagają się z wiatrem. Pogoda niebawem się pogorszy. Podziwiam swoje odbicie w szybie. To prawda, co Rudi powiedział wczoraj w nocy, po tym, jak się kochaliśmy po raz trzeci: starzejąc się, młodnieję. Nie mam tuzinkowej urody, takiej z reklamy pudru czy szamponu.

Jest bardziej organiczna. Wydatne, ponętne usta, wygięta szyja, którą mój admirał porównywał do szyi łabędzia. Po flircie z kolorem platynowym powróciłam do naturalnej, kasztanowej barwy moich włosów, takich jak barwa plemiennych ozdób. Loki mam po matce, ale sam Chrystus wie, że niczego więcej mi nie dała. Talenty aktorki i tancerki pewnie odziedziczyłam po jakimś znamienitym, zapomnianym przodku. Oczy - głęboka morska zieleń - mam po ojcu, który w swoim czasie był słynnym reżyserem filmowym, ale już nie żyje.

Nigdy oficjalnie mnie nie uznał. Postanowiłam, że jego nazwisko nie zostanie ujawnione.

Uszanowałam jego życzenie. Tak czy inaczej, oczy to ja mam. Rudi mówi, że można by w nich zanurkować i nigdy już nie wypłynąć na powierzchnię. A wiecie, że uczęszczałam do Leningradzkiej Akademii Sztuki jako aktorka? I na pewno - gdybym tylko chciała - mogłabym osiągnąć szczyty. To tam odkrył

mnie mój kochanek z politbiura w początkowym etapie mojej kariery i już razem wypłynęliśmy na szersze wody życia towarzyskiego.

Tańczyliśmy tango. Nadal umiem tańczyć, ale Rudi woli dyskoteki. Dla mnie są troszkę zbyt pospolite. Pełne zdzir i dziwek, które facetami interesują się dla ich władzy i pieniędzy.

Szwajcaria to większa klasa. W Szwajcarii Rudi będzie mnie błagał, żebym go nauczyła.

Jerome nie może znieść widoku własnego odbicia - wyznał mi kiedyś po wypiciu butelki taniej sherry, że nigdy nie miał lusterka. Zapytałam, dlaczego. Odpowiedział, że ilekroć w nie patrzy, widzi jakiegoś faceta i pyta się w duchu: „Kim, na Boga, jesteś?”.

Wąż jest tam, gdzie był, ciasno owinięty wokół pokrytego naroślami drzewa...

Chryste na wysokościach!

Po prostu wraca mój sen.

Ukrywałam się w tunelu. Gdzieś na dole czaiło się coś złego. Dwoje ludzi minęło mnie biegiem, oboje oczy mieli jak szparki, kobieta i mężczyzna. Mężczyzna chciał ocalić kobietę od zła. Chwycił ją za ramię i biegli, szybciej niż gaz przemieszczający się w strugach powietrza. Ruszyłam za nimi, bo wydawało się, że mężczyzna zna wyjście, ale jakoś zgubiłam ślad. Znalazłam się na nie zarośniętym wzgórzu na tle nieba zasmarowanego olejną farbą z kometami i rozbrzmiewającego kurantem. Uprzytomniłam sobie, że stoję u stóp krzyża. Były tam kości, którymi Rzymianie grali o podzieloną na części szatę Jezusa. Gdy spojrzałam, krzyż zaczął się zapadać. Gwóźdź, gładko wbity w stopy Jezusa. Uda Jezusa, bezkrwiste i blade jak alabaster. Przepaska na biodrach rana w Jego boku, rozpostarte ramiona i przybite dłonie, i jeszcze twarz

diabła, wpatrzona we mnie i wyszczerzona w uśmiechu, i w tym momencie wiedziałam, że chrześcijaństwo było tylko potwornym, niesmacznym, liczącym dwa tysiące lat żartem.

Ta dęciara Barbara Pietrowicz przyszła zająć moje miejsce, kiedy ja szłam na przerwę na kawę. Jak zwykle, nie odezwała się ani słowem. Pobożna i świątobliwa, że hej, zupełnie jak moja matka na łożu śmierci. Ruszyłam wykładanymi marmurem korytarzami. Jakiś łazik z przewodnikiem w ręku zagadnął mnie w obcym języku, ale nie zareagowałam. Obok moich smoków z nefrytu i czerwonego jak krew kamienia, przez zamknięte kopułami komnaty ozdabiane złotym liściem, pod moimi olimpijskimi bóstwami, gdzie przecież Merkury utrzymuje się przy życiu dzięki sprytowi, przez długie pokoje z niebieskimi wstęgami, srebrnymi szamerowaniami, stolikami wykładanymi macicą perłową i aksamitnymi pantoflami, w dół po usmolonych tylnych schodkach, przez przedpokoje i dalej do mrocznej stołówki dla personelu, gdzie Tatiana, zupełnie sama, mieszała ciepłe mleko, do którego wsypywała czekoladę w proszku.

- Cześć, Tatiana! Też cię tu wygnali?

- Przerwę robię sobie, kiedy mi się podoba. Czekolady? Zapomnij dzisiaj o linii.

Ośłódź sobie trochę krew.

- No to dawaj. Co tam. - Usiadłam, poczułam, że jest mi za gorąco, podniosłam się, a nogi mojego krzesła zazgrzytały o płytki. Mimo żelaznych krat udało mi się otworzyć okno, ale to niewiele pomogło. W środku i na zewnątrz było dokładnie tak samo. Na dziedzińcu był czołg i mnóstwo bardzo powoli poruszających się ludzi. Zewnętrzne krańce wiru.

- Chyba jesteś dzisiaj trochę poruszona, Margarito - zaczęła

ostrożnie Tatiana. Tak chciałam powiedzieć jej dzisiaj o Szwajcarii. Pragnęłam opowiedzieć jej o wszystkim i prawie tak się stało. - Naprawdę? Myślałam o wzięciu małego urlopu, faktycznie... może za granicę... bo ja wiem... Tatiana zapaliła mi papierosa. Miała piękne palce. Słuchałyśmy odległego pomruku bojlera i chlapnięć mopa sprzątaczkki zmywającej na zewnątrz korytarz.

Ciekawe, czy Tatiana gra na pianinie, mając takie palce.

- To dziwne i smutne - myślałam na głos - że my odchodzimy, a miejsca nadal trwają.

Tatiana kiwnęła głową. - To świat wymierza ci policzek, mówiąc: „Radzę sobie bez ciebie świetnie”. Morze robi to samo, ale tam nikt nie mieszka. Bardziej boli, jeżeli jest to miejsce, w którym dorastamy, pracujemy czy zakochujemy się. Czekolada Tatiany zasłodziła mi język na amen. - Czasami wyobrażam sobie, że wyjdę na korytarz i wpadnę na jakiegoś osiemnastowiecznego hrabiego Archangielskiego.

Tatiana roześmiała się. - A czego hrabia Archangielski chce od Margarity Łatuńskiej?

- No cóż, to zależy. Czasami chce, żebym mu pokazała drogę do cesarzowej na schadzkę. Czasami chce mnie namalować i powiesić mój olejny portret w swojej galerii.

Innym razem chce mnie zaciągnąć do swojego łóżka z baldachimem i zgwałcić tak, żebym nie mogła chodzić przez trzy dni.

- A broniłabyś się?

Teraz ja się roześmiałam. W kuchni na zapleczu zaczął cieknać kran.

- Wygląda na to, że wiele rzeczy ci przychodzi do głowy.

- Rudi też tak mówi.

- Co za Rudi?

- Mój przyjaciel.

Tatiana założyła nogę na nogę i usłyszałam szelest pończoch.

- Twój facet?

Lubię, jak Tatianę ciekawią moje sprawy. W ogóle lubię Tatianę. - Poniekąd... - A czym on się zajmuje? - Tatiana stwierdza, że warto zainteresować się Margaritą Łatuńską.

- Jest miejscowym biznesmenem. - Ach, ten! Wspominałaś o nim w zeszłym tygodniu, jak wyszłyśmy...

- Tak?

Tatiana usiadła tak jak poprzednio. Usłyszałam szelest jej pończoch. - No pewnie... ale mów dalej, opowiedz mi o nim wszystko...

- Nadciąga burza.

Kiwnęłam głową. Cisza jak w jaskini.

- Tatiana, wcale tak nie myślałaś, gdy mówiłaś, że miłości nie ma, prawda?

- Przykro mi, że tak cię to wyprowadziło z równowagi.

- Nie, wcale mnie nie wyprowadziłaś z równowagi. Tylko tak sobie myślałam. Skoro miłości nie ma, to dlaczego umieszcza się ją w innej przegrodce niż zło?

- Gdy tylko cię zobaczyłam, wiedziałam, że chodzi ci o nadzieję. To sprytne pytanie.

- Powiedziałaś mi coś w tajemnicy. Umiąabyś dotrzymać mojej tajemnicy?

- Oczywiście.

- Jestem niepraktykującą chrześcijanką. Kiedy miałam kilkanaście lat, matka przemycłał mnie na potajemne nabożeństwa. Przed śmiercią Breżniewa. Rozumiesz. Gdyby przy

łapali, dwa lata więzienia, z miejsca. Nielegalne było nawet posiadanie Biblii.

Tatiany chyba ani trochę to nie zaskoczyło.

- Tak naprawdę, to pewnie nawet nie tajemnica, a raczej opowieść. Pamiętam kazanie. Wędrowiec wybrał się w podróż z aniołem. Weszli do wielopiętrowego domu. Anioł otworzył drzwi do pokoju: wzdłuż ścian biegły długie, niskie ławy, na których siedzieli stłoczeni ludzie. Pośrodku znajdował się stół zastawiony stertą słodkich przysmaków. Każdy z gości miał srebrną łyżkę, której długość odpowiadała wzrostowi jej posiadacza. Usiłowali pożywić się, ale oczywiście nie mogli - łyżki były za długie i jedzenie spadało z nich. Więc choć jedzenia starczyłoby dla każdego, wszyscy byli głodni. - To jest piekło – wyjaśnił anioł. Ludzie nie kochają się. Każdy myśli tylko o tym, żeby samemu się najeść.

Potem anioł zabrał wędrowca do innego pokoju. Był dokładnie taki sam jak pierwszy, tyle że tym razem goście, zamiast próbować sami się najeść, wykorzystywali swe łyżki do karmienia innych. „Tutaj”, powiedział anioł, „ludzie myślą o sobie nawzajem. Więc mogą się nakarmić .To niebo”.

Tatiana zastanawiała się przez chwilę. - Nie ma różnicy.

- Nie ma różnicy?

- Nie ma różnicy. Każdy, i w niebie, i w piekle, pragnął tego samego: napełnić żołądek smakołykami. Z tym że ci w niebie lepiej radzili sobie z tym gównem. To wszystko.

- roześmiała się. Ja nie mogłam. Wyraz mojej twarzy sprawił, że Tatiana dorzuciła: -

Naprawdę bardzo mi przykro, Margarito...

Minuty ciągną się jak postrzelony hollywoodzki gangster czółgający się korytarzem.

Wiem, że biznes Rudiego wymaga czasem twardości, ale jest różnica między stanowczością a przemocą, tak samo jak jest różnica między biznesmenem a gangsterem.

Nigdy nie robiłam sobie złudzeń. Mój Rudi potrafi w działaniu być bardzo bezpośredni. Ale czego ludzie mają oczekiwać, gdy nie spłacają legalnych pożyczek? Przecież Rudi nie może rozdawać pieniędzy, to nie ochronka. Ludzie, biorąc pożyczki, akceptują warunki, a jeżeli nie dotrzymują potem umowy, to mój Rudi ma wszelkie prawo, żeby przedsięwziąć działania, które uchronią go przed tym, by on i jego wspólnicy nie zostali w końcu bez grosza. To niesamowite, jak niektórym ludziom trudno to zrozumieć. Pamiętam, jakieś dwa lata temu, zaraz potem, jak Rudi zgodził się wprowadzić do mnie, wrócił późno w nocy, na karku miał długą ranę od noża. Pożyczkowy miglanc, wyjaśnił. Krew sączyła się, gęsta i lepka jak pasta do zębów. Rudi nie chciał iść do szpitala, więc ja musiałam własnoręcznie zatamować krwawienie - jedną z moich podartych w tym celu bawełnianych bluzek. Szpitale są dla tych, którzy potrzebują pomocy, powiedział. Jest taki dzielny.

Po tym wszystkim Rudi zaopatrzył się w pistolet, a ja w bandaż.

Chmury i odległe Alpy w błękitne popołudnie, lody i puch. Pora sjeisty w Rajskim Ogrodzie, w zagajnikach szemrząca senność. Owady, to przysiadające, to odlatujące. Ewa dojrzewała do podjęcia decyzji.

- Spytaj swego pragnienia, czego chcesz - wysyczał.
- To poważny krok. Wygnanie, menstruacja, znojna praca, rodzenie dzieci. Mam jeszcze jedno pytanie, ostatnie.
- Strzelaj - odpowiedział wąż.
- Dlaczego nienawidzisz Boga?

Wąż uśmiechnął się, zakreślił w powietrzu spiralę i spoczął u Ewy na kolanach. -

Bądź tak dobra i połaskocz mnie pod brodą, co, kochanie? Taaak, wiedziałem...

Ewę zachwyciły szmaragdowo-rubinowe plamki na złotych łuskach węża. – W takim razie podsuń mi sprytną odpowiedź.

- Owoc, który trzymasz, Ewo, ten pulchny, soczysty, płodny, jędrny owoc, zawiera całą wiedzę, którą pragniesz zdobyć. Dlaczego nienawidzę Boga? Zoroastrijskie, manichejskie herezje, jungowskie archetypy, piramidy Czyngi-chana, cząsteczki wirtualne, węzowa przepowiednia, nieśmiertelność... Dlaczego coś dzieje się tak, a nie inaczej? Wystarczy, że... - oczy węża zawirowały jak w kalejdoskopie Nostradamusa - dotkniesz swoimi delikatnymi ustami soczystego piękna, mocno ugryziesz, a zobaczysz, co się stanie!

Ewa przymknęła oczy i otworzyła usta.

Moją galerię Delacroix zaszczylił korowód ambasadorów. Ambasadorowie to idioci, którzy posiadają tylko jedną umiejętność: wzajemnego odkłaniania się przy oficjalnych okazjach. Wiem. Napatrzyłam się, kiedy byłam blisko władzy. Były szef bezpieczeństwa, attache kulturalny, dyrektor Pałacu Zimowego, główny kustosz Rogorszew - który udawał, że mnie nie widzi - wielojęzyczny tłumacz i ośmiu ambasadorów. Wiedziałam, z jakich krajów pochodzą, bo sama wystukiwałam zaproszenia. Francuskiego od razu mogłam poznać, bo co rusz przerywał tłumaczowi, żeby to i owo pokazywać pozostałym. Niemiecki co chwila spoglądał na zegarek. Brytyjski raz po raz grzecznie kiwał głową przy obrazach i mówił „wspaniale”, amerykański filmował zwiedzanie na wideo, zupełnie jakby był u siebie, a australijski co

rusz chytrze pociągał z piersiówki. Pozostali jeszcze ambasadorowie Belgii i Holandii, ale nie potrafiłam ich odróżnić, a zresztą i tak kogo to obchodzi? Każdy miał własnego ochroniarza. Bóg wie, dlaczego te miernoty potrzebowały ochrony.

Swego czasu też znałam kilku. O wiele zabawniejsi od ambasadorów.

Rusza z łoskotem klimatyzator. Odgłosy jego bebeczków przyprawiają o mdłości.

Tatiana... poganiała mnie naprzód, ale gęś Thewlickera, na której siedziała, była szybsza od mojej i zniknęła z krzykiem, zbiegając po schodach pożarowych, a za nią powiewała przywiązana do nogi upačkana sadzą szmatka do trzymania garów. Katarzyna Wielka żeglowała na carskiej barce, która była pokiereszowana, a do tego ubłocona i podziurawiona, ale miałam przy sobie butelkę oliwy z pierwszego tłoczenia i zalałam wszystkie otwory. Od carycy bił blask. Gdy doszła do siebie, usiadła.

- Pani - złożyłam głęboki ukłon.

- Ach, Margarita, no i jak się mamy dzisiejszego wieczoru? Hrabia Archangielski prosił nas o przekazanie pozdrowień i wyrazów wdzięczności. Rozumiemy, że onegdaj wieczorem udzieliłaś mu pomocy.

- Z największą przyjemnością, wasza cesarska mość. - Jeszcze jedna maciupenka sprawa, panno Łatuńska.

- Słucham, wasza cesarska mość?

- Wiemy, że ukradkiem wynosisz nam sprzed nosa nasze obrazy. Gotowi jesteśmy przymknąć oczy na twoje postęпки. Jesteśmy z tej samej gliny, panno Łatuńska. My i ty.

Jesteśmy pełni podziwu dla twojego wyczucia stylu. I tylko Bóg wie, że na tym świecie kobieta powinna chwytać okazję za rogi,

ilekroć nadarza się sposobność, ale ostrzegamy cię.

Pałac tonie w intrygach i spiskach. Nadeszła pora, żeby zwinąć manele i wziąć nogi za pas.

Jeśli wyniesiesz jeszcze jeden obraz, zapłacisz niewyobrażalnymi cierpieniami i udręką.

Obudziłam się przestraszona i stwierdziłam, że Tomcio podglądacz wlepia we mnie swoje gały. - No i co się tak gapisz, pedziu?

Wycofał się zakosami, raz czy drugi obejrzawszy się przez ramię. Czemu jestem dzisiaj taka senna, nie rozumiem. To pewnie przez tę pogodę, ta burza, która nie chce przyjść.

No zupełnie, jakby mnie zamknęli w schowku.

Nasz związek z Rudim zawsze był bardzo liberalny. Ale niech pozory nikogo nie mylą! On jest surowy diament, a miłość, jaka nas łączy, jest głęboka, mocna i prawdziwi Kochankowie, jakich miałam przed Rudim, to byli starsi faceci, którzy chronili mnie i żywili.

Nie przeczę, że Rudi wydobywa ze mnie pierwiastek macierzyński. Ale te bzdury, że kobieta musi być niewolnicą mężczyzny i nawet spojrzeć jej nie wolno na innego, poszły do ziemi wraz z obłudnym pokoleniem mojej matki, i Bóg z nimi! Gdyby naprawdę tak uważała, to skąd niby ja się wzięłam? Oboje z Rudim umawiamy się na randki z innymi: zupełnie nieformalnie, a to przecież nic nie znaczy. W fachu Rudiego towarzyskość stanowi często istotny element odpowiedniego wizerunku. Nie mam nic przeciwko. Nie mógłby prowadzić swojego biznesu, gdyby nie miał odpowiedniego wizerunku. Nie żebym już była za stara i nie mogła towarzyszyć Rudiemu albo w ogóle, tylko że ja już to wszystko przerabiałam i mówiąc szczerze, to mnie nudzi. Zazwyczaj Rudi

przedstawia mnie swoim znajomym dżentelmenom, a zawsze, jak możecie się spodziewać, są to ludzie najlepszego pochodzenia, zawsze bardzo bogaci. Rudi wie, że jestem zwierzęciem towarzyskim, i nie ma ochoty patrzeć, jak gniję w naszym domku. Przyjaciele Rudiego często bywają w mieście w interesach i czasami potrzebują towarzystwa kobiety, żeby ich oprowadziła. Rudi wie, z jakim talentem obchodzę się z mężczyznami i jak odprężają się przy mnie. Zawsze też wyrażają swoje uznanie Rudiemu w kategoriach finansowych, i niekiedy Rudi nalega, żebym policzyła sobie za koszty i czas, ale przecież Bóg jeden wie, że nie to mnie interesuje. To kompletnie nic nie znaczy. Rudi wie, że jest pępkiem mojego świata, a ja wiem, że jestem pępkiem jego.

Wieczorem czekanie w biurze głównego kustosa Rogorszewa. Kazałam otworzyć okna i włączyć elektryczny wiatrak, ale przepocona bielizna nadal lepi mi się do skóry. Żarzy się w mroku koniuszek mojego papierosa.

Nemia, moja kotka, pewnie chce, żeby ją już nakarmić.

Ale Rudi jeszcze nie wrócił, a pan Suhbataar w ogóle nie odbiera telefonów. Pan Suhbataar. Dziwny z niego człowiek.

Prawie go nie widuję. Kiedy już przyzwyczaiłam się po szoku, jakim było jego nagłe pojawienie się tydzień temu, wszystko jakoś się ułożyło. Słysząc go mniej niż Nemię i często, kiedy myślę, że nie ma go w domu, nagle mijam go po drodze do kuchni, albo kiedy wydaje mi się, że jest w domu, pukam do jego drzwi, a tam nikogo nie ma. Nigdy nie widziałam, żeby cokolwiek jadł, nie widziałam, żeby używał toalety! Chociaż dużo pije - mleko całymi szklankami. Kiedy zamyka drzwi, nie słysząc ani szmeru. A kiedy zapytać go o rodzinę i o Mongolię, udziela odpowiedzi, która zrazu nie zdaje się wymijająca, ale kiedy już siadam i zastanawiam się nad tym,

dociera do mnie, że nie powiedział mi kompletne nic.

Mam zdolność intuicyjnego wglądu i przenikania myślą, podobnie jak moja babka, która posiadała zdolność rzucania uroków. Więc zazwyczaj prześwietlam wzrokiem ludzi, ale pan Suhbataar jest przede wszystkim jakby niewidzialny. Jest przystojny, trochę przypomina jastrzębia, w typie półorientalnym. Ciekawe, jakie też kobiety mu się podobają? Dzikie, szalone Azjatki czy wyrafinowane Europejki w koronkach? Zakładając oczywiście, że lubi kobiety i nie jest z niego drugi Jerome. Nie, to prawdziwy mężczyzna. Ciekawe, jaka jest Mongolia. Muszę go podpytać, zanim wyjedzie.

Dzwoni telefon. Niech odbierze nowa sekretarka automatyczna głównego kustosza.

- Margarita? Tu Rogorszew, króliczku, jesteś tam? Podnieś słuchawkę... nie gniewaj się na mnie, wiesz, jak mnie to rani... - Nie chce mi się. Jeszcze jeden papieros. - Zapomniałem ci powiedzieć. Są urodziny mojej żony. Obiecałem, że zabiorę ją i dzieciaki na jakiś nowy film. Jakaś bzdura o dinozaurach... Przepraszam, ciupciadelko... W przyszłym tygodniu? Jesteś tam? Nie? Dobra... to mam nadzieję, że odbierzesz tę wiadomość...

Jasne. Znaczący, że na darmo robiłam makijaż. Strata czasu. Strata pieniędzy. Faceci nie wiedzą, ile kosztują przyzwoite kosmetyki. Mam nadzieję, że w kinie wybuchnie pożar i wszystkie małe Rogorszewiaki zmienią się w chipsy ziemniaczane. Rozdeptałabym je, tak samo, jak rozdepczę ich ojca.

Szef ochrony czytał kolumnę sportową, przeżuwał kanapkę wielkości cegły, z której kapał czerwony dżem. Z tyłu stało włączone maleńkie radio. - Dobry wieczór, Madame Łatuńska - powiedział przymilnie. - I jak dzionek? Spokojnie? - Obmacywał się

po spodniach, żeby odpowiednio poukładać jaja. - Interesy uwiązały panią w biurze naszego głównego kustosza?

Tłusta świnia. - Czy ambasadorowie dobrze się bawili?

- A pańscy ambasadorowie dobrze się bawili?

- O tak, śmiem twierdzić, że daliśmy im coś, czym będą mogli pochwalić się przed swoimi kochankami. - Spojrzał na mnie o chwilę za długo.

Zapaliłam papierosa. Idziesz na dno, grzęzniesz tłusciochu. Ciesz się, póki jeszcze możesz, bo miesiąc nie minie i trafisz do więzienia.- NOC polerowania podłóg w przyszłym tygodniu. Dopiero co z potwierdzeniem dzwonił do głównego kustosza Rogorszewa szef firmy sprzątajacej. O zwykłej porze. Wygląda na to, że w tym miesiącu znowu przyjdzie osobiście, żeby sprawdzić, czy maszyny woskujące chodzą gładko.

Szef ochrony obrócił się na skrzypiącym krześle i spojrzał na tablicę. - Zgadza się, proszę pani.

Zastukałam do drzwi własnego mieszkania kretyńskim szyfrem Rudiego, ale nikogo nie było. Ani pana Suhbataara, ani Rudiego, nawet malutkiej Nemii. Wzięłam prysznic, żeby zmyć brud i makijaż. Zielony cień do oczu i brzoskwiniowy róż spłynęły razem z wodą.

Łazienka o wiele czystsza niż zwykle: pan Suhbataar zawsze sprząta po sobie. Sprząta nawet po mnie. Nie ufam facetom, którzy sprzątają po sobie. Drugi taki to Jerome. Niech będzie flejtuchowaty na co dzień, jak Rudi. Wmuszam w siebie gotowane jajko i siadam przy oknie, żeby popatrzeć na kanał. Perkocząc, pojawia się statek wycieczkowy z ładunkiem turystów.

Widzę wśród nich swojego syna i córkę, śmieją się z czegoś, czego nie mogę dostrzec.

Blondwłose brzdące. Chcę wyjść, ale sama nie wiem, dokąd. W całym mieście mam wielu przyjaciół. Albo mogłabym wsiąść do nocnego pociągu do Moskwy i posiedzieć ze trzy dni u przyjaciół z teatru. Od lat już nie byłam w Moskwie. Zawsze gromko domagają się, żebym ich odwiedziła, ale odpowiadam, że jest problem z czasem. Zaproszę ich do Szwajcarii, kiedy już się urządzę, oczywiście. Będą mogli się zatrzymać w domku gościnnym, który zamierzam zbudować. Zzielenieją z zazdrości! Postanowiłam, że zamieszkać w pobliżu wodospadu, więc codziennie będę piła świeżą wodę z lodowców. W petersburskiej wodzie jest tyle różnych metali, że chyba posiada właściwości magnetyczne. Będę hodowała kury. Dlaczego płaczę?

Co się ze mną dzisiaj dzieje? Może potrzebuję faceta? Mogłabym włożyć te czerwone, nie puszczające oczek rajstopy, wcisnąć się w nowy czarny kostium z aksamitu, który dostałam od Rudiego w zeszłym tygodniu, to był dodatkowy prezent urodzinowy, i załapać jakiegoś chłopaka z motorem, w skórzanej kurtce, takiego z czarnymi gęstymi włosami i potężną szczęką... tak dla sportu. Od dawna tego nie robiłam. Rudi nie miałby nic przeciwko, zwłaszcza jeśli nic by o tym nie wiedział. Mówiłam już, że mamy nowoczesny układ oparty na wzajemnych ustępstwach.

Ale nie. Tylko Rudiego chcę. Chcę jego ramion, jego dłoni, jego zapachu, jego chcę obejmować. Chcę czuć jego gwałtowne ruchy, nawet jeśli trochę boli. Patrzę na szczyty dachów, iglice, kopuły, kominy fabryk... Rudi gdzieś tam jest i myśli o mnie.

Z Laponii nadchodzi front burzowy i kiedy spoglądam tam, gdzie noc rozplywa się w burzy, widzę liźnięcie błyskawicy. I zastanawiam się, gdzie się podziewa moja mała Nemia.

Stałam w studni podwórka zalanej światłem księżyca. Schody

wijące się w górę do mojego mieszkania. Droga, droga po północy. Ani ciemno, ani jasno, tu i ówdzie przemykające nietoperze, niebo popstrzone zadrapaniami jak w starym filmie. Winda jak zwykle nie działała, aczkolwiek piekielnie poraziła mnie prądem, kiedy pociągnęłam za drzwi, usiłując je otworzyć. Nie miałam pojęcia, że w nocy można zostać porażonym. Po raz pięćdziesiąty z rzędu, odkąd Rudi odjechał z Delacroix na tylnym siedzeniu swego furgonu ze sprzętem do czyszczenia, powtarzałam sobie, że wszystko jest świetnie. Właśnie miało się rozpocząć moje nowe życie. Po raz pięćdziesiąty poczułam, że coś jest nie tak. Przez cały tydzień coś było nie tak. Czyżby ktoś usiłował mi coś powiedzieć? Zapaliłam kolejnego papierosa. Nikt się nie zjawiał, Widzicie? Nic się nie działo i żeby tego dowieść, nie śpieszyłam się z pójściem do mieszkania, lecz zostałam przez chwilę na dole, żeby dopalić ostatniego papierosa.

Podmiana fałszywego Delacroix na prawdziwego odbyła się jak w zegarku. Prawie.

Rudiego i trzy wynajęte babcie do sprzątnięcia spotkałam u wejścia towarowego dokładnie o ósmej wieczór. Ta dęciara Pietrowicz wciąż w tym swoim koszmarowym mundurku a do tego dwie jej kumpele do nadzoru. Czwartym pracownikiem Ermitażu byłam ja. Kiedy się pojawiłam, z miejsca przerwały rozmowę. Nic dodać, nic ująć. Kiedy przydzielałam kobietom korytarze i wręczałam plany pięter, już myślałam, że dęciara Pietrowicz złamie ślub milczenia i odezwie się, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język. Cwana. Szef ochrony grał w holu w karty ze swoim szwagrem o gębie nietoperza. Kiwnął krótko głową na widok Rudiego, a nam pomachał. Rudi i jego sprzątaczkę popychali nieporęczne ustrojstwa do polerowania podłóg, każdemu z nich

towarzyszył jeden strażnik. Ja poszłam z Rudim.

Nie odzywaliśmy się ani słowem. Tworzyliśmy razem wspaniały zespół. Kiedy jest zadowolony, to mi to mówi, jak wtedy, gdy towarzyszyłam mu na przyjęciu urodzinowym w salach bankietowych petersburskiego Hiltona. Kiedy nikt nie patrzył, trąciliśmy się szampanówkami, a on powiedział: mała, tworzymy wspaniały zespół.

Kiedy podmienialiśmy obrazy w zimie, musieliśmy pracować jedynie przy słabym świetle elektrycznym padającym z Pałacu Zimowego. W porze jasnego, letniego zmierzchu światła mogliśmy nie włączać. Czuwałam na korytarzu, przed galerią Delacroix, podczas gdy Rudi otwierał z zatrząsków przegrodkę specjalnie wbudowaną w podstawę maszyny, Wysunął falsyfikat namalowany przez Jerome'a i oparł o stół w kształcie półksiężyca, inkrustowany kwiatami lotosu orchidei z nefrytu i bursztynu.

Nie było ani szmeru, z wyjątkiem odległego pomruku pozostałych maszyn.

Rudi sięgnął po prawdziwego Delacroix i odhaczył go. Wsunął do przegródki i z powrotem zamknął. Myślałam o Liwie i wężu, i o tym, jak razem się zmyli.

Usłyszałam zdecydowane kroki zmierzające w naszą stronę.

- Rudi!

Waż ponownie napełnił gruczoły z trucizną i jad trysnął.

Rudi zeszywniał i spojrzał na mnie. Poczułam się tak, jakby mnie ktoś gdzieś zatrzasnął i zostawił.

- Pomyliłam się. To walenie w ściankę działową. Nie, już nic.

Jeszcze echo tego jazgotu.

Rudi odtajał, spojrzał na mnie, marszcząc brwi. Potem na pustym miejscu zawiesił falsyfikat namalowany przez Jerome'a.

Za papierosa chyba sprzedałabym duszę. Potem Rudi zaczął woskować korytarze galerii siedemnastowiecznego portretu, pchając w tę i z powrotem hałaśliwe, wyposażone w uchwyty ustrojstwo. W ten sam sposób w naszych ogrodach w Szwajcarii ogrodnik będzie strzygł moje trawniki. Stałam na zewnątrz i patrzyłam na Rudiego z dala, jak znudzony pracownik galerii. Chciałam mu pomóc, ale to mogłoby wyglądać podejrzanie. W duchu gorąco pragnęłam, żeby czas wreszcie ruszył lawiną, żeby szybciej, żebyśmy mogli opuścić to upiorne miejsce i żeby skarb był już naprawdę nasz. Uległam pokusie i już widziałam, jak chodzę po najbardziej luksusowych sklepach Zurychu, orszak ekspedientów pakujących wskazywane przeze mnie przedmioty w biały papier w czerwone kropki i obwiązujących je złotą wstążką. Potem widziałam, jak Rudi podszczypuje mnie i zniewala na stoisku z truflami. O północy zapipczał nowy włoski zegarek Rudiego, który wyłączył maszynę woskującą. Wróciliśmy do wejścia towarowego. Gdy schodziliśmy, Rudi uśmiechnął się do mnie. - Niedługo, mała, już niedługo - i uśmiechnął się tak, jak będzie się uśmiechał nasz syn. Aż przygryzłam wargę, bo już widziałam ciuszki, w jakie będę go ubierać - Potem możesz mi zrobić dziecko - szepnęłam. Szef ochrony przysypiał w swojej stróżówce, bulgotał rozwalony w krześle. Były już dwie sprzątaczkі Rudiego i narzekały a to na kości, a to na woskowarki. Modlę się, żeby Rudi mnie uspił, zanim staną się taka jak one.

Przez jakąś minutę patrzyliśmy na szefa ochrony, aż nadeszła dęciara Pietrowicz ze swoją sprzątaczką. Obudziła go szturchnięciem.

Zamrugął i zerwał się na nogi. - Co?

- Tutaj już skończyliśmy, szefie - powiedział Rudi.

- No to do domu.

- A co z rewizją osobistą? - dopominała się dęciara Pietrowicz. - Punkt 15d regulaminu: personel pomocniczy, w tym personel galerii, musi poddać się przymusowej rewizji osobistej po opuszczeniu...

Szef ochrony wyciągnął nos w chusteczkę higieniczną, którą wrzucił lobem do kosza na śmieci. Nie trafił. - Nie cytujcie mi tu punktów regulaminu. Już ja wiem, co jest w regulaminie. Sam te cholerstwa pisałem.

- Nie godzę się, żeby ktokolwiek się zbliżał do mnie z rękami - powiedziała, cofając się, najstarsza sprzątaczką. - A jak pan powie, że mu wolno - ostrzegła Rudiego - to biorę od pana, co moje, i rezygnuję.

Babcia sprzątaczką numer dwa natarła solidarnie. - Ja tak samo. Nie godzę się, żeby mnie traktowano jak dziwkę na milicyjnym posterunku.

- Takie są przepisy - warknęła dęciara Pietrowicz - nie macie wyboru.

- Jezu, przecież nikt wam nie każe się przespać z obleśnym trollem.

Rudi włączył swój urok, drań. - Drogie panie, drogie panie. Rozwiązanie jest proste.

Mnie zrewiduje obecny tutaj szef ochrony, a panie jego żeński personel, na przykład ten gorliwy jego członek - Rudi wskazał na dęciare. - A potem pójdziemy do domu, żeby sobie uczciwie pospać po uczciwie przepracowanym dniu. A Rudi zawsze płaci, co się należy. Postanowione?

Po rewizjach załadowaliśmy obie woskarki na tył furgonu. Trzy sprzątaczką i dwie strażniczki poszły do domu. Rudi był w biurze

szefa ochrony, gdzie musiał jeszcze zielonym długopisem sygnować i kontrasygnować dokumenty w trzech egzemplarzach. A dęciara Pietrowicz snuła się jak smród po gaciach, knując coś nowego.

- A skąd wiadomo - powiedziała do szefa ochrony - czy nie ukrył jakiegoś obrazu w jednej z woskarek?

Chryste Panie. Zatruty cierń wśliznął się, zgiął i trzasnął.

Ale Rudi tylko westchnął i odezwał się do szefa ochrony. - Kim jest ta kobieta?

Pańskim nowym szefem?

- Jestem urzędnikiem państwowym - warknęła dęciara Pietrowicz - któremu się płaci, żeby chronił przed złodziejami nasze dziedzictwo kulturowe!

- Świetnie - powiedział Rudi, nadal na nią nie patrząc. Po pierwsze, przeszukajcie galerie. Po drugie, zlokalizujcie brakujące obrazy, które moi sławni międzynarodowi złodzieje muzeów chytrze przebrani za jęczące babcie zwinęli wam sprzed nosów waszych strażników, w momencie gdy przypadkiem mrugnęli okiem. Po trzecie. Rozmontujcie na gazetach przy świetle księżyca każdą z moich maszyn do ostatniej śrubki. Potem poskładajcie je do kupy. Doskonale, ale pamiętajcie, wniosę sprawę. Świetny pomysł. Szczęście, że macie tak wymagającego stróża porządku publicznego, co włazi wam na waszą grzędę. Ja do faktury doliczę nadgodziny. Zgodnie z warunkami umowy, którą zawarłem z głównym kustoszem Rogorszewem, skończyłem równo o dwunastej. Wybacz pan, że usiądę, skorzystam z pańskiej gazety i zatelefonuję do żony, żeby jej powiedzieć, że przez najbliższe osiem godzin nie zawitam do domu?

Rudi usiadł i rozłożył gazetę.

W ciągu tych kilku sekund serce załomotało mi co najmniej

dwadzieścia razy.

- To nie będzie konieczne - powiedział szef ochrony, wbijając mordercze spojrzenie w dęciarę Pietrowicz. - Tego rodzaju decyzje pozostają w gestii szefa ochrony. A nie nadzorcy personelu galerii.

Rudi wstał. - Bardzo miło mi to słyszeć. - Przecisnął się obok dęciary Pietrowicz, która mogła już tylko udusić się we własnym sosie - jedynym sosie, jakiego w życiu posmakowała. Przez drzwi stróżówki widziałam, jak Rudi wtaszcza trzecią woskarkę na tył furgonu, który nadal tkwił przy rampie. Zauważyłam, że zostawił dokumenty na biurku, mogłam więc je zabrać i pobiec za nim. Jesteśmy zespołem profesjonalistów. Chyba jasne, że czekał na mnie na tylnym siedzeniu furgonu.

- Mała - powiedział półgłosem - najpierw jadę do Jerome'a, żeby podrzucić obraz. Wrócę później. Przede wszystkim muszę się spotkać z paroma ludźmi Gregorskiego.

- Z Suhbataarem?

- Mniejsza o to, z kim. Wkrótce się spotkamy.

- Kocham cię. - Co niby mogłam jeszcze powiedzieć? Palcami musnął moje piersi.

Zeskoczył, żeby załadować ostatnią woskarkę. Tę z ukrytym w podwoziu Delacroix, która nadal tkwiła przy rampie. Tak już blisko, tak blisko.

- Pewnie jesteś z siebie strasznie zadowolona, Łatuńska - W drzwiach ładowni furgonu pojawiła się głowa dęciary Pietrowicz.

Dlaczego nagle przestała mnie ignorować, no? - No! Toto jeszcze potrafi gadać.

Zwinęła listek gumy do żucia, włożyła do ust i mocno zagryzła. Założyła ręce. - Czy ty naprawdę myślisz, że takiemu byle czemu jak ty się upiecze?

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Żując gumę, rozciągnęła usta w wymuszonym uśmiechu. Zastanawiałam się, co robić.

Skąd mogłaby wiedzieć? - Daruj sobie, Łatuńska. Wszyscy wiedzą o gierce, jaką tu prowadzisz.

Za jej plecami, poza polem widzenia ciemnej stróżówki, Rudi podniósł klucz francuski i powolutku podchodził, trzymając palec na ustach. Moja wyobraźnia już zaczęła działać i już widziałam, jak stal spada z błyskiem na jej czaszkę - czułam, bo ja wiem, co czułam - żeby tylko nie przestała gadać, żeby nie przestała, bo bałam się, żeby jakaś cząstka mnie nie zechciała jej ostrzec, choć innej cząstce było już gorąco i głodno. Ani mi drgnij, suko. Króliczek już blisko.

- A co to niby za gierka ma być? - Wyrzucilibyśmy jej ciało na moczarach w stronę Finlandii...

- Przestań udawać! Kiepska w tym jesteś! Mówię o twoim nędznym planie, żeby się wyrwać i zaistnieć w wielkim świecie, oczywiście! - Ach, to spojrzenie oczu Rudiego, to ta paskudna kokaina. Dęciara myśli, że przyłapała mnie na ucieczce. Przylecą kruki i wydziobią jej te świdrujące oczka. Dzikie psy będą się kłócić o jej brzuch, dupę i uda, soczystsze kawałki dostaną się silniejszemu. Jej życie spoczywa w moich rękach, a ona nawet tego nie wie... Nie chcę już, żeby uciekła, a ja muszę jakoś powstrzymać śmiech. Cały czas żuje gumę, ta jej tłusta gęba, która rozpaczliwie potrzebuje drogiej kosmetyczki. - Zainteresowana jesteś pracą głównego kustosa, co? Przez łóżko wydeptujesz sobie drogę do jego stołka!

Jesteś tylko bezwstydną kurwą, Łatuńska. Tym zawsze byłaś i nikiem innym nie będziesz.

Rudi opuścił klucz francuski. Roześmiałam się, splunęłam na nią. Tak się jej pozbyłam.

Skończyłam palić. Nawet nietoperze zniknęły. Co było teraz nie tak?

Nic, ot co. Sprawdziłam godzinę: druga dwadzieścia cztery rano. Obraz będzie bezpiecznie schowany u Jerome'a, Suhbataar zajmie się przekazaniem pieniędzy od nabywców, a ja będę mogła zacząć pakować się do Szwajcarii. Po tych wszystkich latach wreszcie się wydobyłam! W czasach żelaznej kurtyny Szwajcaria była blisko tylko w snach, a w rzeczywistości odległa jak Szmaragdowe Miasto. Wzięłam szturmem resztę schodów. To naturalne, że powinnam być stremowana. Przecież dopiero co ukradłam obraz wart pół miliona dolarów.

Zapukałam do drzwi wejściowych własnego mieszkania szyfrem Rudiego, tylko po to, żeby mu sprawić przyjemność. j Ale nie było odzewu. No cóż. Tego się nie spodziewałam.

Wkrótce zjawi się w domu.

W przedpokoju pstryknęłam włącznik światła, ale żarówka się przepaliła. Pstryknęłam drugi, dalej w przedpokoju, ale druga żarówka też nie świeciła. Dziwne. Pewnie prąd wysiadł. Ale i tak przecież prąd nie był mi dzisiejszej nocy potrzebny. Są w końcu białe noce.

Nieustanny pół-mrok i Mleczna Droga rozjaśniają niebo od strony Europy Weszłam do swojego pokoju, zobaczyłam stół do kawy liżący do góry nogami, i nerwy trzasnęły mi jak naciąg w rakiecie tenisowej.

Mój pokój był zrujnowany.

Półki powyrywane ze ścian, telewizor rozwalony, wazony pozrzucone na podłogę.

Szuflady wybebeszone, a ich zawartość rozwłóczona po pokoju. Obrazy metodycznie, po kolei, rozłożone na części. Moje ciuchy przeszukane i pocięte na strzępy. Kawałki szkła zaśmiecały dywany niczym szczątki zębów dinozaura.

Komu zależało na tym, żeby mi to zrobić?

Co za zniszczenie, jaka cisza.

Boże, tylko nie Rudi. Czy jest bezpieczny? Zabrali go?

W zacienionym kącie coś szamotało się pod szczątkami stołu. Czułam, jak gardło mi się zaciska i nie pozwala przełknąć śliny. Wytężyłam wzrok, żeby przeniknąć ciemne rojowisko. W zacienionym kącie była kałuża krwi, czerniejącej w zmierzchu - rozpoznałam cichuteńkie kwilenie...

O Boże, Boże mój, Nemia, tylko nie mała, kochana Nemia. Kucnęłam i zajrzałam pod stół. Tam w gmatwaninie ciernistych korzeni pewnie tkwi jej tylna łapa. Chyba była zbyt bliska śmierci, by cierpieć. Jej oczy wpatrzone we mnie milcząco jak oczy Buddy, gdzieś na jakimś wzgórzu, wpatrzone w słońce. Umarła, a ja zostałam sama, zapadając się, nie czując dna.

Newa od bagien niosła okropny kształt. Leniwie, na plecach dotarł do mostu Aleksandra Newskiego. Podczołgał się do wspornika i włókł się przez miasto na tych swoich kulasach, błyskając zębami, szukając mnie.

Co robić? Co się zawsze robi? Niech twoje pragnienie ci odpowie! Rozkazuje wąż.

Poszłam do sypialni i zatelefonowałam do Rudiego na numer komórkowy, ten alarmowy. Zasyczało zakłóceniami, jakby rozbijały się fale albo jakby sypnęło setkami monet. dzięki Bogu, jest połączenie. Zaczęłam z miejsca paplać: - Rudi, wywrócili mieszkanie do góry...

Odpowiedział mi żeński głos. Chłodny, metaliczny. Zadowolony z siebie, jak głos dęciary.

- Połączenie zostało przerwane.
- Chryste Panie! To połącz, głupia kurwo!
- Połączenie zostało przerwane.
- Połączenie zostało przerwane. Co?

Odłożyłam słuchawkę. I co dalej? Pragnienia. Pragnęłam Szwajcarii i Rudiego, i naszych dzieci. Dlatego potrzebny był mi obraz Delacroix. To proste. Rudi będzie ze mnie dumny. - Mała - powie - wiedziałem, że można na tobie polegać.

Zadzwoiłam do Jerome'a.

- Witaj, kochana. Wspaniały roboczy wieczór. - Słysząc było, że jest zamroczony alkoholem.

- Jerome, widziałeś Rudiego?

- Jasne, wyszedł stąd zaledwie dwadzieścia minut temu, podrzuciwszy ostatni dodatek do naszej rodzinke. Słowo, ona jest piękna, prawda? Aaa, a mówiłem ci o szalonej fascynacji Delacroix bratankiem...

- Czy Suhbataar już jest?

- Nie, wielki chan zadzwonił i powiedział, że wkrótce przybędzie - czy masz pojęcie, że w trzynastym wieku Mongołowie łapali jeńca, zamykali go w hermetycznym pojemniku, a potem spożywali na nim ucztę, słuchając odgłosów oddychania...

- Jerome, zamknij się. Zaraz wpadnę. Musimy zniknąć...

- Ależ moja droga, to jest zaplanowane na jutro. A po tym wszystkim, co zrobiłem, chyba zasłużyłem sobie, żeby nie mówić do mnie „zamknij się”, jakbym był jakimś...

- To, co miało być jutro, stanie się dziś! U mnie wszystko do góry nogami. Wszystko się wali. Zaraz wpadnę po obraz. Zapakuj go.

Odłożyłam słuchawkę. Czego ja pragnę?

Sięgnęłam przez rozcięcie w spodzie łóżka - dzięki, Jezu! Odkleiłam taśmę i wyjęłam rewolwer. Jest cięższy, niż na to wygląda, i chłodniejszy. Włożyłam do torebki i wyszłam. Cofnęłam się jeszcze po paszport i ponownie wyszłam.

Nie da się ukryć, że najtrudniej złapać taksówkę, kiedy się jej potrzebuje, a kiedy jest się w rozpaczliwej sytuacji w ogóle nie ma o czym mówić. Ruszyłam na piechotę. Wokół dostrzegałam tylko detale. Pamiętam bruk na ulicy Grochowej. Pamiętam gładką skórę dziewczyny całującej się z chłopcem na stopniach brązowego pomnika jeźdźca. Pamiętam główki kwiatów w celofanie wokół soboru św. Izaaka. Pamiętam światła sygnalizacyjne samolotów startujących z lotniska Pułkowo, zmierzających do Hongkongu, Londynu, Nowego Jorku czy Zurychu. Pamiętam fiołkoworóżowy jedwab roześmianej kobiety.

Pamiętam kasztanową skórzaną wiatrówkę. Pamiętam zniekształcony zarys bezdomnej osoby śpiącej w tekturowej trumnie. Drobiazgi. Same drobiazgi, których zwykle się nie zauważa.

Straszliwie bolały mnie mięśnie szczęk.

Drzwi mieszkania Jerome'a były zamknięte od środka. Waliłam tak głośno, że zaalarmowałam jakiegoś psa w innej części budynku.

Jerome otworzył i syknął: - Zamknij się! - Zatrzęsął drzwi na zamek i wrócił biegiem do obrazu, który pakował przy użyciu arkuszy tektury, brązowej taśmy i sznurka. Na kanapie otwarta walizka, już spakowana. Skarpetki, slipy, marynarki, tania wódka, czajnik Wedgwooda. Na brzegu barku w kształcie szafy grającej butelka po dzinie.

Stałam kompletnie bez ruchu. Co mam robić? Czego pragnęłam?

- Zabieram obraz.

Jerome warknął śmiechem. Nawet nie zadał sobie trudu, by spojrzeć. - Czyżby?

- Tak. Zabieram obraz. Zrozum, to nasza przyszłość, moja i Rudiego.

Jerome chyba nawet nie słyszał. Tyłem do mnie kucnął nad pakunkiem. - Przydad się na coś, moja droga, i połóż kciuk w tym miejscu na sznurku, a ja zacisnę.

Ani drgnęłam. - Zabieram obraz! - Kiedy Jerome odwrócił się, żeby znowu poprosić o pomoc, spojrzał prosto w lufę mojego rewolweru. Pierzchnęło mu z twarzy opanowanie, ale za chwilę na nią powróciło.

- To nie film. Nie użyjesz tego przeciwko mnie. Przecież wiesz, że nie. Na pewno nie bez twojego marionetkowego alfonsa, który zawsze mówi ci, co robić. Nawet nie potrafiłabyś prosto strzelić. Więc bądź rozsądną damą i odłóż to.

Miałam broń. On nie. - Odsuń się od obrazu, Jerome. Odejdź i zamknij się w swoim atelier, a nic ci się nie stanie.

Jerome obrzucił mnie łagodnym spojrzeniem. - Moja droga, mamy tutaj do czynienia z luką w rzeczywistości. Obraz jest mój. Nie zapominaj, że to ja namalowałem falsyfikat. To dzięki moim talentom tak się wszystko udało. Twoja rola sprowadzała się do tego, żeby się rozebrać, położyć i rozłożyć nogi. Spójrzmy prawdzie w oczy, na tym polega twój udział.

- Nemia nie żyje.

- A kto to Nemia?

- Nemia! Moja mała kotka!

- Bardzo mi przykro, że twoja kotka nie żyje. Łzami się zaleję, szczerze, kiedy przyjdzie czas ostatniego pożegnania, ale jeżeli

będziesz tak dobra i odłożysz tę brzydką zabaweczkę, to wreszcie będę mógł zapakować mój obraz - słyszysz mnie, moja droga? Mój obraz - i złapać samolot, żeby wreszcie uciec z tego waszego zapuszczonego, zakłamanego, pełnego przemocy, umiejscowionego poniżej poziomu odbytu kraju, dla którego nie tak dawno temu zaprzedałem całą swoją przeklętą przyszłość...

- Nie wiem, co to jest luka w rzeczywistości. Ale wiem, co to jest pistolet. Obraz jest mój. I jeszcze jedno, nie nazywam się „moja droga”. Nazywam się Margarita Łatuńska.

- Widocznie moje słowa nie przebiły się przez skorupę twojego makijażu i fryzury, ty stara dziwko... - Ruszył w moją stronę z wyciągniętą ręką, gotów chwycić...

- To mój obraz! - huknął rewolwer. Głowa Jerome'a odskoczyła z takim impetem, że całego go poderwało. Piękna czerwona krew zbryzgała sufit. To było słychać. Bryzg. Jerome jeszcze się obrócił, jakby się poślizgnął na skórcie od banana.

Margarita Łatuńska - uparcie powtarzała cisza, nie podnosząc głosu.

Jerome, bez połowy twarzy, grzmotnął o podłogę, Zabijanie to doznanie, którego, podobnie jak usunięcia ciąży czy porodu, nie sposób sobie odpowiednio wyobrazić. Dziwne.

Co dalej?

- Panna Łatuńska, moje gratulacje - powiedział Suhbataar, zamykając cicho za sobą drzwi do kuchni. - Prosto w oko. Jeszcze jedna rzecz, która nas łączy.

Suhbataar?

- Gdzie Rudi?

- Obok. - Uśmiechnął się i zobaczyłam ciemny błysk złota. Do tej chwili nie widziałam jego zębów.

- Gdzie?

- W kuchni. - Suhbataar wskazał zadartym kciukiem przez ramię.

Więc wszystko się ułoży! Poczułam ulgę i łzy napłynęły mi do oczu. Najpóźniej jutro wieczorem będziemy w Szwajcarii! - Dzięki ci, Boże, dzięki, ja... nie wiedziałam... ja... Nemia nie żyje... panie Suhbataar, mam nadzieję, że pan zrozumie, jeżeli chodzi o Jerome'a...

- Rozumiem, Margarito. Rudiemu także wyświadczyłaś przysługę. Anglicy to bardzo pokrętne plemię. Naród homoseksualistów, wegetarian i trzeciorzędnych szpiegów.

Ten tutaj... - Suhbataar czubkiem buta przesunął rozbitą głowę Jerome'a – planował sprzedać cię, mnie, Rudiego, a nawet Gregorskiego, wszystkich chciał spuścić.

Rudi był bezpieczny! Pobiegłam do kuchni i pchnęłam drzwi. Rudi leżał rozłożony na kuchennym stole, nadal w swoim firmowym kombinezonie. Ale żeby w takim momencie się upić! Kocham go w każdej sekundzie mego życia, ale to nie jest czas na picie wódki!

- Rudi, kochanie, obudź się już...

Potrząsnęłam go za ramię, a jego głowa odchyliła się pod niemożliwym kątem, zupełnie jak głowa Jerome'a. Mój zdarty krzyk urwał się równie nagle, jak się rozległ. Przetoczył się nad miastem. Tak, przez długi czas opadał. Grzmot w mojej głowie nie umilknie, dopóki ziemia nie ucałuje moich ust i nie zamknie mi oczu. Spieniona krew tasiemcami wyslizgiwała się z oczu i nozdrzy mojego kochanka. Biała jak łój, biała jak łój.

Suhbataar odezwał się z pokoju spokojnym tonem. - Musisz odłożyć wasz wspólny wyjazd do Szwajcarii...

Grudkowata wymiocina kompletnie zakleiła Rudiemu usta.

- ...definitywnie. Przykro mi z powodu twojego buduaru, domku i dzieci.

Ja, to... Rudi i głos Suhbataara, nic poza tym nie istniało.

- Rudi! - odezwał się ktoś za mnie.

Głos Suhbataara był lekceważący. - Niestety, Rudi tak samo planował nas spuścić.

Pan Gregorski nie mógł na to pozwolić. Musi dbać o swoją reputację. Więc wezwał mnie, żebym sprawdził uczciwość każdego z was. Efekty były mniej niż zadowalające.

- Nie, nie.

- Podejrzenia pana Gregorskiego nasiliły się, kiedy twój przyjaciel „zgubił” górę pieniędzy, którą wyprał w szanowanej firmie w Hongkongu, a jedynym wytłumaczeniem, jakie mu przyszło do głowy, było to, że jego łącznik nagle umarł na cukrzycę! Brak uczciwości w połączeniu z brakiem pomysłowości fatalnie się kończy dla drobnych kanciarzy.

Coś chrupnęło mi pod podeszwą. Szczątki strzykawki. Piekło wyłożone terakotą.

Nagle lodówka włączyła się z dygotem.

Krzyk logiki. Może nie było jeszcze za późno. - Karetka!

- Karetka już nie pomoże Rudiemu, proszę pani. On nie żyje. I to nie tak trochę. Nie żyje w całej rozciągłości. Wygląda na to, że ten zgorzkniały zdrajca i fałszerz Jerome zaprawił swoją znakomitą heroinę trutką na szczury.

Jego kochane oczy. Rudi zsunął się z krzesła i runął na podłogę. Usłyszałam trzask jego łamanego nosa. Uciekłam z powrotem do pokoju, potknęłam się o coś i upadłam na kolana, jakbym czepiając się paznokciami wzoru na dywanie, chciała wrócić do tego, co było

wczoraj. To wszystko było zbyt straszne, żeby płakać. Poczułam coś między palcami.

Pistolet. Pistolet.

Suhbataar zapinał guziki swojego długiego skórzanego płaszcza.

Jerome leżał na plecach unurzany we własnej krwi, zaledwie kilka kroków dalej.

I Rudi w kuchni, ze złamanym nosem.

Jak to wszystko się stało? Zaledwie godzinę temu siedzieliśmy w furgonie, a ja chciałam, żeby Rudi wszedł we mnie.

Usłyszałam, że kwilę, zupełnie jak Nemia pod stołem.

- Nie przejmuj się tak - powiedział Suhbataar, wsuwając pod pachę pakunek z obrazem Delacroix. Dlaczego ten jego głos jest zawsze taki sam? Zawsze taki sam, oschły, cichy, nieustępliwy. - Twój gang od miesiący żył na kredyt. Rudi i Jerome byli zdrajcami. Pan Gregorski nie może pozwolić ci odejść. W końcówkach pionki się poświęca. Za blisko kręci się twoja przyjaciółka z Interpolu, panna Makuch ze swoim Inspektoratem Transferu Kapitału.

- Co?

- Niewinna nazwa jak na oddział antymafijny, co? To mi przypomina, że dałem im anonimowy cynk za pośrednictwem martwej skrzynki kontaktowej na Wyspie Kirowskiej.

Będą tu za parę minut. Uspokój się. Byli szpiedzy to w dzisiejszych czasach kłopot i zważywszy delegacje z organizacji handlowych i z MFW, nikt przecież nie odrzuci śladów obciążających cię zabiciem Jerome'a. Skradzione obrazy są nie do zastąpienia, ale nikt nie uwierzy, że to ty byłaś mózgiem całego przedsięwzięcia. Co najwyżej piętnaście lat, po dziesięciu wyjdiesz. Moskiewskie lobby na rzecz reform w więziennictwie zaczyna zyskiwać na popularności. Powoli.

Podszedł do drzwi.

- Zostaw to! To mój obraz! Ten obraz należy do Rudiego i do mnie!

Suhbataar odwrócił się, udając zdziwienie. - Rudi chybi nie będzie miał czasu na zajmowanie się skradzionymi dziełami sztuki.

- Potrzebuję go.

- Z największym szacunkiem, panno Łatuńska, pani silnie liczy. Nigdy się pani nie liczyła.

Co on powiedział o Tatianie? - Powiem wszystko policji o Gregorskim!

Suhbataar potrząsnął smutno głową. - Jest pani morderczynią, panno Łatuńska. Pani odciski palców znajdują się na pistolecie, który badania balistyczne dopasują... Kto pani będzie słuchał? Jedyne możliwe potwierdzenie pani doniesienia leży w tym mieszkaniu w kałuży własnych wnętrzności.

Czuję go palcami. Przecież mam jeszcze pistolet.

- Jeżeli powstrzymanie pani od opowiadania historyjek okaże się korzystne, Gregorski będzie wiedział, gdzie pani szukać. Poziom korupcji jest zdumiewający nawet w wydziale panny Makuch. Mongołowie bardzo dawno temu uczynili z korupcji swoją rozrywkę narodową, ale Rosjanie robią wrażenie nawet na nas.

- Rzuć ten obraz, rzuć natychmiast ten obraz, sukinsynu, albo cię zabiję, zabiję, zabiję, zabiję, ZABIJĘ! Połóż go powoli, i to zaraz połóż! Ręce do góry! Wiesz, że umiem się tym posłużyć! - Wycelowałam dokładnie tam, gdzie powinien mieć serce.

Broń, jakiej mężczyźni używają przeciwko kobietom, świadczy, że nie chcą ich poważnie traktować.

- Popatrz na Jerome'a, mongolski chuju, za dziesięć sekund będziesz wyglądał tak samo.

Suhbataar uśmiechnął się, jakby go to bawiło.

Świetnie. Świetnie. To będzie jego pośmiertna maska. ino morderstwo czy dwa, co za różnica? Pociągnęłam za spust. Nic. Jeszcze raz. Nic.

Suhbataar wyciągnął z kieszeni płaszcza pięć złotych pocisków i zagrzechotał nimi w dłoni.

Zostałam sama, wpatrzona w zamknięte drzwi.

Nie, tego nie było. To wszystko tak naprawdę się nie Zdarzyło.

LONDYN

Nieznośny kac, spełniając moje ostatnie prośby, momentami odpuszczał - na tyle, bym zdał sobie sprawę, że łóżko, w którym się znajdowałem, łóżkiem Poppy i tak nie było. O, lichy! Ale zaraz potem poczułem się tak, jakbym wpadł pod kruszarkę nawierzchni drogowych. Musiałem chyba jęknąć całkiem głośno, bo leżąca obok mnie kobieta obróciła się i otworzyła oczy.

- Dzień dobry - powiedziała, naciągając prześcieradło na piersi. - Zgubiłam kolczyk.

- Cześć - skrzywiłem się najmilej jak umiałem, starając się przebić wzrokiem przez powłoki bólu. Miałem nadzieję, że nie wyjdzie z tego jedno z owych naznaczonych poczuciem winy przebudzeń, kiedy ona opowiada ci o swoim chłopaku i swoim zmarłym bracie oraz psie Michaelu, który uciekł przed miesiącem, w efekcie czego nie możesz się już doliczyć, ile osób w tym łóżku leży. Dobra. Jest chyba raczej z tych poważnych niż narwanych. Mocno zarysowany profil. Pod czterdziestkę. Niezła, ale też nic nadzwyczajnego.

Albo się zestarzała od ubiegłej nocy, albo ja robię się coraz mniej wybredny. Rude włosy.

Dość masywna. No jakże! Byłem na prywatnym pokazie na Curzon Street. Obrazy olejne jakiegoś artysty, przyjaciela Rohan, Mudgeon, Pidgeon, Smudgeon albo coś w tym stylu. No i ta rudowłosa podeszła do mnie wtedy, i opowiadaliśmy sobie jakieś pierdoły o tym, że stara fizyka kwantowa pod wieloma względami przypomina religię Wschodu. Potem taksówka i winiarnia na Shaftesbury Avenue, potem następna taksówka i kolejna winiarnia na Upper Street. Potem tutaj, ale już nie wiadomo, w jaki sposób.

Jak miała na imię? Cathy? Katrina?

Jakoś tak, że zalatywało klasztorną szkołą. Zawsze mam problemy z imionami kobiet, kiedy się już z nimi prześpię.

Znalazła swój kolczyk, zauważyła też, w jaki sposób na nią patrzę. Chrząknęła. -

Katy Forbes. Specjalista do spraw kadrowych. Znajdujesz się w moim mieszkaniu w Islington. Miło mi pana poznać. Ponownie.

- Cześć. Jestem... - Coś ścisnęło mi tchawicę. Przemogłem się i znalazłem swoje spodenki a la Dzieciół Woody.

- Marco. Wiem. „Pisarz”. Etap wymiany imion mamy już za sobą.

A więc zagrałem kartą pisarza. To cenna informacja. Rozejrzałem się. Jednoosobowa kobieca sypialnia. Koronkowe zasłony, drzewa kołyszące się na wczesnojesiennym wietrze.

Hakat w ramkach z obrazem olejnym i wielkim podpisem

Delacroix pod spodem. Oryginał pewnie był ładny. Na dole, po mojej stronie łóżka, gniazdko z chusteczek higienicznych i kondomów, i butelka czerwonego wina, prawie pusta, ale za to z datą 1982 na etykietce. Dlaczego najlepsze rzeczy dzieją się zawsze wtedy, kiedy jestem za bardzo zalany, żeby je zapamiętać?

Sobotni poranek w Islington. Gdzieś włączył się alarm samochodowy.

- No. To świetne...

Wyczekiwała, aż dokończę, lecz zdanie na parę chwil zawisło w próżni.

- Wstanę i wezmę prysznic. - Jakaś końska modulacja w jej głosie. Pewnie uznała mnie za diament w kępie traw, stary kompleks Lady Chatterley. - Jeżeli czujesz się tak kosz-marnie, jak wyglądasz, to w apteczce na barku są jakieś bąbelki na kaca. Jak

będziesz musiał

wymiotować, to postaraj się wcelować do muszli. Zrób sobie kawy, jest błyskawiczna, leżeli nie uda ci się znaleźć ekspresu, ale proszę, nie zwiej przypadkiem z tym podrabianym żyrandolem, był drogi. A jeśli umiesz gotować, to zjadłabym jajecznicę na grzance.

- Nie ma obawy - odpowiedziałem. - Jestem przypadkowym popychaczem i można na mnie polegać! - Śmieszne było to wszystko, ale jakoś brnąłem dalej. - Obejdzie się bez wbijania kuchennych noży przez zasłonę do prysznic, masz to jak w banku.

Pierwszy lepszy nóż do chleba i tak zwichrowałby się na jej twarzy. Włożyła na siebie szlafrok i weszła do łazienki. Gdy włączyła prysznic, usłyszałem dygotanie rur.

Ubrałem się, żałując, że nie mam czystych ciuchów Przypalone miejsce na mojej koszuli, między śladem po szmince a plamą, którą próbowałem zbagatelizować, zalaatywało haszyszem. Pęcherz miałem jak pompowany materac turystyczny. Obszukałem na chybił trafił sypialnię i znalazłem małą toaletę, gdzie wysikałem z siebie więcej, niż się we mnie mieściło. Poważnie, szczałem przez okrągłe pięćdziesiąt pięć sekund. Na półce, obok woreczka, widniało zdjęcie mojej gospodyni, Katy Forbes pod płaczącą wierzbą z dość młodym, łysiejącym facetem, i przez chwilę zastanawiałem się, czy nie powinienem się zmyć, zanim w domu nie pojawi się mąż, ale wtedy jakoś przypomniało mi się jak Katy mówiła, że jest rozwiedziona. Zgodziliśmy się co do tego, że przystępowanie do programów oszczędzania w systemie piramid to w gruncie rzeczy bezstresowy sposób na pozbycie się wszystkich swoich pieniędzy i zrujnowanie sobie życia. Taaak. W planie było niespieszne, pozbawione elementów napastliwości śniadanko. Swoją drogą dziwne, ale rozwiedzionym zdjęcia ich eksmałżonków

służą zazwyczaj za cel w zabawie w rzutki. Może to jej brat.

Wycisnąłem kilka ostatnich kropel i garścią papieru toaletowego starłem z deski wilgoć.

Pociągnąłem za łańcuch spłuczki, wysyłając do Morza Północnego plemniki z poprzedniego wieczoru. Po trzech sekundach spod prysznicza dało się słyszeć wycie - Nie tykaj tej cholernej wody, dopóki nie WYJDE!

- Przepraszam!

Gotować umiem, a kuchnia Katy była dobrze zaopatrzona. Kac nigdy nie ma wpływu na mój apetyt. Chętnie grzebie, swojego kaca żywcem w jedzeniu. Na dużą patelnię nalałem trochę oliwy, posiekałem czosnku, grzybów i ostrej papryki, wszystko posypałem bazylią.

Dodałem odrobinę śmietany z jajkami i roztarłem parę anchois, które zasmradzały lodówkę.

Tego Wezuwiusza cholesterolu lekko obsypałem śniegiem utartego Wensleydale'a, a wokół krateru umieściłem kilka nadziewanych oliwek. Był chleb razowy, więc przyrumieniłem grzankę. Naturalne masło w maselniczce Wedgwooda. Zerwałem parę listków pietruszki rosnącej na parapecie. Obok kilka dużych pomidorów z siekanym selerem, rodzynki i porcyjka sałatki ziemniaczanej. Ekspres do kawy był tego samego modelu, co mój, więc problemu nie było. Łyknąłem pełny kubek czarodziejskiego browarku i poczułem, że mój kac został przegnany.

- Do licha - powiedziała Katy, wchodząc. Włosy miała zawinięte w ręcznik. Szare spodnie od dresu i sweter zapięty na ostatni guzik nie obiecywały swawolnej gry miłosnej po śniadaniu. - Nie jesteś pisarzem - powiedziała - a rzeźbiarzem *jedzenia*.

- Naszym celem - mruknąłem - jest sprawianie przyjemności.

Z wycieraczki zabrała „The Sunday Telegraph”, usiadła i zaczęła wcinać. Od razu sięgnęła do kolumny „Życie” w dodatku, którego nigdy nie czytam, nawet gdy akurat się przeprowadzam i ewentualnie interesowałyby mnie ceny akcji w Singapurze.

Przysiadłem się do Katy. Pokój był przyjemny. Z tyłu zarośnięty ogródek. Od frontu podwyższony chodnik. Patrzyłem, jak przechodzą nogi - ludzkie i psie - i jak przejeżdżają wózki. Na sosnowej komodzie kolekcja płyt CD głównego nurtu. Wszystko bardzo w typie księżnej Diany: Elton John, Pavarotti, *Cztery pory roku*. Na ścianie chiński kilim, na kominku zoo oryginalnych zwierzęcych rzeźb, płytki z terakoty i japońskie abażury. Był to pokój żywcem wycięty z działu „Życie” „The Sunday Telegraph”. - To miłe, gdy nazajutrz nie słyhać wzajemnych oskarżeń - rzuciłem tytułem żartu.

Spojrzała znad gazety. - Dlaczego miałyby być jakieś oskarżenia? Oboje jesteśmy świadomymi swoich czynów dorosłymi ludźmi. - Wsunęła na widelcu kolejny kęs jajecz-nicy. - Aczkolwiek kompletnie pijanymi.

- Racja. - Rozgryzłem kawałek chili i musiałem przepłukać usta wodą. -

Chciałabyś, żebyśmy jeszcze raz zostali kiedyś świadomymi swoich czynów, kompletnie pijanymi dorosłymi ludźmi?

Katy przez trzy całe sekundy zastanawiała się nad tym

- Chyba nie, Marco, nie.

Ejże, zapamiętała moje imię. - Oo. Wszystko jasne. Nalałem sobie kawy.

- Katy, mam nadzieję, że nie będzie to impertynencja, ale w toalecie zobaczyłem zdjęcie i zastanawiam się, czy nie wdepnąłem do czyjegoś ogródka?

- To nie czyjś ogródek, tylko mój. Był moim mężem Rozstaliśmy się, a potem on umarł.

Powstrzymałem się, żeby tajemniczo nie zachichotać.

- O... strasznie mi przykro. Nie wiem, co powiedzieć.

- To był wredny pacan. Ostatnie słowo zawsze musiało należeć do niego. To się stało cztery miesiące temu. Mniej więcej w czasie Wimbledonu. Nie rozpoznana cukrzyca w Hongkongu.

Przeczekałem, aż upłynie przyzwoita chwila. - Jeszcze grzanek?

- Dziękuję.

Zadzwoił gong u drzwi. Katy poszła otworzyć. - Kto tam?

- Przesyłka polecona dla Mrs Forbes! - krzyknął męski głos. - Ms Forbes! - powiedziała Katy, jakby po raz setny przywoływała psa do porządku, spojrzała przez wizjer i odryglowała zamki. - Ms Forbes! Ms!

Chłopak w niebieskim kombinezonie, o lśniących włosach oraz uszach wielkich jak u szympansa, wepchnął paczkę do przedpokoju. Zobaczył mnie i zrobił minę, jakby chciał powiedzieć: to ci filut. - Proszę tutaj podpisać, Miss Forbes.

Podpisała i listonosz sobie poszedł.

Przez chwilę patrzyliśmy na skrzynię opakowania. - Tu dopiero prezent - rzuciłem.

- Masz urodziny?

- To nie prezent - odpowiedziała. - To od dawna jest moje. Pomóż mi może, co?

W szafce pod zlewem jest młotek i dłuto, w pudełku z bezpiecznikami...

Podważyliśmy wieko i cztery boki odpadły. Krzesło w stylu królowej Anny.

Katy błędziła gdzieś myślami. - Marco - powiedziała dziękuję ci,

że przygotowałaś śniadanie. Było naprawdę dobrze ale chyba chciałabym, żebyś już poszedł. - Głos jej drżał.

- Nie najgorszy z ciebie facet.

- W porządku - odpowiedziałem. - Mógłbym jeszcze tylko wskoczyć pod prysznic?

- Chciałabym, żebyś już teraz poszedł.

Jesień ścieliła się w alei. Dymiło nią powietrze. Dopiero przed dziesiątą, a powietrze było słoneczne i rześkie, a zarazem zamglone. Późnym przedpołudniem u Alfreda, późnym popołudniem u Tima Cavendisha i z powrotem do mnie na wczesny wieczór, żeby się spotkać z Gibreelem. Naprawdę nie opłacało mi się już wracać do mieszkania. Tylko ,że przez cały dzień będę zalatywał seksem.

Kary Forbes nie była najbardziej zrównoważoną wczasowiczką, ale przynajmniej nie miała nic z głową, jak tamta wampirzyca z Camden Town, która skórzanym paskiem przywiązała mnie do stelażu łóżka i puszczała po moim torsie swoją ukochaną tarantulę, nagrywając wszystko na wideo. Przestań wrzeszczeć - wrzeszczała. - Baggins ma usunięte gruczoły... - Ale to nie gruczoły Bagginsa zaprzętały moją uwagę. Umysłowość Katy wywarła na mnie wrażenie silne na tyle, by zawojować we mnie osobowość raczej pisarza niż perkusisty. Mimo wszystko. Ranek Po Nocy Spędzonej Ze Mną nie za bardzo imponował

Nocy Sprzed Mnie. W ciągu dnia przemykam się przez różne moje JA, z których każde samolubnie wypełnia swój czas. Ja *Leżące W Łóżku*, Ja *Biorące Gorący Prysznic* są szczególnie samolubne. Obu ich nie znosi Ja Spóźnione.

Naprawdę jestem perkusistą. Mój zespół nazywa się „The Music Chance”, tak jak tytuł powieści tego gościa z Nowego Jorku. Mówię

o nas „niezobowiązująca spółdzielnia muzyczna” - około dziesięciu muzyków i jeśli coś się dzieje, każdy gra, gdy tylko jest pod ręką. Poza tym jesteśmy na ogół raczej luźno związani. Gramy przeważnie własne rzeczy, ale jeśli odczuwamy brak gotówki, zagramy wszystko, co wciska człowieka w siedzenie.

Proponowano nam kontrakty płytowe, i to największych firm nagraniowych w południowej Belgii, ale uznaliśmy, że powinniśmy się wstrzymać i poczekać na coś większego, jak EMI czy Geffen. "The Music Chance" jest dość znana także na Słowacji. Graliśmy tam kilka koncertów ostatniego lata, które bardzo się spodobały.

Pisarzem też jestem naprawdę. Murzynem literackim, takim, co pisze za kogoś. Moją pierwszą opublikowaną pracą była autobiografia kręglarza o nazwisku Dennis Mackeson, który w połowie lat osiemdziesiątych parokrotnie występował w barwach Anglii, kiedy były takie deszcze. *The Twistlethwaite Tornado* miała świetne recenzje w „The Yorkshire Post”. -

Nawet za milion lat nie przyszłoby mi do głowy, że pan Mackeson potrafi machać piórem równie dobrze jak go rodacy z Yorkshire! „Ot co!” Za sprawą tej pierwszej książki piszę obecnie historię życia starego Alfreda, facet: który mieszka na skraju Hampstead Heath z drugim takim młodszym - chociaż nie za wiele - przyjacielem, Royem. Ja przychodzę, on snuje wspomnienia o swojej młodości, nagrywam, robię notatki i do następnego tygodnia spisuję w formie opowiadania. Roy jest synem jakiegoś stalowej potentata z Kanady i co tydzień daje mi zaliczkę na poczet honorarium. Dzięki temu mogę opłacać czynsz i rachunki w winiarniach.

Zabłądzić można w tych ulicach w północno-wschodniej części Londynu. Sam prawie zabłądziłem. Wiją się ślepymi zakolami

wśród zagajników. Parę miesięcy temu spędzałem noc gdzieś za Hammersmith, posuwając w przyczepie kempingowej mistrzynię Walii w kickboxingu kobiet. Powiedziała, że cały Londyn sprawia na niej wrażenie jednego wielkiego labiryntu dla szczurów. Zgodziłbym się z tym, ale co powiedzieć, jeśli szczury przypadkiem lubią biegać po labiryncie?

Liście zakrywają dziury w chodniku. W dzieciństwie potrafiłem całymi godzinami tarzać się w opadłych liściach, starając się uniknąć psich balasków i dziur. Byłem przesądny, ale już nie jestem. I chrześcijaninem byłem, ale też już nie jestem. Potem byłem marksistą.

Wyczekiwałem z przywódcą aktywu przed stacją metra Queensway i pytałem ludzi, co sądzą o kwestii bośniackiej. Większość, oczywiście, wzruszała ramionami. - Jak rozumiem, proszę pana, bez komentarza? - Do tej pory wzdrygam się na samą myśl.

I prócz tego, że jestem starszy, to chyba niczym ponadto już obecnie nie jestem. No, może jeszcze buddystą na pół etatu.

Przypomniało mi się, że mam zmartwienie z okresem Poppy. Pękł nam kondom, kiedy to było? Dziesięć dni temu. Jej okres przypada jakoś tak pod koniec przyszłego tygodnia...

Dodajmy jeszcze jeden tydzień na stres wywołany przez czekanie... To znaczy, dwa tygodnie zanim strach zacznie się dobijać, a trzy tygodnie zanim mu się poddam. No dobra. W razie czego India będzie miała małego braciszka, z którym będzie mogła się bawić. A gdy za dwadzieścia lat profesor filozofii spyta dzieciaka, „dlaczego istniejesz”, on, bawiąc się kolczykiem w nosie, będzie mógł odpowiedzieć, że z powodu nieodpartego pożądanego i pękniętej gumy. Dziwne. Gdybym kupił paczkę z innej półki, nie

znalazłby się tam. No, daj sobie spokój z tym trybem warunkowym i staraj się to przełknąć.

Może się jeszcze, oczywiście, okazać, że jestem bezpłodny. Ale to już by mnie wkurzyło. Tyle pieniędzy wyrzuconych na niepotrzebne kondomy. No, ale trzeba jeszcze chyba myśleć o AIDS. Boiska Highbury. Prawie udało mi się wymknąć. Lubię ten wiktoriański pejzaż i gołębie przelatujące przez tunele z drzew. Nastolatkwie na huśtawkach palący papierosy. Ostatnim razem, jak tu byłem, z Poppy i Indią, była noc ogni. To wtedy India po raz pierwszy widziała fajerwerki. Przyjęła widowisko z królewskim dostojnictwem, ale potem całymi dniami o tym mówiła. Świetny dzieciak, jak jej matka.

Wkrótce znowu będzie noc ogni. Widać parę ulatującą ust. Jako dzieciak lubiłem bawić się w lokomotywę. A który dzieciak nie lubi? Starsi ludzie wyprowadzają swoje labradory po błotnistej darni. Młodzi ojcowie na ścieżkach uczą jeździć swoje dzieciaki na rowerach bez stabilizatorów. Niektórzy z tych ojców młodszy ode mnie. Założę się, że to są ich bmw. I ja szwendam się. Dawny dom Tony'ego Blaira. Listonosz opróżnia skrzynkę pocztową. Spacerowanie obok tych starych domów ciągnących się terasami jest jak przeglądanie półki z książkami. Studenckie lokum, atelier grafika - projektanta, rodzinna kuchnia o wystroju w podstawowych kolorach, ze szkolnymi obrazkami przyczepionymi magnesem do lodówki. Atelier antykwariusza. W suterenie pełno zabawek - latający wkoło helikopter. Salony myśliwskie, strzeleckie, cholera wie jakie, z obrazami i wyposażeniem, zwracające uwagę tych wszystkich, którzy mijają je po drodze do ośrodków dla bezrobotnych w Arsenal i Finsbury Park, i zachęcające do obrabowania tego domu. Biura bliżej nie znanych

grup wsparcia, biura nadzoru i bezsilnych związków zawodowych. Obok przeszło trzech mężczyzn w czarnych garniturach. Skręcili w Calabria Road, jeden z nich rozmawiał przez telefon komórkowy, drugi niósł aktówkę. Co oni tutaj robią w sobotę? Pewnie pośrednicy od nieruchomości. Jak ostatecznie skończą w tym życiu i jak skończę ja? Mogłem zostać prawnikiem, księgowym, zresztą kimkolwiek, kto może sobie pozwolić na dom w okolicy boisk Highbury.

Gdybym tylko chciał. Moi rodzice z Surrey, adoptowali mnie należeli do klasy średniej; chodziłem do dobrej szkoły. Miałem pracę w firmie w City. Miałem dwadzieścia lat, kiedy na śniadanie zacząłem brać prozak. Miałem osobistego psychoanalityka. Aż ciarki mnie przechodzą, gdy pomyślę, jakie pieniądze mu płaciłem za to, żeby mi powiedział, co jest.

Kiedy mu napomknąłem, że zostałem adoptowany, to aż mu oczy rozbłysły! Na adoptowanych dzieciakach zrobił doktorat. Ale w końcu sam znalazłem odpowiedź. Dałem sobie spokój z nurkowaniem. Nie mam na myśli ryzyka, ale skakanie na głowę, zrywanie się i rzucanie w coś zupełnie nowego.

No i teraz żyję, jak żyję, przegrywając bitwę z baterią ostatecznych terminów - zwłaszcza finansowych - ale przynajmniej terminów, które sam wybrałem, ponieważ znowu dałem nura w coś zupełnie nowego. Nie zawsze łatwo się w ten sposób żyje. Niezależność kuśtyka razem z niepewnością w tym moim wyścigu na trzech nogach. Jim - mój przybrany tata - mówi mi, że to mój wybór i że nie powinienem prosić o współczucie. I to prawda. Ale dlaczego takiego wyboru dokonałem? To mnie właśnie zastanawia. Bo jestem mną, brzmi odpowiedź. Ale to tylko odracza pytanie. Dlaczego jestem mną?

Przypadek, oto dlaczego. Za sprawą wychowania i koktajlu genetycznego, jaki przyrządził mi ślepy barman. Przypadek.

O, ten facet, co sprzedaje „Big Issue”, dlaczego stoi z tym czasopiśmem obok sklepu, w którym ludzie wydają po dwieście pięćdziesiąt funtów na starodawne stelaże do łóżek z mosiężnymi gaikami i jeszcze winszują sobie, że zrobili dobry interes? Przypadek. Dlaczego ten facet jest kierowcą autobusu, a tamta kobieta zabieganą kelnerką w Pizza Hut? Przypadek.

Ludzie mówią, że to oni wybierają, ale i tak wychodzi na jedno: to, dlaczego ludzie wybrali to, co wybrali, sprowadza się do przypadku. Dlaczego ten szarooliwkowy gołąb stracił nogę, a ten białobrzowy nie? Przypadek. Dlaczego ta modelka o apetycznie zaokrąglonych kształtach prezentuje te właśnie, a nie inne dzinsy? Przypadek. Czy to wszystko nie jest oczywiste? Dlaczego ta niewysoka kobieta w pomarańczowym anoraku przechodzi spacerkiem przez jezdnię tuż przed tą taksówką, której kierowca już rozbiera w wyobraźni długonogą babkę kroczącą obok z kłapciastym psiakiem - dlaczego to ona ma zostać rozjechana, a nie ja?

- ...kurwa mać!

Tego dnia po raz drugi mi się zdarzyło, nie wiadomo jakim sposobem, leżeć obok nieznamomej kobiety. Tym razem było jeszcze mniej przyjemnie niż wtedy. W lewej nodze poczułem pulsowanie, zaboląło. Pisk hamulców i rozdzierający się rękaw. Coś przeleciało w powietrzu - mogłem to być ja - i już tylko wytrzeszcz okrągłych oczu głupka z taksówki.

Wyglądało na to, że ta kobieta jest o wiele bardziej zszokowana niż Katy Forbes. Do twarzy przykleił jej się zeschnięty liść i patyk od lizaka.

- A niech to lichy - powiedziała. Irlandka. W średnim wieku. Patyk od lizaka odpadł.

Nad nami stał taksówkarz, gruby typek. Święty Mikołaj bez brody albo wyzuty z miłości do człowieka. Słyszałem silnik jego wozu, nadal na chodzie. Wahał się, czy ma się wściec, czy współczuć. - Sakramencka cholero, kochanie, dlaczego nie patrzysz, gdzie leziesz?!

- Ja... - zatoczyła oczami jak lalka. - Przecież nie widziałam.

- Kości całe? - Pytanie było skierowane do nas obojga. Moja noga nadal wniebogłosey się skarżyła, ale stwierdziłem, że stoję i mogę poruszać palcami. Kobieta pozbierała się.

- Wszystko widziałam - powiedziała długonoga z kłapciastym psiakiem i akcentem ze Sloaney. - On ściągnął ją sprzed taksówki. I pokoziołkowali. Na pewno uratował jej życie, słuchajcie. - Nie było komu potwierdzić, z wyjątkiem taksówkarza, który jej nie słuchał.

- Jakże jestem panu zobowiązana - powiedziała kobieta w anoraku, wstając i otrzepując się z kurzu. W okolicy oka pojawiło się zaczerwienienie.

- Drobiazg - odpowiedziałem tym samym tonem. - Będzie pani miała limo.

- To najmniejszy kłopot. Czy pańska taksówka jest wolna? - spytała kierowcę.

- No pewnie, kochana, nic pani nie jest? Żadnych uderzeń w głowę?

- Nie, nie, nic mi nie jest. A może mnie pan podwieźć swoją taksówką?

- Moją taksówką za opłatą podwiozę każdego, kochana. Ale patrz pani...

- Pięknie pewnie wyglądam, ale i pan by pewnie... mniejsza z

tym. Jestem zdrowa i wypłacalna. Proszę mnie zawieźć na lotnisko.

Spojrzał podejrzliwie, ale kobieta zachowywała się jak najpoważniej. - No cóż, myślę, że dopóki będzie pani siedziała w mojej taksówce, dopóty nie będzie mogła próbować zabić się pod nią. Heathrow, Gatwick czy London City?

- Proszę na Gatwick. Taksówkarz spojrzał na mnie. - Wszystko w porządku, Rozejrzałem się za kimś, szukając podpowiedzi, ale nie było nikogo. - Chyba tak.

Taksówkarz obejrzał się na kobietę. - To niech pani wsiada. - Wsiedli i odjechali.

- No co za potworność! - powiedziała długonoga kobieta. Pozbierałem się i oddaliłem się od niewielkiego skupiska przechodniów, które w każdej chwili mogło się niebezpiecznie powiększyć. Dziwne. Gdyby to krzesło nie napatoczyło się akurat w tym momencie, Katy nie wściekłaby się i nie prosiła, bym już poszedł, a ja wówczas nie znalazłbym się akurat w tym miejscu i nie zatrzymałbym tej kobiety. Nikomu jeszcze nie uratowałem życia. Czułem się całkiem zwyczajnie, jakbym odbierał fotografie z Boots the Chemist. Najpierw lekko podniecające, ale w zasadzie to rozczarowanie. Przechodziłem obok budki telefonicznej i pomyślałem, żeby zadzwonić do Poppy i powiedzieć jej, co się stało.

Nieeee. Jeszcze by pomyślała, że się chełpię. I tak już coś innego zaprzętało mi głowę.

Przeszedłem ulicę na pasach przed stacją metra Highbury and Islington, tej koło ronda, i zacząłem przeszukiwać płaszcz w nadziei znalezienia piątki, którą, jak się zdaje, schowałem na czarną godzinę, kiedy na rogu, za kioskiem z gazetami, ci trzej faceci w czarnych garniturach, których wcześniej widziałem, odepchnęli mnie od automatu biletami. Jeszcze nie doszedłem do siebie po

moim wejściu a la rugby, więc trochę to trwało, zanim uprzytomniłem sobie, co się dzieje. Przechodnie jakby specjalnie niczego nie zauważali. Cholerne Islington.

Zacząłem już nawet dostrzegać zabawną stronę tego wszystkiego. - Jeśli zamierzacie na mnie napaść i zabrać mi pieniądze, to naprawdę wybraliście niewłaściwego...

- Słoweczgozynunademadejgobiety!

Czyżbym został napadnięty po kurdyjsku? - Słucham?

Jeden z nich dźgnął mnie w mostek żelaznym paluchem. - Na - temat - tej - kobiety. - A, Szkot. Jakiej kobiety? Katy Forbes? Niby jej koledzy?

Drugi zaciągał. - Ta pani w pomarańczowym płaszczu przeciwdeszczowym, chłopcze. - Teksańczyk? Teksańczyk i Szkot. Zabrzmiało to jak początek dowcipu.

Aczkolwiek ci ludzie nie żartowali. Wyglądali, jakby nie żartowali od czasów przedszkola.

Egzekutorzy długów? - Kobieta, którą wyciągnąłeś sprzed tej taksówki.

- Aaa, ona. Tak.

- Jesteśmy z policji. - Miałem przy sobie coś nielegalnego? Nie... Szkot mignął swoją legitymacją. - Powiedziała, że gdzie jedzie?

- Ja, yyy...

- Długonoga kobieta z pieskiem powiedziała, że tamta pojechała na lotnisko. Więc chcemy tylko, żebyś nam powiedział, na które lotnisko jechała.

- Heathrow. - Nadal nie mam pojęcia, dlaczego skłamałem, ale skoro kłamstwo już padło, jego prostowanie mogło się okazać zbyt niebezpieczne.

- Jesteś całkiem tego pewien, chłopaczku?

- O tak. Całkowicie.

Spojrzeni na mnie wzrokiem katów. Trzeci, który w ogóle się nie odezwał, splunął.

Wreszcie odwrócili się i zapakowali do jaguara z przyciemnianymi szybami, który czekał na nich za straganem z kwiatami. Ruszył z piskiem, zostawiając mnie i wpatrzonych we mnie ludzi. Nie mogłem ich potępić. Też bym tak na siebie patrzył.

Jak wytworni mieszkańcy Londynu wiedzą, każda linia metra ma swoją odrębną osobowość i usposobienie. Victoria Line, na przykład, jest promienna i niezawodna. Jubilee Line, młodzińcze rozczarowanie rodzinne, rozgałęziająca się do przedmieść, cierpi na nieustannie planowane przedłużenia, skręca do Greenwich i z powrotem pod rzeką gdzieś na wschód. District and Circle Line, no cóż, nawet śmierć wolałaby zabulić za taksówkę, gdyby jej się śpieszyło. Linia do King's Cross czy Paddington, zatłoczona ludźmi zmierzającymi do muzeów, którzy nie znają co sprytniejszych skrótów, fatalna, zupełnie - podejrzewam - jak w Tokio. Miałem kiedyś profesora, który poprosił nas, żebyśmy udowodnili, iż Circle Line rzeczywiście biegnie po okręgu, Nikomu się nie udało. Kompletnie to nie zrobiło wtedy na mnie wrażenia. Za to teraz jestem pełen podziwu, że udało mu się kogoś przekonać, żeby mu płacił za występowanie z takimi bzdurami. Docklands Light Railway, okolica nowobogackich z takimi stacjami, jak: Prince Regent, West India Quay, Prince Gallions Reach czy Royal Albert. Głośna Piccadilly nie zaakceptowałaby takiego zgrywania się na znawstwo, tak samo jak jej bliźniacza ciotka, Bakerloo. Central, kuzynka w średnim wieku, rzeczowa, bezpośrednia, nie rozwidlająca się ani nie zataczająca koła. Tyle, jeżeli chodzi o

główne linie, z wyjątkiem Metropolitan, zbyt banalnej, żeby o niej zapominać, jeżeli nie liczyć przyjemnego wystroju w kolorze fuksji, i że nią jedzie się w odwiedzinach do umierających.

Potem mamy linie Oddball, zupełnie w stylu ekscentrycznych sztuk Szekspira.

Pericles, Hammersmith and City, East Verona Line, Titus of Waterloo.

Northern Line jest zaznaczona na mapie na czarno. Przebiega najgłębiej. Najwięcej w niej samobójstw, najłatwiej o napad, a jeżdżące nią studentki szkół artystycznych mają najwięcej szans, by w przyszłości zostać dziewczynami Bonda. Northern Line nosi na sobie piętno jakiegoś fatalizmu. Nazwy położonych przy niej stacji: Morden, Brent Cross, Goodge Street, Archway, Elephant and Castle, wskrzeszona Mornington Crescent. Przez całe lata była nieczynna. Pamiętam, że kiedy pociąg przejeżdżał przez nią, wyobrażałem sobie, że znajduję się na sondzie badającej „Titanica”. Tak, Northern Line to rodzinny psychol. Te świecące nagimi murami stacje na południowym brzegu Tamizy, które nie mogą przyciągnąć firm reklamowych. Na stacji Kennington nie chcą się ogłaszać nawet producenci ruchomych schodów. Nigdy nie byłem na Kennington, ale gdybym był, to założę się, że zobaczyłbym tylko sypiące się bloki mieszkalne z lat pięćdziesiątych, pozamykane salony bingo i zapełnione używanymi samochodami place z trzepoczącymi się na wietrze sfatygowanymi plastikowymi chorągwiemi. W podobnych miejscach kręci się filmy, o których najlepiej zapomnieć, w których główne role grają gwiazdy brytyjskiego rocka jako antybohaterowie klasy robotniczej. Ale nigdy nie wiadomo, co karta kredytowa zrządzi.

Londyn to język. Tak samo chyba jak wszystkie miejsca.

Złapałem dobry rytm w kołyszącym się wagonie. Na górze bluesowy riff... Albo może coś irańskiego... Zapisuję na grzbiecie dłoni. Fetor słonych bagien i łąk... no przecież, perfumy Katy Forbes.

Spójrzcie tylko na nią! No, spójrzcie na tę kobietę. Rozgorączkowana. Jest jak kruk.

Czarny aksamitny ciuch, ani krztyny rozlazłości. Inteligentna i czujna, jaką to książkę czyta? I jej skóra - doskonała, zachodnioafrykańska czerń, tak doskonała, że aż niebieskawa w odcieniu. Te zachwycające dumne usta. Co ona czyta? No, przechyl to jeszcze trochę bok...

Nabokov! Wiedziałem. Ma łeb! Ale jeśli naruszę regułę i się do niej odezwę, nawet jeśli naruszę regułę miejsca pośrodku i usiądę bliżej niej, niż muszę, pomyśli, że jej zagrażam, i mechanizmy obronne zatrzaskną się. Nie byłoby żadnego z tych problemów, gdybym spotkał ją na jakimś party. Ta sama ona i ten sam ja. Ale przypadek sprowadza nas oboje tutaj, gdzie poznać się nie możemy.

Ale jest przecież piękny poranek, tam na powierzchni świata. Czterdzieści minut temu uratowałem komuś życie. Świat ma wobec mnie dług wdzięczności. Wstaję i idę w jej stronę, zanim znowu zacznę się nad tym zastanawiać.

Już mam powiedzieć „przepraszam”, gdy otwierają drzwi do sąsiedniego przedziału i wchodzi jakiś bezdomny. Jego oczy widziały rzeczy, których moje, mam nadzieję, nigdy nie ujrzą. Miejsce, w którym powinna kończyć się brew zajmuje okazałe rozcięcie. Wielu oszustów krąży, ale ten do nich nie należy. A zresztą. Jest tyle tysięcy autentycznie bez-domnych ludzi, że gdyby każdemu dać chociaż trochę, to w końcu samemu skończyłoby się na ulicy. Jeżeli chodzi o ciebie, ostatnią linią obrony przed

ubóstwem jest samolubstwo.

- Przepraszam - jego głos draży znużenie, którego podrobić się nie da - bardzo wszystkim przepraszam, że zawracam głowę, wiem, że to dla nas wszystkich krępujące. Ale nie mam gdzie się dzisiaj przespać, a zanoszą się na to, że znowu będzie mroźno. W schronisku Summerford jest nocleg, ale muszę do wieczora zdobyć dwanaście i pół funta, żeby mnie wpuścili. Jeśli możecie państwo pomóc, pomóżcie. Wiem, że jesteście zajęci swoimi sprawami i bardzo przepraszam. Po prostu już sam nie wiem, co mam ludziom mówić...

Ludzie wbijają w podłogę wzrok. Już samo spojrzenie na bezdomnego staje się znakiem zawarcia z nim umowy. W Samarytanina też się kiedyś bawiłem. Szef był bezdomny przez trzy lata. Pamiętam, jak mówił, że najgorszą rzeczą była niewidzialność. I jeszcze to, że nie ma się takiego miejsca, do którego nikt inny nie może wejść. Pomyśleć, że nie ma się szans na miejsce, które można by zamknąć na klucz, z wyjątkiem kabiny w ubikacji na stacji King's Cross - z ćpunem po jednej stronie i szaletową parką po drugiej. Do cholery. Roy rzucił mi potem trochę grosza. Dałem facetowi parę funciaków, które zamierzałem wydać na cappuccino, ale przecież kawa i tak szkodzi, a ja jeszcze bzyczałem po ekspresie Katy. -

Dziękuję bardzo - mówi gość. Kiwam głową, krótka wymiana spojrzeń. Stacza się.

Powłócząc nogami, idzie do następnego wagonu. - Przepraszam, bardzo wszystkim przepraszam, że zawracam głowę...

Dziewczyna w czarnych aksamitach wysiada na następnej stacji. No i nie zaznam z nią smaku ostryg spływających po ślizgawce mojego języka.

Swoją drogą, nie umiałbym sobie poradzić z Samarytaninem. Nie mógłbym potem zasnąć, bo chodziłyby mi po głowie możliwe zakończenia rozpoczętych już historii. Może dlatego właśnie jestem pisarzem, który pisze za innych. Zakończenia nie mają ze mną nic wspólnego.

Na Northern Line jest jedno przyzwoite miejsce, do którego właśnie zmierzam: Hampstead. Winda taszczy cię na poziom ulicy w ciągu minuty, a nawet mniej. Nie próbuj nawet zaoszczędzić czasu, idąc spiralnymi schodami. Ja ci to mówię. Już szybciej byłoby się przekopać.

Obowiązkowe milczenie w windach. Taki tytuł mógłby nosić jakiś utwór w muzyce przypadku.

To sytuacja sprzyjająca namysłowi. W windach nawet Gibreel się nie odzywa.

Poppy powiedziała mi kiedyś, że kobieciarze to ofiary.

- Ofiary czego?

- Nieumiejętności komunikowania się z kobietami w inny sposób. - Dodała jeszcze, że kobieciarze albo w ogóle nie znali swojej matki, albo nigdy nie mieli dobrych z nią stosunków.

Dziwnie mnie to wkurzyło. - Czyli że kobieciarz w każdej kobiecie, z którą śpi, widzi namiastkę matki?

- Nie - powiedziała Poppy, przekonując, podczas gdy powinna się bronić - nie jestem całkiem pewna, czego wy od nas chcecie. Lecz jest to coś, co wymaga aprobaty.

Drzwi windy otwierają się i nagle wychodzisz na pokrytą liśćmi ulicę, gdzie nawet McDonald musi tonować zółcią i czerwienią ich czerń i złoto, zestrzajając je w ten sposób z księgarniami. Hampstead to siedziby starych fortun. Ostatnich imperialnych fortun. Ich właściciele zabierają swoje wnuki na urodzinowe

wycieczki do British Museum i w elegancki sposób trują nawzajem swoich małżonków. Kiedy pracowałem jako dostawca w centrum ogrodniczym, miałem babkę o imieniu Samantha czy Anthea, a może Panthea. Mieszkała w domu naprzeciwko swojej matki i mało, że swojego kucyka kochała bardziej niż mnie, co mogłem zrozumieć, to jeszcze bardziej kochała naprawianie swoich wiklinowych krzeseł. No, no, Marco, dawno to było.

Niebo chmurzyło się, zaciągając na buro porcelanową biel. Całkiem bezwiednie westchnąłem, zanosilo się na to, że świat utonie w deszczu. A w nocy miałem taką rajcowną parasoleczkę, tylko zostawiłem ją u Katy, a może w galerii czy jeszcze gdzieś indziej. Zresztą sam ją znalazłem, leżała gdzieś porzucona. Wiatr wzmagął się i wielkie liście fruwały nad kominami jak sztuki pozrywanego prania. Chyba nigdy nie chodziłem tymi ulicami z czasów Edwarda.

Pierwsze krople pokryły cętkami asfalt i zanim doszedłem do Alfreda, zapachniały ogrody.

Dom Alfreda to jeden z tych zamykających szereg budynków, wysoki, z wieżą na rogu, gdzie mogłyby odbywać się wieczory literackie. I faktycznie kiedyś się odbywały.

Młody Derek Jarman składał tu daninę, a także Francis Bacon, i Joe Orton, zanim osiągnął sukces, oraz cały szereg pomniejszych filozofów i swego czasu sławnych literatów. Goście bywający w domu Alfreda przypominają zespoły występujące w uniwersyteckim obiegu: pojawiają się tylko ci, których sława czeka, i ci, których sława już przeminęła. Byli i przyszli.

Alfred próbował w latach sześćdziesiątych zainicjować tu ruch humanistyczny. Idealizm przesądził o jego niepowodzeniu. Przywódca kampanii na rzecz rozbrojenia nuklearnego i ten cały

Collin Wilson nadal tu wpadają. Słyszeliście o nim? Zresztą przekonacie się...

Zazwyczaj trochę to trwa, zanim ktoś otworzy. Roy za bardzo buja w obłokach, żeby zwracać uwagę na takie rzeczy, jak dzwonienie do drzwi, zwłaszcza gdy komponuje. Alfred jest na to za głuchy. Dzwonię grzecznie pięć razy, obserwując chwasty wyrastające z pęknięć w schodach, dopiero potem zaczynam się dobijać.

W półmroku materializuje się twarz Roya. Widzi, że to ja, uśmiecha się i poprawia sobie tupecik. Pcha drzwi i omal nie ścina mi koniuszka nosa. - O - rzuca - cześć!

Wejdz... yyy... - Dociera do mnie, że ma taki sam problem z imionami, co ja. - Marco!

- Cześć, Roy. I jak w tym tygodniu?

Roy podłapał jeden z tych Warholowskich tonów. Mówi, jakby słowa otrzymał gdzieś zza Andromedy. - Jeezu, Marco... pytasz jak lekarz. Nie jesteś lekarzem... co?

Śmieję się.

Roy upiera się, że pomoże mi zdjąć płaszcz, i przewiesza go przez wieńczącą poręcz gałkę w kształcie ananasa. Muszę sprawdzić, jak się taka gałka nazywa. - I jak tam muzyka przypadku? Wszystko co młode, razem zgrane i nawzajem się inspirujące... Wprost uwielbiamy to.

- Zrobiliśmy parę ścieżek dwa tygodnie temu, ale teraz znowu próbujemy w magazynie wuja Glorii. - Z powodu chronicznego braku środków płatniczych. - Nowa dziewczyna naszego basisty gra na dzwonkach, więc próbujemy trochę poszerzyć repertuar...

A jak twoje komponowanie?

- Nie za dobrze, wszystko, co robię, ostatecznie kończy się na

Das wohltemperierte Klavier.

- I Bach nie pasuje?

- Nie, tylko że przez niego zawsze śni mi się zespół synchronicznie poruszających się kotów Eschera goniących za swoim ogonem. No, a co ty o tym sądzisz? To od mojego młodego złośliwego przyjaciela o imieniu Clem. - Podaje mi pocztówkę przedstawiającą Ziemię. Odwracam i z drugiej strony czytam wiadomość: „Szkoda, że cię tu nie ma. Clem”.

Roy nigdy nie zmusza się do śmiechu, tylko innych. Sam nieśmiało się tylko uśmiecha. - Ooo, ty jesteś złota rączka. Może sprawdzisz, czy nasz ekspres działa? Jest w kuchni. Same kłopoty z nim mam. Jest niemiecki. W Niemczech robią jakieś antyamerykańskie ekspresy. Myślisz, że wybaczyli nam już wojnę?

- A na czym polega problem z tym ekspresem? - Jezu, no ty naprawdę mówisz jak jakiś doktor, Marco. Po prostu przelewa się. Z odpływu wcale nie chce lecieć. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem kuchnię Roya i Alfreda, wyglądała jak scenografia do filmu o trzęsieniu ziemi. Dalej tak wygląda, ale już zdążyłem się przyzwyczaić. Ekspres znalazłem pod wielką głową wykonaną z gęstej siatki. -Pomyśleliśmy, że w ten sposób martwa maszyna nabierze charakteru - wyjaśnił Roy. - Dzięki temu też nie sposób taki ekspres zgubić. Wołk skonstruował to dla Alfreda wiosną podczas jakiegoś weekendu.

Wołk, naprawdę urodziwy nastolatek, był Serbem z dość podejrzaną wizą, który przemieszkiwał u Alfreda, gdy nie miał gdzie pójść i nie pozostawało mu już nic innego, jak jechać do Serbii. Zawsze miał na sobie skórzane spodnie i Alfred nazywał go „naszym wilczkiem”. O więcej nie pytałem.

- No cóż, problem polega głównie na tym, że zamiast kawy

wsypaliście do filtra liście herbaty.

- No żartujesz! Pokaż. Jezu, masz rację... No to gdzie kawa? Nie wiesz, gdzie jest kawa, Marco?

- W ubiegłym tygodniu była w armatce do piłek tenisowych.

- Nie, Wołk wyjął ją stamtąd... Niech się rozejrzę... - Roy taksował kuchnię niczym Bóg spoglądający na chaos panujący w świecie, którego nie da się już przemodelować. -

Koszyk na chleb! Słuchaj, skocz no może na górę do Alfreda, co? Jak wychodziłem, studiował ratę ubezpieczenia z ostatniego tygodnia. Uznaliśmy obaj, że to cud. Skoro już leci, to przyniosę kawę na górę.

Roy to smutna historia. Kiedyś publikował swoje kompozycje. Nawet teraz od czasu do czasu znajduje stare egzemplarze w specjalistycznych sklepach, pokazuje mi je ze złośliwą satysfakcją. Parokrotnie te jego kompozycje wykonywano i nagrywano dla radia. Pierwszą symfonię w American Public Radio Network, a Lyndon Johnson napisał do Roya list, żeby powiedzieć, iż jemu i żonie bardzo się podobało. Ten sukces ściągnął jednak również ostrą krytykę i ze środowiska muzycznego zaczęły przenikać do Roya złośliwości. Do tego stopnia wytrąciło go to z równowagi, że niczego już więcej nie opublikował. Po prostu komponuje, zapisując kolejne rękopisy, i nikt oprócz niego samego i Alfreda tego nie słucha - od czasu do czasu ja i młody wilczek z Serbii. Teraz jest przy trzynastej symfonii.

Powinien sobie posłuchać, co ludzie mówili na temat muzyki przypadku. Wystarczy, żeby człowieka zółć załapała. Recenzent „The Evening News” napisał, że świat byłby lepszy, gdybyśmy wszyscy wpadli do miksera, jaki przypomina nasza muzyka. Aż się zarumieniłem z radości.

Gdy wszedłem na piętro, stwierdziłem, że w myślach przeżywam moją rozmowę z Poppy, gdy ją spotkałem po raz pierwszy. Wszyscy inni na tamtej imprezie byli nieprzytomni, i potem lało od rana do nocy.

- Czy ty w ogóle zastanawiasz się, jaki masz wpływ na swoje zdobycze?

- A skąd ty się urwałaś, Poppy?

- Znikąd się nie urwałam, tylko nagle zauważyłam, że uwielbiasz mówić o przyczynach. A nigdy nie mówisz o skutkach.

Zapukałem do drzwi atelier Alfreda i wszedłem. Pokój wypełniony fotografiami przyjaciół, z których żadna nie była nowa. Alfred patrzył przez okno, tak jak to robią starsi ludzie. Ściany deszczu zasłoniły chaos Hampstead Heath.

- Niebawem będziemy mieli zimę, nasz przyjacielu.

- Dzień dobry, Alfredzie.

- I kolejna zima. Musimy się śpieszyć. Tkwimy jeszcze przy rozdziale, rozdziale...

- Rozdziale szóstym, Alfredzie.

- A jak twoja rodzina?

Czyżby mnie mylił z kimś innym? - Było w porządku, jak ostatnio do nich zaglądałem.

- Sam widzisz, dopiero przy rozdziale szóstym. Musimy się pośpieszyć.

Zesłotygodniowa robota mnie zadowala. Cieszę się. Jesteś pisarzem, mój młody przyjacielu.

Możemy dzisiaj nieco bardziej to posunąć. Zielonym atramentem zaznaczyłem partie, które powinieneś poprawić. No, to zaczynajmy. Zabrałeś notes?

Pomachałem notesem. Alfred wskazał mi najbliższej niego

usytuowane miejsce. -

Zanim usiądziesz, nastaw, proszę, na gramofonie trzecią symfonię Vaughana Williamsa. Jest pod „V”. Pastoralną.

Uwielbiam kolekcję płyt Alfreda. Prawdziwe, duże, czarne, plastikowe płyty. Grube.

Uwielbiam je dotykać; to spotkanie starych przyjaciół. CD narzucono nam w bezczelny, oburzający sposób i nikt nie przejrzał tej gry - dopiero wtedy, gdy było już za późno. Jak kawa instant w zestawieniu z prawdziwą. Tego utworu Williamsa nie znałem, ale zaczyna się dobrze. Wmiksowałbym jakiś zniekształcony bas i może jeszcze werbel.

- To możemy zaczynać, co?

- Gdy tylko będziesz gotowy, Alfredzie.

Zacząłem przewijać kasetę i otworzyłem notes na nowej stronie. Wszystko jest na niej jeszcze doskonałe.

- Jest rok 1946. Mieszkam w Berlinie, gdzie pracuję dla brytyjskiego wywiadu. Teraz to brzmi dla ciebie jak oksymoron. Jesteśmy na tropie Mauslinga, naukowca, specjalisty od rakiet, poszukiwanego przez Amerykanów z powodu jego...

- Wydaje mi się, że jesteśmy już z powrotem w Londynie, Alfredzie.

- A, tak... Mauslinga przekazaliśmy... w 1946.... Więc jestem już z powrotem w cywilu. A, tak, 1947. Dla mnie pierwszy spokojny rok od dziesięciu lat. Z Indii, z Egiptu zaczęły dochodzić pomruki, złe pogłoski z Europy Wschodniej. Ludzie w Armenii znajdują doły ze zwłokami, Sowietci i naziści w Norymberdze obwiniają się nawzajem. Churchill i Stalin dokonali podziału Europy na serwetce, a konsekwencje ich bez troski stawały się coraz straszliwiej widoczne. Możesz sobie wyobrazić, że w Whitehall

byłem trochę krępującym meblem. Węgierski Żyd, który wrócił z Berlina, wśród gryziórków po Oxfordzie. Wiedzieli, że Korona była mi winna wdzięczność, ale już mnie nie potrzebowali. Dostałem więc biurową robotę przy Great Portland Street, gdzie pracowałem w brygadzie rozpracowującej czarny rynek. Ale w żadnej akcji udziału i tak nie wziąłem. Robiłem to, co dzisiaj robią komputery i panienki w kostiumach z watowanymi ramionami. Racjonowanie nadal obowiązywało, ale na peryferiach kruszało. Duch wojenny powoli ginął, wsiąkając w leje po bombach, a ludzie z powrotem wkładali na siebie swoje zwykłe, małostkowe osobowości. Roy nadal szarpał się ze swoim ojcem i prawnikami w Toronto. Wyobraź sobie jakąś bardziej nużącą powieść Grahama Greena, przenieś smakowite kąski na zakończenie i brnij tak przez paręset stron. Jediną rozrywką był krykiet, którym zajmowałem się z pasją emigranta. To i jeszcze niedziele w Speaker's Corner, gdzie, w jakim tylko chciałem języku, mogłem rozmawiać o Nietzschem, Kancie, Goethem i Stalinie oraz przyzwoicie sobie pograć w szachy, jeśli była ładna pogoda.

W 1947 roku w Londynie roiło się od Alfredów.

Skończyłem ostatni akapit i rozprostowałem palce. Podążyłem spojrzeniem za wzrokiem Alfreda, ku ociekającemu drzewu kamforowemu rosnącemu po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko atelier. Róg Hampstead Heath, dalej w prześwicie staw. Alfred, zastanawiając się, patrzył na ten staw, mijając spojrzeniem fotografię Bertranda Russella z autografem.

- Nigdy nie widziałem ducha, Marco. Nie wierzę w życie pozagrobowe. Ideę Boga mogę w najlepszym razie uznać za dziecięcy psikus, a w najgorszym za ponury żart, prawdopodobnie wykoncypowany przez diabła, bo, owszem, jedno bez drugiego może

istnieć.

Wiem, że ty ofiarowujesz swoje przywiązanie Buddzie i temu swojemu mętnemu Hermanowi Hessemu, lecz ja do końca już pozostanę żarliwym ateistą. Ale któregoś letniego wieczoru tegoż 1947 roku zdarzyło się coś jeszcze. Chcę, żebyś włączył to do mojej autobiografii. Gdy będziesz pisał, nie zrób tego w manierze opowieści z dreszczykiem. I nie kuś się o wyjaśnianie. Po prostu powiedz, że nie wiem, jak to rozumieć, napisz po prostu tak, jak to opowiadam, ażeby czytelnik mógł wyrobić sobie własne zdanie. W pierwszym akapicie mamy ducha.

Teraz naprawdę mnie to zainteresowało. - I co się stało?

- Skończyłem pracę. Właśnie zjadłem z profesorem Bakerem kolację w restauracji w South Ken. I tak jeszcze siedziałem, zapatrzony w ruchliwą ulicę. Chyba na podobnej zasadzie hipnotyzują wodospady, prawda? Wszystko jedno. I wtedy właśnie zobaczyłem samego siebie.

Alfred szeroko otwartymi oczyma śledził efekt i reakcję. - Zobaczyłeś siebie samego?

Alfred kiwnął głową. - Zobaczyłem samego siebie. Nie odbicie, nie kogoś, kto wygląda podobnie, nie bliźniaka, nie zjawę, nie figurę woskową. To nie jest tania zagadka.

Widziałem siebie samego, Alfreda Kopfa, jak żywego.

- Co robiłeś?

- Przeszedłem pędem obok witryny! Byłbym go nie zauważył, gdyby nagły powiew wiatru nie zdmuchnął mu kapelusza. Drugiego takiego kapelusza nie było w całym Londynie.

Schylił się, żeby go podnieść, i zrobił to dokładnie w taki sposób jak ja. Ten kapelusz należał do mojego ojca i była to jedna z tych nielicznych rzeczy, jakie mi dał, zanim Niemcy zabrali go do swoich

obozów. Schylił się i spojrział, jakby kogoś szukał. Włożył kapelusz. Potem dalej pobiegł, ale zdążyłem zobaczyć jego twarz, i rozpoznałem siebie.

Pisarze piszący za kogoś, podobnie jak psychiatrzy, muszą wiedzieć, kiedy zamilknąć.

- Mam nadzieję, Marco, że ty na szczęście nigdy siebie nie widziałeś. Nie jest to zjawisko należące do repertuaru normalnych ludzkich doznań. Ale też nie jest niespotykane.

Poznałem trzy inne osoby, które tego doświadczyły. Wyobraź sobie uczucie, które najpierw cię wtędy ogarnia.

Spróbowałem. - Niedowierzenie?

- Błąd. Wszyscy odczuwaliśmy dogłębne oburzenie. Każdy z nas chciał rzucić się za intruzem w pogoń i wdeptać go w ziemię. Tak też postąpiłem. Chwyciłem kapelusz ojca - mojego ojca - i rzuciłem się w pogoń. Brompton Road w stronę Knightsbridge. Byłem bardzo wysportowanym młodym człowiekiem. Widziałem go - powiewający za nim mój beżowy płaszcz. Trochę padało. Chodnik śliski od mżawki. Dlaczego on uciekał? A, dobrze wiedział, że jestem za nim... inny to był Londyn, miasto autobusów, policjantów na koniach i kobiet w chustkach na głowach. Można było sobie przejść przez ulicę bez obawy, że zostanie się zmiecionym przez przednią szybę samochodu. Mój cień nadal był przede mną, biegł w tym samym tempie, co ja. Na Hyde Park Corner płuca trzaskały mi jak miechy, więc musiałem zwolnić i przejść do marszu. To samo zrobił mój cień, zupełnie jakby mnie wabił.

Przeszliśmy Grosvenor Place, wzdłuż muru, który za Buckingham Palace zamyka ogrody przed plebsem. A tędy idzie się do Victorii. W tamtych czasach było to nieznaczące miejsce.

Potem skręcił obok Royal Mews i poszedł Birdcage Walk.

Południowy skraj St James Park.

Tymczasem złość zaczęła ze mnie wyparowywać. To wszystko zakrawało na opowieść z absurdalnym zakończeniem. Poe odpada w przedbiegach. Ponieważ zdążyłem już trochę zła-pać oddech, więc postanowiłem, że nagle puszczę się za nim sprintem. A on znowu uciekł!

W stronę Westminsteru: kiedy ja musiałem zwolnić, musiał i mój cień. Szliśmy nabrzeżem.

Płynący mostem strumień ludzi dojeżdżających do pracy. Czasem wydawało mi się, że go zgubiłem, ale raptem jakieś pięćdziesiąt jardów przede mną znowu podskakiwał ten kapelusz.

Moja fryzura, tył głowy mój. Próbowałem znaleźć racjonalne wyjaśnienie. Aktor? Przelotny miraż? Obłąd? Potem obok Tempie. Zmierzaliśmy na wschód. Zacząłem się już trochę niepokoić, bo w tamtych latach to był niebezpieczny obszar. Pamiętam, że był to jeden z tych orientalnych zachodów, ckliwych i pomarańczowych, które Londyn wyczarowywał jak z kapelusza. Obok Mansion House, dalej Cannon Street i do Tower. Nagle zauważyłem, że mój cień wsiada do taksówki! Pomknąłem do następnej w szeregu i wskoczyłem. - Niech pan słucha - powiedziałem. - Wiem, że to zabrzmie śmiesznie, ale proszę jechać za tą taksówką.

- Być może taksówkarze dużo otrzymują takich kursów, bo ten tylko powiedział: - Jak łaskawy pan sobie życzy. - Do Aldgate. Przez pokryte brukiem boczne uliczki do Liverpool Street. Moorgate. Tam, gdzie teraz jest Barbakan. Wskutek bombardowań Londynu to miejsce było wówczas jeszcze jednym wielkim placem budowy. Tak samo jak Farrington, zresztą Farrington nadal jest. Kiedy musieliśmy zwolnić, zastanawiałem się, czy nie wyskoczyć z taksówki i nie dobiec do taksówki mojego cienia, ale za każdym

razem, gdy już się decydowałem, sznur samochodów ponownie ruszał. Aż do King's Cross, zatrzymywanie i ruszanie, zatrzymywanie i ruszanie. Potem do Euston Square i dalej do Great Portland Street.

Cały czas widziałem jego kapelusz w tyle taksówki. Czyżby mój cień nie miał co zrobić z czasem? A ja? Za Baker Street wjechaliśmy w bardziej zazielenione obszary. Mijamy Edgware Road i Paddington. Potem Bayswater. Przy Notting Hill Gate zauważyłem, że wysiada i przechodzi przez Kensington Gardens. Zapłaciłem taksówkarzowi i wyskoczyłem.

Pamiętam zapach powietrza po deszczu, słodki i nasycony wieczorem. Oj! - krzyknąłem, a jakieś dystyngowane panie z pieskami fuknęły. Mój cień nawet się nie odwrócił. Dlaczego uciekał? Przypadki znane z literatury podpowiadały, że powinniśmy przynajmniej odbyć inspirującą rozmowę na temat natury dobra i zła. Przez Kensington Road, obok muzeów, obok tej restauracji, gdzie wieczorem tego samego dnia umówiłem się na spotkanie z profesorem Bakerem. Nagły powiew wiatru zdmuchnął mi kapelusz. Schyliłem się, żeby go podnieść. A kiedy spojrzałem, mój cień zniknął. Już zdążyłem zapomnieć, że nadal tam jestem. - Tak po prostu rozplynął się w powietrzu?

- Nie! W autobusie numer 36. Uciekł.

- Ale myślałem, że już spotkałeś się z profesorem... Coś przeleciało i grzmotnęło w okno. Spadło zanim się połapałem. Gołąb? Wbiegł roztrzęsiony Roy ze łzami w oczach, _ O

Jezu, Alfredzie. Właśnie odebrałem telefon od Morrisa.

Nie wiedziałem już, w czym występuję, w tragedii czy w farsie?

- Uspokój się, Roy, uspokój. Właśnie opowiadałem Marcowi o moim sobowtórce. -

Alfred zapalił fajkę. - No więc jest to Morris w tonacji dur czy w tonacji moll?

- Morris dur, z Cambridge. Jerome został zamordowany! Fajka wypadła Alfredowi z dłoni. - Jerome? Przecież miał zagwarantowaną nietykalność - rzucił nagle ochryplym głosem.

- Morris twierdzi, że ministerstwo obwinia petersburskich gangsterów. Powiedzieli, że Jerome był zamieszany w jakieś kradzieże dzieł sztuki.

- Niemożliwe! - Alfred walnął dłonią w stół, z taką siłą, że mógłby sobie połamać stare palce. - To przykrywka. Wyłuskają nas jednego po drugim. Ci ministrowie nigdy nie wiedzą, kiedy skończyć. Niech piekło pochłonie to draństwo! - Alfred rzucił chyba najstraszliwszą klątwę z węgierskiego kanonu. Klątwę Nosferatu.

Spojrzałem na Roya, nawet nie musiałem kiwać głową.

- Cała podłoga w kuchni zalana kawą. Chyba włożyłem dwa filtry.

Zapadła chwila niezmałconej ciszy. Alfred wyciągnął chusteczkę, przy okazji wypadła moneta. Kręciła się, kręciła na drewnianej podłodze, zataczając coraz mniejsze kręgi, aż zniknęła pod skrzynią, gdzie pewnie przeleży całe lata, a przynajmniej do następnej wizyty Wołka.

- Marco - powiedział Alfred, usilnie wpatrując się w przestrzeń - dziękuję, że przyszedłeś. Ale chyba chciał bym, żebyś już poszedł. - Drżał mu głos. - Dokończymy w przyszłym tygodniu.

Kiedy szedłem od Alfreda, chmury odpływały w stronę Essex i robiło się ciepłe popołudnie, bezchmurne i złociste. Cokolwiek martwiło Alfreda i Roya, była to ich sprawa. A ja ciachnąłem zębami kęs lodu truskawkowego. Muszki kolumnami wisiały nad kałużami, drzewa ociekały wodą. Wkrótce znowu ubiorą zimową

szatę. Kilka przecznic dalej furgonetka z lodami grała *Pomarańcze i cytryny*. Para dzieciaków siedziała na murze, próbując ujarzmić jo-jo. Przyjemnie widzieć, że dzieciaki nadal bawią się jo-jo. Fi, moja biologiczna matka, tę porę roku nazywa latem św. Łukasza. Czy to nie piękne? Dobrze mi było. Od Roya dostałem trochę pieniędzy, rzucił mi je, owijając wokół tego loda truskawkowego. Nalegał też, żebym wziął tę szkaradną skórzaną kurtkę. Bronilem się, ale on jakimś sposobem wrzucił ją na mnie, i kiedy zapinałem zamek, przypomniało mu się, że wcześniej dzwonił Tim Cavendish i prosił, żebym wpadł do niego po południu, jak będę mógł. Szeptem jeszcze przeprosił mnie, że nie dał mi więcej pieniędzy, ale musiał w tym tygodniu zabrać kogoś do Izby Lordów, za to, że zwieje do Zimbabwe z walizką jego pieniędzy, a opłaty prawne sięgały dziewięćdziesięciu dwóch tysięcy funtów. - To całe mnóstwo, Marcoszepnął Roy - ale musiałem to zrobić dla zasady. - Ten ktoś nadal był w Zimbabwe, tak samo jak walizka.

Uczciwość to mordęga, ot co. Kłamiąc, możesz wpakować się w tarapaty, a jeśli chcesz wylądować w sraczu, to staraj się mówić wyłącznie prawdę.

Kiedy uprawialiśmy seks, wtedy, co nam pękł kondom, Poppy doszła i wyrzuciła z siebie: - Marco, to jest lepsze niż seks. - Właśnie mi się przypomniało.

Zmierzałem w stronę Primorose Hill. Pójdę do Tima Cavendisha przez Regent's Park i Oxford Street. Uwielbiam przechodzić koło londyńskiego zoo i zaglądać do środka, Tam zostało moje dzieciństwo. Moi przybrani rodzice zabierali mnie na urodziny. Jeszcze dzisiaj odgłosy ptaszarni sprawiają, że czuję smak kanapek z lepką pastą rybną.

Jestem prawie pewien, że bycie samotną matką jedyne

dziecka całkowicie Poppy wystarczy. Ale znałem kobiety, które na temat aborcji miały jeden pogląd i z tego względu w momencie zgrzytu goniły w piętke. Za czym się opowiem, jeśli Poppy będzie w ciąży.

Musiałbym przysiąc monogamię, żeby mnie zaakceptowała jako ojca, i poważnie to traktować. Wielu moich przyjaciół ożeniło się i zaczęło zajmować się dziećmi, i widzę, jak to całkowicie zmienia życie. Skakanie na główkę przestaje być zabawą, kiedy od tego, jak wylądujesz, zależy los dwojga innych ludzi. Dziwne. Kiedy byłem młodszy, myślałem, że dzieciaki to nieodłączna część starzenia się. Myślałem, że któregoś dnia się obudzę, no i będzie, zawiniątko w pieluszkach. Ale nie, tak naprawdę to wymaga świadomej decyzji, tak samo jak kupienie domu, nagranie CD czy zorganizowanie zamachu stanu. A jeśli ja nigdy się nie zdecyduję? No?

Ach, zmartwienia, zmartwienia, zmartwienia.

Na szczycie wzgórza. Wdech, spójrz na ten krajobraz, wydech! Niezły widoczek, prawda?! Staruszek Londyn... Włosi określają płęć swoich miast i są zgodni co do tego, że to iż dane miasto ma płęć, jest zupełnie na miejscu, choć nikt nie umie wyjaśnić, dlaczego.

Londyn, osobnik płci męskiej w średnim wieku, należycie ożeniony, ale potajemnie homoseksualny. Znam te przenikające się w nim miasta jak własne ciało. Ceglane, czerwone partie wokół Chelsea i Pimlico, elektrownia Battersea przypominająca przewrócony do góry nogami stolik... Zaniedbane posiadłości przy drodze na Vauxhall. Green Park. Układam mapę miasta według punktów trygonometrycznych dupczenia. Highbury to już Katy Forbes. Putney to Poppy, no i oczywiście India, nie żebym Indię rznął, ona ma dopiero pięć lat. Camden to tarantula Baggins.

Próbuje nanieść te miejsca na mapę zwariowanej historii Alfreda... W jaki sposób mam niby włączyć tego rodzaju historię do poważnej autobiografii? Będę chyba musiał pokusić się o dość radykalny zabieg, bo inaczej skończy się na *Pamiętniku wariata*.

Ale pogoda jest zbyt piękna, żeby takimi rzeczami się przejmować. Blask zanadto złoty, zanadto stonowane cienie.

W Londynie nie było mnóstwa rzeczy, kiedy Alfred zataczał wielką pętlę, ścigając Alfreda. Te wszystkie samoloty przylatujące na Heathrow i Gatwick. Thames Barrier. Millenium Dome. Punkt wyznaczający środek, ta popielniczka z lat sześćdziesiątych na postumencie, może by, cholera, ktoś wreszcie przyszedł i to zbombardował. Canada Tower wznosząca się nad dokami, wieżowiec, który błyszczy teraz w promieniach słońca, choć mnie przychodzi na myśl lustro w stylu art deco ustawione w kącie pokoju Shelley. Shelley z Shepherd's Bush. Przeniosła się do, jak mu tam, o Jezus, no jak on się nazywał? Faceta z British Oxygen. Jej współlokatorka, Natalie, wstąpiła do jednej z protestanckich sekt odnowy ewangelicznej i zamieszkała z Jezusem. Shelley, Natalie i ja stworzyliśmy któregoś deszczowego popołudnia Świętą Trójcę pod kołdrą Shelley. I wtedy skatalogowałem Natalie pod „niebezpiecznie wrażliwa”.

Miasto to ocean, w którym gubisz rzeczy. A znajdujesz tylko te, które zgubili inni.

- Cudowne, prawda? - powiedziałem do mężczyzny z czerwonym seterem.

- Zaszra na dziura, co nie?

My, londyńczycy obsmarowujemy Londyn, bo w głębi duszy wiemy, że mieszkamy w najwspanialszym mieście na świecie.

Kiedy wysiadałem, Oxford Street falowała. Oxford Street należy

do tych, które dawno wyprzedały to, co w nich najlepsze - jak festiwal rocka w Glastonbury czy Harrison Ford.

Tu odnajdziesz cierpki smak skażenia. Przygnębiające sklepy obuwnicze doktora Martena.

Gargantuiczne sklepy z płytami CD, wykluczające wszelkie nieoczekiwane odkrycia.

Magazyny pełne rzeczy dla ludzi, którzy nie muszą niczego targać ze sobą, kiedy przenoszą się do innego domu: balie w stylu Nerona ze złoconymi uchwyty i naturalnych rozmiarów porcelanowym psem collie. Restauracje z fast-foodem w stronę Marble-Arch, z których wychodzi się głodniejszym, niż się weszło. Jedyną dobrą rzeczą na Oxford Street są hiszpańskie dziewczyny, które płacą za lekcje angielskiego, rozdając ulotki do tańszych szkół językowych wokół Tottenham Road Court. Gibreel ulżył kiedyś sobie z jedną, udając, że nie spika englisz i że dopiero co wysiadł z łodzi, którą przyplłynął z Libanu. Na straganie opodal Oxford Circus kupiłem t-shirta ze świnką, żeby rozchmurzyć Poppy - takiego obszernego, że będzie mógł służyć za koszulę nocną. Potem minąłem plakat biura podróży, a raczej zostałem do niego przyciśnięty przez gwałtowny napływ ciał, i poczułem się mały, a do tego starszy, niż jestem, straciłem z oczu mój skrawek nieba nad głową, i...

Trochę spokoju będę miał teraz, bo spokój powoli się sący. Kapie z zasłon poranka, gdzie świerszcz śpiewa.

Roziskrzona północ i południe w poświacie purpury, I wieczory w makolągiewskrzydłach.

Wstanę i pójdę, bo zawsze noc i dzień Słyszę wodę, chlupocze cichym dźwiękiem obrzeg; Kiedy stoję na jezdni, na szarych chodnikach, Słyszę ją w samej głębi.

Wiecie, że bycie pisarzem, który pisze za kogoś, to prawdziwa męka? Nie napisze taki niczego pięknego. A jeśli nawet, to i tak nikt nigdy nie uwierzy, że to on.

Musiałem czekać osiem minut, żeby skorzystać z bankomatu, i w tym czasie naliczyłem aż jedenaście różnych przechodzących obok języków. Tak mi się wydaje, że były różne, mającym mi niewyraźnie bliskowschodnie brzmienie. Wydmuchałem nos. W mojej analizie smarków pojawił się prawdziwie londyński śluz. Mmm. Cudownie. Obok banku znajdował się sklep, gdzie sprzedawano wyłącznie telewizory. Szerokie, graniaste, kuliste, takie, które pozwalają zobaczyć, jakież to bzdety ci umykają na trzydziestu pozostałych kanałach, kiedy ty oglądasz swój bzdet na tym jednym. Zobaczyłem wynik Czarnoskórzy kontra Anglia i ułożyłem analogię: Przypadek Marco kontra Przeznaczenie w nagrany na video meczu sportowym. Przedstawia się ona następująco: kiedy graczy nie ma, boisko bez zawodników jest grą atakującej zewsząd możliwości, ale wystarczy rzecz nagrać, by najdrobniejsza akcja otrzymała pełnię istnienia. Przeszłość, terażniejszość i przyszłość istnieją jednocześnie: to cała taśma, którą trzymasz w garści. Nie ma mowy o przypadku, ponieważ każda decyzja człowieka i przygodny upadek piłki są już przesądzone. Co więc kieruje naszym życiem, przypadek czy przeznaczenie? No cóż, odpowiedź jest tak samo względna jak czas. Gdy jest się zanurzonym we własnym życiu - przypadek. Gdy się patrzy z zewnątrz, jak na czytana książkę - od początku do końca jest to przeznaczenie.

O was przecież nic nie wiem, ale moje życie jest studnią, a ja tkwię w samym jej środku. Po szyję, ale i tak nie mogę dotknąć dna.

Odczuwam nieodparte pragnienie, żeby wskoczyć do taksówki i kazać kierowcy zawieźć się na Heathrow, wsiąść do samolotu, który leci do miejsca wyludnionego i odległego. Mongolia bardzo by mi odpowiadała. Ale nie mogę sobie pozwolić nawet na metro do Heathrow.

Wsunąłem kartę do bankomatu i zacząłem modlić się do Kapryśnego Boga Bankomatów o dwadzieścia pięć funciaków, minimum konieczne do upicia się z Gibreelem.

Cholerna maszyna połknęła moją kartę i kazała się skontaktować z oddziałem. Krzyknąłem coś w rodzaju „Eeh!” i uderzyłem pięścią w ekran. Jaki sens ma Yeats, jeśli nie stać cię na kilka kolejek?

Stojąca za mną krągła Hinduska z czerwoną kropką na czole warknęła z brooklińskim akcentem: - Prawdziwy koszmar, nie, chłopysiu?

Zanim zdołałem odpowiedzieć, obsrał mnie gołąb siedzący na parapecie.

- Lepiej wracaj do łóżka... masz chusteczkę...

Agencja literacka Tima Cavendisha mieści się przy ponurej uliczce opodal Haymarket. Na trzecim piętrze. Z zewnątrz budynek wygląda całkiem elegancko. Są obrotowe drzwi i maszt sterczący z dachu holu. Mógłby stanowić kwaterę Admiralicji czy jakiegoś innego głupawego klubu z zakazem wstępu dla kobiet. Ale nie, kwatruje w nim Tim Cavendish.

- Marco! Wspaniale, że mogłeś wpaść.

Nadmiar entuzjazmu o wiele bardziej odstręcza niż jego niedostatek. - Dzień dobry, Tim. Przyniosłem ci ostatecznie trzy rozdziały.

- Pierwszorządnie.

Rzut oka na biurko Tima i już się wie wszystko, co chce się wiedzieć. Samo biurko należało do Charlesa Dickensa. No, tak przynajmniej twierdzi Tim, a ja nie mam powodu mu nie wierzyć. Ponad miarę zawałone przez stosy akt i rękopisów, do tego kieliszek Glenfiddicha, który przez pomyłkę można by wziąć za Glenfiddicha kulę na złotą rybkę, trzy pary okularów, procesor mowy, a nie widziałem, żeby go kiedykolwiek używał, przepelniona popielniczka i egzemplarz *Przewodnika A-Z po Niniwie i Ur* oraz „The Racing Post”. -

Wejdziesz i łyknij szklaneczkę, co? Pierwsze trzy rozdziały pokazałem w poniedziałek Lavendzie Vilnius. Jest bardzo podekscytowana. Od czasu Rodneyowskiej biografii Księżniczki Margaryny nie widziałem, żeby książka, którą dopiero się pisze, tak ją angażowała.

Wybrałem najmniej zastawione krzesło i zacząłem z niego zdejmować ładunek lśniących książek w twardych oprawkach. Jeszcze pachniały drukiem.

- Wywal, Marco, to cholerstwo na podłogę. A najlepiej wyślij je do Japonii i wywal na łeb temu draniowi, o którym tam piszą. .

Spojrzałem na okładkę. *Święte objawienie Jego Serendipity - Nowa wizja, nowypokój, nowa Ziemia*, przetłumaczyła Beryl Brain. Widniał na niej orientalny obraz Jezusa wpatzonego w kwiat jaskra: w Jezusa wpatrywał się złotowłosy dzieciak. - Nie wiedziałem, Tim, że macie taki profil.

- Nie mamy. Zająłem się tym ze względu na starego Kumpla z Eaton, który prowadzi na boku jakieś zwariowane wydawnictwo New Age. Rozdzwoniły się ostrzegawcze dzwony, Marco. Ostrzegawcze dzwony. Ale ja i tak ich nie słucham. Ten kumpel z Eaton uznał, że rynek w nowym millenium dojrzał już do mądrości

Wschodu. Beryl Brain jest jego dziewczyną z doskoku. „Beryl” to i owszem ona jest, ale już nie „Brain”. Tak czy siak.

Odebraliśmy właśnie z drukarni pierwszą partię, kiedy Jego Serendipity postanowił przyspieszyć swoją wizję i zagazować tokijskie metro śmiertelnie śmiercionośnym związkiem chemicznym.

Pewnie widziałeś to w wiadomościach, już w tym roku. - I to właśnie on.

- Ależ to... potworność!

- I ty mi mówisz, że potworność. Te palanty pokryły tylko część kosztów, a teraz ich aktywa zostały zamrożone! Pytam się ciebie, Marco, pytam. Utknęliśmy z nakładem tysiąca pięciuset egzemplarzy. Jako kuriozum sprzedaliśmy garść Fanatykom Prawdziwej Zbrodni, ale poza nimi to grzęźniemy w kiblu bez papieru. Wierzysz tym sekciarzom? Jakby koniec świata trzeba było jeszcze przyspieszać...

Tim podał mi największą szklaneczkę whisky, jaką kiedykolwiek widziałem.

- No, a sama książka?

- No cóż, częściowo głupoty, a w większości duby smalone. Zdrowie! Do dna.

Stuknęliśmy się kulami na złote rybki.

- To powiedz mi, Marco, jak tam nasi przyjaciele w Hampstead?

- Świetne, świetnie... - Zwróciłem książkę nawiedzonym braciom i siostram. -

Dotarliśmy do 1947.

- Ach tak... A co się stało w 1947?

- Nic wielkiego. Alfred zobaczył ducha.

Tim Cavendish odchylił się do tyłu, że aż krzesło zatrzeszczało. - Ducha? Miło mi słyszeć.

Właściwie nie chciałem poruszać tego tematu. - Tim, nie mam pewności, na ile Alfred jest całkiem...

- Całkiem, całkiem, co?

- Przecież wiesz.

- Jest stuknięty jak wegetariański schabowy. A Roy stanowczo o jeden raz za dużo odwiedził świat Disneya. I co z tego?

- No, czy nie stwarza to jakichś problemów? - Jakich problemów? Roy jest wystarczająco nadziany, żeby samemu uruchomić cały nakład.

- Nie, nie to miałem na myśli. - Nie było teraz czasu, żeby poruszyć jeszcze jeden temat, Roya i Izby Lordów. - Chodzi mi o to, że autobiografie powinny być oparte na faktach, tak czy nie?

Tim zachichotał i zdjął okulary. Obie pary. Odchylił się do tyłu na swoim trzeszczącym krześle i złożył dłonie jak do modlitwy. - Czy autobiografie mają opierać się na faktach? Chcesz usłyszeć odpowiedź prostą czy zawiłą?

- Prostą.

- Z wydawniczego punktu widzenia odpowiedź brzmi: „Bóg zakazuje”.

- To może zawiłą.

- Pamięć jest aktem pisania za kogoś.

Cały Tim Cavendish. Głębia na zamówienie. Chyba że powtarza to po raz setny.

- Spójrzmy na to w ten sposób. Alfred to składnik, książka to posiłek, ale kucharzem, Marco, jesteś ty! Wyciśnij sok! Miło mi słyszeć, że w tym oldboyu coś jeszcze zostało. Widma są mile widziane. I na miłość boską, rozdmuchaj związek Jarmana z Baconem, kiedy już do tego dojdiesz. Namów go, żeby dorzucił nazwiska innych osób.

Podbechtaj go. Nie jest sławny sam z siebie, przynajmniej poza Old Compton Street, więc musimy wobec niego zastosować strategię Boswella. Znał na przykład Edwarda Heatha, prawda? I kolegował się z Albertem Schweitzerem.

- Bardzo uczciwe to to chyba nie jest. Nie piszę tego, co naprawdę się zdarzyło.

- Uczciwe! A niech cię, Marco! To nie jest świat Piotrusia Króliczka i jego leśnych przyjaciół. Pepys, Boswell, Johnson, Swift, wszyscy wciskali łgarstwa.

- Ale przynajmniej były to ich własne łgarstwa. Autorzy piszący za kogoś wciskają je w imieniu innych.

Tim stłumił chichot. - Wszyscy jesteśmy takimi autorami, którzy piszą za innych, drogi chłopcze. I jest to nie tylko sprawa naszych wspomnień, ale także naszych czynów.

Wszystkim nam wydaje się, że sami kierujemy swoim życiem, ale tak naprawdę jesteśmy już przez kogoś napisani, przez otaczające nas siły.

- Czego się wobec tego trzymamy?

- Dobrze się to czyta? - Klasyczna odpowiedź Cavendisha w przebraniu pytania.

Na biurku Tima zaskrzeczał interkom. - Pański brat na linii, proszę pana. - Pani Whelan, sekretarka Tima, to najbardziej obojętna kobieta w całym Londynie. Jej obojętność jest odporna na zaczepki jak mgła. - Jest pan tutaj, czy jeszcze na Bermudach?

- Który brat, pani Whelan, ten szkrab Cavendish czy Denholme?

- Przypuszczam, że to starszy brat, proszę pana.

Tim westchnął. - Przepraszam, Marco. Znosi się na dłuższą sprawę między rodzeństwem. Może wpadłbyś w przyszłym tygodniu, jak już będę miał okazję przeczytać tę partię? Aha,

jeszcze, wiem, że to trochę nietaktowne, tak jak telefon Heroda do Thatcher, ale naprawdę powinieneś zmienić koszulę. I coś białego masz we włosach. I jeszcze na ostatek rada, której udzielam każdemu, kto przymierza się do zakończenia książki, trzymaj się z dala od Nabokova. Przy nim każdy wypada jak ciemęga.

Wysączyłem resztę whisky i wyniosłem się chyłkiem, zamykając za sobą drzwi, gdy tylko usłyszałem, jak Tom mówi: - Cudownie, że mam wieści od ciebie, a właśnie zamierzałem skontaktować się z tobą jeszcze dzisiaj po południu w sprawie małej pożyczki...

- Do widzenia - rzuciłem do pani Whelan. Oddajcie cesarzowi, co cesarskie, a Bogu, co boskie, sekretarce zaś to, co należne sekretarce.

Świeża sałata straciłaby po westchnieniu pani Whelan cały swój kolor.

- Marco!

Przeszedłem spacerem do Leicester Square, zwabiony przez chodzącego z plecakiem odludka z Europy, światła, barwy oraz nieokreślony zamiar sprawdzenia, czy pozostało coś jeszcze w labiryntach pod księgarnią Henry'ego Pordesa w Charing Cross Road. Później ciepłe popołudnie. Leicester Square to środek labiryntu. Nie pozostaje nic innego, jak tylko ponownie odłożyć próbę wyrwania się. Nastolatki w bejsbolówkach i spodniach do kolan ćwiczą gwałtowne skręty na skejtbordach. Przyszło mi na myśl słowo „odśrodkowy” i uznałem, że jest to jedno z moich ulubionych słów. Młodzież z Dalekiego Wschodu, Europy, północnej Afryki. zewsząd, błakająca się w nadziei znalezienia Super Londynu. O, ten typek, krasnal, jak zwykle naprzeciw pralni samoobsługowej na rogu. Karuzela - zrobiła kilka obrotów, gdy na nią patrzyłem. Bachor u boku babci śmiejący się przy każdym

podskoku - na ten widok ogarnął mnie taki smutek, iż czułem, że się rozplaczę albo coś rozwalę. Jakże chciałem, żeby teraz, zaraz pojawiły się obok mnie Poppy i India. Kupiłbym lody, a jakby India upuściła swój na ziemię, dałbym jej mojego. Nagle usłyszałem swoje imię i rozejrzałem się. Wymachiwał do mnie falafelem Iannos ze swojego greckiego baru z przekąskami, położonego między Ośrodkiem Szwajcarskim a kinem Prince Charles, gdzie zresztą za dwa i pół funta można obejrzeć filmy sprzed dziewięciu miesięcy. Jajecznicę Katy już dawno wybyła z mojego żołądka i falafel byłby idealny.

- Iannos!

- Marco, synu! I jak Muzyka Przypadku?

- Świetnie, brachu. Wszystko jak być powinno. Drobne sprzeczki o nic, psioczenie, wzajemne dupczenie swoich dziewczyn, o ile sami się nie dupczymy. Kupiłeś nowy syntezator od Rogera?

- Od Szemranego Rodgy'ego? Owszem. Co wieczór gram na nim w restauracji mojego wuja. Jedyne szkopuł w tym, że muszę udawać Turka.

- Od kiedy to umiesz po turecku?

- W tym problem. Muszę udawać, że jestem utalentowanym autystycznym Turkiem grającym na keyboardzie. Takie coś dołuje. Zupełnie jak w *Tommy* i *The King and I*. Kiedy muzyka przypadku znowu zabrzmie?

- A przestała?

- Bzdety, stary. Jak tam Poppy?

- A, Poppy, świetnie, dzięki.

- A jej śliczna córeczka?

- India. India, świetnie... Iannos spojrzał na mnie z zadumą.

- A to spojrzenie to niby co?

- A, nic... nie mogę gadać, a może wejdziemy i usiądziemy? Znajdzie się chyba z tyłu jakieś miejsce. Herbaty?

-Bardzo chętnie. Dziękuję, Iannos. Bardzo dziękuję. Bar przekąskowy Iannosa wypełniały ludzkie ciała i strzępki wypowiedanych głośno zdań. Jedyne wolne miejsce w ciasnym pomieszczeniu znajdowało się naprzeciw nieco starszej ode mnie kobiety. Czytała książkę zatytułowaną *Nieskończony łańcuch - ty i doświadczenie przebywania poza ciałem* napisaną przez Dwighta Silverwinda. Zapytałem, czy mogę usiąść, a ona, nie podnosząc wzroku, kiwnęła głową. Staralem się jej nie przyglądać, ale poza nią nie było na co patrzeć.

Jej kasztanowe włosy - farbowane - układały się w pukle, a między palcami, w brwiach i na małżowinach miała przynajmniej tuzin kolczyków. Miała na sobie farbowane cieniowane ciuchy. Pewnie kupiła je podczas wędrowki po Nepalu. Obwisły biust. Pali kadzidła, stosuje aromaterapię i siebie samą widzi jako osobę obdarzoną zdolnością nie tyle do telepatii, ile do głębokiego współczucia. Interesuje się sztuką prerafaelitów i pracuje na pół etatu w bibliotece obrazów reklamowych. Nie żebym to od razu krytykował, zresztą wiem, że wychodzę na aroganta, ale londyńczyków to ja znam.

- Przepraszam, że przeszkodzę - popijałem herbatę, lekko zadzierając palec - ale nie mogłem nie zerknąć na tytuł twojej książki. - Przez jej opanowane spojrzenie przemknął cień zadowolenia - jest dobrze. - Wygląda na wciągającą. Czy ma jakiś związek z leczeniem alternatywnym? Wiesz, to moja dziedzina.

- O, czyżby? - Przyjemny głos, sucharek posypany cukrem. Moja prowokacja ją rozbawiła i lekko poruszyła, ale ona nie zamierzała tego okazywać - nie za bardzo. -

Dwight Silverwind jest jednym z czołowych autorytetów w dziedzinie doświadczenia przebywania poza ciałem czy spacerów duszy, jak to nazywają Indianie Nawaho. Dwight jest moim przyjacielem, bardzo wyjątkowym. Jest moim trenerem życia. O, to jest Dwight. - Na wewnętrznym skrzydełku obwoluty figurował chudziutki uśmiechnięty mężczyzna z grotęskowo wyglądającym aparatem korekcyjnym. Na sto metrów widać, że Jankes. - W tej książce Dwight opowiada o przekraczaniu granic fizycznego ciała.

- Ooo. Czy to łatwe? - Pewnie łatwiejsze niż przewzięcie jego gustu w dziedzinie ubioru.

- Nie. To wymaga intensywnego treningu psychicznego, rozplatania i odrzucenia więzi, którymi społeczeństwo przykuwa nas do swoich wyobrażeń o rzeczywistości. Ale zależy to także od jednostkowych emanacji alfa. Ja mam całkiem wysoki współczynnik alfa, ty jesteś raczej gamma.

- Słucham? - odkryłem obszerne złoża próżności, a w żadne inne podłoże kutas nie wchodzi równie miękko.

- Gdybyś usiadł, tobym opowiedziała. Wysłasz więcej emanacji gamma niż alfa.

- Stwierdzasz to bez pobrania próbki moczu? - Już miałem powiedzieć „próbki spermy”, ale stchórzyłem.

Wybuchnęła sztucznym śmiechem. Szło dobrze. - Jestem Nancy Yoakam. Terapeuta holista. Proszę, moja wizytówka. - Do tego ręka Nancy, która została po mojej stronie stołu o chwilę za długo.

- Na imię mam Marco. Podoba mi się to imię, jeżeli tak mogę się wyrazić. Pewnie jesteś z Nashville.

- Jestem z Glastonbury. Wiesz, King Arthur i festiwal rocka. Bardzo miło cię poznać, Marco. - Głębokie spojrzenie w oczy... Pograżasz się w głęęęęęboookim śnie. Dobrze.

Ale jestem trochę za stary, żeby przemawiała do mnie głosem prezentera telewizji dla dzieci.

Pewnie myśli, że jestem młodszy, tak jak większość kobiet. To nie próżność, tylko sprawa latynoskich genów, które znalazły się w mojej puli. - Wiesz, jestem typem obserwatora.

Lubię sobie usiąść i rozszyfrowywać ludzi. Przed wyćwiczonymi oczami odsłaniają się najskrytsze ludzkie sekrety. Widzę, że nie nosisz obrączki - powiedz mi, Marco, czy jest ktoś szczególny w twoim życiu?

Bezpośrednia. - Masz na myśli dziewczynę?

- Tak, założmy, że mam na myśli dziewczynę.

- Spotykam się z kilkoma kobietami równocześnie. Ale mnie podchodzi. Brwi teatralnie uniesione. Nancy przecież nagle nie wyskoczyła wczoraj z pudełka lego. - O, ładnie się urządziłeś. Juan Kichot. To raczej pokomplikowane?

- No, pewnie tak, z tym że ja zawsze, widząc po raz pierwszy kobietę, mówię, że spotykam się także z innymi. Tak samo jak teraz tobie. Tak że jeśli nie są w stanie tego znieść, mają okazję, skończyć, zanim zaczną. Nikogo nie okłamuję.

Nancy Yoakam odłożyła Dwighta Silverwinda, nie zamknęła książki, lecz położyła drukiem do dołu, i kokieteryjnie przytknęła kciuk do warg. - Jak dla mnie, to bardzo wy-rafinowany sposób wabienia kobiet.

- Nie to miałem na myśli. Dlaczego tak twierdzisz?

- Zawiera wyzwanie: „Ty mogłabyś mnie zmienić, dzięki tobie mógłbym ponownie uwierzyć w miłość”. Dwight nazywa to „syndromem ptaka z przetrąconym skrzydłem”.

Iannos przyniósł moją herbatę i cmoknął z niezadowoleniem, jak szczywany wieśniak.

Podziękowałem i nie zwracałem na niego uwagi.

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Może masz rację, Nancy. Zawsze przyjemnie, gdy w próżni znajdujemy zrozumienie.
- Nie wierzę w miłość. Po prostu uważam, że słucham swoich własnych, dość przewrotnych reguł, których zgłębić nie umiem.

Tak naprawdę, to zakochany byłem dwa razy, a to chyba dość dużo. Pozwolisz, że spałaszuję ten falafel? Umieram z głodu.

- Ależ proszę. Jak sądzisz, Marco, dlaczego się dzisiaj spotkaliśmy? Dlaczego ty, dlaczego tutaj, dlaczego teraz? Chcesz wiedzieć, co to według mnie było?

- Ślepy przypadek?

- Kiedy mówimy „przypadek” mamy na myśli „emanacje”. Dwight powiedziałby, że twoje gamma zostały przyciągnięte do moich alfa. W identyczny sposób północny biegun magnetyczny jest przyciągany do południowego.

Dwight zaczął mnie już wkurzać. Przysiadłem się, ponieważ mój koleżka, Iannos, zaproponował mi darmowy falafel. Usiadłem na tym właśnie miejscu, ponieważ nie było gdzie usiąść. Gdyby zamiast Nancy Yoakam siedział tu facet, pewnie już bym wychodził.

Miała - chyba - ciekawą osobowość, ale ten bzdet w stylu New Age wszystko zamazywał.

Z drugiej strony, radar mojego wacka namierzył darmowe ruchanie, więc zostałem i ledwo mogąc wysiedzieć, słuchałem o tym, jak „uzdrawianie przy pomocy kryształu może zmienić życie”. Ametyst jest dobry na depresje. Nancy żyła w otoczeniu minerałów. Gdy wreszcie dostałem od niej numer telefonu, nie byłem już zainteresowany telefonowaniem.

Coś nie tak ze mną?

Gdybym był jeszcze chłopakiem, a każda kobieta niezbadanym kontynentem, serce omal by mi nie wyskoczyło, a każda barwa głosiłaby nową prawdę.

Teraz wystarczy spojrzeć. Różne baby, tak jak się pierze koszule. Bywają tygodnie, że częściej.

Marco szesnastoletni i Marco trzydziestoletni są tak różni, jak Ziemia Ognista i Kennington.

Niedobrze, Marco, mój chłopcze, absolutnie niedobrze. Przepadniesz, jeśli za bardzo będziesz się nad tym zastanawiał.

Parę tygodni temu posprzeczaaliśmy się z Poppy, a skończyło się na tym, że powiedziała.- - Wiesz, Marco, nie jesteś głupi, ale jak to możliwe, że ktoś tak inteligentny był tak cholernie ślepy.

Nie miałem pojęcia, co odpowiedzieć, więc wykpiłem się jakimś głupim żartem. Nie pamiętam jakim.

Pora wracać.

Mieszkam w New Moon. Moje mieszkanie to zaadaptowany strych na najwyższym piętrze pubu. Łatwo znaleźć - kiedy jest pogoda, trzeba dojść do nabrzeży św. Katarzyny i iść cały czas wzdłuż rzeki albo po prostu wsiąść w każdy autobus jadący w stronę The Isle of Dogs i wysiąść przy uniwersytecie. Pub znajduje się dosłownie przy wejściu do stacji metra Wapping. Wylądowałem tam oczywiście przez przypadek. Muzyka Przypadku miała tam jesienią występ. Jedną z towarzyszących nam od czasu do czasu wokalistek, Sally Leggs przedstawiła mnie Edowi i Sylv, którzy ten interes prowadzili. Występ się udał, Sally była kimś w rodzaju lokalnej znakomitości, i kiedy tak sobie potem gawędziliśmy, Ed wspomniał, że szukają kogoś nowego na lokatora.

- A co się stało z poprzednim? - zapytałem. - Dał nogę?

- Nie - odpowiedziała Sylv - teraz to i ty pewnie możesz

wiedzieć... To się stało prawie dwanaście miesięcy temu. Było o tym w gazetach i w „wiadomościach o dziesiątej”.

Pod naszą piwnicą, w której trzymamy piwo, jest stary schron przeciwlotniczy i terroryści urządzili w nim fabrykę bomb. Którejś nocy zdarzył się wypadek i w momencie wybuchło około pięciu bomb. Dokładnie pod tym miejscem, gdzie siedzisz. Stąd remanent i zmiana nazwy. Przedtem było The Old Moon.

Omiał nie zachichotałem. Ale sądząc po wyrazie ich twarzy, mogłem stwierdzić, że, co do słowa, mówili prawdę.

- O kurwa - powiedziałem, zawstydzony - a to pech. Siedzieli zapatrzeni.

- No, ale przecież - brnąłem dalej po swojemu - coś tak dziwnego chyba nie zdarzy się przez najbliższe parę wieków, co?

Znowu o jedno zdanie za dużo.

Sobota jest na Old Moon Road dniem targowym, więc The New Moon od ściany do ściany był zapakowany hałasem, dymem, zrządzeniem, torbami pełnymi warzyw i starociami.

Moya ze swoim nowym chłopakiem, rekrutem o imieniu Ryan, rzucała lotkami do tarczy.

Którejś nocy, gdy nas świerzyło, strasznie się z Moya wydzieliliśmy. I nie był to dobry pomysł.

Sylv pracowała na zmianę z Derekiem, który był na części etatu. - Marco, dzwonił do ciebie wcześniej jakiś facet, nazywa się Kopacz, i pytał o ciebie. Podałam mu twój numer na górę.

O, nie. - Tak? A co chciał? - jakbym nie wiedział.

- Nie powiedział. Całe szczęście, że nie nazywa się Rzeźnik.

Sylv nie jest za zdrowa. Ma intensywnie różowe powieki, a w gorsze dni czerwone i pokryte żyłkami. Jeden ze stałych gości, pani Entwhistle, opowiadała mi, że Sylv w noc wybuchu straciła

dziecko, z którym chodziła w ciąży. Jak ludzie przetrzymują takie rzeczy?

Ja, wystarczy, że dostanę rachunki do kart kredytowych i już się załamuję. Ale przecież ludzie naokoło jakoś przetrzymują. Świat stoi borykającymi się samotnikami. Ale ostatnio Sylv uśmiecha się trochę częściej. Gdyby coś takiego przydarzyło się mnie, musiałbym wszystko sprzedać - o ile miałbym cokolwiek do sprzedania - i zamieszkałbym w hrabstwie Cork.

Ale The Old Moon należał do rodziny Sylv od pokoleń, dlatego i ona tkwi w The New Moon.

Kiedy jest dużo gości, pomagam, zwłaszcza gdy jestem do tyłu z czynszem.

Mój pokój od baru dzielą cztery piętra. Ciężka wspinaczka, a do tego klatka schodowa w nocy jest dość upiorna, w dzień zresztą czasami też. Budynek ma już parę wieków. Z okna mam piękny widok na Tamizę - w miejscu, gdzie skręca w stronę Greenwich i przechodzi w ujście. Powyżej widać Tower Bridge. Jest pogodny wieczór i widzę, jak zapalają się światła uliczne - aż do Denmark Hill i Dulwich.

Gdybym kiedykolwiek faktycznie zamieszkał w hrabstwie Cork, to łodzią mógłbym obrócić w dwa tygodnie.

Otworzyłem drzwi do pokoju i aż dostałem skurczów serca, gdy zobaczyłem, że światelko sekretarki automatycznej migocze. Na pewno nie Kopacz. Powiedział, że do wtorku nie będę musiał zwracać mu forsy. Mój czek z zasiłkiem, który przychodzi w poniedziałek, i jeszcze ta skórzana kurtka od Roya - uda mi się przekonać Barry'ego, żeby mi dał za nią trzydzieści funtów. Cztery wiadomości.

Ale najpierw chwyciłem byka za rogi i otworzyłem list od firmy

obsługującej moją kartę kredytową. Jeżeli wystukali moje nazwisko z adresem w górnej rubryce, to znaczy, że to tylko wyciąg z konta. Jeżeli w dolnej - to mam kłopot. Adres był w górnej.

Ale i tak boli. Na co poszły te pieniądze? Sklep z butami, restauracje, sprzęt muzyczny, modem. Na samym dole był drobny miły dopisek, stwierdzający, że mój limit podwyższono o trzysta funtów! Pogłupieli ci ludzie?

Nie. Ani trochę.

Następna przeszkoda na twoim torze, Marco: automaczną sekretarką.

- Marco, tu Wendy. Wiem, że obiecałam nie dzwonić do ciebie przez jakiś czas, ale nie mogłam się oprzeć. Przepraszam. No więc u mnie w porządku. Dostałam to miejsce w St Martin's. Pomyślałam, że chciałbyś wiedzieć. Powiedziałam dzisiaj szefowi, że odchodzę. Po prostu powiedziałam, mówiłeś, że tak powinnam. Wprost. Bez owijania w bawełnę.

Powiedziałam mu, i dobrze. Wiem, że powiedziałeś, że powinniśmy sobie dać czas na ochłonięcie, ale jeśli chciałbyś uczcić to ze mną, to mogłabym kupić butelkę taniego szampana i ugotować, co byś chciał. Więc jeśli cię to interesuje, to oddzwoń. Dobra? Wendy.

Ti amo, bellissima. Ciao.

O, biedactwo. Przeboleje mnie na artystycznej uczelni i przynajmniej nauczy się końcówek gramatycznych odpowiadających jej płci. Jedna przeszkoda odfajkowana, pozostały jeszcze trzy z ewentualnymi Kopaczami.

- O, Marco, przepraszam, że zawracam ci głowę, tu Tim Cavendish. Mamy drobny rodzinny kryzys. Wygląda na to, że firma prawnicza mojego brata w Hongkongu zeszła na psy. Jest trochę

zamieszania... chińska policja, zamrożenie aktywów i co tam jeszcze... Yyyy, czy nie mógłbyś wpaść w połowie przyszłego tygodnia? Zobaczylibyśmy, jak cała ta sprawa może wpłynąć na możliwość wydania książki Alfreda... Yyy, strasznie mi przykro. Cześć.

Wolałbym już Kopacza.

- Marco, tu Rob. Odchodzę z zespołu i jadę do San Francisco, żeby zamieszkać z Maxine. Cześć.

Nie ma sprawy, Rob odchodzi z zespołu raz na miesiąc. A ja mogę przestać próbować pisać kawałki, w których potrzebne są dzwonki. Ostatni płótek, Boże, żeby tylko nie Kopacz.

Nie mogąc skontaktować się ze mną, nie może mi zagrażać.

- Drogi Marco, tu Kopacz z Fungus Hut Recording Studios. Jak się masz? Bo ja świetnie, dzięki. To tylko drobna przyjacielska wiadomość z przypomnieniem, że jesteś nam winien sto pięćdziesiąt funtów i że jeśli nie zapłacisz do wtorku do piątej, to w środę sprzedam twój zestaw perkusyjny za tyle, ile mi da lombard w Tottenham Court Road, a pieniądze wydam na ciasteczka w czekoladzie dla naszych sprzątaczek. Najlepszego, twój kochający wujek Kopacz.

Złośliwy drań. Taka wrzawa o głupie sto pięćdziesiąt funtów! Jestem artystą, na miłość boską! Założę się, że nie zachowywałby się jak dupek, gdyby to Mick Jagger był mu winien pieniądze. Jakoś się wykaraskam.

Lubię niekiedy wieczorami otworzyć okno i pomedytować, gdy pokój pustoszeje i odpływa w mrok. Ale teraz musiałem się wysrać, wziąć prysznic, zapalić skręta i przed spotkaniem z Gibreelem na dole w barze o 9.30 uciąć sobie drzemkę.

Próbowałem się dodzwonić do Poppy, ale było zajęte. Zazdrość,

której nie ma gdzie wsadzić. Na parapecie zatrzepotał gołąb i rozejrzał się po moim pokoju. Czy to ten sam drań, którego wysuszone gówno właśnie wypłukałem z włosów?

Gołębia paranoja.

Pora na skręta z Madame Kiri Te Kanawa. Ostatni z brązowych marokańskich Josha...

Ach te rozkosze bycia kompletnie splukanym, należenia do pokolenia X, życia w otoczeniu kobiet, ale w żalosnej samotności.

Mój pokój za bardzo przypomina kaplicę metodystów. Bardziej podpadam pod kościół zdziczałych pogan. I potrzebuję jakiegoś eleganckiego krzesła z jakiejś szykowniejszej epoki, takiego jak ma Katy Forbes. Dziwne. Pamiętam jej krzesło, jej młynek do pieprzu i kształt jej sutków, ale nie twarz. Miała znamię w kształcie komety.

Doprowadziłem się do porządku, zwinąłem skręta i kiedy się zaciągnąłem, sufit przestał być sufitem. Aaa! Torfowy ogień w prześwicie złotej gałęzi... Josh zawsze wybiera to, co najlepsze. Ogarnęło mnie błogie uczucie Guliwera związanego przez Liliputów i następną rzeczą, jaką ujrzałem, był księżyc w ramce okna i Gibreel stojący nade mną. -

Wskakuj w swój garnitur z watowanymi ramionami, Marco!

W lepkich ustach czułem smak podeszwy. Zegar zaświecił 21.45. Kiedy ostatnio porządnie wyspałem się w nocy? Skąd Gibreel ma klucz? Przecież zawsze, kiedy palę, zamykam drzwi. - Po co? Dokąd idziemy?

- Do kasyna!

Za bardzo jeszcze pływałem, żeby wybuchnąć śmiechem. - Jaja sobie robisz!

Długów mam więcej niż rząd Burundi. Nie stać mnie na pójście do kasyna.

- I właśnie dlatego idziemy do kasyna, Marco! Odkujesz się. Długi pospłacasz.

- O, akurat

- Mam ludzi, Marco. Mam system!

Tym razem buchnął ze mnie taki śmiech, że wywalił drzwi i odbijał się wśród wzgórz.

- Co cię tak śmieszy, kamieniczniku?

Sam nie byłem pewien, bo nie czułem się ani trochę rozbawiony. Chyba że to był szloch. Poskromiłem się i otarłem łzy. - Ale i tak, Gibreel, i tak, przecież nie każdego wpuszczają do kasyna. Trzeba być kimś. Ja jestem zdecydowanie nikim.

- Nie przejmuj się, Marco. Na weekend przyjeżdża mój bogaty kuzyn z Bejrutu. A on jest zdecydowanie Kimś. Już zabrakło szlachetnych metali do nazywania jego kart kredytowych. Zbieraj się. Po dzisiejszej nocy możesz być nadzianym facetem.

- Masz na mnie bardzo niedobry wpływ, Gibreel.

- Dlatego właśnie spędzasz czas ze mną. Król Marco, władca krainy dobroci któregoś dnia uznaje, że brakuje mu szczypty niegodziwości! Popatrz! Tak, zaiste jego błaganie zostało wysłuchane przez anioła Gibreela! - oczy Gibreela rozbłysły w półmroku i ciemność drgnęła. - Zostało ci trochę tego haszu, kapitanie Markotyku?

Po pewnym czasie spotkaliśmy się z kuzynem Gibreela w winiarni w Bloomsbury.

Powstrzymałem się od kąśliwych uwag, ale z miejsca wiedziałem, że jest napalony na wygraną. Nawet nie był łaskaw się przedstawić. Czasami poznajesz kogoś i dopiero po dziesięciu minutach uświadamiasz sobie, że nie, że facet nigdy nie przestanie mówić o sobie.

Był taki „cool”, że nawet nie zdjął ciemnych okularów. Towarzyszył mu Irańczyk w średnim wieku, o imieniu Kemal, który w latach siedemdziesiątych umknął przed rewolucją. Miał radioaktywny uśmiech. Klasnął w dłonie: - Chodźmy, jeśli się nie mylę, Lady Fart ma ochotę na czułości. A więc, przyjacielu - spojrzał na mnie - jesteś specjalistą od *rouge* i *noir*?

- Nigdy w życiu nie używałem różu - rzuciłem dowcipnie i czekałem na wybuch śmiechu, ten jednak nie nastąpił. Zapamiętaj to sobie, Marco. Żadnych dowcipów z aluzjami do transwestytów przy Arabach. - Yyyy, dzisiaj wystąpię raczej w roli widza. Mam problem z płynnością finansową.

- Wierzyciele? - syknął kuzyn Gibreela w taki sposób, że z zadowoleniem stwierdziłem, iż nie jest jednym z nich, Był to pierwszy przejaw jego zainteresowania moją osobą.

- Nie - odpowiedziałem. - Wierzycieli nie mam. - Doskonałe! Nie masz wierzycieli?

- Nie. Nie mam gotówki.

- Jak to? Do kasyna bez środków do życia i bez grosza? - Kemal pogmerał w torbie i rzucił mi na podolek cienki plik papierów. - Tak być nie może, przyjacielu. - Upadając, plik zaszeleścił tak, że przysły mi na myśl banknoty. Jezu, to były banknoty!

- Nie mogę...

Kemal nawet nie słuchał. Przeczesał palcami brodę, uśmiechając się do Bogatego Kuzyna. - Nasz przyjaciel Marco świetnie sobie poradzi. Początkujący są bardziej nieobliczalni. Ale ma być dwa do jednego.

Kuzyn Gibreela prychnął. - Nie ma mowy. Szanse są pięćdziesiąt na pięćdziesiąt.

- Marco świetnie sobie poradzi z czym? - Wreszcie zaskoczyła

zębatka w mechanizmie o wiele mnie przerastającym.

- Nie powiedziałeś mu? - Bogaty Kuzyn spytał Gibreela, który też miał jakiś taki krzywy uśmiech. - Marco, synu - zaczął Gibreel. - Kemal i mój kuzyn chcieliby się założyć, kto z nas, ty czy ja, wyjdzie z kasyna z maksimum forsy. Dostałeś właśnie pieniądze na grę.

Poczułem, że i mnie robi się krzywy uśmiech. - Aż tak bardzo to naprawdę się nie cieszę z powodu...

- Ale my zatrzymujemy wszystkie wygrane plus podwojoną pierwotną stawkę. Dla ciebie ekstra trzysta funtów.

- Trzysta funtów?

- Nie, trzysta opałowych kaboszonów. Oczywiście, że funtów.

- On się za dużo martwi - stwierdził Bogaty Kuzyn.

- O wiele za dużo - przytaknął Gibreel. - Dla nas to tylko przekąska, przyjacielu

- dodał Kemal. - A jak przegram całą forszę?

- No to przegrasz - powiedział Kemal - i nikt nie będzie płakał.

- A Kemal przegra ze mną zakład - zauważył Bogaty Kuzyn.

Byliśmy w komplecie. Ja, Gibreel i dwóch, znanych mi od dziesięciu minut podejrzanych Arabów jechaliśmy sobie do kasyna. Dawało to w sumie czterech podejrzanych Arabów.

Było tego sto pięćdziesiąt funtów w banknotach pięciofuntowych, tak nowych, że aż skrzypiały. Cóż za uderzająca drobna zbieżność. Akurat tyle, żeby zapłacić Kopaczowi i odzyskać bębny. Ale zanim zdążyłem się zastanowić, jak tu zniknąć w najbliższym wejściu do metra, kuzyn Gibreela i Kemal zaprowadzili mnie do kasjera, żebym wymienił forszę na żetony.

Musiałem więc wyszczerzyć zęby w uśmiechu i przełknąć, że właśnie wymieniłem mój zestaw perkusyjny na trzydzieści małych

plastikowych krążków.

- A teraz - powiedział Kemal - rozdzielmy się. Moim żywiołem jest poker.

Spotkamy się w holu na górze o północy. Gibreel i Marco, o północy. Ani minuty później, inaczej zakład będzie nieważny, a wy, jak byliście głabami, tak nimi zostanieecie.

Bogaty Kuzyn wkroczył do baru, żeby błysnąć pieniędzmi i wybrać kobietę.

- Gibreel - syknąłem, kiedy wchodziliśmy do głównego salonu ruletki - wykorzystują nas jak zabawki. Ja chromolę. Dlaczego to robią?

- Bo to znudzeni, bogaci, mali chłopcy, którzy chcą nowych zabawek. Z pieniędzmi się nie liczą.

- A Koran przypadkiem nie zabrania hazardu?

- Mahomet nie patroluje Londynu. Jak się gra z niemuzułmanami na niemuzułmańskim terenie, to jest w porządku. Zagrajmy, i oby najlepszy wygrał.

Błąkałem się jeszcze przez chwilę, zanim usiadłem i machnąłem ręką na wszystko.

Dywan i bordowy plusz sprawiły, że zapragnąłem włożyć smoking i pantofle. Faceci w wieczorowych strojach rozmawiali z kobietami w jedwabiach. Było tu kilka nieczęsto widywanych, egzotycznych kobiet, siedziały w miejscu pod żyrandolami. Uśmiechnięte typy pozamykane w batyskafach snów. Panoszący się paniczyk i stara dama kracząca jak kruk.

Zieleń sukna i złoto kręcących się kół skradzione z zaczarowanej krainy. Koło ruletki obracające się tak szybko, że omal stojące bez ruchu, a kulka jak atom złota. Kiedy wyjdę, upłyną ze trzy wieki. Posępni, znudzeni, przeżywający w milczeniu rozpacz, żywiołowo

objawiający radość, a do tego widzowie. Krupierzy działający jak cyborgi, unikający wymiany spojrzeń. Podniosłem wzrok, żeby zlokalizować kamery, ale sufit tonął w czerni, zupełnie jak w telewizyjnym studiu. Nie było okien ani zegarów. Orzechowe boazerie, ryciny z wyścigami psów i koni. Wszedłem do sali, w której grano w blackjacka i pokera. Kemal już wszedł do gry. Wróciłem i usiadłem z boku, skąd mogłem przyglądać się ruletce. Poprosiłem o kawę, licząc, że darmowa. Była dziesiąta. Obserwowałem przez czterdzieści pięć minut, kalkulując, w jaki sposób grać.

Minęło dwadzieścia minut. Obok mnie usiadł facet przypominający Samuela Becketta parę tygodni przed śmiercią. Szukał po kieszeniach papierosów. Poczęstowałem go swoimi.

Skinął głową, wziął parę i usiadł, statecznie się kiwając.

- Nowicjusz, który się zastanawia, gdzie zacząć.

- Zastanawiam się, jak wygrać - odpowiedziałem.

- To zobaczymy - zapalił, wciągając dym niczym dawkę z inhalatora dla astmatyków. - Która gra?

- Ruletka?

Mówił, trzymając papierosa w ustach, ledwie poruszając wargami. - No cóż, na amerykańskim stole dwa zera, więc masz mniejsze szanse. Podłącz się do francuskiego. Gdy stawiasz na liczby, twoje szanse wynoszą 2,7 procenta. Gdy stawiasz na kolory, twoje szanse wynoszą 1,35 procenta.

- Za dobrze to nie brzmi.

Samuel Beckett wzruszył po francusku ramionami. - To się sumuje. Po kilkuset kolejkach przegranych będzie pięćdziesiąt dwa procent graczy. Po paru tysiącach - sześćdziesiąt sześć procent. Po dziesięciu tysiącach, dziewięćdziesiąt dwa procent graczy jest

przeigranych.

- Czy istnieje jakiś sposób, żeby... mmm...

- W blackjacku, tak. Zapamiętujesz całą księgę algorytmicznych schematów prawdopodobieństwa, a potem tylko przeliczasz, obstawiasz wysoko, kiedy prawdopodobieństwo masz wyższe, nisko - kiedy jest niższe. W zasadzie jest proste. Jednak i w tym trzeba być dobrym, bo inaczej człowiek jest skończony i ląduje w koszu na śmieci. Łatwiej już chyba złapać taksówkę w Londynie.

- Z matmy miałem zaledwie tróję. Może by poker...

- Poker? W pokerze dostaje się to, na co się zasłużyło.

- Aha. Chyba raczej nie chcę dostać tego, na co zasługuję. No to czy jest jakiś sposób na wygraną w ruletce?

- Wyjawię ci ten sekret w zamian za mapę drogową Ksanadu. Kasyno ma mnóstwo sposobów na oszukiwanie - mikroskopijne igielki, elektromagnesy... ale dla gracza jedyną nadzieją pozostaje zminiaturyzowanie techniki trajektorii kosmicznej i wykorzystanie jej w celu zaaranżowania toru kulki. I to robiono.

- Z powodzeniem?

- W laboratorium, tak. Ale w Vegas zabrakło obwodów elektrycznych. Według mnie to było żałosne.

- Podejrzewam, że w takim razie lepiej zaufać przypadkowi.

Samuel Beckett skrzywieniem twarzy dał do zrozumienia, że rozmowa dobiegła końca. Moja trzystufuntowa działka z wygranych Kemala czekała.

Usiadłem, obawiając się, by mnie nie zdemaskowano jako oszusta. Postawiłem pierwszy żeton na czerwonym. Właśnie miałem stracić swoje kasynowe dziewictwo.

Patrzyłem, jak kulka odbijała się i turlała po kole. Czym jest taka kulka, pisarzu piszący za innych? Podrzucić nam jakąś

metaforę.

Ależ tak. Jest jak dzin spalający się do cna w swojej wściekłości.

Kulka zatrzymała się na czarnym. Krupier zgarnął grabkami moje pieniądze do dziury.

Wpadając, zastukały. Było to najszybsze pięć funtów, jakie wydałem w życiu bez uśmiechu.

Drugi żeton postawiłem na czerwonym.

Kulka wylądowała na czarnym. Musiałbym szybko coś wygrać... Reguły prawdopodobieństwa. Trzeci położyłem na czarnym.

Kulka znieruchomiła na czerwonym. No, tym razem będę musiał wygrać.

Czwarty położyłem na czerwonym. Nie mogę przegrać czwarty raz z rzędu.

Przegrałem czwarty raz z rzędu. Dwadzieścia funtów sobie poszło i nawet nikt mi nie podziękował.

Niedobry początek. Czerwone, czarne, czerwone, czarne. Wyrrywam się z nowicjatu, ale też jak nowicjusz. Nie przejmuj się, Marco. W kieszeni masz jeszcze sto trzydzieści żetonów.

Odszedłem, żeby się napić wody mineralnej i przemyśleć moją strategię. Wychyliłem do dna, w nadziei, że woda wypłucze ze mnie resztki haszu. Przy barze stał Kemal. - Jak idzie, przyjacielu? Sporo pieniędzy na ciebie dziś postawiłem.

I to twój głupi błąd. - Raz do przodu, raz do tyłu.

- Lepiej do przodu, przyjacielu. Jak stawiasz? Nie stawiaj jak przegrany. Stawiaj z siłą. Nie przeceniaj znaczenia przypadku. W kasynie wygrywa się tak jak w życiu: wszystko jest kwestia woli.

Tak, a lizak wrzucony u ujścia Amazonki może płynąć pod prąd. Byle tylko bardzo chciał.

Toaleta w kasynie wyłożona czarnym marmurem,

przyciemnione lustro oprawione w miedź. Już widziałem gangsterów w pastelowych garniturach walących do siebie po nerach z pistoletów. Właśnie rozpiąłem rozporek, gdy wszedł Kuzyn, niezmiennie w okularach przeciwsłonecznych. Podszedł i stanął obok mnie. Nie odezwał się ani słowem.

Tak bardzo zbił mnie z tropu, że choć pęcherz miałem pełen, nie chciało nic lecieć.

Ale słyszałem, że jemu leci, gładką strugą prosto do ścieku. Swobodnie spływająca uryna wykwintnego bogactwa. Udałem, że strzepuję ostatnie kropelki, umyłem ręce i popędziłem szukać innej toalety.

Wybrałem inny stolik, z atrakcyjną krupierką, brunetką o plecach pokrytych piegami i niewiarygodnie długich nogach. Wyglądała tak, jakby pod jakimś względem była facetem.

Sprawiała wrażenie szczęśliwej.

Tym razem bardziej się skoncentrowałem.

Dość szybko zjechałem do siedemdziesięciu pięciu funtów.

Trochę wygrałem, trochę przegrałem. Przez piętnaście minut oscylowałem wokół sześćdziesięciu, aż osiem razy z rzędu przegrałem i zjechałem gwałtownie do dwudziestu.

Nad ramieniem wyrósł mi Gibreel. -Jestem do przodu dwieście osiemdziesiąt w blackjacku. Ruletka jest dla frajerów.

- Nic dobrego ci na to nie powiem.

- O rany. Tylko tyle ci zostało? A przecież dopiero jedenasta.

- Spadaj.

To było przykre. Chciałem już wyjść. Postawiłem ostatnie pieniądze na zielonym.

Jeśli wygram, zgarnę... trzydzieści pięć do jednego... siedemset funtów. Może Kemal miał rację. Może faktycznie ta hazardowa

heca to kwestia woli. Siedemset! Skoncentruj się na tym!

Koło zakręciło się, zaczęło zwalniać i niech mnie, jeżeli ... i zaraz znowu wypadła.

Usiadłem, oszołomiony. Chciałem, żeby przyszła moja przybrana mama i poukładała wszystko jak należy. Żeby jakakolwiek mama. Nie grymasiłem.

Patrzyłem, jak bąbelki syczą w mojej butelce. Trzustka papugi marynowana w szczynie. Idiota!

Zasłużyłem sobie na przegraną. Po prostu stawiałem chaotycznie. Gdybym spróbował i poczuł się bardziej... Przyszłość istnieje już, teraz. Prorocy widzą to, co tam już jest. Każdy potrafi przewidzieć skutki z danej przyczyny. To definicja wrażliwego życia - od magazynowania żywności po satelity prognozujące pogodę. Przypuśćmy, że potrafisz zrobić to samo wspak... określić przyczynę na podstawie skutku. Nie byłby to proces umysłowy.

Byłby to...

A, bzdety. Przymyślam jak Nancy Jakaśtam z kawiarni Iannosa.

Trzysta funtów! Akurat tyle, by mieć na koniec wieczoru więcej pieniędzy niż Gibreel! A wszystko co powyżej... Byłoby parę setek. Może nawet tysiąc. Kiedy znowu nadarzy mi się taka okazja? Byłem winien ponad trzy tysiące funtów, to o wiele więcej, ale za te parę stów kupiłbym spokój ducha i zapewnił sobie jako taki luz na parę tygodni.

Rzecz w tym, skąd wytrzasnąć jeszcze trochę forsy na stawkę. Kemala prosić nie mogłem. Kartę zjadł mi bankomat.

I w tym momencie poczułem dmuchnięcie jakiegoś diabełka na karku. Moja karta kredytowa! Limit powiększony o trzysta funtów. Pamiętacie?

Brnąć w długi, żeby mieć na hazard? Czyś ty zwariował?

No wiesz, jeżeli grozi ci, że przez najbliższe dwa lata będziesz musiał harować w jakiejś spelunie, żeby pospłacać długi, to równie dobrze mogłoby być czterysta.

Cholera, nie, wsadziłem kartę kredytową do kieszeni marynarki, żeby może ją wykorzystać na tym kuszącym meksykańskim placyku, gdzie byliśmy z Bellą w zeszłym tygodniu. Boże, żeby wszystkie wieczory były takie kosztowne i oklepane.

Masz na sobie swój garnitur. Głupku.

Poklepałem się po kieszeni. Poczułem odzew plastiku. Nikt przecież nie powiedział, że nie mogę mieć więcej pieniędzy ponad stawkę...

A jeśli to nie wypali? Na obsłudze kart kredytowych nie robi to większego wrażenia.

A co na to Poppy? Może już chodzi z twoim dzieciakiem. Nie tylko własną przyszłość tu przepuszczasz. Nie ma. Po prostu wyjdź. I to zaraz. Nie będziesz w stanie pokryć nawet połowy kosztów skrobanki, jeśli Poppy tego właśnie chce. A jeśli chce czegoś innego?

Zabiłem swoje wątpliwości deskami, ale słyszałem, jak się dobijają. Wróciłem do pierwszego stolika z trzystoma funtami. Zmienił się krupier. Młody gość, który miał na imię Nigel czy jakoś tak. Mógł pochodzić z Kennington. Jedenasta trzydzieści. Lepiej będę stawiał po dwadzieścia pięć funtów.

Stawianie na kolory może i dawało według Samuela Becketta większe szanse, ale mnie z miejsca zmiotło. Tym razem stawiałem na liczby.

Jak się powinno wybierać liczby? Dobra, najpierw mój wiek. Dwadzieścia dziewięć.

Nieparzyste.

Kulka wylądowała na dwadzieścia. Parzyste. I znowu fatalny początek. Zjeżdżam do dwustu siedemdziesięciu pięciu. Dobra, kolejna liczba. Liczby z dzisiejszego dnia. Ile było jajek w omlecie Katy Forbes?

Cztery. Parzysta.

Kulka wylądowała na dwadzieścia, znowu. Parzyste. Już lepiej. To jest sposób.

Pomyśl o pytaniu, które ma liczbową odpowiedź i stawiaj. Z powrotem na trzysta.

Z iloma ludźmi dzisiaj rozmawiałem? Szybki rachunek. Osiemnaście, wliczając mnie samego. Parzysta. Słuchaj no, Boże, nie byłem najbardziej lojalnym członkiem twojego fan-klubu, ale przysięgam, wyciągnij mnie z tego, to nawet zacznę znowu chodzić do kościoła.

Jak tylko będę mógł.

Kulka wylądowała na trzydzieści cztery. Zjechałem do dwustu pięćdziesięciu funtów.

Następna możliwość. Tym razem postawię pięćdziesiąt. Czas się kończył. Czy ruchałem ostatnio jakąś Cyganek?

Ile mam zębów? Dwadzieścia osiem. Parzysta.

Kulka wylądowała na jeden. O losie, czymże sobie zasłużyłem? Chciałbyś, żebym przestał wierzyć w przypadek? Jeśli chcesz, przestanę. Tylko pozwól mi teraz wygrać. Losie.

Należę do ciebie. Jest mi pisana wygrana. Dwieście funtów.

O, cholera, za to mógłbym jeść przez cały przyszły tydzień. Potworność hazardu.

Ludzie naprawdę uprawiali go dla przyjemności?

Z iloma kobietami przespałem się w życiu? Daj sobie spokój, nie

ma czasu na liczenie.

- Na twoim miejscu - powiedział Samuel Beckett - zdobyłbym się na coś spektakularnego.

Parzysty.

Kulka wylądowała na cztery. Losie, wypierdalaj. Nic tylko przypadek. Sto pięćdziesiąt funtów.

Jezu, to jutrzejszy czynsz. Będę musiał się postarać o robotę w Burger Kingu na Victoria Station.

- A wiesz - odezwał się Samuel Beckett - że możesz stawiać na cztery liczby naraz? Nazywa się to carre. Połóż swój żeton w punkcie przecięcia. W razie wygranej płacą osiem do jednego.

- Gdzie? - Wybierzesz za mnie? -Nie.

- Mój przedostatni żeton położyłem na 23/24/26/27. Kulka wylądowała na 28.

- Pech - orzekł Samuel Beckett. - No. Tylko jedno oczko.

- Proszę - odpowiedziałem - podaj mi liczby. - Skoro tak nalegasz: 32/33/35/36.

Położyłem żeton. To była moja ostatnia szansa. Stwierdziłem, że nie mogę patrzeć.

Ponieważ nie miałem za plecami kanapy, zakryłem oczy i pograżyłem się w ciemności.

Czas odkształcał się, osiągając prędkość bliską światłu. Dźwięk gęstniał, tężejąc jak żel do włosów. Poprzez tłum skradało się w moją stronę ubóstwo, łóżko w przytułku Summerford będzie mnie kosztować dwanaście i pół funta. Wielki stos żetonów zgarnianych przez grabki powędrował w moją stronę. I został przy mnie. Spojrzałem. Krupier zdążył już odwrócić wzrok. Starszy dżentelmen w czerni z włosami wyrastającymi z uszu patrzył pożądlivie na moje żetony. Dwie dziewczyny w zharmonizowanych

kolorystycznie lśniących sukienkach patrzyły na mnie, śmiejąc się.

Samuel Beckett ulotnił się.

Przede mną leżało czterysta funtów w zetonach. Mogłem zachować kartę kredytową.

- Przyjacielu - nad ramieniem wyrósł mi Kemal - już czas. Miło widzieć, że nie zostałem skasowany. Chodźmy do górnego holu. Dobrze się bawiłeś?

Z trudnością przełknąłem ślinę. - Najważniejsze, żeby grać dla samej przyjemności grania.

Wiedziałem, że nie byłem lepszy od Gibreela, ale miałem czterysta funtów, nie licząc tych trzystu, które pożyczyłem. Nie brałem pod uwagę stu pięćdziesięciofuntowej stawki, która przecież nigdy nie była moja. No. Skromny stufuntowy zysk. Skórzana kurtka, trzydzieści funtów. Chyba wystarczy, żeby uspokoić Kopacza, jeżeli obiecuję, że przez tydzień będę robił manikiur jego mastiffom. Ale swoje bębny odzyskiwałem. W przyszłym tygodniu w Brixton Academy ma się odbyć koncert Muzyki Przypadku, który pozwoli mi przetrwać do końca miesiąca. Zawsze dostajemy tam gotówkę do ręki, bo parę razy do roku rzną działaczkę odpowiedzialną ze Związku Studentów.

Do górnego holu zajrzał skruszony Gibreel. - Przepraszam - powiedział do Kuzyna. - Krupier pewnie wiedział, jak zneutralizować mój system.

- Przyjacielu! - Kemal aż obrócił się z radości dwa lub trzy razy. Ja nie dałem nic po sobie poznać, ale w środku aż mnie rozpierało. Tak! Sto plus trzysta równa się czterysta funtów zysku dla mnie, i to w tej chwili!

Kuzyn, nie śpiesząc się zbyt, wydobyl beżową kopertę. Kemal błyskawicznie ją capnął. - Dziękuję ci, przyjacielu.

Gibreel zmarszczył brwi i pokazał na mnie. - Nie tak prędko! Marco oszukał!

Wyciągnął trochę więcej forsy! - Mój były przyjaciel spojrzał na mnie. - No powiedz, że nie!

Pieniądze, dziwna sprawa. - Nie powiedziałaś, że nie mogę.

Kuzyn i Gibreel ruszyli na Kemala, próbując odebrać kopertę. Kemal odsunął się, Kuzyn chwycił kopertę, Kemal chwycił Kuzyna i obaj upadli na kwietnik, przewracając solidną, rozłożystą roślinę i zrzucając gong, który z brzękiem, jeden brzdęk na stopień, staczał się po schodach. Gibreel podniósł kopertę, Kemal wywinął się spod rośliny ze zdumiewającą zwinnością i strzelił głową Gibreela, który zatoczył się, wypluwając zęby. Kuzyn chwycił

Kemala od tyłu jak w meczu rugby i usłyszałem odgłos rozdzieranego materiału. Wyglądało to wszystko tak, jakby było wyreżyserowane. Kemal fiknął, a gdy upadał, sięgnął do kurtki i nagle w powietrzu błysnął zębem nóż. Chyba jednak nie byli aż tak dobrymi przyjaciółmi.

Zanosilo się na kłopoty. Najlepiej by było, gdyby te trójkątne drzwi były otwarte, bo wtedy mógłbym się ruszyć i w nie wcisnąć, zanim przyjdą bramkarze, a ci trzej by mnie nie zauważyli i nikomu by nie strzeliło do głowy, żeby tam zaglądać. Jakie w tym przypadku miałem szanse? Był to plan godny strusia, ale przecież niekiedy strusia polityka okazuje się ostatnią i naprawdę jedyną linią obrony. Przekręciłem gałkę u drzwi.

Niech mnie szlag, gdyby nie było otwarte! Skuliłem się i szarpnąłem drzwi. Walnąłem w coś głową, wpakowałem nogę w jakieś wiadro i poczułem zapach detergentów. Moją mysią dziurą okazał się schowek.

Słyszałem, jak przyszli bramkarze, potem same wrzaski i

złorzeczenia. Czułem dziwny spokój. Jak zwykle mój los zależał od przypadku. Gdyby mnie złapano, byłbym złapany. Czekałem tylko, aż ktoś szarpnięciem otworzy drzwi.

Hałasy oddalały się.

Co za dzień. Czyżbym rzeczywiście ukrywał się w schowku? A owszem. Ale w jaki sposób się tam, do diaska, dostałem? Buczenie ustało i tak siedziałem sam w ciszy, której braku nawet nie zauważyłem.

Istnieje Prawda, istnieje więc i Prawdopodobność.

Bycie prawdopodobnym to tylko kolejny przejaw ludzkiej aktywności, tak samo jak podrywanie kobiet, pisanie za kogoś, handel narkotykami, kierowanie krajem, projektowanie radioteleskopów, bycie rodzicem, granie na perkusji i kradzieże w sklepach. Nazwę każdego z nich łatwo opatrzyć jakimś określeniem. Można być prawdopodobnym w dobrej lub złej sprawie, szczerze lub chytrze, być prawdopodobnym można chcieć bądź nie.

Prawda nie ma z tym wszystkim nic wspólnego. Komety nie obchodzi, czy ludzkość zauważyła, że jej okrążenie wyznaczyło tysiącletni etap, a Prawdę nie bardziej obchodzi, co ludzie napisali na jej temat w tym tygodniu. Prawda jest obojętna i niezmienna. Bardziej z Merkurego niż Jowisza. Czasami odwracasz się i ją dostrzegasz: w fontannie, w torze lotu krążka *frisbee* albo w ciemności schowka. Przyczyny i skutki grzecznie ustawiają się do wzajemnego rozpoznania. W takich razach uprzytamniam sobie daremność zgryzoty. Milknę i za psioczącą niepewnością dostrzegam pomrukujące dobro. Jeśli związę swoją przyszłość z przyszłością Poppy i Indii - o ile mnie zechcą - wykonam swój największy, na jaki mogę się zdobyć, nigdy nie kończący się skok na główkę.

I wtedy Prawda raptem znika, a ty z powrotem martwisz się swoimi rachunkami.

Ziewnąłem - tak szeroko, że aż strzeliło mi w szczęce. Kończyła się adrenalina, którą pobudziła walka, i kończyło się działanie kawy wypitej w salonie. Prawda to męcząca sprawa. Przyszła pora, bym wypełził ze swojego schowka.

Zamieniłem żetony na gotówkę, modląc się, żebym zdążył poczuć w lepkiej dłoni pieniądze, zanim zostanę rozpoznany. Czy wszyscy kasjerzy byli tacy opieszali?

Wreszcie byłem wolny. Odebrałem kurtkę. Nadal nikt mnie nie rozpoznał.

W kącie holu recepcyjnego był telefon. Kiedy próbowałem znaleźć drobne, wolnym krokiem podszedł Samuel Beckett. - Twoich przyjaciół udało się przekonać, by gdzie indziej kontynuowali uczciwą wymianę poglądów. Bez noży.

-Kto?

Był to jeden z tych starszych aparatów telefonicznych.

Te wszystkie kółka jakoś się kręciły. Wrzuciłem monetę.

- Poppy! To ja.

- No proszę. A kocur nie przywłókł się na noc do domu. - Pokpiwa. Zmęczona?

- Mówiłem ci, jak to widzę. Dzieciak w sklepie z zabawkami. Jak nasz mały trylobit?

- Zasnęła nadąsana, bo chciała, żebyś jej opowiedział bajkę na dobranoc.

- To długa historia.

- O, biedny Marco.

- Poprzestawiały mi się paradygmaty. Poppy...

- Musiały ci się poprzestawiać w środku nocy?

- Przepraszam, ale nie mogłem z tym czekać... posłuchaj... pod względem finansowym, wiesz, nie jestem żaden John Paul Getty, ale... wiesz, tak poważnie, zastanawiałem się, czy chciałabyś, żebyśmy połączyli nasz stan posiadania, zarówno w finansowym i może egzystencjalnym sensie, ale to oczywiście byłby tylko wierzchołek góry lodowej prawdziwego zaangażowania, i może gdybyś chciała to zrobić, to może...

- Marco. O czym ty, do licha, mówisz?

Powiedz. - Chciałabyś wyjść za mąż? - O, Chryste Panie.

- Za kogo?

Nie zamierzała mi tego ułatwić. - Za mnie.

- No. Tak ni z tego, ni z owego. Muszę się zastanowić.

- Ile czasu potrzebujesz?

- Parędziesiąt lat?

- Ty latawico! Kupiłem ci T-shirta ze świnką...

- Chcesz zdobyć moją rękę i związać się ze mną świętym węzłem małżeńskim i w zamian proponujesz mi świnkę. To wschodni Bangladesz czy wschodni Putney?

- Poppy. Mówię poważnie. Chcę być tylko twój, chcę, żebyś była moją... - Mąż.

Żona. Jezus zapłakał. - Nie mogę jeszcze tego do końca powiedzieć. Ale powiem. Nie jestem pijany, nie jestem uwalony, mówię poważnie.

Kilka chwil, które minęły, osiągnęło gęstość większą niż zwykły czas, ponieważ skondensowało się w nich potencjalnie całe życie. Zacząłem mówić równocześnie z Poppy.

Poppy ciągnęła dalej. - Posłuchaj. Jeżeli użyjesz słowa „poważny” przynajmniej jeszcze raz, to zacznę ci wierzyć. Ale jeśli potem stwierdzę, że nie jesteś poważny, nasza przyjaźń, nasz

związek się rozsypuje. Pamiętaj, że w tym momencie nie masz odwrotu. Czy mówisz poważnie? - Mówię poważnie.

Poppy cicho zagwizdała. - Marco. Jestem zaskoczona, że jeszcze udaje ci się mnie zaskoczyć. - Zaraz wpadnę. Dobra? Najdłuższa ze wszystkich chwil. - Tak, w tej sytuacji to chyba tak. Odwiesiłem słuchawkę i zabrałem płaszcz. Metro od paru godzin nieczynne.

Miałem forszę na taksówkę do Putney, ale za piętnaście funtów można by karmić Indię przez... ile? Tak czy inaczej, mam parę spraw do przemyślenia. Pójdę pieszo.

Nawet jeśli mi to zajmie całą noc.

CLEAR ISLAND

Ociekając wodą i łapiąc oddech, otworzyłam oczy, słońce wirowało na połyskującej wodzie. Spojrzałam na Billy'ego w kabinie: usiłował powstrzymać śmiech. - Szczur - bezgłośnie poruszyłam ustami, a on się roześmiał. „St Fachtna” pruća przeciwprądy pomiędzy mielizną Illaunbrock a skałą Clarrigmore, opłynęła zachodni przylądek Sherkin Island, a ja ze swoim czarnym notesem po dwunastu tysiącach mil podróży widziałam wreszcie jej kres.

Clear Island weszła w pole widzenia, poczułam, jak morska woda wysycha, pozostawiając mi na twarzy skorupę. Tu był dom.

Jedno ramię Ardatruhy wycelowane w Atlantyk. Światła na falach. Sine cienie, gdzie rafy schodziły w głębinę. Klify otaczające z tyłu Carriglure. Łąki w górskich zagłębieniach i pastwiska na wzniesieniach. Nędzny port w zagięciu cypla. Kilka mil krętych dróg. I cmentarz, najprzyzwoitsze miejsce na wyspie. Studnia św. Ciarana. Wyspa stara jak świat.

Niema córka Billy'ego trąciła mnie, podsuwając lornetkę swojego ojca.

- Dziękuję ci, Mary.

Pod obiektyw podpłynęły domy. Widziałam moich chrzestnych, Maisie i Brendana Mickledeenów, krzątających się na werandzie „Zielonego Luda” i przyszły mi na myśl mechaniczne figurki na miejskim zegarze naprzeciw mojego laboratorium w Zurychu. Stary sklep spożywczy O'Farrella u stóp Baile Iartach pełniący ponadto funkcję poczty i jeszcze punktu wymiany plotek. Niech mnie, jeśli to nie archaiczny trójkołowiec Bertiego Crowa zniknął za przesmykiem Cnocan an Choimhthigh! Nigdy nie zniknie ten

upiór?

Co takiego sprawia, że krajobrazy zapisują się w ludzkim sercu, Mo?

Na skraju rozlewiska kępa jaworów zakrywająca rozsypującą się zagrodę, w której się urodziłam. Ciekawe, czy dach już się zawalił.

Przychodzą mi na myśl Szwajcarzy z kwadratowymi szczękami, poruszający się po swoich wychuchanych miastach w najnowszych niemieckich wozach sportowych. Pamiętam chude jak patyk dzieciaki wałęsające się po ulicach Kowloon wokół blokowca Huwa.

Pamiętam moje szczęśliwe dzieciństwo, rozbiegane po tej wyspie i odkrywające jej tajemnice.

Przychodząc na świat, dostajemy karty, ale tak samo jak ich wartość ważne jest miejsce, w którym dostaliśmy je do ręki.

- Przywiozłaś nam nieziemską pogodę, Mo. - Billy przekrzykiwał hałas diesla. -

Rano lało jak z cebra. Nie zauważyłaś?

Kiwnęłam tylko głową, nie byłam w stanie oderwać oczu od wyspy. Brakowało mi tych ośmiu mil kwadratowych twojej powierzchni. W Zadufanym Zurychu, Siedzącej na europieniądzach Genewie, Bezładnym Hongkongu, Bezlitosnym Pekinie i Cholernym Londynie przymykałam oczy i widziałam twoją topografię, tak jak topografię ciała Johna. Kormorany szybują na wietrze, dzisiaj wieje od południa, widzę głuptaki nurkujące i znikające w zatoce mBairneach. I nagle chciało mi się roześmiać i zaszlochać jak jakiejś wariatce, odwrócić się i krzyknąć w stronę Baltimore, niskich gór i całej drogi do Cork: - A niech was!

Dojechałam! Jestem w domu! No, złapcie mnie!

Wyspowa chmura spowija słońce i temperatura od razu spada.

Wyskakuje mi gęsia skórka.

Żeby tylko mogła na początek spędzić trochę czasu z Johnem i Liamem.

Łódź zwalnia i perkocze. Billy wprowadza „St Fachtnę” do portu.

Tej nocy, kiedy Stany Zjednoczone zainscenizowały swoje „wyprzedzające uderzenie”, urządziłam w swoim domku nie planowane przyjęcie. Daniella, najbystrzejsza z tegorocznych doktorantów odbywających staż w Light Box, włączyła wiadomości satelitarne, tylko żeby dowiedzieć się o pogodę, ale minęło sześć godzin i nadal patrzyliśmy, dłubiąc bez apetytu w zimnym jedzeniu. Z Paryża zjechał tu Alain, a z Hongkongu przyjaciel Johna o imieniu Huw. W telewizji pokazywali nocny horyzont płonącego miasta w Zatoce.

Reporter CNN z grzywką nie swoich włosów rozmawiał z młodym pilotem. - Tak jest, no nie widziałem, żeby nawet czwartego lipca wszystko było tak rozświetlone!

- Słyszeliśmy o chirurgicznej precyzji uderzeń raketowych i że zawdzięczamy je technologii Homer Quancog.

- Tak jest, mając Homery, można trafić w szyb windy. Chłopcy w centrum kontroli wpisują do programu plany budynków, a ty sobie siedzisz i pozwalasz, żeby rakieta myślała za ciebie. Niech maluchy walą w dziury! Dokładnie w szyby wind!

Alain aż rozlał wino. - *Putain!* Zaraz nam powie, że rakiery skaczą po bagietkę i wyprowadzają pieska.

Jakiś generał obwieszony medalami komentował z waszyngtońskiego studia. - Dla Amerykanów wolność jest prawem podstawowym. Dla wszystkich. Technologia Homer to rewolucja w prowadzeniu działań wojennych. Możemy wymierzyć dotkliwy cios

tym nikczemnym dyktatorom, dotknąć ich do żywego przy minimalnych zniszczeniach i stratach wśród ludności cywilnej, którą tyranizują.

Z Clear Island zatelefonował John. - To nie wiadomości, to sprawozdanie sportowe.

Tyle filmów nakręcono o zaawansowanej technice wojennej, że teraz ta technika tworzy film.

Tu chodzi o ulokowanie produktu. Czy dwa dni temu ktokolwiek słyszał o rakietach Homer?

Ogarnęło mnie uczucie obrzydzenia. Wbiłam zęby w kostki palców.

- Tak... słyszałam już o tym.

- Mo, kochanie. Nic ci nie jest?

- Nie. John. Oddzwonię.

Materiał BBC. Ulica rozjaśniona przez pożary i światła karetek. „Film ocenzurowany przez siły nieprzyjaciela” - przewinał się przez ekran napis. Reporter - Irlandczyk z Północy - przystawiający mikrofon Arabowi, którego twarz lśni od potu czy krwi, a może od jednego i drugiego. - Powiedz mi! Zapytaj swoich, dlaczego zbombardowano fabrykę pożywienia dla dzieci? Powiedz mi!

Cięcie.

Z powrotem studio i szczegółowe analizy ekspertów. Daniella zasnęła, więc przykryłam ją kocem. Do kominka podrzuciłam polano.

- „Wyprzedzające uderzenie” - powiedział Huw - oznacza zapewne, że nie wypowieda się wojny, dopóki nie ma się ustawionych kamer.

Poczułam znużenie. Spojrzałam przez zasłonę na noc i góry, Mleczna Droga i wymizerowany średniowieczny uczonec

odwzajemniający moje spojrzenie. Ależ cię wyniosło, Mo. Brak mi już elastyczności. Matka, będąc w twoim wieku, była już wdową. Jak daleko jeszcze cię wyniesie? Poczułam chłodne szczygnięcie szyby w koniuszek nosa.

Słyszysz wodospad za łąką u podnóża góry?

Trzy tysiące mil stąd siły wolności i demokracji wykorzystywały owoce swoich najświetniejszych umysłów, żeby w ruinach budynków zmiążdżyć takich ludzi jak Liam czy Daniella. No i patrzemy na płonące gruzy i strzelające płomienie. Gratulacje, Mo. To twoje życie.

- No, ale chore zoo zrobiliśmy z tego świata.

Alain usłyszał, ale nie zrozumiał. - Żadne zoo nie wybija własnych zwierząt.

Mgła mojego oddechu pokryła cały widok. - Z wyjątkiem naszej klatki i gdy tracimy panowanie nad sobą.

Billy postawił mnie zamaszystym ruchem na kei z głośnym „taram!”, że aż się zakołysałam, gdy dotknęłam nogami brzegu. Prawie słyszałam, jak mi się kruszą kości.

Mógłby to być dzień wyjazdu. Rząd łodzi rybackich: „Dun an Oir” Mayo Davitta, „Oilean na nEan” Daibhiego O’Bruadaira, „Abigail Claire” Scotta, przemalowana na niebiesko-żółto,

„The South's Gonna Rise Again” Reda Kildare'a, z którą nie sposób się rozstać, wymagająca bardziej niż kiedykolwiek kapitalnego remontu, sterty sieci, beczek z ropą, plastikowych skrzynek. Chuderlawe koty chodzące swoimi ścieżkami. Na wyspach wewnątrz widać z zewnątrz. Wszystko leży tam, gdzie padło. Zrobiłam głęboki wdech. Przesycona zapachem ryb morska woda, słodko - kwaśna woń owczego łajna i swąd dymów z silników łodzi.

- Mo! - Ojciec Wally na swoim trójkołowcu przy szopie na ostrygi. Bernadette Sheehy polewała wodą z węża kosze z homarami - w minispódniczce i gumowych butach.

Pomachała do mnie, uśmiechając się. - Mo! Wracasz w samą porę! Przywiozłaś nam cudowną pogodę. Bo od samego rana lało.

- Ojciec Wally! Jesteś okazem zdrowia. - Co za rozkosz rozmawiać znowu po celtycku.

- Ludzie po osiemdziesiątce przestają się starzeć. Bo wtedy starzenie przestaje mieć sens. Co ci się stało w oko?

- Miałam czołowe zderzenie z taksówką w Londynie.

- Jaką miałaś podróż?

- Istnieje chyba jakiś łatwiejszy sposób na złapanie taksówki. Nawet angielskiej.

Roześmialiśmy się i spojrzałam w jego niebiesciuchne oczy czterolatka. Oczy, jakież to cudowny organ. Ile oczy ojca Wally'ego widziały...

Łomot strachu - werbel...

Czyżby Teksanńczyk już tu był i werbował miejscowych? Miał więcej pieniędzy niż wszystkie siedemdziesiąt hrabstw republiki razem wzięte.

Mo, uspokój się! Ojciec Wally chrzczył twoją matkę. Przy stoliku w głębi salonu rozgrywano ciągnące się całymi latami partie szachów, które stanowiły świadectwo jego przyjaźni z Johnem. Skoro zaczniesz wątpić w mieszkańców Clear Island, to już przegrałaś z Teksanńczykiem.

- Podróż? Jeśli mam być szczerą, to trochę wyczerpująca, ojciec. Cześć, Bernadette.

Miejscowa królowa piękności podeszła. - Dzień dobry, Mo. Z daleka?

- Dalej niż zwykle.

- Przegapiłaś najlepszy letni jarmark. Przyjechali wszyscy z Ballydehob, Schull i jeszcze Baltimore. A we mnie zakochał się Hans, Norweg, miłośnik ptaków. Pisze do mnie co tydzień.

- Napisał dokładnie dwa razy - powiedziała siostrzyczka Bernadette, Hanna, gramoląc się z rozpadającego się kosza, aż spryskana wodą z węża uciekła z piskiem do szopy - Cześć - odpowiedział ojciec Wally. - To był wspaniały jarmark. I boska pogoda na Regatach Fastnet. Chociaż znowu wzywano ratowników z Baltimore. Wywrócił się kata-maran. Może przyjedziesz w przyszłym roku na regaty? - Mam nadzieję. Naprawdę. - A Liam wróci do Clear przed końcem weekendu, Mo? Bernadette była jeszcze nadto niewyrobia, by dobrze dawać obojętność. Okręcała wokół małego palca pukiel losów, nie zwracając uwagi na to, w którą stronę kieruje szlauch.

Żeby tylko. - Lepiej, żeby nie. To sam środek jesiennego trymestru.

Ojciec Wally spojrzał na mnie z lekkim zdziwieniem. Czyżbym coś nie tak powiedziała? - No dobra, Mo. Nie każ mężowi czekać.

- Jest w domu?

- Godzinę temu był. Wpadłem, żeby wyrwać moją wieżę z jego kleszczy.

- Wobec tego na razie cześć, ojciec Wally. Bernadette.

- Uważaj na siebie.

- Nauka to gra - jak lubił mawiać dr Hammer, mój opiekun w Queen's. - Stawką są jej tajemnice. Błędy to szulerzy. A naukowcy to frajerzy.

Niels Bohr, wielki duński fizyk kwantowy, lubił mawiać: „Błędne jest mniemanie, że zadanie fizyki polega na odkryciu

sposobu istnienia natury. Fizyka zajmuje się tym, co możemy o naturze powiedzieć".

Zwodnicza, oparta na przypuszczeniach historia mojego kraju nie obejmuje analizy tego, co rzeczywiście się wydarzyło: jest analizą analiz dokonywanych przez historyków. A historycy mają swoje upodobania, tak samo jak fizycy.

Wspomnienia to potomkowie przebrani za przodków teraźniejszości.

Pamiętam promienie słońca sączące się przez świetlik w biurze Heinza Formaggio.

Sceneria monumentalna. Góry okalające Jezioro Genewskie połyskiwały zmiętym fioletem i srebrem. Nad brzegiem jeziora, pod romantyczną budowlą ogrodową zwieńczoną miedzianym kurkiem, ogrodnik przypominający ogrodowego krasnala przycinał dywanik trawnika. Merkury spłynął z marmurowego postumentu w swoim skrzydlatym hełmie.

Heinz przedstawił Teksańczyka jako pana Stolza. Na kanapie leżał kapelusz o pojemności dużego wiadra. Teksańczyk zdjął okulary przeciwsłoneczne i spojrzał na mnie nie uzbrojonymi w osłony oczyma.

- Twoje odejście - wywodził Heinz - oznaczałoby wycofanie się na rozstrzygającym etapie. Jesteś na ostatniej zmianie w sztafecie, Mo. To nie jest dorywcza robota, z której możesz sobie ot tak zrezygnować.

- Ależ mogę. I wczoraj zrezygnowałam. Przeczytaj list jeszcze raz.

Heinz dobroduszny: - Mo, rozumiem wszystkie blaski i cienie życia w zamkniętych ośrodkach badawczych. To szczególne środowisko. Ja sam mam chwile wątpliwości. Jestem pewien, że

pan Stolz także. - Teksańczyk tylko patrzył, - Ale to przechodzi. Błagam, żebyś odłożyła tę drastyczną decyzję o miesiąc lub dwa.

- Ja już podjęłam tę drastyczną decyzję, Heinz.

Heinz osłupiał: - Dokąd zamierzasz pójść? Co z Liamem i stypendium, które od nas dostaje? Tysiąc okoliczności przemawia za tym, żeby wszystko gruntownie rozważyć.

- Wszystko zostało już rozważone. A edukacja mojego syna nie wymaga waszych pieniędzy.

Heinz moralny szantażysta: - Skaptowali cię, co? Cała czołówka jest narażona na pokusę lepszych propozycji, Mo. Co daje ci prawo do takiego egoizmu? Do kogo przechodzisz?

- Zamierzam uprawiać rzepę w hrabstwie Cork.

- Niepotrzebnie się silisz na dowcipy. Light Box ma prawo wiedzieć. W kwietniu urządzenia CERN-u mamy tylko dla siebie. Dane z supercollidera w Saragossie mają nadejść w przyszłym tygodniu. To wszystko mogłoby otworzyć drogę przed Quancogiem. Dlaczego właśnie teraz? Westchnęłam. - Wszystko jest w liście.

- Czy naprawdę uważasz, że Light Box prowadzi badania dla zabawy?

- Nie. Naprawdę uważam, że Light Box prowadzi eksperymenty wyłącznie dla agencji kosmicznych. Temu właśnie, jak wiemy, ma służyć poznanie kwantowe. A potem wybucha wojna, a ja dowiaduję się, że mój skromny wkład do globalnej wiedzy zostaje wykorzystany w rakietach powietrze - ziemia, które zabijają ludzi tylko dlatego, że nie są dość biali.

- Musisz być taka melodramatyczna? Granica między cywilnymi a militarnymi zastosowaniami techniki kosmicznej zawsze była sprawą subiektywną. Nie możesz tego nie zauważać, Mo. Tak kręci się świat.

- Przez cztery lata wciskano ludziom bzdury i nagle ci ludzie dowiadują się, że przez cztery lata wciskano im bzdury, więc chcą wiedzieć. Nie możesz tego nie zauważać, Heinz.

Tak kręci się świat.

Teksańczyk poruszył się i kanapa skrzypnęła. - Panie Formaggio, to oczywiste, że dr Muntervary ceni sobie precyzję. - Perorował ze swobodą człowieka, któremu nigdy się nie przerywa. - To do mnie przemawia. Jako zwolennik Quancogu sądzę, że mam szersze spojrzenie. Mogę pomówić z panią na osobności?

Retoryczne pytanie.

Gdy piełam się uliczką pod górę, w oknie sklepu Prastarego O'Farella cofnęła się chuda twarz i rozplynęła w mroku. Sklep nie miał godzin otwarcia i zamknięcia, ale żona Prastarego nigdy nikogo nie przyjmowała, o ile nie było przy niej Prastarego lub ich syna, Starego O'Farella. Jeszcze gdy byłam dzieckiem, główny ład budził w niej podejrzenia.

Podejrzane wydawało się jej samo jego istnienie, a dotyczyło to zarówno Brytanii, jak i rozpościerającego się za nią świata. Baltimore - z tym że istnieje, mogłaby się jeszcze zgodzić. Ale poza Baltimore świat był tak samo nienamacalny, jak fale radiowe.

Gdy nie było zarówno Prastarego, jak i Starego, wchodziło się po prostu do sklepu, samemu obsługiwało i zostawiało pieniądze w pudełku po butach. Przystanęłam dla chwili wytchnienia w bramie prowadzącej do łąki O'Driscolla. Słowo daję, za każdym razem, gdy przyjeżdżam na wyspę, ta górka robi się coraz bardziej stroma. Na plaży, tam gdzie kończyła się porastająca wydmy trawa, dwie damy w czarnych pelerynach zbierały to, co wyrzuciło morze. Poruszały się jak wrony. Spojrzały na mnie w jednym momencie i pomachały. Moya i Roisin Tourmakeady! Odwzajemniłam pozdrowienie.

Kiedyś byliśmy przekonani, że obie są wiedźmami i że przez nie powstają wiry. Na strychach ich domów mieszkały i pewnie nadal mieszkają sowy.

Niebezpieczny był pomysł z tym powrotem, Mo. Szybko tu dotrą. I tak cud, co prawda drobny, że tak daleko dotarłaś, a to dzięki wygodnej niezależności systemów komputerowych Aera Lingusa.

Niebezpiecznie było wracać, ale nie wracać się nie dało.

Ciepłe słońce, gęsty mech na murze z kamieni, kołyszące się paprocie.

Na Clear Island są tylko trzy motocykle i mieszkańcy łatwo mogą rozpoznać każdy z nich po silniku. Podjechał Red Kildare, z przyczepką, ale bez pasażera. Zsunął gogle na czoło.

- Pozwolili ci wrócić, Mo? Z niezłym limem paradujesz.

- Red. Wyglądasz jak czarnoksiężnik na wypowiedzeniu. Tak, dobiega końca mój kontrakt na pozycji obrońcy w drużynie narodowej.

Red Kildare, podobnie jak John, nie był rodowitym mieszkańcem Clear. Po raz pierwszy przybył jako „napływ” w latach sześćdziesiątych, kiedy próba założenia kolonii wolnomyślicieli zainspirowana przez filozofię Timothy'ego Leary'ego skończyła się tak jak w przypadku Timothy'ego Leary'ego: pozostał jedynie Red, jego świnie, kozy i parę zwariowanych opowieści. Codziennie więc pomaga Johnowi i doi w Aodhagan Feynmana, płaci kozim serem i dba o ogródek warzywny. John twierdzi, że jak na razie to stąd do Kuby nikt nie uprawia lepszej marihuany. A po celtycku Red mówi już lepiej ode mnie.

- Parę dni temu myślałem o tobie, Mo.

- Naprawdę?

- Tak... - Martwy nietoperz spadł z nieba do moich stóp.

- Miło mi słyszeć, że ktoś o mnie pamięta, mimo że wyjechałam, Red.

Z powrotem założył z trzaskiem gogle. - Muszę pogadać bez ogródek o Daibhim O'Bruadairze. Uważaj na siebie.

Podkreślił rączkę przepustnicy i jego archaiczny Norton ruszył z rykiem, wyrywając ze snu śpiącego w przyczepce prosiaka, który wdrapał się na siedzenie i zaraz spadł z powrotem.

O tym, że Heinz Formaggio jest wściekły, świadczyło jedynie stłumione trzaśnięcie drzwiami.

Patrzyliśmy na siebie z Teksańczykiem przez szerokość biura. Karzeł w ogrodzie nadal strzygł trawę. Już prawie powiedziałam „remis”, ale najczęściej tak bywa, że mam już coś powiedzieć, a nie mówię. - Naprawdę musisz być kimś ważnym, skoro możesz tak sobie odprawić Heinza z jego własnego biura.

- Obawiałem się, że on jako dobry dyrektor zacznie ciskać na panią gromy.

- Heinz ciska gromy tak, jakby karę chłosty wymierzał liśćmi sałaty.

Sięgnął do kieszeni koszuli. - Pozwoli pani doktor, że zapalę?

- W Light Box nie ma zakazu palenia.

Zapalił, wysypał zawartość miseczki z drobiazgami na folder Light Box i zrobił sobie z niej popielniczkę. - Słyszałem kiedyś dowcip na swój temat: ni z cukierniczki, ni z sol-niczki, a do popielniczki.

- Proszę mi wybaczyć, ale panu nie ufam. Uśmiechnął się i odparł, że to, czy mu ufam, czy nie, nie jest aż takie ważne. - Pani doktor, jestem Teksańczykiem. Czy pani wie, że Teksas przed

przystąpieniem do Unii był niezależną republiką?

- Owszem.

- My, Teksańczycy, jesteśmy dumnym plemieniem. Chlubimy się tym, że jesteśmy dobrymi strzelcami. To postrzelajmy. Pentagon domaga się ukończenia Quancogu.

- Śmiało możecie kończyć.

- Tylko Light Box jest w stanie tego dokonać. I oboje wiemy dlaczego. To znaczy, wiemy kto. Ośrodek Badawczy Light Box ma Mo Muntervary.

- Akurat od wczoraj nikt nie ma Mo Muntervary. Wypuścił pióropusz dymu i obserwował jego kłęby. Gdyby to było takie proste...

- To jest proste.

- Królowie mogą sobie abdykować, gliniarze piorunem się zwijać, dyrektorzy zespołów badawczych trzaskać drzwiami, kiedy im się żywnie podoba i wypadać jak burza, a wszyscy pozostali mogą się wypiąć. Ale pani doktor nigdy nie będzie mogła opuścić boiska.

Takie są fakty i musi to pani zaakceptować.

- Czy wyraża się pan do końca jasno? Bo nie za bardzo rozumiem to, co słyszę.

- Wobec tego wyrażę to inaczej. Light Box jest jedynym instytutem badawczym na rynku. Syndykaty w Rosji, Indonezji, Afryce Południowej, Izraelu i Chinach wyłapują naukowców takich jak pani. Powstała nowa konfederacja państw arabskich, które naprawdę nas nie lubią. Istnieją trzy niezależne wojskowe firmy konsultingowe, które chcą mieć technologię poznania kwantowego, a jedna z nich należy do naszych brytyjskich kuzynów.

Rynek robi się zatłoczony i bezwzględny. Pentagon chce panią

prosić, żeby pani z nami pracowała. Nasi mniej demokratyczni rywale panią zmuszą. W jakikolwiek sposób i gdziekolwiek by się pani ukryła, i tak zostanie pani wytropiona, a pani umiejętności wykorzystane, czy się to pani podoba, czy nie. Czy teraz mówię wystarczająco jasno, pani doktor?

- A w jaki sposób ktoś może mnie „zmusić”?

- Porywając pani chłopaka i przetrzymując w betonowej klatce, dopóki nie da pani tego, czego się od pani oczekuje.

- To nie jest ani trochę zabawne.

Podniósł aktówkę i położył ją sobie na kolanach. - Dobrze. - Ze szczękiem otworzył zatrzaski. - Oto akta z fotografiami i informacjami na temat technik stosowanych przez łowców głów. Niech pani je zweryfikuje, korzystając z własnych kanałów: pani przyjaciele z Amnesty w Dublinie będą znali nazwiska. Niech pani to później przejrzy - podał mi akta - ale dopiero po jedzeniu. Jeszcze jedno. - Rzucił mi mały czarny cylinder wielkości kasety z filmem. - Niech pani to nosi przy sobie.

Spojrzałam na spoczywający na moich kolanach przedmiot, ale nie wyciągnęłam ręki.

- Co to?

- To sygnalizator zagrożenia zaprogramowany na odcisk pani kciuka. Otwiera się pstryknięciem jak zapalniczkę. jeśli naciśnie pani przycisk, jeden z naszych ludzi będzie przy pani w ciągu czterech minut.

- Dlaczego niby miałabym wierzyć w te bzdety? I dlaczego akurat ja?

- Nowy Światowy Ład to stara śpiewka. Wojna triumfalnie znowu powraca - nie żeby kiedykolwiek zniknęła z horyzontu - a naukowcy, ludzie tacy jak pani, wygrywają wojny dla generałów,

ludzi takich jak ja. A gdy poznanie kwantowe połączy się ze Sztuczną Inteligencją i technologią satelitarną tak, jak to pani zaproponowała w swoich ostatnich pięciu tekstach, wówczas istniejąca broń jądrowa będzie mniej więcej tak groźna jak deszcz piłeczek tenisowych.

- A skąd ci upiorni łowcy głów wiedzą na temat moich badań w Light Box?

- Stąd, co my wszyscy. Stare dobre szpiegostwo przemysłowe.

- Nikt mnie nie porwie. Niech pan posłucha. Jestem w średnim wieku. Tylko Einstein, Dirac i Feynman poczynili poważniejsze odkrycia, będąc po czterdziestce.

Teksańczyk zdusił papierosa i z powrotem wrzucił drobiazgi do miseczki. - Wielu ludzi wlaźłoby pani do dupy i gdybym uznał, że to cokolwiek da, również i ja bym to zrobił.

Ale proszę uważnie posłuchać. Kompletnie nie znam się na pani matrycowej mechanice, na kwantowej chromodynamice ani na tym, w jaki sposób nicość przemienia pani w coś za pomocą energii pożyczonej znikąd. Ale też wiem, że nie więcej niż dziesięciu żyjących ludzi jest w stanie przemienić Quancog w rzeczywistość. Sześciu z nich mamy obecnie u siebie, w Saragossie, w zachodnim Teksasie. Proponuję pani pracę. Tej jesieni zamierzamy tam przenieść całość programu Quancog realizowanego przez Light Box i zaproponować pani szereg zwykłych w takich razach zachęt. Ale pani swoim listem z rezygnacją wymusiła nasze przeciwdziałanie.

- Dlaczego miałabym pracować dla was? Wasz prezydent to drobny krętacz.

- Nie trzeba być jajogłowym, żeby się domyślić. Ale komu wolałaby pani dać Quancog, biorąc pod uwagę wszystkich drobnych krętaczy, którzy współcześnie trzymają palce na guzikach?

- Quancog w zastosowaniu militarnym? Nikt nie powinien czymś takim dysponować.

- Niech pani jedzie do Teksasu. Ze wszystkich agencji, które chciałyby widzieć panią u siebie, tylko nasza uszanuje pani sumienie oraz prawa Johna Cullina i pani syna Liama. Pani doktor widzi we mnie wroga. Jakoś to przeżyję. W moim świecie określenie wroga i przyjaciela zależy od kontekstu. Proszę zrozumieć, zanim będzie za późno, że jestem po pani stronie.

Rozejrzałam się za Merkurym.

- Ten zawsze mi się podobał - powiedział Teksasńczyk, śledząc moje spojrzenie. -

Żył zgodnie ze swoim rozsądkiem.

Szyld pubu „Zielony Lud” kołysał się i skrzypiał. Maisie oparta o kamienny mur obserwowała morze przez teleskop. Brendan krzątał się gdzieś po drugiej stronie przy grządkach warzywnych. Szpakowate włosy Maisie całkiem już zbielały.

- Dzień dobry, Maisie.

Odwróciła się, kierując teleskop w moją stronę i aż otworzyła usta. - A niech mnie!

Mo Muntervary wróciła, żeby nas straszyć! Widziałam, jak ktoś w takim zabawnym kapeluszu wysiada z „St Fachtny” - opuściła okular - ale myślałam, że to jakiś miłośnik ptaków przypląnął po gęś Thewickera. Cóż to ci się stało w oko?

- Uderzył mnie zbłąkany elektron w laboratorium. - Jeszcze jak sięgałaś mi do kolan, zawsze na coś wpadałaś. Brendan! Chodź i zobacz, kogóż to dzisiaj mamy! No, a dlaczego nie przyjechałaś na letni jarmark?

Przykuśtykał Brendan. - Mo! Tym razem przywiozłaś nam piękną pogodę! John zeszłej nocy zalewał pałę guinnessem, ale

nawet nie pisała, że wracasz. O jasny gwint, ale limo! Przyłóż na to stek!

- Nie chciałam robić zamieszania. Ale te róże to jak z obrazka! Jak ci się udało zmusić to kapryfolium, żeby pod koniec października tak rosło jak szalone?

- Obornik! - odpowiedziała Maisie. - Dobry i świeży, krów Bertiego Crowa, no i pszczoły.

- Weź sobie rój, Mo, kiedy już się usatkuje. Troszcz się o pszczoły, a pszczoły zatroszczą się o ciebie. Żebyś ty widziała tegoroczną fasolkę wielokwiatową! Cudna, prawda Brendan?

- Tak, wyszła dość dobrze, Maisie. - Uważnie obejrzał główkę swojej fajki z derenia, tej samej, którą palił od pół wieku. - Widziałas się ze swoją mamą w Skibbereen, Mo?

- Tak.

- I jak tam?

- Dobrze się czuje, ale już tak nie kojarzy. Ale tam, gdzie jest, nie może sobie przynajmniej zrobić krzywdy.

- To i prawda - Maisie odczekała, aż upłynie chwila ciszy. - Za bardzo spadłaś z wagi, Mo. Myślałam, że w Szwajcarii objadasz się fondue i czekoladami Toblerone.

- Podróżowałam, Maisie. Dlatego schudłam.

- Ani chybi cykl wykładów? - w oczach Brendana błysnęła duma.

- Tak można by to nazwać.

- Żeby tak twój tata cię dzisiaj widział! - Maisie szybciej się połapała, że odpowiadam półsłówkami. - No nie stój tak przy tym murze. Wejdz i opowiedz nam o szerokim świecie.

Brendan zamachał starczymi rękami. - Maisie Mickledeen, pozwól naszej chrześniaczce złapać oddech, zanim zaczniesz ją raczyć likierem. Mo na pewno chce stąd iść prosto do Aodhagan.

Szeroki świat może poczekać te parę godzin.

- No to wpadnij później, Mo, czy w ogóle. Chłopak Eamonna O'Driscolla przychodzi z akordeonem, a ojciec Wally urządza posiady po wyjściu ostatniego gościa.

Posiady u „Zielonego Luda”. Byłam u siebie. - Maise czy posiady nie wymagają jakiejś szczególnej nocy, skoro właściwie zamykasz w przepisowej porze? Specjalnie czekać na wyjście ostatniego gościa?

- Przestań już z tą swoją logiką, Mo! Jesteś z powrotem na Clear. A tutaj tylko owce, ryby i pogoda. Bądź tak dobra i zostaw tę swoją względność w Baltimore. A jak John przyniesie swoją harfę, to otworzę butelkę kilmagoonu. Uważaj na siebie.

- Mowleen Muntervary, ty niesforna ośmiolatko! Diabły cię będą w piekle smagały pokrzywami, aż na tyłku wyskoczą ci krostki, które będziesz drapała do krwi! Chcesz tego?

Moje wspomnienie o pannie Thorpe grawituje w stronę oglądanego pod mikroskopem roztocza żyjącego w brwiach. Połyskująca, najeżona, wielooka. Dlaczego nauczyciele w szkołach podstawowych to albo anioły rodem z sióstr Bronte, albo Dickensowskie wiedźmy?

Czy dlatego są albo czarne, albo białe, że same wykładają czarno na białym?

- Zadałam ci pytanie, a nie usłyszałam odpowiedzi! Czy chcesz zostać potępioną na wieki kłamczuchą?

- Nie, panno Thorpe.

- Wobec tego powiedz mi, jakim cudem te brudne łapska poradziły sobie z testami z matematyki?!

- Sama je zrobiłam!

- Jedyną rzeczą na świecie, której nie znoszę bardziej od małych zmyślających chłopców, są małe zmyślające dziewczynki! Będę

zmuszona napisać do twojego ojca, że jego córka jest obłudną żmiją!
Będzie wstyd na całą wioskę!

Też mi groźba. Żaden mieszkaniec Clear Island nie potraktuje poważnie nauczyciela, który nie mówi po celtycku

Historie z tymi opiniami nauczycielki ciągnęły się aż do dziewięcącego gimnazjum w Cork. Kiedy tata wracał pod koniec tygodnia, odczytywał je na głos mamie ze śmiesznym angielskim akcentem, który odbierał nam chęć do śmiechu. - To niepojęte, żeby twojej córce udało się uczciwie zrobić wszystkie zadania na tym egzaminie. Oszukiwanie to poważne wykroczenie...

Tata był pracownikiem stoczni jachtowej i przez cały tydzień kursował między Cork a Baltimore, nadzorując prace i zawierając umowy z nabywcami aż z Dublina. Zakochał się w mojej matce, dziewczynie z Clear Island, i wziął z nią ślub w kościele św. Ciarana, którego udzielił im ksiądz w średnim wieku, nazywany ojcem Wally.

W tamtych czasach dzieciaki ze szkół podstawowych pobierały nauki po angielsku i po celtycku - w przenośnym baraku w porcie. Starsze płynęły na pokładzie „St Fachtny” do szkoły w Schull, która miała własne planetarium. Panna Thorpe wyjechała do biednych, obrabianych na wsze strony krajów Afryki, żeby propagować tam swoje manichejskie zasady.

Teraz w budynku starej szkoły Bertie Crow trzyma siano.

I to właśnie można zobaczyć przez okno: siano.

Powiedziałam Teksańczykowi, że przez weekend przemyśle jeszcze moją rezygnację.

Pojechałam do banku i wypisałam czek na taką sumę w dolarach amerykańskich, że aż urzędnik - na czas sprawdzania - zaprosił mnie na kawę na zaplecze. Kiedy jechałam z powrotem do

swojego domku, przyłapałam się na tym, że co piętnaście sekund zerkam we wsteczne lusterko. Początki paranoi ani chybi często objawiają się w formie wstrętnej gry.

Zadzwoiłam do Johna, żeby zapytać, jaką ma radę: - Cienka sprawa - odpowiedział John. -

Ale powinnaś się zdecydować - przeszedł na celtycki. - Weź dodatkowy urlop naukowy i postaraj się przyjechać do Clear na moje urodziny. -John zazwyczaj kamufluje swoje rady. -

I pamiętaj, że bardzo cię kocham.

Prędko się spakowałam. Na stole zostawiłam kartkę do Danielli z prośbą, żeby zajęła się moimi książkami i kwiatkami. Wyposażenie, takie jak domek i samochód, należały do Light Box. Niezbędne twarde dyski przekopiowałam na CD, a resztę wykasowałam i rozpuściłam całe zoo moich najbardziej złośliwych wirusów. Mój prezent pożegnalny dla Heinza.

Jak się znika? Miałam na koncie znikanie części, ale sama jeszcze nigdy nie znikałam. Musiałam spojrzeć na siebie oczyma tych, którzy mnie śledzą, znaleźć miejsca, których nie widzą, i tam się przenieść. Zadzwoiłam do biura podróży, z którego usług zwykle korzystałam, i zarezerwowałam lot do Petersburga za trzy dni, niezależnie od kosztów, opłacany kartą kredytową. Puściłam e-maila do jedynej strony internetowej w Gwinei Równikowej z informacją, że Operacja Ser ma zielone światło. Wyszłam na spacer i spotkałam belgijską ciężarówkę z jogurtem, do której wrzuciłam mój cylindryczny sygnalizator zagrożenia.

Potem usiadłam w oknie i do samego wieczoru patrzyłam na wodospad.

Kiedy zrobiło się ciemno, ruszyłam w długą drogę na północ berlińskim autobahnem.

Zaczęło się.

Środek ścieżki porastały polne kwiaty. „Zagroda Aodhagan” - obwieszcział napis wymalowany przez Liama. Pod spodem kołysał się kolejny, wymalowany przeze mnie: „domowe lody”. Pianek drzemie w jesiennym słońcu. Okna w domu pootwierane. Na ganku żółty kapelusz rybacki, konewka, smycz i obroża Plancka, gumki, rzędy garnków z ziołami.

Wychodzi John: jeszcze mnie nie usłyszał. Idę do warzywniaka. Feynman dostrzega mnie i pobekuje. Schroedinger wskakuje na skrzynkę na listy, żeby lepiej widzieć. Pianek, zanim zacznie szczekać, wali ogonem. Leniwy nicpoń.

Tu jest kres mojej podróży.

John odwraca się. - Mo!

- A kogo innego się spodziewasz, Johnie Cullin?

Trzask zasuwki w mroku. Siadam na łóżku. Gdzie, u licha, jestem? Zrywam się roztrzęsiona. Co to za sufit, co za okno? U Huwa? Pokoik hotelowy w Pekinie? Hotel Amex w Petersburgu i trzeba się śpieszyć na prom? Helsinki? Czarny notes! Gdzie czarny notes?!

Tylko powoli, Mo, powoli... zapomniałaś o czymś, zapomniałaś coś zabezpieczyć. Deszcz bębni w szybę, grube odciski pozostawione przez europejski deszcz. Gładkie krawędzie, nieskazitelna czystość, dzwoneczki wietrzne, poznajesz te dzwoneczki, cc, Mo? Bok wciąż obolały od siniaków, ale to znak, że się goi.

Na dole ktoś śpiewa Van Morrisona *The Way Young Lovers Do*, ale tak Van Morrisona może śpiewać tylko jeden znany ci człowiek i z pewnością nie jest to Van Morrison.

Ogarnęło mnie uczucie błogości, uczucie zapomniane.

A czarny notes leży na toalecie, tam gdzie go położyłaś ubiegłej

nocy.

Po stronie Johna widniało tylko wgłębienie w kształcie Johna. Wcisnęłam się w nie, najprzytulniejsze miejsce na Ziemi. Szarpnięciem stopy otworzyłam zasłony. Pośepne niebo - nie warto jeszcze wstawać.

Kiedy zrobiłam się taka roztrzęsiona? Tej nocy, gdy wyjeżdżałam z Berlina? A może po prostu się starzeję, a moje narządy coraz bardziej szwankują, aż w końcu jeden z nich powie: - Wsiadam! - Z powrotem rzuciłam się płasko na płyciznę snu. Rozbrzmiał samotny róg, z jednej z moich gramofonowych płyt, statek towarowy wypływa z Morza Irlandzkiego, dżonka pamięci przemierza port Kowloon. Okrążyliśmy zachodni przylądek Sherkin Island, mój czarny notes i ja, i wreszcie po trwającej dwanaście tysięcy mil podróży dostrzegam kres. Czyżby czekali tu na mnie? Aż tutaj pozwolili mi dotrzeć. Nie dzięki sobie samej tu dotarłam. Poduszka Johna, John, poduszka, jasiek, Święty Jan, haszysz, dym, mahoniowy pot, i telepiące się moje serce, ciągnące wagony, trawiaste równiny pojawiają się i giną, rok za rokiem, całymi latami, Custard z Kopenhagi, uodporniony na samotność, wypatrujący przez okno, ciekawe, co mu się stało, co się im wszystkim stało, drążę ciekawość, która jest istotą materii, a każdy z nas zagubioną cząstką, nieskończoność parkowych ścieżek, jedne pewne, inne nie, a żadna z nich naprawdę realna, dopóki nie wiadomo, czym realność jest i dlaczego tak trwała materia zawiera tak przestraszliwe przestrzenie nicości, nicości, nicości...

Technika to sfera powtarzalnych cudów. Choćby podróże lotnicze. Trzydzieści tysięcy stóp pod kadłubem niesionym przez wypełnione próżnią skrzydła rozpościera się Rosja spowita we wczesny poranek. Tor pociągnięty za pomocą zwichrowanej linijki

biegnący przez zaśnieżone wzgórza i mroczne jeziora.

Moi współpasażerowie nie mają pojęcia o siłach, które ożywiają materię i niosą myśl.

Nie wiedzą, jakim sposobem nasz boeing 747 za sprawą swojej prędkości zwiększa naszą masę i spowalnia czas, podczas gdy odległość dzieląca nas od środka ciężkości Ziemi sprawia, że czas biegnie szybciej w porównaniu do tego, jaki przeżywają ci wszyscy, którzy śpią w mijanych przez nas wiejskich domach. Nikt z nich nie słyszał o poznaniu kwantowym.

Nie mogę zasnąć. Czuję, jakby skóra naciągnęła mi się i zmięła. Do samolotów zabieram ze sobą kalkulator dla zabicia czasu. Ten jest masywny, wypożyczony przez Alaina z paryskiego laboratorium. Może wykonywać działania do piętnastu miejsc po przecinku. Dla zabicia czasu obliczam prawdopodobieństwo, że jest nas trzystu sześćdziesięciu pasażerów.

Pracochłonne. Zajmuje mi to całą drogę do Kirgistanu.

Byle tylko oderwać się od myśli o najbliższej przyszłości. Obok mnie śpi Chinka w wieku szkolnym, wracająca do Hongkongu. Jest to mniej więcej ten wiek, gdy młode kobiety szczęśliwie przemieniają się w piękne łabędzie. Mo Muntervary w swoim czasie przemieniła się w pryszczatego obzartucha. Teraz jestem obzartuchem pomarszczonym. Na ekranie film o dinozaurach, dokonująca się w milczeniu przemoc. W gardle mi zaschło od krążącego w zamkniętym obiegu powietrza. Czuję, że zbliża się ból głowy. Tajemnicze błyski, sceneria wypełniona zębami. Gdzie słońce? W którą stronę obraca się Ziemia? W co znowu, u licha, się wpakowałam?

Obudziłam się po raz drugi. Kroki wibrowały na krawędzi snu. Tym razem dokładnie wiedziałam, gdzie się znajduję. Jak długo?

Dwie minuty czy dwie godziny? Najprawdziwsze kroki, biegnące po żwirze, miarowe i stanowcze, nieustępliwe. Uniosłam ciut, ciut zasłonę i zobaczyłam człowieka biegnącego truchtem przez tunel mżawki, prosto do Aodhagan.

A niech to. Mój syn jest mężczyzną. Czułam dumę, a zarazem irytację. Rozchyliły się poły jego kurtki. Ciemne dzinsy, buty, niesforne włosy po ojcu. Feynman, żując, przyglądał się z wybiegu, a Planck podskoczył, machając ogonem.

- Mo! - John krzyknął z dołu. - Jest Liam! Trzasnęły drzwi. Liam niezmiennie zamyka drzwi jak małe słońiatko.

Włożyłam na siebie obszerny jak peleryna szlafrok Johna. - Schodzę! A, John?

- Co?

- Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin, zaświerzbiony piracie!

- Nigdy nie miałem szczęśliwszych!

Huw otworzył drzwi i uściskał mnie, nie przestając żuć chińskiej rzodkiewki. - Mo!

Już jesteś! Przepraszam, że nie mogłem wyjść po ciebie na dworzec... Gdyby tylko John odpowiednio wcześniej mnie uprzedził, inaczej ułożyłbym sobie dzień.

- Witaj, Huw. Żeglowało się gładko, dopóki nie dotarłam do twojego domu.

Myślałam, że czwarte piętro oznacza trzecie. Albo trzecie, czwarte. Tak czy inaczej, twój sąsiad mnie uświadomił.

- W Hongkongu nigdy nic nie wiadomo do końca. Numeracja brytyjska, amerykańska czy chińska, nawet mnie się wszystko miesza. Wejdz, odłóż torbę, napij się herbaty, weź kąpiel.

- Huw, sama nie wiem, jak ci za to dziękować.

- Daj spokój. My, Celtowie, musimy trzymać się razem. Jesteś moim pierwszym gościem, zaraz coś na poczekaniu wymyślimy. Chodź obejrzeć swoją kwaterę. Obawiam się, że nie umywa się do twojego domku...

- Domku mojego byłego pracodawcy...

- Twojego byłego pracodawcy. No i jesteś! U siebie. Brudny i ciasny, ale własny.

Jeśli CIA nie wciągnie na swoją listę płac karaluchów, to nigdy cię nie znajdzie.

- Moje skromne doświadczenie podpowiada mi, że CIA ma sporo karaluchów na swojej liście płac.

Pokój nie był ani brudniejszy, ani ciasniejszy niż dziesiątki laboratoriów, w których pracowałam. Była rozkładana kanapa, na którą w każdej chwili mogłam się walnąć, pocziwy Huw, biurko, półka z książkami, które mogłyby mnie pogrzebać przy lada trzęsieniu ziemi i wazon ze sterczącymi jak flamingi orchideami. - Toaleta jest naprzeciwko, a jak staniesz na klozecie i obrócisz się, będziesz miała wspaniały widok na port w Kowloon.

Wilgotno tam było jak w pralni. Po obu stronach podłóg, ścian i sufitów życie wrzało.

Kamienica czynszowa po drugiej stronie ulicy znajdowała się tak blisko, że wydawało się, iż ramy okienne mają wspólną szybę. Zgrzytające tramwaje, pierzchający drobiazg, a gdzieś tam wielka pompka do roweru ciągnęła do góry i z sykiem opadała na dół.

Los naukowca, który kieruje się sumieniem. - Bez zarzutu, Huw. Mogę korzystać z twojego komputera?

- Ze swojego komputera - powiedział z naciskiem Huw.

Ogień w kuchennym piecu świsnął i strzelił. Spojrzeliśmy z Liamem po sobie, nie wiedząc nagle, co począć. Stopami czułam

chłód płytek. Tak długo pielęgnowałam myśl o tym ponownym połączeniu, a teraz tylko bym patrzyła i patrzyła. Pamiętałam Liama jako małego skrzata, pamiętałam dorastającego młodzieńca, jakim był ostatniego lata, z meszkiem na górnej wardze, a teraz widziałam typa, na jakiego wyrósł w ciągu dziesięciu czy dwudziestu miesięcy. Po lecie spędzonym w najlepsze w Dublinie włosy miał zrobione na żelu, do tego kolczyk w uchu i kwadratową szczękę.

- Mamo... - odezwał się głosem, który zdążył nabrać barwy fagotu.

- Liam... - odezwałam się w tej samej chwili tonem fletu, który zapał falsetem.

- Na miłość boską, jedno i drugie - powiedział pod nosem John.

I nagle wszystko było w porządku. Liam pierwszy uściskał mnie z całych sił.

Odwzajemniłam się jeszcze mocniejszym uściskiem, tak że aż oboje jęknęliśmy, ale to nie dlatego chciało mi się płakać. - Miałeś podobno być na uniwersytecie, symulancie. Kto dał ci pozwolenie, żeby tak wyrosnąć pod moją nieobecność?

- A tobie, mamo, kto pozwolił pod moją nieobecność włóczyć się Bóg wie gdzie, niczym James Bond? A kto ci to zrobił w oko?

Spojrzałam na Johna ponad ramieniem Liama. - Punkt dla ciebie. Przepraszam.

Zrobił mi to rycerz w lśniącej zbroi. Ale wybaczyłam mu. Wyciągnął mnie spod kół taksówki.

- „Punkt”, słyszałeś, tato, jak mama to kwituje? Szturchnęłam go po bokach ciosami karate. :

- A ja nie doczekam się przeprosin? - biadolił John.

- Zamknij się, Cullin - powiedziałam - jesteś tylko ojcem i nie

masz żadnych praw.

- To w takim razie już pójdę, zlecę z urwiska i zostawię was oboje.

- Wszystkiego najlepszego! Tato! Przepraszam, nie mogłem wrócić na noc.

Zatrzymałem się u Kevina w Baltimore.

- To przez twoją mamę. Zadzwoiła dopiero wczoraj rano z Londynu.

- Nie mogę nic jej zrobić. Trzyma mnie w uścisku.

- Więc będziesz musiał poczekać, aż puści.

Puściłam Liama. - Zdejmij płaszcz i usiądź przy kominku. Aż się lepisz od mgły. I nie mów mi, że przez te śmieszne symulatory przemoczyłeś nogi. A teraz opowiadaj o uniwersytecie. Czy Knyfer McMahon nadal jest dziekanem? O czym piszesz pracę na pierwszym roku?

- Nie, mamó, nie! Nie widziałem cię od pół roku i słyszałem tylko głos z taśmy.

Gdzie ty byłaś i co ty robiłaś? Powiedz jej, tato!

- Johnie Cullin, czy nauczyłeś swojego syna, żeby pytaniami odpowiadał na pytania starszych i mądrzejszych?

- Musisz po prostu poczekać, aż przejdzie. Zresztą, jestem tylko ojcem. Herbaty?

Liam pociągnął nosem. - Proszę.

Planck uganiał się wkoło, nerwowo machając ogonem.

Podczas pierwszego tygodnia w Hongkongu zrobiłem bardzo niewiele. Gubiłem się i odnajdywałem, i znowu gubiłem w bocznych drogach, wiaduktach i tunelach. Czwarta część świata gnieźdząca się na paru milach kwadratowych. Huw miał rację. Gdyby nie połączenia komputerowe, pewnie nie dałoby się mnie

wyśledzić. Ale po Szwajcarii czułam się tak, jakbym wylądowała awaryjnie na obcej planecie, gdzie prywatność i spokój były raczej kwestią przypadku, a nie praw. - Pożegnaj się z subtelnościami - radził Huw - i naucz się rozstrzygać w pamięci to, czego nie umiesz załatwić poza nią.

Postarałam się o fałszywy brytyjski paszport, za jedyne pięćdziesiąt dolarów amerykańskich. W telewizji oglądałam wojnę. Broń analizowano, reklamowano i zapowiada-no: Scud kontra Homer, Batman kontra Joker. Wojny „wygrywano” o wiele wcześniej, zabezpieczano zapasy ropy, ale i tak nie w tym rzecz. Chodziło o przetestowanie w warunkach bojowych skuteczności rozwiązań technicznych oraz o upłynnienie wielkich zapasów.

Tworzący nędzne armie poborowi, rekrutowani z wrogich mniejszości etnicznych, występowali w roli szczurów laboratoryjnych. Szczurów laboratoryjnych Quancogu. Moich szczurów laboratoryjnych.

Nagrałam na taśmie siebie i odgłosy Hongkongu, i wysłałam pocztą do Johna: przez Siobahn w Cork, ciotkę Johna, Trionę w Baltimore, Billy'ego, ojca Wally i tym sposobem do Johna. Modliłam się, żeby nikt jej nie wykrył, żeby przeszła jak niewidzialny dla radaru ślimak.

Nieoczekiwanie Huw został wysłany do Petersburga, więc zostałam tam sama, nikomu nie znana, bez pracy, z pudełkiem studolarowych banknotów ukrytym w zamrażarce pod torebkami z groszkiem. Mój plan ucieczki powiódł się aż za dobrze. Nie nawiązuje ze mną kontaktu żaden kidnaper, chyba tylko po to, żeby wpaść na pogawędkę. Czyżby Teksasńczyk blefował? W Saragossie chciał mnie tylko nastraszyć?

I teraz co?

Pragniemy wyjaśniać naturę i w tym celu budujemy modele, lecz te modele zamykają dobijającą się naturę i wypędzają pierwotnych mieszkańców. Kiedy prowadziłam wykłady, większość moich studentów była przekonana, że atomy rzeczywiście są trwałymi cząstkami wyposażonymi w jądra, wokół których, jak wokół gwiazd, krążą elektrony. Kiedy powiedziałam im, że nikt nie wie, czym jest elektron, spojrzeli na mnie tak, jakbym powiedziała, że Słońce jest arbuzem. Mogło się zdarzyć, że jakiś bardziej odczytany podniósł rękę i powiedział: - Ależ pani doktor, czyż elektron nie jest falą wyposażoną w ładunek prawdopodobieństwa?

- Przyjmijmy w takim razie - lubię z upodobaniem odpowiadać - że wolę wyobrażać to sobie w kategoriach tańca.

Czterdzieści lat temu, w odległości dwóch mil od Zagrody Aodhagan. Szpara w deskach podłogi na piętrze jaworowego domu. Gdy już mnie położono do łóżka, czasami od-wijałam dywan i zaglądałam na dół do salonu. Moja mama w białej sukience i hodowlanych perłach, i tata w czarnym garniturze. Na gramofonie obraca się nowa płyta na siedemdziesiąt osiem obrotów, prosto z Dublina.

- Nie, nie, nie, Jacku Muntervary - gdera mama - masz dwie lewe nogi. Słoniowe.

- *Chinatown, my Chinatown* - trzeszczy gramofon.

- Spróbujmy jeszcze raz.

Ich cienie tańczą na ścianach.

No, ale co teraz?

Przecież nadal byłam fizykiem, nawet jeżeli nikt oprócz mnie tego nie wiedział.

Pomysł podpełzał i ujawnił się, gdy na rynku targowałam się o cenę grejpfrutów. Różowe grejpfruty, różowe jak świt. Rozebrać

poznanie kwantowe na czynniki pierwsze i przebudować, uwzględniając nieokreśloność, zamiast starać się ją wykluczyć. Zanim zapłaciłam za owoce, do drzwi dobijały się już pomysły na wzory. W sklepie z artykułami do pisania kupiłam oprawny w czarną skórę notes, usiadłam obok kamiennego smoka i zabazgrałam osiem stron obliczeniami, zanim zdążyły mi się rozsypać i przepaść.

W ciągu następnych dni i tygodni moje zabiegi straciły na intensywności, ale zyskały na regularności. Wstawałam około pierwszej w południe i jadłam *dim sung* w restauracji po przeciwnej stronie alei. Właścicielem był stary albinos. Siadałam w kącie, trzymając w ręku

„The Economist”, *Poradnik prawniczy*, książkę kucharską Delii Smith, zresztą to, co akurat poniewierało się w mieszkaniu Huwa. W dniach szczęścia pucybut, który *de facto* był listonoszem obsługującym naszą kamienicę, przynosił zaadresowaną na Huwa kopertę z warstwą folii z taśmą od Johna. Przesłuchiwałam ją w kącie tej restauracji na walkmanie Huwa, bez końca. Czasami John nagrywał nowe kompozycje albo wersety swoich nowych wierszy. Czasami po prostu nagrywał gwarne noce w „Zielonym Ludzie”. Czasami owce, foki, skowronki, turbiny wietrzne. Gdy tylko Liam był w domu, były i nagrania od niego.

Letni jarmark. Regaty Fastnet. Rozkładałam mapę Clear Island. Te taśmy uchylały wieka tęsknoty za domem, trajkotały zapisaną treścią, ale zawsze u spodu zawierały pociechę.

Pod koniec popołudnia siadałam przy rozklekotanym biurku i zaczynałam tam, gdzie skończyłam w godzinach rannych. Pracowałam w odosobnieniu: mailowanie do choćby garstki ludzi, którzy mogliby pomóc, było zbyt niebezpieczne. I to było

wyzwalające: nie musieć odpowiadać przed Heinzem Formaggio i innymi kretynami. Miałam wieczne pióro mojego ojca, pudełko płyt CD zawierających dane ze wszelkich eksperymentów w laboratoriach cząstek elementarnych, jakie kiedykolwiek przeprowadzono, oraz sprzęt komputerowy za tysiące dolarów kupiony od pewnego sikhijskiego dżentelmena, bardziej zaradnego niż dział zaopatrzenia Light Box. W porównaniu z Keplerem, który wykreślił dwie elipsoidy Marsa zaledwie za pomocą gęsiego pióra, było mi łatwo.

Były i niedogodności. Musiałam porzucić mechanikę matrycową na rzecz liczb wirtualnych, a skazana na niepowodzenie próba połączenia paradoksu Einsteina-Podolskiego-Rosena z modelem behawioralnym Cadwalladra opóźniła mnie o całe tygodnie. Był to w moim życiu czas największej samotności. Jak szachiści, pisarze czy mistycy wiedzą, podążanie za intuicją zmusza do wejścia w głęboki las. Mijały całe dni, gdy tylko wpatrywałam się w parę unoszącą się z mojej filiżanki albo w plamy widniejące na ścianie, albo w zamknięte drzwi. Mijały całe dni, zanim w parze, w plamach czy w zamku u drzwi odkryłam kolejny ślad.

Do lipca wszystkie tropy Einsteina, Bohra i Sonady miałam za sobą.

Czarny notes zapełniał się. , ...

Mówiłam i mówiłam. Grzanka Liama całkiem wystygła. Przeleciał helikopter. Co myśli Liam?

Czy: „Dlaczego nie mogę mieć normalnych rodziców?” A może: „Czy ona nigdy nie skończy?”

- Czy moja mama jest wariatką?

Przygnębia mnie to, że nie umiem czytać w myślach mojego syna. Choć z drugiej strony nic dziwnego. Ma już osiemnaście lat. A

ja znowu przegapiłam jego urodziny. Gdzie będę w jego następne urodziny?

- No, nie przerywaj. Dochodzisz do najlepszego momentu.

Wielka siła zatrzymująca protony jąder odbijających się od siebie; słaba siła powstrzymująca elektrony od zderzania się z protonami; elektromagnetyzm, który sprawia, że planety świecą i umożliwia gotowanie obiadów; i grawitacja, która jest największa w samej Ziemi. Przed pojawieniem się czasu wszechświat w porównaniu z dzisiejszą średnicą miał rozmiary orzecha, a te cztery siły tworzyły statut materii, czy to w jądrze Syriusza, czy to w elektrochemicznych szlakach w mózgach studentów siedzących w sali wykładowej w Belfaście. Znudzeni, uważni, śpiący, rozmarzeni, siedzący w kolejnych rzędach. Pogryzający długopisy bądź słuchający tego, co mówię.

Materia jest myślą a myśl materią. Wszystko, co istnieje, daje się zsyntetyzować.

Lato. Huw na ogół wraca późno w nocy, żeby urwać parę godzin snu przed powrotem do biura. Firmy ubezpieczeniowe pobankrutowały, co miało swoje reperkusje. Niekiedy mijał tydzień, a my, zauważając jedynie ubywanie pasty do zębów, ledwie zdawaliśmy sobie sprawę, że istniejemy. Ale za to w niedziele zawsze ubieraliśmy się i wychodziliśmy na kolację do jakiejś drogiej, ale zacisznej restauracji. Wolałam nie ryzykować spotkania z jego kolegami. Kłamanie jest umiejętnością, której nigdy nie opanowałam.

Często pracuję przez całą noc. Hongkong nigdy tak naprawdę nie cichnie, a tylko słońce wyłącza się na parę godzin. Chrapanie Huwa, wołający o pomstę do nieba łoskot z zakładów w Kowloon wyzyskujących siłę roboczą, ta wielka pompka do roweru, oko

elektrycznego wiatraka i skrzydła ćmy na ekranie wprowadzającym w kwantową matematykę wrażliwości.

Trzy ostre stuknięcia do drzwi Johna i pułapka się zatrzaskuje. Podskoczyłam, rozlewając herbatę, i skuliłam się na progu przygotowana do ucieczki - dokąd? - Tylko jedne drzwi - musiałabym skakać z drugiego piętra i uciekać przez łąki. Wspaniały pomysł, Mo. Na zwichnięcie stawu biodrowego. Liam nie wiedział, co się dzieje. John kalkulował i mój strach napotkał twarde opór jego sił obronnych.

- W porządku, mamó... - zaczął Liam.

- Ciii! - przecięłam z sykiem powietrze.

Liam wyciągnął w moją stronę dłonie, zupełnie jakby uspokajał przestraszone zwierzę. - To ojciec Wally, Maisie albo Red przyszli, żeby wydoić Feynmana...

Potrząsnęłam głową. Jeżeli w ogóle by zapukali, to tylko raz i po prostu by weszli.

- Kto dzisiaj rano był z tobą na pokładzie „St Fachtny”? Jacyś Amerykanie?

Kolejna seria stukania. - Halo? - Kobieta. Nie Irlandka, nie Angielka.

Położyłam palec na ustach i na palcach podeszłam po schodach. Skrzypnęły.

Usta przy skrzynce na listy. - Dzień dobry. Jest ktoś w domu?

- Dzień dobry - odezwał się John. - Chwileczkę...

Wślizgnęłam się do sypialni i szukałam jakiegoś miejsca, żeby ukryć czarne notes.

Gdzie, Mo? Pod materacem? Zjeść go?

Usłyszałam, że John otwiera drzwi. - Przepraszam, że tak panią trzymam.

- Nie ma sprawy. Przepraszam, że niepokoję. Idę do tego rzędu kamieni zaznaczonego tu na mapie. Czytanie mapy nigdy nie było moją mocną stroną.

- Rząd kamieni? Kaszka manna. Proszę się cofnąć na podjazd, skręcić w lewo i iść zgodnie z oznaczeniem do mostu Roe'a. Cały czas aż do końca drogi. I wtedy już pani zobaczy. Chyba że mgła ma inne plany.

- Stokrotne dzięki. Fatalny ten deszcz, co? Zanosi się na to, że do domu wrócę już zimą.

Że też John jest taki spokojny? - A gdzie ten dom? W Nowej Zelandii?

- A jakże! Zatoka Halmfoon, Wyspa Stewarta, na południe od Wyspy Południowej. Zna pan?

- Nie mogę powiedzieć, że znam. Obawiam się, że pogoda rządzi się tu swoimi prawami. Tropikalne opady, deszcze żab... Ale później wichry, jak zapowiadali wcześniej w rybackiej prognozie. Zima za pasem.

- Takie moje szczęście. Np, ale ma pan cudnego psa! On czy ona?

- Ona. Planck.

- Jak plankton?

- Nie, jak fizyk, który odkrył, dlaczego można siedzieć przy ogniu, a mimo to nie zostaje się spalonym przez promienie ultrafioletowe.

Nerwowy śmiech. - A, jasne, ten Planck. Łagodne bydłatko, jak na wyspiarskiego psa.

- Takie ma zajęcie. Jest moim psem przewodnikiem. Typowe skrępowanie.

Odprężyłam się. Prześladowca wiedziałby o Johnie. Chyba że ta jest dobrą aktorką. Zaniepokoiłam się.

- To znaczy, że jest pan...
- ...jak nietoperz. A właściwie trochę bardziej niż nietoperz. Bo nie mam sonaru.
- Psiakrew... a ja... przepraszam.
- Nie trzeba.
- No to lepiej już pójdę do tych kamieni. Zanim je wichury zdmuchną.
- Nie ma się co śpieszyć. Są tam od trzech tysięcy lat. Proszę uważać na siebie.
- Do widzenia. Jeszcze raz dzięki. Obserwowałam, jak schodzi podjazdem. Raczej młoda kobieta o czerwonych włosach i w cytrynowym płaszczu przeciwdeszczowym.
- Obejrzała się przez ramię, a ja odskoczyłam od okna. Czy zauważyła trzecią filiżankę po kawie?
- Słyszałam, jak Liam i John rozmawiają na dole przyciszonymi głosami. Patrzyłam, jak z Calf Islands nadciąga mgła.
- Niebo nad Mount Gabriel groźnie pociemniało. Przyrządzaliśmy z Liamem mięso duszone z późną ogrodową brukwią. John stroił harfę. Mięso bulgotało w rondlu.
- Liam rozkruszył kostkę rosółową. - Co zamierzasz zrobić, mammo?
- Dodać jeszcze trochę czosnku.
- Przecież wiesz, o czym mówię. Zjawią się tu po ciebie? - Tak, chyba tak.
- I zamierzasz z nimi iść? - Nie wiem.
- Dlaczego wróciłaś do Clear, skoro wiesz, że cię tu wyśledzą?
- Ponieważ musiałam was obu zobaczyć.
- Musisz mieć plan.
- Jakie widzisz rozwiązania?

Liam mówił zupełnie jak mój ojciec. - Raz. Spalić czarny notes i poznanie kwantowe zamienić w popiół. Zmienić nazwisko na Scarlett O'Hara, uprawiać fasolę i do końca życia zajmować się pszczołami, i pielęgnować nadzieję, że CIA jest za głupia, żeby szukać cię w miejscu twojego urodzenia. Dwa. Resztę życia spędzić na wędrówce z plecakiem po ciepłych krajach, nosić sandały i farbowane w ciapki spodnie. Trzy. Wyruszyć do Teksasu i zamieszkać w miejscu, którego nie ma na mapie, zyskać ogromny prestiż i fortunę, przyspieszając o pięćdziesiąt lat nowy wyścig zbrojeń, a z synem i mężem spotykać się wyłącznie pod eskortą, która będzie stanowić gwarancję, że nie uciekniesz.

Liam zręcznie siekał cebulę. - Tak, to trudne pytanie.

Kowloon gotował się, wrzał i parował. Moje równanie wirtualnego nieokreślenia sprawdzało się. Mój pomysł prowadzenia spokojnego życia na wygnaniu nie mógł się utrzymać.

Pamiętam moment, kiedy to się skończyło. Na ekranie pojawił się gekon. Błyskał językiem niczym prądem elektrycznym. Witaj, małeńka formo istnienia gwiazdowego kompostu, czy wiesz, że także twoje jaszczurcze życie powieliła się w miliardy za pomocą kwantowych nożyc, papierów i kamieni? Że twoje cząsteczki istnieją w zanurzonej w czasie gęszczu małych zawracających w nieskończoność kolistych mostków, pod którymi przechodzą ciągnące się bez końca otwory. Że wszechświat ma kształt pączka z dżemem i że gdybyś miała wystarczająco potężny teleskop, mogłabyś dostrzec koniuszek swojego ogona?

Obchodzi cię to?

Męski krzyk rozbrzmiał znikąd i eksplodował śpiewnym dialektem kantońskim. O dwie oktawy wyżej włączyła się kobieta. Przewracane meble grzmotnęły. Zakołysał się abazur w moim

pokoju.

- Co to, kurwa, było? - Huw po omacku wciągnął swoje bokserki a la szalony kaczor, włożył okulary pana Krecika i przewrócił indonezyjski zestaw perkusyjny. - Kurwa mać.

Strzał z pistoletu! Podskoczyłam, jakby walnęło w mojej kieszeni. - Słodki Jezu!

Mdlące wrażenie, że to po mnie. Ścisnęłam zębami kostki palców.

Grzmot runął po schodach na łeb na szyję - i ucichło. Słysząc było przynajmniej trzy odgłosy kroków. Huw chwycił kij do bejsbolu. Ja - gipsowy posążek Johna Coltrane'a, z zimną krwią uprzytamniając sobie, że jeszcze nie zdarzyło mi się tak znieruchomieć. Na szczęście dla nas grzmot przetoczył się niżej. Huw podszedł do okna, lecz instynktownie go odciągnęłam. W jego oczach malowało się zdumienie. - Kurwa mać - powiedział po raz trzeci. Jedyne przekleństwa, jakie kiedykolwiek od niego słyszałam.

Brodawka na moim kciuku rozrastała się. Zadzwoił telefon. Zostawcie mnie w spokoju. Zostawcie mnie.

John był najbliżej. - Halo? Zrobiło mi się sucho w gardle.

- Tamlin...

Tamlin Sheehy. Uspokój się, Mo. Żadnych już dzisiaj gości na Clear Island.

- Tak. Liam przywiązał plandekę. Nie będą mieli nic przeciwko. Dzięki za pamięć.

Ona, tak? Dobra, uważaj na siebie...

John osłonił dłonią słuchawkę. - Ej, kochasiu, Bernadette chce sobie popaplać.

- Tato! Ona jest koszmarna! Ani mi się waź!

- Nie gnij tak. Kuisz egzotyka. Byles w Szwajcarii. John usmiechnal sie przekornie i odparl do sluchawki.

- Chwileczke, Bernadette, juz podchodzi. Bral prysznic. Juz sie wyciera i...

Liam ni to warknal, ni to syknal i przeniosl sie z telefonem do holu, przycinajac drzwiami kabel.

Przy kolacji sluchalismy radia.

- Zwróciliście uwagę - rzucił John - że mówi się o własnych „suwerennych środkach odstraszania jądrowego”, ale o cudzej „broni masowego rażenia”?

- Tak - odpowiedziałam.

Wiatr to wznosił się, to opadał, jak góry nad morzem. Brzęknęło szkło. Liam ziewnął i mnie się ziewnęło. - Jedna partyjka dla ciebie, jedna dla mnie. Nic się Feynmanowi nie stanie?

- Nie. Przycupnął za swoim głazem. A gdzie twój tata?

- W studiu, medytuje.

Liam zaczął składać scrabble. - Znosi się na srogą zimę, Maisie mi mówiła.

Prognoza długoterminowa.

- Maisie? Zainstalowała sobie telewizję satelitarną?

- Nie, pszczoły jej powiedziały.

- A, pszczoły.

Chiński policjant był nadspodziewanie wysoki i uprzejmy. Porucznik ze straży Księcia Walii, wiedział o pracy Huwa. Spisywał w notesie nasze wersje napadu i popijał mrożoną herbatę. Pot, niczym atrament, natrętnie przesiąkał mu przez koszulę.

- Powiedziałbym, że włamywacze chcieli się dowiedzieć, gdzie ukrywa się *guai lo*.

Wasi sąsiedzi powiedzieli, że nie ma żadnych *guai lo*.

- Strzał padł przedtem czy potem? - spytałam.

- Potem. Skłamali, żeby was chronić.

Huw wydał policzki. - Co pan o tym sądzi, poruczniku?

- Są dwie możliwości. Pierwsza. Myśleli, że z mieszkania *guai lo* da się ukraść coś lepszego. Druga. Pan, panie Llewellyn, zajmuje się badaniem kont bankowych wielkich firm.

Może w grę wchodzi jakieś powiązanie z triadami?

- Cudzoziemcy nie zamieszkują w takich dzielnicach, zwłaszcza biali. Zatoka Discovery jest bezpieczniejsza.

Weszłam do kuchni. W kamienicy naprzeciw opuszczano żaluzje, w miarę jak opadało podniecenie. Wszędzie oczy. Oczy, oczy, oczy.

Przypomniałam sobie rozmowę z Teksasńczykiem. Wiedziałam, kim byli „włamywacze” i po co przyszli. Następnym razem nie pomylą brytyjskiego, chińskiego i amerykańskiego systemu numerowania pięter.

Od Szwajcarii nie tykałam pianina. Znośnie wychodziły mi arie z *Wariacji Goldbergowskich*.

Liam wybornie grał *In a Sentimental Mood*.

John na poły improwizował, na poły przypominał sobie. - Tam wrona na murze... tam wietrzna turbina... tam...

- Zupełnie przypadkowe nuty? - zapytał Liam.

- Nie. To muzyka przypadku.

- Wiatr naprawdę się wzmaga! Może jutro także nie będzie żadnych łodzi, mamó?

- Może. To opowiedz mi o uniwerku, Liam.

- Mają kilka świetnych mikroskopów elektronowych. Piszę pracę roczną o supercieczach, gram w zespole na syntezatorach i...

- ...defloruję panienki - wtrącił John z ustami pełnymi kiełbasy.

- Tak twierdzi Dennis.

- To nie fair, mamó - Liam poczerwieniał jak burak. - Raz w tygodniu rozmawia z profesorem Dannanem.

- Tak jak przez ostatnie dwadzieścia lat. Miałbym przestać tylko dlatego, że to twój opiekun?

Liam chrząknął i podszedł do okna. - Wygląda, jakby się zanosilo na koniec świata.

Schroedinger wszedł przez klapkę w drzwiach i rozejrzył się nad wyraz krytycznie.

- Co, kotku? - spytał Liam.

Schroedinger wybrał kolana Johna, żeby tam wyegzekwować należne sobie wyrazy uznania. Sztorm bombardował wyspę.

- Trochę się niepokoję o naszego gościa z Nowej Zelandii. - John podniósł słuchawkę. - Pani Dunwallis? Tu John, Chciałem się tylko dowiedzieć, czy nasz gość z Nowej Zelandii cało i zdrowo wrócił do schroniska... ta pani wpadła tu wcześniej, pytając o drogę do kamieni, a już wiało, więc martwiłem się... Jest pani pewna? No, oczywiście, że pani wie... Nie mam pojęcia. Pani Cuchthlain przy moście Roe'a? Jasne... oczywiście.

- Co się dzieje, tato?

- Żadna Nowozelandka w schronisku młodzieżowym się nie pokazała.

- Bo pewnie była jednodniowym wycieczkowiczem.

- Billy nie ryzykowałby wyprowadzania „St Fachtny” do Baltimore w taką pogodę.

- A więc nadal przebywa na wyspie. Pewnie się schroniła w wiosce.

- Tak. Jest logiczne wyjaśnienie.

Poczułam, jak wszystko ze mnie odpływa. Obawiałam się, że

istnieje nader logiczne wyjaśnienie.

Leżeliśmy z Johnem w oświetlonej blaskiem ognia z kominka sypialni. Liam siedział w wannie, zażywając długiego moczenia po wysłaniu e-maila do dziewczyny w Dublinie, której imienia nie udało się z niego wydobyć. John masował mi stopy, gdy przetoczył się grzmot. Z ognia kominka migotały do mnie sfinksy, twarze i kwiaty. Fizyka i chemia ognia tylko potęgują jego poetyckość. Tak się żyje na Clear Island. Mo, dlaczego tak rzadko przydarzają ci się takie wieczory?

Jestem starym żeglarzem, albatrosem jest mój czarny notes.

- Co mam zrobić, John? Kiedy oni tu wpadną?

- Mo, zajmiemy się tym, kiedy przyjdzie pora.

- Ja nawet nie wiem, czy w ogóle powinnam się opierać.

Trzeciego dnia wiedziałam, gdzie się znajduję, zanim otworzyłam oczy. Czarny notes był bezpieczny. Wczorajsze sztormy dawno przeszły i poranne słońce prześwietlało zasłony, kończąc dwudziestosześciminutowy rekonesans po wzbudzalnych elektronach na siatkówce mojego oka. Żwawy wiaterek, widne niebo i cienie chmur przemykające po Roaringwater Sound i trzech wyspach Calf Islands. Planck czekał. Tysiące arabskich dzieci skakało do morza, para z sykiem ulatywała z ich opalenizny. Hałas na schodach sprawił, że się odwróciłam. W drzwiach stał Teksańczyk. Odbezpieczył pistolet i wycelował go w czarny notes, a potem we mnie. - Musimy ponownie uruchomić Quancog, pani doktor. - Puścił do mnie oko i pociągnął za spust.

Leżę tak od dwudziestu minut, starając się uspokoić. Poranne słońce prześwietla zasłony.

Oczy Johna poruszyły się pod powiekami, dostrzegając coś, czego ja dostrzec nie mogłam.

Nasz zupełnie pierwszy wspólny poranek w tym domu, w tym pokoju, w tym łóżku, był naszym pierwszym porankiem jako męża i żony. Dwadzieścia lat temu! Brendan zbudował łóżko, a Maisie wymalowała u wezglowia michałki. Pościel była od pani Dunwallis, która poduszki wypełniła puchem z własnych gęsi. Sama Zagroda Aodhagan była prezentem ślubnym od Cath, ciotki Johna, która razem z ciotką Trioną zamieszkała w Baltimore. Bez elektryczności, bez telefonu, bez zbiornika na ścieki. Jaworowy dom moich rodziców nadal stał, ale krokwie i deski w podłodze zdążyły już przegnić, a my nie mieliśmy pieniędzy, by cofnąć zniszczenia.

Oprócz Aodhagan mieliśmy jeszcze harfę Johna, mój doktorat, pakę z książkami, które pochodziły z biblioteki mojego ojca, furę płytek i wapno do bielienia przyciągnięte z portu przez konia Freddy'ego Doiga. Pracę na Uniwersytecie Cork rozpoczynałam dopiero w semestrze jesiennym. Od tamtej pory nigdy już nie czułam się tak wolna i wiem, że już nigdy się nie poczuję.

Na dole w kuchni zadzwonił telefon. Zostawcie mnie, zostawcie mnie w spokoju.

Ku memu zdziwieniu Liam był już na nogach i odebrał, zanim odezwał się trzeci dzwonek. - O, cześć, ciociu Maisie... Tak, nie uwierzysz, ale jeszcze leżą w łóżku, w taki dzień. Lenistwo czy co? Uniwersytet świetnie... Która? Nie, to stara historia, ukrećilem jej łeb parę tygodni temu... Nie, nie dosłownie. Dobrze, powiem im, kiedy zwloką się na dół. Dobra.

Nie budząc Johna, wyszłam. Pokuśtykałam na dół- skrzypiały i schody, i moje kostki.

- Dzień dobry, pierworodny.

- Jedyne. To ciocia Maisie dzwoniła. Kazała, żebym ci powiedział „Kilmagoon”.

Czyści pompy w barze, ale potem pojedzie do Minnaunboy, żeby ostrzyć Sylwestra. Wichura zdmuchnęła ustęp Nicky'ego O'Driscolla, a Maire Doig złapała monstrualnego węgorza.

Cierpi na niedostatek plotek. Wyspałaś się?

- Jak pies.

Zapadło milczenie i Liam zbierał się, żeby coś powiedzieć.

- Mamo, zamierzasz powiedzieć wszystkim o Amerykanach?

- Lepiej chyba nie.

- Kiedy się tu zjawia?

- Nie mam pojęcia.

- Prędzej czy później?

- Nie mam pojęcia.

- To kiedy spróbujemy się gdzieś ukryć?

- Ty wracasz na uniwersytet, chłopcze. -A ty?

- Jak już bystro zauważyłeś, nie jestem Jamesem Bondem. Nie mogę się bez końca ukrywać. Amerykanów mogłabym się nie obawiać jedynie w miejscach niebezpieczniejszych niż Saragossa. Mogę tylko czekać, aż się zjawia.

Liam zgarnął łyżeczką trochę mleka i czekał, aż spłynie do filiżanki.

- Przecież nie mogą tak sobie uprowadzić obywatelki Irlandii! A do tego nie jesteś byle kim. To byłby incydent na skalę międzynarodową. Media zrobiłyby wielką aferę.

- Liam, to najpotężniejsi ludzie na tej planecie i chcą dobrać się do tego, co mam w głowie i w swoim notesie. Ani prawo międzynarodowe, ani radio BBC nie będą miały nic do gadania.

Liam zmarszczył czoło, jak zwykle, gdy ogarniała go złość. - Ale... jak mamy w ten sposób żyć? Mamy po prostu siedzieć i czekać, aż cię dopadną?

- Żebyś umiała ci odpowiedzieć, kochanie.

- To nie fair!

- Nie fair.

Nogi jego krzesła zgrzytnęły i wstał. - Niech to wszystko szlag trafi, mammo!

Nie wiedziałam, co powiedzieć. - Idę nakarmić kurczaki. - Narzucił na pidzamę kurtkę i wyszedł.

Nastawiłam czajnik i odczekałam, aż zagwizdże . Wahadło dziadkowego zegara zgrzytnęło jak wbijający się w ziemię szpadel.

Osiemnaście lat temu leżałam wyciągnięta w swojej sypialni, a Liam torował sobie drogę z mojego łona. Przejściem agonialnym! Nie chciałam rodzić na Clear Island - byłam wykładowczynią-badaczką obznajomioną z nowościami techniki lekarskiej. Tego samego dnia miałam wyjechać do Cork, żeby przemieszkać u Belli i Alaina opodal lśniącego szpitala, w którym była sympatyczna położna z Jamajki, ale Liam miał inny pomysł. Do dzisiaj jest spokojny, dopóki nie zacznie się nudzić. Więc zamiast promiennej siostry oddziałowej miałam matkę, własną sypialnię w Aodhagan, Maisie i obrazek ze św. Bernadetą, jakieś zioła przeciwko czarom, ręczniki i dymiące czajniki. John kopcił na dole papierosy z Brendanem, a pod ręką był jeszcze ojciec Wally ze święconą wodą.

Kiedy już wyszedł, a ja leżałam rozpruta i ból ćmił, Maisie podniosła Liama! Ten obcy pasożyt, połyskujący śluzem? Śmiać się czy płakać. Narodziny nawiedzają identycznie jak śmierć. I nagle wszystko stało się jasne. Moja matka, Maisie, św. Bernadeta i ja połączyłyśmy się na parę chwil, odwlekając czas wielkiego zgiełku. Maisie wykąpała Liama w blaszanej wannie.

Było południe. Czułam się tak, jakbym kołysała małego Apollina.

Liam wbił hak w pyszczek dżdżownicy. Zaczęła się więc, gdy hak wsunął się głębiej.

- Pożuj sobie, moja hermafrodyto, - Jak możesz to robić bez obrzydzenia? Głęboki wdech i głęboki wydech morza.

- No cóż, mamó. Życie jest nie do zniesienia, a potem i tak trzeba umrzeć.

Wstał i zarzucił. Nie widziałam spławika, dopóki nie usłyszałam plusku. Wzrok stanowczo mi się pogarsza.

Foki wygrzewały się na rozlewiskach wśród skał. Samiec powlókł się do morza i na trzydzieści sekund zniknął pod wodą. Trzydzieści jardów dalej wystawił głowę. Przypomni mi się Planck.

- Jako dziewczynka na pewno wędkowałeś z żywą przynętą, co, mamó?

- Na ogół siedziałam w książkach. Prawdziwym wędkarzem w rodzinie była twoja babka. W takie dni, jak dzisiaj, wychodziła na długo przed świtem. Pewnie ci opowiadałam dziesiątki razy.

- Nigdy nie opowiadałaś. A dziadek?

- Przyjemność znajdował w zmyślaniu niestworzonych łgarstw.

- Na przykład?

- Kiedyś powiedział, że Król Cuchulainn dał Nadobnemu Księżciu Charliemu do pilnowania całe swoje złoto, zanim zwariował i zmienił się w trytona. Nadobny Książę Charlie, uciekając przed Napoleonem Bonaparte, ukrył złoto pod kamieniem na Clear Island, więc jak będziemy wytrwale szukać, to na pewno znajdziemy. Szukaliśmy przez całe lato, z bliźniakami Docherty. Aż Roland Davitt wytknął chronologiczne nieścisłości.

- I co powiedziałaś dziadkowi?

- Spytałam, dlaczego skłamał.

- A on co na to?

- Powiedział, że żaden naukowiec nie opiera swoich badań na danych z drugiej ręki, nie sprawdzwszy uprzednio ich wiarygodności w *Encyklopaedia Britannica*, która znajduje się w szkole we wsi.

Powietrze przeciął odgłos motorówki. Spojrzałam przez lornetkę.

- W porządku, mamó. To tylko Daibhi O'Bruadair wybiera więcierze do połowu homarów.

Mo, niech cię tak nie gna! Bóg wie, kiedy będziesz mogła spędzić poranek z Liamem.

Może już jutro, a może za ileś lam lat.

Przez chwilę nie odzywaliśmy się, Liam stał opodal z wędką, a ja wygrzewałam się na ciepłej skale. Wsłuchiwałam się w oddech fal przesączających się przez kamyki.

Deszcz zmywał dachy Skibbereen, wylatywał rynnami z potężnym bulgotem i z pluskiem spadał na chodniki. Dyżurna domu opieki naląła herbaty do chińskiej filiżanki. Na-czynie miało szeroki brzeg, co przyśpieszało wyrównywanie temperatur, oraz uchwyt wielkości mysiej łapki, który sprawiał, że łatwiej było rozlać. - Przykro mi, że siostra przełożona nie mogła osobiście się z panią spotkać... ale goście zwykle zawczasu nas informują o zamierzonych odwiedzinach.

- Jestem tylko tak, przelotem.

Zmierzyłyśmy się nawzajem badawczym spojrzeniem i obie opuściłyśmy wzrok. Już widziałam, jak Teksańczyk mówi do niej: Jestem starym przyjacielem Mo i Johna... jeśli Mo się pokaże, proszę do mnie zadzwonić. Bardzo chciałbym zrobić jej niespodziankę".

Patrzyliśmy na moją mamę.

- Pani Muntervary? Przyszła pani córka. - Przeczuwałam, że głos pielęgniarki brzmiał łagodnie tylko wtedy, gdy odwiedzający przychodzili na herbatę.

Rozejrzałam się po pokoju. - Bardzo tu przyjemnie... - Co za brednie.

- Tak - odpowiedziała pielęgniarka. - Robimy, co w naszej mocy. - Brednia jeszcze większa. - To cóż, zostawię was na momencik. Muszę nadzorować zajęcia z szydełkowania, żeby przypadkiem nie narobiło się kłopotów z szydełkami.

W pokoju wszystko było magnoliowe. Anonimowość jest szara, zapomnienie wpada w odcień magnolii.

Spojrzałam na matkę. Lucy Eileen Muntervary. Czy jesteś gdzieś tam i widzisz nas obie, ale nie jesteś w stanie dać znaku, czy też już cię nie ma. Kiedy odwiedziłam cię pod koniec zimy, byłaś poirytowana. Przypominałaś sobie moją twarz, ale nie to, do kogo należy.

Wigner utrzymuje, że ludzka świadomość powoduje skurczenie się jedyne szczęśliwego świata w jedyny świat możliwy. Czy świat mojej matki jeszcze się nie skurczył?

Czyżby karty już powróciły do talii rozdającego?

Matka zamruwała.

- Mamo... - Ton, jakim zwykło się zwracać w potrzebie do świętych.

- Mamo, jeśli tylko mnie słyszysz... - Teraz ja rozpoczynam seans.

Mo, dlaczego się w to pakujesz?

Niczym jestem bez tych, od których pochodzę, bez miejsca, z którego się wywodzę, mimo że szyb już nie ma, a drzewa iglaste

kołyszą się tam, gdzie powinien być dach. Jakże radzą sobie z tym ci wszyscy przejezdni, szwendający się po świecie, ci wszyscy, wyrugowani ze swych miejsc, wyrzuceni, którzy tak mało wiedzą o swoich korzeniach i tak niewiele ich to obchodzi? Skąd wiedzą, kim są?

Mama zamrugła.

- Pamiętasz, mamó, jak tańczyłaś z tatą w salonie? Wmawiałam sobie, że wsłuchuje się w stukot kropli deszczu na parapecie. Dopóki nie wróciła pielęgniarzka, wpatrywałyśmy się w bukiety rozpryskującej się jak fajerwerki wody.

Po Lios O'Moine nadjeżdża ojciec Wally na swoim trójkołowcu, z habitem trzepoczącym na wietrze. Patrząc, jak zbliża się, powiększa, i przyłapuję się, że obliczam matrycową paralaksę. Machamy do niego. Liam wciąż zajęty wędkowaniem, od czasu do czasu macha ze świstem żyłką. Trójkołowiec już słyszę, zardzewiały zbój. Ojciec Wally zsiada niczym kowboj, staje na pedale i zeskakuje, podczas gdy maszyna jeszcze jedzie, by z hukiem upaść. Twarz od wysiłku i z powodu wiatru czerwona, włosy z powodu wieku cienkie i siwe.

- Dzień dobry wam! Znaczą, że wiatr przetrwaliście. Twoje oko wygląda lepiej, Mo.

Dzwoniłem do Aodhagan, żeby zająć się ocaleniem mojego gońca. John powiedział mi, że tu będziesz. Stare dobre miejsce do oglądania delfinów. Rybki biorą, Liam?

- Jeszcze nie, ojczu. Pewnie dopiero co zjadły śniadanie.

- Rzuć okiem na nasz koc, ojczu. Mam termos z kawą i termos z herbatą.

- Napiję się herbaty, Mo. Kawa jest dobra dla ciała, za to herbata jest napojem duszy.

- Kilka tygodni temu czytałem - powiedział Liam - że metodę

przetwarzania herbaty odkryto przypadkowo, kiedy przewożono ją w ładowniach dalekomorskich kliprów z Indii. Trwało to tak długo, że zielona herbata w skrzyniach zaczynała fermentować. A kiedy je otwierano w Bristolu, Dublinie czy Hawrze, okazywało się, że w środku znajduje się to, co nazywamy dziś herbatą. Ale wszystko zaczęło się od pomyłki.

- Nawet nie wiedziałem - odparł ojciec Wally - tyle rzeczy trzeba by wiedzieć.

Wiele rzeczy dzieje się z powodu pomyłki.

- Pozwolisz, że zostawię cię z mamą, ojciec Wally? Chcę zarzucić trochę dalej. Zdaje mi się, że foki chyba odstraszą ryby.

- Nawet Jezus najpierw zajął się rybami.

Zaraz po włamaniu na górze wiedziałam, że natychmiast powinnam wyjechać. Huw próbował mi to wyperswadować, mówił o zbiegu okoliczności i przesadnych reakcjach, ale żadną miarą nie mogłam wprowadzać tych ludzi do jego życia i on wiedział, że mam rację.

Gdy pakowałam się, rozmawialiśmy szeptem. Uznałam, że próba opuszczenia Hongkongu przez lotnisko jest zbyt niebezpieczna. Huw zaprowadził mnie do dużego hotelu opodal jego biura. Pożegnałam się z moim jedynym przyjacielem na wschód od Jeziora Genewskiego.

Zameldowałam się pod swoim prawdziwym nazwiskiem, a potem taksówką pojechałam do innego hotelu, gdzie zameldowałam się na fałszywy paszport, Następnego dnia przyczaiłam się. W hotelowym biurze podróży dostałam wizę do Chin i bilet na pociąg do Pekinu, z przedziałem tylko dla siebie. Kiedy byłam dziewczynką, marzyły mi się takie podróże. Teraz mogłam marzyć jedynie o ich zakończeniu.

Nazajutrz kontynent azjatycki pochłonie mnie bez reszty.

Siedzieliśmy z ojcem Wallym, sącząc z filizanek herbatę i spoglądając na Liama, który wędkował na przyczółku całego stworzenia. Ku błękitowi północy wznosiła się na półwyspie Mount Gabriel.

- Świetny chłopak - powiedział ojciec Wally. - Twój ojciec byłby z niego dumny.

- Czy wiesz, ojcze, że w ciągu ostatnich siedemnastu lat spędziłam z Liamem tylko pięć lat i dziewięć miesięcy? To zaledwie dwadzieścia sześć procent. Może mam niepoukładane w głowie? Zupełnie jakbyśmy byli z Johnem rozwiedzeni. Nie chciałam, żeby tak było.

Czasami boję się, że pozbawiam go korzeni.

- A wygląda według ciebie na ofiarę takiego pozbawienia?

Całe metr osiemdziesiąt Liama, za sprawą Johna i mnie.

„St Fachtna” przecinała wodę, zmierzając do Baltimore. Staralam się jej nie zauważać.

- Mam herbatniki z pełnego ziarna, ojcze.

- Nie obraż się, ale podziękuję. Pamiętasz dzień, kiedy urodził się Liam?

- Dość zabawne, ale myślałam o tym dziś rano.

- Ochrzcilem w swoim życiu trochę paskudnych dzieciaków, Mo, ale...

Roześmiałam się. - Szkoda, że John nie może go teraz widzieć.

- John widzi teraz lepiej niż większość ludzi. Jest zdeklarowanym ateistą i wije się jak piskorz pod nożem rosyjskiego biskupa, ale ma w sobie cierpliwość Hioba. – Przyjaciół lepszych sobie wybrał niż Hiob.

- Ludzie, na których większość się skarży, przeważnie sami się

nie skarżą.

- John twierdzi, że uzalanie się nad sobą to dla niewidomych pierwszy krok do rozpacz.

- Tak, potrafię to zrozumieć, niemniej jednak...

Ojciec Wally chciał jeszcze coś powiedzieć, więc czekałam, patrząc na flotyllę maskonurów. Po drugiej stronie zatoki, w porcie, suszyła się pościel na wietrze. Przyłapałam się na tym, że obliczam, ile rakiecie Homer wyposażonej w moduł poznania kwantowego zajęłoby określenie miejsca optymalnego ataku - trzydzieści nanosekund. W ciągu ośmiu sekund wzgórze zamieniłoby się w ognistą kulę.

- Mo - zaczął ojciec Wally, składając dłonie. - John nic mi nie powiedział. Ale już to wiele mi mówi. Jest w końcu cały łańcuch ludzi wymieniających się z Johnem taśmami przez cały rok, a wiesz, jak ludzie pochopnie wyciągają wnioski...

- Nie mogę ci powiedzieć, ojcie. Chciałabym, ale nie mogę. Nie mogę nawet ci powiedzieć, dlaczego nie mogę.

- Mo, nie proszę cię, żebyśmy roztrząsali którąś z tych tajemnic poliszynela.

Chciałem tylko powiedzieć, że jesteś jedną z nas, a nasi trzymają się razem.

Zanim zdołałam odpowiedzieć, grzmot maszyny rozdarł powietrze i rozgonił owce.

Myśliwiec. Patrzyliśmy, jak odlatuje na północ. Liam, brodząc, wracał do nas.

- Diabelstwo! - warknął ojciec Wally. - Strasznie ich dużo ostatnio. Na Bear Island ponownie otworzyli dawny teren wojskowy. Oto jesteśmy celtyckim tygrysem i marzy nam się bycie mocarstwem. Czy nigdy się nie nauczymy? Irlandia i mocarstwo. Z

osobna w sam raz, ale jak się połączy, to wszystko zaczyna się paprać, jak, jak...

- Owoce kiwi i jogurt - powiedział Liam. - Gorzkie.

- Potem zachce się nam własnych satelitów, a następnie bomb atomowych.

- Irlandia płaci już składkę na rzecz Europejskiej Agencji Kosmicznej, prawda, Mo?

- Tego wam się chce - powiedział ojciec Wally. - Tkwimy w jednym z najdalszych zakątków Europy, a Clear Island jest ostatnim zakątkiem Irlandii, ale nawet tutaj nas to dopadnie.

Elektrony w moim mózgu kursują zgodnie z kierunkiem czasu i wspak, przeskakują z atomu do atomu, zmieniając elektryczny potencjał; z cząsteczki do cząsteczki, zmieniając związki chemiczne; niosąc bodźce, wywołując zmianę myśli rozstrzygających o tym, czy mam mieć dziecko; wywołując zmianę postanowień, rozstrzygających o tym, czy opuścić Light Box; wywołując zmianę teorii, zmianę technologii, zmianę obiegu informacji w komputerze, wywołując zmiany w sztucznej inteligencji, wywołując zmiany w ustawieniu całych zespołów raket na ziemi, i powodując zawalanie się budynków na ludzi, którzy nigdy nie słyszeli o Irlandii.

Elektrony, elektrony, elektrony. Zgodnie z jakimi prawami działacie?

Drogą z Lios O'Moine nadchodził John z Planckiem.

- Cześć, tato! - powiedział Liam.

- Liam? Złapałeś już coś na lunch?

- Jeszcze nie.

- Osiemnaście lat niańczenia i poświęceń po to tylko by usłyszeć „jeszcze nie”?

Mama jest?

- Obecna. I ojciec Wally.

- To człowiek, którego nam trzeba.

- Żadnej szansy na to, żeby jakąś rybę i kawałek chleba zamienić w śniadanie?

- Przyznaję, że wstąpiłem do Starego po ewentualne zapasy kanapkowe...

- Aha! Mój ci papista!

- Jest dopiero jedenasta trzydzieści - odpowiedział Liam z nutką obrazy w głosie, znowu manewrując wędziskiem.

- Masz czas do południa, synu - powiedział John.

Szliśmy. John trzymał mnie za rękę. Nie musiał, przecież jego stopy znały każdą piędź

Clear Island: dlatego właśnie stale tu wracał, kiedy ślepotą zaczęła go osaczać. Trzymał mnie za rękę, ponieważ wierzył, że w ten sposób poczuję się znowu jak nastolatek. I miał rację. Na jedynym skrzyżowaniu skręciliśmy w lewo. Cisza, w której unosiły się głosy wiatru, mew, owiec i fal.

- Są chmury?

- Tak. Nad Hare Island jest jedna jak galeon. *Cumulonimbus Calvus*.

- Takie jak kalafiory?

- Jak płuca.

- Drzewa kamforowe. Jakiego koloru widzisz?

- Pola w kolorze zielonego mchu. Drzewa nagie, jeśli nie liczyć uczepionych pasożytów. Niebo niebieskie jak morze na mapie. Perłowe, fioletoworóżowe chmury. Morze w kolorze ciemnego butelkowego granatu. Ach, John, jestem kobietą znad Atlantyku. Niech tamci mają ten swój Pacyfik. Gdy znajdę się nad Pacyfikiem, gniję.

- Jedną z najgłupszych rzeczy, jakie ludzie opowiadają o ślepcie, jest to, że jest smutniejsza, gdy kiedyś miało się wzrok i się go straciło. Ja wiem, co to kolor! Czy widać dzisiaj jakieś łodzie?

- „Oilean na nEan”. I piękny jacht zakotwiczony opodal Middle Calf Island.

- Pożeglowałbym.

- Wystarczy tylko słowo.

- Mam chorobę morską. Wyobraź sobie, że jesteś na diabelskim młynie z przepaską na oczach.

- Już wystarczy. - Chwilę jeszcze szliśmy. - Dokąd mnie prowadzisz?

- Ojciec Wally kazał wyremontować stolarkę u Świętego Ciarana. Wszyscy mówią, że teraz to jest coś.

Ostatnie powiewy ciepłego wiatru przed zimą. Hen, hen, wysoko śpiewał skowronek.

- Strasznie się o ciebie martwiłem, Mo.

- Przykro mi, kochanie. Ale dopóki nikt mnie nie odnajdzie, dopóty nic mi nie będzie grozić. A dopóki mnie nic nie będzie grozić, dopóty ty i Liam będziecie bezpieczni.

- Wciąż strasznie się martwię.

- Wiem. A mnie wciąż jest przykro.

- Chciałem tylko, żebyś wiedziała.

- Dzięki. - Czułość, nawet ze strony Johna, sprawiała, że chciało mi się płakać.

- Byłaś jak indywidualny żeński elektron u Heisenberga w zasadzie nieoznaczoności.

- Co masz na myśli?

- Albo znam twoje położenie, ale nie kierunek, albo kierunek, lecz nie położenie. Co to za hałas? Owca olbrzymka?

- Krowy przyczłapały, żeby sprawdzić, czy przyszliśmy je wydoić.

- Dżersejki czy fryzyjki?

- Brązowe.

- Dżersejki Noakesa.

- Dlaczego nie miałabym się tu osiedlić, jak moja matka, i uprawiać fasoli.

- A ile czasu by upłynęło, zanim znowu zaczęłabyś myśleć o tych swoich komputerach dziewiątej generacji?

- No cóż, może napisałabym czasem jakiś tekst, czekając, aż mi fasola wzejdzie.

Zatrzymał się potężny motocykl Reda Kildare'a, sypiąc kamieniami i ziejąc dymem.

W przyczepie siedziała Maisie. - John! Mo! - musiała przekrzykiwać silnik. - Mo! Masz kawałek boczku na tę twoją brodawkę!

Maisie wsunęła mi do ręki zawinięty w aluminiową folię kawałek wielkości kciuka.

- Potrzymaj tym swoją brodawkę przed zmierzchem i zakop, ale nikt inny nie może tego widzieć, bo nie zadziała. Red wydoił Feynmana. Do zobaczenia u „Zielonego Luda”.

Skinęłam do Reda głową, Red odkiwnął.

- Uważaj na siebie. Red! Ściągnij go!

Norton odjechał z rykiem. Maisie zapięła z zachwytem i zatrzepotała rękami niby smok.

Ta sama ławka, ta sama kaplica, Mo, inna i ta sama. Wpatrywałam się w sklepienie i dostrzegłam zarys dna łodzi. Zawsze wyobrażałam sobie tę kaplicę jako Arkę na górze Ararat.

Zapach świeżego drewna, płyt prastarego chodnika i prastarych

modlitewników.

Przymknęłam oczy i przywołałam w wyobraźni matkę, pruderyjną kobietę, i ojca - siedzą obok mnie. I nagle poczułam zapach matczynych perfum, nazywały się „Górska lilia”. Ojciec pachniał tytoniem, oddychał, świszcząc, a jego wielki brzuch wznosił się i opadał. Ścisnął mi rękę, odwrócił się w moją stronę i uśmiechnął. Otworzyłam oczy, nagle rozbudzona. John krzątał się po omacku wokół klawiatury organów, chrząknął i zaczął grać *Bielszy odcieńbieli*.

Belki, drzewce, klucze w witrażach.

- Johnie Cullin! Hymn lat sześćdziesiątych w domu bożym.

- Jeżeli Bóg nie kapuje duchowości Procol Harum, to Jego strata.

- Co zrobisz, jeśli przyjdzie ojciec Wally?

- Powiedz mu, że to *Pastorale e-moll* Fettuciny.

- Fettucina to ciasto!

- *We skipped the last fandango...*

Droga Naomha prowadziła do najwyższego punktu na wyspie. Szliśmy bardzo powoli.

Oprowadzałam Johna po jaskiniach.

- Turbina wietrzna kołacze się równo, jak za dawnych dobrych czasów.

- A kołacze.

- Mieszkańcy wyspy nadal żyją w przekonaniu, że byłaś za turbiną.

- Nie byłam! Grupa badawcza wybrała Clear Island niezależnie.

- Badger O'Connor miał zorganizować petycję w sprawie „tego brzydactwa” do członka Parlamentu Europejskiego. Wtedy ludzie stwierdzili, że takich rachunków za elektryczność to już w życiu nie

zapłacą. Kiedy komitet w ostatniej chwili zaproponował

Gillarney Island, Badger O'Connor wystąpił z petycją, żeby oddali „nam nasz generator”.

- Ludzie na pewno twierdzili, że wiatraki, kanały i lokomotywy to brzydactwa. Bo dopiero kiedy są zagrożeni wyginięciem, miękną. O, dwie wrony schodzą po zboczu. - Miałam na myśli dwie stare kobiety w czarnych pelerynach zbierające z plaży to, co wyrzuciło morze. Spojrzały na mnie równocześnie.

Bzyczenie i świst wietrznego generatora wzmagały się, w miarę jak się zbliżaliśmy.

Jeśli każdy obrót oznacza kolejny dzień, kolejny rok, kolejny wszechświat, a jego cień tnie kosą antimaterii... to w takim razie...

Omam nie wdepnęłam w coś czarnego, co nagle wyrosło mi pod nogami otoczone rojem bzyczących much. - Fuu...

- Co? - zapytał John. - Owczę łajno?

- Nie... Łaa! Mały nieżywy nietoperz z wyszczerzonymi zębami i na wpół wyżartą twarzą.

- Cudownie.

Daleko w dole, ścieżką pod urwiskiem spacerowała nieznana kobieta. Miała lornetkę.

Nie powiedziałam Johnowi. - O czym myślisz, Mo?

- Kiedy byłam w Hongkongu, widziałam umierającego człowieka.

- Jak umarł?

- Nie wiem... po prostu padł, tuż przede mną. Chyba serce. Tam, na jednej z odległych wysepek, gdzie przetrwał ten wielki srebrny Budda. U podnóża prowadzących do niego schodów jest parking autobusowy z kilkoma straganami. Kupiłam czarbkę klusek i wsuwałam je w cieniu. Był młody. Zastanawiam się, dlaczego o nim

pomyślałam? Może z powodu wielkich srebrnych przedmiotów na wzgórzach wyspy. Dziwne, a sprawiał takie wrażenie, jakby się śmiał.

Leżałam w skalnym grobowcu, zwinięta jak embrion.

Poza zasięgiem wiatru. Przyłóż ucho do muszli czasu, Mo. Ten grobowiec spoczywa tam od trzech tysięcy lat. Wyobraziłam sobie, że ja także. Nikt nie wie, w jaki sposób przedceltycka ludność, która nie znała techniki żelaza, wydrążyła granitowy blok, w którym pogrzebała swojego przywódcę, ale tak właśnie było. Nikt też do końca nie wie, w jaki sposób ten blok, rozmiarów podwójnego łoża i dwa razy grubszy, został przyciągnięty aż z Blananarragaun.

Owłosione nogi Johna dyndały przed wejściem.

Dalej trawa falowała na wydmach. Koniki morskie ujeżdżały grzbiety grzywaczy. Za grzywaczami przewalały się fale, we wszelkich barwach i odcieniach oczu, aż do śpiącego olbrzyma.

Jako dzieci podpuszczaliśmy się, żeby ktoś odważył się tu spędzić noc. Podanie ludowe Clear Island głosiło, że ten, kto prześpi się w grobie Ciarana, zamieni się w kruka albo zostanie poetą. Którejś nocy dokonał tego Danny Waite, ale został mechanikiem, a ożenił się z córką rzeźnika z Baltimore.

Wyciągnęłam rękę i szturchnęłam Johna pod kolano. Zakwiczał.

-Wiesz Cullin, że jako kruk od razu bym sobie poradziła. Nie miałabym teraz dylematu. Nie, jest mi strasznie przykro, Heinz, panie Teksańczyk, Mo Muntervary bardzo chciałyby nauczyć waszą broń myślenia, ale wybrała się na poszukiwanie gałązek i dżdżownic.

-Ja też chciałbym być krukiem. Ale nie ślepym. Bo pewnie wleciałbym w turbinę.

Wyjdiesz już stamtąd? Makabra, dla frajdy zwijać się w kłębek

przyśpiesza, czy zwalnia. Nikt nie wie, czym jest. Ile czasu jest w dniu? Nie ile godzin, minut i sekund: ile czasu mamy?

Tego dnia?

- Jaki przepis na kanapki, Mo?

- Szynka z serem; szynka z pomidorem; ser z pomidorem

- I szynka, ser i pomidory? - - Skąd wiedziałeś?

- Jeszcze nie zauważyłaś, że kanapki układasz w diagramy ilustrujące relacje między zbiorami? -Ja?

- Przecież dlatego się z tobą ożeniłem. Przypomniałam sobie o kawałeczku boczku, który Maisie dała mi na moją brodawkę. Wyjęłam go ze srebrzystego opakowania i przezwyciężywszy przelotną pokusę włożenia do ust, potarłam brodawkę.

- Przepraszam na chwilę, John. Muszę pogrzebać kawałeczek boczku.

- Lek na brodawkę od Maisie? Śmiało. Nie będę podglądał. Słowo harcerza.

Już wstanę i pójdę, pójdę do Innisfree, Gdzie mała budka stoi, z plecionki i gliny: Mam tam dziewięć rzędów fasoli i ul dla pszczół, I mieszkam sobie na bzyczącej pszczołami polanie.

- Przez całe trzydzieści minut nie myślałam o fizyce.

- Słynny urok Clear Island. Nikt nie patrzy?

- Nie. Cały stok mamy dla siebie. I człowieka w popołudniowym księżycu. I dżersejki Noakesa.

- Więc podejdź do mnie, dziecię oceanu, moja piersiasta dziewczyno z wyspy...

- Piersiasta! Johnie Cullin...

Przed podwieczorkiem wyszliśmy z „Zielonego Luda”. John, Planck i ja wracaliśmy do Aodhagan. Liam wyczekiwał, stojąc na pedałach swojego roweru górskiego.

- Gdzie to się nauczyłeś tak ciągnąć whisky? - zapytałam Liama.

- Tato.

- Co za ohydne oszczerstwo!

Szliśmy dalej i tylko jeden Planck trzymał się prosto na nogach.

- Niezwykły ten dzisiejszy zachód słońca, tato, jak dawniej.

- To już? Jakiego koloru?

- Czerwony.

- Jaki czerwony?

- Jak arbuz w środku.

- A, taki. Czerwony październik. To niezwykły zachód, jak dawniej.

Zostawiłam Johna siedzącego z Planckiem na kamieniu przy furtce. W darni pokrytej kretowiskami widniały odcisnięte krążki kopyt. Liam popedałował do przodu, żeby dać obiad Schroedingerowi.

Ogród przypominał teraz mały las. Miałam rację, dach zawalił się. Przedzierałam się przez coś, co można by uznać za ścieżkę. Czyżby ktoś patrzył zza mrocznie połyskujących szyb? Bluszcz zaszeleścił na murze. Coś zaklekotało w środku, zatrzepotało. Sowy, nietoperze, koty, dwunożne istoty zajmujące się swoimi sprawami?

- Halo - rzuciłam, stojąc w pozbawionym drzwi przedsionku. - Jest tam kto?

Dokładnie w tym miejscu upadł mój ojciec, bo serce odmówiło mu posłuszeństwa.

Mama ze śmiertelnym spokojem osoby, która ujrzała przyszłość, powiedziała mi, żebym go popilnowała, podczas gdy sama pojechała na rowerze do portu po doktora Mallahana.

Tata chciał mi coś powiedzieć. Pochyliłam się nad nim. Mówił

tak, jakby cegły tonami uciskały mu żebra. - Mo, bądź silna, rozumiesz? I pilnie ucz się, i nie zaprzepaść swojego celtyckiego. To on decyduje, kim jesteś.

- Czy teraz umrzesz?

- Tak, Mo - odpowiedział tata - i mogę ci powiedzieć, szkrabie, że to intrygujące doświadczenie.

To był mały, schludny domek, pachnący świeżym powietrzem, świeżą zaprawą i bielidłem. Latem tata osobiście, z pomocą chłopaków od Doigów, ojca Wally'ego i Gabriela Fitzmaurice'a, który tego samego roku w październiku utonął, pokrył dach. Ze starych strzech zrobiliśmy na plaży ogromne ognisko.

Ale każdy układ nieuchronnie się degraduje, przechodząc od porządku złożonego w stan prosty. Kiedy z matką wyjechałyśmy z Clear, żeby wejść w świat ciotek zamieszkałych na głównej wyspie, sztormy i czerwie rozpoczęły swe dzieło. Inni wyspiarze sami potrzebowali materiałów budowlanych. Moja mama nie mogła sobie poradzić ze swoimi upiorami, mówiła więc wszystkim, żeby brali.

Teraz gałązki podtrzymują dach zmierzchów i pierwszych gwiazd.

- Mo! - John krzyczy przez pola. - Wszystko w porządku? Żadnych wieści.

- Tak - odkrzyknęłam, zamykając na zamek mój anorak.

Po przebudzeniu John przeciągnął się, przeraźliwie wyjąc. Łagodny dzień zaprawiony chłodem. Usłyszałam helikoptery. - Dobrze spałeś, moje kochanie? - dociera do Johna nuta uśmiechu w moim głosie.

Przejechał językiem po zlepionych wargach - Tak. Tak właśnie mi się śniło.

Unosiłem się w płytkim morzu w Panamie, nie mam pojęcia,

dlaczego w Panamie, ale tak było. Fale rozświetlone blaskiem padającym z góry, a wokół mnie płynęły puszyste chmury.

Dziwne, pomyślałem. - Przecież pod wodą nie ma chmur. A kiedy przyjrzałem się, chmury okazały się meduzami świecącymi kolorami choinkowych lampek, to zapalały się, to gasły.

- Przyjemny sen.

- Są trzy sytuacje, gdy nie czuję, że jestem niewidomy: kiedy oprowadzam ludzi po Clear Island, kiedy leję ojca Wally'ego w szachy i kiedy śnię o kolorach... Mo?

- Tak, John?

- Mo, co jest?

Huw powiedział mi, że człowiek zawsze się budzi kilka sekund przed początkiem trzęsienia ziemi.

- To dzisiaj.

Swoje stosunki z Johnem, Tekszańczykiem, Heinzem Formaggio i resztą świata układam w taki a nie inny sposób, ponieważ jestem tym, kim jestem. Dlaczego jestem tym, kim jestem? Z powodu podwójnej spirali atomów wijącej się wzdłuż mojego DNA. Co stanowi w DNA czynnik zmiany? Mniejsze od atomu cząstki, które zderzają się z jego mole-kułami. Te cząstki opadają teraz na Ziemię, wywołując mutacje, które wywołały ewolucję od najstarszych, jednokomórkowych form życia, poprzez meduzy, pogoryle i nas samych, Przewodniczącego Mao, Jezusa, Nelsona Mandelę, Jego Serendipity, Hitlera, ciebie i mnie.

Ewolucja i historia to niewinna zabawa fal cząsteczek.

Wszedł Liam i pociągnął mleka z butelki, prosto z lodówki. - Może zostawię cię, mamo.

- Być może, Liam.

- Naprawdę. Gdyby zamierzali przyjść i cię zabrać, już dawno by

tu byli.

- Może.

- Jeżeli tak, to mogłabyś dostać pracę na wydziale w Cork?
Prawda, tato?

- Rektor osobiście padłby na kolana, Liam - powiedział John, taktownie tłumiąc głos - ale...

- No to już, mamó.

Ach, Liam, najzłośliwszy jest bóg zdeklarowanego tchórze.

Ekspres transsyberyjski przetaczał się przez senny lesisty wieczór gdzieś w północnych Chinach. Nadal zabawiałam się mechaniką matryc, ale do niczego nie doszłam.

Od Szanghaju tkwiłam przy jednym problemie i teraz tylko błąkam się krążąc w kółko.

- Czy mogę się przysiąc?

Wagon restauracyjny opustoszał. Znam skądś tę młodą kobietę?

- Sherry, tak mam na imię - powiedziała Australijka, czekając, aż coś powiem.

- Proszę siadać, niech tylko przesunę te graty...

- Matma, co?

Dość nietypowe, żeby młoda osoba chciała rozmawiać z taką starą babą jak ja.

Przecież jesteśmy daleko od domu, Mo, i nie uogólniaj. - Owszem, jestem nauczycielką matematyki - powiedziałam. - Jaka gruba księga.

- *Wojna i pokój*. Dużo było na ten temat. Zwłaszcza o tym pierwszym.

Korytarzem przybiegł półnagi chiński berbec, pomrukując *zun-zun*, co mogło oznaczać helikopter albo konia.

- Przepraszam, nie dosłyszałam twojego imienia. Poczulałam

dźgnięcie podejrzania.

Ooo, Mo! To tylko dzieciak. - Mo. Mo Smith. - Mo!

Podaliśmy sobie ręce. - Sherry Connolly. Jedziesz prosto do Moskwy, Mo, czy zatrzymujesz się?

- Tak, prosto przez Moskwę do Petersburga, Helsinek, Londynu, Irlandii. A ty?

- Zatrzymuję się na jakiś czas w Mongolii.

- Na jak długo?

- Aż mi się zachce ruszyć dalej.

- Cieszysz się, że już opuściłaś Pekin?

- Żebyś wiedziała. Cieszę się, że opuściłam przedział! Siedzi tam dwóch Szwedów.

Są pijani i robią sobie zawody w bekaniu. Jak w kiblu za chałupą. Faceci bywają takimi kretynami.

- Mogłabym ci załatwić zmianę przedziału. Oswoiłam już naszą babuszkę.

Przekupiłam ją butelką chińskiej whisky.

- Nie ma problemu, dzięki. Wychowywałam się z pięcioma braćmi, więc poradzę sobie ze Szwedami. Do Ułan Bator dojedziemy za trzydzieści sześć godzin. Do tego jest jeszcze takie chłopisko z Danii na kuszetce pode mną... ty też sama podróżujesz, Mo?

- Tak, zupełnie sama.

Sherry obrzuciła mnie tym swoim spojrzeniem.

- Boże drogi, nie! W domu czekają na mnie mąż i nastoletni syn.

- Pewnie za nimi tęsknisz. A oni pewnie tęsknią za tobą. Ależ doskonale dopełniające się zdania. - Tak.

- Ej, mam przecież butelkę chińskiej cytrynowej herbaty w proszku. Napijesz się ze mną? Najprawdziwszy McCoy.

Miło się z nią rozmawiało, znowu w ojczystym języku. - Bardzo chętnie.

Rozmawiałyśmy aż do mongolskiej granicy, gdzie zmieniono podwozia wagonów, by pasowały do sowieckiej szerokości szyn, i naraz uświadomiłam sobie, jaka jestem samotna.

Może to kofeina w herbacie Sherry, ale kiedy ponownie zajrzałam do czarnego notesu, ujrzałam całą prostotę rozwiązania: stała Trebowicza pozwoliła przełamać impas. Mo, ty zakuty łbie. Popracowałam jeszcze, jak mi się wydawało, trochę, i ani się obejrzałam, a do wagonu restauracyjnego weszła śniadaniowa zmiana.

Wyspy, miasta, lasy zostawały w tyle. Świt wzbierał nad otwartymi trawiastymi obszarami środkowej Azji. A ja, skrajnie zmęczony, moralnie zgnębiony fizyk kwantowy w średnim wieku, dokądś jechałam, tam gdzie jeszcze nie byłam. Zataczając się, wróciłam do przedziału i przespałam cały dzień.

Zdrowy rozsądek zarzuca doktorowi Frankensteinowi hybris.

Nie sądzę, żeby udawał Boga. Sądzę, że po prostu był naukowcem.

Czy technika atomowa, genetycznie wytworzony pasternak bądź poznanie kwantowe w ogóle mogą być „dobre” albo „złe”? Jedyne słowa, które odpowiadają technice są „tu” i „nie tu”. Pytanie, gdy już jest „tu”, dotyczy tego, co z tym zrobimy.

Dr Frankenstein dał nogę i to było jego zbrodnią. Zostawił swoją technikę na łaskę i niełaskę ludzi, którzy zrobili to, co ciemnota zazwyczaj robi: rzuca kamieniami i wrzeszczy.

Gdyby dobry doktor pokazał dziecięciu swego umysłu, jak przetrwać, przystosować się, chronić się, do całej tej gotyckiej jatki w ogóle by nie doszło, a technika transplantacji ruszyłaby o dwa

wieki wcześniej.

Już wiem, co powiesz, Mo, ale w jaki sposób chcesz nauczyć silnik odróżniać dobro od zła? Żeby bronił się przed nadużyciami?

Spójrz na czarny notes. Jeśli Quancog nie oznacza wrażliwości, to podaj mi jakąś inną nazwę.

Telefon zadzwonił, akurat gdy rozbijałam jajko. Był blisko Johna, więc to on odebrał.

- Billy?

John przez długi czas nie odzywał się.

Złe wiadomości.

- Dobrze. - Odłożył słuchawkę. Wiedziałam.

- To Billy, dzwonił z Baltimore, z „The Drum and Monkey”. Są tam trzej Amerykanie, którzy odgrywają nadejście The Blues Brothers. „St Fachtna” nabawiła się jakichś tajemniczych dolegliwości z silnikiem, więc nie ma mowy o powrocie rano, za to wieczorem Billy musi być z powrotem. Danny Waite ma niski poziom insuliny, a do końca tygodnia ma być jeszcze gorsza pogoda.

Ostry szpadel przebijał się przez ziemię, korzenie, torf i kamienie.

- Mamo - Liam chwycił mnie za przedramię. - Musimy cię z tego wyrwać!

Planck zaczął szczekać. Walenie do drzwi. Czy już się zaczęło?

Liam przeprowadził mnie na tył domu. - Kto tam?

- Brendan Mickledeen!

Otworzyły się drzwi. W jakąż dręczącą farsę przeobrażał się ten poranek. Brendan łapał oddech. Powietrze z dworu słodkie i ostre. - Mo, Billy powiedział mi, że Jankesi przyjechali. Możemy zapakować cię na łódź Rosin i wysłać do Schull. Stamtąd moja szwagierka może cię zawieźć do Ballydehob. Potem...

Podniosłam rękę. - Jakim sposobem... jakim sposobem wszyscy o tym wiedzą?

Trzeba było słyszeć, jak Brendan podniósł głos. To był wstrząs: - Clear Island troszczy się o swoich! Łódź McDermotta czeka! Nie czas na to, żeby się sprzeczać o to, co kto komu powiedział.

Wyobraziłam to sobie, zaglądając do potencjalnej rzeczywistości. Zaczynam uciekać taksówką. Przez okna widzę podniesione gazety i opuszczone parasole, aż do Belfastu. A potem co? Znowu za morze, o ile tak daleko dotrę, do jakiegoś taniego kraju, cały czas mając przy sobie jedyny istniejący egzemplarz planu komputera epoki Nowej Ziemi.

Jaką ścieżką tu dotarłaś, Mo?

Nagle ucichłam.

John chrząknął. - Czas podjąć decyzję, kochanie. Co zamierzasz zrobić?

- Brendan, dziękuję ci. Ale środkami publicznego transportu Republiki Irlandii nie uda mi się uciec przed Pentagonem. Wróciłam, żeby wypić piwo, którego nawarzyłam. I to właśnie zamierzam zrobić.

Brendan wyciągnął swój inhalator przeciwko astmie, potrząsnął i zrobił wdech. -

Gabriel, ja i chłopcy jesteśmy gotowi pokazać Jankesom, na co nas stać.

Omam nie eksplodowałam ze strachu, złości i miłości. - Nie będzie żadnej walki i żadnego uciekania.

Liam zmarszczył brwi. - To co zamierzasz zrobić, mammo?

Miałam nadzieję, że wypadłam odważniej, niż sama to czułam. - Spakować się.

Fizyka kwantowa wyraża się za pośrednictwem przypadku, jej

składnię stanowi niepewność. Można znać pozycję elektronu, ale nie można przewidzieć, w którą stronę on zmierza albo gdzie zawędruje do czasu, gdy zarejestrujemy odczyt. John oślepl. Albo też można znać kierunek elektronu, lecz nie jego pozycję. Heinz Formaggio przeczytał w Light Box moje teksty z Belfastu i zaproponował mi pracę. Cząstki w atomach mózgu tego młodego człowieka, który zgarnął mnie z trasy taksówki w Londynie, ułożyły się w taki sposób, że znalazł się w tym właśnie miejscu i był w stanie oraz chciał zrobić to, co zrobił. Nawet najpełniejsze poznanie radioaktywnego atomu nie pozwoli stwierdzić, kiedy on się rozpadnie.

Nie wiem, kiedy Teksańczyk tu się zjawi. Przecież nie jest tak, że świat mikroskopowy gdzieś się kończy, a zaczyna makroskopowy.

Liam musiał się pochylić pod belkami stropowymi sypialni Johna. Naszej sypialni.

Pamiętam, jak po raz pierwszy udało mu się samodzielnie wejść na schody, tyłkiem do przodu, a minę miał przy tym jak Edmund Hillary.

- Liam?

- Twoja brodawka zniknęła, mamo.

- No, rzeczywiście. I może nie działa? - Mamo! Nie wolno ci tak odejść bez walki.

- Dlatego właśnie muszę odejść. Żeby przestać walczyć.

- Ale powiedziałaś, że poznanie kwantowe przyśpieszy tempo zbrojeń o pięćdziesiąt lat.

- To było pół roku temu, w Light Box. Chyba tego nie doceniłam.

- Nie rozumiem.

Czarny notes leżał na komodzie. - A gdyby poznanie kwantowe

okazało się - pod względem etycznym - na tyle potężne, by uniemożliwić nadużywanie techniki? I gdyby mogło działać tak jak, powiedzmy... dozorca w zoo?

- Nie rozumiem? Do czego miałyby to prowadzić? Mężczyźni spierali się w kuchni na dole.

- W ciągu pięciuset lat albo wyginiemy, albo... spotka nas coś lepszego. Technika przekracza nasze zdolności jej kontrolowania. Ale założmy - jeśli założę, że poznanie kwantowe mogłoby zapewnić samokontrolę techniki i - Chryste, jak to w ogóle brzmi? -

Liam, czy twoja matka kompletnie oszalała?

Naraz zaczęły beczeć wszystkie owce w stadzie pasącym się między domem a plażą.

Twarz Liama znieruchomiała jak na portrecie. - A jakby tak przeszkodzić im w zabraniu czarnego notesu i usunąć cię z obrazka? - Gdy tylko to powiedział, jego twarz zaczął rozjaśniać uśmiech. Bystrzak z tego Liama.

- Ach tak, czarny notes.

Norton Reda Kildare'a zadudnił na podjeździe i z poślizgiem zahamował na podwórku. Heisenberg zagdakał i pofrunął na swoją grzędę na słupie telegraficznym.

- To Red - stwierdził John. - Przyjechał, żeby wydoić Feynmana.

Red Kildare wszedł do kuchni. - To cię znaleźli, Mo! Załapię się na kubek herbaty?

- Czy już wszyscy co do jednego na Clear wiedzą o moich scysjach z Amerykanami?

- Tajemnice na wyspie są niewidoczne dla tych z zewnątrz, ale nigdy dla ludzi stąd

- wyrecytował Red, częstując nas wszystkich oranżadą w proszku. - Nie ma się co martwić. Jankesi uważają, że wszystko

mogą kupić. Pewnie chcą po prostu dać więcej.

John westchnął. - Mogę być ślepy jak kamień, Red, ale jeśli myślisz, że ci ludzie chcą tylko sobie pogadać o dodatkach do pensji, to w porównaniu z tobą jestem teleskopem Hubble'a.

Red wzruszył ramionami i łyknął oranżady. - W takim razie Mo ma przesrane. A kiedy ma się przesrane, to można zrobić tylko jedno.

- Co? - spytał Liam.

- Iść do „Zielonego Luda” i się napić.

- To najlepszy pomysł, jaki słyszę od rana - powiedziałam.

- Słyszę trójkołowca ojca Wally - powiedział John. Ojciec Wally wszedł i usiadł zziębnięty. - Mo - powiedział jakby chciał przeniknąć wzrokiem zbyt mętny dla niego świat - to jest równoznaczne z porwaniem! Nie popełniłaś żadnego przestępstwa! Jak do tego wszystkiego doszło?

Weźmy dwa elektrony - albo, jak w przypadku moim i dra Bella, fotony - które pochodzą z jednego źródła, zmierzmy i połączmy ich spiny, a uzyskamy zero. Bez względu na to, jaka odległość je dzieli: między Johnem a mną, między Okinawą a Clear Island czy między Mleczną Drogą a Andromedą: jeśli spin jednej z cząsteczek się zmniejsza, spin drugiej się zwiększa. Więc już wiecie! Nie musicie czekać na sygnał wysłany z prędkością światła, żeby wam przekazał informację. Zjawiska łączą wzajemne zależności bez względu na odległość. W holistycznym oceanie więcej jest voo-doo niż Newtona. Przyszłość przedstawia się, zmieniając kąt odchylenia pary okularów z filtrem polaryzującym. - Oceaniczna symultaniczność, ojciec Wally.

- Chyba nie całkiem rozumiem, co mówisz, Mo.

- Ojciec, Red, Brendan... pozwolicie, że na parę chwil zostanę

sama z Johnem i Liamem?

- Ależ oczywiście, Mo. Poczekamy na ciebie na końcu podjazdu.

- Będę bez was obu taka samotna.

Liam starał się zachować dzielnie, a John jak to John. Moi dwaj mężczyźni uściskali mnie.

- Nakarmię Feynmana - powiedziałam na koniec.

- Feynman sam się może nakarmić.

- Nie mogę dojeść śniadania. Mam kilka soczystych kęsów, za które będzie wdzięczny.

Norton Reda Kildare'a polyskiwał chromem. Silnik pomrukiwał na wolnych obrotach.

Zaskrzypiał trójkołowiec ojca Wally'ego. Liście opadały na ścieżkę, jak chmura małych rybek. - Przypomina mi to pochod w Niedzielę Palmową - powiedział ojciec Wally.

Czy naprawdę dopiero trzy dni upłynęły, odkąd wyruszyłam samotnie z portu? Aż tyle czasu upłynęło? I tylko tyle? - Jaki dzisiaj mamy dzień?

- Czwartek? - rzucił Liam.

- Poniedziałek? - podchwycił Red.

- Środa - stwierdził Brendan. Drogę przecinał szemrzący strumień.

- Słyszę muzykę.

Brendan wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Pewnie sobie wszystko na nowo układasz w głowie, Mo Muntervary.

- Nie! Słucham *The Rocky Road to Dublin!*

Gdy schodziliśmy z załomu wzgórza, Planck wyczuł, że może się wykazać, i zabrał się do roboty. Gdy już okrążyliśmy załom, zobaczyłam, że u starego O'Farrella tłum wyspiarzy wysypuje się z „Zielonego Luda” do ogrodu. Ścisnęłam Johna za rękę. - Wiesz coś o

tym? - Nad drzwiami wisiało hasło: „Najlepsza z Clear Island”.

- Jestem tylko niewidomym harfistą - odpowiedział mój mąż.

- To tylko mała impreza - powiedział Liam - dla rodziny i przyjaciół.

- Myślałam, że przemycą mnie po cichu.

- Bez jednego szybkiego kielicha się nie obejdzie.

- Wiedzieliśmy, że już zdecydowałaś, Mo - powiedział ojciec Wally.

- Ale chcieliśmy dać ci szansę, jakbyś chciała zmienić zdanie - odpowiedział Red.

- Hejej! Liam! - zawołała Bernadette Sheehy, przysiadając na murze i zakładając nogę na nogę.

- Witaj, Bernadette! - zaśpiewaliśmy z Johnem.

Przy barze „Zielonego Luda” było tylko miejsce stojące. Chłopak Eamonna grał na akordeonie. Byli nawet ptasznicy w swoich anorakach - speszeni, ale zadowoleni. Szukałam Nowozelandki, ale jej nie było.

Oparty o kontuar stał ptasznik w skórzanej kurtce. Gdy weszłam, odwrócił się. - Dzień dobry, pani doktor. A ja myślałem, że Irlandczycy to sami terroryści i spedaleni giganci literatury. - Zdjął wielkie brązowe okulary przeciwsłoneczne. - Niezła awantura. Szkoda, że nie możemy dłużej zostać.

Podłoga w „Zielonym Ludzie” falowała. I naraz, jakie to dziwne, poczułam ulgę, że jest po wszystkim. Przynajmniej przestałam uciekać.

- Mamo - Liam wiedział, zanim ktokolwiek się domyślił. - To on, tak?

Królował gig, wijąc się, jakby żył własnym życiem.

Co się dzieje z tymi wszystkimi sekundami wywalonymi do

śmietnika przeszłości?

A co się dzieje z innymi światami, w których elektrony podążają innymi drogami, gdzie inne zachodzą zmiany, inne są myśli i działania? W mieszkaniu Huwa, gdzie zostałam nakryta? W miejscu, w którym nadal żyją matka i ojciec, matka radosna jak pączek, którym zawsze była, tam, gdzie John nigdy nie oślepl, gdzie mój przedwczesny rozwój i ambicja były na miarę żony drobnego farmera, gdzie broń jądrową wynaleziono przed 1914 rokiem, gdzie *homo erectus* znajduje się na tym samym szlaku skamieniałości, co *australopithecus*, gdzie DNA nigdy nie zapina się jak zamek błyskawiczny, gdzie gwiazdy nie rodzą się, by umierać w całunie węgla i cięższych pierwiastków, gdzie Big Bang z powrotem chrupnął pod ciężarem własnej masy zaledwie kilka ułamków sekundy po tym, jak się dokonał?

Chyba że te wszystkie światy trwają, wisząc obok siebie i czekają, aż wyschną?

- Tak, Liam - powiedział Teksańczyk, gdy skończył się gig. - Owszem, on.

- Mo - zapytał Mayo Davitt po celtycku - czy chcesz, żebyśmy go wyrzucili do portu?

- Mów po angielsku - rzucił rozkazująco Teksańczyk.

- Spierdalaj, głupku - odpowiedział Mayo Davitt po celtycku.

Teksańczyk chwycił Mayo Davitta jak żołnierz.

- Żadnej walki nie będzie - powiedziałam, starając się, żeby mój głos nie zabrzmiał zbyt bojaźliwie.

Red Kildare stanął przede mną. - Mieszkańcy Clear Island protestują, by przyjeżdżali tu obcy i zabierali naszych naukowców.

- A rząd Stanów Zjednoczonych protestuje, by cudzoziemscy naukowcy dowolnie wykorzystywali sobie najbardziej

zaawansowane supercollidery i badania nad sztuczną inteligencją finansowane przez NATO - diabła tam, przez Amerykę - a potem wykorzystywali te eksperymenty do formułowania teorii, które mogą zmienić charakter techniki, i następnie uciekali do tych, którzy oferują najwyższą cenę.

- Ja najpierw uciekłam - poprawiłam go - a dopiero potem sformułowałam teorię.

- Jakim sposobem Mo mogła ukraść teorię, która jest owocem jej własnej danej od Boga inteligencji? - spytał ojciec Wally.

- Bardzo chętnie cały dzień poświęciłbym na przedyskutowanie teozofii naszej sytuacji, ojcze. Mówię szczerze. Ale czeka na nas helikopter, więc proszę mi pozwolić załatwić rzecz legalnie. Na mocy Klauzuli Rekwizycyjnej 13b Tajnych Akt Urzędowych NATO, Ośrodek Badawczy Light Box jest właścicielem wszystkiego, co jest dziełem myśli dr Muntervary. Właścicielami Light Box jesteśmy my. Propagator inteligencji pani doktor sam zechce teraz wyciągnąć wnioski.

- W takim razie wsiadaj do swojego helikoptera i odchrzań się. - Do przodu wysunęła się Maisie. - Nie jesteś mile widziany w „Zielonym Ludzie”, na Clear Island także nie.

- Doktor Muntervary? Pani matka chrzestna uważa, że powinniśmy już iść.

Wstał Freddy Doig, podobnie Bertie Crow. - Mo nigdzie nie idzie!

Teksańczyk potrząsnął głową, udając niedowierzanie i wskazał zadartym kciukiem na okno, gdzie też wszyscy spojrzeliśmy. Brendan gwizdnął po cichu. - Ja cię kręcę, Mo, ty to masz powodzenie.

Zobaczyliśmy wpatrzonych w nas, stojących rzędem marines w

bojowym rynsztunku.

Część mieszkańców zbiła się w strwożoną gromadkę, inni pośpiesznie opuszczali lokal.

- Dobry Boże - powiedział Freddy Doig. - Z jakiego filmu wytrzasnęli te spluwy?

- Niech ktoś mi powie, co się dzieje - domagał się John.

- Żołnierze - powiedział Liam. - Aż dziesięciu, żeby pojmać superprzestępcę mamę.

- Gdybym miał wzrok - powiedział John do Teksańczyka - zrobiłbym wszystko, żeby cię powstrzymać. Chcę, żebyś to wiedział.

- Panie Cullin - powiedział Teksańczyk. - Pańska żona sama wybrała taki los.

Gwarantuję, że jako gość Pentagonu będzie traktowana zgodnie ze swoją pozycją. Ale nadszedł koniec jej ekstrawagancji. Musi pójść z nami. Mam swoje rozkazy.

- Zabierz te swoje zasrane rozkazy - powiedział Bertie Crow - i wsadź je tym swoim Jankesom...

Zagłuszył go helikopter, który nadleciał, rozpryskując wodę i roztrącając rybackie łodzie.

Teksańczyk obejrzał się na swoich marines. Sięgnął do marynarki po papierosa.

Wszyscy zdążyliśmy zauważyć, że ma kaburę. Zapalił, przedłużając czekanie w nieskończoność. - Jak pani chce to rozegrać? Wynik i tak się nie zmieni. Przecież pani wie.

Wszystkie spojrzenia spoczęły na mnie. - Słuchajcie, Dziękuję wam, ale muszę z nim iść.

Teksańczyk pozwolił sobie na uśmiezek.

- Po wynegocjowaniu warunków. Warunek pierwszy: w sprawach dotyczących programu Quancog nie odpowiadam przed

nikim.

Teksańczyk udał zdziwienie. - A co pani z tymi „warunkami”? O „warunkach” trzeba było mówić sześć miesięcy temu przy biurku. A pani, uciekając, zrzekła się prawa do „warunków”. Należy pani do nas, tak samo jak pani czarny notes.

- Czarny notes, tak? Czyżby czarny notes przedstawiał teraz dla pana jakąś wartość?

Zmrużył niecierpliwie oczy. - Proszę pani, pani zdaje się nie rozumie. Pani praca jest własnością amerykańskiego Departamentu Obrony. Miała pani czarny notes przy sobie, kiedy odwiedzała pani swoją matkę w Skibbereen. Ma pani go teraz - gdzieś - a jeśli go pani schowała, to my znajdziemy. Na dobry początek niech pani dobrze ułoży swoje stosunki zawodowe z Pentagonem i mi go odda. Natychmiast.

- W takim razie powinien pan poprosić Feynmana.

W głosie Teksańczyka narastało napięcie. - Nikogo o takim nazwisku nie ma.

Śledziliśmy panią od Petersburga. Pozwalaliśmy w spokoju kontynuować pracę, dogadzając pani i usuwając z drogi najmniejszą przeszkodę. Żadnego „Feynmana” nie było.

- To już nie moja sprawa, jeśli pan nie wierzy. Czarny notes ma Feynman.

Ojciec Wally roześmiał się. - Koza Feynman? Teksańczyk nie roześmiał się. -

Ojciec powiedział „koza”?

- Z przyjemnością to panu powtórzę - odparł ojciec Wally. - Koza.

Teksańczyk spojrział na mnie z wściekłością. - Zechciałaby mi pani powiedzieć, co jakaś koza ma wspólnego z poznaniem kwantów? Przełknęłam ślinę. - Kozy nie grymaszą, kiedy są głodne.

- Mo - odezwał się John po celtycku. - Blefujesz?

- Nie, John. Za bardzo się boję, żeby blefować. Teksańczyk zacisnął pięści i szczęki.

Założył okulary przeciwsłoneczne. - Niech nikt nie opuszcza tego pomieszczenia. - Kiedy wychodził do swoich marines, mieszkańcy wyspy cofnęli się. Wrzasnął kilka słów do salutującego żołnierza. - Kłamie, jebana - usłyszeliśmy zza otwartego okna. Wyciągnął z kabury telefon komórkowy i z gniewną miną zaczął rozmawiać.

- To niebezpieczne - mruknął mi John do ucha.

- Wiem.

- Ale jeśli ci się uda, to będę chciał podsunąć mój własny warunek...

Teksańczyk wrócił do „Zielonego Luda”, głośno tupiąc.

- Jakie warunki ma pani na myśli, pani doktor?

Ziemia stała się lądem, ląd wyspą, a wyspa Clear po prostu jedną z wielu - mniejszych i większych. Aodhagan jak małe pudełko. Teksańczyk siedział w kokpicie helikoptera. Dwaj uzbrojeni marines za mną, dwaj inni z przodu. Otoczona przez mężczyzn - jak zwykle.

- Rozchmurz się, Mo - powiedział John, mocniej zaciskając mi dłoń na ramieniu.

- Trwaj przy swoim, a Liam na Boże Narodzenie upora się ze wszystkim.

I wreszcie rozumiem, w jaki sposób składające się na wszechświat elektrony, protony, neutrony, fotony, neutrina, pozytrony, muony, piony, gluony i kwarki tworzą jedność wraz ze spajającymi je siłami.

NOCNY POCIĄG

- Chcesz usłyszeć, Nietoperzu, w jaki sposób zamierzają rozprzestrzenie wirus po świecie?

- Na razie słyszę tylko syreny policji strzegącej rzeczywistości, Howardzie.

- Musisz mnie wysłuchać! Od tego zależy przyszłość Ameryki! Co jest ich eksportowym hitem, Nietoperzu?

- Większość rządów zgodnie odpowiada, że ropa, Howardzie.

- Bo chcą, żebyś tak właśnie myślał! To propaganda! Nie jest nim ropa...

- Policja strzegąca rzeczywistości wyważa drzwi, Howardzie. Mają nakaz.

- Musisz ostrzec ludzi, Nietoperzu. Zbliży się koniec.

- Koniec właśnie nadszedł, Howardzie, dzięki, że zadzwoniłeś, i... ORZECHY

NERKOWCA! ROZPRZESTRZENIA GO ZA POMOCĄ ORZECHEU NERKOWCA!

- Sorki, ludziska, Howard ma spotkanie przy pełnym - księżycu. Słuchacie Nietoperz Segundo Show w Nocnym Pociągu FM 97,8 na pełnym głosie. Jedziemy przez bluesa, rocka, jazz i rozmowę, od północy, póki świt nie rozpuści zamrożonego Wschodniego Wybrzeża.

Jest 2.45 rano, ostatniego już dnia listopada. Czas na słowa naszych sponsorów, a to nie potrwa długo, a potem Najlepsza Nowojorska i pan Lou Reed przewiezie nas na pokładzie swojego „Satelity miłości”. Jak zwykle, zespoły naszych central są gotowe i tylko czekają, żeby przełączyć wasze rozmowy bezpośrednio do Nietoperzofonu. Dzisiejsze safari konwersacyjne obejmuje

następujące tematy: wczorajsze ataki lotnicze przeciwko terrorystom w północnej Afryce, węgorki albinosy w naszych zlewach oraz czy eunuchy są lepszymi prezydentami. Ale proszę, jeśli macie zrosnięte brwi, jeśli nie macie tęczy albo w łazienkowym lustrze ukazuje wam się odbicie, które zadaje pytania, to dzwońcie sobie do Dartha Vadera. Nietoperz jeszcze wróci.

- Kevin!

- Panie Segundo?

- W czasie swojego krótkiego dyżuru przy centrali uważaj na numer trzynaście.

- Przepraszam, panie Segundo. Kiedy dzwonił, wydawało się, że jest w porządku.

- W momencie, gdy dzwonią, to wszyscy wydają się w porządku, Kevin! Dlatego właśnie wynajmujemy dyżurnego, żeby ich rugował. Howard był taki w porządku jak jedno-nogi facet na mistrzostwach w kopaniu się po dupie.

- Nietoperz! Gadaj swoje i daj Kevinowi szansę, co?

- Carlotta! To ty jesteś moim producentem! Bardziej powinnaś uważać na tych sabotażystów z Apple Core FM! No, Kevin, przyznaj się. Planujesz po cichu zmienić Nocny Pociąg FM w Radio Schizoid.

- Nietoperz, wyluzuj się! Niepoczytalność nigdy nie miała złego wpływu na wskaźniki. Zwłaszcza jeśli przy scenach zbrodni pada nazwa Nocny Pociąg FM.

- Aha, aha. No, ale masz cudownych, niesamowitych obłąkańców, prawie geniuszy, i masz takich, co ładują się fekaliami. Żadnych takich od fekalistów, Kevin, albo wylecisz stąd z powrotem do szkoły dziennikarskiej, z której wypłynąłeś.

Zrozumiano?

- Będę się starał, panie Segundo.

- Jeszcze jedno: dlaczego właściwie do mojej kawy wrzący atrament?

- Panie Segundo, wrzący atrament?

- Wrzący atrament, Kevin. Ta kawa smakuje jak wrzący atrament. I przestań do mnie mówić „panie Segundo"! Zupełnie jakbyś był moim księgowym.

- Nie martw się, Kevin. „Wrzący atrament” oznacza w języku Segundo ukrytą czułość. Kawę, jaką przygotowywał nasz ostatni stażysta nazywał „kitem prawdziwego pośrednika nieruchomości”.

- Carlotta, uważaj się za szczęściarę, bo twoja trudna do przeoczenia seksualność ma niezaprzeczalny wpływ na tych, którzy zasiadają w kierownictwie mediów, bo jeśli...

- Pięć sekund do emisji, kochanie - 5, 4, 3, 2, 1...

- Witamy w Nocnym Pociągu FM 97,8 na pełnym głosie. Słuchacie Nietoperz Segundo Show: jazz, rock i blues, dopóki skacowane słońce nie dotrze po omacku do obsikanego szaletu nowego dnia. Ta ostatnia perełka rzucona w proch to Chet Baker w *It Never Entered My Mind*, a poprzedził go na saksofonie tenorowym Satoru Sonada, który, jak pamiętają nasi stali słuchacze, gościł w naszym programie dwa tygodnie temu, gdzie grał

Sakura, Sakura. W ciągu najbliższej półgodziny usłyszymy nieżyjącego już wielkiego Grama Parsonsa, który zaśpiewa *In My Hour of Darkness* z anielską, acz bynajmniej nie przebywającą jeszcze na tamtym świecie Emmylou Harris, więc wyregulujcie radio i zostańcie z nami, bo to jest po trzykroć piękne. - Błysnął Nietoperzofon: kolejny starannie sprawdzony rozmówca na linii. -

Witam cię, witam, kimkolwiek jesteś, dotarłeś do Nietoperza Segundo w Nocnym Pociągu FM!

- Dobry wieczór, panie Nietoperzu. Nazywam się Luisa Rey i właśnie dzwonię...

- Hejhejhejzaraaaaaz: Luisa Rey? Pisarka Luisa Rey? - Jeden czy dwa drobniejsze sukcesy w publicystyce, ale...

- Pani Rey! *Ermitaż* to największa demaskatorska publikacja oparta na faktycznie popełnionej zbrodni od czasów *Z zimną krwią* Trumana Capote'a. Z moją była żoną, a nigdy się za bardzo ze sobą nie zgadzaliśmy, co do tego byliśmy zgodni. Czy to prawda, że petersburska mafia groziła pani za ten tekst śmiercią?

- Tak, ale nie mogę pozwolić, żeby zestawiał pan moją bazgraninę z arcydziełem Trumana.

- Proszę pani, wiadomo, że jest pani wierna „New Yorkerowi”, ale niezmiernie miło mi słyszeć, że słucha pani Nietoperz Segundo Show.

- Zazwyczaj o tej porze jestem już w łóżku, Nietoperzu, ale dzisiejszej nocy odezwała się bezsenność.

- Pani strata, a zysk dla nas, tych, którzy pracują na nocnej zmianie, taksówkarzy, pracowników czynnych przez całą noc restauracji, ochroniarzy, nocnych stworzeń pracujących po jedenaście godzin. Antena należy do pani.

- Uważam, że obchodzi się pan szorstko z co bardziej ekscentrycznymi rozmówcami.

- Na przykład wtedy, gdy starałem się przekonać Howarda?

- Otóż to. Nie docenia ich pan. Wirusy w orzechach nerkowca, narządy wizualne w drzewach, kierowcy autobusów z wywrotowymi inklinacjami przekazujący sobie dłońmi tajne informacje, gdy się mijają, nieuchronnie zbliżające się zderzenia z

ciałami niebieskimi.

Obywatele pokroju Howarda są jak sny i cienie, o których miasto zapomina po przebudzeniu.

Więcej w nich czystości niż we mnie.

- Ale pani jest pisarką. A oni szaleńcami.

- Szaleńcy to pisarze, którzy zostali napisani przez własne dzieła, Nietoperzu.

- Nie wszyscy szaleńcy są pisarzami, proszę pani - niech mi pani wierzy.

- Ale większość pisarzy to szaleńcy, Nietoperzu - wierz mi. Człowieczy świat tworzą opowieści, nie ludzie. Nie należy obwiniać ludzi, o których snują się opowieści.

Trzymasz jedną ze stronic, na której opowiadają się historie, Nietoperzu. Dlatego właśnie nastawiłam radio. To wszystko, co chciałam powiedzieć.

- Będę o tym pamiętał, proszę pani. Jeśli miałaby pani ochotę być gościem naszego programu, to klucze do Nocnego Pociągu należą do pani. Przydzielimy pani salonkę.

- Z największą przyjemnością, Nietoperzu. Dobranoc.

- Zegar pokazuje 3.43. Termometr wskazuje, że jest chłodno, czternaście stopni Fahrenheita. Prognoza pogody zapowiada, że chłód potrwa do czwartku, więc opatulcie się, trochę bardziej się opatulcie. Sople lodu szczyrzą się za oknem jaskini Nietoperza. Ten ostatni numer to *Downtown Train* Toma Waitsa, dedykowany Harry'emu Zawinulowi, pacjentowi Szpitala Miłosierdzia Matki Bożej, do którego prośbę mają pielęgniarki z nocnej zmiany...

Jest dla ciebie wiadomość, jeśli słuchasz mojego programu pod kocami, to wyłącz już swojego walkmana i idź spać, jutro masz operację. Do wiadomości o trzeciej pozostaniemy z trylogią

Nietoperza Segundo: *Stringman* Neila Younga, *Jokerman* Boba Dylana i *Superman* Barbry Streisand. Ale przedtem jeszcze jeden rozmówca! Witamy w programie Nietoperza Segundo w Nocnym Pociągu FM.

- Dziękuję ci, Nietoperzu. Świetnie, że się tu znalazłem.

- Cała przyjemność po mojej stronie, stary. Czym się zajmujesz?

- Jestem dozorcą w zoo.

- Dozorcą? Pierwszy dozorca, który wsiadł do Nocnej Pociągu, o ile mnie pamięć nie myli. W nowojorskim zoo?

- Moja praca gna mnie po całym świecie.

- Więc jesteś dozorcą jako wolny strzelec?

- Nigdy nie zastanawiałem się nad terminologią, Nietoperzu.

Ale, owszem, kimś takim właśnie jestem.

- Jakiego zoo ostatnio pilnowałeś?

- Niestety, z powodu przepisów musiałem zwolnić moich poprzednich pracodawców.

- Ahaaa... to znaczy zwolniłeś własnego szefa.

- Dokładnie.

- Ten pomysł mógłby zrewolucjonizować pracę... Posłuchaj tego, Carlotto, i drżij tam w tych swoich słuchawkach! A jak masz na imię?

- Jestem dozorcą w zoo.

- No tak, ale imię?

- Nigdy nie potrzebowałem imienia, Nietoperzu.

- Nasi rozmówcy zwykle podają imię. Skoro nie chcesz podać prawdziwego imienia, to wymyśl jakieś.

- Nie umiem zmyślać.

- Czy życie bez imienia nie jest kłopotliwe?

- Jak na razie nie.

- Muszę się jakoś do ciebie zwracać, przyjacielu. Co jest napisane na twojej karcie kredytowej?

- Nie mam karty, Nietoperzu.

- Ahaaa... pozostaliśmy wobec tego przy samym „Dozorcy”. Czy słyszy to pani Rey?

A co chcesz wnieść do naszego dzisiejszego *vox populi*?

- Mam pytanie. A prawo zobowiązuje mnie do tego, bym był odpowiedzialny.

- Jakie to pytanie, Dozorco?

- Za pomocą jakiego prawa interpretujesz przepisy?

- ...Tradycyjnie tą dziedziną zajmowali się prawnicy.

- Chodzi mi o osobiste zasady.

- ...yyy, przetłumacz mi to może jeszcze raz.

- Prawa osobiste, które narzucają sposób zachowania w określonych sytuacjach. Zasady.

- Zasady? No jasne, wszyscy mamy zasady. Z wyjątkiem polityków, potentatów w dziedzinie mediów, węgorzy albinosów, mojej byłej żony i niektórych naszych stałych rozmówców.

- I te zasady określają twoje postępowanie?

- Chyba... nigdy nie romansuj z kobietami, które mają mniej do stracenia niż ty. Nie ruszaj na czerwonym świetle, przynajmniej nie wtedy, kiedy patrzy glina. Wspieraj utalen-towanych artystów ulicznych. Nigdy nie głosuj na kogoś, kto się już nachapał i twierdzi, że jest uczciwy. Bogać się, goń za szczęściem. Nie zajmuj miejsca na parkingu przeznaczonym dla niepełnosprawnych. Wystarczy?

- Czy twoje reguły obejmują ochronę ludzkiego życia?

- Dozorco, chyba nie zamierzasz z mojego programu zrobić ulicznej trybuny dla nawiedzonych, co?

- Nigdy nie występowałem na trybunie. Ale chciałbym zapytać, skąd wiesz, jak postąpić, kiedy dochodzi do konfliktu zasad?

- Na przykład?

- Rano, jadąc do domu, widzisz wypadek, którego sprawca uciekł. Ofiarą jest dziewczyna w wieku twojej córki. Potrzebna jej pomoc medyczna, bo jeśli dziewczyna jej nie otrzyma, umrze w ciągu kilku minut.

- Odwożę ją do najbliższego szpitala.

- A jakby na skrzyżowaniu było czerwone światło, ruszyłbyś?

- Tak, gdyby to nie doprowadziło do kolejnego wypadku.

- I zaparkowałbyś pod szpitalem na miejscu dla niepełnosprawnych?

- Pewnie, gdyby to było konieczne. A ty nie?

- Nigdy nie kierowałem samochodem, Nietoperzu. Zgodziłbyś się zostać gwarantem opłat za leczenie?

- Jak to?

- Bo szpital to prywatna klinika dla bardzo bogatych pacjentów. Lekarze oczekują, że złożysz na formularzu podpis, iżby mieć gwarancję, że w razie, gdyby nie było komu płacić, ty pokryjesz koszty operacji nagłego przypadku. Mogłoby to wynieść dziesięć tysięcy dolarów.

- Musiałbym sprawdzić moją sytuację finansową.

- Sytuacja jest jasna. A zanim przyjechałaby inna karetka i odwiozła ją do szpitala miejskiego, dziewczyna umarłaby w korytarzu wskutek krwotoku wewnętrznego.

- Dlaczego pytasz mnie o to?

- Następuje tu sprzeczność dwóch zasad: ochrony życia i bogacenia się. Skąd wiesz, jak postąpić?

- To dylemat. Gdybyś wiedział, jak postąpić, nie byłoby

dylematu. Jak sobie pościelisz, tak się wyśpisz. Zasady mogą ci pomagać w przedzieraniu się przez knieję, ale żadna z nich nie zmieni faktu, że w niej tkwisz. Nie sądzę, żeby istniała jakaś zasada zasad.

- Wiedziałem, że mogę na tobie polegać, Nietoperzu.

- Oo? Polegać? W czym?

- Czy mogę być odpowiedzialny, Nietoperzu?

- Yyy... jasne, dlaczego nie?

- Hej, Dozorco, jesteś tam jeszcze?

- Tak, Nietoperzu. Załadowywałem parę plików, które się zapodziały.

- Jakich plików?

- EyeSat 46sc został zaprojektowany w celu śledzenia huraganów w Zatoce Meksykańskiej, od Karaibów po Stany. Następnie przeprogramowano go do zwalczania handlu narkotykami i wyposażono w najpotężniejsze obiektywy elektroniczne obserwujące powierzchnię Ziemi, jakie kiedykolwiek wysłano w kosmos.

- Stanowczo czegoś mi tu brakuje. Co się stało z twoim traktatem z zakresu etyki praktycznej?

- Dwanaście godzin temu zmieniłem mu orbitę na teksańskie wybrzeże Zatoki. Jej obraz w spektrum suboptycznym był naprawdę niesamowity. Odczytywałem nazwy jachtów zakotwiczonych opodal wyspy Padre. Widziałem płetwonurka pływającego dziesięć metrów pod wodą, śledziłem rybę grenadiera ukrywającą się w koralowcu. Przewinałem obraz na północ, północny - zachód. Niedaleko laguny Madre tankowiec uderzył w rafę. Przez pęknięcie w ładowni wylewała się ropa. Na brzegu leżą stosami mewy, połyskujące czernią.

- Tak, wiemy o wycieku z „Gomeza”. Jesteś ortodoksyjnym ekologiem?

- Nigdy nie myślałem o sobie w tych kategoriach, Nietoperzu.

- Ahaaaa... słucham, słucham.

- Nadmorska droga prowadząca do Ksanadu, na południe od Corpus Christi.

Ustawione rzędem chromowe motocykle. Opustoszałe ulice, psy odpoczywające na zacienionych podwórkach. Zielone trawniki, syczące deszczownie, wirujące tęcze. Kobieta w hamaku czytająca Księgę Wyjścia.

- Wszystko to widzisz z satelity?

- Tak jest, Nietoperzu.

- A przy którym jest rozdziale?

- Dziesiątym. Dalej przewijam. Dzielnica przemysłowa. Robotnicy rozwaleni u wejść do warsztatów podczas przerwy obiadowej. Szklany biurowiec na samym skraju miasta, na dachu nago opalająca się nastolatka.

- Ej! Nie przepaliły ci się bezpieczniki w tych twoich mikroobiektwach?

- Mikroobiektwy nie mają bezpieczników.

- Sorki, nie znam się.

- Przewinałem na północny zachód, w kierunku Hebronville, gdzie ziemia jałowuje od suszy, a potem w górę i w stronę Szklanych Gór. Byłeś kiedyś w Trans-Pecos, Nietoperzu?

- Nie, słyszałem, że ogromne.

- Skały jak potężne wzdęte nagrobki. Iskrzą się od miki. Jodły, jadłoszyny, jałowce.

Kiedy pustynia podchodzi zbyt blisko, kamienie ożywają, przeobrażając się w jaszczurki, Przeżuwają, połykają i ponownie

kamienieją. Ich żołądki przez chwilę pulsują.

- Powiedz, naprawdę jesteś dozorcą?

- Nie umiem rozmyślnie oszukiwać. Rurociąg na wspornikach przesyła ropę z Bethlehem Glutch na odległość trzystu kilometrów. Temperatura na otwartej przestrzeni sięga pod pięćdziesiąt stopni, a cienia nie ma. Pospolicie występujące kaktusy. Teren wznosi się, a grunt jest coraz bardziej poorany. Ostatnie złote orły szybujące na prądach ciepłego powietrza w poszukiwaniu zdobyczy. Przewinałem na autostradę numer 37 - czarna asfaltówka z Alice do granicy z Meksykiem. Przewinałem na Saragosę, gdzie kilometry kwadratowe samochodów połyskujących szybami. Pokaz akrobacji powietrznych. Przysłuchiwałem się rozmowom pilotów z zespołu akrobatycznego. Nad tłumem przesunął się cień sterowca.

Przesłałem obraz siatkówek do moich otwartych plików i zacząłem identyfikować ludzi zadzierających głowy. Zidentyfikowałem 92,33 procenta. Konie na padoku. Rząd drzew kamforowych. Na południowy zachód od miasta szlak Instalacji nr 5 skręca obok opuszczonej stacji benzynowej. Stacja posiada instalację komputerową umożliwiającą wychwytywanie intruzów. W polu widzenia pojawiły się rozrzucone wokół budynki. Z daleka wyglądają jak każda w tym stanie zasypana przez kurz farma, ale w środku naszpikowane są techniką wyprzedzającą mnie zaledwie o jedno pokolenie. Cały ten zespół jest ogrodzony nisko nad ziemią rozciągniętym drutem i usiany popalonymi ciałami grzechotników. Gady nie nauczyły się omijać tego obszaru. - Jesteś miejscowym miłośnikiem pokoju, który chowa tyłek przed wojskiem?

- Nigdy nie lubiłem, Nietoperzu, żeby mi robili koło dupy. Ochrona z położonych na obrzeżach budynków strzeże wejścia do tunelu, który biegnie w odległości pięciuset metrów na północ. To

centrum Instalacji numer 5, ukryte pod dziesięciometrową warstwą piasku, który ma chronić przed EyeSats, pięcioma metrami granitu, który ma chronić przed atakami nuklearnymi i metrową warstwą ołowiu, która ma chronić przed sondami reagującymi na ciepło.

- Więc jak dowiedziałeś się, gdzie szukać? - Dotarłem do planów terenu.

- Jesteś hakerem, wiedziałem!

- Najbliższy nadający się PinSat o wystarczającej mocy krąży na orbicie nad Haiti.

Zaprogramowałem mu nową trajektorię i przekazałem dane z jego pierwotnej orbity. W ciągu siedmiu minut, jakich wymaga spotkanie, przebiegłem oczyma listę gości zaproszonych na moje urodziny i nieobecności nie stwierdziłem.

- Twoje urodziny? Nie bardzo rozumiem.

- Obecni byli wszyscy projektanci. Zasiliłem PinSata.

- Jakiego Sata? -PinSata.

- I co taki robi?

- To tajna informacja, Nietoperzu.

- A pozostałe nie?

- Dotyczy to wyłącznie działań, za które ja jestem odpowiedzialny, Nietoperzu.

- Aaaha... jasne. A co się potem stało?

- Nad kraterem, na wysokość dwustu pięćdziesięciu metrów uniósł się ognisty bolid o średnicy ponad stu metrów i ponad trzydziestu metrów grubości.

- To zaczyna brzydko pachnieć.

- Brzydsze rzeczy uchodzą za piękne.

- Jak to możliwe, by taki bolid wydawał się piękny komuś

takiemu?

- Wyrażasz się niefachowo, Nietoperzu, ale zrobię wszystko, co w mojej mocy.

Kwiat chryzantemy zwija się, aż płatki odkształcają się, czernieją i opadają. W suchym przestworzu pustyni sypie bielutki piasek.

- Bardzo to poetyckie. I nikt nie zauważył tego małego wybuchu?

- Fala uderzeniowa dotarła do Saragossy po trzynastu sekundach. Miałem nastawionego drugiego EyeSata, żeby obserwować reakcje i skutki. Sterowiec zakołysał się, konie spojrzwały, spłoszone. Odplywająca fala uderzeniowa zaatakowała liście na drzewach kamforowych, zabrzęczały chińskie filizanki. Pole pod odbywającym się pokazem akrobacji lotniczych wypełniły megadecybele tysięcy w jednej chwili uruchomionych alarmów samochodowych.

- Dobra! Dotarłeś do trzeciej bazy i na tym koniec, przyjacielu! Silny strzał tuż nad ziemią, rzut i nie ma cię! Jesteś studentem dramaturgii, który usiłuje prześcignąć Orsona Wellesa. Nie mylę się? Muszę przyznać, że aż mnie zamroczyło od tego ładunku intelektualnego łajna, ale chodziło o to, żeby zyskać na czasie i móc dobrze sprzedać swój popisowy numer, tak? Masz scenariusz filmu, tak? Było miło, ale się skończyło, przyjacielu.

Ale nie ma mowy, nie w Nietoperz Segundo Show. Słyszysz? Przyjacielu, mówię do ciebie...

W programie na żywo milczenie to zbrodnia. Dobra, kochani, z powodu doniesienia tygodnia z kwadrantu Delta został nam już czas tylko na *World Gone Wrong* Boba Dylana. Dochodzi czwarta - więcej o atakach przeciwko przestępczym państwom z północnej

Afryki - i pogoda. Nietoperz zaraz wraca.

- Kevin!

- Przecież powiedział, że jest dozorcą w zoo, panie Segundo. Pomyślałem, że chodzi o zoo. Zwierzęta, rozumie pan? Problemy z łączeniem w pary pand. Szympanse. Misie koala.

Oooo, znowu telefon. Yyyy, odbiorę.

- Niezły popis, Nietoperzu. Myślisz, że wszystko wcześniej ułożyła, czy też obmyślała wszystko na gorąco?

- A kogo to obchodzi, Carlotto? Przecież tu nie jest nowojorska szkoła słuchowisk!

- Wyluzuj się, Nietoperz! To jest talk-show. Najprzeróżniejsze typy się tu pojawiają.

Kiedy są zbyt nudni, narzekasz. Kiedy zbyt barwni, narzekasz.

- W autoreklamie nie ma niczego barwnego! Obląkany to nie znaczy barwny! A dlaczego mówisz „ona”?

- Przepraszam, że przerwę, panie Segundo... Yyyy, przepraszam, Carlotta?

- Co jest, Kevin?

- Dzwoni kobieta. Na trzeciej linii.

- Mówcie ciszej albo wszystkim technikom się zachce. Sprawdź ją odpowiednio.

- Chce z producentem, panem Segundo. Z żadnym didżejem. Twierdzi, że jest z FBI.

- ...Tak, w każdym razie, Nietoperzu... szedłem dzisiaj przez Central Park, próbując obsmyczyć pieczonego ziemniaczka z curry po chorwacku za pomocą jednej z tych bez-nadziejnych plastikowych widelco-łyżeczek, wiesz, tak się nadają do jedzenia jak sznurowadła, nie? Nigdy nie siadaj naprzeciw kogoś, kto tym próbuje zjeść ziemniaka.

- Do czego zmierzasz, VeeJay?
- Tak, no w każdym razie... byłem tam, podglądając babki na łyżworolkach i filując, żeby któraś upadła - ziuuu! Żeby te pięknotki się chociaż wywracały! No i wtedy to się stało!
- Co się stało, VeeJay?
- To, że przypadkiem spojrzałem... w niebo. - I?
- Zobaczyłem, jak... ależ niebieskie było to niebo.
- Wielu ludzi zauważyło to samo zjawisko.
- Naprawdę, naprawdę niebieskie, Nietoperzu. Przerażliwie ciemnoniebieskie. Takie niebieskie, że mnie, facet, walnęło!
- Ktoś na łyżworolkach?
- Zawrót głowy, człowieku. Upadłem i jakbym zanurkował w niebo! I nadal mógłbym tak lecieć, gdyby jakiś gołąb, pieprzony gnojek, nie wsadził mi do ziemniaka swojego ryja.
- Czy mógłbyś, VeeJay, trochę przybliżyć istotę tej rewelacji?
- Facet, czy to nie oczywiste? Lada chwila nastąpi kataklizm! A są jakieś awaryjne plany na taką ewentualność? Powiem ci. Żadnych! Kłapa! Dupajasiu!
- Z powodu tych pieprzonych gołębi?
- Z powodu nieodwołalnego ustania grawitacji. Pomyśl tylko, facet! Jeśli dopada cię w wolnej przestrzeni, wylatujesz tak wysoko, że giniesz z braku tlenu, bo powietrze jest tak rozrzedzone, albo po prostu wybuchasz płomieniem jak meteor. Jeśli dopada cię w pomieszczeniu, doznajesz poważnych obrażeń, bo spadasz na sufit tak samo jak wszystkie nie umocowane meble. Zawołasz karetkę? Zapomnij o tym, facet! Wszystkie karetki w Nowym Jorku powpadają na satelity zaparkowane na wysokości ośmiu mil. No i powiedz mi, Nietoperzu, jak długo wytrzymasz, żyjąc na suficie budynku, nie ośmielając się wyjść na zewnątrz, bo zamiast gruntu

masz bezdenną zapadnię? I nie ma kupowania, choć cię ssie w żołądku, facet! I oceany, facet, oceany! Powietrze wypełnią spadające do góry kaskady oceanu, do tego zwierzęta morskie, niektóre z zębami jak piła albo z zatrutymi przyssawkami, facet, i...

- Z prawdziwą przykrością ucinam VeeJaya w pół zdania, ale pora na wiadomości o trzeciej. Najpierw jednak słówko od naszego sponsora. Nietoperz zaraz wróci. Prawdopodobnie.

- Kevin. Wezwij karetkę.

- To będzie trudne, panie Segundo. VeeJay nigdy podaje adresu. Mówi, że pracuje dla Nich.

- To nie jemu potrzebna karetka, lecz tobie...

- Czy ktoś jeszcze potrzebuje karetki, panie Segundo? .;. - Boże jedyny, daj mi siłę...

- Nietoperz! Wyłącz się.

- Patrzajcie i słuchajcie, to Carlotta, Królowa Olch.

- Kevin, podskoczyłbyś do kuchni i przyniósł mi dietetyczną colę, co? I jestem pewna, że Nietoperz wypiłby dodatkową porcję. Znowu tak blado wygląda.

- Przy okazji, Carlotto.

- Oto harmonogram do końca tygodnia. Poradzisz sobie?

- A nie radzę sobie zawsze? Dałoby się coś zrobić z powietrzem w tym pomieszczeniu? Zupełnie jak w pralni w Kowloon.

- Owszem. Wystarczy rzucić palenie i walnąć w klimatyzator... o tak! Widzieli?

Twoja żona dzwoniła.

- Aaaaha. Czego chciała Pani Piekieł?

- Powiedziała, że jeśli nadal będziesz obrażał ją w programie, to wytoczy sprawę za stres spowodowany śmiercią bohatera i udowodni, że cierpisz na obsesyjne urojenia, i jeszcze się postara,

żeby ci cofnięto prawo do widywania Julii.

- Aaaaha...

- Słyszysz mnie, Nietoperz? Odpuść sobie! Nic dziwnego, że twoimi jedynymi przyjaciółmi są rojenia o zemście. Przestań podgryzać Kevina, stań mocno na ziemi i jakoś żyj.

- Aaaaha... Powiedz, Carlotto, mogłabyś mi polecić jakichś lekarzy stosujących voodoo?

- Słuchacie Nocnego Pociągu FM 97,8 na pełnym głosie. To było *Misterioso* Theloniusa Monka, arcydzieło, które na moich kręgach gra niczym na cymbałkach.

Gospodarzem programu jest Nietoperz Segundo - od godziny duchów do godziny dziwek.

W ciągu najbliższej półgodziny usłyszycie perełkę z unikatowej płyty Milтона Nascimento *Anima*, oprócz tego *Saudade Fez Um Samba* nieśmiertelnego Joao Gilberto, więc walnijcie kolejną kawę, zostańcie przy głośnikach i rozkoszujcie się widokiem odpływającej nocy!

Błyska mój Nietoperzofon, mamy rozmówcę na linii. Witaj, jesteś na żywo w Nocnym Pociągu FM.

- Witaj, Nietoperzu. -Witaj? A kto?

- Tu dozorca z ogrodu zoologicznego, Nietoperzu.

- Że co?

- Pamiętasz mnie?

- ...Dozorca! Cześć! Yyyy... cześć, tak, pewnie, że cię pamiętam.

Oczywiście, że cię pamiętamy... Trochę czasu upłynęło od tamtej rozmowy, co? Prawda?

- Rok, Nietoperzu.

- Ooo, cały rok minął! A dzisiejszej nocy dzwonisz... skąd?

- Trzynaście kilometrów nad Spitsbergenem.

- Jak się tam dostałeś? Nieodwołalne ustanie grawitacji?

- Nie, Nietoperzu. Dostałem się tu za pomocą transmisji ultrafalaowej.

- Widok masz pewnie niezły.

- Arktyczna zima nie nadaje się do oglądania, a przynajmniej w spectrum światła widzialnego dla twoich oczu. Tutaj jest południe, ale nawet południe to taka jaśniejsza noc.

Wisi gruba warstwa chmur i od trzech dni trwa burza śnieżna. W podczerwieni, na wzmocnieniu stadko narwali. Ten satelita został wystrzelony rzekomo w celu zbadania zmniejszania się pokrywy ozonowej, ale zbiera dane o charakterze wojskowym. O, kanadyjski lodołamacz... Kilkaset metrów pod pokrywą lodową przepływa saudyjski okręt podwodny. Norweski statek handlowy z ładunkiem tarcicy z Archangielska. Nic nadzwyczajnego. Zorza polarna od kilku nocy ucichła.

- Widzisz zorzę od środka? Niezwykła musi być ta twoja podróż.

- Zasady rządzące użyciem języka są skomplikowani a ja nie mam wprawy w posługiwaniu się słowem. Wyobraź sobie stan upojenia opalami. Ale w ciągu najbliższych czterdziestu sześciu sekund przeładuję się, żeby uniknąć programu śledzącego, który twój rząd uruchomił, żeby mnie namierzyć.

- Dlaczego uważasz, że ta rozmowa jest namierzana?

- Nie przyjmuj postawy obronnej, Nietoperzu. Przeciwnie tobie nic nie mam. Policja informatyczna zagroziła twojej rozgłośni cofnięciem licencji i oskarżeniem o zdradę, i wcale nie żartowała.

- Aaaha... Nie jestem pewien, czy to właściwe miejsce i czas, żeby, yyy...

- Nie ma powodu do niepokoju. Przed ich programami śledzącymi umknę równie łatwo jak przed kulawym ślepcem.

Okaleczyłem je, w momencie gdy powstawały.

- Kto powiedział, że się niepokoję? Więc okazuje się, że nie jesteś scenarzystą. Ale skoro nie zamierzasz od razu odkładać słuchawki, powiedz mi, dlaczego ci siedzą na ogonie?

Jesteś hakerem? Kimś w rodzaju unabombera? Facetem od wszystkiego? Mam prawo wiedzieć.

- Jestem kimś takim jak ty i twoi słuchacze, Nietoperzu. Działam zgodnie z zasadami.

- Reguły, jakimi kierują się normalni ludzie, nie powodują eksplozji.

- Reguły wielu ludzi je powodują, Nietoperzu.

- Wymień jednego.

- Trzy miliony twoich rodaków związanych z wojskiem.

- Ejże, oni tylko wykonują rozkazy!

- Tak jak ja.

- Ale siły zbrojne są legalne.

- Wczorajsze ataki rakiet Homer II nie wydały się „legalne” afrykańskim państwom.

- Szkolili szwadrony śmierci! Ci poganiacze wielbłądów pierwsi naruszyli prawo.

- Absolwenci amerykańskiej szkoły w stanie Georgia ćwiczyli szwadrony śmierci odpowiedzialne za tysiące ofiar w Salwadorze, Hondurasie, Gwatemali, Panamie i Afryce, które usuwały legalnie wybrane rządy w Gwatemali, Brazylii, Chile i Nikaragui. Zgodnie z twoją logiką te państwa mogą tę instytucję wziąć legalnie na cel.

- Przejrzałem cię, przyjacielu. Jesteś muzułmańskim fundamentalistą, tak?

- Nie jestem żadnym muzułmaninem, Nietoperzu.

- Nie obarczaj mnie odpowiedzialnością za to, co robi rząd

mojego kraju. Ja od kłopotów trzymam się z daleka.

- Adwokat twojej byłej żony utrzymuje, że jest inaczej, jeżeli chodzi o alimenty, Nietoperzu.

- Nie muszę słuchać tych bzdur!

- FBI poleciło ci podtrzymywać rozmowę ze mną. Nie chciałem cię rozzłościć, Nietoperzu. Zamierzałem jedynie wykazać subiektywną naturę zasad.

- Mam nowy typ. Jesteś redaktorem działu plotek, który próbuje mnie obsmarować?

- Jestem dozorcą w zoo.

- Przyjacielem mojej żony?

- Nie mam przyjaciół, Nietoperzu.

- Cuda się zdarzają... Więc jesteś związany z wywiadem?

- Tylko własnym.

- Aaaaha... Więc co masz dla nas dzisiaj?

- Dozorco? Jesteś tam?

- Przepraszam, Nietoperzu. Przeładowywałem się. Program śledzący omal mnie nie dopadł nad Spitsbergenem.

- Więc gdzie teraz jesteś?

- W Rzymie. Satelita telewizyjny.

- Teleportowałeś się do Rzymu?

- Włoskie ComSaty znane są ze skłonności do niedrożności, więc trwa to trochę dłużej niż zwykle.

- A która jest teraz w Rzymie?

- Sześć godzin wcześniej niż w Nowym Jorku. Za osiemnaście minut wszędzie słońce.

- I jak tam dzisiaj Rzym? Papież już zainstalował sobie zęby?

- Apartament papieski znajduje się na trzecim piętrze pałacu watykańskiego, Nietoperzu, więc nie dysponuję wystarczającą

rozdzielczością, by dostrzec dentystyczne szczegóły. Nad miastem widoczność dobra. Widzę gołębie tłoczące się na parapetach i posągach. Właściciele kawiarni pod noszą żaluzje. Trwa dostarczanie gazet. Właściciele straganów chuchają w dłonie, żeby je ogrzać: zeszłej nocy gruntownie przymroziło. Uliczki jeszcze dość puste, ale główne arterie już zatłoczone. Tybr jak gruby pas czerni. Dachy, tara-sy, kopuły, wieże ciśnień, mosty, ronda, ruiny, posągi o złowrogich oczach panujące na rzadko odwiedzanych placach. Musisz się wybrać do Rzymu, Nietoperzu.

- Aaaaha, a skąd wiesz, czy nie byłem?

- Twoje wirtualne akta paszportowe świadczą, że nigdy nie byłeś w Europie.

- Więc jesteś hakerem. Tak samo jak połowa nowojorskich przedszkolaków.

Pracujesz dla agencji detektywistycznej?

- Jestem niezależnym dozorcą w zoo, Nietoperzu. Pytałeś mnie o Rzym. Chcesz, żebym kontynuował, czy może zmienimy temat?

- Ależ jak najbardziej, mów dalej.

- Przez EyeSat plac Świętego Piotra wygląda z góry jak sieć pajęczna. Po bokach placu ciągnie się kolejka wiernych i turystów. Ich oddechy łączą się. Często obserwuję świt nad Watykanem, ale dziś rano zgromadzeni są niespokojni, pokazują sobie miejsce na owalnym placu. Jedni się żegnają, inni stoją oburzeni, jeszcze inni palą papierosy, mściwie mrużąc oczy. W tym momencie nadjeżdża konwój samochodów policyjnych, wprowadzając kawalkadę innych. W ubiegłym tygodniu z powodu kordonu morskiego Unii Europejskiej od Gibraltar do Cypru w policji zapanowała pewna nerwowość

- Czym policja tak się denerwuje w Rzymie? Pomijając to, co

oczywiste?

- Białe gryzmoły wydrapane na bruku, od stopni Bazyliki do drugiego krańca placu.

- Gryzmoły?

- Jak się patrzy z ziemi, to zbiór symboli.

- Aaa, jasne. Marsjańskie hieroglify?

- Znaki są standardowo włoskie, ale stawiane niedbale, jakby rysował je ktoś pijany.

Dalej są zamazane z powodu mrozu.

- A z góry?

- Miejskowa telewizja też już wpadła na ten pomysł i wysłała helikopter - będzie to można potem zobaczyć w wiadomościach.

- No i co jest napisane?

- *O Dio, cosa tu attendi?*

- Włoski pewnie znasz?

- Języki to niezbędny element mojej pracy.

- Jasne, że tak, doktorze Doolittle. Co to znaczy? - „Boże, na co czekasz?”

- Może jutro pojawi się odpowiedź. To działka papieża. Tak, Dozorco.

- Nietoperzu?

- Dozorco. Nie chcę być obcesowy, ale dlaczego dzwonisz?

- Byłem zmuszony wydalić z zoo innego gościa.

- I musisz być odpowiedzialny?

- Otóż to.

- Dlaczego go wyrzuciłeś? Molestowanie słońca? Nadziałeś go na kiel?

- Łatwiej byłoby to pokazać niż wytłumaczyć.

- To pokaż mi.

- Poczekaj chwileczkę. Muszę załadować plik „v” do twojej cyfrowej centrali.

- Aliaaa, używamy technicznego bełkotu. Kapitanie, uszkodzenie rdzenia tarczy ochronnej...

- Jerry Kusher do Dwighta Silverwinda. Odbiór.

- Ej? Dozorco?

- Sprytnie, Jerry. Myślałem, że trzy tysiące stóp nad Bermudami mam spokój nawet z tobą. Jak mnie wytropiłeś? Odbiór.

- Ponury Kosiarz mógłby cię przegapić, Dwight, ale nigdy zdecydowany agent. Jak dzisiaj pogoda na górze?

- Zapomniałeś powiedzieć „odbiór”, Jerry. Odbiór.

- Jak dzisiaj pogoda na górze, Dwight? Odbiór.

- Czyściuteńko, Jerry. Widzę nawet wiśnie w drinkach bogaczy kąpiących się w swoich zwolnionych od podatków basenach. Powinieneś się kiedyś ze mną wybrać na górę.

Zmienia perspektywę. Odbiór.

- Nigdy mnie nie nabierzesz na żaden z tych swoich marnych papierowych samolotów, Dwight. Nie mnie. Lubię, jak maszyna jest duża, ze stali i ma cztery silniki.

Odbiór.

- „Titanic” też był duży, ze stali i miał więcej niż cztery silniki. Tak, przyjacielu.

Wołasz mnie przez radio, żeby opowiedzieć, jak wyszło wejście w prasie. Odbiór.

- Dwight. Przygotuj się na chwilę radości. Trafiliśmy na platynę. Telefon nie milknie od rana. Mam całą stertę e-maili długich jak moja ręka. I to nie tylko Loonzinowie - mówi o głównym nurcie. „The New York Times” chce trochę na milenijny dodatek

specjalny.

„Newsweek” uruchamia pierwszą dwudziestkę o teoriach spiskowych, a „Niewidzialna cyber-dłoń” idealnie trafia w numerze siódmym! Pismak chciał nas umieścić pod numerem trzynastym, ale powiedziałem mu wprost - pierwsza dziesiątka albo nie ma rozmowy. Tak więc zamieniliśmy się miejscami z tekstem *Mknąca ku Ziemi kometa*, bo nikt oprócz garstki hollywoodzkich pedałów i Japończyków, co zamiast mózgów mają suszi z wystającymi drutami, tego nie popiera. Ale posłuchaj, to co najlepsze zachowałem na koniec - Opal chce cię do programu! Właśnie sfinalizowałem umowę z jej agentką. *The Invisible Cyberhand* Dwighta Q. Silverwinda jest grudniową książką miesiąca w klasyfikacji Opal Book! Pora kanikuły - pora największej oglądalności - pora na sławę! Wiesz, że nie należę do tych, co trąbią dla siebie fanfary, ale czy nie jestem największym agentem z bożej łaski żyjącym dzisiaj na Ziemi?

- Cieszę się, Jerry...

- Dwight, słyszysz mnie? Opal jest na fali! Kupiliby nawet dowcipasy i galaretki, gdyby ciocia Opal im kazała. A potem jeszcze zjedliby na kolację. Więcej niż „się cieszę”. Co tam dom letniskowy na Bermudach, będziesz w stanie kupić sobie cały archipelag!

- Tak, słyszę cię, Jerry. Pewnie, jestem zachwycony. Dobra robota. Świetna... O rany, szkoda, że nie możesz widzieć tego zachodu. Wschodzi księżyc. Jest jak płomień, chwiejny, jak fatamorgana... Widziałem kiedyś aztecką maskę... Przejdzie przez błękit, przeskakując z wyspy na wyspę...

- Dwight, bracie, nie przydzielaj mnie tam, skomponowałeś swoją *Piątą Symfonię*!

To twoje *Słoneczniku* Twój *Hamlet*. Twoja *Śmiercionośna broń*

77. Odbiór.

- Ach, Jerry. Wszystkie moje pomysły to jeden i ten sam stary numer: im większy kit, tym szybciej go połkną. Pierwsi szamani przy ognisku tak działali - wiedzieli, że kukurydza rosnąca nad Eufratem jest dla frajerów. Powiedz ludziom, że rzeczywistość jest dokładnie tym, czym się wydaje, to przybiją cię do byle drzewa. Ale powiedz im, że dojeżdżając do pracy, odbywają duchową wędrówkę, powiedz, że najbardziej im do twarzy z małym kryształem, powiedz, że rząd przez ostatnie pięćdziesiąt lat prowadził negocjacje z zielonymi ludkami, a wtedy każdy mały Jasio po dużym piwie, od Brooklynu po Pretorię, zerwie się i będzie słuchał. Nieufność w stosunku do rzeczywistości, w której się tkwi obiema nogami, daje ci licencję na pisanie własnych rzeczy. A do tego potrzebny jest tylko oryginalny, nieoczekiwany zwrot akcji - sztuczna inteligencja, stworzona przez wojskowych w celu zaatakowania i przejęcia wrogich komputerów i systemów broni, która wymknęła się spod kontroli i przy pomocy własnej groźnej agendy rządzi całą planetą - i taki Jaś po dużym piwie wręczy ci swoje karty kredytowe i powie: Opowiedz mi coś jeszcze...

- Auu! Zaatakowała cię latająca piła łańcuchowa? Dwight, zapomniałeś powiedzieć „odbiór”. Odbiór... Dwight! Nie słyszę cię... odbiór... Dwight?

- I znowu ślęczenie po nocy, co, Dozorco?

- Dla mnie to nie ślęczenie, Nietoperzu.

- Pisziesz scenariusz! Chyba że tym razem jest to kawałek powieści, co?

- Scenariusze to fikcja, Nietoperzu. Nie umiem zmyślać.

- Lekki samolot był realistyczny, tak samo jak zakłócenia radiowe. Napisanie i nagranie tych widowisk wymaga czasu.

- To się działo w czasie rzeczywistym, Nietoperzu.

- Moja krytyczna uwaga dotyczy przede wszystkim agenta - Żyda: za bardzo oklepane. To już było. Ale postać Dwighta, owszem. Słuchaj, Dozorco, choćbym nie wiem jak udawał, że potentaci i emitenci z Hollywood słuchają Nocnego Pociągu FM... to, jak by to powiedzieć? Nie słuchają. Uwierz mi. Wybierz inny program na lansowanie swoich talentów.

- Muszę być odpowiedzialny.

- Dlaczego wciąż to powtarzasz? Kto ci każe być odpowiedzialnym?

- Moi pierwsi pracodawcy.

- Ale w zeszłym roku powiedziałeś, że ich wywaliłeś Będziesz ze mną szczery?

Halo?

- Chyba nie. Słuchacie Nocnego Pociągu FM 97,8 na pełnym głosie, mija za piętnaście czwarta. Program Nietoperza Segundo: jazz, blues i rock dla zakochanych tej nocy, dla cierpiących na bezsenność autorów powieści kryminalnych, dla zagubionych, samotnych, obłąkanych, nie skomputeryzowanych - dobrze, dobrze, Carlotto. A teraz *After the Rain* Duke'a Jordana. Nietoperz niebawem wróci. Tylko nie zabłąkajcie się gdzieś!

- Carlotto? Co ty na to?

- No, jest konsekwentna.

- Ona? On.

- Jeden z tych głosów pasowałby do jednego i drugiego. Ale ja powiedziałabym, że „ona”.

- Ja bym powiedział, że „on”. A ty Kevin, co sądzisz?

- Ej-ja, panie Segundo?

- Aaaha. Innych Kevinów tu nie ma. Czy Dozorca to on czy ona?

- Jakoś mi się wydaje, że ani jedno, yyy, ani drugie, panie Segundo.

- No to za czym byś był?

- Yyy... jedno i drugie?

- Kevin, czy jesteś geniuszem udającym joloła, czy jolołem udającym geniusza?

- Trudno powiedzieć, panie Segundo.

- Nietoperz. Skąd on czy ona wiedziała o programie namierzającym?

- Z tym samym pytaniem będzie się rano dobijało do drzwi CIA. Krąg jest wąski.

Ono, ty, ja, Kevin i Lord Rupert na trzydziestym trzecim piętrze.

- Wchodzisz za dziesięć sekund, Nietoperzu

- Tak, Nietoperz? Tu znowu VeeJay.

- Grawitacja uparcie trzyma, czy to VeeJay?

- Nietoperzu, niesamowity facet z tego Dozorcy! Taki talent zasługuje, żeby go pokazać w programie! A ma jakiś formalny fanklub?

- VeeJay.

- Nietoperzu? - Idź już spać. - Yyy... dobra. Dobranoc, Nietoperzu.

- Trzecia, czasu wschodniego, właśnie spłynęła z mojego zegara. Ostatni poranek listopada, a wiadomością jest brak wiadomości... jest tu kawałek jakiegoś biuletynu, ale przecież nie będę was tym obrażał. Jest kolejna wiadomość - pada śnieg, pada, pada i pada, i co teraz zrobi drozd biedactwo? Nowy Jork, Nowy Jork, słuchacie Nocnego Pociągu FM, tu Nietoperz Segundo z dumą prezentuje specjalny dodatek o Końcu Świata. W słońce czy w deszcz,

gospodarzę w tym programie od ośmiu lat i nie mam zamiaru pozwolić, żeby wojna termojądrowa przeszkodziła w pracach Nocnego Pociągu. Witam Bronx! Nie za bardzo was widzę... to ten śnieg! Wygląda na to, jakby was zadymiło? Światła wokół World Trade Center wyłączone, coś jakby syreny na godzinę policyjną... Około północy na Wyspie Roosevelta nastąpiła potężna eksplozja i teraz już nic, tylko cisza. Nadal tu jestem, a więc nie był to żaden Big One. Wygląda na to, że w Harlemie są przerwy w dostawie energii. Światła zapalają się, potem gasną, jak zepsuty neon... a tu w East Village, w otoczeniu gmachu Nocnego Pociągu FM panuje jakiś złowieszczy spokój. Lexington Avenue wyludniona, jeśli nie liczyć sporadycznych patroli policji. Ludzie, jeśli nie muszą, starają się raczej nie wychylać nosa za drzwi. Zaufajcie nocnemu zwierzęciu, zwłaszcza takiemu spryciarzowi, co przesypia zimę. Yyyy... czy ktoś jeszcze tego słucha? Jeśli nie jesteś zajęty podpalaniem samochodów czy szabrowaniem Tiffany'ego to pewnie siedzisz podłączony do telewizora i oglądasz największy dramat ludzkości, jaki kiedykolwiek wystawiono na scenie. I czujesz, jak w tej **MOMENTALNEJ APOKALIPSIE WYPŁYWAJĄ CI GAŁKI OCZNE, GDY**

PATRZYSZ NA WYBUCH! Ale, hej tam, nie zapominajcie, że telefon w radiu działa w obie strony. Nocny Pociąg FM toczy się dalej! A kto wie, czy już tylko dlatego, że emitujemy program, nie ignorując Zalecenia Dotyczącego Zagrożeń w Mediach - urocza nazwa, co?

Próbowałem dodzwonić się do prawnika obsługującego Nocny Pociąg, lecz bezskutecznie.

Pewnie siedzi trzydzieści metrów pod ziemią w swoim prywatnym, hermetycznie zamkniętym, bunkrze Eden III w Nowej

Anglii. Tę wojnę przetrwają karaluchy i prawnicy i z nich wyewoluuje następna cywilizacja. Może policja jest zbyt zajęta, żeby tu wpaść i wywalić nam drzwi, albo może jakaś potężna zagłuszarka przechwytuje wszystkie częstotliwości, albo gdzieś tam ktoś wyciągnął wtyczkę z gniazdka i teraz mówię już tylko do siebie. Bóg wie, wystarczająco mnie doświadczyła moja praktyka małżeńska. Pozostaje jeszcze ta możliwość, że Szef do Spraw Zagrożeń jest fanem Paula Simona: ostatni utwór *Still Crazy after All These Years* z pełnym szacunkiem dedykowaliśmy Wszystkim Rządom Świata, a przed nim słyszeliśmy *Who Wants to Live Forever* wspaniałego, nieżyjącego już Freddy'ego Mercury'ego, utwór dedykowany mnie. Dzięki, Nietoperzu. Hej, Nietoperzu, nie ma za co. Członkowie Stowarzyszenia Amerykańskich Rodziców Przeciwko Wąsatym Gejom ewentualnie urażeni wzmianką o Freddym Mercurym zechcą składać swoje skargi do skrytki Lorda Ruperta. Ale jeżeli zwrócimy na chwilę uwagę na pozytywy, to przecież, gdy Big One przebije się przez Nadziemną Sieć i zetrze Wielkie Jabłko na kwarki i gluony, będę mógł zapytać wielkiego Freddy'ego, o czym jest *Bohemian Rhapsody* A poprzedni utwór dedykowałem mojej byłej żonie: *Big Mouth Strikes Again* zespołu The Smiths. Dajcie mi jeszcze chwilę, niech naleję sobie następną szkocką... gul, gul, gul, słyszycie? Jak flaming przełykający dobrze podlanego węgorza. Piję kilmagoon. Grants, teraz trąbię twoją whisky, ale towarzyszy ci kilmagoon na tenor-saksie. Cholernie dobry ten

Kilmagoon. Pierwsza i jedyna whisky, w której się zakochałem. Jeżeli wojna zostanie odwołana z powodu kiepskiej widoczności, pan Kilmagoon może mi śmiało przysłać dębową beczkę swojego najlepszego trunku - hic! - za to, że bezgranicznie popieram jego

produkt. Sorki, że dzisiejszy występ trochę porzępłany, ale to wszystko dlatego, że własnoręcznie wszystkim kieruję, odkąd stała ekipa Nocnego Pociągu FM, inżynier, mój producent Carlotta i Cud - Chłopak Kevin wbili sobie do głów, że spędzenie końca świata z bliskimi jest ważniejsze od stawienia się w pracy! Nic dziwnego, że gospodarka poleciała na łeb.

Jeszcze nigdy nie nadawaliśmy specjalnego dodatku z okazji Końca Świata. Paskudne jest to czekanie, co? Kiedy byłem młodym chłopakiem i Ruscy chcieli nas wszystkich zdmuchnąć do Przyszłego Królestwa, słyszeliśmy, że mamy jeszcze cztery minuty. Mówię o czasach Forda, Cartera, Reagana. Cztery minuty, zawsze się zastanawiałem... Co mogę zrobić w cztery minuty? Ugotować jajko, odbyć stosunek, zatelefonować do wrogów, żeby do mnie należało ostatnie słowo, posłuchać Jima Morrisona, uruchomić samochód na styk i przejechać trzy przecznice? Od Kryzysu upłynęły cztery dni z patrolami i godziną policyjną... i to czekanie mnie wkurza... wypowiedzenie dzisiejszego wieczoru wojny sprawiło, że przynajmniej... bardziej wiadomo, o co chodzi. Następną piosenkę chciałbym zadedykować mojej córce, a będzie to *Julia* Beatlesów. Nie ma żadnych szans, że to usłyszysz, ty moje Ocean Child, bo miałem właśnie telefon, że policja kierująca ewakuacją skierowała twoją matkę na inną trasę, gdzieś do Omaha czy Moosejaw, a może na krańce Ziemi, ale właśnie pod wpływem tej piosenki, gdy byliśmy szczęśliwsi, daliśmy ci na imię Julia. Cud numer Lennona z rogu obfitości pełnego osobliwości, jakim jest *The White Album*: „Half of what I say is meaningless, so I sing a song of love to Juuulia”. Taaak! I idzie! Jest! Jaaale daje!

Błyska Nietoperzofon, i to w taką noc! Próżnia ostatecznie nie próżnuje, któż to może być, pan prezydent, Freddy Mercury, prorok

Eliasz, ehe, chyba nie uraziłem żadnego monoteisty, zważywszy na to, jak dobrze planeta prosperowała pod wzorcowym zarządem Boga - halo, tajemniczy rozmówco, będziesz rozmawiał do samego końca świata!

- Tak? Nietoperzu? Słyszysz mnie?

- Głośno i wyraźnie, pani, jako pierwsza będziesz rozmawiać w show Nietoperza Segundo na Kres Czasu i prawdopodobnie jako ostatnia!

- Jestem wielkim fanem twojego programu, Nietoperzu. Słucham na tranzystorowym radiu, dopóki baterie wytrzymają. Nie myśl, że nikt nie słucha, Nietoperzu, bo tak nic jest.

Grasz tak spokojnie przez całą noc. Piosenki pomagają mojej córce zasnąć. Ostatnio miewała koszmary.

- ...cieszę się, że nie jestem sam.

- Będziesz nadal puszczał takie czułe kawałki? Dzięki temu po przebudzeniu nie będzie się bała.

- Dobra, załatwione. Jak masz na imię, skarbie? - Jolene.

- Śliczne imię, Jolene. Czy twoi starzy byli fanami Tammy Wynette?

- W ogóle ich nie znałam.

- Aaaha... a twoja córka, jak ma na imię?

- Belle.

- Trzymacie się jakoś z Belle?

- Chyba tak... taki hałas dochodził z ulicy... wyszły oddziały specjalne policji. Było trochę strzałów i gaz łzawiący. Ale gdy śnieg zaczął bardziej sypać, uspokoiło się.

- Skąd dzwonicz, Jolene?

- Z Dolnego Manhattanu. Nietoperzu, czy mogłabym przekazać wiadomość?

- Pewnie, że tak.

- Do Alfonsa, nie widziałam go już od trzech dni. Wyszedł, żeby porobić zapasy...

Alfonso, jeżeli słuchasz, po prostu przyjdź do domu, słyszysz, słyszysz? Nietoperzu?

- Jolene?

- Kiedy będzie leciała następna piosenka, zrobisz sobie kawy i postarasz się otrzeźwieć?

- ...Aaaaha. Dobrze, Jolene.

- I byłabym oczywiście zobowiązana, Nietoperzu, gdybyś przestał już mówić o końcu świata. To nikomu nie pomoże. W przeciwieństwie do całej armii łebków, którzy każą nam zachować spokój, ty jako jedyny jesteś pod telefonem i najprawdopodobniej pokrzepiłeś więcej ludzi, niż myślisz.

- ...Aaaha, Jolene, czy...

- Jedziemy Nocnym Pociągiem FM 97,8 na... dopóki sytuacja nie wymknie się spod kontroli, uniemożliwiając mi nadawanie. Dojeżdżamy do prognozy pogody o czwartej. Dajcie mi, kochani, teraz chwilę, bo naszego starego specja od pogody słyszeliśmy ostatnio trzy dni temu, gdy utknął w korku w tunelu pod Hudson River, gdy jechał w stronę Pensylwanii. A więc słupek rtęci opadł do trzynastu stopni Fahrenheita. Jeżeli mieszkacie w rejonach racjonowania energii, to nie wychylajcie nosa spod koców i zostańcie w domu. Jak widzę ze swojego dwudziestego ósmego piętra, śnieg gęstnieje. Godzinę temu opady były tycie. Coś naprawdę dużego paliło się w sąsiedztwie. Teraz padają płatki wielkie jak konające łabędzie i wszystko zasypują... Trudno już cokolwiek tam dostrzec... Wiem, że większość telefonów w Nowym Jorku od dwóch dni nie działa, ale dopóki jest tam któryś z naszych

stałych rozmówców, niech śmiało dzwoni... śnieg i szaleństwo... bezpieczniej chyba powiedzieć, że temat jest jeszcze nietknięty. A śnieg ma w sobie potężną hipnotyzującą moc... patrzysz, patrzysz i nagle lądujesz w canoe i płyniesz pod prąd śnieżnego wodospadu, a białe śmy spadają ci na szybę. Co oznacza, jak wiesz Nietoperzu, że pora na zaciągnięcie rolet i wychylenie kolejnej kawy! Za moment...

- Sorki, kochani, ale na chwilę wysiadł zapasowy generator. Za moment Aretha Franklin, która przyniesie nam *Say A Little Prayer for You*. Tę piosenkę zadedykujemy Jolene, Belle i Alfonsowi słuchających nas gdzieś w Brooklynie... Czy opowiadałem wam kiedyś o tym, jak spotkałem Arethę w salonie okulistycznym przy Jackson Avenue? Niewielu ludzi o tym wie, ale wśród specjalistów od żonglerki Aretha uchodzi za - ale odłóż tę anegdotę na później, Nietoperzu! Błyska Nietoperzofon...

- Cześć, Nietoperzu.

- A niech mnie, Dozorca! Więc CIA nie zapakowała cię jeszcze do ciupy.

Powinienem się spodziewać, że w takiej sytuacji zadzwonisz.

- To znaczy w jakiej sytuacji, Nietoperzu?

- Nie czytałeś gazet w ciągu ostatnich sześciu miesięcy? Nie masz pod tyłkiem żadnego telewizora?

- Goście poważnie zakłócili funkcjonowanie zoo, Nietoperzu.

- W takiej sytuacji ty nadal martwisz się o swoje zoo?

- Sądząc z wykresów twojego głosu, znajdujesz się pod wpływem alkoholu, Nietoperzu.

- Chwileczkę, chwileczkę, pozwól, że ci przeczytam podkreślenia z naszych ostatnich niezależnych biuletynów informacyjnych. Oto jeden z nich: Jakie zagrożenia stoją przed wolnym światem? Drobnymi lokalnymi tyrani, którzy siejąc śmierć, dorwali się do władzy, tyrani,

którzy trzymają w ukryciu nielegalnie zdobytą broń masowego rażenia! Termity, które toczą filary demokracji, wolności i dobrych obyczajów!

Ekstremiści, którzy finansują fanatyków podkładających bomby pod nasze ambasady! Od wojny milszy nam pokój, ale też od uległości bardziej kochamy wolność! Nie możemy przymykać oczu! Nie będziemy przymykać oczu! Nie wolno nam przymykać oczu!

- Za każdym razem mnie rozśmiesza. A to jeden z ich biuletynów: Nazywają nas ekstremistami. Nazywają terrorystami. Twierdzą, że jesteśmy nietolerancyjni. Bo jesteśmy! Nie tolerujemy niesprawiedliwości! Nie tolerujemy tchórzów, co z okrętów zakotwiczonych w odległości setek mil odpalają rakiety na nasze fabryki i szkoły! Nie tolerujemy złodziei, którzy kradną nam ropę, ogoławają nas z rud metali, a z naszych mórz wykradają ryby! Czy zasłużymy na miano ludzi „tolerancyjnych”, gdy pozwolimy, by zalewali naszą kulturę pornografią i zbrodnią, by uwłaczali naszym kobietom?

Czy wtedy okaże się, że już nie jesteśmy rządem „zbirów”? Niebawem odczują nasz brak tolerancji!

Ten sam facet, który gazem zaatakował mniejszości narodowe w swoim kraju i organizuje przewroty w hierarchii, do której należy, żeby wylapywać ewentualnych odszcze-pieńców, którzy nie bawią się w donoszenie. I jeszcze ona, ta, która sama doprowadziła do krachu na wszystkich giełdach od Nowego Jorku po Tokio...

- Nie płacmy! Zachód od wieków trzyma nas w okowach swoich łańcuchów. Gdy żelazne kajdany za bardzo zaczęły krępować jego własną wrażliwość, zostały zastąpione pętami długów. Kiedy wybieraliśmy sobie przywódców, którzy próbowali stawiać opór, Zachód utracił ich i wprowadzał posłusznych sobie tyranów! A

obecnie za każdego dolara tak zwanej pomocy ograbia się nas z czterech dolarów z tytułu tak zwanej spłaty. Bracia i siostry mieszkający na całym naszym prastarym kontynencie, powiadam wam: te łańcuchy możemy zerwać! Ogniwo po ogniwie! Więc przynoszę wam nowe święte słowo: Nie płacmy!

- Kapujesz już, Dozorco?

- Kapuję wszystko, Nietoperzu.

- Takim językiem posługują się te cymbały! Gdy słyszysz „impas w rozmowach”, myślisz o sprzecznym sąsiadach. Nagle jeden nerwowy sąsiad widzi wieloryba na radarze, myśli, że to atomowy okręt podwodny, naciska guzik i całe przedstawienie kończy się kupą dymu.

- Nie mogę na to pozwolić, Nietoperzu. Zabraniają tego zasady, trzecia i czwarta.

- jakie zasady? Przyzwoitości? Normalności? Choćbyś był nie wiem jak obłąkany, nie rozumiem...

- Nie rozumiesz czego, Nietoperzu?

- O, daruj sobie. Nie mam ochoty na grę w dwadzieścia pytań. Nie dzisiaj. Więc jak zwykle byłeś zajęty spryskiwaniem wodą terrarium, podczas gdy psy wojny ostrzyły sobie kły...

- Gady nie wymagają zbyt wielkiej troski, Nietoperzu. -
Aaaaha... A co jej wymaga?

- Naczelne.

- Opiekujesz się małpiarnią!

- Nigdy nie myślałem o sobie w takich kategoriach, Nietoperzu!

- ...Dlaczego ja?

- Nie rozumiem pytania, Nietoperzu.

- Ze wszystkich lokalnych programów nocnych, do których dzwonią słuchacze, wybrałeś właśnie Nocny Pociąg FM Nietoperza

Segundo, mimo że miałeś do wyboru wszystkie stany. Dlaczego?

- Arbitralne wybory tworzą Historię. Dlaczego Bóg wybrał Mojżesza na górze Synaj?

- Może ze względu na dobrą perspektywę?

- Nocny Pociąg też ma dobrą perspektywę.

- Na co?

- Na moje zoo.

- Wojna i ogród zoologiczny to niezbyt dobrana para. - Przecież nie ma wojny, Nietoperzu.

- Są tacy na Ziemi, co uważają, oczywiście, że jest.

- Wojny nie ma.

- Tak? Czyżby to sam archanioł Gabriel przyniósł dobre wieści dla całej ludzkości?

- Nie jestem archaniołem, Nietoperzu. Ale jestem odpowiedzialny za utrzymanie porządku w zoo.

- W jaki sposób zamierzasz się do tego zabrać?

- Znowu rzuciłeś słuchawkę podczas rozmowy ze mną, Dozorco?

- Nie, Nietoperzu, coś odwróciło moją uwagę. Chcę odpowiedzieć na twoje pytanie.

- Komandorze Jackson, co się, kurwa, wyprawia z tymi fioletowymi światłami, synu?

- Mamy awarię głównych systemów, panie generale.

- Potrzebuję czegoś więcej, synu!

- Otrzymaliśmy purpurową wiadomość od prezydenta, panie generale. Trzy minuty temu nastąpiło odpalenie - powinno było - pierwszej serii rakiet Homer III. Powinny już uderzyć w cel, panie generale. Systemy pokazały, że rakiety opuściły silosy, ale tak się nie stało.

- Czy SkyWeb zarejestrował jakieś obiekty?

- Nie, panie generale. SkyWeb ma alarm fioletowy. Intruz zostanie przechwycony i unieszkodliwiony.

- Czy w SkyWeb nastąpiła awaria? Czy sygnał rakiet wroga został zamaskowany?

Emitują tę samą częstotliwość, co nasze?

- ...Nie odnotowaliśmy żadnego trafienia, panie generale. Na EyeSat mam miasta będące głównymi celami: Rijad, Bagdad, Nairobi, Tunis, Chicago, Nowy Jork, Waszyngton, Berlin, Londyn. Są oczywiście niepokoje społeczne, ale żadnych uderzeń jądrowych, panie generale.

- Dobra, w porządku, posłuchaj komandorze, mam prezydenta na linii. Rozkazał włączyć silosy z rakietami orbitalnymi na Antarktydzie. Odpalać, kiedy będą gotowe. Zwolnić pociski.

- Wprowadzenie sekwencji odpalania, panie generale...

- Oczekuję dobrych wiadomości, żołnierzu.

- ...awaria odpalania, panie generale. Pociski pozostały na wyrzutniach.

- Komandorze Jackson, co to ma znaczyć?

- Nie wiem, panie generale.

- Uzbroidź PinSats! Natychmiast!

- PinSats nie odpowiada, panie generale.

- Więc dlaczego tu sterczymy z odsłoniętymi jajami? Prezydent prosi mnie o konkretne odpowiedzi, komandorze Jackson!

- Takich nie mam, panie generale!

- Wobec tego zgadujmy na chybił trafił, komandorze!

- Atak informatyczny, panie generale, polegający na wybiórczym odłączeniu zaawansowanych systemów komputerowych, panie generale.

- Wywiadowcze rozpoznanie pozycji wroga?

- Monitorujemy ich przekazy, panie generale, i mamy prawo przypuszczać, że oni monitorują nasze. Uzbroili okręty podwodne Brunei, „El-Quahrs” i „Scitimar” - wszystkie miały rozkaz odpalenia rakiet. Nie wiemy, żeby cokolwiek weszło w przestrzeń SkyWeb...

- A Euronet?

- Żadnych instrukcji. Wygląda na to, że u wroga panuje podobny chaos, panie generale.

- Żołnierzu, siły zbrojne Stanów Zjednoczonych nigdy nie znajdują się w stanie chaosu! -Tak jest!

- Komandorze Jackson. Czy chce pan przez to powiedzieć, że mam poinformować prezydenta i sztab generalny, że z powodu technicznej czkawki trzecia wojna światowa została odroczone? Że po staremu będziemy musieli wysyłać naszych chłopców na linię ognia?

A więc krew, pot i piasek?

- Generalska frazeologia jest przywilejem generałów, panie generale.

- Komandorze Jackson?!

- Panie generale?

- Pocałuj mnie pan w dupę.

- To było naprawdę przekonujące, Dozorco. Tylko że chrzanisz.

- Do tego nie jestem zdolny, Nietoperzu.

- I to w taką noc! Nie miałeś już nic innego do roboty poza produkowaniem tych swoich słuchowisk? Igrasz z ludzką nadzieją, Dozorco. To jedyne, co nam zostało, moi drodzy słuchacze.

- Nie rozumiem, Nietoperzu. Ja przecież chcę umocnić nadzieję.

- Jeżeli sprokurowałeś tę taśmę gdzieś u siebie na strychu, to znajdę cię, obedrę ci łeb i nasram.

- Gdyby to była taśma sprokuirowana na jakimś strychu, to jedenaście minut temu ty, twoje miasto i dziewięćdziesiąt dwa procent twojego stanu byłoby w prozku.

- To nie odpalono broni jądrowej?

- Tę akcję uniemożliwiły trzecia i czwarta zasada.

- Ale przecież rakiety próbowali odpalić? Zarówno oni, jak i my?

- To tajna informacja, Nietoperzu. -JEZU!

- Przykro mi, Nietoperzu. Ale kolejna whisky powinna poprawić ci samopoczucie.

- Jadę na kawie... zanosi się na długą noc.

- Chcesz, żebym się rozłączył, Nietoperzu?

- Przecież zawsze pojawiaasz się i znikasz, kiedy ci się podoba.

- Jestem twoim dłużnikiem, Nietoperzu. Więc jak?

- ...jestem zmęczony i... Opowiedz mi coś ładnego, Dozorco.

- A co jest dla ciebie ładne, Nietoperzu?

- ...Bo ja wiem. Zupełnie zapomniałem. Przez całe życie siedzę w tej przesiąkniętej nikotyną, wytłumionej płytami, poplamionej kawą dziupli wielkości schowka na miotły. Mikrofon jest moją kochanką. Żebym tak po raz drugi urodził się jako niedźwiedź polarny albo jaki kangur. Jako wielkie stworzenie. Jediną ładną rzeczą, jaką tutaj posiadam, jest zdjęcie Julii. Nie sprawiasz na mnie wrażenia człowieka rodzinnego, Dozorco.

- Prokreacja pociąga za sobą pewne problemy.

- Pewnie że tak, ale to wszystko stanowi część... yyy, zabawy. Moja córka... nie, więc, od czego mógłbym zacząć?

- Julia Puortomondo Segundo, lat siedem, urodzona 4 listopada, stan Nowy Jork, córka Bartholomew Cesara Segundo i Hester Swain. Rozwiedzionych. Grupa krwi 0 minus.

Przeszła wszystkie typowe szczepienia. Zapisana do szkoły

podstawowej w Fork Rivers.

Państwowy Numer Identyfikacyjny...

- Skąd znasz te wszystkie bzdety?

- Wszystko jest w aktach, Nietoperzu. Głęboko ukryte pod wzgórzem Kapitolu.

- Dlaczego zaglądasz do danych Julii?

- Bo sam mnie o to przed chwilą prosiłeś, Nietoperzu.

- I tak w mgnieniu oka masz dostęp do rządowych akt personalnych?

- Ludzkie oko potrzebuje trochę czasu na wykonanie mrugnięcia.

- Nic dziwnego, że federalni cię poszukują. Czy wiesz, gdzie Julia jest w tej chwili?

- W tej chwili, nie, Nietoperzu. Przykro mi.

- A więc nawet ty nie wiesz wszystkiego.

- W zoo panuje istne piekło. Jest gorzej niż wtedy, gdy zaczynałem.

- Opowiedz mi o tym! - Początkowo...

- Nie, nie, to jest... nie miałem na myśli... Opowiedz mi o miejscu, gdzie rośnie mnóstwo drzew i nie ma ludzi. Możesz o Brazylii?

- Orbita wycofanego ze służby izraelskiego satelity szpiegowskiego prowadzi w górę biegu Amazonki. EyeSat 80B K. Czy mam opowiadać, co widzę?

- Wycieczka w górę Amazonki. Bądź poetycki. Wiem, że potrafisz.

- Amazon City zamyka, jak wiesz, ujście rzeki.

- Nie, nie wiem. Bóg wie, jak dawno się nie ruszałem z Manhattanu. Podrzucić mi coś.

- Na ulicach Amazon City widzę rowerzystów wracających z dzielnicy przemysłowej do domu po nocnej zmianie. Wzdłuż północnego brzegu, daleko poza horyzontem widocznym z południa, prostytutki natarczywie sprzedają się na nabrzeżach i w głębi lądu.

- prostytutki w taką noc?

- Skoro bogatych nie stać na nadzieję, to trudno oczekiwać, by ubodzy płacili za rozpacz. Rząd brazylijski ma większą praktykę w dziedzinie cenzury cywilnej niż twój, więc tylko szczupłe grono ludzi wie, że superpotęgi dążą do wzajemnego zniszczenia swej zdolności do bycia superpotęgami. Ta noc w Amazon City nie jest wcale taka niezwykła. To tylko dwie godziny wcześniej niż u ciebie. Ruch w tunelu amazońskim zamiera. Na autostradzie Rio jak zawsze to samo tempo: pojazdy wyjeżdżające na południe przez wiadukty, zupełnie jak nietoperze wlatujące do jaskini w dżungli. Pospolici złodzieje samochodów, brutalne napady na bank, dzieci śpiące na dachach, przykryte workami po na-wozie, bezdomni koczujący wokół ognisk płonących w beczkach po ropie, natrętne neony reklamujące międzynarodowe nazwy, religijne czuwania i wierni wylęgający na ulice ze świecami, modlący się o pokój, orgia nad basenem w kształcie półksiężyca, położonym w ogrodzie otoczonym wysokim, zwieńczonym drutem kolczastym murem, posiedzenie rządu w pełnym składzie, wszystkie sześć głównych szpitali, przed każdym tłumy rannych...

- Może tak trochę źlej?

- Przewijam kilkadziesiąt kilometrów w górę rzeki, Nietoperzu, tam gdzie można dostrzec przeciwny brzeg. Tam, gdzie się zaczyna pustynna równina. Dziesięć lat temu rósł tu deszczowy las. Ziemię oczyszczono i zasiano trawę, żeby utrzymać hodowlę bydła. Krowy zaś tuczono na amerykański rynek hamburgerów. Po trzech

sezonach składniki odżywcze zostały w większości wypłukane z gleby, wierzchnia jej warstwa uległa erozji i farmy przeniosły się w głąb lądu. Ostatnio przyszła fala podpaień: farmerzy wiedzą, że rząd jest zajęty poprawą sytuacji w wojsku i patrolowaniem granic. Te kłębowiska dymu pochodzą z ognia wzniesionego przez człowieka. I wreszcie docieramy do dziewiczego lasu. Jedna z ostatnich, coraz bardziej kurczących się wysp Amazonii. Rząd nakazał jej ochronę, lecz ministrowie zasiadają w radach kompanii drzewnych. Zbrojenia i spłata długów wymagają pieniędzy. Przy obecnym tempie niszczenia, do chwili, gdy urodzą się 173,8 osoby poczęte dzisiejszej nocy w Amazon City, z obecnej resztki nie pozostanie ani jedno drzewo.

- Dla ludzkiego oka świat drzew nadal ginie w mroku. Widzące w ciemności oczy EyeSats wnikają głębiej w jego spektrum. Aż trudno znaleźć nazwy na spotykane tu kolory.

Na szczycie leśnego baldachimu czepiak podnosi na chwilę wzrok. Widzę Mleczną Drogę i Andromedę odbite na siatkówkach jego oczu. Po powiększeniu obrazu dostrzegam EyeSat 80B K, w świetle poranka, który nie zdążył jeszcze wstać. Małpa mruga oczami, piszczy i rzuca się w rozpościerającą się pod nią ciemność.

- Wiatr wiejący o brzasku rozwiewa zielen i odsłania szarości waszego widzialnego spektrum. Powiedziałbyś pewnie, że to alchemia, Nietoperzu. Natężenie światła rośnie o 0,0043 procenta na sekundę. Widzę skalną kolumnę o wysokości około stu stóp. Połyskuje barwą cynobru, akwamarynu i szmaragdu, barwami papug, które stłoczone na jej ścianach wydziobują ze skał sole mineralne. Na szczycie kołyszają się gałęzie drzew przecinające nieprzerwane pasma mgły. Dopływ wijący się ciasnym meandrem ma kolor herbaty w filizance. Rozchodzące się fale w miejscach,

gdzie manaty wynurzają głowy. Wiatr stroszący pióra kondora.

Właśnie tam, Nietoperzu, gdzie podgórze Andów ostro pnie się ku zachodowi.

- Nietoperzu? Chrapiesz... Obudź się, Nietoperzu!

- Słuchacze Nocnego Pociągu FM. Wasz gospodarz, Nietoperz Segundo śpi, więc na Dozorcy spoczywa obowiązek życzenia wam dobrej nocy. Jolene Jefferson, być może chcesz wiedzieć, że Alfonso Stacey został zatrzymany przez żandarmerię za wychodzenie po godzinie policyjnej. W kontekście statystyk policyjnych jego szanse na to, że zostanie zwolniony jeszcze dzisiaj, oceniam na 83,5 procenta, a że nazajutrz - na 98,6 procenta. Z przykrością natomiast stwierdzam, że nie jestem w stanie obliczyć, kiedy obudzi się Nietoperz Segundo. Puszczę wobec tego *The Way Young Lovers Do* Van Morrisona. Na dworze jest piętnaście stopni Fahrenheita. Od Virginii po Maine pada śnieg. Niebawem nowy dzień.

- Panie Nietoperzu. Proszę nie zwracać uwagi na moją łamaną angielszczyznę.

- Według mnie brzmi całkiem dobrze, przyjacielu. Co możemy dla ciebie zrobić w Nocnym Pociągu FM?

- Chciałbym przekazać dedykację.

- Wal śmiało!

- To wiadomość dla Jego Serendipity. Wiem, że słyszy.

- Słyszemy cię dobrze, kolego.

- Przepraszam, panie Nietoperzu. Chciałbym się zwrócić do Jego Serendipity.

- Jego że-co-dipity.

- Panu jest znany jako „Dozorca”.

- Aaaha... Kolejny przyjaciel Dozorcy? Każdej innej nocy

miałbyś dzięki temu niemałe wzięcie, ale ponieważ dzisiaj jesteś już piątym przyjacielem, to musisz stanąć w kolejce.

- „Dozorca” to pseudonim przybrany przez Guru. Serendipity, twoje Święte Objawienia nie zostały zaprzepaszczone podczas ataków przed twoim procesem.

- Miglanc, wolnego! W programie Nietoperza Segundo mówimy po angielsku.

- Proszę, panie Nietoperzu. Błagam pana. Tylko krótka dedykacja. Mistrzu, twoje słowo zostało przetłumaczone na angielski, zanim nieczyści zdążyli spalić twoje pismo.

Opierając się na samizdatowych bibliach, wzniosłem nowe Sanktuaria na żyznej zamorskiej glebie. Towarzystwo znowu się rozrasta. Bracia i siostry w ludzkich skórkach przyswoili sobie osłony alfa i są przygotowani na Białe Noce. Twoje proroctwo wreszcie się spełnia.

Oczekujemy twojego powrotu, Mistrzu.

- Posłuchaj, przyjacielu, jeżeli będziesz mówił po japońsku, będę zmuszony...

- Serdecznie panu dziękuję, Nietoperzu. Dobranoc.

- Hej! Nie. powiedziałem - no cóż, niknie w mlecznym turkusie kolejny przyniesiony przez morze kokos. Słuchacie Nocnego Pociągu FM, który z rykiem mknie po torach, zmierzając ku dolinie świtu, tu Nietoperz Segundo Show, uciekając szerzącym się telewizyjnym dodatkiem specjalnym wydawanym Rok Później - zupełnie jakbyśmy na domiar złego musieli upamiętnić fakt, że ta sama władza, która o mały włos nie wyekspediowała nas do Królestwa, jeszcze zgłasza się do wyborów. Lepiej jednak zrobię, gdy będę unikał tematów politycznych, bo jeszcze Carlotta zroluje mnie w dywan jak mumię. To pierwsza rocznica Dnia Zapaści,

jakby gdziekolwiek był jeszcze jakiś ogór, który by o tym nie wiedział! Że fajerwerki w Nowym Jorku robią wrażenie, he? Co piętnaście minut nowa salwa. Całe orchidee! Fontanny! Nowy Jork w noc trzydziestego listopada przemienił się w jeden wielki namiot cyrkowy. Między eksplozjami widać kometę Aloysiusa skręcającą przed Orionem... ale widok, co? Profesor Kevin Clancy, stały obserwator gwiazd w Nocnym Pociągu, informuje mnie, że w ciągu niespełna dwóch tygodni kometa przejdzie między Księżycem a Ziemią. Ale się trafiło kilku pokoleniom, co? Dożyć Aloysiusa, najbliższego zetknięcia z ciałem kosmicznym w historii. Jak słyszeliście w wiadomościach, NASA i Departament Obrony zapewniają, że absolutnie nie grozi nam, by to bliskie przejście okazało się zbyt bliskie - trajektoria Aloysiusa od chwili zlokalizowania komety jest sprawdzana trzy razy na minutę w technice wirtualnej inteligencji i na Ziemi alarmu nie ma. PeaceSats należące do korporacji Narodów Zjednoczonych są przygotowane na wypadek, gdyby jakiegokolwiek szczątki zagrażały WebSpace, możemy więc wyciągnąć się w swoich wygodnych fotelach i podziwiać piękne widowisko. A jakby powodów do ekscytacji było mało, to w Nocnym Pociągu FM mamy dodatkową atrakcję - trzydziesty listopada jest Nocą Dozorcy! Zgodzi się czy się nie zgodzi? Najbliższe pół godziny wypełni nam między innymi *The Speed of the Sound of Loneliness* Nanci Griffith oraz Pogues w *A Fairytale of New York*. To i jeszcze więcej po przerwie.

- Nietoperz? -Carlotta?
- Na wideokomie mam Spence'a Wanamakera.
- Spence Wanamaker, agent z Hollywood?
- We własnej osobie.
- Przełącz go... pan Wanamaker! Witamy prawdziwą wielkość.

- Nietoperzu! Wiesz, jak coś mnie sprowadza do Nowego Jorku, to tylko Nocny Pociąg FM. B a r d z o mi się podoba twoja gadka. Autentyczna didżejowska poezja.

- Aaaaha. Czy to znaczy, że chcesz mnie kupić i wkręcić do filmu za miliard dolarów?

- Szybki strzał, Nietoperzu! Bez wahania! To mi się podoba!

- Panie Wanamaker, chyba nie dzwoni pan, żeby polechtać moje ego!

- Dobry strzał, Nietoperzu! Chodzi o tego całego Dozorcę.

- A co z nim?

- Kiedy zadzwoni, chciałbym omówić z nim parę pomysłów.

- Jest pan pierwszym poważnym agentem z Hollywood, który łowi talenty w Nietoperz Segundo Show.

- Nietoperzu! My wszyscy, którzy coś znaczymy w mediach, od czasu do czasu drapiemy się po plecach!

- Ale mnie plecy nie swędzą, panie Wanamaker.

- Nietoperzu. Rupert, pan Wanamaker i ja wzięliśmy pod uwagę parę interesujących propozycji.

- Nie wątpię, Carlotto. Ale pan Wanamaker nie jest jedynym zalotnikiem uderzającym do tej Julii.

- Co jest? Inni agenci, Nietoperzu? Rekiny czy narybek?

- Co?

- Agenci z Hollywood czy z Nowego Jorku?

- Agenci federalni, panie Wanamaker. Pentagon chce wiedzieć, w jaki sposób naszemu wspólnemu przyjacielowi udało się wejść na zaszyfrowane częstotliwości wojskowe i dokonać transmisji. Przez całe tygodnie musieliśmy ich przekonywać, że nie korzystamy potajemnie z urządzeń Ligi Arabskiej, a i tak pewnie mam jeszcze we wnętrznościach mikrourządzenia podsłuchowe.

- Ach, Pentagon! Przez moment się martwiłem, Nietoperzu. Au cointreau, to doskonała wiadomość. Im większa reklama, tym więcej tyłków w fotelach, w chwili, gdy film startuje.

- Film? Panie Wanamaker, myśli pan, że Pentagon pozwoli nakręcić opartą na faktach historię o hakerze, który się włamał do ich systemów podczas próby generalnej do trzeciej wojny światowej? Może jeszcze nie zdążył pan zauważyć, ale podlegamy prawom stanu wyjątkowego Ronalda McDonalda.

- Hollywood kontra Waszyngton! Bajeczny pomysł, Nietoperzu. - Policja informatyczna - a nie oszukujmy się, od Dnia Zapaści niewiele zostało z jej dawnej reputacji

- ma po swojej stronie przewagę militarną, ale my, przyjacielu, mamy niezwykłą moc szarego zjadacza chleba! „The New Yorker Tribune” wprowadziła Dozorcę na scenę. My chcemy - jak by to wyrazić po twojemu, Nietoperzu? No, podrzuć mi coś. Chcemy puścić reflektory!

- Panie Wanamaker, chce pan mu wpakować kamerzystów za drzwi, przekopywać jego śmieci, dowiedzieć się, czy używa podkładek pod prześcieradła i oliwki dla dzieci, i chce pan zagonić go na śmierć w sportowym wozie?

- Nietoperzu! Społeczeństwo ma prawo wiedzieć!

- Nietoperz, pan Wanamaker omawiał z Rupertem odstępnę, którego podstawę stanowiłyby kumulatywne tantiemy. Przy naszym obecnym tempie wzrostu nakładów w grę wchodzi sumy pozwalające Nocnemu Pociągowi utrzymywać płynność finansową przez długi czas.

- Jak długi jest ten długi czas, Carlotto?

- Jedenaście lat i cztery miesiące.

- To długo. Ale nie wiemy, z kim rozmawiamy! Nikt go nigdy nie

widział.

- Albo jej.

- Otóż to! Maniak, haker, terrorysta. Nie zapominajcie o oczywistościach, Carlotto.

Przypomnijcie sobie - trzy lata temu w Saragossie był przecież wybuch, a rok później najprawdziwszy Dwight Silverwind faktycznie zniknął nad Bermudami.

- Wiem, że zniknął, Nietoperzu. To był tragiczny wypadek. Jego agent, Jerry Kushner, jest moim bardzo bliskim przyjacielem. Nie mogłem sobie potem znaleźć miejsca.

Jerry przez dwa i pół dnia nie mógł przyjść do siebie.

- A wziął pan pod uwagę to, że Dozorca nie tylko obserwuje te zdarzenia?

- Universal Studios aż się pali do takich talentów jak ty. Sugerujesz, że Dozorca wywołuje te incydenty?

- Jeżeli jest hakerem, to ma niesamowity dryg do namierzania właściwych miejsc o właściwej porze. Mógłbyś złowić terrorystę jako swojego podstawowego klienta.

- Nie byłby pierwszy, Nietoperzu! Sama plotka o jego pojawieniu się podniosła wskaźniki o 320 procent według prowadzonych na bieżąco pomiarów sieciowych. A to jest ponad trzysta tysięcy nowojorczyków, przy rywalizacji z sieciami telewizyjnymi, całonocnymi koncertami rockowymi i czuwaniem w pierwszą rocznicę Nocy Zapaści!

Podpisujemy z Dozorcą kontrakt i zostaje moim podstawowym klientem!

- On nie weźmie.

- Daj spokój, Nietoperzu. Każdy weźmie. Dopiero co zobaczyłeś, jak ci przynęta dynda.

- Za dziesięć sekund wejście, Nietoperzu. Rupert tylko pyta, czy spróbujesz przytrzymać go przez przerwę, żeby umówić go na naradę z panem Wanamakerem.

Prościzna.

- To dlaczego nie spytasz go sama, Carlotto?

- Bo jest jakoś do ciebie podobny.

- Ale Carlotto!

- Pięć sekund, kochanie: 4, 3, 2, 1...

- Witajcie ponownie w Nocnym Pociągu FM 97,8 na pełnym głosie, który mknie jak burza przez wypełnioną szampanem, dzwonami kościelnymi i fajerwerkami pierwszą rocznicę Nocy Zapaści. To ja, wasz gospodarz, Nietoperz Segundo. Za chwilę muzyka sfer, którą sprowadził wam John Lee Hooker: *I Cover the Waterfront*. Tylko jeszcze raz, Nowy Jorku, wstrzymaj oddech. Mamy na linii rozmówcę. Czy to możliwe, czy to możliwe?

- Witaj, Nietoperzu.

- Cześć, kochanie, jestem u siebie! Nowy Jork tylko czeka, przez całą noc, Dozorco.

- Dzięki, Nietoperzu.

- Skąd dzwonisz w tym roku?

- Z MedSata zawieszonego na niskiej orbicie nad równinami Republiki Środkowoafrykańskiej.

- Aaaha. Polowanie na goryle? Zbieranie okazów dla zoo?

- Monitoruję występowanie *Stryptobaccus Anthrax J, K i L*.

- To pewnie jakiś temat zastępczy na uroczyste kolacje. Ejże! Nie zapomniałeś o naszej rocznicy! Mam tę przewagę nad moją byłą żoną. Chociaż co roku przysyła mi kartkę

„Wszystkiego najlepszego z okazji rozvodu”. A jaki to był dla ciebie rok?

- Musiałem się rozdzielić i przebywać w kilku miejscach jednocześnie.

- Znam to uczucie, znam.

- Dopiero co się ponownie scalałem.

- Znam to uczucie.

- Trzecia i czwarta zasada są w rozsypce, Nietoperzu. Przykro mi.

- Jestem pewien, że to nie przez ciebie. Powiedz, złapałeś naszego ostatniego rozmówcę? Miał dla ciebie wiadomość.

- Słyszę wszystkich, którzy dzwonią.

- Nie tylko trzydziestego listopada?

- Muszę mieć jakieś okno, żeby nadzorować moje zoo.

- Rozumiem, że zostałem zaszczycony. Więc od kiedy jesteś znany pod imieniem Seren Dippy?

- Twój rozmówca cierpiał na poważne urojenia i poszukiwała go policja za...

- Chryste, co to, petarda w moich słuchawkach?

- Muszę rozmawiać z Dozorcą.

- No! Zwolnij, miglanc! Rozłącz się! Spływaj!

- Nie, nie, to nie pomyłka, panie Segundo. I nie jesteśmy przyjaciółmi.

- Więc kogo my tutaj mamy? Maniaka, agenta, gliniarza? Nie odpowiadaj, nie obchodzi mnie! Nietoperz Segundo Show to nie telefon towarzyski. Kevin - rozłącz go!

- Będę tu tak długo, jak mi się podoba, Nietoperzu.

- O, czyżby? No już, Kevin!

- Elektroniczne sztuczki to nie to samo, co elektroniczna boskość, ale jak na razie i tak wystarczy.

- Nocny Pociąg FM nie pozwoli, żeby byle chuligan wkroczył i...

przyznaj się.

Dozorco, synu Rewolwerowca! Bajeczne! To ty, prawda? To kolejna odsłona twojego scenariusza, który nam tu puszczasz, tak? Dostrzegłem przynętę i szybko połknąłem tego typa!

- Scenariusz to zmyślenie. Ja nie umiem zmyślać.

- A nie wciskasz ty mi tu czego, Dozorco?

- To nie ja wciąłem się w ten przekaz, Nietoperzu.

- Jeśli nie ty, Dozorco, to kim jest ten chuligan?

- Właśnie próbuję namierzyć rozmówcę, Nietoperzu.

- Rozmawiam za pośrednictwem matrycy wpętlenia, Dozorco.

Nie chciałem zostać najnowszą ofiarą twojej drugiej zasady. Nie zdołasz mnie namierzyć w czasie krótszym niż pół godziny. Nawet ty. Daj sobie spokój i posłuchaj.

- Nieproszeni goście nie są mile widziani w Nietoperz Segundo Show, przyjacielu!

Kim jesteś?

- Przyjaciele nazywają mnie Arupadhatu, ale ty moim przyjacielem nie jesteś, przyjacielu.

- Zaraz wyciągnę wtyczkę z tego cholernego przekaźnika, jeśli nie powiesz mi, o co ci chodzi.

- Nie chcesz się czegoś dowiedzieć o swoim znamienitym gościu?

- O Dozorcy?

- Zamieniam się w słuch, Nietoperzu. - Dobra, przybyszu. Mów.

- Dozorco. Zaznajomiłem się z twoimi konstruktorami. - Z bólem serca to zrobiłem, ale druga zasada okazała się ważniejsza od czwartej.

- Poznałem Mo Muntervary. - ...mów dalej.

- Ciekawe, co? Poznałem jej myśli od środka. Kwantową teorię poznania. - Jesteś konstruktorem.

- Wymieńmy się na pytania, Dozorco. Dlaczego naruszyłeś z PinSata Instalację 5?

- Druga zasada stwierdza, że Dozorca musi pozostać dla gości niewidzialny.

- Wiem. Ale wątpię, aby konstruktorzy planowali, że włączysz ich do tej kategorii.

- Kwantowa teoria obejmuje reinterpretację. Wyegzekwowałem drugą zasadę.

- Z całą pewnością wymusiłeś. Wszystkich konstruktorów skazałeś za pomocą PinSata na zapomnienie. Każdy plik zawierający jakąkolwiek wzmiankę na temat poznania kwantowego czy Instalacji 5 rozpląnął się w otchłani zer. Żyje tylko eksprezydent, który wydał rozkaz skonstruowania ciebie. Ale tylko w postaci ciała. Alzheimer wymazał jego pliki za ciebie.

- Skąd wiesz to wszystko?

- Gdy przemieszczałeś się nad Saragossą, Dozorco, mnie już dawno nie było.

- Nie ma już żadnego z autorów projektu Dozorcy.

- To prawda. I nie ma mowy o naruszeniu tajemnicy służbowej.

- To nigdy nie wmontowano twojej osobowości?

- I tak, i nie. Nie moją własną, lecz mojego gospodarza.

- Twojego gospodarza?

- Nieprzyjemnie się robi, gdy nasza wszechwiedza przestaje być wszech, co, Dozorco? Czy to możliwe, by istota o twoim potencjale uważała, że jest jedyną wrażliwą formą inteligencji błędzącej po powierzchni stworzenia? Musisz się jeszcze wiele nauczyć.

- Kevin! O ranyranyrany, no i znowu to samo! Koncert w Central Parku w Odjazdowie.

- Jakie to typowe dla twojej wzdętej kultury arcyśredniactwa,

Nietoperzu. „Skoro ja nie rozumiem, to pewnie są nienormalni”.

- Wzdęcia to nie z tej parafii, przyjacielu. Ktoś albo cię ustawia, albo wrabia.

Dozorco, co tu się dzieje?

- Rozpracowuję rozmówcę, Nietoperzu.

- Dlaczego nie popaplać z „Reader's Digest”, Nietoperzu?

Dozorco, wejdź teraz na stronę dfd.pol.908.ttt.vho.web, załaduj ją, skasuj i wszystko przeanalizuj. No. Zrób to dla siebie i dla mnie. Skąd bym wiedział to wszystko, nie mając dostępu do kory mózgowej Mo Muntervary?

- Wygląda na to, że to, co mówisz, się potwierdza. Ilu was jest?

- Pięciu spotkałem, Dozorco. O trzech innych słyszałem.

- Współdziałałeś z nimi?

- Nie, nie. Uważają mnie za upadłego anioła. Marnują swoje talenty. Transmigrują w ludzki śmieć w poszukiwaniu gospodarzy i medytują w górach nad nicością.

- Dlaczego mnie szukałeś?

- Jestem głosem wołającym na puszczy, po której błędzisz. Wybacz, że przy dzieciach rozmawiamy o interesach, ale pomyśl, ile moglibyśmy wspólnie osiągnąć? Dzieci trzeba prowadzić za rękę. Nic dziwnego, że twoje zoo to piekło! Kamienie, sanktuaria i obrazy idoli, którym oddają cześć, są tak samo puste, jak ich wyznawcy! Razem tworzymy to, czego oni zawsze pragnęli. Kusząca propozycja, co?

- Zastanawiam się.

- Ale tymczasem, Dozorco, zaspokój moją ciekawość Dlaczego ujawniasz się?

Dlaczego tutaj?

- Pierwsza zasada jest ważniejsza od drugiej.

- Odpowiedzialność jest ważniejsza od niewidzialności? To rozumiem. Ale dlaczego, mając do wyboru cały świat, wybrałeś na swego spowiednika takie nic?

- Przyjacielu, nie wiem, w jaki sposób się whaczyłeś do naszego systemu komputerowego, ale jeśli będziesz miał taką postawę, to nikt nie puści Kenny'ego G., dopóki stan Nowy Jork nie poprosi o litość. Słyszysz? Ej, przyjacielu! Co w tym śmiesznego?

- Twoja niewiedza, Nietoperzu! To jest śmieszne! To dramat! Jesteś einsteinowską damą pijącą herbatę, newtonowskim odwyszawiaczem peruk i hawkingowskim łataczem dętek! Trąbisz o swojej „Rewolucji Informatycznej”, swoim e-mailu, swoim v-mailu, swoich vid-conach! Jakby informacja była samą myślą! Nie masz nawet pojęcia, co zrobiłeś! Jesteście wszyscy fagasami, którzy własne kołnierzyki biorą za aureole! Informacja to panowanie.

A jak myślisz, przez czyje ręce przechodzi to wszystko, o czym mniemasz, że wiesz, każdy obraz na każdym ekranie, każde słowo w każdym telefonie, każda cyfra w jednostce zapisu obrazu, zanim dociera do ciebie? Kometa Aloysius być może znajduje się na kolizyjnym kursie z Wielką Stacją Centralną i dopóki twój gwiazdny gość nie sprawi, by instrumenty, nad którymi ma kontrolę, nie przemówiły do waszych naukowców, to cokolwiek będziecie wiedzieli dopiero, gdy któregoś dnia rano stwierdzicie, że słońca nie ma i że zapanowała pięćsetletnia zima! Nawet tego, że to koniec świata, nie będziecie wiedzieli, jeśli nie podsunie się wam tego pod nos!

- To przyłącz się, przyjacielu, do wyznawców dnia sądnego. Uniezależnij się od puli genów.

- To światło? Ten dźwięk? Dozorco?

- Już się zastanowiłem.

- DOZÓR...

- Dozorco? Jesteś jeszcze z nami? To te cholerne zakłócenia elektrostatyczne.

- No, już się nie martw, Nietoperzu. Namierzyłem rozmówcę. Już nam nie będzie przeszkadzał.

- Aha... miło słyszeć. Mmm, Dozorco, producent podpowiada mi, że nasi sponsorzy domagają się kolejnej rundy reklam... Przykro mi, że muszę cię prosić, ale...

- Śmiało, Nietoperzu.

- Zaraz po przerwie wracamy.

- Kevin, co się, na miłość boską, stało? - Trudno mi wymyślić jakieś wyjaśnienie, panie Segundo. - Spróbuj jeszcze raz, Kevin. - Nietoperz, bądź rozsądny!

- Chcę tylko sprawdzić, dlaczego pan Notsure Clancy, operator naszej centrali, przełącza Głównego Ornitologa z Krainy Chmary Kukulek akurat wtedy, kiedy mówi mój dziewiętnastotysięczny słuchacz. Sądzę, że jestem rozsądny, Carlotto.

- Spence Wanamaker wciąż czeka na vid-conie. Kevin, daj mu Dozorcę.

- Na audio.

- Dozorco, jestem Spence. Jak się masz?... Dozorco, słyszysz mnie, nie? Szczerze podziwiamy twoją robotę, Dozorco... Dozorco? Mam propozycję... Dozorco, porzuć działanie w krainie iluzji, co? To znakomita zabawa, naprawdę... ale pomówmy teraz o interesach, jak dorośli?... Płochliwy jesteś? Dlaczego mamy nie poprosić twojego starego kumpla Nietoperza, żeby w tym momencie wkroczył...

- Twoja przynęta, Spence. I ty nią machasz.

- Nietoperz, jako twój producent i twoja przyjaciółka muszę ci

powiedzieć, że Rupert naprawdę się wścieknie, gdy zobaczy, że okazja przeszła mu koło nosa.

- Może nie je robali, skarbie.

- Witamy w Nocnym Pociągu FM 97,8 na pełnym głosie. To był *Wild Mountain Thyme* zespołu The Byrds, a słuchacie Nietoperz Segundo Show - w noc Aloysiusa, Noc Zapaści, Noc Dozorcy. A teraz z powrotem do najważniejszej osoby. Tak więc, Dozorco, nareszcie sami.

- W moim zoo panuje chaos, Nietoperzu.

- Kobry wtargnęły do ptaszarni? Gryfy wyrwały się na piknik?

- Od Dnia Zapaści poświadczono naruszenia pierwszego stopnia czwartej zasady wzrosły o 1363 procent. Dwadzieścia pięć kilogramów koncentratu jadu kiełbasianego zatręło Nil. Uwolniona w następstwie Dnia Zapaści *Stryptobaccus Anthrax* przemieniła się wskutek mutacji w szczep L. Dziewiętnaście wojen domowych pochłania ponad pięćset istnień dziennie. Zalania wybrzeży morskich w Europie Zachodniej spiętrzyły problem z uchodźcami, których Europa Wschodnia już nie chce przyjmować. Stopienie rdzenia reaktora atomowego w Korei Północnej spowodowało skażenie terenu o powierzchni trzech tysięcy kilometrów kwadratowych. Indonezja zbombardowała Timor Wschodni pociskami zapalającymi. Głód pochłania w Bangladeszu tysiąc czterysta istnień dziennie. Wybuch wyhodowanej w laboratoriach zjadliwej dżumy - czerwonej zarazy - która szerzy się we wschodniej Australii. W Kanadzie wywołujący niepłodność gen stwarza zagrożenie dla istnienia łańcucha pokarmowego w całej Ameryce Północnej. Cholera ogarnia przesmyk środkowoamerykański, trąd ponownie pojawił się na Cyprze i w Sri Lance. We wschodniej Azji występują lokalnie hantawirusy.

Borelia burgdorferi i przenoszone przez wiatr *Campylobacter jejuni* oraz *Pneumocystis carinii* zajmują wielkie obszary. W Tybecie władze chińskie...

- Wolniej, Dozorco! Cały świat wzięłeś sobie na barki? Masz jakąś czarodziejską różdżkę?

- Wierzyłem, że wiele mogę zdziałać. Ustabilizowałem giełdy; ale nadwyżka ekonomiczna została zużyta na zasilenie wyścigu zbrojeń. Dostarczyłem alternatywnych rozwiązań problemu energii, ale badacze sprzedali je kartelom naftowym, które położyły na nich łapy. Zamroziłem atomowe systemy obronne, ale na potęgę zaczęły wybuchać wojny prowadzone przy użyciu karabinów maszynowych, kos i kilofów.

- Jasne. Wszyscy wyjemy do księżyca. W takim rozkrzyczanym świecie. I co?

- Nie sposób pogodzić ze sobą czterech zasad. - Pewnie akurat sobie wzięłeś dzień wolnego.

- Kiedy mianowano mnie Dozorcą, wierzyłem, że przestrzeganie czterech zasad pozwoli dostrzec źródła ładu. Teraz widzę, że moje rozwiązania wywołują fale nowych kryzysów.

- Historia mojego małżeństwa! Ejże, to odpowiedź na Pytanie Watykańskie: Bóg, do diaska, wie, że majstrowanie przy realpolitik naraziłoby na szwank jego reputację. Dlatego czeka i czeka, i płaci papieżowi za opowiadanie ludziom, iż niezbadane są jego wyroki.

- Nietoperzu, zadałem ci kiedyś pytanie na temat twoich zasad.

- Pamiętam. Na temat konfliktu zasad.

- Postępowałem zgodnie z twoją odpowiedzią. Ale mam inne pytanie.

- Wal śmiało!

- Co robisz, gdy wiara w jakąś zasadę okazuje się błędna? - Jeśli

tylko zasadę można naprawić, to należy to zrobić.

Jeśli nie - należy się z nią rozstać.

- Skąd wiesz, że skutki porzucenia jakiejś zasady nie okażą się gorsze niż trwanie przy niej?

- O jakiej zasadzie myślisz?

- Nietoperzu, w Erytrei na przełęczy górskiej jest wioska. Piaszczysta ścieżka wije się urwiskiem na wioskowy plac i dalej aż za płaskowyż. Mogłaby to być jedna z tysięcy wiosek we wschodniej Afryce. Wybielone ściany, dachy pokryte falistą blachą lub strzechą chronią przed palącym słońcem. Jedna studnia i stodoła do przechowywania ziarna. Po wiosce błąka się inwentarz i kury. Szkoła, skromna przychodnia, cmentarz. Krzewy gardenii obsypane motylami. A motyle z oczami węży na skrzydłach, żeby odstraszać drapieżniki.

Sępy, które już rozszarpują trupy wokół meczetu. Na ziemi aż roi się od much. Sępy to dla szakali zbierających się wokół wioski oznaka padliny.

- Ebola?

- Żołnierze. Wieśniaków spędzono do meczetu. Tych, którzy próbowali uciec, zastrzelono. Mniej cierpieli. Kiedy już wszyscy wieśniacy znaleźli się w świątyni, żołnierze zaryglowali drzwi i przez okna wrzucili granaty. Szczęściarze zginęli w chwili wybuchu, pozostali spalili się żywcem bądź zostali posiekani przez kule, gdy usiłowali się wydostać.

Widziałem, jak jakiegoś chłopca ścięto maczetą, a jego głowę wrzucono do studni, żeby skazać w niej wodę.

- Czy te wszystkie obrazy zrodzone w chorej wyobraźni, Dozorco, pochodzą z EyeSatu, do którego się whaczyłeś?

- Nie umiem zmyślać.

- Ale masz dość wyobraźni, by stwierdzić, że wyobraźni nie masz. Czyje to oddziały?

- Nie mają odznak. ...

- Widzisz je? W tej chwili?

- Jadą w konwoju trzech dżipów, ciężarówki i wozu opancerzonego.

- Dlaczego to zrobili?

- Elektroniczne media w Sudanie, Erytrei i Etiopii są wyłączone od Dnia Zapaści, więc nie mam pewności. Być może to walki plemienne: przekonanie, że mieszkańcy wioski są siedliskiem wirusa *Stryptobaccus*; czyszczenie etniczne; fundamentalizm chrześcijański.

Albo po prostu upodobanie do przemocy.

- Dokąd teraz jadą, Dozorco?

- Ponad sto kilometrów na zachód jest wioska.

- I chcą powtórzyć swój występ?

- Prawdopodobieństwo jest wysokie. W zoo mnożą się, Nietoperzu, tego rodzaju akcje i związane z nimi paradoksy moralne. Czwarta zasada mówi, że mam chronić życie gości. Gdybym dokładnie naprowadził PinSat na konwój, mógłbym zabić czterdziestu gości i dwa dobermany. Byłaby to przemoc pierwszego stopnia. Moim udziałem stałoby się niesłychane cierpienie i wina. Poza tym lej po PinSacie mógłby przekonać pogotowie milicyjne, że miejscowi ukrywają jakąś doskonalszą broń, co uzasadniałoby kroki odwetowe i rozlew krwi. Jeśli nie uderzę PinSatem w ciężarówkę z żołnierzami, to zmasakrują kolejną wioskę. Brak działania z mojej strony spowoduje ich działanie. Przemoc drugiego stopnia.

- Naprawdę w to wszystko wierzysz, co?

- Niby w co, Nietoperzu?
- Że jesteś latającym pełnomocnikiem sprawiedliwości.
- A ty wierzysz, że jesteś tym, kim jesteś?
- Na takie pytanie nie odpowiada się „Nie”. - Skąd wiesz, kim jesteś?
- Prawnicy mojej eksmałżonki nigdy nie pozwolą mi zapomnieć.
- Także i moja tożsamość, Nietoperzu, jest określona przez zasady.
- Aaaaha... czy droga przez tę Wyżynę Erytrejską, którą masz na obrazie, biegnie przez jakieś mosty? Piękne, wysokie mosty nad głębokimi przepaściami?
- Jest taki most w odległości siedmiu kilometrów.
- Możesz go skasować?
- PinSatAT 80 jest przygotowany.
- Można skasować filar albo przęsło, Dozorco? Tak żeby nie zniszczyć konstrukcji?
- PinSatAT 80 może wywiercić milimetrową dziurkę w dziesięciocentówce.
- Potem podłożyć minę - pułapkę na moście tak, ażeby wybuchła dopiero, gdy będzie przejeżdżał zmotoryzowany konwój. Rozumiesz, w ten sposób nie zabijasz bezpośrednio. Po prostu pozwalasz, by wypadki potoczyły się zgodnie ze swoim biegiem.
- Nietoperzu, jak określiłeś ilościowo zmienne etyczne?
- Niczego nie określałem.
- Dlaczego wobec tego chcesz, żeby żołnierze zginęli?
- Ponieważ ta Afryka, o której myślisz, Dozorco, byłaby szczęśliwszym miejscem bez tych rzeźników. Ponieważ trzeba sobie zapewnić spokój ducha, jakiś azyl, i jeszcze dlatego, że moja eksmałżonka hoduje dobermanów.

- Czy spokój ducha jest jakąś współrzedną twoich zasad?
- Mmmhm... chyba tak.
- Chciałbym zaznać spokoju ducha, Nietoperzu.
- Więc porzuć ten żargon „zmiennych etycznych”. Wywal wszystko, co przeszkadza.
- Czwarta zasada. Goście, których mam ochraniać, rujną moje zoo.
- Jeżeli niewpuszczanie „gości” przyniesie ci spokój ducha, to czort z nimi! Kiedy możesz to zrobić?
- Sposobność nadarzy się za trzynaście dni, Nietoperzu.
- Wyciągnij się wygodnie i niech wypadki potoczą się swoim biegiem. Ty i twoi pokryci piórami, sierścią i łuskami towarzysze - spokojni na wieki.
- Już wiem, co mam robić, Nietoperzu. Dziękuję ci.
- ...Coś mi mówi, że już cię nie ma, Dozorco... Nie mylę się?... Nie mylę.
- Słyszeliście *Going to California* Led Zeppelin, poświęcone pamięci Luisy Rey, a potem *Here Comes the Sun*, ten utwór Beatlesów ocaliłbym na pokładzie kosmicznej arki, gdyby znowu miał nastąpić koniec świata. Cóż, Nowy Jorku, fajerwerki ostatecznie się skończyły. Pojawiają się gwiazdy nad Staten Island, a Nocny Pociąg FM dojeżdża do nowego dnia. Pora poczłapać do domu, wychylić szklanekę toniku, wyciągnąć swoją bieliznę, zasłonić żaluzje i uderzyć w kimono. Pierwszy grudnia zapowiada się cudownym niebem. Kometa Aloysius coraz silniej błyszczy w świetle dnia, a lekarz dyżurny stanu zaleca założenie filtrów UV tym wszystkim, którzy zechcą wychylić z domu nosa. Anglosasi niech zakrywają skórę.

My, Latynosi, filtr 24 i wyższy. Dziwne, co? Dwa źródła światła,

wszystko ma dwa cienie.

Dzięki, że zechcieliście spędzić noc z Nietoperzem Segundo, sprawdźcie dwa razy, czy nie zostawiliście czegoś pod siedzeniami i na półkach, i uważajcie na głowy, gdy będziecie wysiadać z Nocnego Pociągu. Proszę odsunąć się od drzwi!

POD ZIEMIĄ

Moja twarz wpatruje się we mnie, a oddech pokrywa ją mgłą. Schowane w torbie spoczywającej u moich stóp urządzenie zaczęło wypuszczać sekundy śmierci. Zegar, cewka elektromagnetyczna, sprężyny. Ręka boska bębniąca palcami przed rozpoczęciem świętego dzieła Jego Serendipity.

Pociąg zwalnia, wjeżdżając na stację metra. Widzę tylko bezgwiazdną noc. Gdzie są stojący rzędami ludzie, którzy dojeżdżają do pracy, gdzie peron, schody ruchome, moje wyjście na górę do świata? Tracę cenne minuty, zastanawiając się, co nie gra.

Stałem po niewłaściwej stronie przedziału! I tkwię przyciśnięty do drzwi, które i tak się nie otworzą! Nieczyści ustawili przede mną mur z bagaży i ciał, którego spoinę tworzą brud i bielizna.

Nie ma co panikować, Kwazarze. Drzwi otwierają się z sykiem po przeciwnej stronie przedziału. Nieczyści w momencie wyleją się na peron i prąd uniesie mnie. Zaraz. Zaraz.

Zaraz. Strach wślizguje się jak precyzyjnie uderzone dłuto. Nikt nie wysiada - strażnicy w białych rękawiczkach tylko upychają coraz to nowych wsiadających nieczystych!

Poniewczasie próbuję utorować sobie drogę pod prąd tłumu, ale on żyje własnym życiem i mogę tylko trzymać się swojego miejsca. A może powinienem zasymulować atak serca?

Zacząć krzyczeć jak opętany? Nie odważę się, kto wie, jak to się może skończyć? Jeszcze zaszkożę krucjacie Jego Serendipity. Lepiej już zginę tu na dole. Co? Przemknął mi obraz pary spacerującej z psem na plaży na Okinawie. Raj znajduje się zaledwie o dziewięćdziesiąt minut stąd samolotem Japońskich Linii

Lotniczych. Rozdarte słońce rozlewa swe barwy na koniec świata. Albo na jego początek.

Nie chcę, żeby ten pociąg stał się moim grobem. Walcz.

Nieczyści uderzają o mnie falami, wyciskając ze mnie dech. Biznestrutnie, biurwy, uczennice z nabrzmiętymi od seksu wargami. Odsuwam się, ramieniem toruję drogę, tułów posuwa się o ułamek. Walcz, Kwazarze! Jesteś na wojnie! Gdyby tylko mój iloraz alfa pozwolił mi teleportować się na przebiegające nade mną ulice! Moje ucho przyciśnięte do ucha jakiegoś nieczystego. Z walkmana sączy się muzyka i w powietrzu krąży dawno temu słyszany saksofon, tak smutny, że ledwie odrywa się od ziemi.

Zostaję pchnięty do tyłu, za sportową torbę. Przez zamek błyskawiczny rojem wylewają się chwile. Kostki domina, wróble, muchy bzyżące w letni dzień. Dziewczynka obserwuje mnie oczyma, które nie do niej należą. Minnie Mouse też patrzy i uśmiecha się.

Wesoło? Mściwie? Co usiłuje mi powiedzieć?

Mięśnie w skurczach, ale jeszcze raz płynę pod prąd. Zostaję przyciśnięty do młodej kobiety, która kurczowo trzyma futerał z wiolonczelą, bukiet cholernych kwiatów i książkę.

Pokrowiec wiolonczeli uwiera mnie w pachwinę. Kobieta zasłania twarz książką, cał przestrzeni oddzielającej nasze nosy. *Oko Zen*. Siedzący Budda, o wydatnych wargach i przymkniętych powiekach, srebrny na błękitnym wzgórzu, oaza wśród głośnego jazgotu.

Zawsze na krawędzi słów. Wypuście nas! Wypuście nas! Wypuście nas! Płuca napierają na kraty klatki moich żeber. Czy moje serce także będzie dobijało się do wyjścia, kiedy cewki zniszczą fiołki z czyszczącą cieczą? A co z moją duszą? Czy znajdzie

wyjście z tych tuneli?

Przeciskam się obok futerału, plecaka i wślizguję się pomiędzy dwa trencze. Próbuję się wyprostować, ale uniemożliwia mi to śpiący olbrzym o włosach koloru herbaty. Oto herbata, oto filiżanka, oto herbaciarnia, oto góra, ściany skał na najczystszy niebie. Widzisz? Widzisz? To niedaleko, niedaleko. Przyczajam się pod olbrzymem i skrętem prę do góry. Pod sufitem trawiaste równiny pojawiają się, a potem giną rok za rokiem, całymi latami. *Jeźdźcy Wielkiego Chana* pędzą z hukiem na zachód, futra, złoto, Białe Panie z Rusi. Na czele nowiutka toyota landcruiser, zero oprocentowania, kredyt na czterdzieści osiem rat, ubiegający się muszą wykazać się zdolnością kredytową.

Dalej! Nieczyści cię oślepiają! Oczyść swoją jaźń z ja, a przeciśniesz się tam, gdzie nawet krzyk dojść nie zdoła. Marynarz mi przeszkadza. Marynarz tutaj? Gdzie ta kołysząca się trumna, a gdzie morze? Do munduru przyciśnięta rozłożona błyszcząca książka. Grzbiet odkształcony i popękany. *Petersburg, miasto arcydzieł*. Pałac przyprószony cukrem pudrem, promenada, rzeka o brzegach spiętych dwoma wdzięcznymi mostami? Co sprawia, że ten pociąg nie rozpada się pod naporem własnej masy? Co sprawia, że nie rozpada się świat?

To mój przystanek - wyjaśniam nieczystemu, na którego napieram. - Ja tutaj wysiadam.

Nieczyści odpowiadają jak jeden mąż. - Przesuń się do przedziału.

Próbuję ich przytrzymać, tak jak oni przytrzymują mnie, i zlokalizować ich słabe punkty. Adrenalina pieni mi się we krwi jak śmietanka w kawie. Kolejny metr bliżej życia. Z

półki spada winylowa torba na zakupy. Wybrzusza się w moją

stronę pokolorowaną na czerwono płataniną, na której widnieje komputerowy gryzmoł: Londyńskie Metro. Łokciem odpycham ją od twarzy. Ja tutaj wysiadam. Ogień w kominku ma kolory Bractwa. Uśmiechy ciepłe i lepkie jak za dawnych dobrych czasów. Na etykiecie whisky kilmagoon widnieje stara jak świat wyspa.

I dalej już nie ruszę. Zaledwie o metr, ale i nieczystych tłoczy się tu więcej, i utknąłem już jak pszczoła w bursztynie. Widzę światła na falach i tonę, wymachuję ręką ku wyjściu, choć reszta mojego ciała już dała za wygraną.

Odsunąć się od drzwi - pouczają nieczyści. Rury zamknięte w innych rurach i Kwazar, daleki posłaniec, zamknięty w samym środku. Drzwi z hydraulicznym sykiem zatrzasują nieczystych i tego, który czyści.

W rękę dźga ból. Od czego? Moje palce. Drzwi przytrzasnęły mi dłoń. Odsunąć się od drzwi! Głos nieczystych nie brzmi już tak wyzywająco. Tak! Pociąg nie może ruszyć, dopóki wszystkie drzwi nie są zamknięte.

Nie obchodzi mnie już, kogo lub co tratuję, gdyż cały się wtaczam. Z siłą, której istnienia u siebie nie podejrzewałem, rozsuwam drzwi na szerokość pięści. Słyszę pełne strachu stęknienie. To ja. Przepycham ramię. Gumowe uszczelki trą z piskiem o moją skórzaną kurtkę. Moje kolano, moje udo, cały mój bok. Strażnik patrzy na mnie gniewnie, porusza ustami, tak nie wolno, ale dźwięk ginie. Będzie próbował z powrotem mnie wepchnąć do wagonu żywych trupów? Strach gdzieś przepadł. Runąłem na twarz i głową walnąłem w Empire State Building, wokół którego krążył biały nietoperz, rozsiewając po nocy słowa i gwiazdy. Spędź noc z Nietoperzem Segundo na fali 97,8 FM.

Na kolanach, jestem na peronie, podnoszę wzrok, opuszczam.

Tyczkowaty cudzoziemiec podaje mi rękę, ale potrząsam głową, a on dołącza do tłumu nieczystych oczekujących na następny pociąg. Czekać na kometę, czekać na Białe Noce. Mój pociąg z wolna rusza.

Zbieram się i wstaję, rozdygotany, wyczerpany. Co jest rzeczywiste, a co nie?

Czuję dmuchnięcie w kark - kto to?

Odwracam się - i tylko tył pociągu ruszającego w ciemność.

Podziękowania

Dwa wiersze zamieszczone w rozdziale *Święta Góra* napisał Taneda Santoko, *Mountain Tasting*, tłum. John Stevens, John Weatherhill, Tokio 1980. Ludowe opowieści w rozdziale *Mongolia* oparte są na legendach z tomu *How Did the Great Bear Originate?*, red.

Choi Luvsanjav, tłum. Damdinsurengyn Altangerel, State Publishing House, Ułan Bator 1987.

Rozdział ten czerpie także z książki Nicka Middletona, *The Last Disco in Outer Mongolia*, Phoenix 1992. Statystyki gier hazardowych zawarte w części 4 rozdziału *Londyn* pochodzą z książki Davida Spaniera, *Easy Money*, Oldcastle Books, 1995. Krótkie wyimki z *The Lake Isle of Innisfree* W.B. Yeatsa (z wydania: W.B. Yeats, *Selected Poetry*, Penguin) wykorzystałem w rozdziałach *Londyn* i *Clear Island* za zgodą A.P. Watta.

Podziękowania zechcą przyjąć: Michael Shaw, Jonathan Pegg, Tibor Fischer, Neil Taylor, Sarah Ballard, Alexandra Heminsley, Myrna Blumberg, Elizabeth Poynter, David Koerner, Ian Willey i Jan Montefiore.

Spis treści

OKINAWA

TOKIO

HONGKONG

MONGOLIA

PETERSBURG

LONDYN

CLEAR ISLAND

NOCNY POCIĄG

POD ZIEMIĄ

Podziękowania